

"Święci w dziejach Narodu Polskiego"

Przed chrztem Polski
Początki chrześcijaństwa w Polsce
Rzesza słowiańska
Przesilenie społeczne
Czyje jest Pomorze?
Pokolenie synodu łączyckiego
Zakony
"Zakon"
Pierwszy najazd mongolski
Kanonizacja św. Stanisława
Początki odrodzenia
Wznowienie królestwa
Lilia Wawelu
O moralność w polityce
Od morza do morza
Świętość i historia
Początki nowożytności
Czasy soboru trydenckiego
Czterech wielkich mężów
Najszerze granice
Nowy okres świętych
"Potop"
Ocalenie chrześcijaństwa
Najsilniejsze rządy
Ostatni król Polski
Drobne państewka polskie
Wielka emigracja
Tępienie unii kościelnej
Z dymem pożarów
W czasach wojny krymskiej
Powstanie styczniowe
Podlasie i Chełmszczyzna
Siła a prawo
Na przełomie w. XIX i XX

Przed chrztem Polski

Nie wszyscy lubią czytywać książki historyczne, bo powiadają - co ich obchodzi, co działo się na świecie przedtem, póki ich nie było; i po co przejmować się kłopotami nieboszczyków z dawnych pokoleń, skoro się ma dosyć własnych. Ale zainteresowałiby się od razu nieboszczykiem, choćby bardzo odległym, gdyby pozostał po nim... spadek. Od razu badaliby swoją "genealogię", tj. jak i z kim spowinowaceni byli jego ojcowie i dziadkowie, i jaką majątność, który z nich posiadał. Mało to procesów spadkowych, gdzie przed sądami wywodzi się długie, powikłane genealogie? Bywają nieraz kłopotliwe, bo nie tylko trzeba sięgnąć wstecz w dawne pokolenia, ale szukać przodków po rozmaitych powiatach i województwach, a czasem nawet sięgnąć na drugą półkulę.

Każdy z nas należy oczywiście do jakiegoś rodu. Niegdyś rody przebywały zawsze w pobliżu siebie, z pokrewnych rodów tworzyło się plemię, a z plemion pokrewnych powstawał lud. Np. lud podhalański, laski, Krakowiacy, Kaszubi, Górale, Ślązacy, Kujawiacy i inne polskie ludy. Wszystko to powstało z pokrewieństwa, które po pewnym czasie staje się tak powikłane, że już nikt się w nim nie rozezna; nie sposób wykreślić genealogii, ale trwa tradycja o pochodzeniu od wspólnego przodka.

Z ludów polskich powstał z czasem historyczny naród polski, na zachód od nas czeski, a na wschód ruski. Przeświadczenie o wspólnym pochodzeniu było tak głębokie i mocne, iż w wiekach ubiegłych wymyślono nawet taką świecką legendę, że pochodzimy od trzech braci: Lecha (zwano Polaków Lechitami), Czecha i Rusa. Można by cofnąć się jeszcze dalej, bo każdemu dziecku wiadomo, że wszyscy pochodzimy od Adama i Ewy - i jest to zupełna prawda - ale niech kto spróbuje wysnuć całą swą genealogię od tych pierwszych rodziców! Otóż po tych wszystkich przodkach dźwiga się spadek i chcąc nie chcąc trzeba go przyjąć, w całości wraz z pożytkami i długami, ze wszystkim złem i dobrem, które nam poprzednicy zostawili.

Po przodkach jeden człowiek jest biały, a drugi czarny; jeden urodzi się poganinem, a drugi bez trudu, bez kłopotu od samego urodzenia otrzyma skarb prawdziwej wiary. A czy Polak może zamienić się w Chińczyka, gdyby mu się tak zachciało, lub Chińczyk w Polaka? Tę sprawę rozstrzygnęli przodkowie! A stan majątkowy, zwyczaje, obyczaje, upodobania, nawet stopień wykształcenia, czyż nie zależą w znacznej części od tego, czym byli i jacy byli nasi rodzice?

Naukę o wszelkim spadku po przodkach zwiemy Historią. Ona nas poucza, co które pokolenie robiło lub nie robiło i w jakim stanie przekazało spadek po sobie pokoleniu następnemu. Może być historia jednej rodziny, całego narodu, wreszcie historia powszechna wszystkich krajów i ludów całej ziemi. Historia tłumaczy, dlaczego obecnie jesteśmy tacy, a nie inni, skąd się wzięły dobre i złe strony naszego życia. Historia wyjaśnia współczesny stan spraw naszych; nie może ich znać dobrze nikt, kto ich nie pozna historycznie. Złymi też bywają doradcami w życiu publicznym tacy, którym brak wykształcenia historycznego. Ciężko jest obmyślać dobrą radę, gdy się nie wie, skąd co wynikło i dlaczego? Praca nad przyszłością nie może wydać dobrych skutków bez znajomości przeszłości.

Toteż spodziewamy się, że książka ta przynieść może niemało pożytku umysłowego i moralnego. Ponieważ zaś najważniejszym dziedzictwem jest spuścizna religijna, więc najpierw wyjaśnimy sobie, jakim sposobem i jakimi drogami zawitała do Polski Ewangelia święta.

Najpierw dochodziła do tych ludów, które należały do starożytnego państwa rzymskiego. Nie na próżno mówili sobie chrześcijanie dawnych wieków, iż sama Opatrzność zezwoliła utworzyć Rzymianom olbrzymie państwo. Szerzenie ewangelii było ułatwione, skoro można było dotrzeć do tylu ludów, nie natrafiając na granice państwowe. Pod jednym rządem była Europa po Dunaj i Ren, Azja Mniejsza i północna Afryka! Potem podzieliło się to olbrzymie państwo na dwa cesarstwa: właściwe rzymskie zachodnie ze stolicą w Rzymie i wschodnie ze stolicą w Konstantynopolu, czyli Bizancjum (po słowiańsku Carogród).

Zachodnie cesarstwo rzymskie rozleciało się w V w. po Chrystusie i powstał z niego szereg państw mniejszych w Hiszpanii, we Francji, w Anglii i we Włoszech. Ale Rzym, "miasto wieczne" zostało stolicą całego chrześcijaństwa, bo tak postanowił św. Piotr i tam kazał przebywać następcom, papieżom. Zanim zaś państwo rzymskie upadło, Rzymianie byli już nawróceni i sami szerzyli chrześcijaństwo po wszystkich krajach swego panowania.

Rzecz jasna, że później dopiero mogli dotrzeć misjonarze do takich krajów, które do państwa rzymskiego nigdy nie należały. Jeszcze z rzymskich czasów pochodzi chrześcijaństwo nie tylko we Włoszech, ale w Hiszpanii, w Anglii i w Irlandii (tam od r. 431), Francja zaś przyjęła chrześcijaństwo w r. 496.

Bizantyńskie cesarstwo natomiast kurczyło się, a co gorsza chrześcijaństwo traciło grunt w podległej mu Azji i Afryce. Opanowała te kraje nowa religia: islam, czyli muzułmaństwo, zwane też mahometanizmem od swego założyciela. Był nim Mahomet, zamożny kupiec i przewodnik karawan, który żył w Arabii w pierwszej połowie VII w. po Chrystusie. Obznajomiwszy się w podróżach handlowych z chrześcijaństwem i żydostwem, zapragnął też Arabów przywieść do wiary w jednego Boga. Wziął od żydów więcej, niż od chrześcijan, a między innymi zakazał sporządzać wyobrażenia ludzkich postaci, malarskie czy rzeźbiarskie. Pozostawił zaś niewolnictwo, zezwolił na wielożeństwo, a w raju po śmierci obiecywał wszelkie rozkosze cielesne. Taka religia, sumień nie dręcząc, szerzyła się łatwo. Nakazał zaś Mahomet szerzyć islam mieczem. Nawracanie było podbijaniem, a podboje szły bardzo szybko. Około r. 640 odebrali już muzułmanie Bizantyńczykom całą Arabię, Syrię, Palestynę, Persję i Egipt, a w r. 711 przeprawili się przez wąską Cieśninę Gibraltarską na stronę europejską i zaczęli podbój Hiszpanii.

Zastanawiać musi fakt, że Bizantyńczycy nie tylko nie nawrócili ani jednego muzułmanina, ale sami ulegli wpływom islamu. Oto kazano tam z cerkwi powyrzucać obrazy i podpalić je! Okres obrazoburstwa obejmował lata 717-842, trwał więc całych 125 lat. A nadszedł i minął z rozkazem rządowym! Jedni cesarze palili obrazy, a drudzy kazali je na nowo malować i zawieszać. A dla Cerkwi bizantyńskiej było przykazaniem wszystko, co kazał cesarz!

Podczas gdy katolicyzm, wymaga, żeby duchowa władza była niezależna od świeckiej, w Bizancjum zrobiono cesarza głową Kościoła! Religia na usługach państwa! Skądże to? Bo Bizancjum odrywało się od jedności z Rzymem, odszczepiało się od prawdziwego Kościoła, odrzucało zwierzchność papieską, słowem popadało w schizmę. Łączyło się z tym przesadne mniemanie o władzy monarszej, o władzy rządu. Zasadą schizmatycznego Bizancjum stała się tak zwana wszechmoc państwa. Znaczy to, że rządowi wszystko wolno, przy czym nie potrzebuje się krępować żadną moralnością. Nie wolno się było zastanawiać nad wolą rządu. Dołączył się do tego jeszcze jeden wzgląd: skoro wszystko ma być tak, jak każe cesarz bizantyński, zatem wszystko w całym państwie ma być jednakowe. Jednostajność jednak przeciwna jest naturze ludzkiej, wymuszano ją więc siłą i gwałtem. Wszystko tedy na wspak, niż nauczał Kościół rzymski, ten Kościół, który dopuszczał i dopuszcza zawsze różnorodność nawet obrządków religii, umiając zachować jedność bez jednostajności.

Nastąpiła między Rzymem a Bizancjum nie tylko schizma, ale całkiem odmienne poglądy na życie zbiorowe, czyli różnica cywilizacji. Inna wykształciła się cywilizacja w Bizancjum, a inna w Rzymie. Kościół zachodni zbierał tymczasem wszystko, co po starożytnych Rzymianach zostało dobrego, co dało się pogodzić z chrześcijaństwem. Przecież nawet za czasów pogaństwa obowiązywało u Rzymian jednożeństwo, nietykalność własności prywatnej, a prawo prywatne miało ogromną powagę; aż do późnych czasów utrzymali też praworządność, to znaczy, że nawet głowę państwa obowiązywało prawo. Panował u Rzymian ład i porządek publiczny, bezpieczeństwo i trwałość stosunków. To wszystko przejmował Kościół i chronił, podobnie jak naukę, literaturę i sztuki piękne, całe umysłowe dziedzictwo po starożytnym świecie. Postawiwszy zaś na czele całego życia zbiorowego zasadę dwoistości władzy, osobnej duchownej, a osobnej świeckiej, wytworzył Kościół nową cywilizację. Nazywamy ją łacińską, a to od języka, który przyjęty od starożytnego Rzymu, stał się językiem kościelnym na zachodzie i językiem powszechnym nowej cywilizacji.

Tej cywilizacji Bizancjum nie tylko nie przyjęło, ale zwalczało ją zawzięcie.

Gdy tedy cesarze bizantyńscy, pozbawieni panowania w Azji i w Afryce przez islam, chcieli pozyskać zwierzchnictwo nad całą Europą, papieństwo sprzeciwiło się temu, a papież Leon III wznowił cesarstwo zachodniorzymskie ażeby zatamować szerzenie się bizantyzmu. Wszystkie państwa katolickie miały się połączyć w jeden związek pod świecką władzą cesarza rzymskiego, a pod duchowym zwierzchnictwem papieża. Wybór papieski padł na osobę Karola Wielkiego, który był już królem frankońskim i burgundzkim (dwie wielkie dzielnice Francji) oraz longobardzkim (w północnych Włoszech). Tego największego monarchę katolickiego ukoronował papież w Rzymie w r. 800 na cesarza.

Niedawno przedtem zaczęło się chrześcijaństwo w Niemczech zachodnich. Apostołem był mnich irlandzki, św. Bonifacy, który zginął śmiercią męczeńską w r. 754 z rąk Fryzów (na pograniczu Niemiec i Holandii). Dopiero za Karola Wielkiego zaczęto nawracać Sasów, główny lud Niemiec wschodnich - ale robiono to mieczem, w siedmiu krwawych wyprawach w latach 772-804; toteż długo jeszcze znać było, że są nawróceni ledwie powierzchownie.

Sasi sąsiadowali dalej na wschód już ze Słowianami, Ale osadnictwo Sasów nie sięgało nawet rzeki Łaby. Słowianie zamieszkiwali tereny, gdzie dzisiaj mieści się Lipsk, Berlin i Hanower. Żyli tam ludy, od rzeki Łaby, zwane Połabianami, Lutycy na zachodniej północy, środkiem Obodryci, na południu Łużycanie i Milczanie. Jedynie Łużycanie przetrwali do naszych czasów.

Wyginęły całe narody słowiańskie, wytępione mieczem niemieckim pod pozorem nawracania!

Nie powiodły się bowiem wspaniałe zamiary papieskie, związane z cesarstwem Karola Wielkiego. Nie szerzyło się wprawdzie panowanie bizantyńskie ku zachodowi, ale rozprzestrzeniła się cywilizacja bizantyńska, bo monarchom, królom i książętom bardziej dogadzało bizantyńskie pojmowanie władzy rządowej, niż rzymskie. Nastąpiła długa walka dwóch cywilizacji. Ale cesarstwo Karola Wielkiego minęło, zaniknęła nawet sama godność cesarska.

Ze wschodniej połaci państwu Karola Wielkiego wytworzyło się królestwo niemieckie, prące coraz dalej na wschód na ziemie słowiańskie. Na pogańskich sąsiadów patrzyli tylko jako na materiał do łupów i nie spieszyli im było z wysyłaniem misji. Przyjęty się wokół tronu niemieckiego bizantyńskie poglądy na stosunki Kościoła z państwem. Nawet biskupi niemieccy występowali się politycznym celom swych królów. Popadali nieraz w rozterkę z papieństwem i więcej bywało w ich działaniu polityki, niż religii. Zobaczmy, jak potem wybitni Niemcy, którzy słuchali wskazówek Rzymu i trwali przy cywilizacji łacińskiej, nawet Święci Pańscy narodu niemieckiego, trzymali się Polski.

Wówczas, po roku 800, nie istniało jeszcze państwo polskie. Słowiańska państwowość powstała bardziej na zachód, mianowicie państwo Wielkomorawskie. Nazwa pochodzi stąd, że główny tron tego państwa mieścił się na Morawach. Z Moraw państwo to rozszerzyło się daleko na zachód i wschód, z jednej strony na ludy czeskie, a z drugiej aż nad Wisłę poza Kraków.

Książę wielkomorawski, Mojmir, przyjął chrzest od misjonarzy niemieckich około r. 840, ale oparł się, gdy zażądano od niego, ażeby uznał zwierzchnictwo króla niemieckiego, Ludwika. Ten jednak wyprawił się na Morawy w r. 846 i strącił z tronu Mojmira. I byłby może nastąpił koniec państwa wielkomorawskiego, gdyby nie spryt Mojmirowskiego synowca Rastycy. Udawał potulnego wobec Niemców. Król Ludwik myślał, że będzie miał w nim, jakby swego posłusznego namiestnika, i dlatego sam nadał mu tytuł księcia wielkomorawskiego. Ale sprytny Rastyc miał swoje plany. Znał świat lepiej, niż stryj i wiedział, że chrześcijaństwo nie musi być wiarą "niemiecką", ani łączyć się z niemieckim poddaństwem.

Rastyc miał wieści z Półwyspu Bałkańskiego. Szczególnym zrządzeniem Opatrzności właśnie z bizantyńskiego państwa miała nadejść pomoc przeciwko bizantyzmowi niemieckiemu. Bo nie tylko w Niemczech, ale nawet na Półwyspie Bałkańskim nie wszyscy byli wrogami cywilizacji łacińskiej.

Początki chrześcijaństwa w Polsce

Nie wszyscy Słowianie byli tak oddaleni od źródła ewangelizacji, jak Połabianie, Morawianie lub tym bardziej Polacy; Słowianie południowi, a zwłaszcza bałkańscy mieli w pobliżu patriarchat carogrodzki. Schizma wybuchła już, lecz jeszcze nie była trwała; nawracanie tamtejszych Słowian i Bułgarów, mogło być padać i na tę i na ową stronę. Ale jak na północy przeszkadzała nawróceniom niechęć do niemieczyny, tak na Bałkanach opierano się zwierzchnictwu cesarstwa bizantyńskiego.

Wtedy dwaj uczeni mężowie powzięli śmiały zamiar, żeby ustanowić dla Słowian osobny obrządek. Byli to św. Cyryl i Metody, bracia, rodem z miasta Solunia (po grecku Saloniki). Mieli za sobą dużą praktykę życiową, nim się zabrali do tworzenia nowości. Metody był namiestnikiem cesarskim w jednej prowincji, a Cyryl bibliotekarzem u patriarchy w Carogrodzie. Rzucili jednak te szczytne stanowiska, żeby się poświęcić misjonarstwu. Przez kilka lat przygotowywali się w duchowym skupieniu w klasztorze na górze Olimpie, potem udali się pomiędzy ludy turańskie, do państwa Chazarów, które istniało (choć tylko przez półtora wieku) pomiędzy rzekami Wołgą a Donem (a więc w późniejszej Rosji południowej). Tam misja ich miała wielkie powodzenie i nabrawszy doświadczenia, powrócili na Bałkany. Dokonali nawrócenia księcia bułgarskiego i od tego czasu jęli wykonywać swój wielki plan, przemysłany już dokładnie przez całe lata.

Na nowy język liturgiczny wybrali jedno z narzeczy języka bułgarskiego, mianowicie macedońskie. Nie tylko przetłumaczyli na ten język księgi liturgiczne, ale obmyśliłi też stosowne abecadło, nazwane głągolicą (wyraz "głągol" oznacza dźwięk) i poczęli szerzyć nowy obrządek Cerkwi bizantyńskiej. Ale Bizancjum temu nie sprzyjało, wymagając jednostajności; popadli święci bracia w niełaskę w Carogrodzie także z tego względu, że obstawali bezwarunkowo za jednością z Rzymem.

Wiść o obrządku słowiańskim szerzyła się szybko w świecie i dotarła do księcia Rastyca. Zaprosił świętych braci na Morawy, dokąd też chętnie przybyli w r. 863. Nie chcieli jednak, żeby organizacja kościelna w państwie wielkomorawskim podlegała patriarsze carogrodzkiemu, lecz poddali ją bezpośrednio papieżowi rzymskiemu. Nie wprowadzali też ksiąg liturgicznych obrządku słowiańsko-bizantyńskiego, lecz dokonali nowych tłumaczeń, mianowicie mszału i innych ksiąg łacińskich, jakich się używało w obrządku rzymskokatolickim. W taki sposób powstawał obrządek rzymsko-słowiański; w języku starobułgarskim nabożeństwo zupełnie takie samo, jakie odprawiano w języku łacińskim.

Z powodu różnicy języka i abecadła obrządek ten był niedostępny dla duchowieństwa niemieckiego. Nie mogąc tego czytać, nie wiedząc co tam jest, rzucili Niemcy podejrzenie, że bracia soluńscy szerzą jakąś herezję. A właśnie w cztery lata po przybyciu tych apostołów słowiańskich na Morawy, w r. 867 patriarcha carogrodzki Focjusz zrywał znowu z Rzymem. Zaskarżyli tedy biskupi niemieccy braci soluńskich przed Stolicą Apostolską. Oni sami od razu do Rzymu się wybrali w tym samym właśnie roku 867, a gdy dzieło swe przedstawili papieżowi Adrianowi II, Ojciec święty wyświęcił ich na biskupów.

Niestety, św. Cyryla dosięgła w Rzymie śmierć 14 lutego 869 r. Liczył zaledwie 42 lata, a jakież zdążył położyć zasługi. Toteż Ojciec św. kazał mu sprawić pogrzeb taki, jaki samym papieżom urządzano i złożyć ciało jego w kościele Św. Klemensa oraz wymalować tam na ścianie szereg malowideł ku jego czci. Pozostałego przy życiu św. Metodego mianował arcybiskupem-metropolitą. Zamierzano więc ustanowić kilku biskupów obrządku rzymsko-słowiańskiego, bo Stolica Apostolska obrządek ten zatwierdziła. Spodziewano się, że dzięki własnemu obrządkowi cała Słowiańszczyzna północna stanie się pochopniejsza do chrztu św.

Wraca więc św. Metody z triumfem na północ - lecz jakże bolesne czekały go niespodzianki!

Trzykrotnie wojował już król Ludwik z Rastycem; w czwartej wojnie w r. 870 pojmał go, wyłupił mu oczy, i zamknął w klasztorze daleko w Niemczech.

Skąd taki okrutny pomysł, żeby kogoś sztucznie oślepić? Taka mściwość nad pokonanym przeciwnikiem pochodziła z dalekiej Azji od starożytnych ludów barbarzyńskich i stamtąd przyswoili ją sobie wodzowie bizantyńscy. Z czasem weszło to do bizantyńskiego prawa państwowego, że za bunt

lub zdradę jest kara okaleczenia, jak wypalanie lub wylupianie oczu; można też było skazywać nawet na rozsiekanie. Królewscy niemieccy sędziowie uważali widać Rastyca za podwładnego i za buntownika.

Przesadne bizantyńskie pojęcia o władzy monarszej szerzyły się. Rozpowszechniała się bowiem w tym właśnie okresie dziejowym cywilizacja bizantyńska i wpływami swymi sięgała daleko za zachód; a niejednemu z panujących spodobało się cesarskie prawo bizantyńskie, tak srogie dla "buntowników".

Cóż więc zastał św. Metody na Morawach? Rządy niemieckich grafów, tj. namiestników króla Ludwika, rozwścieczonych na wszystko co słowiańskie. Pojmano i metropolitę słowiańskiego i wydano go biskupowi niemieckiemu w Passawie w Bawarii, który uważał, że Morawy winny należeć do jego diecezji. Jak postępowano ze św. Metodą dowiadujemy się z listu, jaki papież Jan VIII wyprawił do owego biskupa passawskiego. Jest tam ustęp następujący: "Sądzimy, że na opłakanie niegodziwości twojej jedynie chyba potok łez proroka Jeremiasza wystarczyć może. Zuchwalstwo twoje przewyższa srogość i dzikość każdego tyрана. Dręcząc naszego współbrata Metodego kaźnią więzienia, znęcając się nad nim przez to, iż go trzymał pod gołym niebem, wystawionego na ostrość dokuczliwą zimy i słoty, odrywając go od rządzenia Kościołem jemu powierzonym, posunąłeś się do tego szaleństwa, że go kazałeś zawlec przed sąd niemieckich biskupów i chłostać nawet chciałeś biczem, gdyby cię inni nie byli od tego powściągnęli. Czyż to na Boga! są uczynki godne biskupa, którego dostojność, gdy wykracza, tym cięższym czyni występki?"

Nareszcie zmusił ich przecież papież, że puścili św. Metodego na wolność. Ale duchowieństwo niemieckie po jakimś czasie wystąpiło ponownie ze skargami. Św. Metody zaś, udawszy się powtórnie do Rzymu w r. 870, otrzymał potwierdzenie wszystkiego, co uzyskał był u poprzednich papieży.

Tym razem zastał po powrocie stosunki odmienione na dobre. Powszechne powstanie ludności wyгнаło grafów i przywróciło na nowo państwo wielkomorawskie na czele z synowcem Rastyca, księciem Swatoplukiem, czyli Światopełkiem. Pracował tedy św. Metody gorliwie przy winnicy Pańskiej. Niedługo po jego powrocie przyjechał do Światopełka książę czeski Borzywój; udało się nawrócić go wraz z trzydziestoma panami czesкими, a potem także jego żonę, kanonizowaną następnie św. Ludmiłę.

Z siedziby morawskiej, słynnego grodu Welehradu, wysyłał św. Metody swych uczniów także do Polski. Nie było jeszcze państwa ogólnopolskiego, tylko liczne księstwa i księstwka plemienne. Misjonarz z ramienia św. Metodego dokonał w tym czasie nawrócenia księcia Wiślan, ze stolicą w Wiślicy nad Wisłą (poniżej Krakowa). Było to około r. 870 - i stanowi to początek chrześcijaństwa w Polsce.

Wysłał też św. Metody innych uczniów na Śląsk, również z dobrym skutkiem. Dwaj kapłani z Welehradu dotarli zaś aż nad jezioro Gopło, na Kujawach. Tam utworzyło się księstwo plemienne pod dynastią Popielów, a ze stolicą w Kruszwicy. Za czasów ostatniego z Popielów były jakieś zaburzenia, skutkiem których władza przeszła do nowej dynastii, Piastów. Być może, iż nieporozumienia wybuchły na tle religijnym; że Popiel trwał przy pogaństwie, a Piast sprzyjał misjonarzom chrześcijańskim. Tak można by sobie tłumaczyć piękną legendę, jak to na dwór Popiela przybyli raz dwaj młodzieńcy prosząc o gościnę, lecz on wyгнаł ich, a wówczas zaprosił ich do siebie Piast, mieszkający na końcu Kruszwicy - za co obdarzony został dostatkiem i dobrobytem, dzięki błogosławieństwu tychże młodzieńców, posiadających moc cudowną. Podaje też legenda, że byli to Aniołowie Pańscy. Jeżeli przypuścimy, że byli to wysłannicy św. Metodego, cała rzecz tłumaczyłaby się wcale jasno.

Przebywał zaś św. Metody na Welehradzie aż do zgonu, tj. do r. 885. Nabożeństwo żałobne odprawiono po łacinie, po grecku i po słowiańsku w trzech obrządkach: w rzymskołacińskim, w bizantyńskim i w rzymsko-słowiańskim.

Śmierć słowiańskiego apostoła miała stać się klęską dla obrządku nowego, głągolicznego (bo tak go zwać można od abecadła). Zabrakło księży głągolitów do obszernej słowiańskiej winnicy Pańskiej, a Niemcy skorzystali, by zająć ich miejsce. Sama dynastia słowiańska przyczyniała się zaś najbardziej do słowiańskiej klęski, bo synowie Światopełka wszczynali między sobą walki bratobójcze i przyzywali też

coraz częściej pomocy Niemców, sami wzajemnie przeciwko sobie. Jakże więc miało istnieć takie państwo? Chociaż więc papież Jan IX wznawiał około r. 900 hierarchię kościelną głągolicą, runęło wszystko, gdy upadło państwo wielkomorawskie.

Ażeby dobić Słowian, sprowadził król niemiecki z odległych wschodnich krajów dziki pogański naród Madziarów pochodzenia azjatyckiego. W walce z nim poległ w r. 907 ostatni władca Wielkomorawii, książę Mojmir II. Madziarzy przywłaszczyli sobie znaczną część jego państwa, całe górne Węgry. Taki jest początek państwa madziarskiego na Węgrzech. Rozdarli Słowiańszczyznę, odgradzając północną od południowej.

W welehradzkiej zaś świątyni można oglądać znak polskiej wdzięczności i czci dla świętych apostołów słowiańskich: obraz ich malowany przez największego malarza polskiego Jana Matejkę, krakowskiego mieszczanina.

Byli więc św. Cyryl i Metody apostołami Słowian południowych i zachodnich: Bułgarów, Czechów, Słowaków i Polaków. Nie mieli jednak nic wspólnego ze Słowiańszczyzną wschodnią.

Mylne takie mniemanie zrodziło się wskutek następującej okoliczności: przeszło sto lat potem powstało na Bałkanie nowe znowu pismo słowiańskie, a że okazało się dogodniejsze od głągolicy, więc się też szybko rozpowszechniło. Wynałazcą nowego pisma był mnich, któremu na imię było Cyryl, więc abecadło jego nazwano cyrylicą. Z tożsamości imienia powstało bałamuctwo historyczne, jakoby cyrylica pochodziła od św. Cyryla. Ani św. Cyryl ani św. Metody nie mieli nigdy nic wspólnego ze Słowiańszczyzną wschodnią i żadnej Rusi nigdy nie widzieli.

Polski posiew uczniów św. Metodego niósł dalej plony, a nadto docierały też wpływy czeskiej dynastii Przemyślidów, już nawróconych. Czechy, jeszcze nie zjednoczone, zorganizowane były w księstwa plemienne. Odznaczały się trzy z takich rodów książęcych: Werszowcowie, Sławnicy i Przemyślidzi (potomkowie Przemyśla, czyli Przemysława). Ci panowali nad ludem Czechów koło Pragi, a że powiodło im się potem opanować całe Czechy, więc też wszystkie ludy ich państwa zwano już Czechami.

W dynastii piastowskiej trzech jeszcze potomków pierwszego Piasta pozostało przy pogaństwie. Z Kujaw rozszerzyli swe panowanie na drugą stronę Gopła, do ludu Polan i stolicę przenieśli do Gniezna. Czwarty z Piastów zwał się Mieszko, co w prastarej polszczyźnie oznacza niedźwiedzia. Długo jeszcze potem nie tylko polscy książęta lubili przybierać sobie nazwę od króla naszych zwierząt północnych (o lwie jeszcze nie słyszano). Ale niebawem z Mieszka miał się zrobić Mieczysław. Książę ten bowiem decydował się przyjąć chrzest; widocznie znajdował w swym państwie dostateczną ilość chrześcijan, żeby się na nich oprzeć.

Chwilę dogodną upatrzył sobie w r. 965. Ale przyjmował wiarę świętą nie od Niemców, lecz z Czech. Pragnął porozumienia z Czechami, żeby się tym łatwiej bronić przeciwko królom niemieckim. Już bowiem Niemcy przekroczyli Łabę, już zaczęli podbijać Połabian, po czym miała przyjść kolej na Polskę. Starał się więc Mieszko o rękę księżniczki czeskiej Dubrawki (w Polsce następnie zwanej Dąbrówką).

Przemyślidzi byli chrześcijanami od r. 874. Ochrzczył się wówczas (jak już o tym była mowa) książę Borzywój, a żona jego Ludmiła odznaczała się nadzwyczajną pobożnością. Zdecydowanymi chrześcijanami pozostali jej synowie, Spitygniew i Wratysław; ale wdowa po Wratysławie, Drahomira, byłaby rada wznawiać pogaństwo. Wtedy Ludmiła przygarnęła wnuka, Waclawa i sama go wychowywała. Były o tego wnuka spory zaciekle. Drahomira czyhała na życie Ludmiły, aż dosięgła jej nasłanymi mordercami w r. 927. Kościół uznał Ludmiłę za świętą.

Waclaw stał się również męczennikiem. Kiedy ogłosił chrześcijaństwo religią panującą i nie dopuszczał pogan do dworu ani do urzędów, zmówił się na niego z poganami własny jego brat, Bolesław. W osiem zaledwie lat po gwałtownej śmierci swej babki został również zamordowany w r. 935 Waclaw. I on także jest kanonizowany. Bolesław zaś nawrócił się, a wstąpiwszy na tron, pozostał wiernym chrześcijaństwu. Jego to córką była Dubrawka.

Przyjechała więc do Polski czeska księżniczka, chrześcijanka Dubrawka z rodu Przemyślidów, prawnuczka i bratanica świętych. Konno przyjechała, bo jeszcze ani pojazdów tu nie znano, ani dróg stosownych nie było. Jechała oczywiście księżna nie sama, lecz z całym dworem i taborem, z orszakiem dworzanek, przybranych strojno w pstre szatki, nakryte futrami, zdobne w najcenniejsze w owych czasach klejnoty: sznury bursztynów. Miały z sobą hufiec zbrojnych, gromadę pachokłów i dziewczek, ale też miały jeszcze jeden orszak całkiem innego rodzaju. W dalszą podróż nie byłby się wybrał wówczas żaden książę chrześcijański bez kapelana, tym bardziej musiała go mieć księżniczka, jadąca w daleką krainę, w dodatku do męża poganina, którego zamierzała nawracać. Oprócz kapelana imieniem Jordan, musieli być inni duchowni, jako misjonarze; musiała też być obsługa duchowa, kościelni, śpiewacy, itp. Ruszał więc z Pragi do Gniezna orszak konny niemały.

Cóż wieźli z sobą? Nie brakło oczywiście w środku orszaku koni jucznych, dźwigających księżęcą wyprawę w licznych skrzyniach i tobołach. Były tam skarby różne, ale oprócz złotych naramienników i bursztynowych naszyjników, mieścił się tam klejnoty droższe, a szczególne, bo nie widziane dotychczas w polskich krajach: księgi pisane na pergaminie ozdobnymi literami - łacińskie mszały i brewiarze. Były to pierwsze książki, od których zaczęła się historia naszej cywilizacji. Przybyli z Czech księża przywozili z sobą łacinę, abecadło łacińskie, które od nich się szerząc, miało z czasem podbić całą Polskę.

Ta jedność abecadła z cywilizowaną Europą stanowiła dla nas dobrodziejstwo bez miary. Wspólność abecadła wiodła naszych przodków do wspólnych nauk z Europą Zachodnią, do wspólności duchowej z krajami bardziej oświeconymi. aż po same Włochy, gdzie Rzym był nie tylko stolicą papieży, ale też głównym ogniskiem cywilizacji.

Mieszko musiał jednakże poczekać na chrzest. Dorosły musi przed chrztem wyuczyć się prawd wiary i zasad moralności i odbyć czas próby: taki kandydat do chrztu zwie się katechumenem, a czas nauki i próby trwa w zwykłych okolicznościach jeden rok. Dlatego Chrzest Mieszka nastąpił dopiero w rok po przyjeździe Dubrawki, w r. 966.

Księżę założył równocześnie biskupstwo w Poznaniu, dokąd też w r. 968 przeniósł swą stolicę. Pierwszym biskupem został Jordan.

Dubrawka obdarzona słusznie przydomkiem "matki chrzestnej Polski", przywozła nam też kult pierwszego patrona, św. Wacława. Przywozła z sobą niewątpliwie jakąś partykułę jego relikwii. Towarzyszący jej kapłani potrzebowali w Gnieźnie na początek choćby jakiejś kaplicy, a w każdym razie ołtarza, zaś ołtarz może być tylko na relikwiach; bez relikwii nie ma ołtarza. Relikwiarz musieli tedy mieć z sobą, bo przecież i w drodze mszę św. odprawiali; a cóż naturalniejszego jak to, że Dubrawka wzięła z sobą relikwie św. Wacława, bo był świętym patronem jej własnego rodu, domu księżęcego Przemyślidów. I tak za przykładem dworu naszej "matki chrzestnej" rozszerzyła się w niedługim czasie cześć św. Wacława po całej Polsce.

Szczere było nawrócenie Mieszka, i cała rodzina księżęcą przejęła się gorliwością w wierze. Dopiero co nawrócona dynastia piastowska niesie pochodnię wiary dalej, do dalszych krajów na południe i na północ. Oto siostra Mieszka, Adelajda, zwana Białą Knieginią, wyszedłszy za mąż za Gejzę, pogańskiego księcia Madziarów, staje się ich matką chrzestną, a rodzoną matką św. Szczepana, króla Węgier. Oto córka Mieszka, księżniczka Sygryda, szerzy ewangelię w Szwecji i Danii, po tamtej stronie morza Bałtyckiego, jako małżonka dwóch królów, Eryka Zwycięskiego, a w drugim małżeństwie Swena Widłobrodego. Jedna z jej dworzanek polskich poślubiła króla szwedzkiego Olafa i również go nawraca.

Chrzest Mieszka I i początki chrześcijańskich już Piastów przypadają na czasy mocnego starcia dwóch cywilizacji u naszych niemieckich sąsiadów. Król Otton I urządził sobie dwór według wzoru bizantyńskiego, na wielką skalę i okazale. Zapatrując się po bizantyńsku na stosunek Kościoła do państwa, posunął się do walki z samym papieżem. Wyprawił się w r. 951 po raz pierwszy do Włoch, a na drugiej wyprawie dotarł w r. 961 aż do samego Rzymu. Papież Jan XII wystąpił przeciw

najeżdźcom. Wtedy Otton zdobywszy Rzym, wynosi swojego papieża, przeciwstawiając go prawowitemu papieżowi!

Temu swojemu "politycznemu" papieżowi kazał się Otton koronować na cesarza rzymskiego. Wyglądało to, jakby wznawiał koronę Karola Wielkiego. W rzeczywistości nowe cesarstwo nie tylko nie miało związku z dawniejszym, lecz stanowiło przeciwieństwo tamtego: tamto było dziełem Stolicy Apostolskiej, to zaś powstało ze zbrojnej przemocy; tamto miało służyć ogólnemu związkowi państw katolickich, to zaś miało być znamiem hegemonii, tj. przewagi i przewodzenia Niemców w Europie. Na Rzymianach zaś wymusił Otton przyrzeczenie, że odtąd nie będzie się wybierać papieża bez zezwolenia cesarskiego, a cesarzem ma być zawsze król niemiecki. Dwa razy jeszcze wyprawiał się Otton I na Rzym, wymusiwszy i to, żeby syn jego Otton II jeszcze za życia ojca otrzymał w Rzymie koronę cesarską.

Nastąpiło porozumienie obu cesarzy, niemieckiego i carogrodzkiego, żeby poniżyć stolicę Piotrową i papieża zrównać z carogrodzkim patriarchą. Carogrodzki był sługą i narzędziem kajdara, podobnie i rzymski biskup miał być narzędziem kajzera. Po bizantyńsku cesarz nazywa się kajdzar, a Niemcy ten tytuł z Bizancjum przyjąwszy, trochę go tylko zniemczyli. I w tym jeszcze dowód i wskazówka, skąd czerpali swą umiejętność polityczną o urządzaniu państw, i o stosunku między narodami.

Kierunek bizantyński otrzymał w Niemczech walne poparcie i wszechstronne posiłki, gdy między obu cesarzami stanął układ familijny.

W r. 972 żenił Otton syna z cesarzówną bizantyńską Teofanią. Teofania posiadała wielkie wpływy polityczne, zwłaszcza, gdy po zgonie męża stała na czele rządów podczas małoletności swego syna Ottona III. Sprowadzała zaś od samego początku z Bizancjum uczonych i polityków, i w takim otoczeniu wytworzyła nowe środowisko bizantynizmu w Niemczech.

Dopiero w r. 995 objął Otton III rządy samoistne, i miało się okazać coś niespodziewanego: syn Teofanii odwrócił się od bizantynizmu, a przylgnął mocno do cywilizacji łacińskiej.

Rządy Mieszka I przypadają więc na mocny rozkwit bizantynizmu w Niemczech. Łączyło się to z wybuchami nienawiści przeciwko Słowianom, toteż nie szczędzono najazdów na państwo piastowskie, chociaż już było chrześcijańskie. Mieszko przekroczył jednak granicę i odniósł w r. 972 zwycięstwo, które na lat 30 zapewniło spokój i bezpieczne granice.

Sam Mieszko zażywał tego spokoju przez 20 lat. Rozszerzał granice swego państwa. Do Kujaw i Polan przyłączył wcześniej Śląsk, skąd posunął się na Morawy, które pozostawały we władaniu Piastów do r. 1029. Poza państwem piastowskim pozostawały jeszcze ludy Wiślan, Mazowszan, Lachów i Pomorzan.

Rzesza słowiańska

Syn i następca Mieszka I godny dziedzic jego polityki, Bolesław Wielki rządził w latach 992-1025, dzierżąc panowanie w otoczeniu dziesiątki Świętych Pańskich. Dotychczas spotkaliśmy się z pięciu świętymi: ze św. Bonifacym, ze św. Cyrylem i Metodym, ze św. Ludmiłą i Waławem. Teraz spotkamy zupełnie z bliska, bo na samej polskiej ziemi św. Wojciecha i Brunona i siedmiu Kamedułów (w czym pięciu rodowitych Polaków), a z daleka patrzeć będziemy na św. Romualda we Włoszech. Świeci nam więc historycznie oświecona blaskami od dziesiątki świętych, ta potężna postać Bolesława Wielkiego.

Na jego czasy przypadają trzy wydarzenia pierwszorzędnej wagi: 1) chwilowe zwycięstwo cywilizacji łacińskiej w Niemczech, 2) oparcie Polski na Morzu Bałtyckim, 3) złączenie Połabia, Polski, Czech i Rusi pod jednym berłem, a zatem utworzenia rozległej Rzeszy słowiańskiej, pod przewodem Polski. A wszystko to działo się przy uczestnictwie Świętych Pańskich, czynnych nieustannie w życiu zbiorowym, przestrzegających, by je doskonalić według moralności chrześcijańskiej.

Plany pomorskie i połabskie odziedziczył Bolesław po ojcu. Zdawano sobie dobrze sprawę z tego, że morze jest najlepszą drogą w świat szeroki, najłatwiejszą i najkrótszą. Kto panuje nad morzem, może dojść do panowania nad światem, a rosnąc w bogactwa, rosnąć też w potęgę polityczną. Toteż z myślą o Pomorzu, ożenił Mieszko I syna w r. 987 z księżniczką kaszubską, która na chrzcie św. przyjęła imię Emnildy.

Bolesław liczący wówczas lat 20, był już dwa razy wdowcem; wstępował więc w trzecie związki małżeńskie. Jakże krótko trwała w owych czasach młodość! Bo też czternastoletnich chłopców uważało się za "orężnych".

Zaczął nowy władca Polski ad Pomorza. Rozciągało się nasze Pomorze daleko na zachód, aż poza ujście rzeki Odry. Nad ujściem Wisły był już wtedy Gdańsk, a Szczecin, gdzie Odra wpada do Bałtyku. Obydwa te główne grody pomorskie zajął Bolesław Wielki w r. 994. Z licznych plemiennych książąt pogańskich pozostawił przy władzy jeden tylko ród książęcy, który zgodził się przyjąć chrzest. Nie wcielał więc Pomorza bezpośrednio do państwa Piastowskiego, ale czynił je tylko zależnym od siebie o tyle, ażeby polityka polska znajdowała tam oparcie.

Oręż Bolesława sięgnął też na prawy brzeg Wisły dolnej, gdzie kończyło się już osadnictwo słowiańskie, do kraju Prusaków. Ci należeli do szczepu odrębnego, zwanego bałtyckim, z odmiennymi zupełnie językami. Szczep ten obejmował cztery ludy: pruski, żmudzki, łotewski i litewski. Żaden z nich nie posiadał w owych czasach najmniejszej organizacji państwowej, a społeczna była ledwie w związkach. U Prusaków nawet rodzinne związki nie były jeszcze ustalone; była to najniższa w całej Europie cywilizacja. Prusacy, naród dziki i okrutny, zajmowali pojezierze pomiędzy dolną Wisłą a dolnym Niemnem, nie znając wcale rolnictwa, utrzymując się z rybołówstwa, z łowów i łupieży.

Podobnie jak na Pomorzu, również w odniesieniu do Prusaków pamiętał Bolesław o obowiązkach monarchy chrześcijańskiego, gdy miał w swym państwie pogan: należało zająć się ich nawracaniem. Niespodziewanie znalazł się apostoł tak wybitny, iż osoba jego zjawiała się jak marzenie: Św. Wojciech.

Był to także członek rodu panującego; pochodził z rodu książąt Sławników, władających na wschód od Przemyslidów, nad górną Łabą w Czechach. Był to mąż wielki, a święty nie tylko z racji modłów i umartwień, lecz z powodu czynów wielkich, pełnych doniosłości historycznej. Trzeba by na to kilku potężnych monarchów, żeby zdziałać tyle, co św. Wojciech, nie posiadający żadnego wojska na swe rozkazy. Był politykiem, ale wielkim, na skalę europejską. Jeżeli się robi politykę ze stanowiska katolickiego, dla chwały Bożej i dla wzmożenia Kościoła, czyż nie musi taka polityka ogarniać od razu więcej krajów i narodów, skoro Kościół jest powszechny? A słuchano głosu św. Wojciecha nie tylko w Czechach, w Polsce, w Niemczech, ale również w Rzymie, i w Paryżu; jak silny wywierał wpływ, dość powiedzieć, że przyczynił się do triumfu cywilizacji łacińskiej w Niemczech nad bizantyzmem i nawet doprowadził do przyjaźni polsko-niemieckiej.

Wielki ten patron Polski był przez całe swoje życie jej przyjacielem. Zajechał do Polski dopiero z początkiem r. 997. Przedtem nigdy u nas nie był, ale obserwował postępowanie Mieszka I i Bolesława Wielkiego, a widząc, że zgodne jest z wymaganiami moralności katolickiej stosowanej w życiu publicznym, stał się miłośnikiem dynastii Piastowskiej. Czechem był z rodu, ale z serca Polakiem. Uznawał i innym wykazywał, iż dobro powszechne wymaga, żeby Polska była silna w Europie.

Ten święty odznaczał się wielką uczonością. Wyższe wykształcenie odebrał w najlepszej szkole na północy, założonej w Magdeburgu przez cesarzową Teofanię; miała ona ambicję, że jej szkoła będzie współzawodniczyć z paryskimi. Książę Wojciech uczył się jak najwięcej, a potem sam jeszcze przez całe życie książki zbierał i kształcił się nieustannie. Posiadał też całą uczość bizantyjską, ale duchem bizantyjskim się nie zaraził.

Wracając z Niemiec zatrzymał się w drodze w Pradze. Panujący tam Bolesław Pobożny ubolewał, że w jego księstwie dużo ludności trwa jeszcze wciąż w pogańskich upodobaniach i obyczajach. Ucieszył się, że oto zjawia się uczony kapłan z krainy dokładniej nawróconej i nakłonił księcia Wojciecha, żeby

objął rządy diecezji praskiej. Wiadomo nam, jak w domu Przemyslidów odzywał się jeszcze pogański duch, pamiętamy, że zamordowano tam dwoje świętych.

Bolesław Pobożny wolał Wojciecha, niż rodzonego brata swego Krzyżana; widocznie miał przyczyny obawiać się, żeby w nim nie odezwała się na nowo żyłka pogańska.

Ciężkie były kłopoty z ludem zamieszkałym wokół Pragi. Cześć Krzyża była jeszcze nader powierzchowna, ograniczona do nabożeństw na zamku wyszehradzkim. O święceniu niedzieli przez lud nie było mowy, a za to obchodziło się jeszcze jawnie dawne uroczystości pogańskie. Kwitnął handel niewolnikami, podsycany przez Żydów. Wieloleźństwo było powszechne, a posiadanie jednej tylko żony przynosiło wstyd, bo było uważane za oznakę ubóstwa. Gdy Wojciech chciał przestrzegać przepisów kościelnych, burzono się przeciw niemu, tym bardziej, iż podzegał do tego Krzyżan. Znalazł sobie sojuszników przeciw biskupowi w Werszowcach, których księstwo należało także do diecezji praskiej. Ujmowali się za swoim krewnym Sławnicy i tak sprawa kościelna zamieniła się w zwadę książęcych rodów. Wojciech wolał zrzec się biskupstwa. Wybrał się zaraz do Rzymu, żeby krok swój usprawiedliwić. Wziął też ze sobą młodszego brata Radzyna, czyli Gaudentego, również kapłana.

Cztery lata przebywali czescy bracia we Włoszech, głównie w dwóch najślawniejszych klasztorach benedyktyńskich, dwojga obrządków: w przesławnym gnieździe cywilizacji łacińskiej - w Monte Cassino w południowych Włoszech i na Awentyńskim wzgórzu pod Rzymem, gdzie przebywali wspólnie i zgodnie łacińscy Benedyktyni i bizantyńscy Bazylianie (tacy oczywiście, którzy uznawali prymat papieża). Zaciekawiony wschodnim obrządkiem, zamieszkał jakiś czas w wielkim klasztorze bazylikańskim w Vallis Lucis pod Benewentem w południowych Włoszech, gdzie przełożonym wówczas był św. Nil, uchodzący za najuczestszego męża owych czasów. Stamtąd wrócił jeszcze raz na Awentyn i tam przyjął habit benedyktyński. Składał śluby zakonne w Rzymie w kwietniu 990 r. Kiedy trzy lata potem na usilne prośby Bolesława Pobożnego wracał na praskie biskupstwo, sprowadził ze sobą Benedyktynów, osadzając ich pod Pragą.

Tyle razy wspominamy Benedyktynów, że godzi się powiedzieć o nich coś bliższego.

Zakony powstały na wschodzie. Już w starożytności bywali świątobliwi pustelnicy, najwcześniej w chrześcijańskiej podówczas północnej Afryce, zwłaszcza w Egipcie. Ojcem zaś wszystkich zakonów, twórcą zorganizowanego zakonnego życia jest św. Bazyli Wielki, biskup w azjatyckiej Cezarei, który zmarł w r. 379. Założony przez niego zakon Bazylianów, pozostał do dziś dnia jedynym we wschodnim Kościele. W Europie zakwitło życie pustelnicze nieco później. W r. 528 założył św. Benedykt z Nursji pierwszy swój klasztor na górze Cassino we Włoszech, pomiędzy Rzymem a Neapolem. Zasadą jego reguły jest, że modlitwie towarzyszyć musi pożyteczna dla bliźnich praca, czy to ręczna, czy też umysłowa. Św. Bonifacy, apostoł Niemiec, był Benedyktynem. W klasztorach tych kwitły nauki i zajęcia fizyczne; wiele zasług położyli zakonnicy dla rozwoju rolnictwa i rzemiosł. Ponieważ przyjmowali młodych chłopców, powstały też przy ich klasztorach szkoły.

Stawali się więc Benedyktyni z zakonu pustelniczego coraz bardziej zakonem czynnym. Gdzie osiedli, tam część puszczy koło klasztoru zamieniała się po niedługim czasie w uprawne pola, powstawały osady rolnicze; młodzież z tych osad mogła się uczyć nie tylko wydajniejszego rolnictwa (którego znajomość przynosili Benedyktyni z krajów o wyższej cywilizacji), ale też mogli się od nich uczyć rzemiosł, dotychczas pomiędzy Słowianami nieznanymi. Ponadto w każdym klasztorze benedyktyńskim część zakonników oddawała się naukom i związanemu z nauką bibliotekarstwu; przepisywali książki pergaminowe, rozsyłali je po świecie, do szkół klasztornych, słowem spełniali to zadanie, jakie przypada dziś drukarzom, wydawcom i księgarzom. Łatwo więc zrozumieć, jak się wszędzie ubiegano o Benedyktynów. Szybko rozszerzyli się po całej Europie, od Irlandii do Polski. Koło ich klasztorów było coraz ludniej, coraz więcej ruchu i celowej pracy.

Z Benedyktynami zatem wracał św. Wojciech do Pragi. Niestety, zastał tam kłopoty jeszcze większe, niż poprzednim razem.

Księżę czeski Bolesław II, złożony chorobą, powierzył rządy najstarszemu z synów, Bolesławowi Rudemu, który pozostawił po sobie złą sławę. Oddał się on zupełnie w ręce Werszowców, którzy przez

to stali się rzeczywistymi panami kraju. Wobec tego zaogniły się znowu dawne przeciwieństwa książęcych rodów i jakikolwiek wypadek mógł się stać iskrą, rozniecającą pożar. Zdarzyło się, że żona jednego z Werszowców popełniła wiarołomstwo; prawo zwyczajowe czeskie, oparte na dawnym prawie pogańskim, pozwalało w takim razie mężowi zabić niewierną. Było to tym surowsze, że mężczyźni żyli powszechnie w jawnym wielożeństwie, a żony zmieniali, nie troszcząc się o sakrament. Kościół nakładał na niewierną pokutę kościelną, która mogła być przykra, hańbiąca i sroga, ale kary śmierci nie znał, a przede wszystkim nie pozwalał samemu sobie wymierzyć sprawiedliwość. Werszowcowa uciekając przed zemstą męża, schroniła się do klasztoru, na co biskup zezwolił, ażeby ją od śmierci ocalić. Było i jest to prawo kościelne, zabraniające wykonywania czynności sądowych w miejscach świętych. Werszowcy wdarli się jednak gwałtem do klasztoru, wywlekli niewiastę i kazali ją ścinać pachołkowi.

Było to profanacją, czyli znieważeniem świętego miejsca, a za to jest w prawie kościelnym klątwa. Obłożonemu klątwą nic się nie dzieje, nie robi mu się nic przykrego bezpośrednio, ale nie wolno żadnemu katolikowi z nim obcować; nie wolno z nim mieszkać, podróżować, jadać, rozmawiać ani do niego pisywać, ani od niego pism odbierać, słowem, nie wolno mieć z nim nic do czynienia. Kara ta jest zatem zupełnym wyłączeniem ze społeczeństwa i przez to taka dotkliwa; Kościół uważa ją za najsroższą. Biskup rzucił klątwę na Werszowców, co do reszty ich rozjątrzyło. Zanosiło się na wojnę domową Werszowców ze Sławnnikami i św. Wojciech wołał znów opuścić Pragę.

Stało się to w r. 993. Św. Wojciech udał się przez Morawy na Węgry; tu zabawił czas jakiś na dworze księcia Gejzy i jego żony Adelajdy, Białej Kniegini (która była siostrą Mieszka I i ciotką Bolesława Wielkiego) i udzielił chrztu świętego ich synowi, Szczepanowi. Ten - świątobliwym życiem sam też wznosił się tak wysoko, że dostąpił kanonizacji i jest patronem królestwa węgierskiego. Z Węgier wyprawił się św. Wojciech powtórnie do Włoch; z początkiem r. 995 był znowu w klasztorze na Awentynie.

Tego samego roku bawił na północy, na dworze młodego, 17-letniego króla niemieckiego Ottona III, sławny na cały świat chrześcijański uczyony francuski, Gerbert. Pochodził z wieśniaczego stanu, odbył nauki, został kapłanem, dowodząc swoim przykładem, że w Kościele można zawsze dochodzić do wysokiej godności samą tylko zasługą własną. Zdarzyło się, że z powodu spraw połabskich bawili właśnie u Ottona III obydwaj Bolesławowicze: czeski i polski. Przypadek czy zjazd umyślny? Nie wiadomo, choć przecież nieraz "przypadek" bywa zrzędzeniem Opatrzności. Gerbert poznał tedy osobiście obydwóch władców zachodniej Słowiańszczyzny i wyrobił sobie zdanie o stosunkach niemiecko-słowiańskich; zarazem zaś dowiedzieli się wszyscy o św. Wojciechu i o tym, że bawi właśnie w Rzymie. O tym wszystkim rozprawiali oczywiście ci wielcy ludzie między sobą, a Gerbert, jedna z głów cywilizacji łacińskiej w Europie, robił zabiegi, żeby Ottona oderwać od bizantynizmu i północną Europę urządzić według moralności katolickiej.

Na rok następny, 996, wybierał się Otton III do Rzymu po koronę cesarską. Poprzedzała go tam sława niemalże jednego z "cudów świata". Widocznie Gerbert wyrobił mu tam zawczasu opinię człowieka o wielkich przymiotach umysłu i serca, posiadającego doniosłe a zbożne plany cywilizacyjne i polityczne. Istotnie serce tego monarchy przystępne było tylko szlachetnym myślom.

Gerbert także pojechał do Rzymu, a wiedział, że tam zastanie innych godnych siebie mężów, których towarzystwo miało dalej wpływać na Ottona III. Z królem i kandydatem na cesarstwo zjechał do Rzymu prymas Niemiec, arcybiskup moguncki Willigis, stary doradca Ottonów, który zostawił po sobie w historii pamięć uczciwą; umiał sprzeciwić się królom, gdy tego wymagała moralność publiczna. Przyjechał też stryjeczny młodego cesarza, książę korutański, który niebawem miał zostać papieżem jako Grzegorz V. Wokół nich skupiało się grono poważnych i dostojnych mężów, a wszystkich oczy skierowane były na dwie postacie, na dwóch świętych.

Jednym był św. Wojciech, którego cesarz obrał sobie na spowiednika, a drugim św. Romuald. Był to założyciel zakonu Kamedułów. Ruchliwość benedyktyńska nie wszystkim przypadła do usposobienia. Byli, są i będą zawsze tacy, którzy do udoskonalenia się potrzebują ciszy i samotności. Osoby z powołaniem ściśle pustelniczym opuszczały klasztory benedyktyńskie, bo stawały się one całymi

osiedlami, coraz ludniejszymi. Z takich i dla takich dusz pustelniczych zakładał św. Romuald swój nowy zakon.

Św. Romuald urodził się w r. 950 w Rawennie, w mieście włoskim nad północnym Adriatykiem i przebywał z początku w klasztorze benedyktyńskim pod tym miastem. Spragniony ciszy, wyszukał sobie pod Wenecją zakątek, zabity deskami od świata, który następnie także porzucił i udał się do Francji południowej. Powróciwszy stamtąd w r. 982, wędrował o głodzie i chłodzie, wyszukując sobie miejsca odludne i zakładając kilka klasztorów. Najsłynniejszym pozostał klasztor Camaldoli w prowincji środkowych Włoch - Toskanii. Bezpośrednia okolica tego klasztoru to góry, wąwozy, lasy na przeróżnych wysokościach, z dziwną obfitością rzeczułek i dolin. Tworzy ta okolica istne cudo przyrody, wyróżniane nawet w tym kraju, który cały jest przepiękny. Słynęło też Camaldoli z bogatej biblioteki; jakoż wydali Kameduli niemało uczonych.

Jeszcze wyżej wznosi się pustelnia zwana świętą (Sacro Eremo), gdzie św. Romuald urządził swą pierwszą celę. Klasztory te nie stanowią jednak jednolitego budynku, lecz kolonię małych domków, osobny dla każdego zakonnika, z ogródkiem, który musi sam uprawiać. Nie ma innych sprzętów, jak twarde łoże, stół, krzesło drewniane, półka na książki i... trumna; niektórzy sypiają w trumnie. Używanie mięsa zakazane, a pierwotna reguła kazała żywić się wyłącznie chlebem i wodą. Do umartwień dołączono milczenie: wolno rozmawiać tylko w pewnych godzinach i to nie codziennie, a wielki post obchodzono całkowitym milczeniem.

Otton III, odwiedzwszy św. Romualda osobiście w Camaldoli, zaprosił go na zjazd do Rzymu. Potem zaś św. Wojciech prosił św. Romualda w Rzymie, żeby jak najprędzej przysłał uczniów swych do Polski; nie do Czech, lecz do Polski.

Zebrało się więc w Rzymie w pierwszej połowie r. 996 grono mężów największego znaczenia; wszak należały do tego grona obie najwyższe głowy katolickiego świata: papież i cesarz, tym razem z papieżem zgodny.

Radzono w Rzymie nad nowym porządkiem w Europie północno-wschodniej. Do pracy nad postępowaniem chrześcijaństwa należało powołać nowy szczep, mianowicie Słowian. Stanęło w Rzymie na tym, że ustanowi się z państwa Piastowskiego nową prowincję kościelną, której arcybiskupem będzie Wojciech Sławnikowicz, św. Wojciech.

W drugiej połowie r. 996 wracali razem na północ Otto III i św. Wojciech. W połowie drogi zboczył święty mąż na zachód, nawiedził Francję i zatrzymał się dłużej w Paryżu. Odwiedził Gerberta i przypatrzył się słynnej paryskiej szkole teologicznej (tak zwanej Sorbonie). Zjechał się potem z cesarzem raz jeszcze w Moguncji, skąd podążył do Poznania. Jechał przez Śląsk; są podania o jego pobycie w Cieszynie, Bytomiu i Opolu.

Stanął na dworze Bolesława Wielkiego na początku r. 997, witany z największymi zaszczytami. Pierwszym owocem porozumienia się z władcą Polski było założenie klasztoru Benedyktynów w Trzemesznie. Fundował im następnie Bolesław jeszcze kilka klasztorów.

Głównym w Polsce klasztorem Benedyktynów było sławne opactwo w Tyńcu pod Krakowem, uposażone całą setką wsi. Dochował się ich najstarszy dokument ze spisem posiadłości. Pergamin ten posiada ogromną wagę dla zagadnienia, czy Śląsk był pierwotnie polski, czy czeski. Pośród tyńcekich majątków są wymienione: Orłowa, Bytom, Siewierz i siedem osad z Księstwa Cieszyńskiego: Dąbrowa, Kocobądz, Cierlicko, Wierbica, Zabłocie, Żuków i Ostrawa Polska. Jest to ta sama Ostrawa, której sąd czeski nie pozwala nazywać "Polską" i przemianował ją na "Śląską". A do tego ta Ostrawa Polska jest o wiele starsza od sąsiedniej Ostrawy Morawskiej!

Ale wracajmy do naszego wątku. Rozumiejąc, jako głównym obowiązkiem arcybiskupa Polski jest sprawa nawracania pogan, postanowił św. Wojciech osobiście udać się na misję pomiędzy Pomorzan i Prusaków. Tego samego jeszcze roku 997 wybrał się na Pomorze i ochrzcił tamtejszego księcia zaprowadzając chrześcijaństwo w Gdańsku i ziemi gdańskiej. Następnego roku jął się misjonarstwa na prawym brzegu Wisły, w kraju Prusaków. Z Gdańska okrętem udał się wzdłuż wybrzeża na wschód i

wylądował koło Bałgi. Bolesław dał mu trzydziestu zbrojnych dla obrony. Biskup odprawił jednak z Bałgi tę drużynę, bo nie chciał występować wobec Prusaków w otoczeniu wojennego rynsztunku. Zostawił przy sobie tylko kilku kleryków, swych uczniów. Z nimi udał się pieszo dalej w głąb kraju. Koło dzisiejszej osady zwanej Rybaki (Fischhausen) spotkał po raz pierwszy Prusaków i zaczął nauczać. Przyjęto go bardzo nieprzychylnie. Niezrażony udał się dalej i zatrzymał się znowu w okolicy Cholinum. Tu groziło już niebezpieczeństwo jego życiu. Ale palmę męczeńską uważał święty mąż za najwyższe szczęście. Już kiedy odprawiał zbrojną drużynę, powiedział sobie, że albo pozyska w Prusach zwolenników, albo nie wróci żywy. Udał się przeto wzdłuż morza w inną stronę krainy zwanej Sambią i tu koło Tenkitten spotkała go śmierć męczeńska.

Ciało jego wykupił książę polski od Prusaków na wagę złota i sprowadziwszy do Gniezna, złożył je w nowo założonym kościele Bogarodzicy, przeznaczonym na metropolitalną świątynię całej Polski. Było to w r. 997.

Zaraz po śmierci poczęto go uważać za świętego, toteż wkrótce powstawały kościoły pod jego wezwaniem w rozmaitych stronach Europy, nie mówiąc już o Polsce. Na Węgrzech w Granie powstał katedralny, tj. biskupi kościół św. Wojciecha, później w Szczecinie na Pomorzu, w stolicy Niemiec w Akwizgranie i we Włoszech w Pereum pod Rawenną i w Rzymie na wyspie rzecznej (Isola Tiberina); wszystkie w przeciągu kilku lat po śmierci swego patrona Wojciecha.

Po śmierci św. Wojciecha przeznaczył Bolesław Wielki na godność arcybiskupią jego brata, Radzyna i wyprawił go do Rzymu w tej sprawie. Zastał tam na papieskim tronie znajomego Gerberta, który przyjął imię Sylwestra II; co więcej, spotkał bawiącego powtórnie w wiecznym mieście Ottona III. Papież wyświęcił Radzyna chętnie na arcybiskupa gnieźnieńskiego, cesarz zaś złożył ślub pielgrzymki do grobu św. męczennika.

Dotrzymał Otton III swego przyrzeczenia i w następnym roku 1000, wybrał się do Polski z wielkim dworem. Droga wypadła przez Śląsk. Tu na granicy swego państwa oczekiwał Bolesław dostojnego gościa w Ilwie nad rzeką Bobrzą (wśród plemienia Bobrzanów) i stąd razem jechali już do Poznania, a potem do Gniezna. Otton III z największym skupieniem ducha odbył pielgrzymkę i odprawił modły przy grobie św. Wojciecha, po czym udał się do zamku na wyspie jeziora Lednicy, największej, najwspanialszej wówczas w całej Polsce budowli. Tu odbywały się świetne uroczystości, a książę polski z takim wystąpił przepychem, że gościna ta zadziwiła wspaniałością współczesnych, a przeszła w podaniach do pamięci potomnych.

Ustanowiono w Gnieźnie metropolię i Radzym został pierwszym arcybiskupem polskim. W Krakowie, we Wrocławiu i w Kołobrzegu na Pomorzu ustanowiono trzy biskupstwa.

Przyzwyczajony do przepychu dworskiego ceremoniału i przywiązujący do tego znaczenie, uczcił Otton III księcia polskiego w ten sposób, że nadał mu pewne oznaki władzy i godności, rozpowszechnione w zachodniej Europie. Nie używali ówcześni monarchowie jeszcze beret. Oznaką władzy królewskiej była włócznia, którą niesiono zawsze przed monarchą i stawiano przy jego tronie. Używali włóczni w ten sposób dawni cesarze rzymscy; zwyczaj ten utrzymał się na dworze bizantyńskim, a z księżniczką Teofanią, małżonką Ottona II, przeszedł na dwór niemiecki. Cesarska włócznia była starożytnego pochodzenia, prawdopodobnie z Bizancjum sprowadzona i przypisywano ją św. Maurycemu. Podobiznę tej włóczni przywiózł Otton III w darze Bolesławowi (znajduje się do dni naszych w skarbcu kościoła katedralnego na Wawelu).

Znaczyło to zupełnie to samo, czym według późniejszych wyobrażeń byłoby ofiarowanie królewskiego bereta: uznanie niepodległego monarszego stanowiska. Koronacji mógł zaś dokonać sam tylko papież, jeżeli nie osobiście, to przez wyznaczonych do tego biskupów, którym kazałby się niejako wyręczyć. Ale samo nadanie "włóczni św. Maurycego" oznaczało, że Otton III uważa księcia polskiego za monarchę i było upoważnieniem ze strony cesarza, żeby Bolesław starał się w Rzymie o tytuł królewski i o koronację.

Zjazd gnieźnieński w r. 1000 na grobie św. męczennika był wynikiem jego starań o porozumienie Słowian z Niemcami na podstawie równości i sprawiedliwości. Ale po zgonie Ottona III następcą jego,

Henryk II powrócił do dawnego trybu ujarzmania Słowian. Wywołał tym wojnę, lecz przegrał. Zawierając pokój w Merseburgu w lipcu 1002 roku, musiał uznać panowanie Bolesława nad znaczną częścią Połabia.

Ledwie Bolesław wyjechał z Merseburga, napadli nań w drodze nastani przez Henryka zbójcy, zaszczepeni w zasadzce. Król niemiecki chciał się skrytobójstwem pozbyć potężnego sąsiada polskiego. Zamach się nie udał, a Bolesław zabrał się teraz do dalszego ciągu swego dzieła, do połączenia Czech z polityką polską. Jak król niemiecki był władcą ponad książętami niemieckich ludów, tak miał być piastowski monarcha nad książętami Pomorza, Połabia i Czech, zwierzchnikiem i kierownikiem jednolitej wspólnej słowiańskiej polityki.

Tymczasem przybyli do Polski Kameduli, przysłani przez św. Romualda, jak przyrzekł św. Wojciechowi. W r. 1001 przybyło dwóch kapłanów, Benedykt i Jan. Przybywali z książkami i ze sprzętem kościelnym. Przyłączyło się do nich trzech polskich kandydatów do habitu kamedulskiego: Izaak, Mateusz i Krystyn. Założono osiedle klasztorne na Kujawach w pobliżu miasteczka Kazimierza Biskupiego, w puszczy zwanej Kazimierską. Niedługo tam bawili; w listopadzie 1003 r. zostali zabici. W jakich okolicznościach? Nie wiadomo. Legenda głosi, jakoby ich wymordowali zbójcy, przypuszczając że znajdują u nich dużo pieniędzy. Ale nie było jeszcze wtedy w Polsce gospodarki pieniężnej! Rabunek sprzętu kościelnego jest równie nieprawdopodobny, bo nie było jeszcze paserów! Gdyby zaś zginęli w taki sposób, nie byłiby przez to męczennikami. Kanonizuje się tylko męczenników za wiarę, skoro więc zostali kanonizowani (1610 r. przez papieża Pawła V), należy uważać, że oddali życie za wiarę. Widocznie na Kujawach nie brakło jeszcze pogan, którzy zabili ich za to, szerzyli chrześcijaństwo. Bolesław Wielki kazał odszukać ich ciała i ze czcią pogrzebać w kościele. Grób mają w kościele bernardyńskim w Kazimierzu Biskupim.

Nie minął rok od tego pogrzebu pięciu św. męczenników, a na dworze Bolesława Wielkiego zjawiał się nowy Kameduła, tym razem nie Włoch, nie Polak, lecz Niemiec. Był to pan z panów, pan na Kwerfurcie, św. Bruno. Był kanonikiem w Magdeburgu, lecz rzucił kościelne godności i pospieszył do Włoch, pod surową regułę kamedulską. Z Włoch wskazano mu drogę do Poznania. Przybył więc do nas w r. 1004. Dowiedziawszy się o męczeństwie pięciu Kamedułów w roku poprzednim, pojechał na miejsce męczeństwa, zebrał wiadomości i spisał (po łacinie) "Życie pięciu braci".

Właśnie wybuchła wtedy druga wojna z Henrykiem II. Poszło o Czechy. Hołdowały one już królowi niemieckiemu, a Bolesław chciał je zwolnić od tego i związać z Polską. Dużo byłoby opowiadać o tym, jak wśród samych Czechów utworzyły się dwa obozy: jedni za Bolesławem, inni za Henrykiem i za łącznością z Niemcami. Gdy Bolesław zawładnął Czechami, Henryk zażądał od niego hołdu, a gdy piastowski władca odmówił, rozpoczęła się nowa wojna.

Niemcy wkraczali na Śląsk, raz zapędzili się aż pod Poznań, ale też hufce polskie docierały pod Magdeburg. Ostatecznie rozszerzył Bolesław państwo swe aż po rzekę Sałę, która jest dopływem Łaby z lewego brzegu, a zatem granice nasze sięgały poza Łabę. Na znak pokoju i równości oddał Henryk II księżniczkę niemiecką, swą krewną Ryksę, w małżeństwo synowi Bolesława, Mieszkowi. Ale w Czechach zdążyli jednak Niemcy osadzić na tronie znowu swego hołdownika.

Sami Niemcy ganili postępowanie swego króla i cesarza; wielu było takich, którzy woleliby przyjaźń z Bolesławem, jak to urządzić pragnął Otton III. Wielkodusznością i szlachetnością pociągał ku sobie nasz książę nawet niemieckich żołnierzy. Ze zgrozą dowiadywał się Henryk II, że jego własni żołnierze śpiewają w obozie piosenki, wyszydzające go a wielbiące Bolesława. Bo też wojsku niemieckiemu sprzyrzyła się przewlekła wojna, w której nie miało wcale sposobności okryć się sławą: cesarz nieszczęśliwym był wodzem, a Bolesław zawołanym wojownikiem i tym podbijał serca nawet obcych żołnierzy. Wielu uznawało, że cesarz prowadzi wojnę niesprawiedliwą, żeby tylko nasycić swą rządzą zaborów.

Na czele niemieckich przyjaciół Bolesława stał właśnie św. Bruno. Głośno przestrzegał cesarza, "żeby nie nastawał na zgubę księcia chrześcijańskiego, dzielnego pracownika w winnicy Pańskiej". Poznawszy osobiście Bolesława Wielkiego, jego charakter i zamiary godne monarchy chrześcijańskiego, tak potem o nim pisał: "Kocham go jak własną duszę, a bardziej niż życie moje".

Można powiedzieć, że w samych Niemczech musiał Henryk II staczać walkę z duchem Ottona III. Było to starcie dwóch cywilizacji, bizantyńskiej z łacińską, albowiem całych Niemiec bizantyzm nigdy nie ogarnął. Niemieccy zwolennicy cywilizacji łacińskiej nabrali przekonania, że tę cywilizację Polska reprezentuje lepiej, że zatem sprawa polska związana jest z moralnością polityczną. Co najlepszego Niemcy wydały, to stało po stronie polskiej, ze świętym Pańskim na czele!

Św. Bruno polityką się jednak nie zajmował. Powiedziawszy publicznie, co myślał i dawszy to na piśmie, spieszył do tego, co było jego powołaniem. Bywał na przemian już to pustelnikiem, już to misjonarzem. Z Polski udał się na Węgry, gdzie wiele jeszcze było do roboty z dziczą Kumanów. Tam popracowawszy, rusza dalej na wschód, na nie tknięte jeszcze przez nikogo pole misyjne, aż za Dniepr, na stepy pomiędzy Kijowem, a morzem Czarnym, pomiędzy mongolskich Pieczyngów, którzy bardzo dawali się we znaki Rusi Kijowskiej.

I tak oto wprowadza nas św. Bruno w kraje, o których dotychczas nie było jeszcze wzmianki. Wkroczyliśmy wraz z nim do trzeciego działu Słowiańszczyzny. Obok południowej i zachodniej jest jeszcze Słowiańszczyzna wschodnia, rozleglejsza, ale pozostająca na niższym poziomie rozwoju.

Przerywamy w tym miejscu wątek dziejów Bolesława Wielkiego, ażeby zapoznać się z krajami, do których on sam miał wkrótce podążyć śladem św. Brunona. Dzieje wschodniej Słowiańszczyzny są całkiem odrębne. Ludy polskie czy czeskie same sobie urządzały państwo w stopniowym rozwoju. Inaczej w dorzeczu Dniepru! Tam państwo pochodziło od obcych najeźdźców.

Przybyli z tamtej strony morza Bałtyckiego, z Półwyspu Skandynawskiego. Wśród tamtejszych plemion żeglarskich wynaleziono łódź żaglową i dzięki temu wojownicy z Północy opłynęli morzem niemal całą Europę od Danii po Sycylię, podbijając kraje nadbrzeżne i zakładając państwa. Zwano ich tam Normanami. Przez wschodnią zaś część Bałtyku przepłynęło w r. 862 plemię Rusów z południowej Szwecji pod wodzą Ruryka. Od nich pochodzą nazwy Rusi i Rusinów, a potomkowie Ruryka, Rurykowicze, stali się dynastią ruską. Zwano tych przybyszów Waregami, tj. Wrogami, ale wkrótce zesłowiańszczyli się i przestali być obcymi.

Rurykowicze, opanowawszy całą Słowiańszczyznę wschodnią, posunęli się ku zachodowi. W r. 981 książę kijowski Włodzimierz zagarnął dwie ziemie polskie, które pogrążone w pierwotnym bycie plemiennym nie należały jeszcze do państwa Piastowskiego i nikt ich nie bronił. Zajął Włodzimierz tzw. Grody Czerwieńskie, tj. dzisiejszą Chełmszczyznę i część Wołynia z głównymi grodami Czerwień i Wołyniem. Stamtąd posunął się na Bełz do Przemyśla i dalej po góry Karpackie, obsadzając załogami waregskimi ziemie Lachów, czyli okolice Lwowa. Ponieważ pierwszym ludem polskim, znanym Rusinom byli Lachowie, przenieśli następnie Rusini tę nazwę na cały naród polski.

Książę Włodzimierz przyjął krótko potem, w r. 988 chrzest, ale z Konstantynopola. Ponieważ ziemie Lachów należały do jego państwa, więc też wkraczało pomiędzy Lachów chrześcijaństwo w obrządku wschodnio-bizantyńskim i lud ten został cywilizacyjnie odgradzony od reszty Polski.

A tymczasem Kijowszczyzna była niepokojona przez koczowników stepowych, Pieczyngów. Szczególna rzecz, że ani w Bizancjum, ani w Kijowie nie powzięto myśli, czy nie dałoby się Pieczyngów nawrócić na chrześcijaństwo! Polska szerzyła ewangelię na południe i północ, na Węgry, Pomorze, Prusy i Skandynawię - sama dopiero co nawrócona - podczas gdy kler grecki i bułgarski mając pogan tuż pod bokiem, zagrażających raz po raz stolicy kijowskiej, nie myślał o misjonarstwie!

Jak już wiemy, podążył tam przyjaciel Bolesława Wielkiego, św. Bruno. Nawrócenie Pieczyngów stanowiłoby epokę w dziejach wschodniej Europy, ale też trzeba by na to pracy kilku pokoleń misjonarzy. Św. Bruno zrobił początek widocznie dobry, skoro taką pozyskał sobie u dzikich koczowników powagę, iż zdołał w r. 1008 zawrzeć z nimi pokój, stawiając się pośrednikiem między Włodzimierzem, a wodzem hord pogańskich. Świadczy to, że "łaciński" misjonarz miał szacunek u jednej i drugiej strony.

Z pięknym plonem wraca św. Bruno - jakby do swego domu - do Poznania. Zastaje trzecią wojnę z Henrykiem II, która wybuchła w roku 1007 i miała trwać do roku 1013. Bolesław Wielki rozszerzył jeszcze bardziej zwierzchnictwo nad Połabianami, a cesarz nie zdołał mu nic odebrać.

Św. Bruno bolejący nad wojną, wyrwał się z przykrych spraw na nową misję. Tym razem poszedł śladem św. Wojciecha pomiędzy Prusaków. Zaszedł dalej od swego poprzednika, aż na wschodnim pograniczu Prus, blisko już Żmudzi. Zginął także śmiercią męczeńską w lutym 1009 roku.

Tymczasem, gdy Bolesław Wielki wojować musiał dalej z Niemcami, kielkowały w Polsce coraz bardziej powołania duchowne. Kamedulskie pustelnicтво, samo o tym nie wiedząc, dokonywało zdobyczy także świeckich. Jak już wiemy, nie należała jeszcze do państwa piastowskiego ziemia Lachów; nie wiadano o niej w Poznaniu! Nie dziwny się temu, bo do tej ziemi nie można się było dostać ani nawet z Krakowa, ani nawet z jeszcze bliższej Wiślicy! Od Wiśliczan oddzieleni byli Lachowie olbrzymią puszcza leśną, której jeszcze nikt nie przemierzył, nie przekroczył!

Pierwszym, który tego dokonał, był św. Jędrzej, zwany Żurawkiem. Pochodził z Opatowa, koło Wiślicy, a dokonał żywota świątobliwego aż po drugiej stronie gór Karpackich, w okolicy Tenczyzna. Często w głuchych puszczech bywał pierwszym głosem ludzkim pobożny śpiew Kamedułów. Zapucił się nasz święty rodak w olbrzymią puszcza. Dość długo przebywał w Czchowie nad Dunajcem, po czym posuwał się coraz dalej na południe, aż doszedł do Zaborza na Orawie i wreszcie do Tenczyzna. W świątobliwym pustelniczym życiu, pełnym całkowitego zaparcia się, miał potem towarzysza imieniem Benedykt. Zmarł św. Żurawek w r. 1011, a towarzysz przeżył go tylko o trzy lata. Razem spoczywają ich prochy w kościele św. Emeryka pod górą Zabor na Słowaczczyźnie. Razem też obydwaj kanonizowani w r. 1455 przez papieża Kaliksta IV.

Tak uzupełniła się dziesiątka świętych, otaczających tron Bolesława Wielkiego.

W tym właśnie czasie skierował się Bolesław ku Słowiańszczyźnie wschodniej. Czy św. Bruno nie był informatorem wzajemnym, który w Kijowie opowiadał o Polsce, a w Poznaniu o Rusi?

W r. 1012 jedna z córek Bolesława (niewiadomego imienia) wychodzi za mąż za Światopełką, księcia dzielnicowego Rusi południowej, na Turowie. Towarzyszy jej Reinbern, biskup kołobrzegi. Ten uprawiał w Turowszczyźnie misjonarstwo, a oczywiście w obrządku łacińskim, bo innego nie znał. Zbożna praca została gwałtownie przerwana. Wśród sporów dynastycznych o Kijów dostał się Światopełk do więzienia wraz z żoną i biskupem. Bolesław wyprawił się na Kijów w r. 1013 i więźniów uwolnił, ale musiał zaraz pospiesznie wracać, bo wybuchła nowa wojna z Henrykiem II niemieckim, czwarta już z rzędu.

Henryk znękany, zgnębiony moralnie i kilkakroć w wojnie pokonany, zawarł ostatecznie pokój w Budziszynie na Łużycach. Zostawały przy Polsce Morawy i ziemie połabskie po rzeki Łabę i Sałę. Pokój ten uczynił Bolesława Wielkiego władcą Słowiańszczyzny zachodniej i teraz mógł się zwrócić na wschód.

Podczas tej drugiej wojny ruskiej (prowadzonej z Jarosławem, synem Włodzimierza), Rusini nadali Bolesławowi przydomek Chrobrego, tj. mężnego, dzielnego. Po wielkim zwycięstwie nad rzeką Bugiem, Chrobry zdążył w szybkim pochodzie pod Kijów i zajął to miasto. Wjeżdżał tam przez bramę, zwaną Złotą, bo były koło niej kramy złotnicze. Wjeżdżając ciął mieczem w bramę na znak zwycięstwa i zwierzchnictwa, jakie odtąd miał tu sprawować. Miecz wyszczerbił się od cięcia i zwano go odtąd Szczerbcem. Przechodził na następców Bolesławowych, jako dziedzictwo państwa polskiego.

Z Kijowa wyprawił Bolesław Wielki tegoż jeszcze roku 1018 dwa poselstwa na dwie strony świata, do dwóch cesarzy, do tytułującego się rzymskim królem niemieckiego Henryka II i do cesarza bizantyńskiego w Konstantynopolu, którego księżęta ruscy uznawali swym zwierzchnikiem. Obydwu cesarzom ogłaszał, że teraz on zakłada trzeci związek państw, związek słowiański. Oświadczał się dobrym sąsiadem i nawzajem o przyjaźń prosił, ale też ostrzegał, że potrafi być groźnym sąsiadem, gdyby kto czyhał na niezależność jego Rzeszy słowiańskiej.

Wyruszył Bolesław Wielki na Ruś drogą północną, przez rzekę Bug, wracał zaś teraz drogą południową, gdzie po raz pierwszy dopiero miano oglądać drużyny Piastowskie. Wracał mianowicie na Grody Czerwieńskie i ziemię Lachów. Latem 1019 r. wcielił te krainy do swego państwa, wypędziwszy załogi waregskie. Następnie przekroczył przełęcz użocką, skąd szedł na zachód wzdłuż południowego Podkarpacia, zajmując i przyłączając do polskiego państwa całą północną część Węgier, tak zwane górne Węgry, aż po zagięcia Cisy i Dunaju, całą tedy Słowaczczyznę. Reszta Węgier pozostawała przy Madziarach, podzielona na trzy księstwa dynastii Arpadów. Dalej odbywał się powrót wojsk Bolesława doliną Orawy i wokół Babiej Góry ku północy pod Kraków i do ziemi Wiślan, tak iż odtąd Małopolska połączona jest z Wielkopolską.

Niebawem przeniesiono stolicę państwa do Krakowa. Znaczyło to, że odtąd sprawy wschodnie mają być uważane za równie ważne jak zachodnie, wewnątrz zaś państwa następuje zrównanie ziem nowo nabytych z dawnymi.

Bolesław Wielki był teraz panem od Sali i Łaby do Dniepru, od Dunaju (płynącego na południu Słowaczczyzny) do Morza Bałtyckiego. Panował nad wszystkimi (prócz Mazowsza) polskimi ludami, nad Połabiem i Morawami, a nadto miał swych hołdowników na Słowaczczyźnie i Rusi. Rzesza słowiańska istniała, była faktem dokonany.

Tę wspaniałą budowę piastowską należało uwieńczyć koroną. Rozpoczął więc Bolesław starania w Rzymie o tytuł królewski, a gdy skutek był pomyślny, zgromadził biskupów polskich i kazał się arcybiskupowi koronować w archikatedrze gnieźnieńskiej w r. 1024. Korona polska stała się widocznym znakiem jedności narodowej i państwowej niepodległości oraz zupełnej równości z innymi narodami Europy.

Dobrze, że Bolesław Wielki nie odkładał dłużej tej wiekopomnej uroczystości, bo już w następnym roku 1025 nastąpił jego zgon. Liczył zaledwie 58 lat; pochowany został w Tumie poznańskim, obok swego ojca. Mają tam wspólny grobowiec i pomnik, na którym wyobrażono Mieszka I opartego na krzyżu, jako tego, który zaprowadził chrześcijańską organizację państwową, a Bolesława na mieczu, ponieważ państwo to obronił mieczem i tak znakomicie rozszerzył.

Przesilenie społeczne

Treść niniejszej książki jest za poważna, aby ją oblekać w szatę fantastyczną i silić się na sensację. Ale często rzeczywistość bywa właśnie najbardziej fantastyczna. Mimo woli, chcąc nie chcąc, ten czwarty rozdział będzie sensacyjny. Oto zrobi się z mnicha król, oto cesarz będzie odprawiać publiczną pokutę za zuchwałość wobec Stolicy Apostolskiej, drugiego króla klątwa pozbawi królestwa, a święty biskup zabity będzie przy ołtarzu, odprawiając mszę świętą. Gdyby kto z fantazji chciał wymyślać sensacje, nie wymyśliłby chyba więcej!

Korona polska przypadła synowi Bolesława Wielkiego, Mieszkowi II, który też zaraz się koronował. On też dokończył dzieło zjednoczenia ludów polskich. Przyłączył Mazowsze i zaraz tam założył osobne biskupstwo w Płocku. Był to dzielny wojownik, ale za wielu miał wrogów naraz, a nie powiodło mu się ich rozdzielić. Krewniacy, bracia i rodzeni, i stryjeczni żądali, dla siebie dzielnic, żeby państwo między nich podzielić, a gdy król odmawiał, przyzwali na pomoc zewnętrznych nieprzyjaciół. Osiągnęli, co chcieli, król ledwie część państwa mógł zachować bezpośrednio dla siebie. Ale też Madziarzy zabrali wtedy Słowaczczyznę, Niemcy kraje połabskie, czescy Przemyślidzi Morawy, Duńczycy Pomorze, a książę kijowski zagarnął na nowo Grody Czerwieńskie i ziemię Lachów. Król sam zginął nieszczęśliwie wśród ciągłych walk w r. 1034.

Dla nas to dzisiaj takie proste, że w jednym państwie ma być tylko jeden monarcha, i że całe państwo winno należeć do niego. Ale w owych czasach w całej Europie nigdzie nie było jedynowładztwa. Tak np. królestwo niemieckie dzieliło się na sześć księstw i podobnie było w innych krajach. Dzielnicowi książęta byli lennikami² i hołdownikami króla, ale czy mu bywali posłuszni, czy szanowali jego władzę zwierzchnią? Zazwyczaj dążyli do tego, żeby król nie był nikim więcej, jak tylko pierwszym między nimi.

U nas już Bolesław Wielki miał z braćmi te kłopoty, ale dał sobie z nimi radę; Mieszko II im uległ. Zmagały się tedy w Polsce niemal od samego początku dwa prądy polityczne: jedynowładztwo i dzielnicowość, i trwało to aż do roku 1146, kiedy zwyciężyć miała niestety dzielnicowość. Ażeby na przyszłość uniknąć wojen domowych o dzielnice, przeznaczył Mieszko swego młodszego syna do stanu duchownego i oddał go do Benedyktynów. Ale już w dwa lata po śmierci królewskiej tak się okoliczności sprzysięgły przeciw dynastii piastowskiej, że nie tylko starszy królewicz już nie żył, ale wymarli wszyscy co do jednego członkowie dynastii. Jedynym żyjącym Piastem był młodszy królewicz Kazimierz, a ten był mnichem!

A skoro zabrakło dynastii, runęło państwo. Tak to wówczas bywało. Czym to wytłumaczyć?

Urządzenia państwowe ówczesnej Polski polegały na ustroju grodowym. Każda okolica posiadała swój gród obronny, a przy większych grodach żyły gromadnie zbrojne królewskie drużyny, utrzymywane z daniny powszechnej, zwanej grodową. Dziś powiedzielibyśmy krótko: żołnierze utrzymywani z podatków. Nadto osadzało się wokół grodów jeńców wojennych, którzy stawali się niewolnikami państwa (jeszcze się wówczas nigdzie jeńców nie wymieniało) i musieli dla grodów pracować. Mówiąc dzisiejszym językiem, byli to przymusowi dostawcy armii, którzy dostawali za to trochę ziemi na swe utrzymanie. Wielkie wojny pomnażały ilość jeńców. Śladami ich pochodzenia są nazwy osad, takie jak np. Prusy, Pomorzany, Niemcze, Czechy itp., a o zajęciach tej ludności świadczą zachowane dotychczas nazwy wsi, np. Rybaki, Skotniki, Koniuchy, Piekary, Korabniki (wyrabiający łodzie), Grotniki (groty do włóczni), Łagiewniki itp.

Kiedy w r. 1037 zabrakło króla, ustała danina grodowa, drużynnicy porozchodzili się do swych rodów, a jeńcy oraz ich potomkowie przestali pracować w przymusowych swych zajęciach. I tak cały ustrój grodowy musiał się rozprząc.

Podobnie znalazł się bez środków ustrój kościelny. Król wyznaczał Kościołowi dziesięcinę z daniny grodowej, a teraz nagle danina ta ustała. Na dobitkę rzucili się w Wielkopolsce na Kościół tamtejsi jeńcy pogańscy, Połabianie, zaciekle jeszcze ciągle poganie, nienawidzący chrześcijan. Osadzono ich w Wielkopolsce, jako bliższej; ani na Śląsku ani koło Krakowa nie słychać nic o żadnym pogaństwie, bo tam Połabian nie osadzano.

Jeszcze jeden cios! Na bezbronną Polskę wyprawił się książę czeski, Brzetysław I i złupił Wielkopolskę tak dalece, iż wywiózł sto wozów bogatych łupów. Gdybyż Przemyślidzi chcieli po upadku Piastów wejść na ich miejsce, gdybyż wyprawa miała na celu złączenie Czech z Polską! Ale on wyprawił się tylko po łupy i o nic innego mu nie chodziło. Jest to ciężki grzech historii czeskiej. Zamiast z Polską łączyć się, woleli z Niemcami. Przemyślidzi poczęli się coraz bardziej wysługiwać cesarzom niemieckim.

Byliby się PolaCy pograżyli chyba z powrotem w ustrój plemienny, gdyby nie życzliwość Stolicy Apostolskiej. Nagle rozeszła się wieść, że Ojciec św. papież Benedykt IX wskrzesza Polskę! Wdowa po Mieszku II, Ryksa (księżniczka niemiecka), schroniwszy się za granicą, wyprosiła w Rzymie dyspensę dla syna i mnich Kazimierz mógł zająć tron. Witano go okrzykami: A witajże witaj, miły hospodynie!

Zubożałe, zrujnowane, pozbawione organizacji i siły zbrojnej państwo odnawiał Kazimierz, jak tylko się dało. Toteż wdzięczna Polska uczciła go przydomkiem Odnowiciela. Trzeba było wprawdzie na razie przycichnąć i nie przywdziać korony, lecz usiłowania jego nie poszły na marne. Bo kiedy dokonał pracowitego życia w r. 1058, pozostawił synowi swemu Bolesławowi państwowość na nowo urządzoną, armię dobrą i skarb pełny. Toteż ten Bolesław mógł zrobić się śmiałym wobec Niemców i państw ościennych, i rzeczywiście otrzymał przydomek Śmiałego. Koronował się, co było znakiem, że uważa się za równego królowi niemieckiemu.

Bolesław Śmiały (1058-1079) dał dobrowolnie dzielnicę na Mazowszu młodszemu bratu Władysławowi Hermanowi, sam zaś zyskał przez to spokojną rękę i głowę do swoich wielkich zamysłów na zewnątrz. Był wielkim wojownikiem. Odzyskał ziemię Lachów i Grody Czerwieńskie, tudzież Słowacczynę, a w końcu koronował się z wielką uroczystością w sam dzień Bożego

Narodzenia w r. 1076. Przywrócił tedy blask polskiego państwa, ale niestety - sam go też miał zatracić.

U sąsiadów takie miał wpływy i znaczenie, że rozporządzał tronami na Węgrzech, w Czechach i na Rusi. I miał tam takich książąt, którzy jemu zawdzięczali swe panowanie, a jednak żaden z nich mu nie dopomógł, gdy sam potrzebował pomocy, i nie poczuwał się do wdzięczności. Bo król ten był przez swoją gwałtowność i krewkość niemiły nawet tym, którym świadczył dobrodziejstwa. Tak na przykład, kiedy wprowadzał na tron kijowski księcia Izaśława, okazywał mu rozmyślnie lekceważenie i publicznie go zawstydził, pociągając go przed całym ludem kijowskim za brodę, żeby tylko w swej pysze okazać, iż Izaśław panuje tam z jego niejako łaski. Nie umiał sam nad sobą zapanować i był nadzwyczaj krewki, i tymi wadami narobił wielkiej biedy, sobie i wszystkiemu, i całemu państwu polskiemu.

Najbardziej podobało mu się w Kijowie, bo tam mógł sobie na wszystko pozwolić. A był już Kijów wówczas sporym miastem, a bardzo bogatym, bez porównania bogatszym od wszystkich miast polskich; był bowiem położony na wielkim szlaku handlowym między Carogrodem a północnymi krajami, jako pierwsze miasto za stepami czarnomorskimi.

Zniknęli Pieczyngowie, ale przybyli na te stepy gorsi od tamtych Połowcy. I tę dzicz Rurykowicze przyzywali wzajemnie przeciw sobie, dawali im rozstrzygać swe spory, aż doszło do tego, że Połowcy stali się zwierzchnikami Rurykowiczów z Rusi południowej. Nie byłoby do tego doszło, gdyby się utrzymało polskie zwierzchnictwo nad Kijowem, gdyby Bolesław Śmiały sam nie zepsuł własnego dzieła.

Niebezpieczne usposobienie tego króla popsuło się jeszcze bardziej w Kijowie (gdzie bawił dwa razy). Tam nie potrzebował się niczym krępować, zaspokajał każdą zachciankę, a za jego przykładem i jego drużownicy polscy prowadzili życie hulaszcze. Tam nikt nie wystąpił z naganą. Cerkiew przywykła ulegać bezwzględnie każdej władzy świeckiej, a właśnie na te czasy, od r. 1054 przypada stała już schizma bizantyńska. Pobyt w Kijowie zachęcał króla i jego żołnierzy do pewnego lekceważenia duchowieństwa, uległego po bizantyńsku. Król skłonny do samowładztwa próbował potem i w Polsce postępować z Kościołem po bizantyńsku.

A równocześnie od zachodu, z Niemiec, szły na Europę prądy coraz gorsze. Królowie niemieccy na swych włoskich wyprawach mianowali i stracali papieży, a w Niemczech porobili z biskupów swych lenników. Opozycja zaś w Niemczech malała w tym czasie tak dalece, iż trudno nawet przypuścić, żeby społeczeństwo niemieckie samo zdołało ocalić u siebie cywilizację łacińską. A przy tym i sam Kościół w Niemczech demoralizował się i szerzył zło dalej na zachód. Grasowała już symonia (kupno godności kościelnych), a duchowieństwo świeckie usuwało się nawet od celibatu. Coraz częściej zdarzało się, że kapłan, mnich, opat, biskup nawet nie chciał słuchać kanonów kościelnych, pewny swego, gdy miał poparcie władzy świeckiej, uznając się lennikiem królewskim. Gdyby się takie stosunki rozszerzyły i utrwaliły, groziłby całej Europie zanik siły duchowej. Cała Europa zbizantynizowałaby się.

Ocalenie przyszło z Francji. Wielki program reform obmyślili Benedyktyni sławnego opactwa w Cluny. Nie tylko chodziło o zduszenie symonii, o bezwzględne przeprowadzenie celibatu. Sięgano głębiej: żeby żaden monarcha nie mieszał się do wyboru papieża, żeby to pozostawione było samym kardynałom. To osiągnięto w r. 1059, ale reformatorzy z Cluny sięgali jeszcze dalej. Widząc, że zasada dwoistości najwyższej władzy, cesarskiej i papieskiej, nie zdała się na nic, a cesarze gnębią Kościół i demoralizują go, żądali, żeby duchowna władza była uznana za wyższą, bo musi sprawować dozór, czy świecka działa zgodnie z moralnością publiczną. Wynikała z tego zasada, że papież jest zwierzchnikiem wszystkich królów i ma prawo strącać z tronu, gdy kto nie rządzi się po chrześcijańsku.

Ten program przyjął i zabrał się do wykonania go papież Grzegorz VII (chłopski syn z Toskanii). Zwrócił się przeciw Henrykowi IV z ciężkimi zarzutami i żądał usunięcia zła. Niemcy, rozdwojone cywilizacyjnie, podzieliły się na dwa obozy, wybuchła nawet sroga wojna domowa. Postępując coraz bardziej po bizantyńsku, zwołał Henryk synod, a znalazł biskupów, którzy stawili się na jego rozkaz i uchwalili, że Grzegorza VII pozbawia się godności papieskiej!

Ojciec św. rzucił na króla niemieckiego klątwę. Jak już wiemy, obarczonemu klątwą nic się nie dzieje, nikt mu nic złego nie robi, niczego mu się nie zabrania, tylko nie wolno utrzymywać z nim żadnych, a żadnych stosunków. Nie wolno mu nic dać, ani od niego niczego brać, nie wolno razem z nim przebywać pod jednym dachem, ani mu towarzyszyć, a zatem nie wolno mu usługiwać, ani od niego odbierać rozkazów, ani też jemu wydawać poleceń. Wyklęty znajdował się poza społeczeństwem, wszyscy od niego stronili, uciekali od niego, gdziekolwiek się pokazał, tym bardziej, że nie wolno było w jego obecności odprawiać nabożeństw, ni udzielać sakramentów św.

Jakżeż głowa państwa może wykonywać rządy w takim opuszczeniu i osamotnieniu, gdy nikt od niego nie przyjmie rozkazu, gdy go opuszczają dworzanie i cywilni, i wojskowi? Przy tym co za hańba dla państwa mieć króla wyrzuconego ze społeczeństwa! Toteż książęta niemieccy usunęli Henryka od wykonywania władzy, póki się nie uwolni od klątwy papieskiej.

I musiał ten cesarz udać się pokornie w pokutniczej szacie do papieża, bawiącego wówczas na zamku Kanossa w Toskanii. Tam musiał odbyć publicznie pokutę kościelną, papieża przeprosić i zobowiązać się, że będzie przestrzegać prawa kościelnego. Od tego wydarzenia powstało przysłowie: "pójść do Kanossy", to znaczy przegrać sprawę z Kościołem i upokorzyć się.

Lecz Henryk IV zobowiązań nie dotrzymał, a potem zebrawszy znaczne wojsko wyprawił się do Włoch, zdobył Rzym, ogłosił, że zrzuca z tronu papieskiego Grzegorza VII, a wyniósłszy nań antypapieża kazał mu, żeby go ukoronował na cesarza rzymskiego. Prawowity papież musiał uchodzić z Rzymu i wnet umarł w r. 1085 (w mieście Salerno).

Ale Henrykowi IV odtąd źle się wiodło, aż w końcu musiał uciekać przed własnymi synami.

Podczas wszystkich tych zamieszek w Niemczech stał Bolesław Śmiały przeciw Henrykowi - podczas gdy Wratysław czeski Henryka właśnie popierał. Kiedy Sasi urządzali powstanie przeciw królowi niemieckiemu, otrzymali posiłki z Polski. Należał więc Bolesław Śmiały do obozu papieskiego w polityce europejskiej.

A jednak ten sam król miał wywołać zatarg z Kościołem! Nie o reformy kluniackie poszło, bo tym się król nie sprzeciwiał, a zresztą w Polsce rzadko kiedy zdarzyło się jakieś nadużycie w Kościele. Szło o przesilenie w polskim ustroju społecznym, o sprawy czysto polskie.

Kościół utrzymywał się z przywróconej dziesięciny grodowej. Pamiętano, jak ten system doprowadził do katastrofy po śmierci Mieszka II i Kościół musiał wreszcie dążyć do niezawisłości materialnej, żeby nie był zależny od monarszej łaski. Trzeba było posiadać własny majątek kościelny, bo niezawisłość materialna jest podstawą wszelkiej niezawisłości. Skądże zaś mógł Kościół otrzymać własność ziemską, jeżeli nie z darów, z zapisów? To zaś było niemożliwe wobec polskiego prawa rodowego.

Prawo rodowe obowiązywało z początku wszędzie, ale w zachodniej Europie zdążono już zmienić je odpowiednio, a Kościół polski popierał te postępowe prądy europejskie.

Ustrój rodowy powstawał z tego, iż niezmiernie trudności pierwotnej walki o byt wymagały, żeby dzieci i wnuki nie rozchodziły się, lecz żeby zostawały na gromadnym gospodarstwie rodowym. Takie rodziny, którym nie poszczęściło się rozrodzić w liczny ród wyginęły w nędzy i głodzie. Dorobek kilku pokoleń musiał gromadzić się w jednym miejscu. I w ten sposób wytwarzały się zroszenia rodzin, wywodzących się od wspólnego przodka i pozostających pod jego władzą. Po śmierci założyciela rodu przechodziła własność na jego synów, którzy pozostawali dalej na miejscu wraz z całym swym potomstwem. Oni tylko byli właścicielami i tworzyli spółkę. Nie można było posiadać własności inaczej, jak tylko odziedziczoną po ojcu, a zatem za życia ojca nie miało się niczego na własność. Ale w miarę, jak wymierali synowie założyciela rodu, przychodzili na ich miejsce wnukowie, stający się właścicielami, bo na nich przyszła kolej. Toteż na spółkę rodową mogło się składać nawet kilkanaście działów. Dla porządku uznawano władzę najstarszego z najstarszej gałęzi rodu, ten był starostą rodowym. Zdarzało się, że wspólnicy rodowi, tj. głowy zroszonych rodzin, przyznawali sobie wzajemnie prawo używalności swego mienia, a czasem przyznawano używalność pewnej części

jednemu tylko członkowi rodu. Rozmaicie się urządzali, jak chcieli, jak uważali, że dogodniej. Żadna władza państwowa nie mieszała się do ustroju rodowego.

Wszystkie sposoby urzędzeń rodowych miały wszakże tyle wspólnego, że gruntów nie można było sprzedawać, ni kupować, ani też podarować komuś. Nie znano też wcale testamentu; Kościół zaś wprowadzał go wszędzie.

Ustrój rodowy może być dobry, nawet bardzo dobry, tylko do pewnego czasu; potem jednak dalszy rozwój wymaga, żeby każda rodzina zwolniona była od więzów rodowych. Nazywa się to "emancypacją rodziny". Gdzie do tego dojdzie, tam musi się też uznać pełnoletność syna z pewnym wiekiem i takiemu synowi wolno dysponować własnością, choćby żyli jeszcze ojciec i dziadek. Oczywiście przejść do takich nowych praw można było dopiero wówczas, gdy walka o byt była już łatwiejsza i gdy można się było już ruszać po kraju z większym bezpieczeństwem. A skoro ktoś nie gospodarował już w rodzie i rodu do niczego nie potrzebował mógł własność swą sprzedać lub podarować, mógł zrobić z niej zapis testamentowy.

Stanowi to przewrót w prawie majątkowym i w ogóle taką zmianę stosunków, iż powstaje przesilenie społeczne. W takich czasach społeczeństwa dzielą się na dwa obozy, według tego, czy ktoś jest zwolennikiem tych nowości, czy też ich przeciwnikiem.

Walka o emancypację rodziny łączyła się z zabiegami Kościoła o uznanie prawa kanonicznego. Chodziło o to, żeby król przyznał Kościołowi prawo do posiadania własności ziemskiej, która by nie mogła być oczywiście zależna od niczyjego prawa rodowego. Popierał więc Kościół emancypację rodziny.

Ale król Bolesław Śmiały był przeciwnikiem nowych prądów. Nie chciał ani prawa kanonicznego, ani emancypacji rodziny. Wymagał, żeby utrzymać w całej mocy stare prawo rodowe i nie wprowadzać żadnych nowości. Królowi chodziło też o to, żeby nie dopuścić Kościoła do samodzielności, żeby pozostał zależny od jego łaski i niełaski, zawisłym będąc od udzielania dziesięciny, którą król mógł dać lub nie dać. Z całą swą krewkością zabrał się król do tępienia zwolenników nowego rozwoju społecznego, a w opozycji upatrywał zdradę popełnioną wobec siebie.

Tak stały sprawy, gdy w diecezji krakowskiej, a więc tuż pod boki króla, zaszedł wypadek zapisu testamentowego i kupna dóbr ziemskich na rzecz Kościoła. Biskupem był Stanisław, syn Wielisława i Bogny ze Szczepanowa (obecnie diecezji tarnowskiej), stąd nazwisko Szczepanowskich. Zapewne protoplasta rodu, który tam osiadł i ród założył, nazywał się Szczepan. Ten Stanisław właśnie oddany na nauki do szkoły katedralnej w Krakowie, zwrócił na siebie uwagę ówczesnego biskupa (Suły), który po wyświęceniu zatrzymał go przy sobie i na swego następcę kierował.

Nowy biskup nabył dla diecezji posiadłość Piotrowin (w powiecie puławskim, nieco na południe od Solca, lecz na przeciwnym brzegu Wisły), zapłacił za nią, a nabytek kazał sobie potwierdzić nadto testamentem, sporządzonym zawczasu przez bezdzietnego właściciela. Piotrowin należał wyłącznie do samego Piotra (od jego imienia pochodziła nazwa osiedla), bo on dopiero go założył.

Po śmierci Piotra nastąpiło starcie starego i nowego porządku. Biskup stanął twardo przy swoim prawie, ale również bezwzględnie przeciwstawił się temu król. Nietrudno zresztą było namówić stryjów rodowych, żeby zażądali przyłączenia Piotrowina do ich majątku rodowego. Jeżeli się biskup temu podda, ustanowiony będzie przykład na wszystkie inne wypadki tego rodzaju i nabywanie majątku przez Kościół stanie się niemożliwością.

Stosunki pomiędzy Wawelem, siedzibą królewską w Krakowie, a pobliską drugą górką nad Wisłą, zwaną Skalką, siedzibą biskupią, były od początku stale naprężone. Bolesław bowiem, chociaż niejedną posiadał zaletę, miał tę wadę, że był zaciętym nieprzyjacielem szóstego przykazania. Narobił wiele zgorzenia publicznego, a wreszcie kazał zbirom swoim porwać jawnie zamężną niewiastę, która niczym pozyskać się nie dała i trzymał ją przy sobie. Biskup upominał króla wielokrotnie, lecz na próżno. Gniew królewski wzbierał od dawna, a sprawa o Piotrowin była kroplą, przelewającą dzban.

Król kazał zwrócić Piotrowin stryjom Piotra, chociaż nieboszczyk nie miał już z nimi nic wspólnego. Biskup upominał króla kilka razy bezskutecznie; co gorsza, pomawiano biskupa o bunt. Aż wreszcie biskup użył argumentu ostatecznego. Według prawa kanonicznego za publiczne dawanie zgorszenia i grabież dobra kościelnego można rzucić kłatwę. Kłatwą więc obarczył biskup króla.

Działo się to dokładnie dwa lata po "Kanossie"! Bolesław Śmiały pozwał wtedy biskupa przed swój sąd, a gdy się biskup nie stawił, bo mu tego zabraniało prawo kanoniczne, król tym bardziej podniecony, skazał biskupa na śmierć przez rozsiekanie i ćwiartowanie (co pochodziło z prawa bizantyńskiego)! Gdy nikt nie chciał wykonać tego rozkazu, król wpadł do kościoła biskupiego Na Skałce w Krakowie, w towarzystwie trzech dworzan ryzykujących kłatwę i kazał biskupa wywlec od ołtarza i ręką własną mieczem go przebił; po czym wywleczone na dziedziniec ciało kazał ćwiartować. Stało się to dnia 11 kwietnia 1079 roku.

Legenda dodaje, że biskup wskrzesił Piotrowina, żeby świadczył przed królem i że posiekanego ciała strzegły orły. To były widoczne cudy.

Mylił się Bolesław mniemając, że zakończył sprawę. Teraz kłatwa poczęła działać tym mocniej. Unikano go coraz bardziej, aż po dwóch latach widział się zupełnie przez wszystkich opuszczany. Sądził, że na Węgrzech znajdzie pomoc i tam udał się, lecz doznał zawodu. Zniknął zupełnie z widowni dziejowej. Bardzo jest prawdopodobne podanie, jakoby ruszył w samotną pokutną pielgrzymkę, aż zatrzymał się w benedyktyńskim klasztorze w Ossiaku u Słoweńców w Karyntii, gdzie nie poznany służył aż do śmierci za braciszka - i tam jest pochowany.

Tymczasem zaś w Polsce budziła się już cześć dla św. Stanisława. W dziesięć lat po jego męczeńskiej śmierci zarządził biskup Lambert (Francuz), żeby ciało świętego przeniesione zostało do nowego kościoła katedralnego na Wawelu (pod wezwaniem świętego Wacława).

Obydwaj więc, i zabity i zabójca, i król i biskup, padli ofiarą przesilenia społecznego, jakie w Polsce nastąpiło. Każdy, z nich dwóch stał na czele innego kierunku społecznego. Ale zachodziło jeszcze coś więcej. Na tle tego samego przesilenia król padł ofiarą własnego zaślepienia i swoich ciężkich błędów w prowadzeniu życia; a biskup padł ofiarą obowiązku, bo karmił niemoralność i zgorszenie, a bronił prawa kościelnego; broniąc zaś emancypacji rodziny, pracował nad rozwojem społeczeństwa, torował drogę lepszej przyszłości. Gdyby następnie zwyciężyły poglądy Bolesława Śmiałego, byłiby przodkowie nasi popadli w zastój, niezdatni do postępu.

Walka dwóch poglądów na stosunki społeczne miała jeszcze potrwać długo, lecz w końcu wziętą górę kierunek wskazany przez świętego biskupa krakowskiego. Dziedzictwem po świętym Stanisławie stał się cały dalszy rozwój społeczny w Polsce. Obeszło się bez gwałtownego przewrotu. Żaden z następców Bolesława Śmiałego ani nie nakazywał, ani nie zakazywał emancypacji rodziny. Pozostawiono to własnej woli i dobrowolnym umowom stron zainteresowanych. Ale prawo testamentowe zwyciężyło.

O czym ma nas pouczać żywot i męczeństwo św. Stanisława biskupa?

Czytelnik spostrzegł już, jak rozmaitych świętych wysuwa historia polska. Wspólne są wszystkim cnoty i praktyki religijne; to się rozumie samo przez się, bo nie może być świętości bez świątobliwości. Poza tym dzielą się święci na takich, którzy zdecydowali się wieść życie w oddaleniu od świata i na takich, którzy właśnie w wirze światowym dawali przykład świątobliwości, a oprócz tego brali udział czynny w życiu publicznym. Jednakże świętymi są ci i tamci. Lecz miejmy na uwadze, że im bliżej naszych czasów, tym trudniej być pustelnikiem. A dziś, gdy osady ludzkie łączą się pasmem nieprzerwanym, gdy resztki lasów poprzerywane są kolejami żelaznymi, gdy w górach wiją się autostrady i stoją hotele, gdzie dziś miejsce na św. Jędrzeja Żurawka? Ale zawsze miejsca dosyć na takich świętych, jak św. Wojciech, lub św. Stanisław biskup! Im zaś bardziej psują się stosunki ludzkie, im cięższe czekają nas przesilenia, tym gorętsze zanośmy modły do tych wielkich patronów naszej Ojczyzny, którzy umieli chadzać w wirach życia publicznego i nie tylko nie ponosili żadnej szkody na duszy, ale robili dużo dobrego, tyle dobrego, że i nam jeszcze coś w spadku się dostanie, jeżeli będziemy, tego spadku godni. A wołają tacy święci do nas: Idź w życie publiczne, bierz w nim śmiało udział, byle po katolicku!

Czyje jest Pomorze?

Po Bolesławie Śmiałym, który tak często bywał zbyt śmiałym, nastąpił nieśmiały i ostrożny jego brat, Władysław Herman. Zaniechał nawet koronacji, żeby nie mieć zatargu z Niemcami.

Ciężkim kłopotem obarczał go błąd, popełniony za młodu: miał nieślubnego syna, Zbigniewa. Z tego nastąpiły skutki oplakane i to na dwa pokolenia: nieprawy potomek zatruł życie nie tylko ojcu, ale jeszcze bratu. Strapienie było tym większe, że Władysław Herman, ożeniony z królową czeską, Judytą, długo nie posiadał z nią potomka. Byli wprawdzie tacy, którzy uznawali Zbigniewa za dziedzica tronu, ale czyż mógł pozwolić na to Kościół? Kiedy zaś mijają pięć lat małżeństwa z Judytą, wtedy biskup poznański zwrócił się do księżęcej pary z radą wielce ciekawą:

Nazywał się ten biskup Franko. Nie było jeszcze św. Franciszka! Nazwa oznaczała coś innego: pochodzenie z Frankonii francuskiej. Jeszcze nam bowiem nie starczyło wówczas rodaków na stolice biskupie, należycie uczonych. Kraków wyprzedził pod tym względem inne diecezje, bo w Krakowie zasiadł w katedrze pierwszy Polak imieniem Suła i zaraz po nim biskup Szczepanowski. Ale następcą św. Stanisława był znów cudzoziemiec, mianowicie Francuz Lambert. Mieliśmy w ogóle dużo duchowieństwa z Włoch i z Francji (do niemieckich biskupów nie byłoby zaufania). Oto na początku panowania Władysława Hermana Francuzi byli biskupami w Krakowie i Poznaniu.

Biskup Franko zwrócił monarszej parze uwagę na św. Idziego, do którego zwykły zanosić modły we Francji małżeństwa bezdzielne. Nie był ten święty rodowitym Francuzem. Pochodził z Aten, miasta wielkiego i słynnego z nauk w starożytnej Grecji, które bardzo podupadło pod panowaniem bizantyńskim. Św. Idzi był nie tylko przeciwnikiem bizantyńskich poglądów, lecz przeciwnie - wielbił papieżstwo. Wyjechał do Włoch, a następnie do południowej Francji. W kilku miejscach prowadził życie pustelnicze, wreszcie wstąpił do Benedyktynów. Założył własny klasztor nad ujściem rzeki Rodanu, w bogatej i wielce jeszcze od starożytnych rzymskich czasów ucywilizowanej krainie, zwanej Prowansją. Był tam przez długie lata opatem, a gdy następnie koło jego klasztoru powstało osiedle zamieniające się z czasem na miasto, zwano je po prostu "miastem św. Idziego" (po francusku Saint-Gilles).

Zalecał tedy biskup Franko modły do tego patrona. Władysław Herman i Judyta nie poprzestali na modłach najgorętszych, lecz wyprawili aż na południowe kresy Francji, kapelana Judyty, księdza Piotra. Nie sam oczywiście jechał, lecz z orszakiem odpowiednim, w poselstwie do grobu św. Idziego, wioząc królewskie dary dla klasztoru. Odprawiano tam przez kilka tygodni uroczyste nabożeństwa, ściągające wiernych nawet z dalszych okolic, bo rozchodziła się wieść, że oto z dalekiego północnego kraju przyjechało poselstwo, z wiarą w cudotwórcze moce patrona tej krainy. Tak daleko doszła już sława "miasta św. Idziego"! Ludność francuska, dumna ze swego patrona, radowała się oczywiście z tego, że cześć św. Idziego szerzy się na dalekie obce kraje i dołączała swe modły do modlitw księdza Piotra, jego orszaku i Ojców Benedyktynów.

Było to w pierwszej połowie roku 1085. Łatwo sobie wyobrazić, jak opactwo i ludność okoliczna ciekawi byli dalszego ciągu sprawy i że nie zaniedbano żadnych starań, żeby otrzymać wiadomości z Polski tak bardzo odległej, ale gdzie także byli Benedyktyni. Oczywiście utrzymywane były stosunki pomiędzy klasztorami tej samej reguły w całej Europie.

W sierpniu 1086 r. powiła Judyta chłopca, którego nazwano starym imieniem Piastów i Przemysłidów: Bolesław. Miał nieco skrzywione usta i dlatego dodano mu przydomek Krzywoustego. A Władysław Herman wystawił na znak wdzięczności u stóp Wawelu piękny kościółek św. Idziego, który choć mały, stanowił jednak kolegiatę (to znaczy, że uposażony był w fundacje na całe grono kapłanów).

Ocalona więc była dynastia piastowska, a Zbigniew schodził na drugi plan. Lecz gdy trochę dorósł, posłużył jako narzędzie wysłannikom postronnych wrogów, a potem sam już upominał się, żeby go uznać równym w prawach bratu, i żądał dla siebie dzielnic. Raz po raz następowały napady ościennych pod pozorem obrony rzekomych praw Zbigniewa i bunty butnych wielmożów.

Niestety, wśród zamieszek dynastycznych nie zdołano dopilnować wschodnich granic państwa. Pewna gałąź Rurykowiczów, Rościsławicze, najechała w r. 1083 ziemię Lachów. Kraj ten stał się nader intratny, gdyż odkryto tam źródła solne, z których mogli książęta mieć zysków więcej, niż z wszystkich ośmiu rynków bogatego Kijowa. Tym razem powstały na polskiej ziemi stałe księstwa Rościsławiczków. Tym się tłumaczy, że kraj ten poczęto uważać za nową dzielnicę Rusi - bo przez "Ruś" rozumiano nie co innego, jak tylko obszar panowania Rurykowiczów. Tym razem pozostała ziemia Lachów długo przy Rusi, bo aż do r. 1324. Dostawała się na 240 lat pod wpływ kultury ruskiej, zgoła odmiennej.

Władysławowi Hermanowi przyznać trzeba tę zasługę, że pamiętał o Pomorzu. Za jego rządów dotarli Polacy na nowo do morza w r. 1091; w następnym roku odzyskano nawet daleki Szczecin. Było wypraw pomorskich kilka. W jednej z nich, w r. 1095, przy zdobyciu grodu Międzyrzecza, uczestniczył młody następca tronu, Bolesław Krzywousty, liczący naówczas lat dziewięć. Umyślnie przyzwyczajano go do zgiełku i trudów wojny; jakoż miał z niego wyrosnąć wojownik niepospolity.

Dalej ku południowi, wśród połabskich pobratymców, kilkakrotnie już świetało chrześcijaństwo. Około roku 1000 władca obotrycki Mściwoj przyjął chrzest i syn jego Mieszko także był chrześcijaninem, ale wnukowie powrócili do pogaństwa. Żeby skuteczniej przeciwdziałać propagandzie chrześcijańskiej, sprowadził sobie aż z Arkony na wyspie Rujanie (Rugii), gdzie była główna świątynia pogańska, księcia Kruka.

Te wyprawy przeciw pogańskim Prusakom, Pomorzanom i Połabianom są dla historii polskiej bardzo ważne, są to bowiem polskie krucjaty, czyli wyprawy krzyżowe. Uznała je, jako takie, sama Stolica Apostolska. Ażebym zrozumieć, co to znaczyło, trzeba tu dorzucić coś z historii powszechnej.

Palestyna była już od dawna w rękę wyznawców islamu, co nie wstrzymywało jednak pobożnych pielgrzymek chrześcijańskich do grobu Chrystusa Pana w Jerozolimie, aż dopiero pod koniec wieku XI zaczęły się trudności, a nawet prześladowania pielgrzymek.

Naówczas mnich francuski, Piotr z Amiens, rzucił hasło, żeby państwa katolickie urządziły wspólną wyprawę zbrojną do Azji, aby uwolnić miejsca święte w Palestynie z rąk niewiernych. Poparł sprawę papież Urban II i po kilku latach przygotowań wyruszyła w r. 1096 pierwsza krucjata. Przewodzili jej rozmaici książęta francuscy, a przyłączyło się trochę rycerstwa z Anglii i z Włoch.

Szła w r. 1096 olbrzymia, jak na owe czasy, rzesza wojenna, złożona z przeszło 200 000 zbrojnych, do Konstantynopola, stamtąd do Azji kilkoma szlakami, zdobywając po drodze stolice różnych sułtanów. Największe tamtych stron miasto, Antiochię, zdobyto po dziewięciomiesięcznym oblężeniu, co wypadło już na rok 1098. Dopiero w następnym roku można było dokonać dalszego pochodu wzdłuż wybrzeża morskiego ku Jerozolimie.

Doszło pod Jerozolimę ledwie 21 500 zbrojnych zdalnych do walki. Dnia 6 czerwca 1099 r. ujrzeni krzyżowcy po raz pierwszy święte miasto, które to zdobyli po pięciodniowym tylko oblężeniu, dnia 15 lipca 1099 r. Urządzono wielką uroczystą procesję do kościoła Zmartwychwstania Pańskiego. Procesja ta stanowiła chwilę naprawdę historyczną i opisywana jest przez całe wieki aż do naszych czasów we wszystkich językach świata. Ziemia święta stała się chrześcijańskim, katolickim królestwem, podzielonym na kilka księstw i hrabstw pod zwierzchnictwem króla jerozolimskiego. Tytułu tego nie chciał przyjąć przez skromność główny wódz pierwszej krucjaty i zdobywca Jerozolimy, sławny Gotfryd z Buillonu, w Europie książę Dolnej Lotaryngii; tytułował się tylko "Obrońcą Grobu Świętego". Dopiero brat jego i następca, Baldwin I, przyjął tytuł królewski.

Cała pierwsza krucjata (1096-1099) odbyła się za panowania Władysława Hermana. Nie wzięło zaś państwo polskie udziału w krucjacie, mając dyspensę od papieża, ponieważ przodkowie nasi wojowali z poganami w Europie - co było poczytywane za równą zasługę. Tak orzekła Stolica Piotrowa. Oto, co znaczyło uznanie tych wypraw za wyprawy krzyżowe, czyli krucjaty.

Syn i następca Władysława Hermana, Bolesław Krzywousty (1102-1138) wracał do polityki Bolesława Wielkiego. Postanowił wyrwać Polskę spod niemieckiej zwierzchności, zmusić sąsiadów do sojuszu przeciw Niemcom i prowadzić dalej energicznie zabiegi o ziemię połabskie. Przez 36 lat toczył

zwycięskie wojny na wszystkich frontach. Wygrał 47 bitew. Ze zdumiewającym pośpiechem umiał przerzucać wojnę z Pomorza do Czech lub Węgier, błyskawicznie uprzedzając plany nieprzyjaciół, i zadając im ciosy raz po raz. Doprowadził do tego, że u sąsiadów przyjęto polski kierunek polityczny i Polska stała na czele wielkiej koalicji przeciw cesarzowi Henrykowi V. Żądał on hołdu i daniny na znak podległości, a gdy mu odmówiono, wybrał się na Polskę w r. 1109. Nie przedostał się poza Wrocław, na próżno oblegając Głogów.

Oblężenie to słynie w historii z następującego powodu: Cesarz kazał wystawić kilkanaście machin oblężniczych, tj. różnych wież ruchomych, pomostów, taranów do rozbijania murów miejskich; była to artyleria owych czasów. Po niedługim czasie zaczęło być źle. Chcieliby oblężeni posłać do Bolesława wieść, że musi się spieszyć z odsieczą, ale miasto tak ściśle było otoczone, że nie sposób było przedostać się poza Głogów i potem poza obozy niemieckie. Udało się uzyskać pięć dni rozejmu. Cesarz zażądał zakładników, na dowód, że przez te pięć dni nie będzie żadnej zdrady i wziął od Głogowian w taki zakład ich młodszych synów, chłopców poniżej 14 lat życia. Pozwolił nawet wyprawić poselstwo do Bolesława, wiedząc, że pięć dni nie starczy na porozumienie się i przybycie odsieczy; nadto zaś był dla innej przyczyny pewny, że szóstego dnia oblężeni poddadzą się. Wieczorem piątego dnia oświadczyli Głogowianie, że będą się na nowo bronić, a skoro przez tych pięć dni zachowywali się uczciwie, więc należy odesłać im zakładników, o co uprzejmie proszą. Ale Niemcy nie odesłali im synów, a o świcie szóstego dnia maszyny oblężnicze ruszyły ponownie pod mury miejskie. A wtedy ujrzeli Głogowianie, że do szczytów machin były poprzywiązywane ich własne dzieci! To zrobił Henryk V, król niemiecki, cesarz rzymski. Znaczyło to: jeżeli chcecie się bronić, strzelajcie do własnych synów! Doprawdy, nie ma drugiego takiego przykładu w historii!

Głogowianie odbyli naradę, na której stanęło na tym, że ojczyzna miłsza od własnych dzieci. Celowali tylko uważnie, żeby strzały nie szły wysoko. Czuwała Opatrzność nad sprawą sprawiedliwą, bo nie minęły dwie godziny a przybiegła konnica Krzywoustego. Wzięto Niemców w dwa ognie, zdobyto ich obóz i wszystkie maszyny, przepędzając wroga daleko. I tak Bóg błogosławił dobrym obywatelom Głogowa, iż wszystkie dzieci wróciły szczęśliwie do rodziców. Co ci chłopcy potem, dorósłszy, opowiadali swoim dzieciom i wnukom o Niemcach i o cnotach niemieckich, tego się łatwo domyślić.

Ale nie wszyscy Niemcy byli tacy. Świadek tych czasów zapisał, jak to w obozie niemieckim zaczęto śpiewać pieśni na cześć Krzywoustego, przedrzeźniając własnych dowódców, jak niegdyś za Bolesława Wielkiego. Henryk V zaś wracał do Niemiec ze wstydem.

Miał on wielkie spory z papieżem, w których doprowadził do tego, iż papież zmuszony był rzucić na niego klątwę. Był więc syn podobny moralnie do ojca. Po długich walkach zawarto kompromis, tj. układ, w którym każda ze stron coś odstępuje i pozostaje tylko przy części swych żądań. Jest to tak zwany konkordat wormacki z r. 1122. Władzy świeckiej przyznano wpływ na wybór biskupów i opatów. Najpierw król lub jego zastępca wręczał nowemu biskupowi berło, jako symbol władania nad dobrami biskupstwa, nadawanymi przez króla w lenno, a potem władza duchowna obdarzała go berłem i pastorałem.

Z konieczności musiał Krzywousty prowadzić dużo wojen, bo Zbigniew naprowadzał nieprzyjaciół na własny kraj, ale celem rządów było zawsze Pomorze i Połabie, bo zdawano sobie sprawę, że opanowanie tamtych krajów stałoby się stanowczym ciosem dla potęgi niemieckiej. Oddziaływało wówczas na Pomorzan panowanie Kruka w sąsiedztwie. Trzeba było przystąpić do stanowczego działania, wyrwać te kraje pogaństwu i odzyskać je dla Piastów. Inaczej groziła tym ludom niechybna zagłada, a Polsce osłabienie.

W takich okolicznościach zaczął swe pochody na Pomorze i Połabie Bolesław Krzywousty zaraz po śmierci ojca, i przez długie lata pilnował niez mordowanie tych spraw. Wznowił zwierzchnictwo polityczne Piastów aż po Zgorzelec (Brandenburg), a na północy odzyskał Kołobrzeg i słynny z zamożności Wolin (na wyspie tegoż imienia), a w r. 1121 zdobył nawet Rugię, świętą wyspę pogaństwa. Jak dziwnie słucha się tego, że Brandenburgia i Meklemburgia należały do państwa polskiego!

Po zwycięstwach nastąpiły prace misyjne. Bolesław udał się z prośbą o to do przewodnika duchownego swej młodości, kapelana swoich rodziców, z późniejszych lat Władysława Hermana. Był nim świątobliwy Otton, zwany bamberskim, bo od r. 1002 był biskupem w niemieckim Bambergu. Należy on do rzędu niemieckich świętych, przyjaciół Polski. Kolejny to przykład, że Niemcy mogli się doskonale godzić z Polakami, o ile sami bywali prawymi chrześcijanami; gdyby w Niemczech nie było bizantynizmu, nie byłoby też nieprzyjaźni z nami.

Tym razem miała się wyprawa misyjna odbywać sposobem całkiem innym. Spostrzeżono, jak bogaci Pomorzanie lekceważą ubóstwo; z lekceważeniem też i niemal z pogardą patrzyli na rozmaitych misjonarzy, którzy przybywali do nich cisi i skromni, ubogo wyposażeni i poprzestający na byle czym. Wyprawa św. Ottona miała przekonać Pomorzan, że chrześcijaństwu może również towarzyszyć bogactwo i wielki polor światowy, zasoby nie tylko duchowe, lecz także materialne, i że misjonarz może być wielkim panem, że ma liczny orszak pomocników, kapłanów i świeckich, dworzan i sług. Lecz nie koniec na tym. Biskupowi bamberskiemu towarzyszył nadto znaczniejszy orszak zbrojny. Przybywał więc św. Otton na misję po wielkopańsku, a zarazem orężnie. Ale przybywał na Pomorze nie z Bambergu, lecz z Gniezna. Wpierw bowiem stawił się na dworze polskim, pomodlił się u grobu św. Wojciecha i porozumiał się z prymasem polskim. Przyłączył się do wyprawy kapelan Bolesława Krzywoustego, Wojciech. Wyjechali razem w czerwcu 1124 r. Na granicy pomorskiej spotkał ich z honorami książę Warcisław i zaraz grono Pomorzan przyjął chrzest. Idąc dalej, przybył św. Otton do osady Pirzycy, właśnie kiedy obchodzono tam jakąś uroczystość pogańską. Dzięki dobrej widocznie znajomości języka, zbierał Otton wspaniałe żniwo w winnicy Pańskiej, a chrzty odbywały się już tłumnie. Podążając dalej do Kamienia, udzielił chrztu świętego całemu orszakowi księcia Warcisława. Urządził tam na prędce drewniany kościółek i pozostawił jednego z towarzyszących sobie kapłanów, a sam zdążył na sławną wyspę Wolin przy ujściu Odry.

Od tego czasu orszak zbrojny był już przydatny. Zaczepili go poganie na Wolinie, a w potyczce sam biskup był ranny. Na razie nikt tu nie zgłaszał się do chrztu. Przeniesiono misję na ląd, pod miasto Szczecin. Dowódca straży biskupiej wszczął rokowania z tym znacznym miastem, lecz nadaremnie. W końcu próbowali tamtejsi poganie targów, oświadczając, że przyjmą chrzest, jeżeli Bolesław Krzywousty pomniejszy im daninę, płaconą corocznie. Z tym wybrali się na dwór polski posłowie i z miasta, i od biskupa. Tymczasem próbował św. Otton rozmaitych sposobów nawracania, lecz niemal bezskutecznie. Dopiero gdy wróciło poselstwo od Krzywoustego, przywożąc odpowiedź przychylną, ustał ich opór. Pozwolono nawet zbudować dwa kościoły: jeden pod wezwaniem św. Wojciecha, a drugi - za miastem, pod wezwaniem św. apostołów Piotra i Pawła. Niebawem poszła cała wyspa Wolińska za tym przykładem.

Niecałe jeszcze Pomorze było nawrócone, gdy św. Otton musiał w r. 1125 wracać do Bambergu dla pilnych spraw swej diecezji.

W trzy lata potem jest znów na Pomorzu. W kwietniu 1128 r. skierował się pomiędzy Lutyków. Tam przyjęto go tak wrogo, iż książę Warcisław spieszył szybko z pomocą zbrojną na wszelki wypadek. Na drugą wielką wyspę przy ujściu Odry, zwaną Usedom, Warcisław nie puścił biskupa samego, lecz towarzyszył misjonarskiemu orszakowi. Tam lud szemrał i dopiero książę musiał im wyjaśnić, że na przyjęciu chrześcijaństwa nic nie tracą, a mogą zyskać, bo lepiej przyjmować je z poręki Polski, niż Niemiec. Znaczyło to po prostu: wiem, że wam chrześcijaństwo nie przypada do przekonania, lecz przyjmijcie je ze względów politycznych! I tak się też stało. Były to nawrócenia połowiczne, ale należało się pocieszać tym, że na początek dobre i takie! Chrzcił więc św. Otton ludność Usedomu cały tydzień, po czym poświęcił jeszcze trzy tygodnie mieszkańcom lądu.

Wtedy właśnie w lipcu 1128 stanął Bolesław Krzywousty z wojskiem na granicy pomorskiej, bo zalegały daniny. Świętemu misjonarzowi udało się odwieść Bolesława od zamiarów wojennych, byle tylko Warcisław złożył pewną kwotę na rzecz kościoła św. Wojciecha w Gnieźnie. Teraz zabrał się św. Otton do spokojnej wizytacji, tj. do objazdu kontrolnego całego nawróconego kraju. Wracał zaś z Pomorza nie wprost do Niemiec, lecz wpierw do Polski zjechał. Nawiedził jeszcze raz Gniezno, chociaż to wcale nie było po drodze i stąd dopiero wybrał się do swego Bambergu. W dwa lata potem założył Krzywousty biskupstwo na Wolinie (przeniesione następnie do przybrzeżnego miasta

pomorskiego, Kamienia). Pierwszym biskupem był Polak, ksiądz Wojciech, ów współpracownik misji św. Ottona.

Z ramienia Polski, jej staraniem i pod jej przewodnictwem dokonano się nawrócenie Pomorza i znacznej części Połabian. Gdy święty Otton tam się wyprawiał, należały te kraje do państwa polskiego, książęta ich podlegali polskiemu monarsze. O tym niemiecki święty wiedział; nawiedzał też za każdym razem Gniezno. Uznawał też polskie zwierzchnictwo nie tylko ku zachodowi nad Bałtykiem aż po ujście Odry, lecz także nad krajami połabskimi, z obu stron Łaby, nad późniejszą Brandenburgią i sąsiednimi jej ziemiami.

Czym byłyby Polska, gdyby się utrzymały te związki polityczne? Jakżeż inaczej wyglądałaby mapa Europy! Jakim mocarstwem byłyby Polska, i to w samej środkowej Europie, nie tylko we wschodniej! A złączone z Polską rozległe nad Bałtykiem Pomorze wiodłoby Polskę do próbowania sił na morzu; handel i żegluga stałyby się nowymi dźwigniami państwa i społeczeństwa.

Ale jeszcze bardziej chodzi o moralną stronę tej wielkiej sprawy! Później, gdy nieopatrna polityka następnych pokoleń ograniczyła pojęcie Pomorza do samej ziemi gdańskiej i gdy nawet w samym Gdańsku ledwie wolno było przyznawać się do polskości, powinno się doprawdy pamiętać o św. Ottonie bamberskim.

Dzieło Bolesława Krzywoustego narażone było przecież ciągle na wielkie trudności. Zawiedli Lutycy. Niebawem wzięły u nich górę wpływy niemieckie, a w r. 1134 poddał się królowi niemieckiemu ksiądz zgorzelski (brandenburski) Przybysław, główny dynasta Połabian. Utrzymał się Krzywousty mimo wszystko przy Zaodrze i nawet przy wyspie Rugii.

Skończył się żywot Bolesława Krzywoustego w r. 1138, a zaraz w roku następnym pospieszył za nim św. Otton bamberski (kanonizowany w r. 1189).

Kiedy śmierć zabrała św. Ottona, wielkiego naszego przyjaciela, dorosłym już był młodzieńcem inny święty, którego użyczyła Polsce łaska Boża. W r. 1116 przyszedł na świat błogosławiony Bogumił, późniejszy arcybiskup gnieźnieński. Był to stryjeczny prawnuk św. Wojciecha; brat bowiem rodzony tego świętego, Poraj, osiadł w Polsce, a jego prawnukiem był Bogumił.

Urodził się w Koźminie pod Brudzewem w parafii Dobrowskiej (w późniejszym powiecie kolskim województwa łódzkiego). Uczył się w szkole katedralnej gnieźnieńskiej, po czym wyjechał na wyższe studia teologiczne i filozoficzne na kilka lat do Paryża. Przyjąwszy święcenia kapłańskie zapragnął osiąść w stronach rodzinnych i własnym kosztem wystawił kościół w Dobrowie i tam został pierwszym proboszczem. Następnie arcybiskup gnieźnieński Jarosław powierzył mu urząd kanclerza archidiecezji, a po dalszych kilku latach został dziekanem kapituły gnieźnieńskiej.

W tych właśnie latach kończyła się w Polsce ciężka walka, trwająca już od Mieszka II, walka pomiędzy jedynowładztwem, a systemem dzielnic książęcych. Kończyła się klęską zwolenników jedynowładztwa. Bolesław Krzywousty (któremu zatrął życie ów Zbigniew) pod koniec życia dał już za wygraną i nie myślał o utrzymaniu jedynowładztwa na przyszłość. Pragnął tylko zapobiec wojnom domowym między swymi synami i zachować jedność polityczną państwa, tj. żeby wszystkie dzielnice prowadziły tę samą politykę zagraniczną. Sporządził więc testament, wyznaczając dzielnice dziedziczne, każdą na stałe dla któregoś z synów i jego potomstwa.

Najstarszemu synowi, Władysławowi, który w chwili śmierci ojca liczył lat 33, zapisał Śląsk i ziemię sieradzką i łęczycką. Następni z kolei synowie Krzywoustego umierali młodo i stąd różnica aż 20 lat pomiędzy Władysławem a drugim żyjącym bratem. Był nim Bolesław, zwany Kędzierzawym, zaledwie trzynastoletni, ten dostał Mazowsze i Kujawy. Trzeci z rzędu Mieszko (zwany potem Starym), który został władcą ziemi Polan, liczył wtedy lat około dziesięciu. Jeszcze młodszy był Henryk, którego dzielnica obejmowała wschodnią część kraju Wiślan, a którą od głównego grodu nazwano ziemią sandomierską.

Poprzestał Krzywousty na wyznaczeniu czterech dzielnic. Nie włączył do podziału najmłodszego syna, Kazimierza, kilkumiesięczne zaledwie niemowlę. Pozostawiał braciom decyzję jak mają zapewnić jego losy w przyszłości, a może też przypuszczał, że przeznaczeniem Kazimierza będzie stan duchowny.

Pozostawały jeszcze ziemia krakowska oraz Pomorze, tj. zwierzchnictwo nad pomorskimi książętami. Te dwa kraje polskie miały się dostać księciu zwierzchniemu, który by rezydował w Krakowie na Wawelu, dzierżąc naczelną zwierzchnią władzę nad całym państwem, z tytułu wielkiego księcia. Rzecz prosta, że ustanawiał Krzywousty tym wielkim księciem syna najstarszego. Potomstwo Władysława miało tedy tworzyć wielkoksiążęcą gałąź Piastów. Z powodu zaś różnicy wieku uważano za rzecz również oczywistą, że przez długi czas sam tylko Władysław będzie prowadzić politykę państwową, że będzie musiał być opiekunem braci młodszych i rządzić za nich, aż dorosną.

Wydzielenie i rozgraniczenie dzielnic nie było więc sprawą pilną, ale sam arcybiskup gnieźnieński (Jakub ze Żnina) zażądał tego od razu bez zwłoki. Wielki książę nie opierał się. Całe duchowieństwo było przeciwne jedynowładztwu, a Władysław nie życzył sobie walki z Kościołem.

Jął się natomiast polityki zewnętrznej. Mając szczęśliwie pozawierane przymierza na wszystkie strony, z Rusią Kijowską, z Czechami i nawet z Niemcami, mógł zabrać się do spraw Pomorza i Połabia, żeby dokończyć wielkiego dzieła swego ojca i utrwalić je. Miał obmyślane jakieś większe przedsięwzięcie, bo w r. 1145 nałożył podatki na całe państwo polskie. Ale gdy zaczął zbierać daninę w dzielnicach braci, spotkał się z oporem - a jakże bez pełnego skarbu prowadzić jakąkolwiek politykę na szerszą skalę?

I oto niespodzianie wybuchła wojna domowa, nie z braćmi, którzy byli dziećmi, lecz z całym niemal możnowładztwem Polski, które na hasło dane przez biskupów zwróciło się orężnie przeciw Władysławowi - niby w obronie młodszych książąt przeciwko najstarszemu bratu, o to, że chce na ich księstwa nakładać ciężary. Chciano gruntownie poderwać władzę wielkiego księcia, a z książąt dzielnicowych zrobić samoistnych monarchów. Ilu książąt, tyle państw!

Zwieziono braci do Poznania, a kiedy Władysław przystąpił do oblegania miasta, arcybiskup rzucił na niego klątwę. Popęłnił Władysław bowiem ciężki błąd. Otóż mając nieliczne wojsko z własnej dzielnicy, wezwał posiłki nie tylko z Rusi, ale najął sobie także zbrojne oddziały od pogańskich Prusaków. Ponieważ zaś prawo kanoniczne orzekało wyraźnie, że pod klątwą nie wolno sprowadzać pogan na chrześcijan, naraził się Władysław na klątwę. Arcybiskup skorzystał ze swojego prawa.

Jak niegdyś Bolesław Śmiały, musiał też Władysław II uciekać z Polski. Szukał schronienia u króla niemieckiego, Konrada III, bo był z nim spowinowacony. Ale Ojciec święty, papież Eugeniusz III innego był zdania i nie tylko zniósł klątwę arcybiskupią, lecz obłożył nią wszystkich opornych władzy wielkoksiążęcej, a w r. 1150 rzucił na całą Polskę interdykt, póki Władysławowi nie będzie przywrócone panowanie. Był to środek srogi. Po interdykcie nie wolno w całym takim kraju odprawiać nabożeństw! Ale o interdykcie nikt w Polsce nie wiedział, bo biskupi zarządzeń papieskich nie ogłosili.

Niestety, związek hierarchii polskiej ze Stolicą Apostolską był jeszcze dość luźny. Wybrane tylko jednostki pojmowały dobrze zasadę, że posłuszeństwo papieżowi stanowi fundament Kościoła. Do takich wybrańców należał Bogumił. Jakże więc ubolewał nad opacznym obrotem rzeczy!

Oslabiła się oczywiście Polska, gdy z wielkiego księstwa zrobiono samą tylko godność, pozbawioną praktycznej władzy. Oslabiała się zaś właśnie wtedy, kiedy Niemcy dochodziły do szczytu potęgi. Zwiększała się również sama powaga królów niemieckich, jako cesarzy rzymskich, bo gdy zaszła potrzeba drugiej krucjaty, na czele jej, obok króla francuskiego Ludwika VII, stanął także cesarz Konrad III i młody jego bratanek, Fryderyk Rudobrody.

Gdy Ziemia święta była ponownie zagrożona, wystąpił z inicjatywą nowej wyprawy krzyżowej opat francuski, św. Bernard z Clairvaux, z zakonu Cystersów. Powstał ten nowy zakon w r. 1098 w okolicy miasta francuskiego Dijon, w miejscu zwanym po łacinie Cistersium. A zajaśniał takim blaskiem dzięki św. Bernardowi, iż w krótkim czasie zaczęto chętnie widzieć Cystersów w całej Europie. Pisał też do św. Bernarda biskup krakowski Mateusz, żeby mu przysłał misjonarzy na schizmatyczną Ruś. Nie był to wszakże zakon misjonarski. Obok surowego życia zakonnego specjalnym ich zajęciem było postępowe

rolnictwo. Do Polski przybyli w r. 1143, a pierwszy klasztor mieli w Wągrowcu. Rozwój rolnictwa w Polsce zawdzięcza im niezmiernie wiele.

Cystersi zatem przygotowali drugą krucjatę, która odbyła się w latach 1147-1149. Niestety był to szereg klęsk, a Jerozolimę zajmowali na nowo muzułmanie.

W trzy lata po krucjacie zmarł Konrad III. Nastąpił po nim towarzysz z wyprawy krzyżowej, Fryderyk Rudobrody, największy z królów niemieckich, który panował w latach 1152-1190.

Tak rozwijały się sprawy na szerokim świecie, gdy Polska przypłaciła nieposłuszeństwo wobec Ojca Świętego utratą wpływów na Pomorzu i Połabiu. Niemcy zajmowali państwo Przybysława i powstało z niego margrabstwo brandenburskie. W trzy lata potem osadzano niemieckie załogi w kraju Obotrytów. Książęta ich zniemczyli się po pewnym czasie i sami przystali do Rzeszy niemieckiej. Nazywali się potem książętami meklemburskimi. Jest to najstarsza w Europie dynastia. Potomkowie Kruka panowali w Meklemburgu do r. 1919.

Jako Wielkopolanin, odczuwał bł. Bogumił podwójnie utratę Połabia i zachodniego rozległego Pomorza. Przyszło mu patrzeć jeszcze na coraz gorszy ciąg dalszy! Coraz przykrzejsze bowiem stawały się skutki ciężkiego błędu politycznego popełnionego wówczas, gdy się Władysławowi II odmówiło podatków na wyprawę pomorską. Pokolenie ówczesne nie umiało przewidzieć, co z tego będzie. Zmarnowaliśmy, co nam przyznawał św. Otton bamberski.

Trzem synom Władysława II przyznano sam tylko Śląsk; zaraz się nim we trójkę podzielili. Rychło się rozpoczęło dzielenie dzielnic na drobniejsze dzielniczki. Rozdzielona i osłabiona niesłychanie Polska przestała patrzeć w strony połabskie.

Przez jakiś czas mocowała się Polska dzielnicowa z Prusakami. Bolesław Kędzierzawy, któremu nadano godność wielkksiążęcą, pamiętał, dlaczego Polska ma dyspensę od krucjat palestyńskich i pod jakim warunkiem. Ale wyprawa jego z roku 1161 skończyła się niefortunnie. A gdy potem, w r. 1166 udzielił mu posiłków bracia i synowcy z innych dzielnic, i to nie zdało się na nic. Wszyscy książęta ponieśli znów klęskę, a jeden z nich stracił życie. Poległ Henryk sandomierski, bezdzietny, bezżenny nawet, więc dzielnicę jego przyznano najmłodszemu z braci, Kazimierzowi, który liczył wówczas już 29 lat. Zyskał on sobie potem zaszczytny przydomek Sprawiedliwego.

Gdy Polska się tak osłabiła, iż nawet Prusakom rady dać nie mogła, cesarz Rudobrody podnosił Niemcy do szczytu potęgi. W r. 1157 ruszył na Polskę, a wielki książę Bolesław Kędzierzawy musiał się uznać jego lennikiem. Gdy jednak pięć lat potem cesarz zażądał polskiego hufca posiłkowego na wyprawę włoską, spotkał się z odmową. Nie pomagali Polacy barbarzyństwu Rudobrodego, gdy ten w roku 1162 burzył największe miasto północnych Włoch, Mediolan (a brał w tym udział król czeski). Główną bowiem treść panowania najpotężniejszego władcy niemieckiego stanowiło gnębienie Włoch (wyprawiał się tam sześć razy), ucisk Rzymu i papieżstwa. Tak potęga Niemiec służyła wcale niełacińskiej cywilizacji!

Po śmierci Bolesława Kędzierzawego w r. 1173 objął wielkie księstwo krakowskie Mieczysław Stary, książę wielkopolski, władca Gniezna i Poznania. Znał go więc dobrze bł. Bogumił, już wówczas dziekan kapituły gnieźnieńskiej, a niebawem arcybiskup. Ale nie był wcale zwolennikiem Mieszka i być nim nie mógł.

Na Mieszku Starym kończył się ten kierunek polityczny, który rozpoczął Bolesław Śmiały. Ostateczna rozgrywka dwóch obozów była gwałtowna i nadzwyczaj uparta. Cztery razy wyrzucano Mieczysława z Wawelu, cztery razy organizował na nowo swój obóz. Nie tylko Kościołowi nie chciał przyznać praw, ale nikomu w ogóle, nikogo nie dopuszczając do udziału w sprawach państwowych. Był to wstecznik, żądny władzy nieograniczonej, absolutnej. Ażeby zniszczyć zamożniejszą warstwę, fałszował pieniądze, wypuszczał monetę coraz podlejszą, czym zubożył wszystkich, a co właśnie uboższym dawało się najgorzej we znaki. Administrację dochodów książęcych powierzał takim urzędnikom, iż biskup krakowski Gedko (Gedeon) nazwał ich publicznie "wściekłymi psami".

Ale za to przygarnął Żydów. Zdarzali się wprawdzie już przedtem zagraniczni wędrowni kupcy żydowscy, ale nikt się o nich nie troszczył, oni zaś żadnej nie mieli organizacji. Przybywali jednak, a gdy państwo się osłabiło, poczęli badać, czy nie dałoby się robić interesów przy księciu, przy sprawach publicznych. Mieszko Stary zrobił z nich swoich doradców. Powierzył im mennicę, toteż bili na jego cześć monety z napisami hebrajskimi, w których sławili go jako księcia błogosławionego!

Kierunek Mieszka Starego był tego rodzaju, iż losami państwa kierowałyby nieznana dotychczas warstwa urzędnicza, żyjąca z uciskania ludności, a ranga duchowieństwa byłaby również sprowadzona do stanowiska urzędniczego. Kościół stałby się narzędziem w rękę władzy świeckiej. Ta władza troszczyłaby się tylko o dwie rzeczy: żeby skarb był pełny i żeby było ślepe posłuszeństwo. To za mało, żeby ze społeczeństwa zrobić naród cywilizowany! Przy pełnym skarbie państwowym może być w kraju biedy co niemiara, a przy ślepym posłuszeństwie nie przestaje się rodzić głupota. Groziło powstanie polskiego bizantyzmu.

Wybuchaly bunty przeciw Mieszkowi Staremu i w Krakowie, i w Poznaniu. Wypędzano go zewsząd, a godnością wielkksiążęcą obdarzono w końcu Kazimierza Sprawiedliwego.

Tyle spraw przykrych przesuwało się przed oczyma bł. Bogumiła! Żeby się nie zdawało, jakoby powagą swej godności kościelnej aprobował rządy Mieszka III, zaczął robić w Rzymie zabiegi, by mu papież pozwolił ustąpić z arcybiskupstwa. Otrzymał zezwolenie, wstąpił do Benedyktynów w Mogilnie, a następnie do Cystersów w Koronowie, gdzie sam założył i uposażył ich klasztor. Potem usunął się jeszcze bardziej, urządzając się całkiem po pustelniczemu na małej wyspie, utworzonej przez rzeki Wartę i Ner. Nie doczekał lepszych czasów. Kiedy na Wawelu zaczął rządzić Kazimierz Sprawiedliwy, kiedy stosunki zaczęły się wreszcie poprawiać, bł. Bogumił już nie żył. Zmarł właśnie wtedy, w r. 1182.

Kult Bogumiła ograniczony był do archidiecezji gnieźnieńsko-poznańskiej. Dopiero po odzyskaniu niepodległości episkopat polski stwierdził ze zdziwieniem, że uznaje Bogumiła błogosławionym (a nawet świętym) tylko opinia powszechna w Wielkopolsce, ale zaniedbano zupełnie, żeby to przez Rzym było uznane i polecone. Dopiero w r. 1926 udzieliła Stolica Apostolska urzędowo potwierdzenia, że arcybiskupa tego należy uznawać i czcić jako błogosławionego w całym Kościele. Odbyły się wkrótce wielkie uroczystości w Uniejowie (w diecezji włocławskiej), gdzie spoczęło ciało świętego wyznawcy w dawnej kolegiacie, w pięknym grobowcu wśród kościoła. Przeniesiono wówczas połowę relikwii do Dobrowa, rodzinnej parafii błogosławionego Bogumiła, a kość z ręki podarowano nadto do Gniezna. To częściowe przeniesienie odbyło się również wielce uroczysto dnia 26 kwietnia 1936 r.

Kiedy święty prymas umierał, już cała Polska zajęta była przygotowaniami do wielkiego synodu, od którego miały się zacząć lepsze czasy w Kościele i w państwie. Synod ten będzie przedmiotem następnego rozdziału.

Koniec tomu pierwszego

Pokolenie synodu łączyckiego

Kazimierz Sprawiedliwy nie upatrywał w prawie kanonicznym jakiegoś niebezpieczeństwa dla państwa i dynastii; zgadzał się, żeby Kościół rządził się swoim własnym prawem. Była ta sprawa nadzwyczajnie ważna nie tylko dla Kościoła. Skoro by Kościół nie był zawisły od książęcego widzimisię, skoro mógłby się powoływać na swoje prawo - byłby zarazem dany przykład świeckim, że i oni swoje prawo mieć mogą. Wytwarzała się z tego świadomość, iżby każdy stan miał swoje prawo i według niego się urządzał. Władza państwowa (król czy książę) przestrzegałaby tylko, żeby żaden stan nie robił nic takiego, co by było szkodliwe dla całości państwa; nadto zaś miałyby władza naczelna obowiązek wkraczać w razie sporów między stanami i w ogóle pilnować, żeby między nimi panowała harmonia, i współpraca dla powszechnego dobra państwa, i całego społeczeństwa. Tak urządzał się właśnie cały europejski Zachód, a wszędzie początkiem tego były starania Kościoła o uznanie prawa własnego, kanonicznego, bo za tym przykładem szli inni: wielmoże, szlachta i mieszczaństwo.

Dążenia do samorządu stanowego stanowiły cechę cywilizacji łacińskiej. W Bizancjum niczego takiego nie było, bo tam każdy robił co chciał, kto miał siłę wojskową w swym ręku; na prowincji panem nieograniczonym wszystkich i wszystkiego był lada urzędnicy.

W Niemczech, jak wiemy, ścierały się obie te cywilizacje we wszystkim. Samorządy stanów wytwarzały się wprawdzie, ale wśród tak zaciętych walk z naczelną władzą państwową, iż skutkiem tego przyzwyczajono się upatrywać wroga we władzy cesarskiej i nie spoczęto, aż ją doszczętnie unicestwiono - jak niebawem zobaczymy. Tego Polska szczęśliwie uniknęła, dzięki rozumowi Kazimierza Sprawiedliwego.

Sprawą samorządu kościelnego zajęto się energicznie.

Przez trzy lata trwały narady i porozumiewania się, zanim biskupi obmyślili, czego wymagać dla Kościoła w Polsce i jakie w tym celu mają być wydane ustawy. Gdy już była powszechna pomiędzy duchowieństwem zgoda, zwołał arcybiskup Zdzisław synod kościelnej prowincji polskiej do Łęczycy w r. 1180, wzywając nań wszystkich biskupów, członków kapituł, delegatów duchowieństwa parafialnego i przełożonych klasztorów.

Tu wszyscy jeszcze raz obradowali nad tym, żeby wnioskom swoim nadać ostateczną formę, taką jaką książę miał zatwierdzić. Główne uchwały synodu, dotyczące stosunku Kościoła do państwa, orzekały co następuje:

Kościół może posiadać w Polsce swój własny majątek, może przyjmować fundacje od księcia i osób prywatnych, a dobra te przechodzą z biskupa na biskupa, z plebana na plebana, z opata na opata, wieczyście przywiązane do kościoła, czy klasztoru. Następca w godności duchowej jest tych majątków dziedzicem. Nigdy więc nie można powiedzieć o dobrach duchownych po śmierci duchownego dostojnika, że one nie mają dziedzica i dlatego mają wrócić do dziedziców fundatora albo do księcia. Nie wolno też księciu zagarniać ruchomego majątku, pozostałego po biskupie, lecz należy i taki majątek przekazać nowemu biskupowi.

Majątek kościelny nie podlegał książęcemu prawu; znaczyło to, że urzędnik książęcy nie miał tam nic do rozkazywania, a ludność wolna była od przymusowych świadczeń na rzecz grodów. W tym tkwi tajemnica, dlaczego ludność tak chętnie garnęła się "pod pastorał".

Na pozór rzecz dotyczyła tylko duchowieństwa, ale w praktyce ulgi te przechodziły na maluczkich. Prawo wymagało żeby np. wysłannikowi książęcemu dostarczyć podwody i żywności aż do najbliższej stacji na jego drodze. Gońcy tacy byli ustawicznie rozsyłani. Na wszystkie strony do kasztelanii i od kasztelanii na dwór książęcy, a żywienie ich i dostarczanie koni, i wozów było niemałym ciężarem, który skrupiał się najbardziej na ludności mniej zamożnej. Taki goniec był w drodze wielkim panem i pod pozorem służby rozkazywał, komu chciał. Zależało to zupełnie od jego dobrej woli, czy poprzestanie na tym, czego mu naprawdę potrzeba, czy też wycisnie, co się tylko da. Gońcy Mieszka Starego dopuszczali się ciągłych nadużyć, a kontrola była niemożliwa. Mógł wpaść do chaty biednego rolnika i splądrować ją pod pozorem, że potrzebuje żywności, mógł zabić owce na pokarm, kazać sobie upolować zwierzynę, dostarczyć na kilka mil koni, po które trzeba było iść potem pieszo, żeby je odebrać na następnej stacji. Według uchwał synodu łęczyckiego przynajmniej w kościelnych dobrach, najuboższy człowiek mógł się odezwać: Nie masz prawa! Jeżeli chcesz, zapłać i poproś, żebym ci sprzedał! Nabycie prawa wobec księcia było czymś tak wielkim, że uboższa ludność aniby śmiała o tym zamarzyć. To było zdobyczą Kościoła i jego darem dla podwładnej mu ludności, a darem nie tylko materialnym, lecz i moralnym, bo nic tak nie podnosi osobistej godności człowieka, jak świadomość, że się ma prawo, że się nie jest niewolnikiem i igraszką zachcianek silniejszego. Doprowadzenie tych spraw do porządku w dobrach kościelnych wpłynęło też na innych; w całym kraju zaczęto myśleć o tym, jakby powinności państwowe urządzać w ten sposób, żeby nie były ciężkim brzemieniem i dały się pogodzić z dobrobytem ludności i jej interesami. Jakoż osiągnięto to potem, a Kościół pozyskał sobie wielką zasługę cywilizacyjną, że od niego wyszły te starania.

Jeden tylko wyjątek dopuszczał synod łęczycki, a mianowicie, gdyby nieprzyjaciel wkraczał do kraju, wówczas należały się gońcom podwody także w duchownych dobrach.

Uchwały synodu łęczyckiego zapadły przy udziale ośmiu biskupów polskich. Arcybiskup gnieźnieński i biskupi: krakowski, wrocławski, poznański, kujawski, płocki, kamiński, lubuski domagali się jednomyślnie uznania tych ustaw przez książąt. Diecezje ich obejmowały wszystkie dzielnice książęce. Książąt było wielu, metropolita zawsze jeden, a wszystkie księstwa spojone były w jedną całość w jednolitej kościelnej prowincji polskiej. Duchowieństwo całej Polski solidarnie wystąpiło ze swymi żądaniami i groziło klątwą każdemu, kto się do nich nie zastosuje. Uchwały synodu przesłano do potwierdzenia Ojcu Świętemu. Zatwierdził je papież. Zatwierdził również groźbą klątwy, dopisaną na końcu. Odtąd duchowieństwo miało prawo rzucić klątwę na księcia, który by uchwał łęczyckich nie przestrzegał.

Kazimierz Sprawiedliwy rozumiał, że wola panującego nie może wystarczyć za całe prawodawstwo. On sam przyjął łęczyckie uchwały jeszcze tego samego roku 1180; wszak wiedział, że się to przygotowuje i z góry się z tym zgadzał. Nie wszyscy jednak książęta podzielali to zapatrywanie i minęło jeszcze sporo czasu, odbyła się jeszcze niejedna walka, zanim uchwały łęczyckiego synodu uznane były przez wszystkich Piastów.

Całe duchowieństwo świeckie i zakonne poruszone było przez kilka lat przygotowaniem do synodu, a następnie obradami i dalszymi losami jego uchwał. Z ogromnym też zaciekawieniem śledziła to wszystko młodzież duchowna, klerycy i studenci wszystkich szkół, a nie było wówczas studentów innych, jak tylko przyszli kandydaci do stanu duchownego. Ile między tą młodzieżą było po szkołach rozmów, dysput, wymiany zdań!

Celował pomiędzy tą młodzieżą pewien student, który następnie pełnił wysoką godność biskupa krakowskiego i był pierwszym Polakiem, który napisał książkę; lecz co więcej, za życie wielce świętobliwe i wielce pożyteczne miał być wyniesiony na ołtarz. Tym nowym patronem Polski stawał się Wincenty z rodu Róźców z przydomkiem Kadłubek, urodzony w r. 1160 we wsi rodowej Karbów pod Stobnicą w Sandomierskiem. Kiedy odbywał się synod łęczycki, liczył lat 20, miał więc już swoje danie. Był gorliwym wielbicielem prawa kanonicznego i marzył o tym, żeby mógł go się uczyć i specjalnie temu przedmiotowi się poświęcić. Pragnął w tym celu wyjechać za granicę dla dalszych studiów. Ukończył właśnie szkołę przy katedrze biskupiej w Krakowie. Przejdźmy wraz z nim te niezwykle interesujące lata szkolne! Czyż nie warto wiedzieć, jak uczył się Wicus Kadłubek i setki jego kolegów w Polsce, a tysiące w Europie?

Książka była rzeczą kosztowną, gdyż była ręcznej roboty. Skoro każdy egzemplarz książki trzeba było osobno przepisywać, wymagało to sporo czasu; tym więcej, że nawet materiał do pisania nie bardzo był dogodny: Pisało się na skórach jagnięcych, umyślnie specjalnie w tym celu garbowanych i przyrządzanych, a zwanych pergaminem. Pisało się farbami, które należało mocno rozcierać, a piórem była trzcinka temperowana. Każdą literę trzeba było rysować osobno, jeżeli pismo miało być wyraźne. Za tyle straconego czasu i tyle trudu trzeba było porządnie zapłacić zawodowym przepisywaczom, więc niektóre klasztory same tym się trudniły, ażeby uniknąć nadmiernych kosztów. Nieraz cena książki była większa, niż całego porządnego gospodarstwa; droższe księgi przywiązywano nawet łańcuchami do pulpitów, jako skarby. Pożyczenie książki uchodziło za wyjątkowo cenną przysługę, a kto by chciał posiadać książkę na własność, musiałby poszukać przepisywacza i zamówić u niego albo też samemu zabrać się do przepisywania.

W szkołach ówczesnych sam tylko nauczyciel posiadał książkę, a uczniowie musieli się jak najwięcej uczyć na pamięć, żeby książkę mieć w głowie. Dzisiejsza młodzież nie może nawet mieć pojęcia o tym, jakiej pilności, wytrwałości i cierpliwości wymagały ówczesne szkoły. Najpierw uczono się na pamięć jakiegoś ustępu, a potem dopiero nauczyciel rzecz tłumaczył i wyjaśniał. W okresie polskich dzielnic książęcych zakładało się już szkoły przy każdej znaczniejszej parafii, a wyższe szkoły przy kościołach katedralnych, tj. biskupich. W takiej wyższej szkole uczono najpierw gramatyki łacińskiej, rozmówek w tym języku i ćwiczeń pisemnych; albowiem żadnej nauki być nie mogło, dopóki uczeń nie przyswoił sobie łaciny, bo dopiero w tym języku odbywała się właściwa nauka. Nauczano po łacinie, i uczono się po łacinie. Na tych wstępnych ćwiczeniach łacińskich schodziły pierwsze trzy lata. Dopiero gdy uczeń umiał wyrażać się po łacinie płynnie mową i pismem, poczyniała się prawdziwa nauka.

Zaczynała się od rachunków (arytmetyka), po czym następowała nauka obliczania kalendarza, wcale niełatwa sztuka obliczania Wielkiejnocy i wszystkich zależnych od niej świąt ruchomych, wreszcie nauka o układaniu nut i melodii, czyli tak zwana teoria muzyki, do czego rachunek jest niezbędny. Śpiewu kościelnego uczono praktycznie, ćwicząc chłopców od samego początku w śpiewaniu na nabożeństwach. Każdy ksiądz musiał się znać na muzyce, gdyż zależało na tym, żeby ją wprowadzać do nabożeństw. Uczono potem trochę geografii, żeby kleryk wiedział, gdzie leży Rzym i jakie są państwa chrześcijańskie; uczono też trochę historii naturalnej, tj. nauki o zwierzętach, roślinach i minerałach; uczono nieco geometrii, a w końcu nieco astronomii, o ile się na niej wówczas znano.

Nauczano także rzeczy potrzebnych do życia praktycznego, a więc pisanie listów, układania protokołów, dokumentów; uczono więc potrzebnych do tego wiadomości praktycznych, przede wszystkim zaś prawa kościelnego, dobrze już uporządkowanego i ujętego w system, gdy tymczasem prawodawstwu świeckiemu, państwowemu, daleko jeszcze było do tego.

Na tę wyższą część nauki przeznaczano dla uczniów najzdolniejszych cztery lata. Razem więc było klas siedem. Potem dopiero mógł uczeń zdolniejszy uczyć się przez dwa lata filozofii i dopiero po tych studiach zaczął się uczyć szczegółowo teologii, prawa kościelnego, czyli kanonicznego, lub medycyny na uniwersytecie. W Polsce go jeszcze nie było; ten i ów, gdy znalazł po temu środki, jeździł do Francji lub Włoch na te wyższe studia.

Trzeba mieć na uwadze, że w owych czasach wstępował chłopiec do szkoły w wieku znacznie starszym. Nauczanie było bez porównania trudniejsze, niż dzisiaj, wymagało przeto rozumu bardziej rozwiniętego. A przy tym rodzicom nie było spieszo ze szkołami, a chłopcu tym mniej. Nie istniała jeszcze późniejsza ciasnota życia miejskiego; nawet mieszczanie posiadali role za murami miasta, a w mieście nie było domu bez ogrodu. W takich czasach ława szkolna wydawała się jakby więzieniem! Szli do szkoły tylko chłopcy tacy, którzy sami tego pragnęli i długo się o to dopraszali, zanim im pozwolono. Zazwyczaj wstępowali do szkół chłopcy 12 i 13 letni.

Skończywszy więc po siedmiu latach szkołę katedralną, miał Wincenty już lat 20 i teraz dopiero, około r. 1180, musiał się przygotowywać jeszcze osobno do święceń kapłańskich. Zajął to trzy lub cztery lata. Święceń udzielił mu biskup Gedko, ten sam, który wygnał Mieszka Starego z Krakowa. On też zapewne wysłał młodego kapłana za granicę.

Ale do tego czasu miał Wincenty napatrzeć się wielu rzeczom w Polsce. Największe zapewne wrażenie wywarło na nim sprowadzenie do Polski aż z Rzymu kości św. męczennika Floriana. Było to wydarzenie nadzwyczajne, przejmujące umysły współczesnych może jeszcze silniej, niż synod łęczycki. A wyniknęło to z następujących okoliczności.

Ponieważ Kazimierz Sprawiedliwy panował w Małopolsce, a Mieszko Stary w Wielkopolsce, walka ich stawała się często jakby walką dwóch głównych dzielnic Polski. Wytwarzała się mimo woli pewna niechęć, która miała się objawiać w sposób bardzo szczególny. Prowincje te nie były jeszcze zlane z sobą, a podział Polski na księstwa i odrębność państwowa dzielnic pogłębiały jeszcze bardziej różnice. Nie zbliżały się te dzielnice w tym czasie ku sobie, lecz oddalały. Były prowincjonalne ambicje i tu i tam, a z tego rodziła się z czasem swoista zazdrość.

Gniezno miało prymasa, Kraków tylko biskupa, ale Kraków był stolicą całego państwa, siedzibą wielkich książąt, a Poznań pamiętał, że dawniej tam była stolica. Ale za to Wielkopolska miała grób św. Wojciecha w Gnieźnie, a Kraków żadnej relikwii! Na tym cierpiała krakowska ambicja najbardziej. Wytykano szyderczo Małopolsce i Krakowowi, że nawet patrona swojego nie mają! Czczono w Krakowie św. Stanisława biskupa, ale były to tylko prywatne modły, bo kanonizowany jeszcze nie był. Proces kanonizacji wymaga zawsze sporo trudów i starań, badań, i ciągłych podróży do Rzymu, i z Rzymu, komisji (żeby sprawdzić cudy) i rozlicznych pism. Wymaga to dużo kosztów i sporo czasu teraz jeszcze, a cóż dopiero wówczas, kiedy trzeba było całego miesiąca, żeby przejechać przestrzeń, na którą nam obecnie wystarcza jeden dzień podróży. A więc o kanonizację św. Stanisława rozpoczyna się starania, ale teraz rzecz pilna, trzeba prędko, jak najprędzej Krakowowi jakiegoś świętego patrona! Znaczyło to w praktyce, że trzeba sprowadzić do Krakowa, do katedry na Wawelu relikwie jakiegoś świętego. Ale skąd? Czy ktoś je da? Czy można było choć przypuścić, żeby gdzieś za granicą jakaś

diecezja pozbywała się świętej relikwii swego patrona dlatego, żeby je posłać do Krakowa?! Nie! Tak drogiego skarbu nikt nie da, nikt zresztą nie ma go za dużo!

Chyba Rzym? Tam relikwii mnóstwo, a przy tym Rzym jest ponad diecezjami, państwami, narodami, opiekując się wszystkimi jednakowo. Pojechało więc uroczyste poselstwo od Wielkiego księcia Kazimierza do papieża Lucjusza III (1181-1185). Prośba została wysłuchana i w r. 1183 przewieziono z Rzymu do Krakowa kości św. Floriana męczennika. Łatwo to dziś powiedzieć: przewieziono! Dzisiaj wysłano by osobny pociąg, urządzono by na kaplicę specjalny wagon z relikwiami, a orszak kilkunastu osób, dostojników i służby, znalazłby dla siebie jak najwygodniejsze pomieszczenie. Ale wtedy w r. 1183? Osób towarzyszących musiało być nie kilkanaście, lecz kilkadziesiąt - i na przeszło stu noclegach pomieszczenie dla nich stosowne. W iluż kościołach stały po drodze święte szczątki! Jakże trzeba było obmyśleć i sporządzać wozy na rzeczy, inne w górach, inne na równinach, a ileż razy należało sporządzać nosze tam, gdzie wóz nie mógł dojechać! Jechało się czasem drogami, częściej jednak bezdrożami, a zawsze tylko konno! A z relikwiami nie można było pędzić; trzeba było jechać wolno, tak z ostrożności, jak też z należytej powagi. Należało też wysłać przodem służbę, która by przygotowała noclegi, uprzedzając na kilka dni przedtem miejsca, przez które miał orszak cały przejeżdżać. Wiedziała więc o tym z góry cała ludność okoliczna. Zgromadzano się, zjeżdżano, przygotowywano gościnę na probostwach i po ratuszach, a w kościołach nabożeństwa. Słowem od Rzymu aż do Krakowa ciągnął wielki ruch i nabożeństwa uroczyste dzień w dzień. Miał sporo roboty i nie mało kłopotów biskup z Murino we Włoszech, który przewodził tej podróży z polecenia papieskiego.

Tak dojechano do Krakowa. Na dobrą miłą przed miastem oczekiwał świętego patrona wielki książę z biskupem krakowskim, z licznym orszakiem dostojników duchownych i świeckich, z rycerstwem i z całym duchowieństwem Krakowa i rozległej okolicy; a ilu przyjechało umyślnie z daleka, ażeby zobaczyć taką uroczystość, jedyną, która się już nie powtórzy nigdy! Garnęła się też cała ludność okoliczna, a bliżej miasta wyległo całe mieszczaństwo. Im bliżej Wawelu, tym bardziej powiększał się ten tłum, bez wątpienia wielotysięczny.

Relikwie spoczęły na Wawelu w przygotowanym już grobowcu. Nie poprzestając na tym, wystawił wielki książę patronowi swego państwa osobny nowy kościół, istniejący dotychczas wspaniały kościół św. Floriana w północnej części Krakowa - na Kleparzu - i w tym kościele umieszczono ramię z ciałą św. męczennika.

Męczennikiem bowiem był ten święty. Był to oficer wojsk rzymskich za czasów cesarza Dioklecjana, który zarządził prześladowanie chrześcijan, a panował w latach 284-305 po Chrystusie. W prowincji Noricum (dzisiejsze państwo austriackie) w mieście w warownym Laureacum nad Dunajem (ruiny w Lorch) pojmano wówczas czterdziestu żołnierzy chrześcijan, chcąc ich zmusić więzieniem i rozmaitymi udręczeniami, żeby złożyli ofiarę bożkom pogańskim. Przełożony ich, oficer Florianus, bawił wówczas poza garnizonem dość daleko w innym mieście, lecz dowiedziawszy się, co się stało z jego podkomendnymi, natychmiast wraca do Laureacum. Na moście przed miastem spotyka patrol, pyta więc, dokąd i po co się udają. Ci meldują mu, jako swemu oficerowi, że z rozkazu władzy przeszukują miasto i okolice, czy nie ma jeszcze gdzie chrześcijan. A wtedy Florianus powiada im: Nie trzeba wam daleko chodzić i długo szukać, oto mnie macie, jam jest chrześcijanin. Więc zaprowadzili go do cesarskiego urzędu, w którym poddawany kilkakrotnie mękom, Chrystusa śmiało wyznawał; wreszcie kazano go utopić w rzece. Woda ciało jego na brzeg odrzuciła, tam zajęli się nim nie wypatrzeni jeszcze przez władzę współwyznawcy i tymczasowo pogrzebali w okolicy, w miejscu odludnym. Potem, gdy prześladowanie ustało i załoga Laureacum odkomenderowana była do Rzymu, żołnierze chrześcijańscy (których jeszcze przybyło po prześladowaniach) zabrali ciało męczennika z sobą do wiecznego miasta. Tam z należną czcią wyprawiono pogrzeb, a niebawem wyniesiono na ołtarze męczeńskie szczątki.

Cześć tego świętego rozszerzyła się niebawem na całą Polskę, dotarła nawet później do naszych wschodnich prowincji. Nie wiadomo, jak to się stało, że poczęto wzywać jego wstawiennictwa szczególnie w razie pożaru. Ale nie jest to tylko polskim zwyczajem, bo również w Austrii i w południowych katolickich Niemczech uważa go się za patrona gaszącego pożary.

Przynajmniej tym razem niechęci dzielnicowe wyszły na dobre, bo nowym patronem wzbogaciła się cała Polska.

Patrzył na to Wincenty Kadłubek własnymi oczyma; należał do najbliższego orszaku biskupa, a zawsze był blisko samych relikwii, bo mieszkał na Wawelu; biskup bowiem zrobił go nauczycielem w szkole katedralnej.

Nauczając, pamiętał dobrze, że sam nauczyciel winien się ciągle uczyć. Toteż jakże się czuł szczęśliwy, gdy go wysłano na dalsze studia na uniwersytet za granicę. Były to instytucje kościelne, przeznaczone najpierw dla wyższych studiów teologicznych i filozoficznych; później dopiero wytworzyły się wydziały: prawniczy i medyczny. Najstarszy uniwersytet powstał w Paryżu, następnie we Włoszech w Bolonii i w Padwie, a potem dopiero w północnych krajach europejskich. Nowy uniwersytet wolno założyć było tylko za zezwoleniem papieskim. Językiem wykładowym mogła być tylko łacina, bo żaden z nowożytnych języków europejskich nie był jeszcze na tyle wydoskonalony, żeby można było w nim miewać wykłady naukowe; te języki kształciły się dopiero stopniowo na łacinie.

Otrzymał tedy Kadłubek zapomogę od biskupa Gedki, żeby mógł spędzić swobodnie kilka lat na studiach uniwersyteckich za granicą. Był w Paryżu i w Bolonii. Więcej zależało mu na Bolonii, gdzie bardziej kwitła nauka prawa kanonicznego. Pełno tam było młodzieży ze wszystkich krajów europejskich i profesorowie rozmaitej narodowości. Łączyła wszystkich łacina. Wynosiło się z miasta uniwersyteckiego znajomości międzynarodowe na całe życie.

Z profesorów najbardziej zajął się Wincentym w Bolonii Anglik Gerwazy z Tilbury (wieś w angielskiej prowincji Essex nad rzeką Tamizą). W późniejszych latach został kanclerzem państwa Arelatu (część południowej Francji), a miał doskonałe stosunki na dworze angielskim i cesarskim. Pisywał dzieła historyczne. Temu zawdzięczał Kadłubek swoje zamiłowanie historyczne.

Kiedy już kończył studia, był za granicą świadkiem przygotowań do trzeciej wyprawy krzyżowej, która odbyła się w latach 1189-1192.

W Palestynie źle się działo. Nie tylko stracono Jerozolimę, ale ostatni król jerozolimski dostał się do niewoli w bitwie nad jeziorem Genezareckim. Był to Guidon z Lusignan, Francuz rodem. Więc król francuski Filip II August wybrał się do Palestyny, a z pomocą zgłosił się król angielski Ryszard. Wojownik był z niego bohaterski; cóż skoro był kłótniwy i zakłócił krucjatę sporami. swoimi z królem Francji. Ten w końcu tak się obraził, iż powrócił do domu. Brał w tej wyprawie udział również cesarz Fryderyk Rudobrody i dobrze się sprawował, gdy nagle przyszła katastrofa: utopił się podczas kąpieli. Szczególnym zrzędzeniem losu także jego syn, również Fryderyk, umarł na tej wyprawie. Dokończyli krucjaty Anglicy, uzyskawszy przynajmniej dla chrześcijan pas wybrzeża morskiego. Zdobyto zaś bogatą i słynną ze wspaniałego klimatu wyspę Cypr i tam osadzono "królów jerozolimskich" - Jerozolimą niestety już nie władających.

Ów zaś Ryszard angielski otrzymał przydomek Lwie Serce. Wyszło już z użycia ("z mody") tytułowanie się "niedźwiedziem" jako królem zwierząt północnej Europy; na wyprawach krzyżowych dowiedziano się o tamtejszym królu zwierząt, o lwie, który niebawem i w Europie królem został, a niedźwiedzia strącił z tronu.

Zaznajomiwszy się z wielu słynnymi szkołami, napatrzywszy się wzorowym klasztorom wszelkich reguł, zakupywał bł. Kadłubek pod koniec swego pobytu za granicą całe księgozbiory. Funduszków dostarczył biskup Gedko i wielki książę Kazimierz Sprawiedliwy. Gdy Wincenty wrócił do Polski (w r. 1189), rozesłano te księgi po diecezjach, a niektóre klasztory urządziły całe pisarnie, żeby dzieła uczonych przepisywać i dalej rozsyłać.

Nie ustała jeszcze wprawdzie walka dwóch obozów, których przedstawicielami byli Kazimierz Sprawiedliwy i Mieszko Stary, ale Kazimierz był już osadzony mocno. Biskupi polscy wystarali się, że papież Aleksander III uznał przeniesienie godności wielkoksiążęcej z najstarszej, a więc śląskiej gałęzi Piastów (jak polecał testament Bolesława Krzywoustego) na gałąź najmłodszą, sandomierską, tj. na Kazimierza Sprawiedliwego i jego potomków.

Wakowało właśnie probostwo w Sandomierzu. Było to nadworne niejako probostwo, bo w Sandomierzu lubił najbardziej przebywać Kazimierz Sprawiedliwy. Upatrzył sobie Kadłubka na tę godność, a biskup też się zgodził. Pozostawał przeto Kadłubek w osobistych stosunkach z dostojnikami państwa i z samym wielkim księciem. Sprawy publiczne nie były mu obce.

W owych latach dużo było kłopotów z powodu ziemi Lachów. Były to sprawy często przykre, ale - rzecz doprawdy ciekawa - my pierwszą polską Świątą dostaliśmy właśnie z Rusi, od Rurykowiczów (błogosławioną Grzymisławę, o której niżej będzie mowa). A zawdzięczamy to temu, że trafiały się często powinowactwa przez ożenki pomiędzy dynastiami polską a ruską, Piastami a Rurykowiczami. Właśnie Kazimierz Sprawiedliwy miał rodzonego siostrzeńca Romana Rurykowicza i popierał jego starania wobec księstwa halickiego. Tak zaczęto nazywać ziemię Lachów, gdyż gród Halicz stał się tam stołeczny. Niespodzianie zjawił się nowy współzawodnik. Król węgierski Bela III wyprawił z wojskiem swego syna Andrzeja i ten rok cały przebywał w halickim grodzie. Wyniknęły z tego najrozmaitsze powikłania, wśród których zmarł Kazimierz Sprawiedliwy (w r. 1194).

Syn jego, Leszek Biały, liczył zaledwie siedem lat życia i od razu zagrożony był wznowionymi knowaniami Mieszka Starego i jego obozu. Wtedy to odwdzięczał się Roman bratu ciotecznemu za dobrodziejstwa doznane od wuja. Jego posiłki przyczyniły się do zwycięstwa Leszkowej wyprawy w r. 1195 w bitwie nad rzeczką Mozgawą (cztery mile od Jędrzejowa, na północ Krakowa). Leszek miał przeto zobowiązania względem Romana, a z tego wyniknęło coś wielce bolesnego już w cztery lata potem.

Zmarł ostatni z Rościszawiczów, właściwych panów Halicza. Wówczas tamtejsi wielmoże - polscy Lachowie - postanowili przyłączyć się do księstwa sandomierskiego, a więc poddać się Leszkowi Białemu i wracać do państwa polskiego. Lecz jak wyganiać Romana? Za Mozgawę? Rósł odtąd Roman w siły tak dalece, iż rozszerzając swe panowanie na wschodzie zawładnął nawet Kijowem - nie myśląc zresztą wcale przenosić tam stolicy, którą dla niego pozostał Halicz. Działo się to w r. 1190. A wkrótce co za zmiana! Ten sam Roman urządzał wyprawy na Sandomierskie, aż w r. 1205 w bitwie pod Zawichostem przypłacił to własną głową.

Pozostawił po sobie dwóch synów: Daniela i Wasylka, lecz w wieku dziecięcym. Odtąd przez lat trzydzieści trwają zaciekle walki o księstwo halickie i książęta zmieniają się tam niemal co roku. Tymczasem ów Andrzej, królewicz węgierski, który przez rok panował w Haliczu, stał się już królem Andrzejem II i ni stąd, ni zowąd ogłosił się w r. 1206 królem Halicza i Włodzimierza, co po łacinie nazywało się "rex Galiciae et Lodomeriae". Zapamiętajmy sobie ten szczegół, bo będzie to potrzebne w późniejszym opowiadaniu. Zapamiętajmy również, że wszyscy następcy Andrzeja II, wszyscy królowie węgierscy nosili ten tytuł stale i nigdy go się nie zrzekli - chociaż aż do r. 1772 do niczego im nie był potrzebny.

W rok po wymyśleniu na Węgrzech owego szczególnego "królestwa Galicji" w r. 1207 wszedł Leszek w związki powinowactwa z Ingwarem Rurykowiczem, księciem Łucka; dopomógł mu w zdobyciu drugiego księstwa, na Włodzimierzu Wołyńskim, i ożenił się z jego córką Grzymisławą. Od tej Rusinki zaczyna się szereg świętych polskich niewiast XIII w.

Jeżeli wychowana była w prawosławiu, musiała oczywiście przyjąć katolicyzm, wchodząc w ród Piastowski, a zwłaszcza, że stawała się wielką księżną krakowską. Lecz niekoniecznie musiała wyznawać przedtem prawosławie. Na Rusi działały wciąż polskie misje katolickie, książęta ruscy żenili się często z Piastównami, znaczna część Rurykowiczów wychowywana była przez matki katolicki. Ta dzielnica Rusi południowo-zachodniej z którą Piastowie mieli ciągle do czynienia, podlegała też wpływom Rusi halickiej, tj. ziemi Lachów, tej ziemi, która dopiero co chciała się łączyć z księstwem sandomierskim, ziemi świadomie polskiej; tu nawrócenia były najczęstsze i nacisk na książąt silny tak dalece, iż publicznie przechodzili na katolicyzm (np. miał katolickie lata w swym życiu ów Roman, o którym była mowa poprzednio). Z ziemi Lachów promieniował już katolicyzm na księstwa sąsiednie. Należał do nich Łuck i nie budzi wątpliwości, że Grzymisława nie czuła nigdy niechęci do katolicyzmu. Po zamęściu okazała niezmiernie przywiązanie do Kościoła, a żyła tak świętobliwie, iż zaliczona jest w poczet błogosławionych.

W latach tych kłopotów rusko-polskich powołany został bł. Wincenty z powrotem do Krakowa, gdzie go czekały najwyższe godności. Zrazu objął kierownictwo szkoły katedralnej, potem otrzymał w kapitule stanowisko scholastyka, tj. przełożonego szkół w całej diecezji. A w końcu w r. 1208 wybrała go kapituła na biskupa. Przez dziesięć lat rządził sławnie diecezją. Niejedno ulepszenie od niego wzięło początek. On zaprowadził ten piękny zwyczaj, żeby przed Najświętszym Sakramentem paliła się wieczna lampa.

Tak zaprzyjaźniony z Kazimierzem Sprawiedliwym, był też zwolennikiem jego syna Leszka Białego. Z bólem więc patrzył, jak w r. 1210 wielkksiążęca para musiała uchodzić z Krakowa. Pierwsze to było utrapienie w Polsce i upokorzenie błogosławionej Grzymisławy; pierwsze, ale nie ostatnie.

Tym razem nie Mieszko Stary uderzał, lecz szło o całkiem nowe kombinacje polityczne. Oto najstarsza gałąź Piastów, śląska, podniosła roszczenia do wielkiego księstwa. Młodszy z synów Władysław II, książę raciborski, Mieszko Kulawy, zawładnął Wawelem. Posiadał Kraków jednak kilka tylko miesięcy, bo zmarł już w r. 1211, a Leszek z Grzymisławą wrócili do wielkiego księstwa. Później przejął roszczenia Kulawego inny książę śląski, wrocławski Henryk Brodaty. Przez szczęśliwe spadki połączył w swoim ręku Wrocław, Głogów i Opole, a więc przeszło połowę Śląska, a potem przez różne kombinacje rozszerzył swe panowanie coraz dalej, aż stał się najpotężniejszym pośród Piastów. Ale póki żył Leszek, nie próbował pojąć Krakowa.

A żeby mieć spokój także od zewnątrz, zabrał się Leszek do drażliwej sprawy z dynastią madziarską o Halicz. Odbił w tym celu zjazd z królem Andrzejem II na Spiszu, w krainie na południu Tatr, i tam zawarli układ przyjaźni, który miał być potwierdzony małżeństwem ich dzieci. Andrzej miał syna Kolomana, liczącego lat pięć, a córka Leszka i Grzymisławy, Salomea - potem również błogosławiona - miała lat trzy.

Takie niby małżeństwa dzieci były w owych wiekach dozwolone. Oczywiście były to tylko uroczyste zaręczyny i zależało to od woli narzeczonych, gdy dorosną, czy zechcą być małżeństwem. Ale gdyby zechcieli, nie trzeba byłoby już żadnych formalności nowych. Owe zaręczyny były bowiem dokonywane najzupełniej w formie sakramentu małżeństwa, sakramentu udzielanego wprawdzie warunkowo, lecz bądź co bądź udzielonego. Ukoronowano więc tę parę dzieci w r. 1124 i osadzono uroczysto na halickim tronie. Stanowiło to dopiero początek nowych zawikłań. Na razie miał Halicz królową trzyletnią. Poszła od razu za mężem, to znaczy, że teść węgierski zabrał ją na swój dwór, żeby się tam wychowywała razem z mężem, Salusia bawiła się więc razem z Kolomankiem.

I Kościół ma swą historię, bo przechodzi przez zmiany. Niezmienny jest dogmat i nauka moralności, ale odmieniają się zwyczaje. Taki np. ślub dany przed ołtarzem parze dzieciaków nas dzisiaj nie tylko dziwi, ale razi. Wyrwa się mimowolnie: Jakżeż można? Ale śluby takie ograniczone były do rodzin monarszych, a ufano szczerze, że spowinowacenie władców stanowi najlepszy sposób zaprzyjaźnienia się ich krajów. Chcieli mieć tę przyjaźń zawczasu upewnioną, zatwierdzoną, od razu, natychmiast. Jakżeż sprzeciwiać się chwalebnyemu zamiarom zgody? Iluż wojnom zapobiegł Kościół, zezwalając na takie małżeństwa? Lecz później zniesiono to.

Podobnie ma też swoją historię pojęcie świętości. Ogół wiernych w rozmaitych czasach rozmaite stawiał wymagania swym wybranym, których szczątki pragnął widzieć na ołtarzu, do których się modlono, dopraszając się w Rzymie kanonizacji. Podstawę stanowiła zawsze wielka świętobliwość, ale na tle świętobliwości, tego warunku nieodzownego, ileż może być rozmaitych zwyczajów! I tak dziwimy się niejednemu, co czytamy np. w żywotach św. Jadwigi śląskiej.

Właśnie kiedy Andrzej II i Leszek Biały jechali do Halicza na ślub i koronację swych dzieci, dotarła ze Śląska wieść brzmiąca szczególnie nieprawdopodobnie, że małżonka Henryka Brodatego, Jadwiga, opuściła przed kilku miesiącami męża i zamknęła się w klasztorze. Nie tylko męża opuszczała, ale też sześcioro dzieci: siódme, najstarszą córkę Gertrudę, wzięła z sobą do klasztoru. Jak to rozumieć?

Książę wrocławski, Henryk Brodaty, znany był z tego, że sprowadzał na Śląsk całymi gromadami osadników niemieckich; sam bowiem był nieco zniemczony. Zniemczenie znać było nawet w tym, jak

na jego dworze pojmowano świętość. Było to doprawdy trochę formalistycznie, trochę z niemiecka po bizantyńsku.

Sam przydomek księcia wrocławskiego pochodzi z jego świątobliwej formalistyczności. Był to człowiek uczciwy i bardzo religijny. O jego chrześcijańskiej pokorze świadczyła broda. Tak, broda! Była wtedy moda golenia, brodę nosili tylko ludzie zaniedbujący się, wędrownie ubóstwo itp. Z pobudek nabożnych upokorzył się nasz książę aż tak dalece, iż także zapuścił brodę i stąd przydomek Brodatego. Nie nosił kosztownych strojów, ani złota, ani drogich kamieni; najbardziej lubił chadzać w prostym ubraniu płóciennym. W domu jego panował surowy obyczaj i wielka nabożność. Żona jego, Jadwiga z książąt frankońskich - późniejsza święta - liczyła lat trzynaście, gdy wychodziła za mąż. Dostosowała się najzupełniej do obyczaju swego męża i niebawem prześcignęła go w nabożeństwie, umartwieniach, i w nadzwyczajnej dobroczynności. O miłosierdziu jej opowiadają rzeczy niezwykle. Oboje założyli w r. 1203 klasztor cysterski męski w Trzebnicy, nieco na północ od Wrocławia; a gdy rozszerzoną już po całej Europie regułę cysterską przystosowano także do zakonnicy, ufundowała księżna tamże klasztor żeński i zamknęła się tam w r. 1213 wraz z córką, którą zrobiła ksienią. Sama ślubów zakonnych nie składała i zakonnica wcale nie była, chociaż spełniała wszystkie bez reszty wymagania reguły zakonnej. I tak przeżyła tam całych trzydzieści lat.

Rozeszła się z mężem za jego zgodą i z jego zezwoleniem zamieszkała w klasztorze, jak tego wymaga prawo kościelne. Żąda ono nadto, żeby dzieci w tego rodzaju wypadkach były materialnie zaopatrzone, o co w rodzie książęcym nie było kłopotu.

Przestąpiwszy progi klasztorne, prowadziła Jadwiga żywot wśród wymyślanych umartwień, odmawiając sobie wszystkiego; żyła jak nędzarka, jak najsurowsza pokutnica. Usunęła ze swego żywota wszystko, co załatwiałoby choćby najmniejszym dobrobytem. A cechy dobrobytu bywają rozmaite w rozmaitych czasach. Na przykład dzisiaj najuboższy musi mieć bieliznę, ale wówczas książęta jej nie miewali, bo jeszcze tego nie znano. Kąpiel w domu mógł mieć tylko zamożny, bo trzeba było do tego odpowiednich kadzi, ognisk i służby. Mydło stanowiło kosztowną rzadkość; było czymś tak cennym, iż ani nawet na dworach książęcych nie można było dawać go do codziennego użytku. Świeciło się szczapami, paliło się na otwartych ogniskach, a zimą woda w kuble zamarzała do rana. Ani w pałacach nie było jeszcze szyb szklanych, tylko pęcherze natłuszczone, ani podłóg z desek, tylko nalepa, a tylko u najbogatszych i tylko w paradnych pokojach podłoga kamienna. My dzisiaj uznalibyśmy za umartwienie to, co w XIII wieku uważało się za życie wygodne! Jeżeli tedy wówczas chcieli się umartwiać, urządzali sobie sztuczną, umyślną nędzę. Na przykład św. Jadwiga chodziła boso. Gdy jej spowiednik tego zakazał, nosiła trzewiki pod pachą, aż uprosiła spowiednika, że zezwolił jej chodzić boso aż do końca życia. Stopy obłocone twardniały i grubiały, a w razie najłżejszego skaleczenia ropiały; wreszcie porobiły się w nich dziury, a byli świadkowie na to, że do niektórych dał się włożyć palec, takie były duże. Rany te krwawiły, a w zimie okrywały się ropną skorupą. Dzisiaj nie pozwolono by na to w najsurowszym klasztorze! Ale wówczas, gdy higieny jeszcze nie znano, mniej też dbano o czystość. Może by zgorszył się o to i owo dzisiejszy czytelnik, gdyby czytał żywot tej świętej obszernie, szczegółowo. Taki niech pamięta o tym, że kanonizowano ją nie dla ówczesnych zwyczajów, lecz pomimo nich, a dla cnót takich, które zawsze jednakowo są cnotami, dla jej całkowitego zaparcia się siebie i niezrównanego miłosierdzia.

Wykształcenie religijne stało nisko i rzadko kto wiedział, że każdy uczciwy tryb życia może być uświęcony i że w pierw należy spełniać obowiązki swego stanu, a potem dopiero wolno mnichów naśladować. Pośród książąt piastowskich byli niestety tacy, którzy biczowali się w wielkim poście, ale obowiązki książęce spełniali źle, a raczej całkiem ich nie spełniali.

Zobaczymy jeszcze, że Henryk Brodaty, taki nabożny, zapatrywał się jednak fałszywie na stosunek do Kościoła, skoro przyszło mu popaść w kłątwe.

Ale dla takich, którzy żyją w świecie, spełnili już obowiązki swego stanu, i pragnęliby ostatnie lata poświęcić wyłącznie duszy własnej, może życie zakonne posiadać czar niewypowiedziany. Tak bł. Bogumił usunął się w zasadzie i podobnie za jego przykładem bł. Wincenty Kadłubek. Z własnego majątku, ze swoich dwóch wsi pod Stebnicą ufundował Cystersom klasztor w Jędrzejowie i tam przebył ostatnie pięć lat życia.

A spędził je wielce pracowicie. Będąc świadkiem, a nieraz nawet uczestnikiem tylu doniosłych spraw publicznych postanowił przekazać potomnym wiadomości o tym i zabrał się do spisywania kroniki swoich czasów. Wydało owoce zamiłowanie do historii, które za młodu przejął od Gerwazego z Tilbury. Oczywiście pisał po łacinie, bo język polski nie był jeszcze dość wykształcony, żeby w nim książki pisać i dopiero na łacinie miał się wydoskonalać. W toku pracy podjął myśl, żeby mianowicie napisać całą historię polską od początku. Robił to już raz, za czasów Krzywoustego, osiadły w Polsce cudzoziemiec (Martinus Gallus); Kadłubek był pierwszym Polakiem, który napisał książkę. Powiodło mu się dojść w pisaniu od początków aż do czasów sobie współczesnych, ale gdy potem zabrał się do wykończenia współczesnych, niedaleko nadażył, bo tylko do r. 1202.

Śmierć przerwała uczoną pracę w r. 1223. Pochowano go w Jędrzejowie. Pielgrzymowano do jego grobu, bo go uważano za świętego, i działy się cuda. Przez dziwne zaiste zaniedbanie nie zrobiono w Rzymie odpowiednich starań. Dopiero w r. 1769 załatwiono sprawę zaledwie beatyfikacją za papieża Klemensa XIII. W katedrze krakowskiej nie było całkiem jego relikwii. Dopiero w r. 1898 biskup krakowski ks. kardynał Puzyna przewiózł część relikwii i umieścił je w marmurowej trumience w katedrze na Wawelu (obok grobowca króla Jana Olbrachta, w kaplicy na prawo za wielkim ołtarzem).

Wiąże się całe życie bł. Wincentego Kadłubka ze sprawą, a raczej ze sprawami synodu łęczyckiego. Brał udział w przygotowaniach, a studiował prawo kanoniczne w tym celu, żeby tym lepiej służyć samorządowi kościelnemu. Gdy o to chodziło, gotów był wszystko poświęcić. Kiedy otrzymał wiadomość, że wielki książę przemaszeruje go na biskupstwo, oświadczył, że nominacji nie przyjmuje i nie przyjął, aż go formalnie wybrała kapituła, jak tego wymagało ówczesne prawo kanoniczne.

Samo odbycie synodu nie załatwiało jeszcze spraw samorządu Kościoła. Działanie synodu trwało długo po jego zakończeniu, zanim przyjęto jego uchwały we wszystkich dzielnicach piastowskich. Ciągnęła się ta sprawa przez całe życie Kadłubka, a dopiero po jego zgonie zakończyła się triumfem Kościoła. Ale już za jego życia powstało nawet w samej Wielkopolsce, pod rządami Mieszka Starego i jego synów, stronnictwo samorządowe.

Pod tym hasłem walczone, zwalczano się lub łączono: całe to pokolenie współczesne Kadłubkowi można śmiało nazwać pokoleniem synodu łęczyckiego.

A zanim ono jeszcze zeszło do grobu, zabłysnął nad Polską istny wieniec świętości. Od bł. Grzymistawy poczynając, ciągnie się cały szereg mężów i niewiast świętobliwych, błogosławionych i świętych patronów polskich. Po większej części znał ich Kadłubek (kiedy byli jeszcze młodzi) osobiście, toteż i w następnym rozdziale nawinie się nieraz wspomnienie o nim.

Zakony

Kiedy św. Jadwiga śląska zamykała się w klasztorze swoim w Trzebnicy, uważała widocznie, że świat jest zepsuty już tak dalece, iż nie ma na nim miejsca dla cnotliwych. A zwłaszcza wielki świat. Mniemała, że na tym wielkim świecie nie da się należycie służyć Bogu, więc lepiej dla księżnych pozamykać się po klasztorach, skoro księżęta sami nie mogą tego zrobić. Myliła się święta w ocenie współczesnej sobie doby. Właśnie kiełkowały nowe źdźbła bojaźni Bożej i nowe ziarna doskonalenia się; wschodziły nowe nasiona darów Ducha Świętego, które już nawet poczynały wieńczyć się kłosami. Nie wiedziała, że we Włoszech powstają nowe twierdze dla potęgi Kościoła, dwa nowe wielkie zakony Dominikanów i Franciszkanów. Niebawem pojawiły się w Polsce. Jeszcze ona sama, św. Jadwiga miała mieć pod koniec życia w swojej Trzebnicy spowiednika Franciszkanina. I to dziecię, malarzka królowa Salomea, także jeszcze będzie Franciszkanką.

Kiedy Leszek Biały obejmował rządy, było w Polsce klasztorów benedyktyńskich 17, kamedulskich tylko 2, ale cysterskich, chociaż to był zakon nowszy, już 11. Wszystkich klasztorów razem było 41. Przybyli zakonnicy jeszcze trzech reguł. Ciekawe jest powstanie tak zwanych kanoników regularnych. Kapłani przebywający przy jednym kościele wprowadzali życie wspólne, tworząc tak zwane zgromadzenia kanoniczne; wpisywali się do nich często kapłani świeccy, zgromadzeni przy katedrach i

kolegiatach, i dlatego zwano ich kanonikami. Nie było wszakże przymusu; owszem, wielu biskupów było tego zdania, że lepiej, żeby członkowie grona katedralnego nie byli zakonnikami. Bywało więc i tak, i owak. Niektórzy pozostali przy wspólnocie dóbr i życiu zakonnym, i takich zaczęto nazywać kanonikami regularnymi. Z czasem utracili oni związek z kapitułami przy katedrach, ale nazwa kanoników została. Do Polski przybyli w r. 1108, najpierw do Wrocławia; do końca XII w. mieli u nas siedem klasztorów.

Zakonnicy ci byli najbogatsi ze wszystkich, toteż garnęło się do nich wielu takich, którym niekoniecznie chodziło o Bożą chwałę. Ześwieczony zakon zreformował w r. 1121 św. Norbert, założywszy swój klasztor w Pré Monré we Francji. Stąd reguła zwie się norbertańską lub Premonstrantów. Ci dostarczali chętnie misjonarzy. Do Polski przybyli za Bolesława Krzywoustego i mieli pierwszy klasztor w Kaliszu; który jednak niedługo istniał. Za Kazimierza Sprawiedliwego było siedem norbertańskich klasztorów.

Możnowładca Jaks z Miechowa, bawiąc na pielgrzymce w Palestynie, uczynił ślub, że wystawi w Polsce podobiznę świętego Grobu i założył fundację na odprawianie takich samych nabożeństw, jak przy grobie Zbawiciela. W ten sposób powstał w roku 1162 pierwszy klasztor Bożogrobców w Miechowie. Następny powstał dopiero znacznie później w r. 1214. Nie rozpowszechnili się nigdy i przez cały okres piastowski mieli tylko czternaście klasztorów.

Wszystkich razem klasztorów, dawnej benedyktyńskiej i tych nowych reguł, było w Polsce za Kazimierza Sprawiedliwego 41. Każdy klasztor składał się (jak i dziś) z księży i braciszków. Ale braciszkami zostawali często ludzie wysokiego rodu, pragnący poświęcić się pracy umysłowej, do której nie było sposobności gdzie indziej, jak tylko w klasztorze. W klasztorach zagranicznych było wśród braciszków wielu wybitnych uczonych, sławnych artystów, zwłaszcza malarzy i architektów.

Była więc już zakonów rozmaitość. Ale w ostatnich latach życia bł. Kadłubka powstały dwa nowe: Dominikanów i Franciszkanów, i szybko stanęły na czele społeczeństwa.

Więc znów nowe zakony? Skąd i od czego ciągle nowe? Pytanie takie słyszy się często, słyszano je również często w dawniejszych wiekach. Znakomitość narodu polskiego, ks. Piotr Skarga odpowiedział na to jeszcze w XVI wieku w te słowa:

"Jako gospodarz zawždy śle na robotę, ale niejednakową i nie z jednymi naczyniami czeladkę: czasem posyła z pługami, czasem z siekierami, często z sierpami, a niekiedy z kosami; tak też póki byli biskupi, kapłani i pasterze świeccy pilni około siebie i zleconych dusz ludzkich, posyłał Pan Bóg szczerych pustelników, na wzór Jana Chrzciciela, ostrość żywota i milczenie a zatajenie miłujących... którzy tylko swego zbawienia pilnowali i ludziom samym przykładem do życia doskonałości drogę ukazywali. Lecz gdy na kapłanach i robotnikach kościelnych schodziło, z innym naczyniem posłał robotników Pan Bóg do winnicy swej, tj. z nauką i obcowaniem nieco towarzyskim z ludźmi... Taki był ten św. Dominik, i św. Franciszek..."

Słowa te pisane były w roku 1579, a wyjaśniają rzecz całą doskonale. Powstanie nowych nie uwłacza zresztą dawnym zakonom, które zazwyczaj trwają także nadal obok nowych. Rzadko kiedy zanika całkiem jakieś zgromadzenie zakonne. Tak np. był we Francji zakon pontifeksów, tj. budowniczych mostów, bo obok praktyk życia religijnego, tę mieli praktykę życia powszedniego; ale gdy świeccy wyuczyci się już od nich tej specjalności, oni stali się już niepotrzebni. Niegdyś Cystersi mieli przy swych klasztorach to, co dziś nazywamy folwarczkiem wzorowym i rolniczą stacją doświadczalną. Obecnie nie potrzebujemy do tego klasztorów, ale Cystersi zostali (choć w liczbie bardzo zmniejszonej), bo zajęli się czynnościami już parafialnymi.

Przez cały ciąg historii Kościoła powstają nieustannie wciąż coraz nowe zakony; a czy obecnie za dni naszych mało ich powstało i ciągle dalej powstaje? Niemal każde pokolenie wytworzy gdzieś jakiś zakon (czasem nawet kilka) według swej najpilniejszej potrzeby. Miejmy i to na uwadze, że jedność w różnorodności stanowi cechę cywilizacji łacińskiej, tej cywilizacji, która jest córą Kościoła. Przeciwnie jest w cerkwi bizantyńskiej; tam od początku wciąż jeden tylko jest zakon bazyliński. Bo też tam nie zna ani kaznodziejstwa, ani misji wewnętrznych.

Te właśnie dwa zabiegi życia religijnego stanowiły specjalność Dominikanów i Franciszkanów. Dominikanie nazywają się "zakonem kaznodziejskim", bo św. Dominik pierwszy spostrzegł, że trzeba po kościołach koniecznie więcej kazań, niż bywało do jego czasów. A św. Franciszek z Asyżu pierwszy odkrył tę prawdę, że chcąc podnieść biedotę, trzeba iść samemu między nich. Zrobili się więc Franciszkanie najpierw specjalistami do misji wewnętrznych i potem dopiero niektóre z ich klasztorów poświęcały się także zewnętrznym; gdy Dominikanie wykształcili wysoko kaznodziejstwo, z samych powołań kaznodziejskich musiało się wytworzyć przez prostą konsekwencję powołanie misyjne.

Św. Franciszek z Asyżu urodził się w r. 1182 w północnych Włoszech w mieście Assisi (spolszczone na Asyż), ale wcale nie nazywał się Franciszkiem. Pochodził z zamożnej kupieckiej rodziny Bernardonów, a na imię było mu Jan. Załatwiał zrazu ojcowskie interesy. Ojciec wyręczał się młodym do podróży handlowych i wysyłał nieraz syna do Francji. Jan nauczył się po francusku i od tego obdarzono go w rodzinnym mieście przezwiskiem "Francuzika", po włosku Francesco. Przewisko miało stać się nowym imieniem chrzestnym w całym świecie katolickim. Młody, obrotny, rzutki z Jana Franciszek, przebywszy ciężką chorobę, zmienił tryb życia, a oddał się przede wszystkim miłosierdziu pośród największych nędzarzy. Gdy mu rodzina odmówiła środków pieniężnych, począł żebrac... na żebraków. Od sąsiednich Benedyktynów uprosił sobie opuszczony i walący się kościółek N.M.P. Anielskiej pod Asyżem na górze zwanej Subano. Była to drobna część posiadłości benedyktyńskich, przez nich niemal zapomniana, i tak niewielka, że nazywano ją "cząsteczką", po włosku "portiuncula". Zamieszkała w nędznej chatce przy tym kościółku. Wkrótce miał koło siebie 23 uczniów i wybierali się wszyscy na wędrówki misyjne. Były z początku trudności z zatwierdzeniem reguły prawdziwie żebraczej i radzono nawet o tym na soborze laterańskim w r. 1215.

Poszedł Franciszek do Rzymu i tam spotkał się ze św. Dominikiem. Ten także przybył starać się o zatwierdzenie swojego zakonu, który również miał być zakonem żebrzącym.

Dominik był Hiszpanem, kanonikiem w Osma, bardzo poważnym uczonym. Jego biskup, wyjeżdżając raz do południowej Francji zabrał Dominika z sobą. Podróż ta rozstrzygnęła o dalszym jego życiu. Tam, w krainach południowej Francji, szerzyła się wielce niebezpieczna herezja Albigensów. Właściwie niewiele chrześcijaństwa zostało u tych sekciarzy, skoro poprzekręcali w niemożliwy sposób naukę o Sakramentach św. Nie uznawali stanu kapłańskiego i urządzili rewolucję społeczną, wywracając fundamenty społeczeństwa, zaczęli od wspólności majątków, a po kilku latach doprowadzili do wspólności... kobiet. Robili zatem ze społeczeństwa cywilizowanego jakąś dzicz. Łagodnością nie można było z nimi nic wskórać, misje nie pomagały, a w r. 1209 zamordowali legata papieskiego. Posiedli oni znaczną siłę zbrojną, gdy dał im się opętać i stanął na ich czele Rajmund, hrabia Tuluzy. Zawrzała więc orężem wojna religijna, bo katolicy musieli także porwać za broń, zmuszeni bronić swych żon i córek, rodzin swych i mienia. Trwały te walki aż do r. 1219.

Św. Dominik miał sposobność poznać Albigensów z bliska i powziął postanowienie, żeby założyć osobny zakon kaznodziejski, misyjny. Ponieważ zaś ci heretycy (jak zwykle heretycy) walczyli z Kościołem argumentem, że duchowieństwo nie powinno posiadać żadnych dóbr ziemskich, mieli też Dominikanie stać się zakonem żebrzącym, zakonem wędrujących ciągle misjonarzy, utrzymujących się tylko z żebraniny.

Zupełnie tego samego chciał św. Franciszek, tylko że regułę obmyślił jeszcze surowszą; tak surową co do ubóstwa, iż zdaniem zwierzchności duchowej przerastała ludzkie możliwości. Dopiero w r. 1223 zatwierdziła Stolica apostolska regułę złagodzoną. Franciszkanie przebiegali Włochy, udawali się też między muzułmanów do północnej Afryki, podczas gdy Dominikanie zaczęli swą działalność od południowej Francji. Potem rozwinąć się miały te zakony odmiennie. Dominikanie zajęli się bardziej naukami, podnieśli wysoko studia teologiczne i filozoficzne. Oni wydali spośród siebie największego filozofa katolickiego, św. Tomasza z Akwinu (żył w latach 1225-1274). Franciszkanie także mieli swoich uczonych, ale najzaszczytniej zaznaczyli się w dziejach sztuki kościelnej. Słynni są po wszystkie wieki malarze franciszkańscy, słynni też ich architekci. Żebractwo bezpośrednio usunęła następnie Stolica apostolska z reguł obu zakonów.

Ważną też rzeczą jest wiedzieć, że św. Dominik odznaczał się szczególnym nabożeństwem względem Najświętszej Marii Panny, co następnie przeszło na cały jego zakon.

Do Polski przybyli Franciszkanie dopiero w r. 1237, ale klasztor dominikański mieliśmy w Krakowie już w r. 1223, a pierwszych Dominikanów, i to rodowitych Polaków, jeszcze o pięć lat wcześniej, w r. 1218. Dlatego wcześniej mogli się rozwinąć, że od razu zaczynało się od Polaków. Dominikanie byli pierwszym zakonem, który w Polsce był od początku polski. Wszystkie inne - i franciszkański także - składały się z początku z zakonników cudzoziemskich.

Św. Dominik nie musiał przysyłać do Polski swych uczniów, bo Polacy pierwsi sami do niego przyjechali. Zawdzięczamy to bł. Kadłubkowi, zwłaszcza jego stosunkom ze Śląskiem.

O dwanaście mil od klasztoru trzebnickiego znajdowało się gniazdo znakomitego rodu Odrowążów, mianowicie na pograniczu księstw opolskiego i wrocławskiego, na południe od Wrocławia, w Kamienicy; było to pod władzą Henryka Brodatego. Ród Odrowążów wyróżniał się zamiłowaniem do nauki, czego najlepszym dowodem, że trzech jego członków było kapłanami: Iwo, Czesław i Jacek. Znani byli biskupowi Kadłubkowi i cenieni przez niego. Czesława zrobił kanonikiem katedralnym krakowskim, Jacka polecił arcybiskupowi w Gnieźnie, dokąd też powołany został na archidiacona kapituły, Iwona zaś upatrzył sobie na swego następcę na biskupstwie krakowskim.

Według prawa kanonicznego trzeba na to osobnego pozwolenia papieskiego, żeby biskup mógł się zrzec swej diecezji. Zamierzając tedy usunąć się, powierzył tę sprawę Iwonowi, udającemu się do Rzymu. W r. 1217 skłonił bowiem wszystkich trzech, żeby pojechali do Włoch, przede wszystkim dla studiów w Bolonii. Oczywiście, że każdy podróżnik przybyły do Włoch, a zwłaszcza będąc kapłanem, jechał aż do Rzymu, bo jakże ominąć Rzym, gdy się już jest we Włoszech! Na papieskim dworze załatwiłby zatem Iwo rezygnację bł. Wincentego i prosiłby o pozwolenie, żeby mógł być jego następcą. W Bolonii zaś oprócz profesorów prawa kościelnego była jeszcze inna znakomitość, św. Dominik. I tak się stało, że Czesław i Jacek przywdziali tam habity dominikańskie. Polska otrzymała więc nowy zakon wprost od jego założyciela. Jeszcze jeden Polak składał ślubowanie zakonne św. Dominikowi wraz z Odrowążami. Przyłączył się do nich w drodze do Włoch kapłan polski imieniem Sadok, towarzysząc im stale; i ten także wracał do Polski jako Dominikanin. Ci trzej mieli powiększyć grono świętych patronów polskich.

Wszyscy uczniowie św. Dominika przejmowali się bezmierną czcią dla Matki Bożej, a klasztory dominikańskie stawały się ogniskami, w których obmyślano nowe nabożeństwa, specjalnie na cześć Najświętszej Marii Panny. Dodajmy tu pewien szczegół: św. Jacka przedstawia się od początku zawsze z posążkiem N.M.P., z którym nigdy się nie rozstawał. W Polsce takich posążków nie umiano jeszcze wyrabiać. Nabył go widocznie we Włoszech i wszędzie z sobą woził; umieszczał go w kościele czy w kaplicy, gdzie odprawiał nabożeństwa i ustawiał na swoim podróżnym ołtarzyku.

Zaczyna się więc historia Dominikanów w Polsce od razu od świętych Pańskich; od trzech nowych patronów, którzy razem powrócili do Polski w r. 1218. Na drogę powrotną pozyskano dwóch nowych towarzyszy: Niemca Hermana i Morawianina Henryka. Pracowali po drodze szukając, gdzie by zasadzić winnicę Pańską. Dowodem tego klasztor dominikański, założony przez nich w Styrii w mieście Frysaku (Freisach), tudzież żywa tradycja, dochowana o pobycie św. Jacka wśród Słoweńców, we Velesowem w dziekanacie krańskim (Kranj) w prowincji Krainie.

Gdy wreszcie dotarli do Krakowa, bł. Wincenty Kadłubek rad był, że będzie mógł w ciszy klasztornej zająć się spisaniem swej historii polskiej i że daje Krakowowi nowego arcypasterza w osobie Iwona Odrowąża, męża niepospolitego. Rządził on diecezją w latach 1218-1229. O jego staraniach i zasługach świadczą dwie świątynie, zaliczone słusznie do najpiękniejszych w Polsce: kościół dominikański, którego budowę rozpoczęto w roku 1223, a w trzy lata potem kładziono fundamenty pod kościół N.M.P., zwany popularnie "Mariackim" i pod tym mianem słynący nie tylko na całą Polskę, ale też za granicą.

Ród Odrowążów miał wydać współcześnie jeszcze jeden kwiat do wieńca świętości nad Polską. W rok po powrocie odwiedzili św. Jacek i Czesław swą rodziną Kamienicę śląską, a widząc tam

nadzwyczajną gorliwość religijną u swej siostry stryjecznej Bronisławy namówili ją, by wstąpiła do klasztoru. Liczyła wówczas lat szesnaście. Dominikanki jeszcze nie istniały. Żeńskich zakonów było wówczas w Polsce tylko dwa rodzaje: według reguły pierwotnej cysterskiej lub norbertańskiej. Bardzo to jest znamienne, że bł. Bronisława nie wstępowała do Cystersek w Trzebnicy, chociaż to bliżej Kamienicy i chociaż tam jej własna księżna wrocławska przebywała od sześciu lat, a księżniczka była ksienią. Świadectwa współczesne zapisują wyraźnie, że sam św. Jacek doradził jej Norbertanki na Zwierzyńcu pod Krakowem (dziś nie pod, ale w Krakowie). Reguła ich bardzo surowa i są zupełnie odcięte od świata; nie o to więc chodziło, aby siostrze było tam lżej, łatwiej, niż w Trzebnicy. Chodziło widocznie o coś innego. Oto Kadłubek i ci trzej Odrowążę to szczyty, wierzchołki najwyższej ówczesnej inteligencji polskiej, to uczeni kształceni we Włoszech, to wielcy panowie, Europejczycy, znający dwór papieski, a na dwory książęce piastowskie patrzący krytycznie. Stopień ich wykształcenia, tudzież ich znajomość świata były bez porównania wyższe, niż np. u książęcej pary, wrocławskiej, niż na dworze wrocławskim, a tym bardziej w klasztorze w Trzebnicy, gdzie w najlepszej wierze, przez naiwność, poziom ten był jeszcze bardziej obniżony. Powracający od św. Dominika Odrowążowie cenili klasztor trzebnicki, ale każdy ma prawo wybrać sobie, jakimi sposobami woli chwalić Pana Boga. Katolicyzm ceniący jedność w różnorodności podaje tych sposobów tyle! Nie wybrał więc św. Jacek Trzebnicy, bo nie odpowiadały mu tamtejsze zwyczaje i posłał siostrę do Norbertanek, gdzie surowość życia nie łączyła się z pewnymi nawykami, które go razić musiały.

Ponieważ stryjeczny brat bł. Bronisławy, Iwo Odrowąż, jako biskup krakowski stale przebywał w pobliżu, nietrudno się domyśleć, że był on stałym jej kierownikiem duchownym, i całego klasztoru w ogóle. Natomiast odwiedziny św. Jacka lub Czesława mogły się zdarzać bardzo rzadko.

Trzej święci polscy Dominikanie rozjechali się od samego początku, ażeby szerzyć nową regułę zakonną i zakładać klasztory po całej Polsce i w krajach ościennych. Podzielili się tą pracą w ten sposób, że św. Sadok udał się na południe, na Węgry, bł. Czesław na zachód, od Śląska zaczynając i stamtąd dojeżdżając na Morawy i do Czech, św. Jacek zaś wziął na siebie strony północne i ruski wschód. Na wschodzie była schizma, na północy pogaństwo prusackie, na południu w pogaństwie pogrążona jeszcze była część Węgień, mianowicie koczownicy Kumanowie.

Nazwa Kumanów pochodzi od Kumy, bardzo ciekawej rzeki, która ma źródła we na północnych stokach wysokich gór Kaukaskich; płynie w kierunku północno-wschodnim przez okręg rosyjskiego miasta Stawropola, a dalej przepływa przez szereg jezior; niektóre z nich sama wytwarza zastojem powolnego biegu i od jeziora do jeziora zbliża się ku Morzu Kaspijskiemu, zanikając, ginąc w piaskach, jakimi pokryte tam są coraz rozleglejsze pustynne krainy. Ledwie tylko podczas wiosennych roztopów starczy Kumie wód na tyle, żeby mogła dopłynąć do morza, znajdując tam ujście dla siebie. Przepływa Kuma na przemian już to przez pustynię, już to przez stepy. Koczował tam od wieków lud na pół dziki, żyjący, z trzód, jakie wypasał w nieustannej wędrówce, a w latach suszy dopomagając sobie łupieskimi wyprawami na sąsiadów. Zwłaszcza dobijali się do granic cesarstwa bizantyńskiego. Piachy lotne zamieniały coraz więcej przestrzeni w pustynię, rzeka Kuma coraz mniej zraszała i nawadniała stepy; stepów więc ubywało, trzody ginęły, głód zaglądał w oczy. Niektóre plemiona najmowały się na służbę wojskową cesarzom bizantyńskim i to wyprowadziło Kumanów w świat. Wodzowie bizantyńscy wysyłali ich coraz dalej, a często oni sami robili wyprawy na własną rękę, poszukując nowych stepów.

I znaleźli je w trzech stronach. Największe, zajęte przez Pieczyngów, niedaleko od Kijowa po morze Czarne i tych Pieczyngów wyparli. Nazywano ich tam Połowcami. Druga część zajęła nad dolnym Dunajem krainę zwaną Dobrudżą; a trzecia, pędząc w górę Dunaju, trafiła na Węgry, odkrywając tam wspaniałe stepy nad rzekami Cisą i Dunajem. Po raz pierwszy zjawili się na nizinie węgierskiej w r. 1070, powtórnie w r. 1089. Królowie węgierscy wyrzucali ich, zadawali im ciężkie klęski; cofali się więc do pobratymców na Dobrudżę. Pozostawało jednak w ręku królów węgierskich mnóstwo jeńców kumańskich, nabierało się ich kilkanaście tysięcy, wyznaczono im krainę zwaną Jazygią. Żądano od nich, żeby przyjęli chrześcijaństwo, co oni zrobili jednak tylko formalnie, a w rzeczywistości pozostali poganami. Misje zbierały nieraz obfite owoce, ale większość pozostawała pogańska. Dość powiedzieć, że całkowicie zapanowało między nimi chrześcijaństwo aż dopiero około r. 1350.

Kumanowie, czyli Połowcy, byli postrachem sąsiadów, jako łupieżcy groźni i barbarzyńscy, zamiłowani w mordach, choćby nawet bezcelowych. Do postrachu, jaki rozsiewali około siebie, dołączał się

przesąd, jakoby byli jakimś wcieleniem szatanów. Odrażę budził sam ich wygląd, bo byli bardzo szpetni, a przy tym jakby łysi od samej młodości. Strzygli sobie bowiem włosy do samej skóry, co raziło nieprzyjemnie czy to Rusinów, czy to Madziarów zapuszczających bujne czupryny.

Z tymi Kumanami spotkał się św. Sadok. Uczony Dominikanin uważał, że nawracanie będzie ułatwione, jeżeli będzie się łączyło z cywilizowaniem. Zainteresował się życiem tej dziczy, a także ich językiem. Należało poznać go dokładnie, ażeby przetłumaczyć na ich język pacierz i zasadnicze wywody katechizmowe. Robione próby należało dla pamięci spisywać, mozoląc się, jak to wypisać abecadłem łacińskim. Były to bądź co bądź próby, pierwsze kroki, jakby język połowiecki (czyli kumański) zrobić piśmiennym. A z tego wszystkiego wniosek, że ten polski misjonarz trafił na właściwą metodę misyjną i wyprzedził w tym o długie wieki wszystkich innych! Dzisiaj wszystkie misje całego świata trzymają się tej właśnie metody, nie wiedząc, że używał jej św. Sadok już w pierwszej połowie wieku XIII.

Tam na kumańskiej misji spotkał się z nie znanym sobie dotychczas zakonem zgoła innego rodzaju. A było to jedno z najciekawszych spotkań historycznych! Zanim to wyjaśnimy, poznamy jeszcze podróże dwóch innych świętych z tej świętej polskiej trójki dominikańskiej.

Drugi z naszych świętych Dominikanów, Czesław, obrał sobie Wrocław, jako ośrodek swego działania. Stąd odbywał podróże do Moraw i Czech aż do samej Pragi. Przewodnikiem na ziemiach czeskich pobratymców był mu ów Henryk Morawczyk, z którym razem wracał z Rzymu. Następnie udał się na Pomorze. Stałym jednakże miejscem pobytu Czesława Odrowąża stał się Wrocław. Tam osiadł najpierw przy kościele św. Marcina, a od r. 1226 przy kościele św. Wojciecha, zakładając klasztor dominikański.

Trzeci, najważniejszy z trójki tych świętych, św. Jacek, jest największą polską postacią historyczną wieku XIII i jednym z najwybitniejszych mężów ówczesnej Europy; jest też w całej Europie znany, i wszędzie czczony. Jest to drugi po św. Wojciechu polityczny święty polski.

Gdy się czyta stare opracowania jego życia, aż wierzyć się nie chce, co mu przypisywano: że misjonarskie jego podróże, sięgając na północy do Szwecji, na wschodzie, sięgnęły nie tylko do Krymu i nad Bosfor, lecz do Azji Środkowej i do Indii, a nawet do Chin! Słowem, byłby to i drugi św. Wojciech i polski poprzednik św. Franciszka Ksawerego.

Najpierw porywał dusze swymi kazaniami w katedrze na Wawelu. Bawił właśnie w Polsce legat papieski, którego bratanka pozyskał św. Jacek do zakonu. W r. 1223 gotowe już było pierwsze grono dominikańskie, w którego dochowało się nam pięć imion: Gerard, Godyn, Benedykt, Florian, Klimek. Osiedli przy kościele św. Trójcy, który już na zawsze pozostał dominikańskim.

Sprzyjał im wielce Leszek Biały, sprzyjała bł. Grzymisława. Spieszno im było mieć nowy zakon w swoim rodowym Sandomierzu. Jakoż wystawiono im tam klasztor w r. 1226. Widocznie odzywały się w Polsce coraz częściej powołania zakonne do reguły św. Dominika.

Bł. Grzymisława była, jak wiemy, Rusinką, ale katoliczką; tym bardziej przeto leżały jej na sercu misje ruskie. Nawrócić Ruś ze schizmy? Do tego hasła przylgnął też św. Jacek. Postanowiono zaś pozostawić ludności obrządek grecko-słowiański i wszystkie porządki cerkiewne, usuwając tylko lub poprawiając to, co stanowiło schizmę lub z niej wynikało. Jest zatem św. Jacek twórcą kierunku unickiego, tj. unii kościelnej Rusi z Rzymem, unii nie tykającej obrządku. Przy zawiązkach tego ruchu stoi też bł. Grzymisława.

Ruszył tedy św. Jacek do Kijowa, biorąc sobie za towarzyszy Godyna, Benedykta i Floriana. Przebywał nad Dnieprem w latach 1224-1227. Mówiliśmy już o tym, jak nie brakło na Rusi wpływów katolickich; a przy tym w Kijowie, mieście bardzo handlowym, była zawsze kolonia kupców z Zachodu, katolików (Polaków, Czechów, Niemców i innych). Miał więc na kim oprzeć się nasz święty i tam na miejscu pozyskiwał nowych współpracowników. Dzięki temu rozszerzał coraz bardziej zakres swej pracy i udał

się między Połowców. Równocześnie więc nawracali Połowców, czyli Kumanów, św. Sadok nad rzeką Cisą, i św. Jacek nad Dnieprem.

Kiedy opuszczał Kijów, stał tam już klasztor dominikański przy kościele N.M.P., niegdyś benedyktyński z czasów Bolesława Wielkiego. Pozostawił w Kijowie Godyna na stanowisku przeora, a potem objął tę godność Marcin, nowy Dominikanin, sprowadzony z Sandomierza.

Sam zaś św. Jacek nigdy nie przyjmował nigdzie urzędu przeora; a kiedy w r. 1227 urządzono już osobną prowincję polską dla Dominikanów, kazał być prowincjałem Gerardowi. Sam nie chciał być krępowany koniecznością pobytu na jednym miejscu, zawsze ruchliwy, wciąż w rozjazdach i pełen planów misjonarskich, zajęty nieustannie zadawaniem sobie pytania; gdzie jeszcze założyć klasztor.

Zamiary jego zwróciły się teraz ku północy. Chciał zobaczyć dzieła bł. Czesława. Jakoż pracowali już Dominikanie aż na szczecińskim Pomorzu w Kamieniu, w siedzibie biskupstwa. W r. 1227 sam św. Jacek przybywa do Gdańska zakłada klasztor robiąc tam przeorem Benedykta. A tuż za Gdańskiem Prusacy! Jakżeż nie pomyśleć o misji pruskiej?

"Zakon"

Ażeby zrozumieć nowe znajomości, jakie porobili św. Jacek i św. Sadok, musimy się trochę cofnąć i nawiązać do krucjat.

Krucjaty przechodziły z początkiem XIII w. dziwne przesilenie. Potężna co do sił wojennych była czwarta z rzędu wyprawa krzyżowa (1202-1204). Zowie się w historii "łacińską", dlatego że wojsk krzyżowych użyto na zdobycie cesarstwa bizantyńskiego. Usuwano oczywiście schizmę, religią państwową stawał się katolicyzm i to w obrządku rzymsko-łacińskim, ale trwało to niecałe 60 lat, po czym wróciło wszystko do dawnych urzędów bizantyńskich.

Krucjata ta sprawiła zawód bolesny. Uczucia ogółu podniecone były wyczekiwaniem, kiedyż nareszcie Jerozolima będzie na nowo w ręku chrześcijan? Zaczęto powszechnie tłumaczyć sobie, że widocznie ludy europejskie, dla ciężkich grzechów swoich, stały się niegodne, żeby posiadać miejsca święte pod swą władzą. W powszechnym przygnębieniu zrodził się nareszcie pomysł, że Bóg nie mógłby odmówić powodzenia takiej krucjacie, która składałaby się z ludzi czystych, niewinnych, bezgrzesznych. Skądże wziąć takich tysiące, dziesiątki tysięcy? Chyba dzieci? I rzeczywiście urządzono we Francji krucjatę dzieci w r. 1212. Było to wzywaniem imienia Boskiego nadaremno! Kilkanaście tysięcy dzieci w pochodzie pieszym, który był uciążliwy dla dorosłych! Z chorób i z głodu wyginęła ta armia dziecięca, zanim doszła nad Adriatyk!

Polska, jak już wiemy, uwolniona była od krucjat palestyńskich, ale pod warunkiem walki z Prusakami i pracy misjonarskiej pośród nich. Wielki książę Leszek Biały powziął w tym celu poważne zarządzenie. Sam zajęty był, z konieczności i przeciwko swej woli, kłopotami i walkami na wszystkie strony, więc chciał, żeby był ktoś taki, kto by mógł poświęcić się bardziej sprawie pruskiej. Miał Leszek rodzonego brata imieniem Konrad; nadał mu umyślnie dużą dzielnicę, całe Mazowsze i Kujawy, żeby rozporządzać mógł stale znacznie silniejszą siłą przeciwko Prusakom, którzy byli jego sąsiadami od północy. Spełniał książę mazowiecki nałożony na siebie obowiązek, jak mógł, nie szczczędząc ani własnej osoby, lecz na próżno uganiał się za poganami. Okazało się, że nie da im rady.

Nie zabrakło też nigdy świątobliwych kapłanów, którzy pragnęli poświęcić życie nawracaniu Prusaków. W tym czasie właśnie zgłosił się do apostolskiej pracy mnich z Oliwy pod Gdańskiem, imieniem Krystyn (Chrystian). Papież Innocenty III ustanowił go w r. 1215 biskupem, pierwszym biskupem pruskim. Ten widząc, że Konrad Mazowiecki nawet Mazowsza od napaści pruskich ochronić nie zdoła, powziął zamiar, żeby na pograniczu prusko-mazowieckim ustanowić osobny zakon rycerski.

Zakony rycerskie był to owoc krucjat. Wstępujący do nich rycerze musieli pozostać bezżenni, jak zakonnicy, ale pozostawali rycerzami, ślubując, że będą stale bronić chrześcijaństwa od napaści niewiernych. Główne były trzy takie zakony: włoski Joannitów, francuski Templariuszów i niemiecki.

Ten powstał w r. 1190, a zwał się urzędowo "zakonem rycerzy N.M.P., narodu niemieckiego" - krótko zaś Krzyżakami od tego, że mieli wyszyty duży krzyż czarny na białym płaszczu.

Wszystkie te zakony rycerskie miały tworzyć w Palestynie wojsko stałe, gotowe zawsze odierać napaści muzułmańskie. Posypały się z całej Europy olbrzymie fundusze na ten cel i zakony rozporządzały w krótkim czasie niezmiernymi dostatkami, których używały z początku uczciwie, zgodnie z właściwym swym celem. Gdy jednak panowanie w Palestynie chwiać się poczęło, gdy potem psuł się obyczaj i na dworach palestyńskich książąt, i wśród ich rycerstwa, zepsucie zaczęło zwolna dosięgać także zakonów rycerskich. Przy Grobie św. utrzymywali tylko po jednym "domu", a reszta ich siedziała sobie spokojnie w Europie na bogatych dobrach, zapisanych im przez pobożnych fundatorów w tej myśli, żeby nie zabrakło środków do walki w Palestynie.

Niemieccy Krzyżacy pierwsi przenieśli się do Europy. W r. 1211 przywołał ich król węgierski, wiadomy nam już Andrzej II, na pomoc do walki przeciwko pogańskim Kumanom, którzy niepokoili wciąż wschodnie granice jego królestwa. Nadał Krzyżakom w tym celu krainę pograniczną, ale ci zamiast wojować z poganami, zaczęli tam organizować sobie własne państewko. Spostrzegłszy to król Andrzej, wypędził ich w r. 1225.

Były to właśnie lata bł. Sadoka na Węgrzech. Zapewne radował się ze sprowadzenia Krzyżaków, że cały zakon rycerski poprze jego prace misyjne. Patrzył następnie na ich zachowanie się, na ich pożądlivość świeckiego panowania i widział czemu ich król wygania. Po wielkiej radości doznał wielkiego rozczarowania.

Na wzór owych palestyńskich postanowiono zatem urządzić polski zakon rycerski. Konrad oddał im na własność północny swój gród, Dobrzyń i stąd nazwano ich Braćmi Dobrzyńskimi. Spisywali się dzielnie i niebawem wystawili nad Wisłą nową warownię, Chełmno. Od tych grodów nazywano następnie okoliczne dwie krainy, ziemią dobrzyńską i chełmińską. Gdy tak się urządzano nad dolną Wisłą, doszła wiadomość, że na rok 1217 Andrzej II węgierski zamierza przedsięwziąć krucjatę, ale palestyńską, i zwraca się o współudział do Polski. Papież Honoriusz III przejrzał, że siłami Węgier i Polski nie da się pokonać islamu w Azji i odzyskać Ziemi Świętej, i że lepiej będzie, gdy Polska urządzi krucjatę pruską. Już wielu poskładało zobowiązania na ręce książąt i biskupów, gdy pismo papieskie kazało użyć tych sił na obronę własnego kraju od pogan. Ponowił Honoriusz III swe nawoływania w r. 1218, obiecując takie same odpusty i odpuszczenie grzechów, jakie udzielane bywały wyruszającym do Palestyny. Zaczęły się przygotowania. Ojciec św. przypuszczał, że nadciągnie też niemało rycerstwa z zachodniej Europy i nadał w r. 1219 najwyższe zwierzchnictwo nad tymi spodziewanymi krzyżowcami arcybiskupowi gnieźnieńskiemu. Ale to wszystko nie dopisało, a wojnę krzyżową przeciw Prusakom prowadził jesienią r. 1219 sam tylko Konrad, książę mazowiecki. Oczywiście, Bracia Dobrzyńscy zawsze pomagali.

W następnej pruskiej krucjacie r. 1222 wzięli udział obok Konrada Mazowieckiego także Leszek Biały i Henryk Brodaty wrocławski. Cofnięto zagony pogan, ale gdy książęta wrócili do siebie, gdy wszystko zostało na barkach Braci Dobrzyńskich, Prusacy zmówili się, żeby się pozbyć tego polskiego pogotowia wojennego. Uderzyli na nich z całych sił w r. 1224, walczyli bez ustanku, bo ich było dużo i mogli się zmieniać, gdy tymczasem Bracia nie byli ani w przybliżeniu tak liczni, a Prusacy nie dawali im wytchnienia. Otoczeni, oblężeni, pozbawieni żywności, nie poddawali się jednak i do końca nie poddali, zostali wycięci jednak niemal w pień.

Wówczas Henryk Brodaty udzielił Konradowi Mazowieckiemu rady, żeby powołać wypędzonych właśnie z Węgier Krzyżaków. Niestety, Konrad poszedł za tą wskazówką, a gdy Krzyżacy skwapliwie oświadczyli swoją gotowość, nadał im w r. 1226 ziemię chełmińską i nieszawską, po obu stronach Wisły. Był to najniebezpieczniejszy błąd polityczny, przeklinany przez wszystkie następne pokolenia Polaków. Oto Krzyżacy oddali od razu nie tylko te ziemie, ale z góry wszystko, cokolwiek by zdobyli na Prusakach, pod władzę cesarza niemieckiego Fryderyka II, a cesarz nadał im to od siebie w lenno. Cesarze bywali zawsze bardzo pochopni do rozdawania nie swoich krajów! Krzyżacy zaś postanowili sobie z góry, że walczyć będą nie w interesie Polski (od której otrzymują nadania), lecz w interesie Niemiec, i że nie będą się uważali za lenników Piastowskich, lecz cesarskich, niezależnych zupełnie od Polski. Miało więc powstać kosztem Polski nowe państwo niemieckie nad dolną Wisłą i nad Bałtykiem.

Szczęściem dla Krzyżaków, nieszczęściem dla Polski trafili oni w sam raz na czasy największego osłabienia sił państwowych polskich. Właściwie nie było wcale tych sił! Piastowie walczyli na zabój sami między sobą. Powiadano, że w tych latach jedna połowa Piastów była w więzach u drugiej, jako pojmani jeńcy wojenni. A wojowali o każdy gród, choćby o drugorzędny gródek, byle wyrwać sąsiedniemu stryjowi kawał ziemi. Wielki książę Leszek Biały, chcąc przywrócić pokój zwaśnionemu rodowi, wyznaczył na grudzień 1236 r. zjazd książęcy do Gąsawy (nieco na północny wschód od Gniezna), żeby tam załatwić wszystkie spory sądem polubownym. Ale w Gąsawie stała się straszna zbrodnia. Na zebranych książąt napadł zdradziecko Światopełk pomorski. Ranny Henryk Brodaty ledwie zdołał się ocalić, a Leszek Biały padł ofiarą, zabity przez siepaczy w sąsiedniej wiosce Marcinkowie.

Syn Leszka i Grzymisławy, Bolesław (któremu nadano później przydomek Wstydlwego) liczył zaledwie półtora roku. Zaczęła się wojna o rządy opiekuńcze pomiędzy Konradem Mazowieckim a Henrykiem Brodatym. Trwały te boje siedem lat. Chociaż z początku Konrad był górą, w końcu jednak utrzymał się przy Krakowie książę wrocławski.

W tym właśnie czasie papież Grzegorz IX wymusił wyprawę krzyżową na cesarzu Fryderyku II. Zobowiązał się on już dawno do tego, ale przyrzeczeń najuroczystszych nie dotrzymywał. Obarczył go więc papież klątwą i wtedy dopiero cesarz wyruszył w r. 1228. Sprzyjało mu szczęście, gdyż odzyskał Jerozolimę i Nazaret. Ale nie trwało to długo. W kilkanaście lat potem, w r. 1244 utracono Jerozolimę ponownie, tym razem na zawsze.

Więści o tej krucjacie zachęcały Polskę do krucjat pruskich, a tymczasem kraj pogrążony był w wojnie o Kraków, rzekomo o opiekę nad nieletnim Bolesławem Wstydlwym. Jak powiedziano wyżej, ostatecznie utrzymał się Henryk Brodaty.

Ten książę miał szalone szczęście. Tak się zbiegły okoliczności, że i na Górnym Śląsku nastali książęta małoletni, a on sprawował za nich rządy, jako ich opiekun. Następnie syn Mieszka Starego, Władysław Laskonogi, mianował go swym dziedzicem, a książę Brodaty, wyprawivszy się ze swym wojskiem, zajął Wielkopolskę od zachodu aż po rzekę Wartę. W r. 1234 posiadał już cały Śląsk, Krakowskie, Sandomierskie i połowę Wielkopolski. Miał stanowczą przewagę nad całym rodem Piastów i zdawało się, że gałąź śląska pokieruje dalszymi losami Polski.

Podczas tej wojny o opiekę, a w rzeczy samej o wielkie księstwo, Konrad Mazowiecki, który w ogóle nie miewał skrupułów w doborze środków, powiedział sobie, że najlepiej będzie, jeżeli nieletniego Bolesława wraz z jego matką dostanie w swą moc i już ich nie wypuści. Podstępem zwiabił w r. 1232 do siebie błą. Grzymisławę z synkiem i więził ich blisko przez trzy lata na zamku w Sieciechowie. Zlitował się wreszcie nad nimi rycerz Klemens z Ruszczy i z jego pomocą uszli szczęśliwie z więzienia. Odtąd szala przechylała się już coraz bardziej na stronę Brodatego, a rzecz prosta, że błą. Grzymisława popierała wszystkimi swymi wpływami Henryka przeciw Konradowi. Jakoż sprawował rządy na Wawelu Henryk w latach 1234-1238.

Tuż po zbrodni w Gąsawie i na początku owej wojny o rządy opiekuńcze przypada przyjazd św. Jacka do Gdańska. Któż miał wtedy czas i sposobność pilnować Krzyżaków?! Któż wówczas zajmował się Pomorzem? A gdy książę mazowiecki wszystkie swe siły obracał na wojnę domową z księciem wrocławskim, Mazowsze stało się zupełnie bezbronne wobec Prusaków i wszyscy tam radzi byli Krzyżakom, bo u nich było stałe pogotowie wojenne. Zabierali dla siebie co się dało, ale bądź co bądź Prusaków trzymali na wodzy.

Tak się więc okoliczności ułożyły pomyślnie dla niemieckiego zakonu rycerskiego, iż nawet mąż tak doświadczony, jak św. Jacek, sprzyjał im. Nie wiadomo, czy miał jakieś wiadomości od błą. Sadoka; ale choćby nawet wiedział o krzyżackich sprawkach tam na Węgrzech, tutaj nad Bałtykiem musiał kierować się względami na to, żeby Mazowsze miało spokój i zabezpieczoną granicę północną. Nie mógł też urządzić misji pruskich bez poparcia tych niemieckich rycerzy, a więc tym samym nie mógł występować przeciwko nim. Krzyżacy zaś we własnym interesie pragnęli misji stałych, jakimi stałyby się klasztory dominikańskie. Mógł więc św. Jacek nie poprzestać na Gdańsku, lecz założyć klasztory w

Chełmie i w Toruniu. Kiedy Krzyżacy zakładali potem miasto Elbląg, z góry oznaczali miejsce, gdzie ma się stawić klasztor dla Dominikanów.

A kiedy skończyła się wojna o rządy opiekuńcze, ze strony polskiej pomagano Krzyżakom z całych sił, żeby skończyć z Prusakami. Pod wodzą Konrada Mazowieckiego zdobywali ziemię chełmińską, a w r. 1234 urządzono dla nich wyprawę krzyżową jakiej przedtem nigdy nie było. Stawiła się tym razem obok Mazowsza, Śląska, Małopolski, także Wielkopolska i nawet Pomorze. Zdobyto wtedy pierwszą krainę pruską, bursztynowe wybrzeże Pomeranii i oddano je Krzyżakom na własność. Wdzięczni za to po swojemu, rzucili się tegoż roku na posiadłości Braci Dobrzyńskich i przywłaszczyli je sobie. Reszta naszych Braci przeniosła się wtedy na wschód do Drohiczyzna, gdzie wyginęli w walce z pogańskim plemieniem Jadźwingów (którzy byli pobratymcami Prusaków i Litwinów).

Takie działy się rzeczy, gdy św. Jacek przebywał w Gdańsku i krainach pruskich, zdobywanych przez Krzyżaków. Czyż mógł przewidywać, do jakiego stopnia "Zakon rycerski" będzie się sprawował nie po zakonnemu i nie po rycersku? Czyż mógł przewidywać, że nawet te klasztory dominikańskie, które tam zakładał, obróć się pod panowaniem krzyżackim na wspak, na zgorszenie całemu światu? Któż by mógł przewidzieć, że Stolica apostolska nazwie Krzyżaków publicznie, przed całą Europą, najgorszymi wrogami Chrystusa? Czyż ci książęta polscy, którzy dopomagali Krzyżakom zdobywać ziemie pruskie, mogli przewidywać, że popierają największego wroga Polski? A któż mógł przewidzieć, że nawracanie Prusaków będzie polegało na wytępieniu ich, na zgładzeniu tego ludu z powierzchni ziemi, tak iżby ani śladu po nim nie zostało? A oni założyli sobie tam państwo świeckie, które rozrosło się potem w królestwo pruskie! Bo nawet nazwę Prusaków przywłaszczyli sobie od wytępionego ludu!

Dopiero gdy Krzyżacy dopuścili się więcej niecznych sprawek względem Polaków, poczęto się zastanawiać, co to ma znaczyć i co to za zakon rycerski! Poczęto szydzić, że to zakon na wspak i szyderczo nie nazywano już Krzyżaków inaczej, jak Zakonem. I tak już zostało! Do dnia dzisiejszego, gdy się w polskiej książce historycznej czyta "Zakon" bez żadnego dodatku, który zakon, trzeba się zawsze domyślać tego niemieckiego zakonu rycerskiego.

Ale wracajmy do św. Jacka. Nie miał zwyczaju przebywać w jakimś kraju długo. Po pewnym czasie wyręczał się swymi uczniami, a sam przenosił się w inne strony, nieraz bardzo odległe, ażeby gdzie indziej posiać zbożne ziarno. W całym żywocie tego wielkiego świętego natrafiamy raz po raz na lata, w których nie wiemy, gdzie się podziewa, a trudno przypuścić, żeby ten niezmordowany podróżnik przesiadywał po kilkanaście lat na jednym miejscu. Nagłość i nadzwyczajna szybkość w przenoszeniu się z jednego końca Polski na drugi przypomina owego wielkiego wojownika z 47 bitew; doprawdy pod tym względem był św. Jacek jakby nowym Bolesławem Krzywoustym w zakonnym habitcie!

Podobnie było z pobytem na Pomorzu i w Prusach. Zniknął i zjawił się w Skandynawii, w Szwecji, po drugiej stronie Bałtyku! Zabrał z sobą ucznia Janusza, którego tam pozostawił. Został on potem arcybiskupem Upsali, prymasem Szwecji i zaliczony jest również w poczet świętych.

Ale w r. 1236 spotykamy św. Jacka w samym Kwidzynie (Marienwerder), w stolicy nowego państwa krzyżackiego. Tam doszła go wieść, że przybyły do Polski legat papieski Wilhelm, biskup Modeny z Włoch, rzucił klątwę na Henryka Brodatego. Stało się to z oskarżenia arcybiskupa gnieźnieńskiego Pełki, że gdy Henryk zagarniał Wielkopolskę po Wartę, nie uszanował dóbr katedry gnieźnieńskiej i dokonał na niej najazdu, pustosząc i grabiąc. Przypomnijmy sobie, jak to Odrowążowie nie mieli nigdy zaufania do tego księcia, a mając Wrocław tak blisko, opierali się zawsze o Kraków. Oczywiście, Henryk Brodaty szybko przeprosił arcybiskupa i wynagrodził szkody porobione przez swych żołnierzy.

W dwa lata później skończyły się dni tego księcia. W śmiertelnej chorobie pragnął gorąco zobaczyć się jeszcze z żoną. Ale św. Jadwiga trzebnicka nie ruszyła się ze swej celi, ani też na pogrzeb nie przyszła. Takie miała pojęcia o umartwieniach, a umartwienia uważała za największy obowiązek.

Bolesław Wstydlivy liczył lat dwanaście, jeszcze nie "oreźny", a więc trwała dalej opieka. Pozostała przy gałęzi śląskiej. Syn Brodatego, Henryk II Pobożny, wraz z całą rozległą spuścizną po ojcu, objął również rządy na Wawelu. Bolesława nie można było jeszcze postawić na czele państwa, ale do ożenku był (według ówczesnych pojęć) dość duży. Gdy w roku następnym, 1239, skończył lat 13,

ledwie zaczął 14, zaraz go ożeniono. Był w tym czynny świątobliwy kanonik krakowski, bł. Prandota, który prawemu dziedzicowi tronu chciał zawczasu zapewnić przyjaźń i oparcie, a to w dynastii węgierskiej Arpadów. Wybrano na oblubienicę i przyszłą wielką księżną - królową węgierską, córkę króla Beli IV, pięcioletnią Kunegundę, czyli Kingę. Było to więc małżeństwo na przyszłość! Na razie bł. Grzymisława wychowywała dalej Bolesława i przybrała sobie za wychowankę Kingę, dziecinę, która miała także kiedyś stać się patronką Polski. Kierował zaś ich wychowaniem bł. Prandota. Wieniec świętości rozwijał się ponad Polską coraz bujniej.

Polska miała historyczny obowiązek szerzyć katolicyzm i cywilizację łacińską wokół siebie. Schizmą otoczona była od wschodu, od Rusi, a pogaństwem od północy i północnego wschodu. W pogaństwie był pogrążony cały szczepek bałtycki. Wszystkie jego ludy: Prusacy, Jadźwingowie, Litwini, Żmudzini, Łotysze. Trzy z tych ludów sąsiadowały z Polską. Obok Prusaków także Jadźwingowie i Litwini dawali się we znaki Mazowszu, łupiąc kraj i uprowadzając mieszkańców w niewolę. Zwłaszcza najazdów z Litwy było dużo. Ci poganie nie zamierzali nawet rozszerzać swego państwa ku zachodowi: plądrowali, brali jeńców i wracali z łupami do siebie. Najcenniejszym łupem był właśnie jeńiec, bo rękoma polskich jeńców zaprowadzali u siebie rolnictwo, którego jeszcze wówczas nie znali. Takich przymusowych rolników nazbierało się na Litwie do końca wieku XIII przeszło 20 tysięcy. Świadczy to dobitnie o słabości książąt mazowieckich, którzy żadnemu nieprzyjacielowi zewnętrznemu rady dać nie mogli.

Nie ginie marnie chrześcijanin wśród pogan i nie tylko pozostaje chrześcijaninem, lecz nieraz staje się misjonarzem. Udziela wyjaśnień o wierze świętej, opowiada i rozpowiada, bo nieraz znajduje ciekawych słuchaczy, nieraz sami go wypytują i do opowiadania zachęcają. Ponieważ jeńców trzeba było dla celów rolniczych osadzać gromadnie, wykonywali więc obowiązki swe chrześcijanie całą gromadą, modlili się razem, starali się obchodzić niedziele i święta itp., a to wszystko działało na pogan, jako propaganda, choćby nawet nieświadoma. To pewne, że znaczna część Litwinów, zaznajamiała się jako tako z chrześcijaństwem.

Kościół polski nie mógł tych jeńców na Litwie pozostawić bez pociech religijnych. Dojeżdżali więc tam raz po raz ofiarni misjonarze, którzy znajdowali wzajemnie pośród tej katolickiej ludności oparcie i zachętę, żeby też próbować misjonarstwa wśród Litwinów.

Na Litwie pierwotnie nie było znaczniejszej organizacji państwowej, każda okolica wiodła odrębne życie, mając nad sobą tylko drobnych książąt plemiennych. Ale ludność litewska graniczyła od wschodu i od południa z wareskimi książętami Rusi, niezwykle zaborczymi. Obrona przed ruską zaborczością przyspieszyła powstanie pierwszej organizacji politycznej na Litwie bo trzeba się było skupić pod wspólnym wodzem. W ten sposób powstawały księstwa, których około r. 1200 było na Litwie pięć, a dwa na Żmudzi. W walkach z Rusią, coraz bardziej rozdrobnioną, okazali się Litwini niebawem silniejsi, bo się coraz bardziej jednoczyli. Niebawem książęta litewscy poczęli czynić zabory na Rusi. Około r. 1200 zdobyli Grodno nad średnim Niemnem, a w r. 1209 najechali po raz pierwszy Wołyń i doszli aż do południowego dorzecza Prypeci. Była to tylko łupieska wyprawa, jakby na próbę. Wnet jednak zaczęli systematyczny podbój, od tak zwanej Czarnej Rusi, kraju oddzielającego Litwę od Wołynia, pomiędzy górnym Niemnem a Prypecią. Ten podbój dokończyli w r. 1224 pod wodzą Mendoga. Książę ten zhołdował sobie wkrótce potem całą Litwę, jako jedynowładca, a usuwanym z Litwy dawnym książętom dawał nadania na Rusi. Zwrócił też swe wyprawy na Ruś północną, pod Smoleńsk i Połock, nad górny Dniepr i nad Dźwinę.

Stąd niedaleko do Inflant. Tam nad dolną Dźwiną, na ziemi pogańskiej łotewskiej było już osadnictwo kupieckie niemieckie i powstało duże miasto handlowe - Ryga. Do walki z Łotyszami założono w r. 1204 osobny zakon rycerski, tak zwanych Kawalerów Mieczowych. Ci rozszerzali szybko zdobycze swoje na Łotwie i zaczęli następnie zapuszczać zagony na Litwę. O nawracaniu wcale nie myśleli. Ale wobec Litwy okazali się za słabi.

Właśnie wtedy sprowadził Konrad Mazowiecki Krzyżaków. Ci szerzyli swe podboje od dolnej Wisły poprzez kraj pruski coraz dalej w kierunku Inflant, położonych także nad Bałtykiem na północnym wschodzie. Od Prus oddzielała Inflanty Żmudź. Gdyby ją zdobyć, złączyłyby się dwa osadnictwa niemieckie nad morzem Bałtyckim. Ażeby tego dokonać, złączyły się oba niemieckie zakony rycerskie. Miało więc powstać nad Bałtykiem wielkie państwo od dolnej Wisły aż poza dolną Dźwinę. Połączenie

zaś obu zakonów odbyło się w ten sposób, że Kawalerowie Mieczowi rozwiązali swój zakon w r. 1237 i sami wszyscy dobrowolnie wstąpili do Krzyżaków. W ten sposób posiadł Zakon drugi już kraj nad Bałtykiem, mianowicie Inflanty.

Odtąd Zakon sąsiedował z Litwą i uważał, że jak Prusy i Inflanty, podobnie i Litwa powinna mu przysiąc. Mendog miał odtąd od północy potężnego nieprzyjaciela.

Ale również od południa widział się Mendog zagrożony, bo tymczasem fortuna zaczęła się przechylać znów na stronę ruską. Na czele stanęli Rurykowicze z Halicza.

Sprawy halickie opuściliśmy w rozdziale szóstym na roku 1214, na koronacji dziecięcej pary Kolomana i Salomei. Chowały się te dzieci na węgierskim dworze w stolicy Węgier, w Budzynie. Ale niebawem Rurykowicze wystąpili energicznie. Dorastający Daniel (syn poległego pod Zawichostem Romana) zebrał siły orężne i ze swego Włodzimierza wołyńskiego wybrał się na podbój Halicza. Wtedy wyprawiono z Budzyna dziewięcioletniego Kolomana z siedmioletnią Salomeą, żeby zajęli swoje królestwo i królowali w Haliczu, zanim Daniel tam dojdzie. Wojsko węgierskie wprowadziło tę dziecięcą parę królewską i to wojsko starło się z hufcem Daniela. Wynik był dla polityki węgierskiej opłakany. Król z królową dostali się do niewoli, w której wypadło im przebyć trzy lata, 1218-1221. Niewesołe mieli wspomnienia z dzieciństwa!

Zaniosło się na wielką wojnę, Rurykowicze sprowadzili aż z północnej Rusi najlepszego z całego swego rodu wojownika ks. Mściława Udałego, który po kilkuletnich walkach wycofał się w sposób zupełnie taki sam, jak przedtem Leszek Biały: córkę swą wydał za rodzonego brata Kolomana, Andrzeja i tej nowej parze oddał Halicz w r. 1227. Następowła więc zmiana węgierskich królewiczów. Salomea Leszkówna liczyła już lat szesnaście, a Koloman kończył lat osiemnaście. Ślubowali wszakże powściągliwość, czego też dotrzymali. Na dalszy swój los czekali w Budzynie. Po pewnym czasie powierzył ojciec Kolomanowi zarząd Chorwacji; tam więc pomiędzy Słowian południowych towarzyszyła mężowi bł. Salomea. Na węgierski tron Koloman nie miał wstąpić; ojciec jego Bela IV żył i panował do r. 1270, synowi zaś nie było dane przeżyć roku 1241. Bł. Salomea była więc w tym czasie tylko królewiczową węgierską.

Doroślemu już tymczasem Danielowi sprzyjało szczęście. Opanował Podole, dorzecze Piny, Drohobuż i Łuck, z którego pochodziła bł. Grzymisława. Z Halicza był wprawdzie dwa razy wypędzany, ale zawładnął tym grodem po raz trzeci w r. 1239.

Zastał w Haliczu św. Jacka i dwa klasztory: dominikański i franciszkański.

Księstwo halickie, ta polska ziemia Lachów, graniczyło od zachodu z diecezją krakowską, a zatem krakowscy biskupi winni byli przede wszystkim pilnować tam misji, żeby nawracać ze schizmy. Ale ci mieli pełne ręce roboty i kłopotów we własnej olbrzymiej diecezji, zwłaszcza, że duchowieństwa było zawsze za mało. Czytaliśmy, jak za Bolesława Krzywoustego Cystersi odmówili misjonarstwa. Dopiero za Leszka Białego powiodło się utworzyć osobne misyjne biskupstwo Rusi, a biskupem został opat Cystersów w Opatowie, tuż nad Wisłą, imieniem Bernard. Sam misjami się nie trudził, bo niebawem zajęły się tym nowe zakony św. Dominika i św. Franciszka. Nie poprzestając na Rusi, wciągnęły i Litwę w zakres swego działania; ale na Rusi czynni byli głównie Dominikanie, a na Litwie głównie Franciszkanie, niosąc tam pociechy religijne polskim jeńcom, tym niewolnikom osadzonym na roli.

Skąd, z której strony świata przybył wówczas do Halicza św. Jacek, nie wiadomo. Daniel nie robił trudności misjom katolickim, ale nagle cała praca została wstrzymana przez straszliwe wydarzenie. Był nim najazd mongolski. Zapewne więc będzie Polski bronić Zakon, korzystający z dobrodziejstw książąt piastowskich? Zobaczmy w następnym rozdziale.

Pierwszy najazd mongolski

W rok po ślubie Kingi z Bolesławem zaczęła się najcięższa plaga dla narodu i Kościoła polskiego: najazdy mongolskie. Spotkamy znanych nam już świętych wśród okrutnych cierpień, wśród pożóg i gruzów, na ruinach świątyń i całych miast.

Początek nieszczęścia tkwił daleko w Azji.

Z ludów rasy żółtej utworzyło się w Azji Środkowej państwo mongolskie, złożone z szeregu chanatów, pod zwierzchnictwem chana najwyższego, Dżyngis-chana, kierującego dalszymi podbojami, które objęły po pewnym czasie całą Azję, aż do Oceanu Wielkiego, wraz z Chinami. Zdobywali bez zbyteńnego trudu wielkie kraje, bo u nich całe społeczeństwo zorganizowane było wyłącznie po wojskowemu. Oni pierwsi od czasów starożytnego cesarstwa rzymskiego urządzili wielkie armie stałe, ze stałym korpusem oficerskim, oni pierwsi w ogóle wprowadzili umundurowanie. Kiedy uderzyli następnie na Europę, nic im się oprzeć nie mogło. W Europie nie miano pojęcia, że mogłoby istnieć takie duże wojsko: cała Europa razem nie zdobyła się ani na trzecią część armii, jaką oni rozporządzali. A była to armia regularna, wspaniała, karna, bitna i wybornie zaopatrzona. Nie tylko ilością przeważali Mongołowie nad drobnymi w stosunku do nich siłami zbrojnych krajów, na które napadali, ale co ważniejsze, o wiele lepiej znali się na sztuce wojennej. Rycerstwo europejskie wojowało w ten sposób, że bitwa składała się z licznych pojedynków, gdy tymczasem Mongołowie posiadali wydoskonaloną strategię i taktykę, tj. sposoby obmyślenia planów wojennych i wykonywania ich w taki sposób, iż największe męstwo nie pomogło, gdy wpędzili nieprzyjaciela na pozycję dla niego niekorzystną. Nie umiano się przed nimi bronić, bo wojowali w sposób zupełnie odmienny, niż europejskie rycerstwo; nie z bliska, miecz przeciw mieczowi, twarzą w twarz, lecz z daleka, okalając nieprzyjaciela szerokimi łukami, oskrzydłając go. W jeździe konnej nikt im nie dorównał. Ruszali dziesiątkami tysięcy jeźdźców naraz, zajmując pochodem swym kilkumilowe przestrzenie, a tak wszystko niszczyli po drodze, iż powiadano że "trawa nie porośnie, kędy oni przejdą".

Był ktoś, kto przewidział najazdy mongolskie nie tylko na Ruś, ale i dalej na zachód. Dominikanie węgierscy zapędzili się z misjami daleko na wschód. Jeden z nich, Julian, wiedząc, że przodkowie Madziarów przybyli gdzieś z górnej Wołgi, ciekaw był ich kolebki i powiodło mu się ją odkryć. Płynąc w r. 1237 w górę Wołgi, w okolicy dzisiejszego Kazania, spotkał lud mówiący narzeczem madziarskim. Cała olbrzymia równina pomiędzy Wołgą a górami Uralskimi, zwana Kipczakiem, należała już do państwa mongolskiego. Rządy mongolskie były wówczas całkiem bezreligijne, ale żadnego wyznania nie prześladowały, zezwalano więc Julianowi na zupełną swobodę w pracach misjonarskich (które były jednakże bezskuteczne). Otóż ten mnich Julian, stykający się ciągle z władzami mongolskimi, zapowiedział, że Mongołowie urządzą wkrótce wielką wyprawę zdobywczą i ostrzegał, że ruszą nawet ku Niemcom.

Na głównego wodza wyprawy wyznaczał ówczesny Dżyngis-chan władcę Kipczaku, zwanego Batu-chan. Miały więc wojować głównie ludy stepowe, stepowcy, co w ich języku nazywa się "tatir" i stąd nazwa Tatarów. Szpiedzy rozbiegli się już na setki mil od Kipczaku i przygotowywali grunt pod sympatie plemienne u Kumanów i Madziarów (którzy także do rasy mongolskiej należą). Zbadali, że chcąc zająć Węgry, trzeba zniszczyć południową Polskę, rzucić postrach na Czechy i Niemcy, żeby król węgierski nie mógł otrzymać pomocy - słowem gotów był zawczasu cały plan kampanii, nawet o zaprowiantowaniu wielkiej armii pomyślano. Z tym planem wojennym, opracowanym bardzo dokładnie, nie skrywano się zbyt, skoro nawet obcy przybysz, Dominikanin Julian, mógł go znać w głównych zarysach. Tylko Rurykowicze nie wiedzieli o niczym.

Ruszył Batu-chan w 150 000 żołnierzy. Liczba ta była na ówczesne stosunki europejskie tak ogromna, iż wprost nie pojęta. Bo kto gdzie w całej ówczesnej Europie mógł mieć wyobrażenie, jak wygląda armia choćby stutysięczna? U nas np. wszyscy Piastowie razem nie mieli do rozporządzenia ani dziesięciu tysięcy zbrojnych! A przy tym co za różnica wszelkich urzędzeń wojskowych! Nawet zachodnio europejskie wojska, nawet francuskie z krucjat, były jakby milicjami ochotników wobec regularnej armii Batu-chana.

Zaczął się w grudniu 1237 r. Do wiosny 1238 zajęto rozległy kraj od Riazania poprzez Moskwę aż do Tweru, a zajęto z taką łatwością, iż nie trzeba było staczać żadnej walnej bitwy. Były tylko cztery potyczki, zamienione przez Tatarów w rzezie. W kwietniu 1238 cofnęła się wszakże cała armia, bo

odwołano ją do Azji, i Ruś południowa, najazdem jeszcze nie tknięta, zyskała zwłokę aż do późnej jesieni 1240 roku.

Cała południowa Ruś znajdowała się w r. 1240 pod jednym władcą. Albowiem Daniel Romanowicz właśnie na wiosnę tego roku został panem Kijowa, tuż przed najazdem Azjatów. Miał więc Daniel panowanie tak rozległe, jakiego już dawno na Rusi nie widziano, od Dniepru aż po Karpaty. Ale wobec potężnego Batu-chana był drobnym księżątkiem. Kijów zrównali Mongołowie z ziemią, a w grudniu 1240 r. tliły się już zgliszcza Halicza.

Dominikanie haliccy opuścili Halicz dość wcześnie, a kierowali się przez Karpaty na Węgry. Nie zdawano sobie całkiem sprawy z tego, że królestwo węgierskie jest zagrożone! Czy św. Jacek także z braćmi podążał na Węgry, czy też udał się sam w stronę Krakowa, nie wiadomo. Ale dochowała się tradycja, że uniósł ze sobą ów posążek N. Marii P., z którym nie rozstawał się nigdy od włoskich swych czasów; tak go się przedstawia na wizerunkach, przyciskającego posążek jedną ręką do swego boku. W drugiej ręce, wzniesionej trzyma Najświętszy Sakrament. Rozumie się samo przez się, że Dominikanie haliccy zabrali z sobą wszystkie poświęcone hostie, że ich nie zostawili Tatarom.

Książę Daniel, nie próbując nawet obrony, schronił się także na Węgry. Z deszczu pod rynnę! Cały najazd na Ruś był dopiero przygotowaniem do właściwego celu wojny, do zdobycia i zaboru Węgier. Chcieli Mongołowie wcielić Węgry do swego państwa na stałe, Batu-chan występował wobec Kumanów a także Madziarów jako pobratymiec, jako prawowity ich władca - i miał stronników. Była urządzona cała kancelaria madziarska, wydająca dokumenty ze wszystkimi formalnościami. Ustanowiono wójtów, sądy i puszczone w obieg własną miedzianą monetę kipczako-madziarską. W administracji panował zaś wzorowy porządek, a żołnierze płacili za wszystko gotówką.

Urzędnikami najeźdźczej administracji byli Chińczycy, najbardziej wykształceni ze wszystkich ludów podległych Dżyngis-chanom. Wszystkie te zarządzenia świadczą, że Mongołowie mieli na myśli stały zabór Węgier, a brak wszelkich tych zarządzeń w Polsce wskazuje, że nie mieli zamiaru opanowywać ziemi polskiej. Przejechano przez Polskę huraganem, żeby okrążyć Węgry.

Równocześnie toczyła się wojna tu i tam. Obliczenia zaś strategiczne wodzów tatarskich okazały się trafne, a plan cały wykonany był z nadzwyczajną dokładnością i sprężystością. Walna bitwa polska, pod Legnicą na Śląsku stoczona była dnia 9 kwietnia 1241 r., a na Węgrzech na błoniach Mohi nad rzeką Sajó w trzy dni potem. Zaledwie trzy dni różnicy!

Zacznijmy od strony polskiej. Nawała zaczęła się od Sandomierza. Przebywająca tam wielka księżna wdowa, bł. Grzymisława z synem Bolesławem Wstydlwym i z synową Kingą, zdołała się na czas ocalić. Uciekano, nie widząc innego ocalenia; kto został, tracił życie, bo całą ludność pozostałą wycięto w pień; podobnie w Lublinie. Następnie najeźdźcy ruszyli na Kraków. Wielki książę Henryk Pobożny wycofał się na Śląsk pod swój Wrocław. Rycerstwo małopolskie samo próbowało stawić czoła, ale naraziło się tylko na dwie klęski: pod Chmielnikiem, niedaleko Sandomierza i pod Turskiem, gdzie rzeka Czarna wpada do Wisty z lewego brzegu. Przez Wiślicę ruszyli Tatarzy dalej na Kraków. Całe miasto zamienili w gruzy i perzynę.

Wtedy to Norbertanki ze Zwierzyńca pod Krakowem schroniły się na skaliste wzgórze na zachód od miasta i tam w skalnych pieczarach przebyły najazd. Miejsce to zowie się od tego wydarzenia Panieńskie Skały. Bł. Bronisława upodobała sobie ten ciężki tryb życia i zamieniła się w pustelniczkę. Obrała sobie potem na pustelnię miejsce nieco bliżej miasta, na części wzgórza zwanego Sikornikiem. Tę część nazwano następnie "górami św. Bronisławy" i tam jest kapliczka jej imienia.

Tatarzy pędzili dalej nad Odrę. Pod Opolem bronili przeprawy dwaj książęta górnośląscy, Mieczysław i Władysław, potomkowie raciborskiego Mieszka Kulawego. Zbyt słabi ulegli szalonej przemocy.

Ruszyli teraz Tatarzy na Wrocław, gdzie przebywał wówczas już na stałe bł. Czesław Odrowąż w swoim klasztorze dominikańskim. Wrocławianie woleli sami podpalić miasto i uciekać w lasy, niż wydać siebie i swe rodziny na pastwę rozbewstwionego Tatarstwa. Ale gród postanowił się bronić do upadłego, może dlatego, żeby osłonić uchodzące mieszczaństwo, żeby choć zyskać na czasie. Stawili się więc

żołnierze i ci mieszczanie, którzy obowiązani byli do służby wojennej w obronie grodu. To rzecz prosta, ale oto przybyli na gród również Dominikanie! Jest legenda, że bł. Czesław wyszedł na wały miejskie, modląc się żarliwie o ocalenie załogi. Najzupełniej trzeba temu wierzyć, uzupełniając tym, że nie sam klęczał na wałach, lecz ze wszystkimi swymi zakonnikami, a zapewne i żołnierzami; urządzono pod przewodem bł. Czesława modły i procesje błagalne. Dalej głosi legenda, że kule ogniste zaczęły padać z nieba na obóz tatarski i że napastnicy cofnęli się w zamieszaniu. Faktem jest, że gród wrocławski nie został zdobyty, czego dowodem, że i bł. Czesław dożył jeszcze roku następnego. A jakże go wysoko stawia ta okoliczność, że nie szukał ocalenia w ucieczce wraz z ogółem mieszczaństwa - a do czego miał zupełne prawo - lecz został w warowni. Umiał przejąć obrońców grodu wiarą i otuchą. Jakże głęboko religijna była ta załoga, przyjmująca Dominikanów. Do czegoż byli im potrzebni, jeżeli nie do odprawiania nabożeństw i spowiedzi? Załoga ta chciała walczyć z pogaństwem w imię Boże i umierać z Bogiem w sercu. Tacy tworzyli prawdziwie zakon rycerski, a bł. Czesław był ich ojcem duchownym i wojennym kapelanem. Tatarzy zaś nigdy już potem pod Wrocław się nie zapędzili.

Wielki książę, Henryk Pobożny, zamknął się w twierdzy legnickiej. Tam zgłosiły się pod jego rozkazy resztki drużyny sandomierskiej i krakowskiej. Spodziewał się posiłków z Czech, ale się nie doczekał. Miał ten książę żonę Annę, córkę króla czeskiego Otokara I, poślubioną w r. 1216, kiedy miała lat dwanaście. Była to pani wielce świątobliwa (ona sprowadziła do Wrocławia Franciszkanów), ale posiłków od ojca nie wyprosiła i Henryk Pobożny pomocy od teścia nie otrzymał. Głód zmusił załogę legnicką do wyjścia z grodu i przyjęcia bitwy, której wynik był jak najgorszy. Sam Henryk walczył dzielnie; poległ, a Tatarzy odcięli mu głowę i swoim zwyczajem obnosili po obozie.

Doszła przeraźliwa wiadomość do klasztoru w Trzebnicy. Św. Jadwiga nie pozwoliła towarzyszkom swym na płacze. Rzekła: "Chwała Ci bądź, Panie, na wysokości, żeś łonu mojemu dozwolił wydać syna, który mi zawsze cześć, miłość i posłuszeństwo zachował, a teraz swoją dla Ciebie i wiary Twojej przelaną krwią sprawił największą radość, największą chwałę".

Wdowa po poległym wielkim księciu, Anna czeska, okazała się niewiastą tak dzielną, iż rządziła sama księstwem wrocławskim aż do r. 1244, kiedy jej syn, Henryk III wrocławski osiągnął pełnoletność.

W trzy dni po bitwie legnickiej nastąpiła walna bitwa na Węgrzech, z wynikiem równie opłakany. Król węgierski Koloman spełnił obowiązek, stawił się do walki i podobnie jak Henryk Pobożny poległ. Została przeto wdową w dwudziestym dziewiątym roku życia bł. Salomea Leszkówna.

Ze Śląska rzucili się Tatarzy na Morawy i tam dopiero ponieśli pierwszą porażkę nie opodal Ołomuńca pod nieznacznym wzniesieniem, nazywanym "świętym Kopeczkiem" - cudownym obrazem Matki Bożej (jest to miejsce wielkich odpustów). Stamtąd cofnęli się, bo nadeszła wieść o śmierci Dżyngis-chana w Azji. Batu-chanowi spieszo było z powrotem, żeby się nie spóźnić na rozprawy wojenne w Azji o następstwo po Dżyngis-chanie i o nowy podział podległych krajów.

A gdzież byli wówczas Krzyżacy? Czyż nie było ich obowiązkiem spełnić ślub zakonu rycerskiego i bronić chrześcijan Polaków przeciwko pogańskim najeźdźcom? Im przypadłoby miejsce pierwsze, jako stałemu wojsku krzyżowemu! A wojskiem byli dobrym, gdyż rozporządzali najlepszą w całej Europie techniką wojskową. Ale na próżno wzywał ich papież Aleksander IV, żeby spieszyli na pomoc Polsce i Węgrom. Nie ruszyli się.

Polska nie tylko była zniszczona do cna; zaszło coś gorszego, była wyludniona. Spadła na nas klęska, która miała się niestety powtarzać ciągle przez całą historię Polski. Mieliśmy za mało ludności w stosunku do zajmowanego obszaru. W roku zaś 1241 nastąpiło wyludnienie tak straszne; iż cofnęliśmy się o wiek cały w rozwoju gospodarczym; więcej niż połowa ziemi leżała odłogiem z braku rąk do pracy. Trzeba było sprowadzać osadników z Niemiec. Ludzi brakowało do tego stopnia, że nawet stolicy nie dało się odbudować własną ludnością polską i dla podniesienia Krakowa z gruzów trzeba było sprowadzić także Niemców. Kraków stał się na długie czasy miastem niemieckim!

Ruś cała przeszła pod zwierzchnictwo tatarskiego chana Kipczaku. Książąt ruskich chanowie nie usuwali, ale zrobili ich swymi wyręczycielami i poborcami daniny. Chcąc się utrzymać na księstwie,

musiał się każdy z Rurykowiczów wysługiwać chanowi. Ubiegali się na wyścigi o jego łaskę, tatarskiego pilnując interesu, a o ludność własną nie dbając. Nawet najpotężniejszy z nich, Daniel halicki i kijowski, musiał uznać się dannikiem chańskim i haracz opłacać.

Na ziemi Lachów nastąpił przewrót etnograficzny, tj. dotyczący pochodzenia ludności, narodowości. Dotychczas Rusinów było niewiele, niemal tylko bezpośrednie ksiąząt otoczenie, potomstwo dawnych drużyn wareskich, trochę kupców z głębi Rusi i garstka popów i popowiczów (duchowieństwo prawosławne jest żonate). Ogół ludności był polski, a zwłaszcza cała ludność rolnicza była polska, chociaż prawosławna - jak wiemy - jeszcze od czasów Włodzimierzowych. Misje i wzrastająca świadomość jedności etnograficznej z Polską robiły coraz więcej szczerb w tym prawosławiu. W czasach sprzed roku 1240 tamtejsza ludność polska dzieliła się coraz wyraźniej na dwa obozy wyznaniowe: na katolicyzm i prawosławie, przy czym katolicyzm wzrastał coraz bardziej w liczbę i siłę. Założenie w samym Haliczu klasztorów dominikańskich i franciszkańskich wróżyło katolicyzmowi jak najlepszą przyszłość, a przyjazd św. Jacka wskazywał najlepiej, że zanosi się na rozmach sprawy katolickiej.

Nagle najazd tatarski przekreślił to wszystko. Nie tylko ruina, ale zabagnienie na przyszłość! W miarę jak zagony tatarskie pokrywały Kijowszczyznę, Podole i Wołyń, ludność tamtejsza uciekała przed najazdem coraz dalej ku zachodowi, napełniając zbiegami Księstwo Halickie. Parli coraz dalej, przekroczyli nawet Karpaty na stronę węgierską, dając tam początek tak zwanej Rusi Podkarpackiej, czyli Węgierskiej. Ziemia Lachów przyjęła bardzo dużo ludności ruskiej, rolniczej, kolonizującej pustkowie. Kraj stał się odtąd etnograficznie mieszany, a ponieważ cały ten napływ przybyszów był prawosławny, więc odtąd prawosławie miało wielką przewagę.

Cóż na tym tle strasznych wydarzeń i najprzykrzejszych z nich skutków robiło znane nam już grono naszych świętych? Dwoje z nich przeniosło się do wieczności. Zaraz w r. 1242 zmarł bł. Czesław, a roku następnego najstarsza z tego grona św. Jadwiga śląska, dokonała świątobliwego żywota w Trzebnicy. Pozostały w tym klasztorze jeszcze dwie księżniczki piastowskie: córka św. Jadwigi i Henryka Brodatego Gertruda, ksieni; i następczyni jej w tej godności, a jej siostrzenica, bo córka poległego pod Legnicą brata Gertrudy, Henryka Pobożnego, Agnieszka. Niestety, zniemczenie występujące już u Henryka Brodatego, zaznaczyło się coraz wyraźniej u jego potomstwa. Ksieni Agnieszka była już całkiem zniemczona i klasztor trzebnicki zamieniał się coraz bardziej w ognisko niemczyzny na polskiej ziemi. Niebawem zapanował w Trzebnicy duch wręcz wrogi polszczyźnie.

Odzyskana była dla polskość druga córka Henryka Pobożnego, Elżbieta, która również zamieszkała w Trzebnicy, lecz ślubów zakonnych nie składała. Ta wyszła za mąż w r. 1244 za księcia wielkopolskiego Przemysława I. O wielkiej nabożności tego księcia będzie mowa niżej.

Zaliczająca się do młodszego pokolenia bł. Salomea Leszkówna, wracała po śmierci męża do Polski. Była w Krakowie, w r. 1243, gdy bł. Prandota, od roku biskup w Krakowie, i znany nam już Klemens z Ruszczy siedemnastoletniego Bolesława Wstydliviego osadzili na tronie małopolskim, jako pełnoletniego. Nikt odtąd nie mógł narzucać się z opieką. Prawdziwym opiekunem pozostał bł. Prandota i wielka księżna bł. Grzymisława. Wraz z mężem Bolesławem wstępowała teraz na krakowski tron wielkksiążęcy bł. Kinga. Małżonkowie ci wprowadzili jednak w swe pożycie całkowitą powściągliwość, w której aż do zgonu wytrwali. Tak więc mieszkali w tych latach na zamku krakowskim trzy święte niewiasty, radując swą obecnością świętego biskupa.

Nie pozostała jednak w Krakowie bł. Salomea. Była królowną polską, królewiczową węgierską, była królową halicką, nie zaznała wszakże szczęścia w otoczeniu największych blasków świeckiego życia i zapragnęła ciszy klasztornej. Nie myślała jednak o Trzebnicy! Myśl jej zwróciła się ku Franciszkanom.

Ci mieli już od roku 1237 klasztory w Krakowie i we Wrocławiu, lecz napływali do nas bardziej z Niemiec, niż z Włoch. Nie chcieli nawet przyjmować polskich kleryków do nowicjatu! Na Śląsku zamienili się w przykre narzędzie germanizacji. Inaczej w Krakowie; w ciągu jednego pokolenia klasztor krakowski był zupełnie spolszczony. Niewieście klasztory franciszkańskie pozakładały dopiero księżne Piastówny, a zakładały je dla siebie, więc były polskie.

Franciszczanki nazywają się zazwyczaj Klaryskami, a to od św. Klary, naśladowczyni św. Franciszka i towarzyski jego wielkich spraw. Rodem była także z Asyżu, znała "Francuzika" osobiście. Ślubowała czystość dożywotnią, a kiedy chciano ją wydać za mąż, schroniła się do "porcjunkuli", a potem założyła zakon żeński, mający dopomagać pracom franciszkańskim. Regułę miały nader surową, ubóstwo całkowite i dużo umartwień: sama św. Klara katowała się formalnie. Zmarła w r. 1253, żyła więc jeszcze, kiedy nasza Piastówna zapragnęła iść w jej ślady.

Zajęła się bł. Salomea wyszukaniem towarzyszek życia klasztornego, przyszłych zakonnice, a mimo surowej reguły nie musiała długo szukać. Na miejsce klasztoru wybrała Zawichost w widłach rzecznych Wisły i Sanu. Wracała więc do Księstwa Sandomierskiego, do ulubionej ojcowizny swej gałęzi piastowskiego rodu, po dziadzie Kazimierzu Sprawiedliwym i po ojcu Leszku Białym. Zakonnice wprowadziły się w r. 1245, ona zaś sama mieszkała w nim, lecz ślubów zakonnych nie składała. Nie mogła ślubować ubóstwa, bo chciała ze swego majątku wyposażyć klasztor, a więc musiała ten majątek posiadać. Związane były z tym rozmaite sprawy i interesy, które wlokły się jeszcze przez dziesięć lat.

Tymczasem cała Polska zajęta była pewnym planem, który wyszedł równocześnie z dwóch stron: od św. Jacka i bł. Prandoty, a który pochwycony został gorliwie przez dwór krakowski, tj. przez bł. Grzymisławę, bł. Kingę i jej męża Bolesława Wstydliwego. Jaki plan? Oto chodziło o kanonizację św. Stanisława, żeby nareszcie sprawę przeprowadzić do końca! Rozeszło się to hasło z Krakowa i stało się nawet hasłem całej Polski.

Starania o kanonizację musiały zająć lat kilka, może nawet kilkanaście. Wiedziano o tym z góry, a oczywistą jest rzeczą, że nie można było przez ten czas założyć rąk i nie troszczyć się o sprawy publiczne. Posiadała zaś Polska męża, który podobnie jak św. Wojciech, ogarniał sprawy współczesne ze stanowiska historii powszechnej. Mężem tym był św. Jacek.

Jego wielkie dzieło polityczne powstało z rozważań, co począć na wypadek powtórnego najazdu tatarskiego? Jak zorganizować zawczasu opór, żeby nie kończyć na drugiej Legnicy? Trzeba było myśleć o tym, jak to urządzić, żeby pogańskich najeźdźców nie puścić na zachód, żeby ich wstrzymać, póki byliby jeszcze na wschodzie i tam w krajach położonych na wschód od Polski postawić skuteczną zaporę. Chodziło zatem o Ruś. Rurykowiczów zamienił najazd z r. 1242 w podwładnych chana Kipczaku, obowiązanych dostarczać mu hufców posiłkowych. Jeżeli się nie powiedzie zmiana tego stanu rzeczy, książęta ruscy, nie wyłączając Daniela halicko-kijowskiego, będą stanowić straż przednią armii mongolskiej! Czy nie dałoby się obrócić przeciwko Tatarom tych sił, które oni zamierzają wyprawiać przymusowo przeciwko Polsce, Węgrom i dalej - zachodniemu światu chrześcijańskiemu?

Taka była myśl św. Jacka. Nie dało się jej wykonać siłami Polski. Wtedy Polska była tak słaba, iż nawet wyobrazić sobie nie można było, żeby Piastowie pokierowali Rurykowiczami. Czasy zmieniły się bardzo na naszą niekorzyść.

Niegdyś szafowali polscy królowie, a nawet tylko książęta, koronami czeską i węgierską, a Rurykowiczów miewali sobie nieraz za podwładnych. Teraz węgierska dynastia Arpadów umacniała i rozszerzała państwo, bo szczęśliwie Węgry używały przez 90 lat spokoju wewnętrznego. Nie zrzekając się nigdy tytułu królów halicko-włodzimierskich, chcieli Arpadowie osiąść naprawdę Księstwo Halickie. Należałoby się temu sprzeciwić, a tymczasem obawa powtórnego najazdu mongolskiego zmuszała szukać sojuszu z Węgrami. Między równymi sojusz zamienia się w przyjaźń, ale gdzie zachodzi nierówność sił, tam sojusz polega na tym, że słabszy będzie się wysługiwać silniejszemu.

Jeszcze nie korzystniejszy stał się stosunek sił względem Czech. Niegdyś organizacja państwowa była w Polsce pewniejsza i silniejsza, ale za czasów Bolesława Wstydliwego czeska państwowość nie tylko dogoniła naszą w rozwoju, lecz znacznie ją przewyższyła. Czechy były potężniejsze od wszystkich piastowskich księstw razem wziętych. W r. 1204 Otokar I uzyskał potwierdzenie godności królewskiej od Stolicy Apostolskiej. Wnuk jego Otokar II, który panował w latach 1253-1278, rozszerzył niezmiernie granice królestwa czeskiego. Przyłączył szczęśliwymi kombinacjami Austrię, Styrię i Karyntię, wzywany nawet przez ludność tych krain, żeby nad nimi panował.

A cóż na to Niemcy? zapyta zapewne uważny czytelnik. Otóż Otokar II wyzyskiwał niemoc Niemiec, które naówczas pograżały się w najgorszy zamęt. Nie brały już udziału w dalszych krucjatach. Prowadził je król francuski Ludwik IX święty, w latach 1248-1254. Dostał się niestety z całym wojskiem do niewoli i ledwie zdołał się okupić. Niemcy zaś zajęte były ostrą walką cesarza Fryderyka II z papieżami Grzegorzem IX i Innocentym IV. Stolica Apostolska obarczyła cesarza klątwą, ogłosiła go niegodnym piastowania godności cesarskiej i wezwała zarazem książąt niemieckich do nowego wyboru cesarza. Elekcje wypadły niezgodnie, przez dziesięć lat trwały wojny domowe, a w końcu nastał okres, zwany w historii niemieckiej bezkrólewem (lata 1256-1273). Tak władza cesarska schodziła coraz niżej, aż doszła do zera.

Musiały Niemcy patrzeć bezsilnie na wzrost potęgi czeskiej. Ale Polska nie wyzyskała słabości Niemiec. Ani nawet korony królewskiej nie przywrócono! Bo też państwo polskie rozdrabniało się coraz bardziej na dzielnice książęce; w r. 1248 było już takich dzielnic czternaście. Rozbita Polska nie mogła się odważyć na żadne większe przedsięwzięcia.

A nieprzyjaciele Polski stawali się coraz silniejsi. Władający Prusami i Inflantami Zakon (krzyżacki) nie tylko umacniał coraz bardziej swoje całkowicie świeckie państwo nad Bałtykiem, ale zaczynał już zapędzać się na ziemie pomorskie i wielkopolskie. Słabi książęta, a raczej książątka - musieli im ustępować! Coraz bardziej stawali się też mazowieccy książęta bezsilni wobec najazdów litewskich. Jeńców polskich było na Litwie aż nazbyt dużo, o wiele więcej niż ich można użyć do prowadzenia uprawy rolniczej. Handlowano nimi, sprzedając jako niewolników do Kipczaku, skąd odstępowano ich dalej w Azji aż do Chin i do Egiptu w Afryce. Agentami tego handlu byli wędrowni kupcy żydowscy. Wiadomo, gdy jakiś towar zjawia się obficie na targu, cena jego spada. Czytamy przeto w kronice ruskiej owego czasu, że "na Litwie i na Białej Rusi sprzedawany bywał jeden Lach po grzywnie, tj. dziesięć groszy litewskich. Jakoż i na konie i na woły mieniała ich Litwa pomiędzy sobą".

Ta barbarzyńska Litwa stawała się jednak stopniowo państwem wcale nie barbarzyńskim, a Mendog rozszerzał coraz bardziej swą władzę na ziemie ruskie. Równocześnie Daniel posuwał się coraz dalej ku północy. Obydwa państwa graniczyły już ze sobą na Czarnej Rusi. Mendog i Daniel stawali się rywalami. Umawiał się Daniel z Krzyżakami przeciw Mendogowi, gdy wtem niespodzianka! Ażeby odwrócić od siebie (jak mniemał) nieprzyjaźń Zakonu, sam Mendog ochrzcił się w zimie z r. 1250 na 1251. Lecz nie było to niespodzianką dla Franciszkanów, którzy usadowieni byli już w samym Wilnie, oczywiście za zezwoleniem Mendoga; ani też dla Dominikanów, którzy według umowy pozwalali Franciszkanom wysuwać się na pierwszy plan na Litwie, sami starając się bardziej o nawrócenie schizmatycznej Rusi. Oba zakony działały w porozumieniu. Nie był tedy zwrot na Litwie niespodzianką dla św. Jacka, ani też nie było dla niego zaskoczeniem, że Mendog wyprawił do Rzymu poselstwo z prośbą, by został przyjęty w poczet królów chrześcijańskich. Papież uznał go królem w lipcu 1251 r., a w pierwszej połowie lipca 1253 r. odbyła się koronacja.

Pierwszym biskupem litewskim został Wit, Polak i Dominikanin, uczeń św. Jacka. Konsekracji na biskupa dokonano w Gnieźnie, pod przewodnictwem arcybiskupa Pełki. Widać z tego, jak polskie ręce czynne były w tym wszystkim. Dodajmy, iż ów biskup Wit zaliczony został potem także w poczet błogosławionych.

Stanął tedy św. Jacek umysłowo na czele wielkiej akcji politycznej. Obaj współzawodnicy, Mendog i Daniel, mieli być pozyskani do sojuszu przeciwko przewidywanemu najazdowi Tatarów. Dwa państwa miały się z nieprzyjanych zamienić na przyjazne. Trzeba jednak było, żaby obydwa były państwami katolickimi.

Dominikanie, powróciwszy do Halicza, działali oczywiście w kierunku unii kościelnej. Gdy Daniel zawierał na wszelki wypadek sojusze z Piastami i Arpadami, gdy widocznym było, że rad by zrzucić z siebie jarzmo tatarskie, przedstawiono mu, że mógłby mieć pomoc od wszystkich państw katolickich, gdyby porzucił schizmę i złożył oboediencję Ojcu św. tj. akt posłuszeństwa w sprawach wiary. Dla tej nadziei pomocy z zachodniej Europy, uznał Daniel papieża głową Kościoła i zawarł z Rzymem unię kościelną. Doradzano mu zarazem, żeby się starał u papieża o królewską koronę. Nie odmówiono mu jej i w r. 1254 koronowany był uroczyście w Drohiczyne na króla Rusi przez legata papieskiego Opiza.

Zaledwie rok oddzielał koronację litewską od ruskiej. Nie stanowiłaby Stolica Apostolska nowych dwóch królestw, gdyby miało się zanosić na to, że one rzucają się na siebie! Sojusz ich był rzeczą umówioną, a sojusze z Polską i Węgrami rozumiały się teraz same przez się.

Kanonizacja św. Stanisława

Tak się zbiegły okoliczności, że tego samego roku Ruś obchodziła koronację Daniela, a Polska kanonizację św. Stanisława. Św. Jacek oglądał spełnienie swych życzeń wszechstronnie.

Lata całe zajmowano się już pracami wstępnymi. Trzeba było sporządzić dokładne opisy okoliczności historycznych męczeństwa, zebrać dowody nadzwyczajnej bogobojności i świętobliwości biskupa, szczegółowe opisy tego wszystkiego, co świadczyć miało o świętości. Zważmy, że mijało już 170 lat od mordu na Skałce w Krakowie! Ileż mozół musiano włożyć w poszukiwanie świadków tradycji! Najstarszy, choćby dziewięćdziesięcioletni człowiek, mógł z wczesnego ledwie dzieciństwa przypominać sobie, co słyszał od najsędziwszych ludzi, jakich wówczas mógł poznać. Wypadki tego rodzaju są rzadkie. Cenne to świadectwa, ale trzeba je wyszukiwać daleko i szeroko! Należało posprawdzać, co podano w spisanych dotychczas żywotach św. Stanisława (wyłącznie po łacinie), poprawić co trzeba, dodać lub ująć itd. Tego nie można było powierzyć jednemu człowiekowi, tu trzeba było całego grona uczonych badaczy, bo wszystko musiało być przez kilka poważnych osób przepatrzone i poświadczane, jako prawdziwe, iż zachowano całą ostrożność i skrupulatność dociekań. Nie brakło osób, które zajęły się tym chętnie. Główne ognisko tych spraw wstępnych, przygotowawczych, musiało oczywiście być w Krakowie. Kierownictwo spoczywało w ręku bł. Prandoty, biskupa krakowskiego, a najgorliwszymi współpracownikami byli Dominikanie krakowscy. Przez biskupa wyznaczony był na sprawozdawcę (jak dziś powiedziano: na referenta) dziekan krakowski, ksiądz magister Gebhard. Tytuł magistra (wyrażany w polszczyźnie często słowem "mistrz") prowadzi do wniosku, że przebywał na studiach za granicą, na uniwersytecie, bo jest to tytuł uniwersytecki. Przedstawicielem zaś zakonu dominikańskiego do prac przedkanonizacyjnych był krakowski podprzeorzy Bogusław. W ciągu kilku lat pozbierano wiadomości od przyjaciół i pomocników, uporządkowano cały materiał, ułożono opisy i wnioski - i teraz należało cały ten zbiór przewieźć do Rzymu.

Skończyła się pierwsza część robót przystępowano do drugiej. Wielki książę i biskup krakowski pokryli koszty podróży trzech posłów, którzy by przedstawili akty i dokumenty kancelariom papieskim. Jechali więc obydwaj główni referenci, ksiądz dziekan i ksiądz podprzeorzy, ale kierownikiem poselstwa był ktoś trzeci, mianowicie mistrz Jakub ze Skarzeszewa. Zapisano o nim we współczesnych źródłach naszych wiadomości, że był to "człowiek maluczki i niepokazny, ale mimo niskiego rodu obdarzony rzadką nauką, wielkim rozsądkiem i osobliwą roztropnością w sprawach światowych". Przyjęto ich na papieskim dworze życzliwie i osiągnęli w zupełności cel swych trudów i podróży, bo papież Innocenty IV powołał papieską komisję do zbadania sprawy. To był drugi stopień; tego trzymano się zawsze przy kanonizacjach i obowiązuje ten przepis dotychczas. Rzecz prosta, że Stolica Apostolska musi sprawdzić, co jej przedstawiają. Dowodem wielkiej życzliwości papieża i ogromnym ułatwieniem było, że wszystkich trzech członków tej komisji mianował papież spośród Polaków. Stanowili ją prymas arcybiskup gnieźnieński Pełka, biskup wrocławski Tomasz i opat Jakub (nie wiadomo z którego klasztoru). Gdy z dobranymi przez siebie pomocnikami ukończyli swoje sprawozdanie, pojechali z nim powtórnie do Rzymu poselstwo, z którym wyprawiło się do Rzymu kilku Dominikanów i Franciszkanów.

Zaczynał się stopień trzeci. Chodziło teraz o cudy sprawione za przyczyną biskupa Stanisława Szczepanowskiego. Te specjalnie kazano badać i dawać baczenie, żeby nie ulegać łatwowierności. Istniała już i była wielce rozpowszechniana legenda o św. Stanisławie, ale właśnie tego pilnowano, żeby nie przyjmować niczego z legendy bez dowodu. Komisja ta sama, co poprzednio, tylko rozszerzona, wszczęła szereg formalnych śledztw. Zeznawali ludzie opisujący cudowne uleczenia na grobie świętego, podawali świadków, których trzeba było przesłuchać i protokołować. Spisywano również dawniejsze cudy, o których rozbrzmiewała tradycja. Jak tu sprawdzić, jeżeli współcześnie nikt tego nie zapisał? Trafiono na starca Gedeona (Gedkę), ziemianina, o którym sąsiedzi twierdzili, że ma sto lat. Pamiętał ludzi współczesnych męczeństwu św. biskupa; jego świadectwo wybijało się tedy na

pierwsze miejsce. Skoro już wszystko należycie pospisywano, jechało z tym do Rzymu trzecie z rządu poselstwo, którego uczestników nie umiemy jednak wymienić, bo imion ich zaniechano zapisać.

Zaczynał się stopień czwarty, sam proces kanonizacyjny przed Stolicą Apostolską. Dosłownie i naprawdę proces. Prawo kościelne, kanoniczne ustanawia, jak w każdym zwykłym procesie, oskarżyciela i obrońcę, czyli prokuratora i adwokata; ten stara się wykazać świętość, tamten zaś podnosi ciągle wątpliwości i przeczy, gdzie tylko może. Co tylko nie jest udowodnione, jak na dłoni, temu przeczy. Nazywa go się "advocatus diaboli" - adwokatem szatana, gdyż jego obowiązkiem jest być przeciwnikiem kanonizacji! Nie może być kanonizacji, póki ten rzekomy "rzecznik szatana" nie podda się, póki nie złoży oświadczenia, że nie ma już nic do powiedzenia. Obrońcą, rzecznikiem św. Stanisława był kardynał biskup z Gaety, prokuratorem zaś Reginald, kardynał, biskup z Ostii (obydwa te miasta niedaleko Rzymu). Po pewnym czasie zgodzili się obydwaj. Legenda opowiada, że św. Stanisław objawił się we śnie "advokatowi szatana" i że zaraz potem ten przestał sprzeciwiać się. Cóż dziwnego, że przyśnił się św. Stanisław komuś, kto przez kilka miesięcy dzień w dzień zmuszony był myśleć o nim z urzędu swego, ale sen nie może stanowić dowodu ni w prawo, ni w lewo i nie pod wpływem snu prokurator ustąpił!

Nastąpił stopień czwarty, przyjęcie przez Ojca św. do wiadomości, że biskup Stanisław Szczepanowski winien być ogłoszony świętym. Stopień piąty i ostatni: uroczystość kanonizacyjna. Z dawien dawna i do dni naszych odbywa się to w sposób najuroczystszy.

Papież Innocenty IV bawił w podróży po północnych Włoszech, należało tedy czekać, aż powróci do Rzymu. Znowu doznało poselstwo polskie łaski papieskiej, żeby nie musieli dłużej czekać, zezwolił Ojciec św. na uroczyste ogłoszenie kanonizacji na swym podróżnym szlaku. Nie pomniejszyła się przez to cześć św. Stanisława, bo papież wyznaczył na miejsce uroczystości kościół główny franciszkański w Asyżu, kościół samego św. Franciszka. Tam tedy w dzień Narodzenia N.M.P. r. 1253 przybył sam papież, szereg kardynałów, okoliczni biskupi, cały dwór papieski, wszyscy Franciszkanie i inny kler zakonny z północnych prowincji włoskich, tudzież przedstawiciele stanu rycerskiego i mieszczańskiego, delegacje miast bliższych, kupców i rękodzielników, szkoły i ludność cała z Asyżu i okolicy. Tłumy zapełniły olbrzymi ten kościół, a na miejscu honorowym naprzeciw papieża, zasiedli polscy posłowie. Po uroczystym nabożeństwie, po kazaniach, po przemowach, Ojciec św. wręczył Polakom bullę kanonizacyjną. Pielgrzymując do grobu nowego świętego udzielała Stolica Apostolska odpustu rok i 40 dni, a pamiątkę jego kazano obchodzić w Kościele dnia 8 maja.

Z bullą papieską wracali posłowie do Krakowa. Nie sami przybywali, lecz w towarzystwie legata papieskiego, opata Opizona z Meranu (w Tyrolu w Alpach). Oczywiście wyprzedziła ich wieść, tym razem tak radosna! Łatwo pojąć, jakie uroczystości przygotowywali w Krakowie Bolesław Wstydlivy, matka jego bł. Grzymisława, żona bł. Kinga i bł. biskup Prandota, całe duchowieństwo świeckie i zakonne, z Dominikanami na czele! Zjechało się do Krakowa pięciu książąt piastowskich, wszyscy biskupi, opaci i przeorowie z całej Polski, wielmoże i prostaczkowie, wszystkie stany i zawody. Kto tylko mógł, jechał do Krakowa na dzień 8 maja 1254 r. Przyjezdnych było tylu, iż miasto nie mogło im zapewnić noclegów i obozowali po polach za murami miejskimi. Pod okiem legata papieskiego dokonano odkrycia dotychczasowego grobowca, w południowej stronie katedry wawelskiej, sprawionego niegdyś przez biskupa Lamberta. Biskupi sami obmyli święte szczątki winem, następnie podniesiono je i pokazano przelicznemu zgromadzeniu. Odczytano łacińską bullę Innocentego IV i przełożono ją dla świeckich na polski. Słuchano tego na kolanach w milczeniu, a największym wzruszeniem. Rozpoczęły się modły i setki mszy św. odprawiono na całym wzgórzu wawelskim przy ołtarzach polowych, a kilkudziesięciu członków Zakonu Kaznodziejskiego (dominikańskiego) wystąpiło z kazaniem. Ludu fale zmieniały się, ci, którzy już wysłuchali nabożeństw, ustępowali miejsca nowym gromadom, oczekującym pod Wawelem swej kolei. Katedra sama ledwie mogła pomieścić książąt z orszakami i dostojników kościelnych.

Wielki to był dzień dla Piastów. Zabójcą św. Stanisława był król, głowa dynastii, zhańbił dom piastowski zgładzeniem sługi Bożego. Nie bez słuszności zwracano uwagę, jako od tego czasu nie mieli Piastowie między sobą króla, że korona była im od owego dnia odjęta. Prawdą to było, a któż śmiałyby zaprzeczyć, czy nie było w tym palca Bożego? że to nie kara i przestroga z woli Najwyższego? Lecz Piastowie sami uznali, że Bolesław Śmiały zawinił, że dopuścił się zbrodni. A teraz oto

przedstawiciele dynastii zebrali się kornie koło grobu męczennika i wzywają go w modlitwie, jako patrona Polski, a więc społeczeństwa i państwa, ludu i dynastii. Modlą się, żeby przebłagać Boga za grzech swego przodka i samą obecnością swoją dają zadośćuczynienie Kościołowi.

Znakiem uległego uznania świętego patrona narodu polskiego była wielka procesja, krocząca od stóp Wawelu wzdłuż Wisły na Skałkę. Weszła potem w zwyczaj i urządzana była przez każdego króla nazajutrz po koronacji. Owego dnia 8 maja 1254 r. kroczyli za długimi szeregami duchowieństwa legat papieski i biskupi polscy: arcybiskup Pełka, biskup wrocławski Tomasz, kujawski (włocławski) Wolmir, płocki Andrzej i gospodarz miejsca bł. Prandota krakowski, tudzież dwóch biskupów misyjnych: litewski bł. Wit i ruski Gerhard, drugi z kolei biskup misyjny Rusi, który z Rzymu przywiózł sobie infułę biskupią. Obok nich poważna delegacja od króla czeskiego Otokara II, po czym szli w procesji Piastowie: Wielki książę Bolesław Wstydlivy, Przemysław I książę Poznański, brat jego Bolesław Kaliski, Kazimierz Kujawski, Ziemowit Mazowiecki i ze Śląska Władysław Opolski. Towarzyszyły im księżne małżonki i dzieci, chłopcy "księżycowic" i księżniczki córki. Nie zna zaś historia drugiej takiej procesji, w której uczestniczyłyby tylu świętych Pańskich. Rozwinął się tam cały wieniec świętości ówczesnej Polski. Czyż wątpić, że zjechał na tę uroczystość ten, który sam od dawna ją przysposabiał, św. Jacek i towarzysz jego św. Sadok? Szli skromnie w szeregach swej braci dominikańskiej, nie wyróżniając się od nikogo (św. Sadok pozostał już w Polsce). Trzecim był bł. Wit, na Litwę naznaczony, a czwartym bł. Prandota. Dodajmy pięć świętych niewiast: matkę wielkiego księcia Grzymisławę, dziewiczą jego małżonkę Kingę i siostrę rodzoną Salomeę. Nadto dwie święte zakonnice Norbertanki z klasztoru na Zwierzyńcu: znana nam bł. Bronisława Odrowążówna i towarzysza jej, bł. Judyta Krakowianka, która również słynęła ze świętobliwości. Dziewięciu świętych brało tedy udział w tej procesji, prawdziwej procesji świętych.

Istniał zawsze i dotychczas istnieje zwyczaj, że relikwie nowo kanonizowanych bywają dzielone, że się obdarza nimi kościoły, którym chce się wyświadczyć dobrodziejstwo. Dzieli się kości świętych na części, cząstki i cząsteczki. Wszakże na każdym ołtarzu znajduje się jakaś relikwia: po większej części są to bardzo drobne kawałeczki kości jakiegoś świętego, często zgoła nawet nieznanego w tym kraju, gdzie się na jego szczątki szczątków odprawia nabożeństwo. Obiegały one w ciągu wieków świat katolicki skutkiem podróży, zwłaszcza zakonników, gdy z klasztoru macierzystego szli w świat daleki zakładać filie, musieli brać z sobą relikwie, bo inaczej nie mogliby nigdzie ustawić ołtarza.

Obdzielono też częściami i cząstkami kości św. Stanisława najważniejsze kościoły w Polsce, katedralne, kolegialne, zakonne, wymieszając dary tak obficie iż w katedrze krakowskiej pozostała tylko głowa i ramiona. Znaczny dar otrzymał także król czeski Otokar II, któremu posłano do Pragi część ręki. Było to dowodem stosunków w tym czasie bliższych i serdecznych z dworem krakowskim.

Otokar uważał zapewne dar tak bezcenny za najlepszą wróżbę dla przedsięwzięć, jakie właśnie zaprzętały jego głowę. Potężny, władający od gór Sudeckich po Alpy styryjskie, niebawem miał przyłączyć nadto Karyntię; monarcha, któremu spełniały się wszelkie życzenia, chciał okazać wdzięczność Opatrzności. Zamyślał dokonać jakiegoś dzieła zbożnego a wielkiego - postanowił urządzić wielką wyprawę krzyżową na pogańskich Prusaków, żeby dopomóc "Zakonowi". Tego samego jeszcze r. 1254 zebrał znaczne wojsko. Szczęście towarzyszyło mu i na tej wyprawie, bo dotarł zwycięsko aż do wschodnich granic pruskiego kraju, blisko Litwy, i tam założył Krzyżakom swoim kosztem warowny gród, który oni nazwali na jego cześć "królewską górą" (po niemiecku Koenigsberg, po polsku Królewiec). Wokół warowni powstało wkrótce znaczne miasto, które stało się w przyszłości stolicą państwa niemiecko-pruskiego. Jeszcze raz potem wyprawił się Otokar w tamte strony i znowu z wielką korzyścią dla Zakonu, a zatem... z wielką szkodą dla Polski.

Tak to często skutki naszych czynów bywają nieprzewidziane, nawet przeciwne naszej pierwotnej intencji. Tego nie mógł przewidywać ów król czeski, że pomaga kuć młot na Polskę, który w dalszych pokoleniach uderzy także w Czechy. Dumny był i szczęśliwy, że przysługuje się chrześcijaństwu, że część swojej potęgi oddaje na usługi wiary św. i Kościoła. Jakże się mylił! A co ciekawsze, że monarchę tego po długich latach nadzwyczajnego powodzenia czekała w końcu nagła klęska, również nadzwyczajna...

Od Zakonu nie przysłano nikogo na uroczystości kanonizacyjne, ani jednego nawet delegata. Jak zaś Krzyżacy pojmowali swój stosunek do spraw religijnych, a zwłaszcza do misji wśród pogan, niechaj zaświadczy przykład wzięty z historii tych właśnie lat 1254-1255. Biskupi polscy wystarali się niedawno o ufundowanie osobnego biskupstwa misyjnego w Łukowie, jako podstawy dla misji litewskich i ruskich. Książęta przygotowywali zaś równocześnie wyprawę na pogan wschodnich, graniczących z Polską, na dzikich prawdziwie Jadźwingów, koczujących pomiędzy Polską a Litwą. Kierować miał sprawą Bolesław Wstydlivy przy pomocy swego synowca Kazimierza Łęczyckiego. Przewidywali, że gdyby zdobyli na poganach jakąś krainę, zaraz Krzyżacy zgłoszą do niej swe roszczenia. Z góry wystarali się więc u papieża Innocentego IV, żeby spodziewane zdobycze nadał im i przyznał jako lenno Stolicy Apostolskiej. Otóż Zakon zaraz przeciwko temu apelował! Pomimo to otrzymał książę łęczycki w Rzymie nadanie Polesia, nie nawróconego jeszcze i pustego, tudzież krainy zwanej Golędźią. Były to ziemie bardzo odległe od Krzyżaków, wchodzące raczej w zakres polityki Daniela Halickiego. A skoro Daniel przyjął unię i otrzymał od papieża koronę, książęta piastowscy nie zamierzali wchodzić mu w drogę i od wojennych swoich zamiarów całkiem odstąpili. Pomimo to Krzyżacy nie spoczęli, aż Kazimierz Łęczycki zrzekł się w r. 1255 na ich rzecz praw nadanych sobie przez Stolicę Apostolską. Do tego stopnia baczyl, żeby do pogan nikt nie miał nawet pozornych praw. Kto tylko myślał o misjach wśród pogaństwa północno-wschodniej Europy stawał się wrogiem Zakonu, bo im... psuł interes! Intrygowali też przeciwko założeniu biskupstwa łukowskiego i kopali dołki dopóty, dopóki postawili na swoim, i biskupstwo to pozostało (jak się mówi) na papierze.

Nie koniec na tym! Intrygowali przeciw pierwszemu biskupowi Litwy, bł. Witowi. Zasypywali Stolicę Apostolską i dwory monarsze zachodniej Europy pismami z zażaleniami, że tylko oni pogan nawracają, oni bronią chrześcijan przed poganami, a zatem należy się im zwierzchność nad nawróconymi i tym samym hierarchię kościelną oni tylko winni tam zaprowadzać, że biskup litewski powinien być mianowany spośród nielicznych kapłanów ich Zakonu. I znów nie spoczęli, aż postawili na swoim! Bł. Wit zrezygnował ze swego biskupstwa w r. 1255, a biskupem litewskim został następnie mianowany kapłan krzyżacki, imieniem Krystyn.

Widząc jasno, że krzyżacki Zakon nie jest pomocą w stosunkach z ościennymi poganami, lecz przeszkodą i że chce pogaństwo utrzymać, bo ciągnie z tego zyski, proponował bł. biskup Prandota, żeby sprowadzić francuskich Templariuszy i osadzić ich od strony Jadźwingów. Ale było już za późno.

Posiadali Krzyżacy wielkie wpływy w całej ówczesnej Europie i w samym Rzymie, bo pomagano im, sądząc, że popiera się wielkie dzieło misyjne. Im zaś chodziło tylko o cele świeckie, o bogactwa i o zaopatrzenie młodszych synów niemieckich wielmożów.

Tymczasem rozwijał się nasz polski wieniec świętości. Od r. 1255 uporządkowane były sprawy majątkowe klasztoru Klarysek w Zawichoście, wyposażony już był zdaniem bł. Salomei należycie. Żadna z zakonnic nie mogła wprawdzie posiadać majątku osobistego, a wszystkie żyły ubożuchno, ale nawet ubogie utrzymanie kosztuje, a przy tym trzeba mieć środki na zachowanie całości i porządku budynku klasztornego, kościoła, a choćby tylko kaplicy; i kościół zaopatrzyć w sprzęt kościelny i mieć na utrzymanie kapłana, który byłby zarazem spowiednikiem zakonnic. Tak więc minęło lat dziesięć nim bł. Salomea osądziła, że może się już wyrzec majątku i w r. 1255 stała się zakonnicą. Stanowiska ksieni nigdy nie przyjmowała. Przebyła w klasztorze 26 lat.

Tegoż roku klasztor zwierzyniecki poniósł wielką stratę, gdyż zmarła tam owa towarzyszka bł. Bronisławy, bł. Judyta, o której niestety nic więcej nie wiemy, jak tylko to, że była rodowitą Krakowianką i że ją czczono jako świętą. Mamy też wiadomość, że była "wstawiona cudami". Cześć jej trwała jeszcze w połowie wieku XVII, lecz potem urwała się tradycja.

W roku następnym przybywał natomiast do wieńca świętości nowy liść. Jeden z najdzielniejszych Piastów, rodzony brat Przemysława Poznańskiego, książę kaliski Bolesław Pobożny, poślubił siostrę przyrodnią wielkiej księżnej Kingi, Jolantę (Helenę), córkę Bieli IV, króla węgierskiego. Jak zwykle wtenczas, panna młoda była jeszcze bardzo młoda, licząc zaledwie 12 lat. Ślub odbył się w Krakowie w r. 1256. Św. Kinga zatrzymała zbyt młodą pannę młodą po ślubie przy sobie, na swym dworze, jeszcze przez dwa lata i dopiero potem odesłała ją mężowi do Kalisza. Jolanta miała potem powiększyć grono polskich świętych patronek.

W tym samym czasie przybywał drugi z kolei klasztor Klarysek w Polsce, mianowicie wrocławski, fundowany w r. 1257 przez wdowę po Henryku Pobożnym, Annę. Jak wiemy, była to królowna czeska; z Pragi też Klaryski sprowadziła. Znamienne jest, że stroniła od Trzebnicy, choć miała tam świekrę i szwagierkę. Zamieszkała u swoich Klarysek, żyła tam do r. 1265, a zmarła w chwale świętości.

Niestety, również w r. 1257 miał ubyc główny działacz tego pokolenia. Św. Jacek dokończył żywota, tak zbożnego i tak pożytecznego. Umarł w glorii świętości, modląc się do niego i wypraszano nawet cudy, a jednak minęło 346 lat, nim został ogłoszonym świętym.

A w następnym roku 1258 skończyły się świątobliwe dni bł. Grzymisławy. Pochowano ją we franciszkańskim kościele w Krakowie.

Na wawelskim zamku pozostawała sama już bł. Kinga, dziewicza małżonka dziewiczego męża, oboje oddani duchownemu kierownictwu bł. biskupa Prandoty. A w najbliższym sąsiedztwie Wawelu, na Zwierzyńcu, odeszła z tego świata w dwa lata po swym stryjecznym bracie św. Jacku, bł. Bronisława, ta, która przed Tatarami schroniła się na "Panieńskie skały" pod Krakowem. Pochowana jest w kościele swego klasztoru, beatyfikowana dopiero w roku 1839 przez papieża Grzegorza VI. Przeniosła się do lepszego świata, jakby unikając powtórnej ucieczki przed tatarskimi zagonami, tuż przed drugim ich najazdem. Miał nastąpić w roku jej zgonu, 1259.

Zwolnił Pan Bóg bł. Bronisławę od udręczeń powtórnego najazdu mongolskiego, a św. Jacka od katuszy najcięższej, żeby nie musiał patrzeć na rozbicie własnego dzieła. Najazd bowiem straszliwy, jeszcze gorszy niż w r. 1241, wywracał znowu wszystkie stosunki.

Początki odrodzenia

Radosny tytuł rozdziału, chociaż wypadnie opowiadać w nim o ciężkich nieszczęściach. Klęski były straszne, bo nastąpił drugi i trzeci najazd mongolski, ale były to klęski z zewnątrz, nie z naszej winy; odrodzenie zaś zaczęło się z wewnątrz, wyniknęło z nas samych. Wszelka poprawa wówczas tylko bywa stała i obfituje w pomyślnie następstwa, jeżeli korzenie jej tkwią w duszy. Charaktery muszą się poprawić, jeżeli życie publiczne ma wejść na lepsze tory. Jeżeli w jakimś społeczeństwie nie brak tęgich charakterów, obstających przy moralności, a brzydzących się niemoralnością, jeżeli naród posiada dostateczną ilość obywateli zacnych, obowiązkowych, ofiarnych, przenoszących dobro publiczne nad prywatne, wtedy przetrzymuje zwycięsko nawet najcięższe klęski i nie przestaje dążyć do wzniosłych celów, choć nie można kroczyć szybko wśród nieszczęść. Stąpa się, jak po grudzie, ale się idzie i nie ustaje w drodze! Oto prawdziwe odrodzenie i takie odrodzenie spłynęło na przodków naszych drugiej połowy XIII w., jakby wymodlone za przyczyną tych świętych patronów, jakich wydawały z siebie owe pokolenia.

Zawiązki odrodzenia znać zaraz po kanonizacji św. Stanisława. Pierwszy brzask zaświtał pomiędzy Poznaniem a Kaliszem. Łączyła ścisła przyjaźń te dwa księstwa, bo władali tam dwaj rodzeni bracia, obaj uczciwi: w Kaliszu Bolesław Pobożny, a w Poznaniu Przemysław I, ten sam, o którego nadzwyczajnej nabożności już wiemy. Ten miał trzy córki, które wszystkie zostały zakonnicami w późniejszych latach. Dziećmi jeszcze były, kiedy umarł im ojciec w r. 1257. Za życia ojca brata nie miały. Długo oczekiwany potomek męski miał przyjść na świat dopiero po śmierci ojcowskiej, jako pogrobowiec. Przemysław I Poznański zmarł dnia 4 czerwca 1257 r., a dnia 14 października urodził się syn, którego nazwano także Przemysławem. Opieka przypadła stryjowi Bolesławowi Kalickiemu. Niejeden książę byłby skorzystał z praw opiekuna, żeby nie tylko sprawować zastępczo rządu Wielkopolski, ale żeby ją zagarnąć dla siebie! Ale ten Bolesław był naprawdę mężem pobożnym, bogobojnym, i sprawował opiekę w sposób prawdziwie wzorowy.

Wychowywały pogrobowca dwie świątobliwe niewiasty, matka i stryjna. Matka, wdowa po Przemysławie I, to Elżbieta, córka poległego pod Legnicą Henryka Pobożnego, a wnuczka św. Jadwigi z Trzebnicy. Od lat już trzynastu strzegła bogobojności na poznańskim dworze. Stryjna po roku dopiero przybyła do Kalisza (zatrzymana po ślubie przez bł. Kingę całe dwa lata w Krakowie), ale zaraz

zajęła się gorliwie małym książątkiem; wszakże była to bł. Jolanta! I stryj poświęcał też coraz więcej czasu synowcowi, w miarę jak podrastał. Słowem: trudno sobie wyobrazić szlachetniejsze otoczenie i lepsze wychowanie od tego, jakie dostawało się w udziale młodemu Przemysławowi. A książątko to miało stać się gwiazdą wschodzącego odrodzenia Polski.

Lecz przedtem trzeba było dużo przecierpieć i przetrzymać. Tyczyło się to tylko starszych. Przemysław liczył zaledwie dwa lata, kiedy spadł na Polskę drugi najazd mongolski. Nie dotarli wprawdzie najeźdźcy do Kujaw; najazd ograniczył się do Małopolski, ale jej zniszczenie osłabiło cały kraj.

Każdy najazd mongolski, czy tatarski z Kipczaku, musiał się zacząć od Rusi, jako położonej bardziej na wschód.

Nowy król halicki Daniel nie był nawrócony szczerze ze schizmy, lecz przyjmował unię kościelną tylko ze względów politycznych, spodziewając się za to pomocy przeciw chanowi Kipczaku. Sam rozpoczął walkę z Tatarami, zmówiwszy się z Mendogiem, ale przeliczył się. Mongołowie urządzali właśnie drugą wyprawę celem zdobycia Węgier. Część armii wkroczyła od razu aż na Litwę, ażeby Mendog nie mógł połączyć się z Danielem; druga część znaczniejsza załała Małopolskę. Król ruski nie mogąc znikąd otrzymać pomocy, musiał posłusznie oddać swe hufce pod rozkazy chana. Użyto ich na straże przednie i dlatego zarzucano potem Danielowi, że był "przewodnikiem" najazdu na Polskę. Unię kościelną porzucił.

Zbliżali się pohańcy do Sandomierza. Bł. Salomeę z zakonnicami wyprawiono z Zawichostu w Pieniny, skaliste góry na granicy polsko-węgierskiej. Ale Dominikanie sandomierscy pod swym przeorem, św. Sadokiem, zostali. Postąpili podobnie jak ich wrocławscy współbracia w r. 1242 pod bł. Czesławem; zostali, żeby dzielić dolę z załogą broniącą grodu i tam też się przenieśli.

Co dalej się stało, wiąże się w jedną z najpiękniejszych legend. Jest zwyczaj po klasztorach, że podczas posiłku codziennie jeden z braci czyta ustęp z dziejów męczenników świętych. Dnia 2 czerwca 1259 roku zakonnik czytający wyczytuje w głos te słowa: "W Sandomierzu męczeństwo 49 zakonników". A w sam raz było ich w klasztorze 49, kapłanów i braci. Wszyscy zdziwieni, a lektor (czytający) zaręcza, że tak wypisane ma w księdze, z której czyta, a wypisane jaśniejącymi literami. Przeor każe sobie podać księgę i sam widzi, że to prawda. Księga idzie z rąk do rąk, a wszyscy stwierdzają to samo. Wówczas św. Sadok kazał wszystkim gotować się na śmierć. Przystąpiwszy do Sakramentów świętych spędzili noc na modlitwach i nabożnych śpiewach, nie ruszając się z kościoła. Doczekali się nazajutrz rzeczywiście śmierci.

Wszystkie domy, kościoły, "a były wielkie i cudne, połyskujące krasotą, z białego ciosu stawiane", mówi według podania naocznych świadków kronika ruska - spłonęły. Z ludności, to co nie zginęło przy wzięciu miasta, padło potem ryczałtem pod ciosami Mongołów. Przed wymordowaniem (opowiada także kronika) - "mnisi z księżmi i diakonami odprawiali nabożeństwo, odśpiewali mszę świętą i jęli brać komunię, naprzód sami, potem szlachta z żonami i dziećmi, i wszyscy od małego do największego wyświadczyli się, ci przed mnichami, inni przed księżmi i diakonami, gdyż było mnogo narodu w grodzie. Potem zaś wyszli z krzyżami z grodu, ze świecami i kadzidłami, szlachta i szlachcianki, ubrawszy się w szaty weselne, a sługi szlacheckie niosły dziatki przed nimi, a był płacz wielki i szlochanie; mężowie płakali żon swoich, matki dzieci, brat brata, a nie było nikogo, kto by się zmiłował. A ustępujących tak z miasta zagnali Tatarzy na błonie wzdłuż brzegów Wisły. I siedzieli tam dwa dni na błoniu. Potem jęli Tatarowie wszystkich mordować, mężów wespół z niewiasty, i nie pozostała z nich żywa dusza".

Ruszyli Tatarzy dalej i zniszczyli na nowo Kraków, ledwie odbudowany po pierwszym najeździe. Padli tym razem ofiarą nowi zakonnicy, Bracia Pokutni, sprowadzeni przez Bolesława Wstydliwego zaledwie przed dwoma laty do Krakowa. Należał do nich kościół św. Marka (przy ul. Sławkowskiej) i tam w kaplicy św. Zofii leżą ciała trzech pomordowanych zakonników. Czczono ich jako błogosławionych męczenników przez niemal 500 lat; mamy na to świadectwo jeszcze z roku 1737. Potem jednak zatarła się ta tradycja.

Tatarzy uprowadzali wszędzie ludność do niewoli w "jasyr". Małopolska zaledwie po 17 latach ponownie wyludniona stawała się naprawdę pustką. Na zgłiszczach wszędzie trupy ludzkie, całe osady spalone i zrównane z ziemią.

Gdy o tym wszystkim wieść doszła do Rzymu, powiedział Ojciec św., że Polacy posiadają święte miejsca męczeństw, do których należy pielgrzymować, jakoby "na góry kalwaryjskie". Jest też podanie, że przywieziono do Rzymu trochę ziemi spod Sandomierza, a gdy Papież ścisnął w rękę garść tej ziemi, pociekła krwią męczeńską.

Takie wielkie znaczenie moralne ma męczeństwo św. Sadoka, męża wielkiego doświadczenia i jeszcze większej Wiary. Ze stron rodzinnych znad Wisły przeniesiony do Bolonii i do Rzymu, misjonarz Kumanów, pierwszy świadek przewrotności Krzyżaków, powrócił do swojej Małopolski, żeby powiększyć liczbę naszych świętych patronów nie tylko własną osobą; słusznie mówi się: św. Sadak i 49 towarzyszy.

Podobnie, jak w r. 1242, okrażali Mongołowie także w roku 1259 Węgry od północy, przez Małopolskę, i szczególnym zbiegiem okoliczności znowu tak samo olbrzymia ich armia miała być nagle odwołana do Azji, potrzebna tam na wojnę domową o następstwo po Dżyngis-kanie.

Gdy minęła mongolska nawała, pokazało się, że bł. Salomea i jej towarzyszy nie mają co porabiać w Zawichoście, bo tam nie został kamień na kamieniu. Pragnąc okolicy bezpieczniejszej i żeby być bliżej Krakowa, przeniosła swój klasztor do Skały, nieco na północ od stołecznego miasta.

Brat jej, wielki książę Bolesław Wstydlivy, schronił się wraz ze swą małżonką bł. Kingą także w góry karpackie, lecz dalej na wschód, tam, gdzie w Karpatach księstwo halickie przytyka do Węgier. Z dawien dawna słynęły obydwie stoki tamtej części Karpat ze źródeł solnych. Stanowiły one największe bogactwo podgórze halickiego, a nie brakło ich również po stronie węgierskiej. I tu i tam stanowiły własność panującego, bo już w owych odległych czasach sól stanowiła monopol państwowy. Stamtąd przywozła bł. Kinga, wracając potem do Polski, biegłych warzelników, tj. umiających źródła solne wynaleźć i sól z nich wytworzyć czystą, tak zwaną warzonkę. Ci wykryli istotnie takie źródła w dwóch miejscach, w Wieliczce i w Bochni. Szukając coraz nowych źródeł solnych, ukrytych pod ziemią, kopiąc, natrafili na sól kamienną. Taki jest początek wielkich salin polskich, największych na całym świecie. Był to prawdziwy dar bł. Kingi dla Polski i słusznie czczona jest przez naszych górników solnych, jako ich patronka. W głębokich podziemiach Wieliczki znajduje się kaplica bł. Kingi, wyrażana przez górników w zwalach soli.

Nie wiemy, gdzie przebył najazd tatarski bł. Prandota. Może w Jędrzejowie, przy grobie bł. Kadłubka? Wracał do Krakowa schorzały i w r. 1262 dokończył świątobliwego żywota. Pochowany jest w katedrze na Wawelu. Szczątki jego dwukrotnie podnoszono ze czcią największą, w r. 1444 i 1639.

Tegoż roku 1262 był Kraków świadkiem dziwnego wydarzenia u Dominikanów. Było tam trzech braci rodzonych; najstarszy Waclaw otrzymał już święcenia kapłańskie, średni Władysław był po wyższym święceniu diakonem, najmłodszy Wisław dopiero subdiakonem po święceniach niższych. Wszystkich trzech przyjęto jednego dnia do zakonu i wszyscy trzej zmarli po komunii św. równocześnie, podczas zwykłej medytacji. Starszych zdjęła obawa, czy to nie kara Boża, za niegodne przyjęcie Sakramentu; kazali więc te trzy ciała pogrzebać w sadzie, na uboczu. Lecz bracia owi zjawili się przeorowi kilka razy we śnie, upominając, żeby ich ciała kazał przenieść na miejsce poświęcone, pomiędzy grobowce dominikańskie w podziemiach kościoła. I dodawali zmarli przeorowi taką uwagę. "Nas Pan Bóg wtenczas do siebie wziął raczył i niebem obdarował, gdy nas sposobnych widział". Przeor uznał te sny za wskazówkę dla siebie, kazał ciała trzech braci wykopać i pogrzebać na nowo, z całym ceremoniałem dominikańskim, w miejscu, gdzie potem stanęła i stoi dotychczas kaplica Trzech Królów.

Strasliwa tatarska nawała wstrząsnęła do głębi całym społeczeństwem. Ludzie złamani nieszczęściem, pozbawieni rodzin i dorobku pracy wielu lat, niepewni, czy najazd się nie powtórzy, w trwodze o ziemskie powodzenie poczuli, jak zwykle bywa, równocześnie trwogę sumienia. Najazd przedstawiał im się, jako ciężka kara za grzechy. Po najeździe pod wpływem strasznego ciosu, tysiące zwróciły się do Boga, bo - trwoga! A każdy z nich chciał dać swej pobożności jakiś znak widomy; ubogi

wrzucił do skarbyń grosz, bogacz fundował klasztor. Pod wpływem trwogi spełniali uczynki prawdziwie bogobojne, ludzie wcale niebogobojnie usposobieni. Cóż dopiero tacy, którzy naprawdę mieli Boga w sercu! Przez ogólny pobożny nastrój powiększał się wpływ osób zapatrujących się na życie głębiej, ściśle według chrześcijańskiej moralności, bo podniósł się ogólny stan moralności w społeczeństwie.

Wzmógł się też prąd ascetyczny, tj. skłonność do umartwień, i sięgnął nawet o wiele dalej, niż wymagał św. Franciszek od osób świeckich. Nawet między Piastami nie brakło książąt, współzawodniczących z mnichami czy pustelnikami. Wtedy to odznaczał się wielkopolski Przemysław I, mąż Elżbiety, córki Bolesława Pobożnego ze Śląska. Żona jego wychowana była w Trzebnicy przez matkę św. Jadwigę, której rodzaj świątobliwości poznaliśmy. Zapanowała więc na dworze poznańskim przesadna nabożność. Na przykład książę wstawał o północy do psalterza. Trzeba sobie wyobrazić, jak to się odbywało: o północy wchodził do sypialni książęcej zakonnik kapelan, budził Przemysława, rozpałał szczapę zatknietą w żelazne dwie szczypce, wbite w mur w kącie pokoju i przy tym świetle tłumaczył na polski ustęp z łacińskiego psalterza; rozmawiali następnie o tym, co przeczytano, i nabożnie wysłuchano, i wśród pobożnej rozmowy książę usypiał na nowo. Ten Przemysław ślubował też powstrzymanie się od miodu, a podczas wielkiego postu nosił na gołym ciele włosiennicę. Inni ślubowali jeszcze więcej, bo i wstrzemięźliwość od miodu, i od pożycia małżeńskiego, chociaż żonaci! Wiele osób zamożnych, mężczyzn i niewiast, wstępowało do klasztorów. W ciągu 18 lat, pomiędzy pierwszym a drugim najazdem tatarskim powstało nowych klasztorów 27, w czym 8 cysterskich, 7 dominikańskich, 6 franciszkańskich i 6 rozmaitych innych.

A cóż Zakon? Krzyżacy mieli znów sposobność, żeby bronić chrześcijaństwa przed poganami, a obowiązek ten przypominał im papież; lecz na próżno! Tylko Prusaków niby nawracali, tj. urządzali wśród nich straszne rzezie.

Nie dogadzał im też chrzest Mendoga, a tym bardziej jego koronacja. Podbiwszy już bowiem całe Prusy, zwrócili swą zachłanność przeciw Żmudzi i Litwie. Byle tylko kraje te pozostawały w pogaństwie, żeby oni mogli je zdobywać, ujarzmić, pod pozorem nawracania! Nikt im teraz nie przeszkadzał. Bł. Wit śledził z daleka ich sprawki, lecz niedługo, gdyż zabrała go śmierć w r. 1260. Nikt się ani nie domyślał, jaką na Litwie prowadzili politykę. Popierali tajnymi spiskami stronnictwo pogańskie przeciw Mendogowi, aż wreszcie został zamordowany w r. 1263 wraz z dwoma synami. Sam Mendog wytrwał do końca w chrześcijaństwie, na co są zaświadczenia dwóch papieży, Aleksandra IV i Klemensa IV. Ale Krzyżacy zmyślili bajkę, jakoby Mendog porzucił chrześcijaństwo i został apostatą. Zmyślili jeszcze drugą bajkę, jakoby Mendog podarował im całą Żmudź, a państwo litewskie uznał lennem Zakonu.

Upadły dwie sąsiednie potęgi, ruska i litewska, lecz od strony zachodniej kwitły ciągle Czechy. Król Otokar II pozostawał w przyjaznych stosunkach z dworem krakowskim, jak to już widzieliśmy podczas uroczystości kanonizacyjnych w Krakowie. Niedługo potem w r. 1261 spowinowacił się z bł. Kingą, bo pojął za żonę wnuczkę Beli IV, imieniem również Kunegunda, a zatem siostrzenicę bł. Kingi krakowskiej. Nasz Bolesław Wstydlivy stawał mu się wujem. Ta czeska królowa różniła się od swego małżonka tym, że była niechętna Niemcom, gdy tymczasem Otokar i Krzyżakom pomagał, i dużo osadników niemieckich sprowadził do Czech.

Otokar był panem nabożnym. Nie biczował się, nie śpiewał psalmów o północy, ale bardzo żarliwy był w modlitwie, a najbardziej ujmowała jego myśl i wyobraźnię cześć św. Pańskich. Kanonizacją św. Stanisława głęboko przejęty, marzył o tym, żeby swojemu państwu zjednać podobny zaszczyt. W samych Czechach nie było do tego sposobności od czasu św. Wacława, ale pocieszał się, że może Wrocław uważać za swój, a w takim razie spada na jego państwo chwała ze świątobliwości księżnej wrocławskiej Jadwigi z Trzebnicy. Albowiem książęta śląscy (z wyjątkiem opolskiego) sprzyjali bardzo Otokarowi w jego wojnach i chętnie dostarczali mu posiłków; wrocławscy zaś książęta, Henryk III i Henryk Probus przyłączyli się do Otokara jeszcze mocniej. Nie chciano w Krakowie niemczącej się gałęzi śląskiej, a gdy bł. Prandota usunął raz na zawsze książąt wrocławskich od wielkiego księstwa, nie należeli już do przyjaciół Bolesława Wstydliviego, nie uznawali jego wielkksiążęcego zwierzchnictwa nad sobą i skłaniali się coraz bardziej na stronę czeską. Tym się tłumaczy, że Otokar uważał księstwo

wrocławskie za przynależne do swego państwa, chociaż nie nastąpiło jeszcze formalne uznanie czeskiego zwierzchnictwa.

W tym splocie okoliczności tkwi przyczyna, że Otokar II sam zajął się przeprowadzeniem procesu kanonizacji św. Jadwigi Śląskiej, a robił to tak energicznie, iż kanonizacja nastąpiła zaraz w 25 lat po jej śmierci, dnia 8 grudnia 1266 r. Na uroczystościach w Trzebnicy i na pierwszej mszy św. odprawionej na grobie nowej świętej był obecny król czeski.

Św. Jadwiga bliższa była dynastii piastowskiej niż św. Stanisław, boć sama do tej dynastii należała, jako księżna piastowska. A jednak ani wielkopolscy, ani małopolscy Piastowie nigdy ją za swoją patronkę nie uważali; lud zaś polski poza Śląskiem nie wie niemal nic o tej świętej. Do wyjątków należy taka Jadwiga w Polsce, która by wiedziała, że imię nosi po księżnej wrocławskiej! Wszystkie niemal nasze Jadwigi są przekonane, że nadano im na chrzcie to imię na cześć całkiem innej Jadwigi, której będzie poświęcony rozdział 13.

Obojętność Piastów pozaśląskich wobec kanonizowanej ich własnej powinowatej wyjaśnia się stosunkami, jakie zapanowały w Trzebnicy. A były one ogromnie przykre! Klasztor stał się ogniskiem germanizacji. Dochowały się ciekawe dwa listy czeskiej królowej Kunegundy z wyrzutami do Agnieszki (córci Henryka Pobożnego) ksieni w Trzebnicy (gdzie umarła w r. 1272). Zarzuca jej królowa, że księżniczka i ksieni otacza swą opieką Franciszkanów niemieckich, a nie pamięta o polskich lub czeskich, chociaż sama powinna się uważać za Polkę. W drugim liście, pisanym do jednego z kardynałów, oskarża wprost Franciszkanów niemieckich, że polskich chcą wytepić! Jakoż istotnie tak było na Śląsku; nie przyjmowali nawet całkiem polskiej młodzieży do nowicjatu! Dziwna rzecz, że Niemiec, chociaż zakonnik, tracił ducha św. Franciszka w sobie, gdy słyszał mowę polską! Prawdą jest, że Franciszkanie śląscy przyczyniali się z całych sił do zniemczenia Śląska.

W rok przed kanonizacją św. Jadwigi zmarła matka poznańskiego pogrobowca, Elbieta. W owym roku 1265 liczył Przemysław 8 lat życia. Stawał się zupełnym sierotą, ale sieroctwo nie dawało mu się we znaki u zacnego stryja i u takiej stryjenki, jak bł. Jolanta. Już poczynął przechodzić pod rękę stryja na męskie wychowanie. Bolesław Pobożny, dbał o wykształcenie synowca, chciał, żeby historia polska nie była mu obca, żeby książę rósł w znajomości spraw polskich. Kazał go uczyć na kronice Kadłubka, a potem uzupełniano dzieje czasów nowszych własną tradycją domową. Ta jedna wiadomość świadczy już, jak poważnie zapatrywał się Bolesław Pobożny na wychowanie książąt i na obowiązki księcia polskiego.

Bolesław Pobożny syna nie miał, tylko trzy córki. Wzrastał tedy Przemysław pośród siostr rodzonych i stryjecznych. Wychowanie księżniczek spoczywało wyłącznie w ręku bł. Jolanty. Trzy rodzone siostry Przemysława, znacznie od niego starsze, złożyły później śluby zakonne. Stryjeczne zaś siostry były od niego młodsze, a między nimi występowała znaczna różnica wieku, bo całych dziesięciu lat. Starsza, Jadwiga, przysłała na świat, kiedy Przemysław liczył lat dziewięć, od młodszej zaś Anny był starszy o lat 19. Najpierw więc wychowali księstwo kaliscy dzieci przybrane, a potem dopiero wypadło im chować własne. Z siostrzenic młodsza też poszła za powołaniem zakonnym, idąc śladem starszych o wiele siostr stryjecznych.

Z całego grona pięciu księżniczek pozostała w świecie, wychodząc za męża, jedna tylko - Jadwiga, własna córka Bolesława Pobożnego, i bł. Jolanty i ta należy do historii, jako ważna osoba, biorąca następnie czynny udział w wydarzeniach historycznych. Jak całe grono i podobnie jak Przemysław, odebrała księżniczka kaliska Jadwiga wychowanie patriotyczne, oparte na gorącej miłości Ojczyzny i na głębszej moralności, żeby przenosić zawsze dobro publiczne nad własną korzyść prywatną. Córka bł. Jolanty jaśnieje w historii polskiej. Odziedziczyła najcenniejsze przymioty po obojgu rodzicach: świątobliwość, obowiązkowość, ofiarność i hart nadzwyczajny, a przy tym inteligencję wyższą, dzięki czemu posiadała jasne pojęcie Ojczyzny. Ażeby to pojęcie stawało się jasne i zrozumiałe, na to trzeba dłuższego rozwoju cywilizacji, i to cywilizacji łacińskiej. Dwór Bolesława Pobożnego i bł. Jolanty przewyższał w tym kierunku wszystkie inne współczesne dwory piastowskie. Gdy następnie księżniczka Jadwiga okazała swój umysł i charakter całej Polsce, wystąpiła jako pierwsza z niewiast polskich, oddająca swe życie na usługi Ojczyzny, chociażby to miało ściągać na nią przykrości, a nawet niebezpieczeństwo. Krótko mówiąc, można o niej wyrazić się, że była... pierwszą Polką.

Zatrzymujemy się dłużej przy wychowaniu tej kaliskiej młodzieży piastowskiej, bo w tym tkwił zaczyn prądu odrodzeniowego, który miał niebawem ujawnić się, skoro tylko ta młodzież dorosła. Teraz zaś poznajmy wydarzenia najbliższych lat.

W dwa lata po kanonizacji św. Jadwigi z Trzebnicy przeniosła się na tamten świat po koronę niebieską bł. Salomea Leszkówna, wdowa od 26 lat po Kolomanie. Dokończyła życia w Skale, gdzie gromadziła koło siebie coraz liczniejszy zastęp Klarysek. Naśladowano jej przykład. Wstępowały do Skały córki zamożniejszych rodów i druga jeszcze Piastówna, córka Konrada Mazowieckiego, imieniem również Salomea. Z tą imienniczką swą najbardziej się przyjaźniła i za powiernicę ją miała w ostatnich latach życia. Sporządziła testament, w którym zapisała klasztorowi wszystkie swoje kosztowności, a kazała je oddać pod straż i zarząd tejże mazowieckiej Salomei. Szczególnym zrządzeniem Bożym umarły jednak obie w tym samym roku 1268. Wcześniej pożegnała ten świat Leszkówna. Ciało jej odwieziono do kościoła Franciszkanów w Krakowie, gdzie spoczywa w osobnej kaplicy. Pogrzebem, a następnie wystawieniem odpowiedniego grobowca zajmowała się dawna jej wychowanka, w. księżna Kinga. Do grobu tego pielgrzymowano, a cześć św. Salomei rozszerzyła się w krótkim czasie na całą Polskę. Uważano ją za świętą i modlono się do niej, a jednak dopiero w r. 1673 wydał papież Klemens XI "breve" pozwalając obchodzić jej pamięć dnia 17 listopada, lecz z ograniczeniem jeszcze do samej tylko Polski; poza Polską zaś tylko jako klasztorne święto w zakonach Franciszkanów i Klarysek. Było to tylko "breve", tj. mały krótki dokument z osobistej kancelarii papieskiej. Dokumentu większego, bulli beatyfikacyjnej, która by wprowadzała cześć bł. Salomei na cały świat katolicki, na wszystkich wiernych... dotychczas nie ma. Tak się w Polsce zaniedbuje własnych świętych!

Nieprawda, że to bardzo ciekawe zestawienie z tamtą pospieszną kanonizacją, którą zajmował się król czeski? Mamy zaś jeszcze dokończyć dzieje Otokara II.

Wzrastająca potęga państwa słowiańskiego obudziła czujność książąt niemieckich i postanowiono wreszcie skończyć z długim niemieckim bezkrólewem. Gdy w r. 1272 wybrano nowego króla w osobie Rudolfa Habsburga, postawiono mu warunek, żeby odebrał Otokarowi ziemie przez niego nabyte i z Czechami złączone, a przez to oderwane od związku politycznego z Niemcami. Wszczęła się wielka wojna, w której na pomoc Czechom pospieszyło rycerstwo krakowskie. Nagle od jednego zamachu runął gmach wzniesiony przez Otokara. W walnej bitwie pod Dürnkrot na Morawskich błoniach w r. 1278 stracił życie, a nowa dynastia niemiecka, Habsburgowie, założyli własną potęgę na odebranych Przemysłodom krajach, zwanych potem austriackimi. Następcom Otokara pozostały tylko Czechy właściwe i Morawy.

W tym właśnie czasie wychodziła za mąż księżniczka kaliska Jadwiga. Jakiego męża wyszukali "pierwszej Polce" jej rodzice? Wybór Bolesława Pobożnego i bł. Jolanty padł na ubogie książętko na Brześciu Kujawskim, na Władysława, młodszego wnuka Konrada Mazowieckiego, tak niepozornego, iż dla małego wzrostu nazywano go żartobliwie Łokietkiem. Pan młody liczył lat 19, panna młoda 14. O tej parze książęcej będziemy mieli niemało do powiedzenia w następnym rozdziale. Wypadki późniejsze wskazują, że wybór padł na Łokietka dlatego, że podzielał zapatrywania panny młodej, że upatrywano w nim księcia rozumiejącego miłość Ojczyzny. Nie zawiedziono się.

Ledwie wydawszy córkę za mąż, rozchorował się Bolesław Pobożny i zakończył życie tak pełne zasług; dnia 13 kwietnia 1279 zgasł książę kaliski. Wychowanek jego, Przemysław, liczył już lat 22; był więc "orężnym" od lat ośmiu, a od pięciu lat zupełnie pełnoletnim według ówczesnych pojęć. Sprawował też już osobiście rządy Wielkopolski właściwej tj. księstw poznańskiego i gnieźnieńskiego. Ale Bolesław Pobożny nie miał syna, a synowiec był jego najbliższym krewnym i dziedzicem. Objął więc także księstwo kaliskie po stryju.

Wdowa, bł. Jolanta, wyjechała po zgonie męża do Krakowa, ażeby, porozumieć się za swą niegdys wychowawczynią, u której spędziła dwa lata, z bł. Kingą. Nietrudno się domyśleć, w czym szukała rady. Skoro własną córkę i trzy siostrzenice poświęciła życiu klasztornemu, sama także, owdowiawszy, chciała osiąść w jakimś klasztorze i zasięgnąć rady starszej powinowatej. Smutek własny wioząc z sobą, nie przeczuwała, że jedzie na nową żałobę. Co dopiero przybyła do Krakowa, gdy dnia 7 grudnia

1279 roku zakończyły się ziemskie dni Bolesława Wstydliwego. Pogrzebany jest obok siostry bł. Salomei w tym samym franciszkańskim kościele w Krakowie, po lewej stronie ołtarza.

Zaraz po zgonie wielkiego księcia przywdziała owdowiała Kinga habit Klarysek, a Jolanta poszła za jej przykładem. Na pogrzebie kroczyły obie za trumną już w habitach, a zaraz po pogrzebie składały w tym samym kościele ślubowanie zakonne. Wnet wyjechały do Starego Sącza, który był głównym ośrodkiem posiadłości bł. Kingi, tam więc postanowiła ufundować klasztor Klarysek. Niedługo jednak bawiła tam bł. Jolanta. Wdzięczny wychowanek, Przemysław, ufundował dla niej umyślnie nowy klasztor Klarysek w Gnieźnie; tam więc przeniosła się. Stanowiła zaś bł. Jolanta całkowite przeciwieństwo św. Jadwigi śląskiej. Tamta zamknięta w Trzebnicy, głucha była na wszystkie odgłosy ze świata, gdy tymczasem ta w gnieźnieńskim swym klasztorze nie zapomniała ani o Polsce, swej przybranej ojczyźnie, ani o przybranym synu Przemysławie i zajęła się sprawami publicznymi, ilekroć widziała, że wpływ jej jest potrzebny, żeby dopilnować moralności w polityce, a sprawie ogólnopolskiej dopomóc.

Tron krakowski obejmował tymczasem starszy wnuk Konrada Mazowieckiego, przyrodni brat Władysława Łokietka, starszy od niego o całych dwadzieścia lat - Leszek Czarny, książę sieradzki. Ogólnopolskimi sprawami nie zajmował się ten wielki książę. O tym pamiętał Kościół. Dużo było księstw, ale cała Polska stanowiła jedną tylko prowincję Kościoła. Wielki książę nie znaczył dla książąt nic, ale prymas kierował biskupami. Przy niejednym z książąt rozwijała się niemczyzna, a polszczyzna kurczyła się, i sam Leszek Czarny był już dosyć zniemczony, ale stawiał czoło germanizacji synod polski z r. 1285 (znów w Łęczycy), uchwalając, że kierownikami szkół (katedralnych, zakonnych i nielicznych jeszcze parafialnych), a zatem kierownikami młodzieży mającej wstępować następnie do stanu duchownego, mają być tylko osoby obeznane dobrze z językiem polskim; po prostu: tylko Polacy. Nakazano też, żeby katechizmu nauczać koniecznie w języku polskim. Nie wolno więc odtąd czekać, aż chłopiec nauczy się po łacinie, i wtedy dopiero wykładać mu prawdy wiary w łacińskim języku, lecz nauka będzie się zaczynać od katechizmu. Skoro zaś ta nauka będzie odbywać się po polsku, mogą więc z niej korzystać i tacy, którzy nie zamierzają dalej uczęszczać do szkół i uczyć się łaciny. W praktyce wychodziło na to, że z nauki katechizmu mogą korzystać wszyscy. Zaczęła się więc w Polsce oświata religijna. Ale to dopiero jedna strona przedmiotu, jest zaś jeszcze druga. Nie nauczali dotychczas księża prawd wiary po polsku, bo nawet rodowici Polacy nie umieli języka polskiego zastosować do nauczania. Trzeba było dopiero kształcić ten język odpowiednio i samemu ćwiczyć się w polskim wykładzie. Synod nakładał na księży przymus pod tym względem. Przybywało im pracy sporo i to pracy (na owe czasy) ciężkiej, ale duchowieństwo wzięło ten trud na siebie. Wyniknął z tego pożytek dla Kościoła i dla narodu. Wypisano w uchwałach synodu wyraźnie, że postanowienia te mają na celu: "zachowanie i rozwój języka polskiego". Wytrysnęło na tym synodzie nowe źródło patriotyzmu: miłość języka ojczystego. Od synodalnych tych ustaw zaczynają się pierwiastki piśmiennictwa w języku polskim. Albowiem kapłani, mający nauczać katechizmu po polsku, musieli porobić notatki, jak po polsku wyrazić rozmaite oderwane pojęcia religijne. Wypisywali sobie słówka i słowniczki, a niejednen nowy wyraz trzeba było obmyśleć. Taki nauczyciel myślał o zagadnieniach duchowych po łacinie a z polszczyzną musiał się dopiero zmagać! Ale skoro przełamano pierwsze największe trudności, ogarnął księży polskich zapał. Obok katechizacji poczęło się rozwijać (dzięki Dominikanom) kaznodziejstwo polskie. Kaznodzieje długo jeszcze układali sobie po łacinie kazanie, które mieli wygłosić po polsku; na swym łacińskim rękopisie dopisywali tu i ówdzie, jakiego użyć polskiego wyrazu, czasem wypisywali całe zdanie po polsku. Ileż mieli kłopotów z zastosowaniem łacińskiego abecadła do polszczyzny, choćby tylko dlatego, że nasz język ma 42 brzmień, a łacina posiada liter tylko 24! Trudności z tego powodu były zresztą we wszystkich językach europejskich; najmniejsze w języku włoskim, największe w angielskim i polskim. Prawda, że ciekawe i bardzo drogie byłyby dziś dla nas te rękopisy plebanów, katechetów, nauczycieli? Niestety, dochowało się ich niewiele, a najstarsze z nich, tak zwane "Kazania świętokrzyskie", pochodzą z XIV wieku.

W drugiej połowie wieku XIII, którą się tu obecnie zajmujemy, sprawami ogólnopolskimi, a więc także rozwojem języka polskiego, trudnili się ze świeckich dostojników tylko ci, którzy wyszli z dworu kaliskiego a skupiali się politycznie wokół osoby Przemysława. Celem polityki ogólnonarodowej musiało być przede wszystkim morze: żeby utrzymać choćby te resztki Pomorza! Tę ziemię gdańską, którą książę tamtejszy, Mszczuj II, zapisał Przemysławowi w r. 1282. Ale książę pomorski był młody (żył jeszcze potem 13 lat), usposobienie jego i uczucia mogły się zmienić, zaś margrabowie

brandenburscy czyhali wciąż na Pomorze. Na wszelki wypadek trzeba było myśleć o jakim sprzymierzeńcu. Uznano, że najlepiej będzie związać się z państwem morskim, które by mogło w razie potrzeby przysłać okręty na pomoc i dopilnować sprawy od strony morza. Te względy pchnęły Przemysława ku Skandynawii, ku Szwecji. Posłał tam dziewosłębów po księżniczkę szwedzką, Ryksę, córkę Waldemara szwedzkiego.

Pośrednikiem był wybitny Polak, zamieszkały w Szwecji, mianowicie św. Janusz. Przypomnijmy sobie z rozdziału 8, jak św. Jacek pozostawił w Szwecji swego ucznia, Janusza. Pochodził on z krakowskiego klasztoru Dominikanów. Zasłynął w Szwecji jako znakomity kaznodzieja, a prawością charakteru, prostotą obok uczoneści i świątobliwością obok zdatności do czynu, jednał sobie nie tylko mnóstwo przyjaciół, ale też grono naśladowców chętnych przywdziać habit św. Dominika. Nowicjuszków zebralo się z czasem tylu, iż był kłopot, jak ich pomieścić stosownie, tj. żeby mieli czas i miejsce na naukę bez przeszkód. Zarządził temu arcybiskup miasta Upsali, Farler, wystawiwszy dla św. Janusza klasztor w mieście Sagluna. Za tym przykładem powstały następne klasztory w różnych stronach Szwecji, gdyż dzięki polskiemu świętemu zakon dominikański nabył wśród Szwedów znacznej popularności. Sam zaś św. Janusz tak był ceniony, i takie, chociaż cudzoziemiec, wzbudzał zaufanie... iż wyniesiony został na stolicę biskupią w mieście Abo; później jeszcze wyżej, gdyż po śmierci Farlera zajął jego miejsce arcybiskupa Upsali i był prymasem Szwecji.

Poselstwo z prośbą o rękę królowej Ryksy musiało być oczywiście jak najświetniejsze i jechało z rozgłosem; wszyscy o nim wiedzieli, i widzieli je. Zanim było postanowione, stanowiło przedmiot narad poufnych w ściślejszym gronie. Wiedzieli o tym zamiarze przede wszystkim bł. Jolanta, tudzież arcybiskup gnieźnieński Jakub Świnka, prymas Polski, który był głową stronnictwa narodowego. Zanim zaś poselstwo wyprawiono, starano się wywiedzieć prywatnie, jak będzie przyjęte. Nie pośle żaden monarcha dziewosłębów po to, żeby się spotkać z odmową, więc ze wstydem; takie sprawy załatwia się wpierw prywatnie, a potem dopiero publicznie. Kogoż miano pytać z tamtej strony morza, jak nie św. Janusza? Porozumiewały się stolice biskupie obu krajów i Dominikanie szwedzcy z polskimi. Działo się to więc za pośrednictwem Kościoła, gdy królowa Ryksa przybywała do Poznania w r. 1285 jako żona księcia Przemysława. O św. Januszu zaś usłyszymy jeszcze w następnym rozdziale.

Lecz zajmijmy się także osobą wielkiego księcia, Leszka Czarnego. Trzeba mu przyznać, że był dzielny wojownikiem i roztropnym wodzem. Odparł zwycięsko najazd księcia halickiego (Lwa, syna Daniela), który otrzymał na tę wyprawę oddział posiłków tatarskich. Pokonał Litwinów, którzy wznowili swe najazdy i wraz z Jadźwingami pustoszyli ziemię lubelską i sandomierską. Nie może zaś historia mieć mu za złe, że nie zdołał stawić czoła nowemu najazdowi mongolskiemu i dla siebie osobiście nie znalazł innej rady, jak schronić się na Węgry.

Trzeci ten najazd przypadł na rok 1288. Mongołowie dokonywali bez ustanku najazdów, zwłaszcza z tatarskiego państwa Kipczaku, bo tam byli koczownikami, którzy znali tylko dwa sposoby utrzymania - hodowlę trzód, albo łupiestwo. Gdy nastąpiły posuchy lub padła na trzody zaraza, wyprawiali się po łupy do upatrzonych krajów. Klęski żywiołowe nawiedzały Kipczak przez szereg lat, 1285 i następne. Wyprawili się więc najpierw na południe, do państwa bizantyńskiego, skąd odniesione łupy wystarczyły im na dwa lata, bo były to kraje bogate. Do najbogatszego nawet kraju nie można się wyprawiać raz po raz, bo zabraknie łupu. Trzeba odczekać, aż się kraj złupiony zagospodaruje na nowo! W r. 1287 kierowali się tedy na Węgry. Kazali książętom ruskim dostarczyć sobie posiłków, a ci, zgnębieni daniacy, musieli to zrobić. Synowie Daniela robili to jednak chętnie, gdy chodziło o wyprawę na Węgry lub Polskę!

W roku następnym, 1288, mieliśmy Mściława i Lwa Daniłowiczów w Polsce, jako przednie straże dwóch armii mongolskich. Zaznacza to kronika ówczesna, że "kniaziowie radowali się nadzieją zdobyczy i plądrowania grodów". Za nimi wpadło jedno wojsko mongolskie w Sandomierskie, drugie zaś skierowało się na Kraków od południa. Sandomierz tymczasem był lepiej już ufortyfikowany, tak iż nie zdołali grodu zdobyć. Tatarzy nie celowali nigdy w sztuce oblężniczej i mocniejszym fortem nie dawali rady. Ale kraina cała koło Sandomierza zamieniła się w pustynię po raz trzeci! Wnet zalali Krakowskie. Bł. Kinga ze swymi zakonnicami opuściła wówczas Stary Sącz i szlakiem bł. Salomei schroniła się w Pieninach, podczas gdy Leszek Czarny szukał pomocy u króla węgierskiego. Zebrał się hufiec węgierski i zajął stanowisko w ziemi sądeckiej, stamtąd zbliżając się pod Kraków. Tymczasem

wodzowie pogańscy poróżnili się i jedna z armii mongolskich wracała już na Ruś. Armia, która pozostała, rozdzieliła się, a część zapędziła się za łupami aż w Sieradzkę. Ciekawy wówczas wypadek zdarzył się w górach Świętokrzyskich pod Kielcami, gdzie w kościele św. Katarzyny przechowywane jest relikwiec bezcenny, bo cząsteczkę z drzewa Krzyża św. Całą okolicę splądrowali poganie do cna, ale spod tego kościoła się cofnęli. Towarzyszący wyprawie Rusini, chociaż schizmatycy, w dogmatach wiary św. jednak po większej części z nami zgodni, przerażeni też byli na równi z naszymi możliwościami, że najświętsza relikwia mogłaby się stać łupem pogaństwa. Nastraszyli więc tatarskich dowódców, że cudowną mocą tej relikwii będą porażeni, jeżeli się ośmielą wejść do kościoła. Czy obawa ta, czy też cudowna wola Boża zadziałała, że cofnęli się? W każdym razie, niestety, łupów mieli już tyle, iż mogli się obejść bez rabunku w jednym kościele.

Wyprawiając się zatem w północną stronę wielkiego księstwa krakowskiego i w Sieradzkę, musieli Tatarzy rozdzielić armię przeznaczoną na zdobycie Krakowa. Załoga krakowska była liczna i dzielna, mury miejskie mocne, Wawel doskonałą na owe czasy fortecą. Ponieważ od południa zbliżała się odsiecz węgierska, można było wziąć w dwa ognie wojsko tatarskie, tutaj mniej liczne. Gdy Mongołowie spostrzegli, co im grozi, woleli odejść spod Krakowa. Nie mieli zresztą zamiaru zdobywać Małopolski na stałe, ani przedłużonym obleganiem mocniejszych grodów wstrzymywać się w pośpiesznych napadach łupieżczych. Nie o zdobywanie kraju chodziło, lecz o plądrowanie! Najstraszniejsze zaś ciosy zadawali nam wciąż przez wyludnianie kraju. Tym razem brali w jasyr jeszcze więcej, niż w poprzednich najazdach; samych dziewcząt i dzieci porwali 21 000. Takie tłumne uprowadzenia musiały odcierpieć pokolenia następne! Polska zawsze cierpiała na rzadkość zaludnienia i niedostępne od tego ubóstwo. Toteż nastawały coraz lepsze czasy dla... osadnictwa niemieckiego.

Czy więc było z Polską lepiej, czy gorzej? Pomimo wszystkich klęsk i ciosów poczynało być lepiej, bo przybywało nam ludzi miłujących dobro publiczne, przybywało charakterów. Dorastało pokolenie, pojmujące dobrze obowiązki względem Polski. Czekają na nich zadania niełatwe. Wystarczy zwrócić uwagę, że w roku śmierci Leszka Czarnego, w r. 1288, była Polska rozdrobniona na 16 księstw! Wymieńmy "stolice" tych państewek i państeweczek: Kraków, Poznań, Sieradz, Łęczyca, Dobrzyń, Inowrocław, Wyszogród, Gniewków, Czersk, Płock, Wrocław, Legnica, Głogów, Racibórz i Szprotawa.

Chcąc sprawę polską doprowadzić do porządku, trzeba było dużo odrobić i dużo przerobić!

Wznowienie królestwa

W tym upokarzającym rozbiciu na 16 księstw zwracały się utęsknione myśli Polaków ku koronie polskiej. Przybywało społeczeństwu ambicji, budziło się pragnienie, żeby coś znaczyć w Europie! Spoczywały insygnia koronacyjne pod wierną strażą biskupów i kapituły krakowskiej, złożone na grobie św. Stanisława. Pamiętano o nich i marzono o tej chwili, kiedy ich będzie można użyć na nowo dla Pomazańca Bożego. Wzrastająca coraz bardziej pobożność budziła wiarę, że Opatrzność czuwa nad losami narodów, lecz na szczęśliwe losy trzeba sobie zasłużyć, być godnym powodzenia. Wierono głęboko, że poniżenie Polski jest karą za grzechy poprzednich pokoleń, ale też wierono zarazem, że po poprawie musi nastąpić Boże zmiłowanie nad dawną koroną Bolesławów.

Powszechne przekonanie wszystkich Polaków wyraził prostymi a rzetelnymi słowami pisarz żywota św. Stanisława, ułożonego w r. 1261:

"Bóg świadom rzeczy przyszłych, karzący grzechy ojców do trzeciego i czwartego pokolenia, ponieważ sam wie dobrze, kiedy się ma ulitować nad narodem polskim i wywieść go ze zniszczenia, przeto aż do owego czasu wszystkie insygnia królewskie, tj. koronę, berło i włócznię w skarbcu kościoła w Krakowie mieści i w siedzibie królewskiej w ukryciu zachowywa, dopóki się nie zjawi powołany jaki Aaron, dla którego są przeznaczone".

Króla, koniecznie króla! I powstało stronnictwo z arcybiskupem gnieźnieńskim na czele, dążenie do wznowienia wielkiego królestwa polskiego, a to za pomocą dwóch środków: ażeby nie dopuszczać do rozmnażania się dzielnic książęcych, a w razie walki domowej dwóch książąt popierać silniejszego, żeby zawsze jak najwięcej ziemi skupiło się w jednym ręku, i ażeby, uznawać władzę takich tylko

książąt, którzy nie będą sprzyjać Niemczyźnie w kraju. Było to więc stronnictwo narodowe w całym znaczeniu tego wyrazu. Główną jego siedzibą była Wielkopolska, siedziba prymasowska.

Poczucie narodowe rozszerzyło się już z Wielkopolski na Pomorze. Kiedy bezdzietny książę pomorski Mszczuj, czyli Mestwin zapisał swe księstwo sąsiedniemu margradowi brandenburskiemu, wywołał bunt i Pomorzanie zmusili go, iż zapis ten odwołał a spadkobiercą mianował księcia wielkopolskiego Przemysława.

A kiedy w Krakowie stronnictwo narodowe po śmierci Leszka Czarnego powołało zięcia bł. Jolanty, owego Władysława Łokietka, ten musiał uchodzić przed wybrańcem niemieckiego mieszczaństwa, które sprowadziło sobie zniemczonego księcia wrocławskiego Henryka Probusa. W r. 1289 zawdzięczał książę narodowy ocalenie życia Franciszkanom, do których się schronił; spuszczano go potajemnie nocą na sznurze za mury miejskie, do których klasztor przytykał. Jak widzimy, Franciszkanie krakowscy byli usposobieni patriotycznie, ale bo też już w r. 1270 nie było u nich nikogo, kto by znał język niemiecki; był to klasztor czysto polski.

Ale Probus, gdy niebawem (w r. 1290) wypadło mu żegnać się ze światem, sprawił niespodziankę swym rozporządzeniem ostatniej woli: księstwo krakowskie i sandomierskie oddawał Przemysławowi Wielkopolskiemu. Ten jednak nie zajął się wcale tą sprawą. Osądził, że nie podoła wszystkiemu, żeby i w Poznaniu i w Krakowie zapewnić zwycięstwo sprawie narodowej. Małopolskę pozostawiał niepokonanemu Łokietkowi, który w największych nawet nieszczęściach nie tracił otuchy i wiary w przyszłość, i który dalszym życiem miał wykazać, że zasłużył, by mu historia nadała przydomek Niezlomnego. Powstała więc jakby spółka pomiędzy Przemysławem a Władysławem. Postanowienie rozsądne, godne największych pochwał, zawierające w sobie prawdziwą mądrość polityczną. Ocalenie Polski mieściło się w tym, żeby ci dwaj książęta nie wojowali z sobą.

Gdyby było doszło do zwad między Przemysławem a Łokietkiem, ucierpiałoby najwięcej serce bł. Jolanty. Byłaby to walka jej dzieci. Przemysław był jej wychowankiem, synem przybranym, a Władysław Niezlomny zięciem. Przebywała bł. Jolanta w Gnieźnie u Klarysek, a Przemysław zamieszkiwał tuż obok w Poznaniu; oczywiście porozumiewali się i rozprawiali nieraz o wydarzeniach w Małopolsce i o Łokietku. Ugodowa umowa między tymi książętami przystawała do jej stanowiska w rodzinie i do jej osobistych życzeń tak dalece, iż doprawdy wygląda, jakby z jej pomysłu powstał.

W przeciwieństwie do św. Jadwigi śląskiej okazywały bł. Jolanta i starsza od niej Kinga dużo zainteresowania sprawom publicznym. Obie zaś należały do obozu narodowego i nawet za furtką klasztorną nie przestawały działać, jak mogły i jak się dało. Na przykład św. Kinga w Starym Sączu stała się orędowniczką rozwoju języka polskiego. Przejęła się bardzo troską synodu o przyszłość polszczyzny. Rozszerzała stosowanie języka polskiego w nabożeństwach klasztornych. Ona pierwsza zażądała, żeby jej psalmy przetłumaczyć na polskie, a dziesięciu ulubionych wyuczyła się na pamięć i sama je w kościele intonowała. Nowością to było wtedy nadzwyczajną. Poza pacierzem nikt ze świeckich żadnej modlitwy nie umiał, a zakonnice nie znały łaciny. Dowiadywały się od kapelana o treści modłów, dośpiewując tylko "Kyrie elejson... gloria... amen" itp. Kindze to nie wystarczyło i rozpoczęły się przekłady rozmaitych modlitw, części mszy św., a nawet ustępów z Ewangelii na polski dla księżniczek piastowskich. Albowiem bł. Kinga zrobiła początek szczęśliwy i naśladowano ją coraz gorliwiej. Podobnie bł. Jolanta kazała kapelanowi, żeby jej z łacińskiego brewiarza czytał po polsku, a więc wpatrzony w tekst łaciński tłumaczył go w głos na polski. Co za szkoda, że z tych prac nic się nie dochoowało na piśmie!

Niemniej wielką opiekunką polszczyzny była najstarsza siostra Przemysława, Eufrozyna, która została ksienią w Trzebnicy. Nastąpiła po owej zniemczonej Agnieszce i przywróciła klasztorowi polskiego ducha w latach swego kierownictwa 1286-1298.

Skromne wiodąc życie w swych klasztorach w odległych prowincjach Polski, oczekiwały święte panie miłosierdzia Bożego nad nieszczęśliwym narodem, gdy wtem wystąpił nowy współzawodnik w walce o Kraków. Był nim król czeski Wacław, syn Otokara II, ale całkiem zniemczony. Ten przybrał w lutym r. 1291 tytuły księcia krakowskiego i sandomierskiego, a jak pospiesznie działał, widać z tego, że tegoż roku we wrześniu wojsko jego zajmowało już Kraków; on sam przybył dopiero w roku następnym.

Dożyła tego bł. Kinga, dawna wielka księżna krakowska; dożyła, lecz nie przeżyła. Nucąc psalmy polskie, zносиła cierpliwie dolegliwości ostatniej choroby, z której nie miała się już podnieść. Zgasło jej życie w tym samym roku 1292, kiedy Wacław przyjeżdżał do Krakowa, a na Łokietku zdobył Sieradz. Dokończyła dni swoich w swoim klasztorze w Starym Sączu. Beatyfikowana została w r. 1690 przez papieża Aleksandra VIII.

Wacław czeski miał nad Piastami stanowczą przewagę wojskową, ale też zaprowadził rządy wojskowe, więc uciążliwe i dla ludności obraźliwe. Znowu Czesi zmarnowali sposobność, żeby połączyć się z Polską w jedno państwo słowiańskie. Były bowiem rządy czeskie jednym pasmem gwałtów i nadużyć, toteż zostały znienawidzone. Jak niegdyś Brzetysław II, podobnie Wacław II obrzydzał Polakom związki polityczne z Czechami. A gdy na dobitkę uznał się i z Polski także hołdownikiem Niemiec, wytworzyła się dla Polaków polityczna niemożliwość państwowego współzycia z Czechami.

Znacznym wojskiem rozporządzał Wacław II, ale gdy napadli na Polskę równocześnie Litwini i Tatarzy, nie posłał przeciwko nim ani jednego żołnierza. Było to w r. 1294, Znowu Sandomierz padł ofiarą, podczas gdy Litwini spustoszyli Mazowsze, a nie znalazłszy oporu, zapędzili się dalej do ziemi łęczyckiej. Napadli na Łęczycę w Zielone Świątki, kiedy lud z całej okolicy zebrany był na nabożeństwie. Spalili i zrabowali miasto i kościół, i uprowadzili mnóstwo jeńców na handel niewolnikami. Książę łęczycki, Kazimierz, zebrawszy hufiec zbrojny, puścił się za nimi w pogoń. Dogał pogan nad rzeką Bzurą, pomiędzy Sochaczewem a Trojanowem. Tam w toku obrotów wojennych zgodzono się na chwilowe zawieszenie broni i wtedy Litwini zdradliwie bitwę wznowili, samego księcia Kazimierza zamordowali i nie spodziewający się żadnego napadu hufiec polski rozproszyli. A był książę Kazimierz starszym bratem Władysława Niezłomnego; temu więc przypadła teraz Łęczycza, obok Sieradza i Brześcia Kujawskiego.

Ten najazd dał przejrzeć do głębi całą bezbronność Polski. Była to kropla przelewająca dzban.

Wówczas arcybiskup gnieźnieński Jakub Świnka postanowił wznowić królestwo narodowe bez względu na okoliczności. Skoro w Małopolsce to niewykonalne, więc zrobi się w Wielkopolsce. Choćby wznowione królestwo miało być ograniczone do samej tylko Wielkopolski, byle tylko było to królestwo! Byle nareszcie był król! Ale na koronację trzeba było pozwolenia papieskiego.

Zasiadał zaś wtedy na Stolicy Piotrowej papież Bonifacy VIII. Wielka to postać w dziejach Kościoła, jeden z największych papieży. Wojska nie mając, rozporządzając samą tylko siłą moralną, łamał siły fizyczne w całej Europie, gdy były przeciwne moralności w polityce. Za jego panowania (1294-1303) siła duchowa pobijała materialną, co też utrzymywało się i za jego najbliższych następców. Minął już okres krucjat; w r. 1291 utracono resztę nieznaczących już posiadłości w Palestynie. Ruch umysłowy europejski skierował się ku innemu zagadnieniu, żeby urządzić nową organizację państw i społeczeństw europejskich na zasadach katolickich. Raz po raz przyjeżdżali do Ojca św. przedstawiciele różnych krajów z prośbą o radę i pomoc w największych i w najdonioślejszych sprawach. Na dworze Bonifacego VIII zapadały postanowienia rozstrzygające o losach krajów i narodów.

W tych właśnie latach jeździł do Rzymu św. Janusz. Jechał zapewne w sprawach skandynawskich, ale Polakiem był i zajmował się tym, co się w Polsce dzieje. Droga do Rzymu wypadła mu przez Polskę (a dalej przez Węgry i Morze Adriatyckie do portu w Rawennie). Rad był zobaczyć znowu ojczyznę i pomodlić się u schyłku życia jeszcze raz u grobów bł. Czesława we Wrocławiu i św. Jacka w Krakowie, w klasztorze swej młodości. Był więc szwedzki prymas pierwszym dostojnikiem z północy, który przywoził Ojcu św. wiadomości nie tylko o Szwecji, ale też o Polsce i rozmawiał z Bonifacym VIII o naszych sprawach. Był drugi raz pośrednikiem w sprawach Przemysława. Umyslnym pospiesznym gościem przesłał radosną nowinę bł. Jolancie, Przemysławowi i prymasowi Jakubowi Śwince. Stolica Apostolska zezwalała na koronację Przemysława. Sam zabawił w Rzymie jeszcze niemal przez dwa lata.

Nie oglądając się już na nic więcej, koronował arcybiskup Jakub Przemysława w Gnieźnie dnia 26 czerwca 1295 r. Zjechali na ten obrzęd do Gniezna biskupi krakowski, kujawski (włocławski), poznański, wrocławski, reprezentując całą prowincję kościelną polską, czyli Polskę całą.

Nastąpiło wtedy wreszcie wznowienie królestwa! Zjawił się nareszcie ów "Aaron", którego wyczekiwano z takim utęsknieniem!

Nie doczekała tego wyniesienia Ryksa; nie było danym szwedzkiej królowie zostać królową polską. Po jej zgonie Przemysław, wciąż nie mający syna, szukał nowej żony. Wówczas margrafowie brandenburscy oświadczyli się z przyjaźnią zapewniając, że nie będą mu przeszkadzać w sprawie pomorskiej, jeżeli się z nimi spowinowaci. Tym ujęty, poślubił Przemysław w r. 1293 margrabiankę Małgorzatę z ich rodu. A teraz posłuchajmy, jak mu się odwdzieczył ród brandenburski.

Królowanie Przemysława miało trwać zaledwie niecałych osiem miesięcy. Każdy wybitny monarcha ma nieprzyjaciół osobistych, a gdy ci zmówią się z wrogiem zewnętrznym, mogą wszystko zepsuć. Lecz kto by się spodziewał, że margrafowie brandenburscy urzędzą teraz właśnie spisek na życie królewskie, a więc przeciw własnej krewnej na polskim tronie. Uspili czujność Przemysława, żeby tym pewniej uderzyć! Urządzili zdradziecką zasadzkę na jego życie, a wynajęte zbiry pozbawiły króla życia w Rogoźnie dnia 8 lutego 1296 r.

Następnego roku 1297, wracał z Rzymu św. Janusz, lecz zachorował w drodze powrotnej i już nie wstał. Ciało jego sprowadzono do Szwecji i złożono w kościele dominikańskim w Sagluna.

O dwa lata tylko przeżyła swego przybranego syna bł. Jolanta. Zmarła w r. 1298 u Klarysek w Gnieźnie, beatyfikowana przez papieża Leona XII w r. 1827.

Król Przemysław był bezdzietny. Z roszczeniami do spadku wystąpiło kilku Piastów, przez co Wielkopolska pograżyła się na nowo w książęce wojny domowe i zapanował straszny zamęt. Wzywali Wielkopolanie na tron Władysława Niezłomnego, ale ten nie miał sił dostatecznych, żeby pokonać innych współzawodników, stawić czoło margrafom i wojsku czeskiemu. Ażeby uniknąć nowych podziałów na drobne dzielniczki, postanowiono poddać Wielkopolskę i Małopolskę najsilniejszemu, a więc Waławowi, lecz pod warunkiem, że się będzie koronował na króla polskiego. Uczynił to Waław w Gnieźnie w r. 1300. Był panem dwóch królestw, a przecież uznał się lennikiem króla niemieckiego Albrechta I, i to nie tylko z Czech, ale i z Polski, i to jeszcze przed koronacją, od razu z góry. Wobec tego nie myślano dopuścić, żeby się utrwaliły w Polsce rządy Przemysławów. Nakłoniono Waławę, iżby złączył główne dzielnice, ale zawczasu przygotowywano się do tego, żeby oddać panowanie Władysławowi Niezłomnemu.

Powzięto plany polityczne rozległe i sięgające daleko na tle ogólnoeuropejskim i z tym pojechał osobiście Niezłomny do Rzymu do papieża Bonifacego VIII.

Było to w r. 1300. Wiedzano już o nim na papieskim dworze z opowiadania św. Janusza. Był zaś tego roku w Rzymie zjazd z całej Europy tak liczny, jak nigdy przedtem. Bonifacy VIII ogłosił na przełomie wieków XIII i XIV, na rok 1300, "miłościwe lato", jubileusz wtedy po raz pierwszy wprowadzony ze znacznymi odpustami (oteż obchodzono go co lat 50, później i do naszych czasów co 25). Pielgrzymek nagromadziło się w Rzymie tyle, iż duże miasto żadną miarą nie mogło ich pomieścić. Powstało więc za murami miejskimi drugie niemałe miasto z namiotów. Cała Europa garnęła się do progów apostoelskich. Stanowiło to triumf idei papieskiej.

Bonifacy VIII trzymał się w polityce na nowo zasady dawnych papieży, że ten tylko może być prawowitym monarchą, kogo uzna Stolica Apostoelska. Waław zaś koronował się królem polskim, nie zapytawszy w Rzymie; nie z rąk papieża koronę przyjął, lecz z rąk cesarza i króla niemieckiego, złożony mu hołd jeszcze przed koronacją. Ten sam Waław starał się jeszcze o trzecią koronę, a mianowicie węgierską, po wygaśnięciu madziarskiej dynastii Arpadów. Papież chciał osadzić na węgierskim tronie młodszą linię dynastii francuskiej, mianowicie Andegawenów, panujących w południowych Włoszech w królestwie neapolitańskim i popierał gorliwie wybrańca swego, Karola Roberta, przeciw Waławowi.

W ten sposób interesy Władysława Niezłomnego i narodowego polskiego stronnictwa złączyły się z polityką papieską i interesami Karola Roberta. Z nim więc zawarł sojusz nasz Władysław Niezłomny, stając się sam papieskim kandydatem do tronu polskiego przeciw Waławowi. W r. 1304 wrócił narodowy książę do Polski z małym hufcem, otrzymanym od Karola Roberta, i rozpoczął walkę, w której okazał żelazny charakter, nieugiętą wolę i hart niezwykły.

Bywało, że w przebraniu musiał się chronić po chatach, tygodniami całymi nie miał dachu nad głową, a jednak nie dał się zrazić i krok go kroku, chociaż z największymi trudnościami, szedł naprzód, aż osiągnął cel, wyznaczony mu wolą narodu. Ciężkie były przejścia Niezłomnego. Jedno miał ułatwienie, że miał żonę również Niezłomną. Jadwiga z Kalisza, ta pierwsza Polka, dzieliła z nim tułaczkę i biedę pełną zaiste umartwień, bo przez długi czas wypadło im bywać więcej między chudopachołkami, niż wielmożami. Była też Jadwiga Łokietkowa ścigana przez wrogów na równi z mężem. Przez dłuższy czas musiała w przebraniu mieszczy szukać schronienia w życzliwym domu mieszczańskim w Sieradzu.

Ludność garnęła się chętnie pod sztandar Władysława Niezłomnego i to nie tylko szlachta ziemiańska, ale także dzierżawcy. Był to ówczesny lud polski, który wówczas po raz pierwszy zajął się sprawami publicznymi i postępował ręką w rękę ze szlachtą. Zajął Władysław Niezłomny najpierw gród Pełczyka w Krakowskim, potem Wiślicę. Przebywał dłuższy czas koło Ojcowa pod Krakowem pod ochroną ludu wiejskiego, chroniąc się do sławnych grot ojcowskich, aż w r. 1305 odzyskał przynajmniej sandomierską ziemię.

Tegoż roku umarł Waław, pozostawiając panowanie synowi swemu Waławowi III, ale Polacy nie mieli obowiązku uznawać tego następstwa. Planował nowy król czeski zdobycie Polski, gdy wtem zginął w drodze w Ołomuńcu z wrogiej ręki niemieckiej, zabity skrytobójczo. Na nim wygasła dynastia czeska Przemyślidów.

W maju 1306 r. zajął Władysław Niezłomny Wawel, ale samo miasto Kraków; zaludnione Niemcami, było przeciw niemu. Godzili się pozornie z księciem Władysławem, ale po cichu gotowali bunt. Gdy nowy władca wybrał się na Pomorze, ażeby ważną tę ziemię objąć pod swe panowanie, wkroczyli równocześnie na Pomorze Brandenburczycy, a krakowskie mieszczaństwo podniosło bunt pod wodzą swego wójta Alberta. Równocześnie więc zagrożony był Władysław Niezłomny z dwóch najważniejszych miejsc.

Doradzono mu wówczas, ażeby wezwał chwilowo na pomoc lenników Polski, zakon rycerski Krzyżaków. Ci wygnali rzeczywiście Brandenburczyków z Pomorza, ale za to sami z niego ustąpić nie chcieli, a gdy Pomorzanie burzyli się przeciwko temu, urządzili w Gdańsku na wielkim odpuście św. Dominika, gdy mnóstwo ludności było w mieście, taką rzeź, że wymordowali przeszło 10 tysięcy bezbronnych osób, po czym zdradą i mordem zajęli inne grody pomorskie. Działo się to w r. 1308. Już z Pomorza nie tylko nie ustąpili, ale założyli tutaj swą stolicę w nowo wystawionym grodzie w Malborku.

Osiedleni w Polsce Niemcy uznali swym władcą nowo wybranego króla czeskiego, Jana, z dynastii luksemburskiej, który porozumiewał się z Krzyżakami. Niektórzy zniemczeni książęta śląscy uznali również Jana królem i złożyli mu hołd. W ten sposób począł Śląsk przechodzić pod panowanie korony czeskiej. Dla okazania, że Polska jest niepodległym państwem, przystąpiono do koronacji Władysława Niezłomnego w Krakowie w r. 1320, nie czekając, aż uda mu się wszystkie ziemie polskie odzyskać.

Ukoronowano też jego małżonkę. Pierwsza Polka została królową! Nigdy może w całej historii wszystkich narodów korona królewska nie była bardziej zasłużona. Nowa królowa była niewiastą świętobliwą, chociaż w świecie żyła i od wiru tego życia nie stroniła. Była wielką protektorką Klarysek, a klasztor bł. Salomei przeprowadziła ze Skały do stolicy, postarawszy się, że otrzymały starożytny kościół św. Andrzeja przy ulicy Grodzkiej w Krakowie. W rok po koronacji otrzymała od papieża Jana XXII przywilej, że wolno jej nawiedzać wszystkie klasztory Klarysek w całej Polsce i wchodzić do środka, nie potrzebując do tego osobnego pozwolenia.

Koronacja nie usuwała jednak kłopotów. Królowie czescy rozsyłali pisma po całym świecie, że im się należy korona polska, jako spadek po Wacławie! Nowa czeska dynastia Luksemburska protestowała przeciwko koronacji Niezłomnego, papież jednak był po naszej stronie. Król polski opierał się na sojuszu z nową dynastią węgierską i dał córkę swą, Elżbietę, w małżeństwo Karolowi Robertowi.

Następnie nawiązał stosunki z Litwą. Od czasu, jak po zabiciu Mendoga pogaństwo na nowo zapanowało na Litwie, stosunki z tym krajem były na nowo złe, jak najgorsze. Większe i mniejsze najazdy często się powtarzały. Z tych czasów pochodzi podanie o męczeństwie Benedykty Norbertanki w Krzeszowie. Porwał ją jeden z plądrujących Litwinów i usiłował zgwałcić. Wtedy młoda zakonnica wpadła na pomysł, który ocalił jej panieństwo. Obiecała poganinowi, że jeżeli jej nie tknie, poda mu sposób, żeby go na wojnie nie tknęło żadne żelazo: "gdy będziesz miał jaką cząstkę czoła mego, wszędzie będziesz bezpiecznym i bez obrazy zostaniesz". Uwierzył poganin, "a zaraz mieczem swym głowę pannie zakonnej uciął". Jest to najzupełniej możliwe, bo zabobonność litewska była za czasów pogańskich nadzwyczajna, a z drugiej strony dobrowolne męczeństwo zakonnicy nic w sobie nie miało nieprawdopodobnego.

Takich tedy Litwinów umiał Władysław Niezłomny oswoić, sprowadziwszy w r. 1325 żonę dla piętnastoletniego syna, królewicza Kazimierza, a mianowicie księżniczkę litewską Aldonę, córkę Giedymina, wielkiego księcia litewskiego i wielkiego twórcy dynastii litewskiej. Przyprowadziła ona w posagu do Polski 24 tysiące jeńców chrześcijańskich, pozostających w litewskiej niewoli. Na chrzcie przyjęła imię Anny. Krzyżacy dawali się już bardzo we znaki Litwie, przeciw nim więc był zwrócony ten sojusz. Giedymin dostarczył królowi polskiemu posiłków przeciw margradowi brandenburskiemu, a Karol Robert przeciw Janowi Luksemburskiemu.

Przeciw Krzyżakom oświadczyła się Stolica Apostolska. Już przedtem papież Klemens II nazywał ich "chytymi nieprzyjaciółmi Chrystusa", a w r. 1321 skazał ich sąd papieski na zwrot Pomorza z wynagrodzeniem wszelkich strat. Krzyżacy odpowiedzieli na to zaborem ziemi dobrzyńskiej, a w wyprawach swoich dopuszczali się bezceństw, nie mniejszych od Tatarów. Bezceścili nawet świątynie Pańskie. Siedemdziesięcioletni już król polski brał osobiście udział w walkach z Krzyżakami, a w r. 1331 odniósł świetne zwycięstwo pod Płowcami. Ale kraj zubożały, Nieludny, nie mógł na dłużej dostarczyć dostatecznego wojska. Polskie siły musiały się wyczerpać wcześniej od krzyżackich, lub od sił dynastii luksemburskiej. Toteż wkrótce zagarnęli Krzyżacy jeszcze Kujawy, tak że panowanie ich sięgnęło w samo serce Polski, a starożytna Kruszwica znalazła się pod władzą krzyżackiego komtura. Zdawało się, że pomimo wysiłków bohaterskich naród polski i tak ulegnie w walce z Niemczyzną, ale dzielne to było pokolenie. Za przykładem swego króla cały naród stał się niezłomny.

Król Władysław Niezłomny umarł w marcu 1333 r. Pozostawił po sobie królestwo znacznie uszczuplone, ale zapał i wytrwałość, hart i niezłomność społeczeństwa, które wyrobiły się pod jego przewodem, warte były więcej od wszystkiego. Toteż historia czci tego króla i zalicza go do rzędu bohaterów narodowych za to, że stał się wykonawcą narodowej myśli. W złych czasach, wśród przeszkód, otoczony zewsząd nieprzyjaciółmi, nigdy się jednak nie zrzekał idei samodzielności i niepodległości polskiego państwa.

Wdowa, królowa Jadwiga, owa pierwsza Polka, przeżyła męża o siedem lat, z czego cztery ostatnie spędziła u Klarysek w Starym Sączu. Jest świadectwo z r. 1662, że uważano ją za świętą. W odosobnieniu klasztornym schyłek życia sobie obmyśliła, chociaż była królową koronowaną i oboje swoich dzieci na tronach oglądała. Córka Elżbieta od dawna była królową węgierską, a syn Kazimierz wstąpił po ojcu na tron polski.

Łącznik obydwóch panowań stanowił słynny biskup krakowski, Jan Grot (1326-1347), o którym powiedziano, że był to "pasterz czujny i nieustraszony czasów niebezpiecznych". Za młodu był na studiach wyższych w Rzymie, gdzie kolegował z późniejszym papieżem Janem XXII, Bardzo go cenili także papież Benedykt XIV, od którego otrzymał w darze cenną kapę, której biskupi krakowscy używali przez długi czas na największe uroczystości. Stawiał kilka nowych kościołów, wyróżnił się gorliwością i surowymi wymaganiami przede wszystkim względem siebie. Zmarł w opinii świętości w r. 1347 we wsi Wawrzyńcach nad Wisłą, skąd ciało sprowadzono do katedry krakowskiej. Opinia świętości utrzymywała się długo, skoro w r. 1521 przystąpiono do uroczystego podniesienia ciała, które

znaleziono nienaruszone. Potem wszakże zapomniano o nim, jak o wielu innych. Polacy nie odznaczają się bynajmniej wdzięcznością względem swych świętych mężów.

Trzeba wspomnieć jeszcze jedno wydarzenie z czasów Władysława Niezłomnego, wydarzenie o nadzwyczajnej doniosłości:

Prawnukowie Daniela Halickiego, Andrzej Włodzimierski i Lew II Halicki, próbowali walki z Tatarami, lecz polegli w r. 1324 obaj bezdzietni. Siostra ich, Maria, była żoną Piasta jednego z licznych praprawnuków Kazimierza Sprawiedliwego, Trojdena, księcia Czerska i Sochaczewa na Mazowszu. Syna jej, Bolesława Trojdenowicza, powołano na księstwo halickie i w ten sposób ziemia Lachów powróciła do dynastii piastowskiej.

Kiedy Trojdenowicz zmarł w r. 1340 bezdzietnie, najbliższym krewnym jego w piastowskim rodzie był sam król polski, Kazimierz, którego historia uczciła przydomkiem Wielkiego. Zajął tedy ziemię Lachów i Grody Czerwieńskie, jako spadek sobie należny i wcielił je do królestwa polskiego, a zarazem zwolnił od zwierzchnictwa tatarskiego. Zaczyna się nowy okres w dziejach tych krain. Wzrasta dobrobyt, bo zapewnione były spokój i bezpieczeństwo publiczne. Przykry był tylko rozdzwiek wyznaniowy, schizma obok katolicyzmu. Oczywiście, król polski, katolicki, popierał dążenia do nawrócenia prawosławnych schizmatyków. Tegoż jeszcze roku 1340 założył biskupstwo w Przemyślu.

Przypomnijmy sobie, jak uszczuplone przez Krzyżaków państwo otrzymał po ojcu Kazimierz Wielki. Główną troską jego rządów była dążność do odzyskania zaborów poczynionych przez Zakon. Ale jakże wystąpić przeciw nim, skoro byłaby to zarazem wojna z nową dynastią czeską, z Luksemburgami, którzy używali ciągle tytułu królów polskich i czekali tylko na sposobność, żeby razem z Krzyżakami ruszyć na Polskę. Kazimierz okazał się jednak dobrym politykiem i powiodło mu się rozerwać te związki. Stało na tym, że król Jan Luksemburski zrzekł się tytułu króla Polski, zastrzegając sobie tylko, że zostaną lennikami korony czeskiej ci z książąt śląskich, którzy mu już hołd złożyli. Należało do nich księstwo wrocławskie.

Rządy nowe spowodowały we Wrocławiu przykre wydarzenie. Szerzyła się wówczas sekta tak zwanych beginów, a był głos powszechny, że król czeski im sprzyja. Zwalczali herezję najusilniej Dominikanie; heretycy, pozyskawszy część pospólstwa, rzucili się na dominikański klasztor przy kościele św. Wojciecha, wyważyli wrota, dobili się do cel zakonnych, a tego Ojca, który kazaniem swym najmocniej ich dotykał, imieniem Jan, wywlekli na zewnątrz klasztoru, włóczyli go po ulicach, bijąc tak, iż mózg z głowy wypadał od srogiego tłuczenia, a w końcu przebili go mieczem. Stało się to w październiku roku 1341.

Tegoż samego roku zabito w Pradze innego Dominikanina, Polaka imieniem Konrad, również na tle walki z odstępcami od wiary św. Powiadano, że kazał go zabić król Jan. Dla grobie męczennika działy się cuda, a mieszczanie prasy zwracali się później do Rzymu o kanonizację, lecz proces kanonizacyjny nie został przeprowadzony do końca.

Nie odstępował jednak Kazimierz Wielki Śląska czeskiej koronie i na przyszłość pozostawiona była Piastom śląskim wolność, żeby mogli uznawać nad sobą zwierzchność korony czeskiej lub polskiej według własnej ochoty.

Dużo kłopotów i trudności miał król polski ze swym węgierskim dziewierzem, Karolem Robertem. Utrzymanie przyjaźni z dynastią Andegawerską na Węgrzech stanowiło konieczność polityczną, bo jeżeli Kazimierz chciał wystąpić przeciwko Krzyżakom, musiał mieć za wszystkie inne strony ręce wolne. Przyjaźń Węgier musiał sobie Kazimierz Wielki zapewnić umową, że gdyby zmarł bezpotomnie, następcą tronu polskiego zostanie królewicz węgierski Ludwik, jego siostrzeniec (po siostrze Elżbiecie Łokietkównie). Kazimierz był zresztą jeszcze młody, liczył dopiero 29 lat, gdy układ ten zawierał. A jednak nie doczekał się nigdy syna.

Zasłynął król Kazimierz jako gospodarz. Chwalono go, że "zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną". Zdawał sobie sprawę z tego, że społeczeństwo choćby było pełne przymiotów najcenniejszych, państwa potężnego nie utworzy bez dobrobytu! A do tego nie wystarczy samo

rolnictwo, lecz trzeba handlu i przemysłu. Pod jego mądrą opieką rozwijał się handel na wschodzie, przez Lwów i dorzecze Dniestru ku wybrzeżom morza Czarnego.

Im bardziej rozumiano za jego czasów, co znaczy wybrzeże morskie, tym bardziej pragnięto, żeby odzyskać od Zakonu Pomorze Bałtyckie. Na Krzyżaków uzyskał król w r. 1339 ponowny wyrok papieski, że mają nam zwrócić wszystkie zabory, ziemię gdańską, chełmińską, michałowską, dobrzyńską i kujawską, a nadto wypłacić odszkodowania blisko dwieście tysięcy grzywien srebrem. Wiedział jednak król, że oni żadnego wyroku nie usłuchają, a raczej gotowi rzucić się ponownie na Polskę. Rozumiał też, że Polska nie zdoła jeszcze prowadzić wojny wielkiej, a długiej, bez czego nie odzyska się ujścia Wisły; na taką zaś wojnę jeszcze nie stać, jeszcze jest za uboga. Wolał więc załatwić się z Zakonem pokojowo, a tymczasem pilnować spraw gospodarczych, ażeby następne pokolenie mogło prowadzić wojnę dużą armią i choćby przez lat kilkanaście aż do wypędzenia drapieżców. Zawarł więc w r. 1343 w Kaliszu pokój z tym największym wrogiem. Odstępował mu nadane przez Konrada Mazowieckiego ziemie chełmińską i michałowską na "wieczystą jałmużnę", a Pomorze Gdańskie oddawał w lenno od polskiej korony z warunkiem płacenia rocznej daniny i dostarczania posiłków na wyprawy wojenne (do czego każdy lennik był zobowiązany). Oni zaś ustępowali od razu z Kujaw i Dobrzynia.

Napierali Krzyżacy coraz mocniej na Litwę, zapędzali się już aż po Wilno. Puszczali z dymem całe powiaty, lecz ani jednej okolicy nie nawrócili i nawracać nie próbowali. Istnienie pogaństwa było im potrzebne, żeby Zakon mógł otrzymywać z całej Europy fundacje na... obronę chrześcijaństwa. Nawet Prusacy nie byli jeszcze nawróceni. Dowodem męczeńska śmierć polskiego Franciszkanina Wisława, który w r. 1342 koronę męczeńską pozyskał sobie na misji pruskiej. Pochowano go w Malborku, uważając za świętego; jeszcze pod koniec XVI wieku zapisano, że grób ten cudami słynie.

A Polska stawała się pod królem-gospodarzem poważnym państwem. W krótkim stosunkowo czasie, po ciężkich przejściach Władysława Niezłomnego, stał się Kraków jedną z ważniejszych w Europie stolic politycznych. Z końcem września 1364 r. odbył się nawet w Krakowie kongres monarchów z całej środkowej Europy. Zjechało się piętnastu panujących, dziesięciu książąt z Moraw, Śląska i Niemiec, i pięciu królów: polski, czeski Karol IV Luksemburczyk, będący zarazem cesarzem niemieckim, węgierski Ludwik, duński Waldemar i jerozolimski Piotr z Cypru. Ten objeżdżał właśnie dwory europejskie, żeby zwracać uwagę na nowe niebezpieczeństwo, grożące chrześcijaństwu z powodu najazdu Turków na cesarstwo bizantyńskie. Już wtedy zaczynali Turcy czynić zdobycze na Półwyspie Bałkańskim.

Kongres podniósł wielce powagę Kazimierza Wielkiego i uświetnił wielkie w dziejach Polski wydarzenie, jakim było w Krakowie założenie uniwersytetu w tymże roku 1364 za zezwoleniem Stolicy Apostolskiej. Należyte urządzenie uniwersytetu ze wszystkimi wydziałami wymaga dłuższego czasu. Nie było dane dożyć tego wielkiemu monarsze. Ledwie młody uniwersytet począł stawiać pierwsze kroki, przecięła śmierć zasłużone życie w r. 1370.

Król ten trzykrotnie zawierał śluby małżeńskie, lecz umierał bez męskiego potomka. Został tedy królem polskim Ludwik Węgierski.

O rządach jego mówiono wówczas, że był dla Węgier ojcem, lecz ojczymem dla Polski. Nie mieszkał w Polsce. Ustanowił wielkorządczynią swą matkę, a rodzoną siostrę Kazimierza Wielkiego, Elżbietę, ale była to już niewiasta posunięta w latach. Rzeczywistym rządcą był ulubieniec Ludwika, książę śląski Władysław Opolczyk, człowiek nieszczerólnego charakteru, a przy tym zniemczony.

Dużo było przyczyn, dla czego Ludwik nie miał sympatii w Polsce, ale najbardziej gniewało Polaków to, że próbował oderwać od Polski księstwo halickie i przyłączyć je do Węgier. A przecież to kraj pierwotnie polski, dopiero od połowy XIII wieku rusko-polski, a nigdy nie madziarski!

Szły tam z Polski ciągle misje dla nawracania schizmatyków. Ale nie brakło też ludności katolickiej, a nawet było jej sporo, do założonego poprzednio biskupstwa przemyskiego przybyło w r. 1366 drugie, halicko-lwowskie. W tym czasie zasiadał na nim bł. Jakub Strępa, zwany też Strzemię (od swego herbu). Pochodził z Małopolski, urodzony około roku 1340, wstąpił do zakonu franciszkańskiego,

następnie studia wyższe odbył w Rzymie, a po powrocie przystąpił do zgromadzenia "Braci Pielgrzymujących", które powstało celem nawracania schizmatyków na Rusi. Nazwa "pielgrzymujących" brała się stąd, że chodzili z krzyżem w rękę od miasta, do miasta, od wsi do wsi. Spędziwszy tak młode lata, został w r. 1375 gwardianem klasztoru we Lwowie, a wkrótce także wikariuszem generalnym i najwyższym przełożonym wszystkich misji katolickich na Rusi. Był prawą ręką biskupów halicko-lwowskich, Macieja i Bernarda (w latach 1375-1391). Szczególnym jego zamiłowaniem była katechizacja dzieci, od czego otrzymał nawet przydomek "przyjaciel dzieci". Usłyszymy o nim jeszcze w dalszym ciągu naszych opowiadań.

Król Ludwik także nie miał syna. Całą swą politykę obracał wokół tego, żeby córkom zapewnić następstwo po sobie. Jakoż po licznych zabiegach postawił na swoim. Gdy zmarł w r. 1382, starsza jego córka Maria wzięła po ojcu koronę węgierską, a polską Jadwiga. Maria została żoną Zygmunta księcia z dynastii luksemburskiej, a Jadwiga dała nam unię z Litwą.

Historia Jadwigi jest tak obfita w najciekawsze wydarzenia, a tak ważna, iż warto jej poświęcić osobny rozdział.

Lilia Wawelu

Jak cudownymi ścieżkami nieraz wiedzie narody Opatrzność, niechaj zaświadczy historia, którą teraz opowiem, cała jakby wyjęta z cudownej bajki, w której jednak każde słowo będzie zupełnie prawdziwe.

Kiedy król Ludwik zmarł w r. 1382, przez nikogo w Polsce nie żalowany, przysługiwało następstwo tronu polskiego jego córce Jadwidze, która była niemal dzieckiem jeszcze. Znaczna część narodu wolałaby Piasta. Ziemowit Mazowiecki miał licznych zwolenników, ale jedno z drugim dawało się doskonale pogodzić, bo Ziemowit nie był żonaty. Nie wiedział zaś o tym, że młodziuchna Jadwiga była zaręczona.

W czerwcu w r. 1378 odbył się w Hainburgu nad Dunajem w Austrii ślub dziecięcy. Przed wielkim ołtarzem hainburskiego kościoła stanęła na ślubnym kobiercu siedmioletnia królowna węgierska, Jadwiga, obok niej zaś drugie dziecko, Wilhelm Habsburski. Znany to już z historii bł. Salomei i królewicza Kolomana. Kapłan zawiązał dzieciakom ręce stułą z całą powagą i powiedział im, że nie są wprawdzie jeszcze małżonkami, bo do tego panna młoda musi mieć lat przynajmniej 12, ale daje im się ślub z góry, a po pięciu latach, jeżeli oświadczą potem publicznie, że chcą być mężem i żoną, mogą zamieszkać z sobą bez przeszkody. Przez pięć lat może się dużo zmienić, więc przymusu nie będzie, ale ta strona, która by zerwała związek, zapłaci drugiej dwieście tysięcy dukatów. Według dzisiejszych obyczajów były to tylko zaręczyny, skoro można było je zerwać.

Po śmierci króla Ludwika, chociaż termin dopełnienia ślubu już minął, Jadwiga i Wilhelm nie widzieli się przez całe dwa lata, bo na Węgrzech trwała wojna domowa i takie zamieszki, iż starsza siostra Jadwigi, królowna Maria, dostała się nawet do niewoli. I u nas były zamieszki; bała się więc matka wyprawić Jadwigę do Polski, chociaż koronacja jej była wyznaczona na Zielone Świątki 1383 roku.

Ziemowit Mazowiecki gotów był z bronią w rękę walczyć o rękę Jadwigi, mającej koronę polską w posagu, i czekał raz na nią w wąwozach tatrzańskich z hufcami zbrojnymi, a na jej koronację wybrał się do Krakowa z poczem pięciuset zbrojnych. Nie wpuszczono go do miasta; posiedział zawstydzony na przedmieściu Kleparzu i cofnął się do Nowego Korczyna w dół Wisły. Tam czekał, lecz doczekał się tylko wiadomości, że królowna wcale się jeszcze nie wybiera w drogę do Polski.

Powiedział sobie tedy Ziemowit, że się obejdzie bez Jadwigi. Jakoż w kilka tygodni potem obwołało go stronnictwo mazowieckie uroczystie królem w Sieradzu. Myślał teraz o tym, żeby sobie wymusić posłuch także poza Mazowszem, gdy wtem natrafił na przeszkodę, jakiej najbujniejsza wyobraźnia nie mogłaby przewidzieć.

Oto małopolscy wielmożowie powzięli plan śmiały. Oni nie chcieli ni Wilhelma, ni Ziemowita, a kogo zaś mieli na widoku, do tego nie przyznawali się jeszcze jawnie, bo była to rzecz niesłychana gdyż kandydat ich był... poganinem. Był nim wielki książę litewski, Jagiełło. Gdyby przyjął chrzest, gdyby ożenił się z Jadwigą i zasiadł na polskim tronie, nie byłoby już wojen z Litwą, a można by się lepiej zabrać wspólnymi siłami do Zakonu krzyżackiego! Krzyżacy nie byłiby już do niczego w Europie potrzebni, skoro wraz z chrztem Litwy zniknęliby ostatni poganie w naszej części świata.

Czy jednak zgodzi się Jadwiga? Królowna przybyła wreszcie do Krakowa dnia 13 października 1384 r. i ukoronowano ją zaraz, w dwa dni po przyjeździe.

Dziwiło wszystkich, że Ziemowit swatów nie przysłał, a walki zaprzestał. Wielmożowie małopolscy wtajemniczyli go w swój plan, on zaś uznając wielką korzyść dla całego narodu i całego chrześcijaństwa, złożył swe osobiste wyniesienie na ołtarzu dobra publicznego. Książęta mazowieccy bywali nieraz tylko prostymi ludźmi, ale zawsze uczciwymi, a Ziemowit IV zasłużył sobie w historii polskiej na wdzięczną pamięć, że nie bruździł prywatą.

Nie było swatów od Ziemowita, ale co dziwniejsze, nie przyjeżdżał nikt od Wilhelma. Od ślubów hainburskich minęło już lat sześć i oblubieńcy mieli zupełne prawo zamienić się w małżonków. Ale książę habsburski nie chciał królowny bez korony. Korona węgierska przypadła już tymczasem starszej siostrze Marii, a koronacja polska odwlekała się przez półtora roku, więc Wilhelm się nie zgłaszał. Ale skoro go doszła wieść, że Jadwiga już jest koronowana w Polsce, zaraz się znalazł.

Jeździł najpierw do królowej matki na Węgry ojciec Wilhelma Leopold i zawarł umowę z wyznaczeniem dnia 15 sierpnia 1384 r. w samo święto Wniebowzięcia, na zamieszkanie Wilhelma u Jadwigi na Wawelu. Miały być przy tym oczywiście wielkie uroczystości, a na starostę weselnego zaproszono dawnego przyjaciela króla Ludwika, księcia Władysława Opolczyka. Ten porozumiał się zawczasu z niemieckim mieszczaństwem Krakowa. Uzyskał też pomoc wielmoży Gniewosza z Dalewic. Wiele od niego zależało, bo miał własny dom w Krakowie, do którego Wilhelm mógł zajechać; dom po wielkopańsku urządzony, godny oblubieńca królowej (narożnik ulic Szczepańskiej i Sławkowskiej od strony rynku).

Tymczasem Jadwiga dowiedziała się o zamiarach Jagiełły. Ten pogański książę wydał się jej dziwnie zuchwały, że śmiał się starać o jej rękę. Ona przywykła od dzieciństwa do największej oglądy i cywilizacji, a Litwa cóż? Dzicz, na którą znajomi jej rycerze chrześcijańscy urządzali wyprawy z Krzyżakami. Mieli zaś Krzyżacy wszędzie swoich ludzi, a można sobie wyobrazić, co ci wygadywali na Litwinów. Od lat dziecięcych nasłuchiwała się Jadwiga, że to lud dziki, na wpół jakby niedźwiedzie, cali porośnięci kudłami; toteż sama myśl o Jagielle wstręt w niej budziła. A Krzyżacy, dowiedziawszy się o zamiarach wielmożów małopolskich, jęli rozgłaszać, że chrzest Jagiełły będzie tylko udany, że nie tylko nie przyniesie rozkrzewienia wiary św., ale Polsce grozi nawrót do pogaństwa pod królem poganinem.

Młodziuchna czternastoletnia królowa rozważyła sobie, że przecież nie mogą jej zmusić siłą przy ołtarzu: skoro tylko Wilhelm przyjedzie do Krakowa, ona złoży publiczne oświadczenie, że chce być jego żoną, i jednym słówkiem uwolni się od natręctwa niedźwiedzia litewskiego. Słysząc wprawdzie było, że dostojnicy polscy zamierzają Wilhelmowi wypłacić 200 000 dukatów, ale pocieszała się tym, że Jagiełło nie może stać się jej mężem, póki ona sama nie powie przy ołtarzu "tak". A więc nie można jej wbrew własnej woli sprzedać za dukaty poganinowi, którego podejrzewała, że chce udawać nawróconego, by zyskać koronę, a potem pogaństwo litewskie w Polsce szerzyć.

Tak myślała Jadwiga i czekała na przyjazd Wilhelma ciekawa wielce, jak on też wygląda? Nie widzieli się już bowiem od lat czterech, a w tym wieku cztery lata stanowią cały okres życia. Sama zaś Jadwiga była urody prześlicznej, a piękność jej wysławiano nie tylko w Polsce, na Węgrzech i w Niemczech, ale nawet w dalekim kraju włoskim, gdzie lud jest najurodziwszy. I tak słynęła w świecie z nadzwyczajnej urody lilia Wawelu.

Miała niebawem zastąpić z ważniejszych przyczyn.

Przyjeżdża wreszcie Wilhelm do Krakowa, oczywiście ze wspaniałym, bardzo strojnym orszakiem. Wszak to na własne wesele! Nie wypadało zajeżdżać wprost do panny młodej, na Wawel, zajeżdża więc tymczasem do kamienicy Gniewosza z Dalewic. Tam czeka, aż przybędzie po niego starosta weselny i odprowadzi go na Wawel wśród hucznych uroczystości.

Ale Władysław Opolczyk nie przyjechał. Stary książę siedział już na dwóch stołkach. Mając w Polsce lenno, wolał ubezpieczyć się na wypadek, gdyby szczęście sprzyjało Jagielle i zamiast jechać do Krakowa, pchnął od siebie gońca na Litwę...

Mija dzień wyznaczony na dopełnienie małżeństwa, a Opolczyka nie widać. Młodą parę spotkał pierwszy zawód.

Wyczekując niecierpliwie księcia opolskiego, nie nudzili się jednak wcale. Urządzono w Krakowie szereg uroczystości przedweselnych, wybrawszy do tego obszerne budynki franciszkańskie. Z Wawelu schodziła Jadwiga ze swym dworem niewieścim, a z rynku od kamienicy Gniewosza sunął Wilhelm ze swym rycerstwem ku Franciszkanom. Wszystko odbywało się uroczysto, z zachowaniem wszelkich prawideł ceremoniału dworskiego; wszak to wesele królowej. Na wielkiej sali u Franciszkanów, odstąpionej przez zakonników, lutniści wyśpiewywali pieśni w trzech językach: niemieckim, prowansalskim i włoskim. Stoły były zastawione do biesiady, a potem oddawano się płasom.

Wyrósł zaś Wilhelm na przystojnego młodziana, umiał się podobać i podbił serce młodocianej oblubienicy. Zakochała się Jadwiga w Wilhelmie i pragnęła go za męża. Miała ona w sobie nie tylko gorącą krew po neapolitańskich Andegawenach, ale też własną wolę.

Czuła się królową i panią, chciała rozkazywać i umiała to robić.

A podczas tych wesołych zabaw krakowskich, w sam raz dnia 14 sierpnia 1385 r., stanęło poselstwo panów małopolskich w lichej osadzie litewskiej, w Krewie, gdzie wszakże stał zamek wielkoksiążęcy, i zawarto tam umowę. Jagiełło zobowiązywał się przyjąć chrzest w obrządku rzymskokatolickim wraz z całym ludem litewskim, a całe wielkie księstwo litewskie, ze wszystkimi podwładnymi mu księstwami ruskimi wcielić do polskiej korony. Umowę taką, wiążącą dwa państwa w jedno nie podbojem, lecz związkiem dobrowolnym, zwiemy z łacińska unią.

Gdy Jadwiga oczekiwała Opolczyka, dostojnicy państwowi czekali na gońca z Litwy z wiadomością o unii krewskiej. Już zaczęli przekładać Jadwidze, że może unia już podpisana, a chodzi tu o nawrócenie całego kraju, że Jadwiga może dokonać jednym swym słowem tego, czego nie zdołał Zakon krzyżacki przez półtora wieku. Ale Jadwiga dostojnikom polskim nie bardzo dowierzała, a Wilhelma pokochała gorąco. Oświadczyła, że nie będzie już czekać dłużej na Opolczyka i że dnia 23 sierpnia wprowadzi Wilhelma stanowczo na zamek i zamieszka z nim jako z małżonkiem.

Dotrzymała słowa. W jasne południe tego dnia jechał ulicą Grodzką na Wawel długi korowód. Na przodzie strojny herold konno, za nim surmy, bębny, kotły, piszczałki (takie mieli wówczas kapele), potem w kilkanaście szeregów rycerze w srebrzystych zbrojach, a w samym środku tego orszaku Wilhelm, przybrany w najpiękniejszą zbroję polerowaną, misternej roboty mediolańskiej. Wyległo mieszczaństwo krakowskie na ulice zadowolone, że zasiądzie Niemiec na tronie. A równocześnie królowa szykowała na Wawelu swoje dworzanki i otoczona nimi czekała na Wilhelma w komnacie tronowej. A stroje odświętne jej dworzanek nie były to już pstre szatki orszaku Dubrawki, ale atłasy i adamaszki, suto złotem haftowane, a obok bursztynowych ozdób prawdziwe perły, szczerozłote naramienniki i kolczyki.

Wjeżdża Wilhelm na zamek królów polskich. Straż zamkowa dziwiła się może, że go przepuścił stary kasztelan, Dobiesław z Kurozwęk, ale on wiedział, co czyni.

Herold Wilhelma wjechał konno pierwszy na dziedziniec Wawelu i tam zatrafił czterokroć, na cztery strony świata, obwieszczając uroczysto głosem doniosłym, czyje zwiastuje przybycie. Wnet zjawił się i sam Wilhelm, i zaczęła się ostatnia uroczystość wesela królowej.

Ale wielmożowie małopolscy czuwali. Woleli oni usunąć się z miasta, żeby nie prowadzić sporów z królową, i żeby nie musieli uchybiać etykietce dworskiej. Przebywali niedaleko. Zjechali się, zebrali swych zwolenników spośród ziemiaństwa ziemi krakowskiej, z którymi spędzili ten dzień w okolicy, po dworach w sąsiedztwie. Biegali do nich ciągle gońcy od kasztelana krakowskiego.

Gdy Wilhelm wjeżdżał na zamek, jechali i oni do Krakowa, i nagle pod wieczór wjechała na Wawel cała drużyna polska. Nikt z Polaków nie pozostawił najmniejszego wspomnienia na piśmie o tym, co się tam dalej działo, a tajemnicy dochowali tak ściśle, iż ani nawet żadna tradycja o tym się nie przechowała. Mniej powściągliwi byli jednak towarzysze Wilhelma i pisarze niemieccy. Od nich się dowiadujemy, a zwłaszcza z pamiętników ówczesnego burmistrza wiedeńskiego, że Wilhelm musiał z zamku wawelskiego uciekać, spuszczonej z okna na linie.

Jadwiga nie myślała jednak dać za wygraną. Chodziło już nie tylko o to, że Wilhelma kochała, ale o obrażoną dumę monarszą; o to, żeby pokazać, że ona tu panią. Nie chciała też słyszeć o Jagielle. A Wilhelm nie ustąpił także, lecz ukrywał się w najbliższej okolicy, tuż pod miastem, w Czarnej Wsi i w myśliwskim zameczku Kazimierza Wielkiego w Łobzowie. Powiodło mu się porozumieć z Jadwigą i wrócił do kamienicy Gniewosza z Dalewic. Należało się obawiać, że królowa sama uda się tam do niego. Panowie polscy, którzy nie oddalali się już z miasta, posłali tam zbrojnych pachołków. Wilhelm ledwie zdołał wstawić drabinę do komina i wydostawszy się tym sposobem na dach, uszedł pościgu. Nie dbał, że mu to przynosi ujmę; obiecywał sobie powetować stokrotnie to wszystko, gdy zostanie mężem Jadwigą i królem. Jadwiga nie kryła się wcale, że pragnie się połączyć z Wilhelmem. Próbowwała kilka razy wydostać się z Wawelu, ale zręczny kasztelan za każdym razem umiał przeszkodzić temu tak, żeby królowej wprost nie obrazić, a jednak wymyślić przeszkodę.

Raz dostała się aż pod bramę zamkową. Zastawszy furtę zamkniętą, kazała otworzyć. Straż nie miała kluczy, bo trzymał je u siebie kasztelan. Posłali więc do starego Dobiesława z Kurozwęk, a wraz z nim przybyło kilku innych panów, którzy na próżno prosili, żeby Jadwiga czekała na wiadomości z Litwy. W królowej wzburzyła się krew młoda. Wyrwała topór jednemu ze straży i zaczęła rąbać bramę, ażeby się wydostać na miasto. Nikt nie śmiałyby jej toporu z rąk wyrwać; można było tylko prosić i błagać. Słabe dłonie dziewicy niewiele mogły jednak sprawić, a po kilku uderzeniach poznała sama, że furty nie wyrąbie. Wzruszeni panowie prosili o przebaczenie, a stary podskarbi koronny, Dymitr z Goraja, rzucił się przed Jadwigą na kolana, błagając, żeby zaprzestała i pomiarkowała się w namiętym porwywie.

Panom polskim, bawiącym w Krakowie, było szczerze żal młodziuchnej a pięknej królowej, ale musieli pamiętać o wyższych obowiązkach. Małżeństwo z Wilhelmem - to zadowolenie jednego tylko serca, a kto wie, na jak długo; małżeństwo zaś z Jagiełłą to wielka sprawa przed Bogiem i światem.

Z płaczem wracała królowa do swych komnat, strapiona i złamana. Pocieszać się mogła tym, że przecież ślubu z Jagiełłą i tak nie weźmie, skoro nie zechce. Wszak ślubu przemocą dać nie można.

Tymczasem Krzyżacy starali się o to, żeby Jagiełło nie mógł przyjechać do Krakowa. W dwa dni po przywieszeniu pieczęci do aktu unii w Krewie, wielki mistrz wyruszył na Litwę i rozpoczął wojnę (zwaną białoruską). Ale Jagiełło o nic nie dbał, lecz ruszył w drogę do Polski. Na ojców chrzestnych zaprosił do Krakowa obydwoch mistrzów Zakonu Niemieckiego. Wielkiego mistrza z Prus i landmistrza z Inflant. Wyprawił z tym zaproszeniem posłów, których przyjęto z lekceważeniem a nawet wzgardliwie. Nie dał się jednak władca litewski odwieść od swego postanowienia i z początkiem lutego 1386 roku stanął w Lublinie.

W młodej królowej serce biło głośno, ale począł też kołatać głos obowiązku, w miarę jak się przekonywała, że prawdą jest to wszystko, co jej opowiadali dostojnicy polscy. Przekonywała się sama, jak wiele spraw doniosłych zależy od jej postanowienia, aż w końcu musiała zastanowić się, jaka ciężka spada na nią odpowiedzialność wobec Kościoła i dwóch narodów. W młodocianej duszy nastąpiła chwila najcięższa, bo chwila przełomu: sama teraz nie wiedziała, jak postąpić. A gdzie szukać pociechy i pokrzepienia wśród wątpliwości, jeżeli nie w modlitwie?

W królewskim kościele na Wawelu w lewo za wielkim ołtarzem jest duża cudowna figura Zbawiciela na krzyżu. Krzyż czarno szmelcowany, ogrodzony srebrną siatką, wygląda nadzwyczaj poważnie i posepnie. Zwieszona głowa Ukrzyżowanego spogląda na klęczących u stóp wiernych, jakby wzywała, żeby każdy dźwigał krzyż swój taki, jaki komu Opatrzność wyznaczyła. Tam chadzała modlić się królowa Jadwiga, tam modlitwa natchnęła ją radą zbawienną, by szukać ukojenia i drogi do wyjścia z przeciwieństw losu w przyjęciu świętych Sakramentów. Spowiednikiem jej i powiernikiem został kanonik krakowski, Piotr Wysz. Zwany był w Krakowie ojcem ubogich, i słynął z tego, że poczytywał sobie największe szczęście, gdy wyświadczyć mógł komu przysługę. On kołł myśli Jadwigi i zachęcał do dalszej modlitwy.

Legenda opowiada, że do zalanej łzami królowej przemówił raz Zbawiciel z krzyża; od tej chwili, po tylu ciężkich katuszach moralnych, przeniosła surowy obowiązek nad ponęty osobistego szczęścia. Piękna ta legenda jest najzupełniej na swoim miejscu, bo całe dalsze życie Jadwigi było prawdziwie życiem świętej, tak pełne nadzwyczajnych cnót i ofiar, tak jaśniejące nadziemskim blaskiem poświęcenia, iż naprawdę nie ma w tej legendzie nic a nic dziwnego. Godna była największej łaski Bożej. Dzięki medytacjom o męce Zbawiciela, odbywanym pod cudownym krzyżem na Wawelu, Jadwiga przystała w końcu na spełnienie ofiary z własnego życia.

Teraz postanowiwszy pójść za głosem surowego obowiązku, wyprawiła od siebie dwóch posłów. Jeden z nich, dworzanin Zawisza z Oleśnicy, miał poselstwo bardzo przyjemne: jechał od królowej naprzeciw Jagiełły ze słowem powitalnym pewny, że będzie przyjęty z żywą radością, i że go nowy pan hojnie obdarzy za miłe poselstwo. Jakoż otoczył łaską swoją Jagiełło zwiastuna najmiłszej wieści i nie tylko zawsze o nim pamiętał, ale też o jego synie, Zbigniewie, który wyszedł potem na wielkiego człowieka.

Drugi wysłaniec niedaleką miał drogę, ale poselstwo nader niemiłe. Miał odszukać Wilhelma w okolicy Krakowa i powiedzieć mu od królowej, żeby wyjeżdżał, i nie wracał.

Czyn Jadwigi posiada wartość właśnie dlatego, że cierpiała i w tym jej zasługa, że rwąc się do osobistego szczęścia, rzekła się go, świadoma ofiary, ale też świadoma wielkiego celu, dla którego tak czyni. Wilhelm nie zrozumiał szczytności jej poświęcenia. Dla niego sprawa pozostała zawsze tylko osobistą, a osobę swą kładł przed dobrem całego chrześcijaństwa. Nie myślał on o tym, że oto ostatni pogański lud w Europie ma się nawrócić dzięki ofierze Jadwigi. On niczego ofiarować nie myślał. Zamiast ukorzyć się przed potężną cnotą Jadwigi, on lżył ją potem i mścił się na niej przynajmniej słowem, gdy nie mógł inaczej, miotając potwarze, i szarpiąc jej dobre imię. Przez całe życie nie mógł przeboleć chrztu Litwy.

Nadeszła wreszcie wielka chwila dziejowa. Dnia 15 lutego 1386 r. Jagiełło, wielki książę litewski, ochrzcił się w katedrze krakowskiej, przybierając imię chrzestne Władysław, i wziął ślub z Jadwigą, dnia zaś 17 lutego odbył uroczystą koronację. Uroczystości te odbyły się wobec legata papieskiego Dymitra, arcybiskupa z Dubrownika, miasta chorwackiego w południowej Dalmacji. Radość zapanowała w Kościele i pośród narodów zachodniej Europy, że nastąpił już koniec pogaństwa w Europie. Król francuski, Karol VI, przysłał list z serdecznymi życzeniami.

Władysław Jagiełło i Jadwiga wyprawili w poselstwie do Rzymu kanonika krakowskiego Mikołaja Trąbę, żeby złożył Stolicy Apostolskiej hołd od nowo nawróconego monarchy i jego ludu. Poseł wstąpił po drodze do Wilhelma, żeby zapłacić owe dwieście tysięcy dukatów, należne mu z umowy hainburskiej. Prawo narodów postanawia, że osoba posła jest święta, ale naszego kanonika wtrącono w Austrii do więzienia, w którym przebył cztery lata.

Próbował też Wilhelm w Rzymie procesu unieważnienia małżeństwa Jagiełły z Jadwigą, a Krzyżacy używali ku temu wszystkich swych wpływów, ale nadaremnie. Król Władysław Jagiełło otrzymał list od papieża, w którym Ojciec święty nazywa go drogim klejnotem Kościoła.

Bo też król Władysław już jesienią 1386 r. wybrał się na Litwę zaprowadzić chrześcijaństwo. Nie było w tym żadnych trudności, skoro chrzest odbywał się bez szczęku mieczów, a tylko wśród modlitwy i błogosławieństw. Niegdyś przy nawracaniu Polski nie przelała się ani kropla krwi, a teraz powtórzyło

się to samo tam, gdzie światło Ewangelii nieśli Polacy. Tak każe nauka Chrystusa. W Wilnie założono od razu biskupstwo a później drugie w Miednikach dla Żmudzi.

Królowa Jadwiga wybrała się zaś do ziemi dawnych Lachów i Grodów Czerwieńskich, żeby oświadczyć starostom węgierskim, siedzącym tam jeszcze od czasów jej ojca, króla Ludwika, że ona, jako dziedziczka Ludwika, uwalnia ich ze służby, a kraj przyłącza do swojej korony polskiej. Jagiełło posłał tam z Litwy hufiec zbrojny pod wodzą swego brata stryjecznego, Witolda, ale okazało się to całkiem niepotrzebne, bo nie było najmniejszej nawet potyczki na tej staropolskiej ziemi. Królową powitały poselstwa w Jarosławiu i Gródku; cała sprawa dokonała się bez przelania choćby jednej kropli krwi. Ziemia Lachów wracała chętnie do polskiego królestwa. Ruska część ludności wiedziała, że rządy polskie niosą im dobrobyt i opiekę ich obrządku, którego starostowie węgierscy wcale nie szanowali. Kto wolał, prawosławnym pozostał; kto chciał, przyjmował unię, a nie brakło takich, którzy przechodzili na obrządek łaciński, zwłaszcza ci, którzy spostrzegli, że są krwi polskiej.

W dziele nawracania odznaczał się zawsze gwardian franciszkański bł. Jakub Strepa, zwany także Strzebiem. W r. 1391 wyniósł go papież Bonifacy IX na stolicę biskupa halicko-lwowską, którą podwyższył niebawem do stopnia arcybiskupstwa. Był bł. Strepa popierany przez króla Władysława Jagiełłę i królową Jadwigę. Królowa ręką własną wyhaftowała dla niego infułę, obsadzoną gęsto drogimi kamieniami.

Królowa Jadwiga, słynąca z urody, miała zasłynąć jeszcze bardziej z cnoty. Całe jej życie stanowiło jedno pasmo świątobliwości. Nie okazała nigdy nikomu pychy, zawiści lub niechęci, nie było zaś nad nią szcudrzejszej pani. W kościołach po całej Polsce pełno jej darów i sporo szat liturgicznych, haftowanych jej ręką. W skarbcu katedralnym na Wawelu znajduje się ornat jej daru, z krzyżem haftowanym, wysadzonym perłami i drogimi kamieniami. Utrzymywała dużo młodzieży po szkołach swoim kosztem.

Na Kleparzu (przedmieściu krakowskim) za jej pieniądze stanął klasztor Benedyktynów słowiańskich, mający przysposabiać księży katolickich do misji wschodnich. W Pradze Czeskiej utworzyła fundację dla kleryków, chcących się poświęcić pracy kapłańskiej na Litwie.

Fundacja owa była w Pradze Czeskiej, bo uniwersytet krakowski nie posiadał jeszcze wydziału teologicznego. Uniwersytet znajdował się w ogóle w upadku, bo król Ludwik zaniedbał go zupełnie, a to co pozostało po Kazimierzu Wielkim, pogrążone było w niedostatku. Królowa zajęła się z największym zapałem uzupełnieniem uniwersytetu krakowskiego. Sprowadziła uczonych mężów na swój dwór, odbywała z nimi narady, a nie żałując największych kosztów, przygotowała wszystko, żeby mogły być już wszystkie cztery wydziały uniwersyteckie i stosowne dla nich pomieszczenie. Uniwersytet uzupełniony teologią miał kapłanów, otaczających swą pieczę świeży posiew świętej wiary na Litwie, strzegących tego, czego ona dokonała ofiarą własnego serca. Obracała królowa wszystkie swe dostatki na dzieła miłosierdzia i pożytku publicznego, a sama wiodła życie nadzwyczaj skromne, na pół zakonne.

Piśmiennictwo polskie wiele zawdzięcza Jadwidze, przecież to ona wyposażyła należycie uniwersytet, ognisko nauk i uczelni dla przyszłych autorów książek. Ale bezpośrednio zawdzięcza jej też niemało. Szła śladami bł. Kingi i stała się drugą opiekunką języka polskiego. Lubowała się w czytaniu Pisma Świętego, żywotów świętych, a zwłaszcza objawień św. Brygidy. Na jej żądanie przetłumaczyli profesorowie krakowscy i spisali w języku polskim modlitwy św. Bernarda, św. Ambrożego, objawienia św. Brygidy i dzieje rozmaitych męczenników. Były to dopiero pierwsze pisane próby piśmiennictwa polskiego, które zawdzięczamy tej najdroższej naszej pani. Ukochała ona język polski tak, iż po polsku odmawiała modlitwy, a nie w znanych sobie od dzieciństwa językach francuskim lub włoskim.

Tak przebywała Jadwiga obok Władysława Jagiełły w wielkiej świątobliwości lat czternaście, w doli i niedoli. Nie brakowało jej zmartwień. Ale największym utrapieniem było dla niej to, że nie miała dzieci, że nie pozostawiała dziedzica unii polsko-litewskiej. Nareszcie w czternastym roku pożycia małżeńskiego uszczęśliwiła króla Władysława nadzieją, że powije dziecinę.

Rozradowała się tym nie tylko Polska, lecz cała Europa. Sam Ojciec św. Bonifacy IX chciał być ojcem chrzestnym, a nie mogąc odbywać dalekiej podróży z Rzymu do Krakowa, wyznaczył delegata, który by w jego imieniu trzymał do chrztu dziecinę. Witold przysłał srebrną kołyskę. Modły rozbrzmiewały po wszystkich kościołach całej Polski i z osobnego papieskiego nakazu po wszystkich świątyniach Rzymu. Dnia 15 lipca 1399 r. przyszła na świat córka, nazwana Bonifacją na cześć swego ojca chrzestnego. Niestety, dziecina ta żyła zaledwie dwa dni. Chciano zataić śmierć tę przed chorą królową, lecz ona odgadła chwilę zgonu swej córeczki i zdając się na wolę Bożą, sama gotowała się na śmierć. Zdrowie jej pogorszyło się, a Jadwiga wiedziała, że nadchodzi ostatnia godzina. Z całą przytomnością umysłu uczyniła rozporządzenie ostatniej woli, po czym Bogu ducha oddała dnia 17 lipca 1399 r. przeżywszy zaledwie 26 lat. Niedługo kwitła lilia Wawelu, ale jakimż blaskiem niepospolitym.

Przed śmiercią wydała dwa zlecenia. Kazała posprzedawać swe kosztowne szaty, klejnoty i drogie sprzęty, a dochód z tego obrócić na uniwersytet, o którego uzupełnieniu tak marzyła, a czego nie miała się już doczekać. Dokonał tego Władysław Jagiełło w rok po jej śmierci. Słusznie nazwano uniwersytet krakowski dzieckiem pogrobowym królowej Jadwigi.

Drugim zleceniem było, ażeby król Władysław Jagiełło wszedł w powtórne śluby małżeńskie i to z wnuczką Kazimierza Wielkiego, Anną Cylejską. Była córką jednej z królowien polskich. Król Ludwik wywiózł na Węgry dwie córki Kazimierza Wielkiego, schował je przed światem, nie dał nawet porządnie wychować i lichy powydawał za mąż; jedną za hrabiego Cylei w południowej Styrii. Krzywdę wyrządzoną przez swego ojca poleciła Jadwiga naprawić. I odbyły się rzeczywiście zaślubiny Jagiełły z Anną Cylejską z początkiem 1402 roku. Zdarzenie to nazwano powrotem orłęcia do gniazda.

Ciało królowej Jadwigi złożono pod wielkim ołtarzem w katedrze krakowskiej. Do grobu jej odbywano pielgrzymki. Już za życia przypisywano jej rozmaite cuda, które powtarzały się u jej grobu. Syn owego Zawiszy z Oleśnicy, Zbigniew, za młodu rycerz z orszaku Jagiełły, następnie ksiądz, biskup i w końcu kardynał, kazał sekretarzowi swemu, kanonikowi krakowskiemu, Janowi Długoszowi, gdy ten pisał obszerną historię polską (po łacinie), zapisać że:

"za jej przyczyną i przez jej zasługi umarli wstają do życia, chromi chodzą, ślepi widzą, niemi odzyskują mowę, opętani od czarta z niewoli jego się wyzwajają, rozmaitymi dotknięci cierpieniami pociechę i zdrowie otrzymują".

Zaczęto się do niej modlić, jako do nowej patronki polskiej. Według nauki kościoła katolickiego wolno każdemu prywatnie wzywać wstawiennictwa każdej osoby, o której ma się głębokie przekonanie, że dostąpiła świętości. Wolno więc było i wolno jest każdemu katolikowi wzywać orędownictwa świątobliwej Jadwigi, byle nie publicznie, gdyż nie została jeszcze kanonizowana. Zaniedbano starań o to w Rzymie, ale nasze czasy zaniedbanie to winny naprawić.

O moralność w polityce

Ażeby nie rozrywać toku opowiadania samego żywota św. królowej Jadwigi, opuszczono w poprzednim rozdziale różne wydarzenia za jej życia, co teraz uzupełnimy. Przede wszystkim chodzi o dwa zakony w Polsce.

Jednym z nich byli Paulini. Byli ulubieńcami króla Ludwika, który z Włoch sprowadził ich na Węgry, a wprowadzić ich także do Polski porucił powiernikowi swemu, księciu Władysławowi Opolczykowi. Książę ten wyświadczył dużo usług "Ojczymowi Polski", więc otrzymał za to od niego obszerne lenna, a w tych nadaniach mieściła się także Częstochowa. Upominany kilkakrotnie przez króla, wystawił wreszcie książę mały drewniany klasztor pod Częstochową i tam sprowadzili się Paulini w ostatnim roku życia króla Ludwika w r. 1382. Tam zastynął łaskami cudowny obraz częstochowski. Wizerunek ten Najświętszej Marii Panny przywieźli sobie Paulini z Włoch na Węgry i następnie z Węgier do Polski.

Gdy osoba Wilhelma austriackiego utraciła wartość polityczną, Opolczyk stał się poplecznikiem Ludwikowego zięcia, Zygmunta Luksemburczyka, który poślubiwszy starszą siostrę naszej Jadwigi, Marię, otrzymał wraz z nią tron węgierski. Posiadł następnie tron czeski i nadto począł występować z

roszczeniami do tronu polskiego. Dość długo liczył Opolczyk na to, że Zygmunt straci Jagiełłę z tronu! Przypuszczając, że pochodzący z Węgier Paulini staną się w Polsce agentami polityki węgierskiej przeciwko Jagielle założył im jeszcze dwa klasztory (w Wieluniu i Głogówku). Ale zawiódł się srodze! Nowi zakonnicy dbali tylko o sprawy duchowe i dlatego sprzyjali Jadwidze i Jagielle, bo z tronem tej królewskiej pary związane było wielkie dzieło apostołskie nawrócenia Litwy. Znaleźli też takie uznanie dostojników polskich, iż ci już w lutym 1393 r. wyprosilili u króla znaczną fundację dla Paulinów. A gdy później doszło do rozprawy z Opolczykiem, gdy mu poodbierano polskie lenna; nie uwłaczało to w niczym Paulinom i nie narażało ich na żadne straty.

Drugi zakon, u nas również "nowy"; to Karmelici, zwący się w pełnym swym tytule "Zakodem Najświętszej Marii Panny z góry Karmelu". Powstali bowiem w Palestynie, na tej słynnej górze, a potem wyrugowani przez muzułmanów, przenieśli się na wyspę Cypr i stamtąd na ląd Europy około r. 1240. Papież Innocenty IV (1243-1254) złagodził ich regułę zbyt surową, bo z początku pustelniczą. Do Krakowa przybyli w r. 1397, w dwa lata potem do Bydgoszczy i na tym utknęli; rozszerzyli się dopiero znacznie później, a znaczenia historycznego nabrali w Polsce aż dopiero w XVIII wieku - więc też później będzie o nich mowa obszerniej.

Przechodząc do spraw politycznych, przyjrzyjmy się najpierw umowie, jaką zawierał Władysław Jagiełło o tron polski. Zobowiązał się odzyskać utracone kraje, a więc przede wszystkim zabrane przez Krzyżaków Pomorze Gdańskie. A jednak minęło 24 lata, nim można było zabrać się do tego! Zawiłe stosunki litewskie krępowały bowiem króla mnóstwem kłopotów; dość powiedzieć, że stryjeczny jego brat, Witold, naprowadzał nawet Krzyżaków na Wilno i nie uspokoił się, aż Jagiełło nadał mu w r. 1392 godność Wielkiego księcia Litwy pod swoim zwierzchnictwem (sam tytułował się odtąd "Najwyższym księciem Litwy"). Rządził tedy Witold całym państwem litewskim od Żmudzi po Kijów. Ruskie ziemie tworzyły aż dwie trzecie części tego państwa; dwa razy więcej było ziem schizmatycznych ruskich niż katolickich, właściwych litewskich (letuwskich).

Co za olbrzymie pole dla Braci Wędrownych bł. Jakuba Strepy! Sam Ojciec św. mianował go kierownikiem i zwierzchnikiem wszystkich misji ruskich, a na życzenie królewskie arcybiskupem halicko-lwowskim. Granice misyjne jego archidiecezji rozszerzyły się także daleko na południe, aż w strony dolnego Dunaju, pomiędzy te kraje, z których potem, po wiekach miała powstać Rumunia. Grasowały już bowiem na Bałkanie zagony tureckie. Wówczas "hospodar" jednego z tych krajów, Mołdaw, przyjął w r. 1393 nad sobą zwierzchnictwo Korony Polskiej, żeby mieć oparcie przeciw sułtanowi. Poczęli wtedy działać w północnej części Półwyspu Bałkańskiego wysłannicy misyjni arcybiskupa Strepy. Dalej na południe Bałkanu były misje Franciszkanów chorwackich. Jest to naród południowo-słowiański, katolicki, który od dawnych wieków miał króla wspólnego z Węgrami.

W inną całkiem stronę, daleko na wschód, pragnął rozszerzyć swe panowanie Witold. Chciał władać całą Rusią, nawet Moskwę zagarnąć. Trzeba było o to walczyć z Tatarami. Tatarskie zwierzchnictwo przestało istnieć na Rusi Litewskiej, bo zrzucili je litewscy dynaści, Gedyminowicze, ale ciążyło nad Moskwą, która stanowiła nadal prowincję danniczą chanów Kipczaku. Nie cofał się Witold przed tą walką, marząc, jakie to olbrzymie stworzy państwo z Litwy, Rusi, Moskwy i Kipczaku aż gdzieś pod góry Uralskie! Zajęty planami wielkiej wyprawy ani myślał o tym, żeby pomóc Jagielle przeciwko Krzyżakom. Odradzała mu tę wyprawę królowa Jadwiga i przepowiadała klęskę. I rzeczywiście bitwa, jaką Witold stoczył z Tatarami nad rzeką Worskłą w r. 1399, zamieniła się dla niego w straszną klęskę. Święta królowa zmarła w miesiąc potem; Witold zaś zmienił się odtąd w gorliwego obrońcę katolicyzmu i cywilizacji łacińskiej w całym wielkim księstwie litewskim. Odtąd też mogła Polska przygotowywać się wspólnie z Litwą do rozprawy z Zakonem.

Zaczyna się w dziejach Polski nowy okres, który staje się zarazem nowym okresem świętości, całkiem różny od poprzedniego. Od bł. Salomei aż do królowej Jadwigi mamy nieprzerwane pasmo świętych niewiast. To się kończy, a zaczyna się na przeszło dwa stulecia pasmo świętych mężów. Zobaczymy, jak cnoty życia publicznego występowały coraz bardziej na pierwszy plan, a to życie jest z reguły życiem męskim. A wszyscy niemal ci święci przechodzą przez studia uniwersytetu krakowskiego. Uniwersytet ten sprawił, że uczeni byli świętymi, a święci uczonymi.

Żył jeszcze bł. Jakub Strepa, kiedy w r. 1406 przodownik nowego szeregu świętych, Ambroży Boner, zdawał w uniwersytecie pierwszy egzamin, zwany wówczas "bakalarstwem", a studiował następnie jeszcze dalej, aż do stopnia doktora teologii. Urodził się w Krakowie w r. 1380 jako syn Floriana Bonera i Bronisławy z Brzezia Lanckorońskiej (miasto Lanckorona o cztery mile na południe od Krakowa). Bonerowie byli w Krakowie wielkimi kupcami i kapitalistami, posiadali domy, składy, wozownie itp. Ambroży pochodził z najbogatszego w mieście stołecznym rodu, a postanowił zostać zakonikiem; mianowicie wstąpił do Augustianów w podkrakowskim mieście Kazimierzu.

Augustianie powstałi we Włoszech z kilku rozmaitych zgromadzeń, tak zwanych eremickich tj. pustelniczych. Historia ich zaczyna się od roku 1168, a w r. 1256 Stolica Apostolska kazała im się złączyć i nadała wspólną regułę. Na prawdziwe pustelniczość nie było już miejsca, toteż Augustianie zmienili się w najstarszy zakon nauczający, utrzymujący szkoły i dostarczający nauczycieli o wyższym poziomie. Do Polski wprowadził ich Świętopełk, ten sam, który Pomorze zapisał Przemysławowi. Najstarszy klasztor augustiański powstał w r. 1265 na Pomorzu w Chojnicach, Po Świętopełku odziedziczył sympatie do Augustianów król Przemysław i w ostatnim roku swego życia fundował im dwa klasztory, w Starogardzie i Bydgoszczy. Potem Kazimierz Wielki stawiał im klasztory i kościoły w Wieluniu, Olkuszu i Kazimierzu, mieście nowym. Założone było przez tego króla tuż obok Krakowa (dwa te miasta oddzielone były korytem Wisły, tamtędy wówczas płynącej). Później stało się częścią Krakowa, jako jego przedmieście. Kościół augustiański na Kazimierzu, fundacji Kazimierza Wielkiego, należy do najwspanialszych świątyń całej Polski. Nie było miasto Kazimierz wcale siedzibą Żydów, nie dla Żydów przecież zakładał wielki król polski miasto! Miasto żydowskie powstało poza murami miasta Kazimierza, dalej ku wschodowi nad rzeką Wilgą, wpadającą do Wisły. Na Kazimierz wtargnęli Żydzi dopiero pod sam koniec wieku XVIII.

Do Augustianów na Kazimierzu wpisał się Ambroży Boner w r. 1408 i wtedy obrał sobie zakonne imię - Izajasz. Poświęcał się gorliwie studiom Pisma Świętego a szczególnie upodobał sobie księgę Izajasza proroka, pierwszego z tak zwanych wielkich proroków i tym tłumaczy się wybór imienia. Nabożeństwo miał największe do Najświętszej Marii Panny; wzywał też chętnie pośrednictwa św. Stanisława. Jako doktor teologii, stanowił bardzo cenny nabytek dla klasztoru, nie mówiąc już o tym, że zakonnik z takiego rodu, jak dom Bonerów, był dla krakowskiego klasztoru tym bardziej pożądanym.

Jako wybitny w mieście kapłan, znał osobiście kanoników katedry krakowskiej, a zwłaszcza pierwszego między nimi, dziekana kapitulnego. Był nim Paweł z Brudzewa, syn Włodzimierza, czyli Włodka i stąd Włodkowiczem zwany, od miejsca zaś urodzenia Brudzewskim. Był on zarazem profesorem prawa kościelnego w uniwersytecie i stąd jeszcze bliższa znajomość z bł. Izajaszem Bonerem, który był tego samego uniwersytetu doktorem.

Zbliżała się tymczasem wielka chwila dziejowa porachunku z Zakonem. Gdy nie skutkowały żadne napomnienia, wkroczyły zjednoczone wojska polskie i litewskie dnia 9 lipca 1410 r. w granice państwa krzyżackiego. Wystarczył tydzień, żeby wojna się rozstrzygnęła! Wielkiej sławy godzien jest Zyndram z Maszkowic, miecznik krakowski, a wódz w sławnej bitwie pod Grunwaldem dnia 15 lipca 1410 r., która zakończyła się całkowitą klęską Krzyżaków. Poległ tam sam ich wielki mistrz, a w ręce polskie dostały się 52 chorągwie krzyżackie. Zawieszono je następnie w katedrze na Wawelu koło grobu św. Stanisława. I król polski również znalazł się w pewnym momencie bitwy w niebezpieczeństwie. Zawdzięczał ocalenie rycerzowi Zbigniewowi z Oleśnicy, a był to syn owego posła, którego królowa Jadwiga wysyłała przed 25 laty, żeby powitał w jej imieniu Jagiełłę, gdy wjeżdżał na ziemię polską (a który potem został Kardynałem).

Wojna ta, nazwana przez współczesnych "wielką", była wojną nie tylko Polski i Litwy z Zakonem, lecz wojną Słowiańszczyzny "z całą nacją niemiecką", jak się wyrażali współcześni. Z całych Niemiec przybywały posiłki Zakonowi, a po naszej stronie walczyły też posiłki czeskie pod sławnym wodzem Janem Žišką.

A miało zwycięstwo grunwaldzkie ogromne znaczenie moralne przez to, iż pokazało, że można zwyciężyć Krzyżaków, którzy dotychczas uchodzili za niezwyciężonych. Bitwa ta stanowiła przesilenie. Od tego czasu Zakon słabł coraz bardziej, wpływy niemieckie cofały się, a przewodnim państwem Europy wschodniej stawała się Polska połączona z Litwą.

Nie dało się wszakże wyzyskać należycie zwycięstw (pod Grunwaldem i drugiego pod Koronowem), bo tymczasem ruszył od południa na samą stolicę państwa, na Kraków, ów Zygmunt Luksemburczyk. Miał on dziwne szczęście do koron i został już nawet cesarzem niemieckim, ale nie zaprzestał myśli o polskiej koronie. Ciągłe mu się marzyło, że musi Jagiełłę pozbawić tronu i dlatego sprzymierzył się z Krzyżakami przeciw Polsce. Kiedy z Zakonem było krucho, Luksemburczyk urządził od Węgier wyprawę na Kraków i tym sposobem zmusił króla Władysława Jagiełłę, który oblegał już stolicę Krzyżaków, Malbork, żeby wycofał wojsko polskie z Prus, bo trzeba było spieszyć na obronę własnej stolicy.

Bądź co bądź uszczuplało się państwo Krzyżaków, bo musieli zwrócić Polsce ziemię dobrzyńską, a Litwie Żmudź, którą im przedtem odstąpił Witold. Jest to najbardziej północna część Litwy z miastem Kownem.

Triumfalną wieścią spod Grunwaldu uradował się jeszcze bł. arcybiskup Jakub Strepa, lecz był to już schyłek jego dni. Zgaśł roku następnego, przebywszy na tej ziemi 71 lat. Pogrzebano go w lwowskim kościele franciszkańskim św. Krzyża, a gdy w r. 1788 przeniesiono ten klasztor franciszkanów, przeniesiono szczątki ciała do lwowskiej katedry łacińskiej, do kaplicy Pana Jezusa. Podniesienie zwłok odbyło się w r. 1626, a beatyfikacja w r. 1760 za papieża Piusa VI. Działalność "miłośnika dziatwy" stanowi epokę w obronie obrządku łacińskiego, a zatem również w obronie polskości tej ziemi. A prace misyjne pośród prawosławia zorganizował tak mądrze i skutecznie, iż wkrótce zaszła potrzeba założenia na południowej Rusi drugiego biskupstwa łacińskiego, mianowicie w Kamieńcu Podolskim.

W dwa lata po zgonie bł. Izajasza Bonera nastąpił chrzest Żmudzi, która przyjęła chrześcijaństwo dopiero wtedy, gdy pozbyła się Krzyżaków.

Tegoż samego 1413 r. odbył się w Horodle zjazd polsko-litewski, na którym w sławnej unii horodelskiej przodkowie nasi pokazali, jak rozumieli związek z Litwą. Był to związek wolnych z wolnymi. W Horodle polskie szlacheckie rody przyjmowały do swych herbów wybitniejsze rody litewskie. W dokumencie wystawionym na to przez Polaków jest mowa o braterstwie i miłości (caritas). Po raz pierwszy ozwały się takie słowa w polityce! Bo nasz związek z Litwą był od początku nie tylko dziełem politycznym, lecz zarazem religijnym. My wprowadziliśmy moralność do polityki. W Polsce stosunek obywatela do państwa polegał na wzajemności praw i obowiązków, państwo nie przeciwstawiało się społeczeństwu, lecz owszem, opierało się na nim. To polskie prawo publiczne przenosiliśmy na Litwinów, traktując ich zupełnie na równi. Pomocy zaś przeciw Krzyżakom udzielaliśmy sobie też wzajemnie, bo oba państwa były zagrożone przez niemiecką zachłanność.

Krzyżacy radzi byli odrobić Grunwald, ale w r. 1414 nawet nie chcieli przyjąć bitwy. Legat papieski uprosił dla nich rozejm i namówił, żeby spór polsko-krzyżacki oddać pod rozsądzenie soborowi. A właśnie zwołany był sobór powszechny do szwajcarskiego miasta Konstancji.

Sobór jest to zgromadzenie biskupów całego Kościoła katolickiego pod przewodnictwem papieża. Jeżeli papież uzna za stosowne, może wezwać do uczestnictwa w soborze także opatów, delegacje zakonów, przedstawicielstwa uniwersytetów (wydziałów teologicznych), przedstawicielstwa rządów państw katolickich, tudzież imiennie wybitnych katolickich teologów. Nie wszyscy głosują, ale wszyscy radzą. Każdy z uczestników ma głos doradczy (bo inaczej po cóż by go zapraszano?), ale głos stanowczy tj. udział w głosowaniu mają zawsze biskupi, z innych zaś osób duchownych te tylko, którym Stolica Apostolska przyzna to prawo przy zwoływaniu soboru. Sobór rozstrzyga w najwyższej instancji wątpliwości w sprawach wiary i obyczajów, o ile Ojciec św. uchwały jego zatwierdzi. Zwołuje się wówczas, gdy Kościołowi grozi wielkie niebezpieczeństwo, gdy urzędnicy kościelne wymagają odmian ze względu na odmienne stosunki życia, odmian stosownych do nowych czasów (np. w administracji kościelnej) lub gdy czystości wiary zagraża szerząca się herezja.

A właśnie powstała w Czechach herezja husycka. Tam również rozbudzał się ruch narodowy przeciw Niemcom, a na czele tego prądu stanął profesor uniwersytetu praskiego, Jan Hus. Niestety, począł głosić błędne mniemanie. Nauczał, że kapłan pozostający w grzechu śmiertelnym, traci moc swego kapłańskiego urzędu, dopóki się z grzechu nie oczyści. W takim razie nigdy nie można by wiedzieć, czy

udzielenie jakiegoś sakramentu było ważne, czy która msza święta była prawdziwa, a nawet czy na kapłana został ktokolwiek prawdziwie wyświęcony, bo a nuż biskup był w grzechu? Występował też przeciw dobrom kościelnym. Przypomnijmy sobie historię św. Stanisława. Kościół nie posiadający własności majątkowej, byłby po bizantyńsku sługą każdego rządu. Twierdził dalej, że Komunia św., ażeby była ważna, musi być podawana pod obiema postaciami. W końcu zaczął jeszcze nauczać mylnie o spowiedzi i odpustach.

Wezwany przed sobór, żeby albo się wytłumaczył lub odwołał swe błędy zażądał, żeby mu cesarz Zygmunt Luksemburczyk poręczył bezpieczeństwo osoby; pod cesarskim bowiem panowaniem znajdowała się Konstancja. Cesarz poręczenie dał i Hus przyjechał.

Sobór ten był świetny. Zjechało 33 kardynałów, 5 patriarchów, 47 arcybiskupów, 228 biskupów, około 500 prałatów i przeszło 5000 uczonych kapłanów, nadto mnóstwo świeckich. Pozjeżdżali monarchowie i książęta, poselstwa wszystkich państw katolickich i poselstwa nawet z Azji i Afryki; 37 uniwersytetów przysłało swoich delegatów. Zebrały się w jednym miejscu najtęższe głowy z całego katolickiego świata. Toteż sobór w Konstancji był zarazem i wielkim kongresem politycznym i największym zjazdem naukowym, jaki kiedykolwiek oglądano. Dodajmy, że wówczas nie można było podróżować bez odpowiedniego orszaku zbrojnego; że trzeba było wozić z sobą dużo tobołów, bo wybierano się na długo, że do utrzymania i zaspokojenia potrzeb życiowych tysięcy przybyszów nie mogli nastarczyć miejscowi rzemieślnicy i kupcy z czeladzią, a cóż dopiero handlarze pergaminu, piapiernicy, introligatorzy, przepisywacze i księgarze! Nie dziwmy się więc, że ilość przyjezdnych podczas soboru obliczano w Konstancji na 60 000 osób.

Delegacje polskie wjechały do Konstancji uroczycie dnia 29 stycznia 1415 r. w 800 koni. Spotkali się starzy znajomi z młodych lat, z uniwersytetu w Padwie, biskup poznański Laskarz i Paweł Brudzewski, tymczasem już rektor uniwersytetu krakowskiego, a w Konstancji spotkali dawnego swego profesora padeńskiego. Był nim Zarabelli, słynny znawca prawa kościelnego, już kardynał, a na soborze przewodniczący komisji do stosunków polsko-krzyżackich. Przyjechał też bł. Izajasz, jako przedstawiciel polskiej prowincji w delegacji od Augustianów.

Nasz rektor ułożył na sobór umyślnie dwie książki (po łacinie); jedną o "granicach władzy papieskiej i cesarskiej względem niewiernych" i drugą specjalną o "wojnach Polaków z Krzyżakami". Treść tych dzieł miała wywołać niebawem zdumienie całej Europy. Dla bł. Izajasza Bonera niespodzianką nie była, bo w Krakowie latami całymi omawiano to zagadnienie między uczonymi, jakby wprowadzić moralność do polityki europejskiej, czego Krzyżacy byli główną przeszkodą.

Przeciw powszechnemu mniemaniu jakoby ziemia pogańska była "niczyja"; a zatem może ją sobie zagarnąć kto chce - wystąpił nasz rektor bardzo ostro. Również odrzucał rozpowszechnione mniemanie, jakoby godziło się przymuszać pogan do chrztu prześladowaniem i wojną. Doprawdy, dziś trudno nam uwierzyć, że przez całe pokolenia nie widziano nic niewłaściwego w nawracaniu mieczem! Ależ to islam zaleca takie nawracanie i twierdzi, że "giaur" (znaczy: pies niewierny) jest od tego, żeby był podnóżkiem wyznawców Mahometa; Żydzi też uważają za bliźnich tylko swych współwyznawców!

Paweł z Brudzewa wystąpił z twierdzeniem, że wobec pogan obowiązują takie same prawa uczciwości, jak wobec chrześcijan. Ziemia pogańska jest ich własnością, nie wolno jej rabować, pogan nie wolno tępić, do chrztu nie wolna zmuszać; od nawracania są misje, ale nie wojsko; ani cesarz, ani papież nie mają prawa szafować ziemią pogańską; a więc nieważne są wszystkie nadania, udzielane Krzyżakom. Główna zaś "teza" (tj. twierdzenie) Brudzewskiego brzmiała: "wiara nie ma być z przymusu". Wyrazy te miały stać się hasłem dalszych dziejów Polski. A co do stosunków z Krzyżakami, zaczynał rektor swoje wywody od razu od słów: "Przyjęli Polacy do siebie Krzyżaków, żeby im tarczą byli, a oni zamienili się w drapiezców".

Przykro było, że Brudzewskiemu wypadło wygłaszać swe twierdzenia wobec soboru, kiedy równocześnie sprawa Husa wzięła obrót jak najgorszy. Pozostawiono mu zrazu w Konstancji zupełną wolność; mógł nawet w publicznych przemówieniach, w formie kazań, bronić swych poglądów. Zwalczał je głównie bł. Izajasz Boner, również publicznie. Tak się zaś zdarzyło, że przejął się husytyzmem tamtejszy radca miejski, u którego właśnie Izajasz kwaterował, ale dał się przekonać

wiedzy i wymowie swego lokatora. Po dłuższych dochodzeniach i naradach sobór potępił nauki Husa, a gdy ten nie chciał ich odwołać, uwięziono go. Bolała nad tym wielce delegacja polska. Biskup poznański Laskarz odwiedzał go do ostatniej chwili, lecz niczego u niego nie uprosił. Wydał więc sobór Husa do ukarania władzy świeckiej, tj. cesarzowi Zygmuntovi Luksemburczykowi. Cesarz zaś złamał słowo i nie odsyłając Husa do Pragi, kazał go w Konstancji spalić na stosie.

Stało się to w sam raz nazajutrz po mowach Pawła Włodkowica Brudzewskiego (dnia 5 i 6 lipca 1415 r.).

Krzyżacy poczęli walczyć oszczerstwami i ułożyli obelżywe pismo przeciw Jagielle, ale sami pod sobą dołki kopali, bo Kościół uznał to pismo za "fałszywe i błędne, tudzież jawnie do herezji się skłaniające".

Argument mieli jeszcze jeden. Liczyli na to, że w zachodniej Europie nie wiedzą jeszcze o chrzcie Żmudzi, dokonany przed dwoma dopiero laty i wystąpili z twierdzeniem, że tam jeszcze pleni się pogaństwo. A gdy w lutym 1416 r. przyjechało do Konstancji sześćdziesięciu rodowitych Żmudzinów przedstawić się soborowi, Krzyżacy wyrażali powątpiewanie, że kto wie co to za jedni, itp. Uprosilili Polacy, żeby sobór wyprawił na Żmudź komisję od siebie. Tak się też stało, a komisja wróciwszy podała soborowi wniosek, żeby Zakonowi udzielić publicznie urzędowej nagany.

I tak pozyskała sobie Polska sympatie soboru i uznanie dla swego stanowiska, że polityka ma podlegać moralności tak samo, jak życie prywatne (a czego nie uznawała nigdy cywilizacja bizantyńska, także szerząca się w Niemczech).

Z tryumfem wracali do Krakowa Paweł Brudzewski i bł. Izajasz Boner. Uniwersytet rozwijał się świetnie, a wśród nowych studentów spotykamy św. Jana Kantego. Pochodził z niebogatej rodziny półmieszczańskiej z Malca pod Kętami. O głodzie i chłodzie odbywał nauki i miał już 27 lat, kiedy w r. 1417 zdał na "bakałarstwo". Zastawszy kierownikiem szkoły w Miechowie, studiował dalej, zdawał egzamin po egzaminie i doprowadził do tego, że został nawet profesorem teologii.

Skoro mowa o profesorze, poznajmy warunki bytu ówczesnych profesorów uniwersytetu w Krakowie. Było ich życie nadzwyczaj skromne. Pamiętajmy, że wciąż jeszcze nie było uczonych świeckich; wszyscy profesorowie byli księżmi, nie mając tedy rodzin, nie byli zmuszeni ubiegać się o znaczniejsze dochody. Regułą było, że uniwersytet dostarczał swemu profesorowi całego utrzymania w gmachu uniwersyteckim. Dostawali mieszkanie (niewielkie pokoiki) i strawę przy wspólnym stole. Było to w gmachu stanowiącym narożnik ulic św. Anny i Jagiellońskiej, przerobionym potem na bibliotekę uniwersytecką. Tam pokazują dotychczas, gdzie była tak zwana izba wspólna, tj. jadalnia i (jak dziś powiedziano by) bawialnia zarazem, gdzie i sami się schodzili na rozmowy, i odwiedziny przyjmowali. Inne obszerniejsze sale przeznaczone były na wykłady, a małe pokoiki na mieszkania. Profesor z Kęt miał jednak dwie izdebki na dole od bramy, które zachowane dotychczas można oglądać przez kratę. Miał bowiem przy sobie po kilku studentów, których utrzymywał swoim kosztem, jak mógł ubożuchno, dzieląc się swymi dochodami.

Przez osiem lat był "bogaty". Ponieważ profesor nie miał nic poza ciasnym mieszkankiem i skromnym wspólnym stołem, a potrzebował przecież pieniędzy chociaż na ubranie, ponieważ zresztą zbytnia skromność ich życia raziła coraz bardziej, bo była po prostu ubóstwem, (które dobre jest gdy dobrowolne, lecz nie przymusowe), więc biskupi krakowscy, będący z urzędu kanclerzami uniwersytetu, nadawali profesorom dochody z rozmaitych stanowisk kościelnych w swej diecezji. Św. Jan Kanta został mianowany kantorem (jakby dyrektorem chóru) przy kościele św. Floriana na Kleparzu w Krakowie, a do godności tej przywiązane były dochody z probostwa w Olkuszu, mieścinie górniczej o pięć mil na północ od Krakowa. Wtedy powiększyły się dochody i polepszyły warunki bytu tych wszystkich, których on wspierał. Coś oszczędzał też dla siebie, żeby zbierać sobie sumkę, niezbędną do wykonania dawnego marzenia: na pielgrzymkę do Ziemi św. i do Rzymu. Nie trzeba sądzić, jakoby był naprawdę proboszczem w Olkuszu, jakoby tam mieszkał i porzucił na ten czas profesurę; dopiero sobór trydencki w XVI wieku nakazał tak zwaną rezydencję, tj. zamieszkanie kapłana przy kościele, z którego dochody pobiera. Po ośmiu latach zrzekł się dochodów tego probostwa, które nadano innemu profesorowi z kolei, a sam ruszył w świat z zasobami tak drobnymi,

że ledwie miał z czego się utrzymać przy życiu. Mówi tradycja, że po większej części szedł pieszo. Odwaga nie lada! W owych czasach rzadko kto zdecydował się na taką pielgrzymkę. Ze wszystkich świętych, o których dotychczas była mowa w tej książce, w Ziemi św. nie był jeszcze żaden.

Tymczasem Czesi zbuntowali się przeciw Luksemburczykowi i pragnęli połączyć się z Polską. Dwa razy wyprawiali poselstwa do Władysława Jagiełły, lecz król polski nie mógł przyjąć czeskiej korony, póki by Czesi nie pogodzili się z Kościołem. Zaślepiło jednak Czechów sekciarstwo, a husyci rzucili się raz nawet na Śląsk, skąd zapędzili się do Częstochowy; cudowny obraz nosi niezatarte ślady od szabli husyckich.

Spadły na Polskę i Litwę ciężkie kłopoty po zgonie Witolda w r. 1430. Przywłaszczył sobie władzę książę Świdrygiełło, który zbuntował całą ludność schizmatyczną, całą Ruś Litewską i do tego sprzymierzył się z Krzyżakami i z cesarzem Luksemburczykiem przeciw Jagielle. Zebrało się w Niemczech 30 tysięcy jazdy przeciw Polsce i Litwie. Ale sama ludność państwa krzyżackiego oświadczyła się za Polską, a to samo stało się w państwie węgierskim, nie mówiąc już o Czechach, gdzie Luksemburczykowi życiono wszystkiego najgorszego. Tymczasem bowiem spopularyzowała się wśród ościennych ludów polska państwowość. Za granicą rządy prowadziły politykę wbrew woli obywateli, odsuwając społeczeństwa od wpływu na politykę, więc ludność tych krajów zaczęła się teraz dopominać o swoje prawa obywatelskie, a z Polską walczyć nie chciano. Bunt zaś prawosławnych (schizmatyków) pokonano w r. 1432 w taki sposób, iż nadano im równouprawnienie z katolikami wielkiego księstwa litewskiego. Na czele komisji, przysłanej do tych spraw z Polski, stał ów rycerz, który pod Grunwaldem ocalił królowi życie, Zbigniew Oleśnicki. Ale od dawna już obrał stan duchowny; na Litwę przybywał, będąc biskupem krakowskim. Lecz Świdrygiełło sprowadził sobie na pomoc Tatarów, a Krzyżacy ruszyli na nowo. Czesi przysłali nam wówczas posiłki. Pogodzili się oni z nowym soborem, nie żądając już więcej, jak tylko to, żeby i świeccy, którzy tego żądają, mogli przyjmować komunię św. pod obiema postaciami. Odbывał się ten sobór w innym szwajcarskim mieście, w Bazylei. Tam słynny z nauki proboszcz krakowski, Mikołaj Lasocki, wołał, że "Zakon nie tylko jest niepotrzebny, lecz jako skandal Kościoła i prześladowca" powinien być zniesiony, a przynajmniej niechby się przeniósł na wyspę Cypr, działając przeciwko Turkom, którzy zdobywali już Półwysep Bałkański.

Kiedy zaś Zakon zaczął czynić starania o pokój, ze strony polskiej podano między innymi dwa warunki, ani cesarz, ani papież nie mają odtąd mieć wpływu na sprawy pomiędzy Zakonem a Polską, żeby się już skończyło wieczne odwoływanie się od jednego do drugiego; a pokój mają poręczyć stany obydwóch państw, tj. obywatele mają poręczyć za rząd i wziąć na siebie odpowiedzialność za dotrzymanie pokoju. Żądali więc Polacy, żeby Krzyżacy przyznali obywatelom swego państwa wpływ na sprawy wojny i pokoju, żeby bez ich przyzwolenia nie mogli już wojny wypowiadać. Rzecz taka prosta i naturalna. Obywatele ponoszą ciężary wojenne, oni tracą mienie i życie, jakżeż więc narzucać im wojnę, której nie chcą? A jednak ta prosta rzecz była wtedy w Europie czymś nowym.

Warunki pałskie wywołały w Europie niezmiernie zdziwienie i rozprawiano o nich nawet na soborze bazylejskim. Cesarz, Zakon i Świdrygiełło domagali się od soboru, żeby Jagielle wytoczyć proces o podburzanie poddanych przeciw manarchom. Ale sobór pozostał w dawnych stosunkach z królem polskim. Zakon odrzucił warunki o gwarancji stanów i chciał się na nowo zabrać do wojny, ale wówczas stany oświadczyły, że pragną pokoju z Polską, a gdy Krzyżacy nań nie przystaną, poszukają sobie innego pana, który pokój zabezpieczy. I zmuszony przez własnych poddanych musiał Zakon przystać na dwunastoletni rozejm w Łęczycy zawarty na Boże Narodzenie r. 1433. Zastrzeżono, że Zakon nie będzie już popierał Świdrygiełły, a gdyby rozejmu nie dotrzymał, poddani mają prawo wypowiedzieć mu posłuszeństwo. Rozejm obejmował jednak tylko Krzyżaków w Prusach i nie tyczył się inflanckiego oddziału Zakonu.

Od inflanckiej strony wrzała wojna z Zakonem. Król Władysław Jagiełło nie doczekał się jej końca. Zmarł dnia 1 czerwca 1434 r. dożywszy 82 lat. Wojna trwała dalej, zakończona zwycięstwem wojsk polsko-litewskich, odniesionym 1 września 1435 r. pod Wilkomierzem na Żmudzi, tak świetnym, iż współcześni nazywali tę bitwę drugim Grunwaldem.

Zwyciężyli nareszcie ci, którzy głosili moralność w polityce, samorząd stanów i prawo narodu do stanowienia o własnym państwie.

Idea narodowa powstała najwcześniej z całej Europy w Polsce. Zakończmy ten rozdział ciekawym przykładem z dziejów Francji i Anglii, jak brak zrozumienia dla idei narodowej stał się przyczyną śmierci męczeńskiej wielkiej świętej.

Przez sto i czternaście lat trwała tam wojna, dlatego że niegdyś w r. 1328 król angielski wymyślił sobie roszczenia do korony francuskiej. Duchowieństwo uczone obu krajów badało genealogie, dokumenty, układy, kroniki, prawa francuskie i angielskie, lecz nikomu się nie przyśniło osądzać sprawy według zasady narodowej, że dla Anglików jest Anglia, a Francja dla Francuzów. Zasada narodowa została tam jakby objawiona w r. 1429, istnym cudem Bożym.

W roku tym zgłosiła się do służby wojennej na rzecz Francji osiemnastoletnia dziewczyna wiejska, Joanna d'Arc, córka drobnego szlachetki z małego folwarczku we wsi Domremy (na granicy prowincji Szampanii i Lotaryngii). Wzywały ją do tego kroku cudowne głosy "z góry" (jak mawiała), więc po długim namyśle i po licznych przykrościach dotarła w lutym 1429 r. na dwór króla francuskiego, Karola VII, jeszcze nie koronowanego, a stawiała się w męskiej zbroi żołnierskiej. Z wielkim trudem wykołatała nieduży oddział wojska i przedarła się zwycięsko do obleganego miasta Orleanu (od czego ma przydomek "Dziewicy Orleańskiej"). Okazała zdumiewające talenty wodza. Wygrywała bitwy w polu, a wreszcie w lipcu 1429 wprowadziła Karola do miasta koronacyjnego królów francuskich, do Reims, i zaraz nazajutrz odbyła się koronacja w jej obecności.

Nie spoczywała, zapowiadając, że Anglików całkiem z Francji wypędzi. Powodziło się jej orężowi, ale zaczęło to budzić zazdrość w wodzach królewskich i w samym królu. Nie dopomagano jej należycie, a nawet robiono na złość. W maju 1430 znalazłszy się (pod Compiègne) z nieznacznym hufcem wobec dużej armii angielskiej dostała się do niewoli. Król, który jej zawdzięczał koronę, nie ruszył palcem, żeby ją wykupić z niewoli lub odbić.

Długo trzeba by spisywać przykrości, upokorzenia i męczarnie, jakich zaznała w niewoli angielskiej. Chodziło o to, żeby przed wojskiem angielskim stłumić domysły, że Dziewica Orleańska działała z woli Bożej i z Bożą pomocą. Dostojnicy angielscy oskarżyli ją więc o czary. Wierzono wtenczas powszechnie w czary! Znalaziono powolnych sędziów i znawców i po farsie procesowej spalano ją na stosie w mieście francuskim Rouen dnia 30 maja 1431 r. Dopiero w r. 1450 zarządził Karol VII rewizję procesu, a na miejscu, gdzie Anglicy ułożyli stos, wystawił jej pomnik. Około roku 1860 wszczęto starania o kanonizację. Proces kanonizacyjny trwał długo, przerywał się kilkakrotnie, ba "adwokat szatana" znajdował coraz nowe argumenty. Aż dopiero za naszych czasów nastąpiła kanonizacja i odtąd rocznica Dziewicy Orleańskiej stanowi święto religijne i narodowe katolików francuskich.

Kościół ogłosiwszy Joannę d'Arc świętą, uświęcił zarazem hasło patriotyzmu narodowego, zgodnego z religią.

Od morza do morza

Opowiadanie nasze wkracza teraz w czasy, które dawni pisarze nazywali "złotym okresem świętości w Krakowie". Istotnie tak się zeszły okoliczności, iż dziesięciu świętych patronów polskich przebywało w stolicy królów polskich. Z tej liczby pięciu mieszkało w niej stale, dwóch większą część życia tam spędziło, a dwóch niektóre lata. Byli bardzo nierówni wiekiem. Gdyby liczyć od urodzenia najstarszego z nich, znanego nam już bł. Izajasza Bonera aż do zgonu najmłodszego z tego świętego grona, bł. Ładysława z Gielniowa, wypadnie 125 lat (1380-1505). Taka długotrwała łuna świętości rozświetliła się nad Krakowem, iż przez 125 lat zawsze królewskie to miasto miało u siebie jakiegoś świętego, a z reguły po kilku na raz.

W roku śmierci Władysława Jagiełły bł. Izajasz Boner liczył lat 54, a św. Jan Kanty 37. W roku następnym 1435 zaczął zdobywać stopnie naukowe w uniwersytecie Jagiellońskim dwudziestojednoletni Jan z Dukli, drobnomieszczanin z radu Pitułków, urodzony w miasteczku na

pograniczu Węgier i Polski. Dukla choć mała, była ważna, bo tamtędy prowadziła od wieków droga na Węgry przez wąwóz dukielski w Karpatach. Ubogiemu chłopcu zabrakło widocznie środków na dalsze studia i nie dotrwał do święceń kapłańskich; napływ zaś młodzieży do wszelkich burs i seminariów był tak wielki, iż żadną miarą nie mogło starczyć miejsc dla wszystkich niezamożnych i Jan z Dukli należał niefortunnie do tych, dla których miejsca zabrakło. Nie miał nawet sposobności dać się poznać największemu rzecznikowi ubogich studentów, św. Janowi Kantemu. Wraca przeto do Dukli, lecz nie zabiera się do żadnej pracy mieszczańskiej. Przejęty żarem powołania duchownego, a pełen żalu z powodu doznanych zawodów, usuwa się od ludzi. Wycofawszy się od wszelkich związków ze współmieszczanami, osiadł w puszczy leśnej pod wsią Cergową opodal Dukli. Znalazł tam pieczarę sposobną na pobyt dla takiego, który nie chce nic potrzebować. Pokazują ją dotychczas i zwą Zaśpít.

Czwarty z tego szeregu, młodszy o sześć lat, Szymon z Lipnicy, pochodził również z drobnego mieszczaństwa z mieściny Lipnica Murowana. W roku zgonu Władysława Jagiełły nie liczył się jeszcze. Był pacholciem zaledwie czternastoletnim i wyzyskiwał wszystkie sposobności, jakie mógł znaleźć w Lipnicy w szkole parafialnej i u świątłych księży na miejscu. O wyższych studiach jeszcze nie myślał.

Niebawem doprowadził św. Jan Kanty do skutku swój zamiar pielgrzymki do Rzymu i Palestyny. Obrął wędrówkę przez Węgry, a do tego kraju droga najmniej uciążliwa, dająca najdogodniejsze przejście przez góry Karpaty, wiodła przez Wąwóz Dukielski. W Dukli dowiaduje się o szczególnym pustelniku pod Cergową, tym szczególniejszym, że tak młodym; postanawia go więc odwiedzić. Święty profesor nie był wcale zachwycony tym pustelnictwem. Czasy św. Jędrzeja Żórawka już minęły! Zdołał przekonać Jana, wówczas już dwudziestoczteroletniego, i skierował go do zakonu franciszkańskiego w niedalekim Krośnie. Posłuchał młodzieniec i nigdy tego nie żałował. U Franciszkanów miał dosyć sposobności, żeby dokończyć nauki potrzebnej do kapłańskiego wyświęcenia.

Tymczasem na wielkim świecie ruch był ogromny. Tężała Polska. Rządy spoczywały w ręku biskupa krakowskiego, znanego nam już Zbigniewa Oleśnickiego. Obaj synowie Jagiełły byli jeszcze dziećmi. Starszy także Władysław, liczył przy śmierci ojca dopiero 10 lat, a młodszy Kazimierz zaledwie 7. Rządy objęła przeto regencja, a na czele jej stał Oleśnicki. Za jego czasów rozbrzmiewało w Polsce nowe hasło, wyrażone słowami: od morza do morza.

Rozpoczął się okres wielkiej polityki zagranicznej, której celem jest dotrzeć do wybrzeży dwóch mórz: Bałtyckiego i Czarnego. Co do Bałtyku, rzecz była prosta: tam były kraje własne, ziemie polskie, przez Zakon zagarnięte. Tamtejsza ludność polska sama pragnęła gorąco połączyć się z polskim królestwem; niemiecką zaś pociągały urządzenia polskiego państwa, które stawały się magnesem dla postronnych. Lecz jakim prawem chcieliśmy sięgać do wybrzeży czarnomorskich? Tam wiodła droga przez bezładne stepy Ukrainy, przez krainy pustynne, naprawdę niczyje, lub przez Wołoszę. Z Wołoszą, z Multanami i z Mołdawią chciano ścisłego przymierza, a nawet, jak zobaczymy, przodkowie nasi zamierzali powiększyć obszar i rozszerzyć granice Wołoszczyzny na ziemiach, które należało odebrać Turkowi. W dążeniu do wybrzeży czarnomorskich chodziło bowiem o sprawę ogólną całego chrześcijaństwa; obowiązkiem tedy tamtejszych chrześcijańskich "hospodarów" było przyłączyć się do polityki polskiej, skoro sojusz ten miał być zwrócony przeciw Turkowi muzułmańskiemu najeźdźcy z Azji.

Zagrożone przez Turków cesarstwo bizantyńskie było rozbite; cesarz tamtejszy posiadał już samo tylko miasto Konstantynopol z okolicą. Zgłosił się tedy do papieża, żeby wykołatać pomoc u państw katolickich, obiecując porzucić schizmę a wrócić do jedności kościelnej. Jak się potem okazało, unia nie miała żadnych zwolenników poza politykami cesarskiego dworu. Ogłoszono ją jeszcze na soborze florenckim w r. 1439, a nagrodą była wielka wyprawa na Turka.

Chodziło o to, pod czym przewodem miałyby się odbyć ta wyprawa. Biskup Oleśnicki powziął myśl prawdziwie wielką, żeby Polska objęła przewodnictwo i żeby się w tym celu połączyła z Węgrami, jako państwem katolickim, odgrodzonym od Turcji już tylko prawosławną Wołoszczyzną. Stolica apostolska poparła króla polskiego i rzeczywiście Węgrzy obrali w r. 1440 swym królem szesnastoletniego Władysława.

Rozpoczęto tę pierwszą turecką wojnę w r. 1443. W Serbii i w Bułgarii z zapałem przyjęto wojska króla polskiego; w pobratymczych językach południowosłowiańskich układano pieśni na cześć

młodocianego, bo za ledwie dwudziestoletniego króla. W pierwszej wyprawie wyparto Turków z Serbii i Bułgarii; zajęli nawet nasi stolicę Bułgarii Średec (Sofia); w roku następnym miano wziąć Turków w dwa ognie, od lądu i morza, z pomocą flot włoskich. Sułtan obiecał zrzec się Serbii, byle tylko otrzymać pokój, i począł się w r. 1444 układać poza plecami króla z węgierskim możnowładcą Janem Hunyadym, pierwszym panem węgierskim. Bez wiedzy królewskiej ułożono w Szegedynie warunki rozejmu, ale król przybywszy do tego miasta nie tylko rozejm odrzucił, ale oznaczył termin następnej wyprawy tureckiej. Tymczasem rozeszła się jednak po Europie wieść o rozejmie i nie znający sprawy bliżej sądzili, że król rozejm złamał. Gdy zaś w wyprawie postradał król życie, powstały rozmaite fałszywe zupełnie wieści i upatrywano w tym karę Bożą za niedotrzymanie przysięgi na rozejm.

Rozstrzygającą bitwę stoczono pod miastem Warną nad Morzem Czarnym i odniesiono zwycięstwo nad wojskiem tureckim; skoro jednak sam król poległ zabrakło głowy całemu przedsięwzięciu i wszystko się rozwiało. Od pola bitwy ma ten król przydomek Warneńczyka. Długo nie wierzono, że poległ; pojawili się nawet samozwańcy, którzy pod jego osobę się podszywali.

Tron polski obejmował młodszy brat Warneńczyka, Kazimierz Jagiellończyk. Minęły jednak trzy lata, nim przybył z Wilna, spod opieki panów litewskich, którzy zaraz po śmierci Jagiełły obwołali Kazimierza swym wielkim księciem. Stanąwszy w Krakowie w r. 1447, zaczynał dopiero dwudziesty rok życia.

Przyjeżdżał oczywiście z całym dworem. Pośród młodszych dworzan znajdował się książę Michał Gedroyć, tam na ubogiej Litwie bogaty pan, ale i w zamożnym Krakowie dostatni, mający żyć z czego. Nikt wówczas na Litwie nie posiadał wykształcenia książkowego; trudno przypuścić, żeby Gedroyć umiał czytać i pisać. Nie stanowiłoby to przeszkody do kariery wojskowej, którą wówczas uważało się za jedynie właściwą dla szlachty; ale tę akurat miał młody Michał zamkniętą przed sobą, gdyż był kaleką (był kulawy). O Krakowie dużo słyszał, że tam i kulawy może coś znaczyć, jeżeli się zabierze do nauki. Był zaś wielce pobożny, więc pociągały go zapewne sławne świątynie, nagromadzone w jednym miejscu, a w każdej tyle relikwii i przy każdej niemal ulicy tego miasta wspomnienia świętych. Ani mu przez myśl nie przeszło, że łaska Pańska powołuje go, żeby on sam jeszcze własną osobą powiększył poczet krakowskich świętych! Przyjechawszy, oddzielił się też zaraz od dworu królewskiego, skoro nie mógł ani rycerskiej służby pełnić, ani też być przydatny w żadnej królewskiej kancelarii, jako analfabeta. Urządził sobie życie skromne, ciche i zabrał się do nauki, którą musiał zaczynać od początku, od abecadła. W chwilach wolnych od książkowych trudów wyrażał w szczególny sposób ogromne swoje zamiłowanie do spraw związanych z Kościołem. Mając zdolności snycerskie, wyrabiał z drzewa krzyże, kropielnice, puszkę do przenoszenia Najświętszego Sakramentu chorym itp. I był przy tym wszystkim wielce małomówny (małomówność stanowi zresztą chwalebny cech litewską w przeciwieństwie do polskiej gadatliwości).

Zjechał do Krakowa w najbliższych latach jeszcze ktoś drugi, również nieuczony, a nauki gorąco spragniony, i przejęty największą bogobojnością; bardzo więc duchem podobny do bł. Gedroycia, chociaż na zewnątrz jakby z przeciwnego bieguna. Tamten książę, a ten szewc z mieściny prowincjonalnej Sławkowa pod Krakowem. Był nim bł. Świętosław, szósty już z tego krakowskiego grona świętych. Zostawszy majstrem, poczuł w sobie powołanie, i przybył do Krakowa na nauki. Wpisał się do szkoły parafialnej przy kościele Najświętszej Marii Panny w rynku krakowskim, i już całe życie przy tym kościele pozostał. Na posługach kościelnych tak trwając, kształcił się dalej. Tam przebył lata kleryckie, a powoli, lecz wytrwale dążąc do celu, dopiął swego i doczekał się święceń kapłańskich. Został przy tym samym kościele mansjonariuszem, tj. kapłanem ołtarzowym, lecz nie należącym do obsługi parafialnej.

Bez trudu doszedł natomiast do święceń kapłańskich bł. Stanisław Kazimierczyk; nazwany tak, bo pochodził z miasta Kazimierza obok Krakowa. Ojciec jego był tam radnym, więc była to rodzina zamożna. Uniwersytet zaś był tuż obok; bez żadnych więc kłopotów skończył nauki Stanisław, dochodząc do stopnia doktora filozofii.

Żeby mieć w komplecie ten święty rejestr, wpiszemy tu od razu ósmego z rzędu: - drobnomieszczanin Ładysław z Gielniowa, z zapadłego miasteczka w dawnym księstwie, a następnie województwie sandomierskim. Urodzony w r. 1440, znalazł się w Krakowie dopiero później.

Do przejętego świątobliwością Krakowa miał wkrótce przyjechać na osiem miesięcy święty mąż, wsławiony już świętością na całą Europę i podnieść nastrój świętości jeszcze bardziej. Należał do starszego pokolenia; od najstarszego z tego grona był Izajasza Bonera był młodszy tylko o sześć lat. Tym bardziej wpatrzeni byli w niego młodszy, jako w swego przewodnika. A był to mąż cudownego zaiste pokroju. Był nim św. Jan Kapistran.

Urodzony w r. 1386 w mieście Capistrano w południowych Włoszech, jako syn oficera, poczuwszy powołanie duchowne, wstąpił do Franciszkanów. Przez 30 lat zajmował się z polecenia trzech papieży zwalczaniem kierunków heretyckich, jakie pojawiały się wówczas we Włoszech. Kiedy św. Bernardyn ze Sieny, starszy tylko o sześć lat, wszczął w zakonie franciszkańskim usilne starania o przywrócenie reguły pierwotnej, znacznie surowszej, przyłączył się do tego ruchu Jan Kapistran. Nastąpił rozdział Franciszkanów na dwie gałęzie "konwentualnych", którzy pozostali przy takim obyczaj zakonnym, jaki przyjęty był około r. 1400 - i "obserwantów", którzy postanowili "obserwować" obyczaj surowszy, zwłaszcza przestrzegając ściśle ubóstwa. Tych w Polsce nazywano i nazywa się Bernardynami. W r. 1450 wyprawił papież Mikołaj V Jana na północ celem zwalczania husytyzmu. Gdy wkrótce potem przebywał we Wrocławiu, otrzymał zaproszenie od króla polskiego i biskupa Oleśnickiego, wówczas już kardynała. Chodziło o misję wschodnią wśród schizmy.

Nie mogąc sam przyjechać od razu, wyprawił jeszcze w roku 1452 trzech swoich uczniów, kapłanów zamiłowanych w misjonarstwie. Ci dojechali aż do Mołdawii, a potem przedsięwzięli drugą podróż i dotarli aż do Moskwy, skąd jednak ich wyproszone.

W tym czasie jeździł do Kapistrana w poselstwie kanonik krakowski Jan Długosz. Wielka to postać w naszych dziejach narodowych. Wybitny uczony, polityk pierwszorzędny, używany przez króla do najtrudniejszych nawet poselstw, tak mądry i tak zacny, iż mu król Kazimierz Jagiellończyk powierzył wychowanie swych synów, napisał następnie obszerną historię Polski od początku aż do swoich czasów. Jest to najlepsze dzieło historyczne całej ówczesnej Europy, a dla nas nadto i przez to niesłychanie cenne, że na tej księdze można dotychczas uczyć się patriotyzmu polskiego i moralności politycznej. O Długoszu można powiedzieć, że był chodzącym sumieniem Polski za swoich czasów.

Dnia 28 sierpnia 1453 roku przybył do Krakowa św. Jan Kapistran. We współczesnym opisie, pochodzącym od naocznego świadka, czytamy co następuje: "Wyszły naprzeciw tego błogosławionego męża nie tylko zakony, ale wszystko duchowieństwo miasta Krakowa i magistrat w procesji, z chorągwiami; a mieszczenie, mężczyźni i niewiasty wylegli tłumnie na dwie mile. Wyruszyło całe nieledwie miasto, a król Kazimierz z matką swoją Zofią i Zbigniew (Oleśnicki) kardynał i biskup krakowski, z wielkim zastępem rycerzy i w polu przed Kleparzem go przyjmują i z wielką chwałą prowadzą do miasta. Wielka była z jego przybycia radość duchowieństwa i ludu, dlatego i wszelki człowiek wysypał się naprzeciwko niemu".

Wielkim misjonarzem okazał się św. Jan Kapistran już we Włoszech, w Niemczech, w Czechach (na Morawach), a zawdzięczał dar nawracania nadzwyczajnej wymowie kaznodziejskiej. Czyta się o tym rzeczy, którym nie dawałoby się wiary, gdyby się nie wiedziało, że opisy pochodzą od osób wiarogodnych; a przy tym brzmią wszędzie jednakowo, z jednakim zachwytem. Świątobliwość jego budziła cześć, a moc cudotwórczą przypisywano mu powszechnie; ale najwięcej sławy i podziwu zbierał z kazań.

Wszyscy zgadzają się na to, że święty ten należy do najznakomitszych kaznodziei całego świata. A był "niskiego wzrostu, umartwionej postaci, suchego ciała. Przez skórę wyraźnie przebijały kości. Łysy, na głowie miał tylko trochę białych włosów; za to nosił długą brodę... osobliwie długie miał ręce; sięgały po kolana". Tymi rękoma gestykułował nieustannie i w ogóle całe swe ciało wprawiał w ruch, gdy przemawiał. Dodajmy, że liczył lat 67, gdy zawitał do Krakowa.

Nie posiadał więc wcale zewnętrznych warunków na mówcę. Ale jego oblicze pod pomarszczonym czołem wyglądało czerstwo, wesoło, żywo. Kazanie trwało zwykle dwie godziny i tłumy słuchały, nawet nie rozumiejąc co mówi, bo mówił po łacinie, po czym dopiero któryś ksiądz tłumaczył to na polski, co trwało znów choćby godzinę. Żaden kościół nie pomieściłby tłumów jego słuchaczy! Przemawiał na rynku krakowskim, stając na jakimś wzniesieniu przed kościołem Świętego Wojciecha.

"Mężczyźni i niewiasty chcieli widzieć tego człowieka, tak cudownego; łączy radości ciekły po wszystkich twarzach, ręce wyciągały się ku niemu, błogosławiono świętemu mężowi, dzięki czyniono Bogu; wszyscy cisnęli się, by choć szaty jego dotknąć. Aby go ujrzyć, ludzie wśliznęli się na dachy, aż pod nimi łamały się krokwie. Podczas kazania ustawała praca, zamykano kramy, wszystko tylko do niego się garnęło". A skutki kazań? całe gromady pokutujących za grzechy, setki i setki ślubów życia skromnego, a stopy całe strojnych ozdób i wszelkich marnośći wystawnego życia składano na rynku i podpalano! Co za moc cudotwórcza w jego wymowie, skoro drobna tylko część słuchaczy mogła go rozumieć! A jednak cała ta rzesza płakała ze wzruszenia, wpatrzona w ruchliwą twarz kaznodziei, która wydawała się im twarzą anioła zesłanego od Boga!

Cudem istnym były te kazania, ale kaznodzieja sprawiał także inne cuda. Gdziekolwiek przebywał, dwa razy dziennie odwiedzał chorych. Przynoszono ich także i kładziono wkoło. Kapistran z towarzyszami obchodził ich, kładł ręce na nich, modlił się i dotykał relikwiami świętych, zwłaszcza biretem i krwią św. Bernardyna. Uzdrowienia zdarzały się codziennie. Wielkie mnóstwo chorych, ślepych, chromych i innymi cierpieniami obarczonych wyleczył na oczach ludu podczas pobytu w Krakowie; a przeszło sto uzdrowień, mających charakter cudowny, zapisano w tych ośmiu miesiącach.

W ciągu jego ośmiomiesięcznego pobytu w Krakowie wypadły właśnie wielkie narady polityczne z powodu dwóch wydarzeń niezmiernie wagi. Na trzy miesiące przed przybyciem św. Jana Kapistrana Turcy zdobyli Konstantynopol. Ponieważ unia florencka zupełnie zawiodła, a w Bizancjum nie była nawet promulgowana, tj. ogłoszona urzędowo przez władze kościelne, więc dwór cesarski zwrócił się ponownie ku Rzymowi o unię. Teraz dopiero, w listopadzie r. 1452 promulgowano ją wreszcie w sławnej bazylice św. Zofii. Zrobiono to na rozkaz cesarski wbrew opinii publicznej, bo w mieście wybuchły nawet z tego powodu rozruchy pod hasłem: "raczej turban, niż tiarę", to znaczy, że wołał sułtana niż papieża. Wyborowi temu stało się zadość dnia 29 maja 1453 r. Lud ciemny uważał nawet za grzech, żeby się zbytnio troszczyć o obronę; niektórzy bowiem głosili, że gdy wojska tureckie będą dochodziły do pewnej kolumny w mieście, aniołowie zstąpią z nieba na obronę starego świątobliwego Bizancjum. Gdy zaś nie dopomógł Bóg tym, którzy sami sobie nie pomagali, uczeni cerkiewni szukali rozmaitych przyczyn, uciekając się nawet do zabobonnych praktyk, aż wreszcie zgodzili się na to, że upadek Carogrodu jest karą Bożą za ogłoszenie unii kościelnej. Uważali to za "herezję łacińską", najgorszą ich zdaniem ze wszystkich herezji. Do tego stopnia zaciekle doszedł już bizantyzm przeciw cywilizacji łacińskiej i katolicyzmowi. Toteż i po katastrofie patriarsze carogrodzkiemu ani się śniło dotrzymać unii.

Tak więc na darmo położył głowę za wiarę świętą król Władysław Warneńczyk. W dziewięć lat zaledwie po jego zgonie nastąpiła ostateczna katastrofa. Ale młodszy brat Warneńczyka nie zrażał się jego losem i w otoczeniu królewskim zastanawiano się nad wznowieniem ligi przeciw Turkom. A kiedy św. Jan Kapistran poruszał tę sprawę w kazaniu i wzywał do ofiar na fundusz nowej krucjaty, sypały się klejnoty, znoszone ofiarnie przez krakowskie mieszczaństwo.

Powstawał tedy polski pochód ku Morzu Czarnemu ze względów religijnych. Nad Morzem Czarnym leży Warna, gdzie poległ królewski młodzieniec! Za Kazimierza Jagiellończyka rozszerza się jeszcze bardziej polski horyzont. Z marzeniem o wypędzeniu Turków łączy się coraz wyraźniej drugie; żeby nawrócić schizmatyków bałkańskich, którzy byli tam liczniejsi od katolików. Jakżeby jednak mogła dbać tylko o bałkańską akcję misyjną Polska, która złączona z Litwą, miała w swym państwie tyle ludności prawosławnej! Widzieliśmy, jak św. Kapistrana zainteresowano Rusią, zanim jeszcze przyjechał do Krakowa! O cały Wschód Europy chodziło, od południa na północ, od Grecji aż po Białoruś.

Lecz hasło czarnomorskie miało się powikłać z hasłem bałtyckim.

Zaledwie trzy miesiące po przyjeździe św. kaznodziei nadeszła do Krakowa wiadomość całkiem innego rodzaju, a dla Polski korzystna i wielce zaszczytna. Oto wybrała się w drogę do Krakowa delegacja od związków obywateli państwa krzyżackiego, Polaków i Niemców. Przybywszy, oświadczyli na audiencji królowi, że rządy Zakonu stały się dla nich jarzmem nie do wytrzymania, że się buntują, a chcą być przyłączeni do polskiej korony i upraszają Kazimierza Jagiellończyka, by ich uważał za swoich poddanych. Nikt się nie zdziwił, że tak postanawiała ludność polska, lecz Niemcy? Niemieccy osadnicy, których przodków Zakon sam sprowadził, chcą należeć do Polski! Bo nęciły ich swobody obywatelskie,

prawa przyznawane ludności względem rządu, a przez rząd uznawane, i całkowity samorząd stanowy. Nęciło ich polskie pojmowanie życia publicznego.

Jakżeż nie przyjąć Pomorza Gdańskiego i Prus, skoro same się zgłaszają? Oczywiście, że przyjmując je w poddaństwo, musiał król polski podjąć wojnę z Zakonem, bo przecież Krzyżacy dobrowolnie nie ustąpią. Ale wiedzano, że będzie to wojna najpopularniejsza, i że największe nawet ofiary będą chętnie ponoszone, byle nareszcie odzyskać ujście Wisły.

A jednak namyślano się dwa tygodnie, jakiej delegatom z Prus udzielić odpowiedzi. Albowiem oto równocześnie wołają Polskę w dwóch przeciwnych kierunkach. Na Półwyspie Bałkańskim pojawiło się mnóstwo obrazów św. Jerzego, któremu nadano twarz Władysława Warneńczyka. W taki sposób wieszali sobie Bułgarzy, Serbowie i Chorwaci portrety poległego króla polskiego, zaznaczając tym cześć dla Polski, a zarazem dając wyraz swym tęsknotom, żeby drugi król polski przyszedł ich wybawić. Miałaby Polska drugą zasługę wobec całego chrześcijaństwa, gdyby po nawróceniu Litwy wypędziła Turków z Europy.

Toteż przez całe dwa tygodnie naradzali się na Wawelu zwołani przez króla z całego państwa dostojnicy duchowni i świeccy, jaką wybrać drogę: na północ czy na południe? Kardynał Oleśnicki oświadczał się za wyprawą krzyżową na Bałkany, a nie brakło mu stronników.

Było to publiczną tajemnicą, o czym radzi rada królewska na Wawelu. Niemożliwe, żeby o tym nie wiedział uniwersytet, którego kanclerzem był biskup krakowski. Wiedzieli profesorowie i doktorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wiedział tedy św. Jan Kanty, a miał nie wiedzieć bł. Izajasz Boner, liczący już lat 73, wsławiony świadek soboru w Konstancji, jeden z nielicznych już jego uczestników? Wiedzieli Augustianie, wiedzieli też Kanonicy Regularni przy kościele Bożego Ciała. Przejmowali się wszyscy wielkim zagadnieniem, w którym mieściła się przyszłość Polski i większej połowy Europy. Interesował się też gorąco całą sprawą i bł. Michał, książę Gedroyć. W zaciśniętym życiu, miał jednak dawne znajomości przy dworze królewskim, a zamieszkiwał przy kościele Św. Marka u "Braci Pokutnych św. Augustyna", którzy stanowili tylko pewną odmianę zgromadzenia Kanoników Regularnych z Kazimierza, najbliżsi im we wszystkim. Wiedział też, o co chodzi, bł. Jan z Dukli, wtedy już gwardian franciszkański w Krośnie, który jednak bawił właśnie w Krakowie w sprawie swego klasztoru.

Szczyty społeczeństwa - państwowe, kościelne i naukowe przejęte były doniosłością spraw, o których miała rozstrzygać narada na Wawelu. Cała ludność rozprawiała o tym. Przecież o upadku Carogrodu wiedział każdy chłopak w mieście, a wjazd poselstwa z Prus odbył się publicznie. Rozprawiali więc wszyscy, jak lepiej zrobić? W razie wypędzenia Turka, Polska kierowałaby losami Półwyspu Bałkańskiego i Wołoszczyzny, pozyskałaby trwały wpływ na Węgry, i stanowiłaby najpotężniejsze w Europie mocarstwo. Dla takiej potęgi byłoby potem odzyskanie Gdańska sprawą łatwą, tym bardziej, że Zakon w rozterce z własnymi poddanymi stawałby się coraz słabszy. Sądził przeto kardynał Oleśnicki, że pochód historyczny od morza do morza lepiej będzie Polsce zacząć od Morza Czarnego.

Było się nad czym zastanawiać, a sama długość narad świadczyła, że się wahano. Rozstrzygnęli nagle wszelkie wątpliwości sami delegaci pomorscy i pruscy, oświadczając, że jeżeli król Kazimierz nie przyjmie ich w poddaństwo, "oni poszukają sobie innego pana". Mieli na myśli Danię. Zdecydowani byli poddać się królowi duńskiemu, byle pod panowanie Krzyżaków już nie wracać. Wobec tego postanowiono zabrać się do wojny z Zakonem. Dnia 5 marca 1454 r. przyjmował Kazimierz Jagiellończyk publicznie hołd i przysięgę wierności od "stanów pruskich". Danym było temu królowi odzyskać ujście Wisły i przywrócić królestwu polskiemu granice z czasów Przemysława. Zaczęto więc nie od Morza Czarnego, lecz od Bałtyku.

Św. Jan Kapistran byłby wolał, żeby Polska mogła skierować oręż na Turka. W maju wyjechał na Węgry, głosić tam krucjatę. Rządy Węgier sprawował wówczas magnat Jan Hunyady. Po śmierci bowiem Zygmunta Luksemburczyka zajął trony węgierski i czeski jego zięć Albrecht habsburski. Ten, umierając w r. 1439, pozostawił po sobie pogrobowca, imieniem Władysław. Opiekę i regencję sprawował w Czechach wielmoża Jerzy Podiebradzki, a na Węgrzech Hunyady. Węgrzy jednak powołali na swój tron króla polskiego, Władysława Jagiellończyka, lecz po bitwie warneńskiej nastąpił

dalszy ciąg rządów Hunyadego. W r. 1454, kiedy św. Jan Kapistran przybywał na Węgry, liczył Władysław Pogrobowiec dopiero lat 15. W porozumieniu z Hunyadem głosił cudotwórczy kaznodzieja wyprawę krzyżową tak skutecznie, iż tysiące słuchaczy składało śluby, że ruszą na Turków. Niedługo zaszła potrzeba spełnienia ślubów. W roku 1455 posunęli się Turcy dalej na północ, przeszli bez trudu przez gospodarstwa wołoskie, a z początkiem r. 1456 dotarli do Dunaju i przystąpili do oblegania Belgradu. Jeżeli go zdobędą, ruszą dalej na Węgry! Wyprawił się więc Hunyady zawczasu pod Belgrad, ażeby Turkom przeciąć drogę. Waleczności nie brakło wojsku Hunyadego, ale wynik stawał się wątpliwy - gdy wtem św. Jan Kapistran przyprowadził pod Belgrad 60 000 swych ochotników! Stoczono walną bitwę i wygrano ją. Węgry były ocalone! Wszyscy przyznawali, że zawdzięczają to siedemdziesięcioletniemu św. Janowi Kapistranowi. Zmarł on w kilka miesięcy po tym zwycięstwie, a wdzięczne Węgry od razu uznały go świętym i nawet nie czekając na kanonizację, stawiano mu ołtarze po kościołach. Kanonizacja nastąpiła jednak dziwnie późno: w r. 1690, w 134 lata po zgonie świętego, za papieża Aleksandra VIII.

W rok po śmierci Kapistrana zmarł Władysław Pogrobowiec, a wówczas Podiebradzki został wybrany królem czeskim, a węgierskim syn Hunyadego, Maciej Korwin. Ten był zachłanny i chciał zdobyć także czeską koronę. Wynikłe z tego wojny czesko-węgierskie i powikłania poruszyły następnie także Polskę. Na razie Polska zajęta była wojną z Zakonem, która przedłużała się niezmiernie, trwając lat 13. Zmienne bywały losy tej wojny, aż wreszcie rozstrzygnęło ją na naszą korzyść zwycięstwo odniesione w r. 1462 nad samym brzegiem morskim pod Puckiem. Dowodził tam Piotr Dunin z Praskowic, a odznaczył się najbardziej Paweł Jasieński. Spotkamy się jeszcze!

Wojna trwająca lat 13 musiała pochłonąć niemało. Olbrzymie jej koszty pokrywano nie tylko bez szemrania, lecz z zapalem. Dość powiedzieć, że podatki rosły niezmiernie, aż dwunastokrotnie, bo do 24 groszy z łanu tj. 30 morgów (groszem nazywano wówczas monetę "grubą"; grossus po łacinie gruby; szło ich 30 na złoty dukat). Raz nakazano dać połowę czynszów dzierżawnych tj. pobieranych od kmięciów. Król pozostawiał swoje dobra "stołowe", a biskupi pozwalali zastawiać naczynia kościelne. Wydano na tę wojnę przeszło milion dukatów; jeszcze Europa nigdy przedtem nie oglądała tak kosztownej wojny.

Zawierając w r. 1466 pokój w Toruniu, przestano niestety na połowicznym tylko wyniku. Polska odbierała swe Pomorze Gdańskie, ziemię chełmińską i michałowską, a nadto Malbork, Elbląg i krainę zwaną Warmią, pozostającą pod zwierzchnictwem biskupa warmińskiego. Ale cała wschodnia połowa Prus pozostawała przy Zakonie, chociaż jako lenno korony polskiej, i z obowiązkiem, że wielcy mistrzowie Zakonu będą składali hołd królowi polskiemu. Stolicę wielkich mistrzów przeniesiono z Malborka do Królewca. Bądź co bądź, doczekano się wreszcie plonów grunwaldzkiego zwycięstwa i Polska opierała się wreszcie o swe Morze Bałtyckie i rozporządzała całym biegiem Wisły.

Dziękował Bogu kanonik Jan Długosz, że mu Bóg pozwolił dożyć tego pokoju toruńskiego, i zapisał w swej historii polskiej te słowa: "Teraz szczęśliwym mienię siebie i swoich współczesnych, że oczy nasze oglądają połączenie krajów ojczystych w jedną całość, a szczęśliwszym byłbym jeszcze, gdybym doczekał za łaską Bożą także zjednoczenia z Polską Śląska. Z radością zstępowałbym do grobu i słodszy miałbym w nim odpoczynek". Uważał więc wielki historyk narodowy odzyskanie Śląska nie tylko za możliwe, ale był przekonany, że to możliwe było w czasie niedługim, skoro mniemał, że mogłoby to nastąpić jeszcze za jego życia (w roku pokoju toruńskiego miał Długosz lat 51).

Dożył też tego pokoju sędziwy bł. Izajasz Boner, liczący już lat 86. I św. Jan Kanty stary już był, bo liczył wówczas lat 69. Miał już za sobą cztery pielgrzymki do Rzymu i sporo rękopisów teologicznych. W latach starszych bardziej nauczał pisaniem niż żywym słowem. Nie wziął już udziału w nowym ruchu duchowym, jaki powstał w Krakowie i stąd promieniował na całą Polskę. Zaczynem tego ruchu stał się nowy zakon Bernardynów.

Była to pamiątka po św. Janie Kapistranie; jeszcze za jego pobytu w Krakowie zgłosiła się przeszło setka młodzieży, chcąc należeć do tego samego zakonu, co ten wielki sługa Boży. Popierał ten ruch kardynał Oleśnicki i Długosz był także wielkim przyjacielem Bernardynów, i sam król Kazimierz Jagiellończyk i księżna mazowiecka Anna, a przykład panujących był naśladowany przez wielmożów i bogate mieszczaństwo. U Bernardynów nie brakło szlachty, ale przewagę mieli zawsze mieszczanie.

Pierwszy klasztor stanął zaraz pod samym Wawelem, a drugi w Warszawie w rok potem, w r. 1454; była zaś Warszawa małą jeszcze mięsciną.

Zapał w powołaniach do nowego zakonu był taki powszechny, iż zwraca to uwagę, że kiedy bł. Stanisław Kazimierczyk obierał stan zakonny, nie do Bernardynów wstępował w r. 1456, lecz do Kanoników Regularnych w swym mieście Kazimierzu przy wspaniałym kościele Bożego Ciała. Co innego bł. Michał Gedroyć, ów książę litewski. Ten znacznie starszy, powziął postanowienie już przedtem. Poduczwszy się coś niecoś z książkowej nauki, lecz dla opóźnionych swych lat nie mogąc już podołać studiom potrzebnym w kapłaństwie, a służby Bożej się nie wyrzekając i nie odstępując od swego postanowienia, żeby życie przepędzić przy kościele, został braciszkiem. Doprawdy stanowił wzór wytrwałości i niezmienności w zbożnych postanowieniach, a wzór tym dokładniejszy, i tym mocniej przemawiający, że to był przecież książę! Został bratem zakrystianem w klasztorze tak zwanych Pokutników Świętego Augustyna przy kościele Świętego Marka w Krakowie.

Szymon z Lipnicy był wtedy jeszcze studentem, na bakalarstwo zdał dopiero w roku 1457. Liczył lat 37. Jakże późno! Widać z tego, ile musiał pokonywać przeciwności, nim się wyrwał z Lipnicy do Krakowa. Ledwie zdawszy ten pierwszy egzamin, wstąpił zaraz do nowicjatu u Bernardynów i w habicie otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1460, jako mężczyzna już czterdziestoletni.

A bł. Jan z Dukli był ciągle jeszcze Franciszkaninem. Sprawował obowiązki gwardiana w Krośnie, następnie we Lwowie i w Poznaniu. Kiedy powtórnie przebywał we Lwowie, zakładano tam właśnie klasztor bernardyński, a on, chociaż taki już długoletni gwardian franciszkański, rzucił wtedy Franciszkanów i przeszedł do Bernardynów! W tym zakonie nie przyjmował już jednak żadnych urzędów; a przekroczył wówczas pięćdziesiątkę. Błogosławiony Szymon z Lipnicy był od niego młodszym o sześć lat. Poszedł wysoko w górę, bo w roku 1463 został kaznodzieją na Wawelu i królewskim spowiednikiem. Niedługo bawił w Tarnowie, dokąd powołano go na gwardiana, a w r. 1467 miewał znowu kazania w Krakowie. Błogosławiony Jan z Dukli nie opuszczał już Lwowa.

Kaznodziejstwo stało się specjalnością Bernardynów tak dalece, iż prześcignęli w tym Dominikanów. Wkraczali w ślady św. Kapistrana i nie brak też wiadomości o polskich Bernardynach, którzy musieli wygłaszać kazania nie w kościele, lecz przed kościołem. Każde bernardyńskie kazanie było jakby odpustowe i misyjne. Gdzie tylko znajdował się kościół bernardyński, zawsze był wypełniony po brzegi wiernymi, spragnionym posłyszeć kazanie. Bo też w każdym klasztorze bernardyńskim był "urząd" osobnego specjalnego kaznodziei, który zwolniony był od rozmaitych ciężarów reguły, żeby mógł tym swobodniej kształcić się i opracowywać swe kazania.

Przyciągały też wiernych pewne nowości w nabożeństwie u Bernardynów, nowości piękne i miłe, i podnoszące ducha. Zaprowadzili jasełka i żłobek; nie trzeba się rozwodzić, ile rzetelnego nabożeństwa przybywało przez to ich kościołom! Ale co więcej, pociągnęli ludność bardziej do uczestniczenia w nabożeństwie odprawianym przy ołtarzu, przez to, że zaprowadzili śpiew wiernych. Dotychczas obecni w kościele ograniczeni byli do wołań: Kyrie elejson! i temu podobnych krótkich nabożnych okrzyków. Śpiewać pieśni nabożne można było tylko po łacinie, bo polskich jeszcze nie było, jeszcze ich nie ułożono. Tym zajęli się Bernardyni, i tym pozyskali sobie wielce ludność, gdziekolwiek się pojawili. Stanowi to zarazem wielką ich zasługę dla języka i literatury polskiej. Oni dopiero spełnili wszechstronnie życzenia synodu z roku 1285 o zachowanie i rozwój języka polskiego w służbie Bożej.

Z tych czasów dochowały się do dnia dzisiejszego pieśni wielkanocne "Chrystus zmartwychwstan jest" i druga "Przez Twoje święte zmartwychwstanie". Najdłuższy zaś poemat polski z XV w. liczy 400 wierszy i opisuje, jak śmierć zabiera z tego świata bez wyboru ludzi wszelkich stanów. Są to już zawiązki piśmiennictwa polskiego.

Tu na pierwszym miejscu stoi bł. Ładysław z Gielniowa. Była o nim mowa, jako o młodzieniaszku; dorósł do wieku męskiego podczas wojny trzynastoletniej. Uczęszczał na uniwersytet w Krakowie, ale do zakonu wstąpił dopiero w r. 1462 w Warszawie. On wprowadził do kościołów antyfonę "Jezus Nazareński, król żydowski". On układał pieśni i całą koronkę, która rozpowszechniła się wnet na Litwie i Rusi. Do koronki tej przywiązała papież Paweł V odpust zupełny. Nawet na kazaniach przemawiał nieraz wierszami. Jest to pierwszy poeta polski, którego można wskazać po nazwisku. Dobry jego

przykład naśladowany był następnie przez wielu Bernardynów. Ustanawiając jasełka po swych kościołach, śpiewali przy tym pieśni, w czym początki słynnych z piękną kolęd polskich, które szybko przeszły do ludu wiejskiego.

Ale głównym zadaniem Bernardynów pozostawała zawsze misja wschodnia i dla tej przyczyny popierał ich Kazimierz Jagiellończyk. Zabrali się dzielnie do zwalczania schizmy. Propagowali oczywiście nie unię, lecz obrządek łaciński, bo ten tylko znali; nikt z nich nie znał "cyrylicy". Zaczęli od prawosławnych na ziemiach dawnych Lachów, w granicach samego królestwa polskiego. Słynął klasztor lwowski z bł. Janem z Dukli. Prawosławni sprzeciwiali się zakładaniu nowych klasztorów tej reguły. Trwało długo, nim założyć mogli klasztor w Przeworsku, a w Samborze powstał dopiero w r. 1474. Rozprzestrzeleni się następnie na Wielkie Księstwo Litewskie, gdzie ciemnota pomiędzy ludem prawosławnym białoruskim była ogromna, a opieka religijna w wielu stronach kraju, całkiem nie istniała, do tego stopnia, iż często całe osady nie były nawet chrzczone. Toteż nie dziwnym się, że duchowni katoliccy chrzcili czasem ponownie schizmatyka, chcącego się nawrócić. Wielu teologów miało wątpliwości, czy ważna jest cała administracja sakramentów w ręku popów. Teologicznie było to mylne, bo prawosławie nie było i nie jest herezją, tylko schizmą. Bernardyni od początku dobrze tę sprawę rozumieli i nie odstępowali od swego, chociaż narażali się przez to duchowieństwu świeckiemu. Sprawa oparła się o Stolicę Apostolską i w roku 1481 otrzymali z Rzymu potwierdzenie, że schizmatykowi wystarcza uznać prymat papieski, a dawny jego chrzest jest najzupełniej ważny.

W misji białoruskiej odznaczył się najbardziej świętobliwy O. Marian z Jeziorka, również dawny student krakowski, który w uniwersytecie otrzymał stopień magistra. Układał także wiersze, a przy tym miał tę zdolność, że nawet zawilsze zagadnienia umiał uczynić przystępnymi i zrozumiałymi tym, którzy nie mieli sposobności nabyć większego wykształcenia książkowego. Pozostawił po sobie pisma popularne, które niestety nie dochowały się; byłby to skarb historii języka polskiego! Lgnęli do niego wielmożowie i lgnął lud pospolity. Nazywano go "arką testamentu" dla pewności, z jaką udzielał rad w kierowaniu dusz. I Litwini i Rusini wielbili go, jako wysłańca Bożego; a przecież wszyscy tamtejsi Rusini byli początkowo schizmatykami.

Świętość i historia

Na tle przyspieszonego i tak wielostronnego ruchu religijnego miała się polityka polska zrywać dalej do wielkiego dzieła, żeby na świątyniach w Carogrodzie zatknąć na nowo krzyż. Gdy w r. 1454 król Kazimierz Jagiellończyk poślubił księżniczkę habsburską Elżbietę (udzielał im ślubu sam św. Jan Kapistran w katedrze krakowskiej) wydarzeniem tym przejmowała się cała współczesna Europa w przekonaniu, że spowinowacenie dwóch potężnych dynastii, habsburskiej i jagiellońskiej, będzie początkiem jakiegoś trwałego przymierza przeciw Turcji, mocarstwu coraz silniej zagrażającemu chrześcijańskiej Europie.

Królowa Elżbieta zwana jest "matką Jagiellonów". Sześciu miała synów. Trzech nosiło kolejno koronę polską: Jan Olbracht, Aleksander, Zygmunt. Władysław był królem Czech i Węgier; Fryderyk kardynałem, a Kazimierz dostąpił uznania świętości i stał się nowym patronem Polski.

Najstarszy syn Kazimierza i Elżbiety, Władysław, był miękkiego charakteru i swojego własnego zdania zazwyczaj nie mając, na wszystko zwykł powiadać "dobrze"; dlatego zyskał przydomek łaciński "rex bene", co po polsku znaczy "król Dobrze". Zdolnościami wcale się nie odznaczał.

Najzdolniejszy z braci był drugi według starszeństwa - Kazimierz, o czym świadczy nie tylko ich nauczyciel, sławny Długosz. Daleki od dworu biskup przemyski, Jan z Targowiska, pisał o nim później te słowa: "Książę zdumiewającej cnoty i mądrości, tudzież nauki nadzwyczajnej i tymi przymiotami pociągnął ku sobie serca wielu narodów do miłości". Odznaczał się też wielką bogobożnością, modląc się nie tylko słowami, ale nie mniej swymi czynami. Czyż królom nie przystoi najbardziej, ażeby modły ich zamieniały się w zbożne czyny? Królewicz Kazimierz nigdy nie chciał być na podobieństwo mnicha, nie czuł nawet powołania do stanu duchownego, lecz marzył o czynach wielkich a godnych monarchy katolickiego.

Ci dwaj najstarsi królewicze mieli być powołani na ościenne trony, czeski i węgierski, prosto ze szkoły u Długosza, na oczach sześcioro świętych i błogosławionych, w Krakowie wówczas zamieszkałych. Życie i sprawy tych dwóch królewiczów miały się dziwnie z sobą łączyć, plątać i wikłać. Chodziło o trony czeski i węgierski.

Kiedy król czeski, Jerzy Podiebradzki, narażał się Stolicy Apostolskiej i wydał się nie dość pewny, w wierze, rzucił się na kraje czeskie, niby dla obrony katolicyzmu, król węgierski, Maciej Korwin i zagarnął Morawy. Papież wzywał naszego Kazimierza Jagiellończyka, by zajął tron czeski, a wtedy Podiebradzki obmyślił taki sposób, że królewicza polskiego Władysława, wówczas trzynastoletniego, zrobił swym następcą tronu.

Radował się tym nowym wyniesieniem dynastii Jagiellońskiej sędziwy błą. Izajasz Boner. On i wszyscy inni towarzysze świętości cieszyli się jeszcze bardziej dlatego, że skoro najstarszy brat odejdzie na czeskie panowanie to następcą tronu będzie Kazimierz, znany ze zdolności i pobożności. Tak marząc o przyszłości dokonał życia patriarcha naszego grona świętych w r. 1470, a w 90 swego życia. Ciało jego podniesiono w r. 1633 za zezwoleniem papieża Urbana VIII i umieszczono ostatecznie w kaplicy wzniesionej obok ołtarza Najświętszej Panny Łaskawej w krakowskim kościele Świętej Katarzyny. Starszym przodownikiem pozostałych przy życiu pięciu świętych krakowskich stawał się św. Jan Kanty, niestety tylko na trzy lata. A były to lata obfite w wydarzenia, w orbicie których znalazło się niemal pół Europy.

Kiedy w r. 1471 zmarł Jerzy Podiebradzki, trzeba było królewicza Władysława wyprawić zaraz do Czech. Maciej Korwin pustoszył cały Śląsk, zamieniając bogaty kraj, jak wyrażali się współcześni, w pustynię. Trzeba się było szybko decydować, póki Maciej nie zagarnie tronu. Odprowadził tego piętnastoletniego królewicza do Pragi z orszakiem zbrojnym Paweł Jasieński, znany nam z bitwy pod Puckiem w wojnie trzynastoletniej.

Niespodziewanie miał też równocześnie i królewicz Kazimierz wyruszyć z Krakowa, lecz w inną stronę, na Węgry, żeby tam Korwina pozbawić korony węgierskiej, a przyłączyć ją do państw jagiellońskich. A ten królewicz miał jeszcze dwa lata szkoły przed sobą, bo liczył dopiero lat 13!

Sposobność zdawała się dobra. Wypowiedzieli bowiem posłuszeństwo Maciejowi sam prymas węgierski, trzech biskupów i grono największych świeckich wielmożów. Prymas oddawał swe liczne zamki w ręce wojska, które by przybyło na Węgry w imieniu królewicza Kazimierza. Przrzeczono mu przeprowadzić jego wybór na króla węgierskiego. Uda się czy nie? W każdym razie taka wyprawa zbrojna na Węgry przeszkodzi Korwinowi, że nie będzie mógł użyć całych swych sił przeciw Władysławowi w krajach korony czeskiej; zmusi go się, żeby wojska swoje przynajmniej rozdzielił, skoro będzie musiał bronić się na Węgrzech. Kazano więc trzynastoletniemu pacholęciu podpisać się pod listem wypowiednim, tj. pod pismem urzędowym z wypowiedzeniem wojny Maciejowi Korwinowi.

Z tego nie wynikało bynajmniej, żeby królewicz Kazimierz miał jechać zaraz na Węgry. Co innego Władysław; ten był już wybrany na króla, jechał na koronację i obejmować panowanie. Ale na Kazimierza przysłałby kolej dopiero wówczas, kiedy by Maciej Korwin był w wojnie pokonany, a żeby stracił koronę; wtedy dopiero miałby drugi królewicz polski jechać na koronację.

Rozsądek radził, żeby Kazimierza nie brać na wyprawę, bo tylko będzie kłopot z jego osobą, a korzyść z niego jeszcze żadna; będzie tedy zawadzać niepotrzebnie.

A jednak stało się przeciw rozsądkowi: królewicz wyruszył od razu z wojskiem. Trudno podejrzewać o brak rozsądku króla-ojca, królową-matkę, wychowawcę Długosza lub Piotra Dunina, znanego nam z dowództwa w bitwie pod Puckiem, któremu powierzono dowództwo węgierskiej wyprawy. Pomysł wyszedł widocznie nie od nich, starszych i doświadczonych, lecz od pacholęcia królewskiego, tak młodzieńczego, iż nikt jeszcze nie mógł rozsądku od niego wymagać. Po prostu upierał się i starsi mu w końcu ulegli.

Królewicz wyrwał się z domu, bo sam marzył o tej koronie. Nie chodziło mu o osobiste wyniesienie. Był przecież następcą tronu w Polsce i na Litwie. Nie potrzebował szukać sobie korony po świecie!

Marzenia jego miały pod sobą fundament religijny. Działał na jego uczucia przykład stryja Warneńczyka. Marzył więc, że gdy na tronie węgierskim dorośnie, pójdzie w ślady stryjowskie, a może z pomocą Bożą będzie szczęśliwy. Marzył, że po niedługim czasie razem z ojcem i bratem urządzią wielką wyprawę krzyżową połączonymi siłami Polski, Litwy, Węgier i Czech. O tym myślał ciągle. Wiemy, że ojciec myślał tak samo i zapewne nieraz sam myśli synów swoich kierował w stronę Carogrodu. W zapale syna widział odmłodzonego samego siebie. Jakże miał się opierać, gdy mu syn powtarzać zaczął: Ojcze, sam mówiłeś, sam chciałeś, a teraz mnie nie puszczasz?

Rycerski animusz i gorliwość chrześcijanina łączyły się w umyśle królewicza w żądzę, żeby jak najprędzej być tam; na Węgrzech, żeby od samego początku własną osobą uczestniczyć w tym wszystkim, co go zbliży do upragnionej krucjaty. Do jakiego stopnia cały był pochłonięty tą jedną myślą, świadczy taki fakt: na ojcowskim królewskim dworze bawił uczony włoski Filip Kallimach, zamiłowany w historii. Zapewne zbliżało to Kallimacha z Długoszem, a skutkiem tego i królewicze mogli częściej widywać, i poznać bliżej włoskiego gościa. Otóż królewicz Kazimierz poprosił Kallimacha, żeby napisał historię wyprawy warneńskiej. To go zajmowało najbardziej. Włoski pisarz spełnił tę prośbę i w przedmowie do swej pracy wychwala królewicza, jako wzór książąt. Rwał się młody Kazimierz do walki pod znakiem Krzyża! Obecna wyprawa po węgierską koronę to tylko wstęp do wielkiego dzieła. A skoro wyprawa węgierska odbywać się ma pod jego imieniem, czemuż to on właśnie miałby być wykluczony od uczestnictwa w niej? Nie mógł się z tym pogodzić.

I ustąpił król-ojciec i w końcu pozwolił, z pewnością ku zmartwieniu Dunina. Królewicz zaś cieszył się wówczas widocznie doskonałym zdrowiem, skoro uważano, że może podjąć trudy wyprawy wojennej. Ruszono w dwanaście tysięcy żołnierza drogą na Sącz pod miasto Koszyce. Było to z początku października w r. 1471, a pod koniec tego samego jeszcze miesiąca otrzymano posiłki, gdyż Jasieński, wracający już z Pragi, przyprowadził swój hufiec na Węgry i razem z Duninem szli dalej. Pochód odbywał się doliną rzeki Sajó, przez te miejsca, gdzie w r. 1242 Węgrzy doznali klęski od Mongołów i gdzie zginął królewicz Koloman (mąż św. Salomei), i następnie na nizinę węgierską ku stolicy Budzynie. Nie spotykano nigdzie żadnego oporu, ale też żadnej nie doznawano od nikogo pomocy. W pobliżu Budzyna stało wojsko Macieja, lecz bitwy nie stoczono. Siły były mniej więcej, równe, ryzykować nie chciała żadna strona. Wtem od prymasa węgierskiego nadchodzi wezwanie, żeby wojsko polskie pozajmowało jego grody i zamki. Nie odrzucono oczywiście sposobności, żeby zająć znaczniejszą część kraju; zwrócono się więc ku północy, a główna część sił polskich rozłożyła się pod grodem Nitry, mając królewicza w swym obozie.

Przypomnijmy sobie, co to napisał Długosz o Śląsku, gdy opisywał w swym wielkim dziele historycznym pokój toruński z r. 1466. Płądowały tam ciągle oddziały Macieja Korwina. A gdyby powiodło się pobić je, gdyby polskie hufce Śląsk uwolniły, czy nie dałoby się odzyskanego Śląska przyłączyć na nowo do państwa polskiego? Przy marzeniach młodego ucznia snuł swe marzenia także stary Długosz wytrawny dziejopis i polityk.

Już zajęto część górnych Węgier. Ale w Nitrze trzeba było przygotować się na długie oblężenie. Zawiedli zaś ci wszyscy, którzy niedawno temu obiecywali królewiczowi koronę węgierską. Żadnych posiłków w Nitrze się nie doczekano, ani też nie urządzono zbrojnego powstania przeciw Maciejowi. Wynik oblężenia Nitry przedstawiał się wobec tego bardzo niepewnie. Czyż Dunin miał ryzykować, że królewicz dostanie się do niewoli największego wroga? Był za Kazimierza odpowiedzialny, był obowiązany dostawić go zdrowo z powrotem. Porzucił więc Nitry, żeby odprowadzić królewicza do Krakowa. Trzeba było mieć na tę drogę orszak zbrojny, a więc zmniejszyć załogę w Nitrze. Okazało się tedy, że obecność królewskiego syna wodzowi naprawdę zawadzała.

W Nitrze został sam Jasieński i trzymał się, jak się dało. Ale nie mając już nadziei żadnej pomocy, musiał się wycofać z przedsięwzięcia i rozpocząć odwrót. Wracał przygnębiony drogą na doliny Wagu i Orawy przez Jabłonków, na Maków w stronę Krakowa.

Królewicz wrócił nieco wcześniej, w marcu 1472. Ileż nabierać gorzkich wspomnień z tej wyprawy! Jak szybko rozwiały się marzenia! Wracał na naukę do Długosza; wszakże liczył dopiero 14 lat życia.

Otwarcie nowego roku szkolnego młodych Jagiellończyków odbyło się tym razem aktem bardzo ciekawym, bo cała rodzina królewska, oboje rodzice i wszystkie ich dzieci wpisywali się do bractwa częstochowskiego. Król Kazimierz mający zawsze szczególne nabożeństwo do Najświętszej Marii Panny, ucieszył się tym wielce. Spisano z tej okazji w klasztorze Paulinów Na Skałce krakowskiej formalny dyplom, który uroczysto królowi wręczono.

W tych czasach sława i powaga klasztoru Jasnogórskiego były już utwierdzone. Zakonnicy utworzyli pośród świeckich czcicieli cudownego obrazu konfraternię, czyli bractwo. Dziś bractwa w upadku, złożone są zazwyczaj z biedoty mniej światłej, lecz niegdyś królowie wpisywali się do bractw. Toteż jako rzecz dla dzisiejszych współczesnych arcydziwną, "nieprawdopodobną a jednak prawdziwą", przepisuje się tu w dosłownym tłumaczeniu z łaciny dokument przyjęcia do bractwa częstochowskiego całej licznej rodziny króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka. Oto jego treść:

"Najjaśniejszemu Książęciu i Panu, Kazimierzowi z łaski Bożej królowi Polski, Wielkiemu Księciu Litwy, Rusi, Prus, Panu i Dziedzicowi; Najjaśniejszemu Książęciu i Panu Władysławowi, z tejże łaski królowi Czech, margrabiemu Moraw, Luksemburga, Księciu Śląska i Litwy; Najjaśniejszej Pani Elżbiecie, z Bożej łaski królowej Polski i księżnej Austrii, tego Pana Kazimierza króla małżonce - i zarazem Ich Wysokościom Książętom Panom Kazimierzowi, Olbrachtowi, Aleksandrowi, Zygmuntowi i Fryderykowi, tychże Państwa króla i królowej synom - a także Jadwidze, Zofii i Elżbiecie córkom -

Brat Jakub, zakonu Pustelników św. Pawła pierwszego pustelnika, żyjących według reguły św. Augustyna biskupa i znakomitego doktora Kościoła, prowincjał braci prafesów w królestwie polskim i w śląskich krainach, a przeor klasztoru świętego Stanisława Na Skałce w Kazimierzu - pozdrowienie niesie od Zbawcy wszystkich.

Pobożność Waszych Wysokości chwalebna i zbożny ku niebu efekt ze czci Boga Wszchemogącego i świętego Pawła pierwszego pustelnika i ojca naszego przestawnego, i zasługi Wasze pełne chwały względem nas i naszego świętego zakonu wdzięcznie przyjmując i tusząc nie bez przyczyny, że i Chrystus je przyjmie a chcąc odpłacić się Wam w sposób zbawienny, Ekscelencje Wasze i każdego z Waszych rodzin do bractwa naszego zakonu przyjmujemy i w czas życia i również w chwili śmierci, zapewniając pewne uczestnictwo wszystkich mszy świętych, modłów, nabożeństw i obrzędów religijnych, wigilii, postów, powściągliwości i pracy, i wszelakich dobrych uczynków, jakie łaska naszego Zbawiciela sprawić łaskawie zezwoli przez naszych braci wszystkich ogólnie i pojedynczo, terażniejszych i przyszłych, gdziekolwiek ustanowionych - to mocą pisma niniejszego Waszym Ekscelencjom wdzięcznie nadając, o ile łaska Boska potwierdzi i pełna zasług pobożność Waszych Ekscelencji rozwija się, żebyście mogli przez te i inne zbożne uczynki wysłużyć sobie łaski doczesne i chwałę wiekiastą w przyszłości z pomocą Pańską.

Dan w Krakowie 12 sierpnia roku Pańskiego 1472".

Wpisani do bractwa królewicze wyjechali do pobliskich Dobczyc. Nauka miała się bowiem odbywać dalej już nie w izbach na Wawelu, ani nie w domu Długosza przy ulicy Kanoniczej u stóp Wawelu, lecz na zamku dobczyckim, który król wyznaczył synom na szkołę.

Przykry był ten rok szkolny dla Długosza, stracił bowiem dawnego przyjaciela w uniwersytecie krakowskim. Święty Jan Kanty rozstał się z tym światem w r. 1473, dożywszy lat 76. Na pogrzeb przyjechał oczywiście Długosz z niedalekich Dobczyc i wziął z sobą królewiczów. Nie był to bowiem pogrzeb zwykłego tylko profesora, ale męża znakomitego także świętobliwością i wślawionego pielgrzymką do Rzymu. Beatyfikowany został św. Jan Kanty jednak aż dopiero w r. 1690 przez papieża Innocentego XI, a kanonizowany w r. 1767 za papieża Klemensa VIII.

Kładło się do grobu pokolenie starsze. Zaczynali się starzeć i ci, którzy niegdyś słuchali na rynku krakowskim kazań "kapistrańskich". Ale wątek świętości w Krakowie nie przerywał się. Wyrastał na dziewiątego w świętym gronie królewicz Kazimierz, który podczas pogrzebu św. Jana Kantego kończył piętnasty rok życia. Wschodziła nowa gwiazda i to w samej dynastii! Obok mieszczan stawał w blasku świętości królewicz.

Żył dalej w Krakowie bł. Szymon z Lipnicy, którego późne lata były właśnie najruchliwsze, bo go zakon wysyłał na kapituły generalne do Włoch. Ciche natomiast życie, jednostajne, wiedli św. Stanisław Kazimierczyk przy kościele Bożego Ciała, bł. Michał Gedroyc przy kościele Świętego Marka i Świętosław, który całe życie nie ruszał się nigdy z kościoła Mariackiego.

Tymczasem w r. 1474 spadły na państwo dwa ciężkie doświadczenia, dwie zapory w wymarzonej drodze od morza do morza. Wznowiła się wojna z Maciejem, który trzymał ciągle swe wojska na Morawach i na Śląsku. Rosło serce Długoszowi, gdy się wreszcie doczekał tam starć wojennych. Uważano też w Polsce wojnę o Śląsk za narodową i uchwalono pospolite ruszenie. Odniesiono zwycięstwo pod Swantowicami, lecz nie zdało się ono na nic, albowiem zdrada Krzyżaków wytrącała broń z rąk Polsce. Wielki mistrz krzyżacki wypowiadał lenną powinność, a poddał się królowi węgierskiemu Maciejowi Korwinowi i sam też wszczął od razu wojnę z Polską, wspierając w taki sposób Macieja od północy. Wzięli Polskę w dwa ognie. Trzeba było szybko zawierać pokój z Maciejem, żeby nie narażać Pomorza Gdańskiego, niedawno dopiero odzyskanego. W tym samym roku trzeba było bronić Lwowa.

Równocześnie inne ciężkie kłopoty spadały na nas na wschodnie. Dawno już nie było słyhać o Tatarach. Kipczak rozpadł się na kilka ord, których żadna Polska ni Litwie nie mogła być groźna. Ustały napady tatarskie z innej jeszcze przyczyny. Tatarzy zaczęli się cywilizować, prowadzili życie osiadłe, zajmowali się rolnictwem i handlem, a postęp czerpali w znacznej mierze z Polski. Lecz poprawa takich stosunków skończyła się po zdobyciu Konstantynopola przez Turków. Tatarzy przyjąwszy islam, uznawali w sułtanie tureckim swego kalifa, tj. najwyższego zwierzchnika religijnego i przeszli całkiem pod wpływ Turcji. Sułtanowie, prowadząc wielkie wojny, żeby islam szerzył mieczem, używali zagonów tatarskich do swych celów wojennych i politycznych. Widząc przed sobą obfitość łupów, porzucili Tatarzy wszelkie zarobkowanie pokojowe i zabrali się na nowo do najazdów łupieżczych, znajdując ochronę w opiece sułtańskiej. Zajawszy na swe koczowiska stepy południowo-wschodnie, przerwali nam drogę do Morza Czarne, odgradzili od tego morza, a co gorzej, rozpoczęli stamtąd szereg najazdów na ziemie ruskie. Kiedy w roku 1474 zaczęli o sam Lwów, bł. Jan z Dukli urządził uroczystą procesję po wałach miejskich i tyle dodał otuchy mieszczaństwu, iż nie tylko do miasta łupieżców nie puszczono, ale i z przedmieść ich wypędzono. Nazywano odtąd tego świętego męża "gromem na bisurmanów".

Tak więc nie powiodło się królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi posunąć sprawy ani nad Bałtykiem, ani nad Morzem Czarnym.

Święty królewicz tymczasem ukończywszy lat 15, przebywał od r. 1475 ciągle przy ojcu, sposobiąc się do rządów, jako następca tronu. Nie tylko nigdy nie stronił od spraw państwowych, lecz zajmował się nimi z największą gorliwością, jak przystało na tego, który powołany jest do rządów. Nie na samych modlitwach czas trawił, ani nawet nie miał czasu na długie modły. Jaśniał cnotami najwyższymi, a te mieszczą się według katolickiego katechizmu w doskonaleniu się do spełniania obowiązków swego stanu. Do obowiązków królewskich był pełen zapału i to stanowi najwyższą jego chwałę, bo nie mnichem był, ale królewiczem. Bywał więc na uroczystych audiencjach obcych poselstw i pojechał w r. 1476 z ojcem do Malborka na zjazd z wielkim mistrzem krzyżackim. A w r. 1478, kiedy bł. Szymon z Lipnicy puścił się śladem św. Jana Kantego na pielgrzymkę do Ziemi Świętej, królewicz Kazimierz nie mniej od tamtego pobożny, towarzyszył ojcu na sejm do Piotrkowa. Różnymi drogami według możliwości i obowiązków swego zawodu, byle zawsze mierzyć to życie stosunkiem człowieka do porządku nadprzyrodzonego!

Pozwolił sobie na pielgrzymkę do Jerozolimy także Długosz, wypełniwszy jak najdokładniej obowiązki kanonika katedry krakowskiej, wychowawcy królewiczów i historyka swego narodu. Uznając jego wielkie zasługi, przedstawił go król papieżowi na arcybiskupstwo lwowskie. Byłoby się dalsze życie Długosza sprzęgło z życiem bł. Jana z Dukli, zamieszkałego we Lwowie, lecz inna była wola Boża. Długosz do Lwowa nie przyjechał wcale, dognany przez śmierć w Krakowie w r. 1480.

Nie mógł królewicz Kazimierz odprowadzić mistrza swej pierwszej młodości do grobu Na Skałce w Krakowie, gdyż w roku poprzednim przeniósł się wraz z ojcem na Litwę i bawił tam do lata r. 1481. Król pozostał w Wilnie jeszcze dłużej, królewicz zaś wrócił w połowie r. 1481 do Polski właściwej, czyli

(jak się mówiło) do Korony i to jako współrządca z władzą namiestniczą. Liczył już lat 23. Przeżył już o trzy lata swego stryja, którego pamięć ubóstwiał. Uczył się dalej sztuki rządzenia, ażeby państwo jego było najsilniejsze w przyszłej rozprawie z półksiężcem. O rządach zaś jego w Polsce napisano: "Był bardzo mądrym i obyczajnym, a równo dwa lata panował od czasu, jak go król i pan nasz dopuścił do władzy, a całe państwo i wszyscy ludzie głosili jego pochwałę". A wojewoda malborski, Mikołaj Bażeński, głowa obywatelstwa pomorskiego, tak pisał o św. Kazimierzu: "Ten królewicz Kazimierz, nasz przyszły pan i dziedzic, to szczególnie dla nas łaskawy i przychylny książe, w którym pokładamy nadzieję, że te ziemie znowu dojdą do swego dobrobytu".

Wkrótce po objęciu rządów w Koronie, kiedy bawił w Radomiu, otrzymał wiadomość o zgonie krakowskiego Bernardyna, bł. Szymona z Lipnicy. Grób jego obwieszono wkrótce wotami. Jeszcze za życia uważany był za cudotwórcę. Cudowną moc leczniczą w chorobach oczu przypisywano też wodzie ze studni, którą kazał wykopać przed klasztorem na ulicy, która przeto była dostępna wszystkim. Ozdobiono tę studnię później drewnianym jego posągami. Nie od rzeczy może będzie zapisać tu jeden szczegół. Za mojej młodości miał Kraków wodę strasznie niedobłą. Dobra studnia należała do rzadkości. Dwie studnie przecież sławne były z dobrej wody, najlepszej w Krakowie. Jedna "u świętego Jana Kantego" na dziedzińcu gmachu biblioteki Jagiellońskiej, a druga "u Bernardynów", albo "pod św. Szymonem" zwana. Ze wszystkich końców Krakowa posyłano tam służące, gdy bardziej zależało na dobrej wodzie.

Lecz wracajmy do naszego królewicza. Po dwu latach wracał znów na Litwę. Litwini sami się o niego upominali, a zresztą cóż naturalniejszego i słusniejszego, jak to, żeby następca tronu zaprawiał się także do rządów Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Ale przyjeżdżając latem 1483 r. do Wilna, czuł się niezdrów. Zapadł na chorobę piersiową, która szybkie czyniła postępy. A rok następny 1484, zaznaczył się smutnie dwoma zgonami; we Lwowie bł. Jana z Dukli, a św. Kazimierza królewicza w Grodnie na Litwie.

Przy grobie Duklanina działy się liczne cudy. Odzyskiwali zdrowie nie tylko katolicy, lecz również Rusini i Ormianie, wtedy jeszcze schizmatycy. A zatem modlili się do niego także prawosławni; nawracał ich jeszcze po śmierci. Stolica Apostolska zaraz po zgonie bł. Jana z Dukli została zawiadomiona, że zmarł w opinii świętości. Dbał o to drugi mąż święty, bł. Ładysław z Gielniowa. Nie miał on bezpośredniej styczności ze Lwowem, pędząc życie między Warszawą a Krakowem, lecz mimo to zajął się tą sprawą gorliwie.

A święty królewicz, przewidując swój koniec i nie mogąc wskutek zbyt dużego osłabienia nadażyć z pracami państwowymi, upraszany też usilnie, żeby nie żałował sobie wypoczynku, w ostatnich miesiącach życia oddał się wyłącznie przygotowaniu na śmierć. Pograżył się w rozmyślaniach o rzeczach ostatecznych, akcję zaś miłosierną rozwinął tak rozległą, iż go w Wilnie nazwano "obrońcą ubogich".

Opromieniają świętych cudowne legendy, lecz temu świętemu legenda wyrządziła krzywdę. Kto go zna tylko z legendy, mniema o nim, że umiał tylko odmawiać modlitwy, chodząc od kościoła do kościoła, nawet po nocy. Zabawna jest legenda, gdy opowiada, jak królewicz klęczy na śniegu przed kościołem, bo kościół właśnie zamknięty! Dziwy nie lada! Lubił chadzać w sam raz do kościołów zamkniętych? A na zamku nie miał kościoła? A jeżeli zależało mu na pewnym kościele, to też kościelny nie pędził z kluczami, żeby mu otworzyć! I chodził królewicz po mieście nawet w nocy samiuteńki, bez jednego choćby służącego? Ale takie rzeczy głoszą legendy nie tylko o św. Kazimierzu, lecz o licznych innych świętych. (Te same legendy powtarzają się w rozmaitych krajach i w rozmaitych czasach). A tymczasem królewicz ten należy do świętych politycznych, do tych, którzy pragnęli przystępować do polityki religijnie, według wskazań moralności katolickiej. Powiedziano o św. Kazimierzu słusznie, że "osobistość ta nie tylko w żywotach świętych powinna być zapisana, ale także w księdze historii"

Tkwił w tym królewiczu, wielce bogobojnym, duch takich świętych Pańskich, jak św. Wojciech, Wincenty Kadłubek, św. Jacek. Należy on do szeregu politycznych świętych polskich. Są tacy święci, którzy w największym wirze świata, na najwybitniejszych stanowiskach i wśród nawały różnorodnych spraw świeckich starali się zaprowadzić sprawiedliwość chrześcijańską w praktyce i dbali o moralność

w polityce. O zasadzie swych rządów sam napisał w pewnym piśmie do wrocławian, że chce wy badać, czego wymaga sprawiedliwość, "którą nad wszystkie inne cnoty uprawiać winieniem i pragnę".

A gdy św. Kazimierz umierał, dawali Turcy właśnie znać o sobie na nowo. Tegoż roku 1484 zajęli ujścia Dunaju i Dniestru do Morza Czarnego. Król Polski wyruszył w tamte strony, wyparł i ich z Mołdawii i posuwał się zwycięsko ku wybrzeżom. Poruszył wtedy sułtan turecki Tatarów na Polskę. Pokonał ich wprawdzie królewicz Jan Olbracht w świetnym zwycięstwie pod Kopystrzynem w r. 1487, lecz najazd ten osłabił całą południowo-wschodnią część państwa. Na dobitkę, gospodar wołoski zdradził i przerzucił się na stronę Turcji. Dalszy pochód był na razie niewykonalny i trzeba było odroczyć przeprowadzenie sprawy czarnomorskiej.

W rok za ledwie po św. Kazimierzu królewiczu i po bł. Janie z Dukli żegnał świat w r. 1485 zakrystian kościoła Świętego Marka w Krakowie, bł. Michał Gedroyc, ów litewski książę. Miejsce na grób wybrał mu i pogrzebem kierował serdeczny księcia przyjaciel, dawny majster szewski bł. Świętosław.

Tymczasem zajęty czcią pośmiertną Duklanina bł. Ładysław z Gielniowa przebył rok 1486 w Krakowie, będąc powołany na gwardiana konwentu macierzystego w Krakowie na Stradomiu (pod Wawelem) i zaraz zajął się również czcią krakowskiego patrona bł. Szymona z Lipnicy. W następnym zaś roku został prowincjałem i wtedy nadeszło właśnie pozwolenie od papieża Innocentego VIII, żeby "podnieść kości" bł. Jana z Dukli, czego też bł. Ładysław dokonał skwapliwie, przybywszy w tym celu umyślnie do Lwowa. Bernardyni krakowscy otrzymali zaś takie samo zezwolenie dopiero rok później, chociaż bł. Szymon zmarł rok wcześniej od bł. Jana. Stolica Apostolska otrzymała wszakże wiadomość o lwowskim patronie wcześniej, wcześniej więc tę sprawę załatwiła. Bądź co bądź działo się to dziwnie szybko, niemal od razu po zgonie obu patronów. Ale też na tym tej gorliwości koniec. Zaginęła nawet tradycja aktu co do bł. Jana z Dukli i potem w r. 1522 prowincjał Komorowski ponownie dokonywał podniesienia kości.

O rok wcześniej (w r. 1521), zezwolił na publiczną cześć królewicza Kazimierza u nas papież Leon X; kanonizowany jednak dla całego świata katolickiego został on dopiero w r. 1602 przez papieża Klemensa VIII.

Jeszcze bez porównania dłużej przeciągnęły się procesy beatyfikacyjne błogosławionych bernardyńskich. Szymon z Lipnicy uznany był za błogosławionego dopiero w r. 1689 za papieża Innocentego XI; o beatyfikację zaś Jana z Dukli wystarano się dopiero w r. 1735 u papieża Klemensa XII.

Słusznie spotkał Bernardynów polskich zarzut, że gorliwie przyczyniali się nie tylko do beatyfikacji, ale i kanonizacji świętych swego zakonu z prowincji innych narodów, ale o swoich, polskich, lubili zapominać.

Zarzut ten jednak tyczy się nie tylko Bernardynów! Bo do reszty zapomniano o trzech innych świątobliwych, których czciło się, jako błogosławionych i tak się ich nazywało, i nazywa, ale o uznanie tej czci całkiem się w Rzymie nie wystarano! Wymierało dalej krakowskie grono świętych. W r. 1489 odszedł z tego świata bł. Stanisław Kazimierczyk. Z całego grona krakowskich świętych pozostawał przy życiu już tylko bł. Świętosław przy kościele Mariackim, ale i ten jeszcze tylko przez dwa lata. W r. 1491 zgasł Świętosław w Krakowie, a tegoż roku w Wilnie świątobliwy Ojciec Marian z Jeziorek, czczony pośród ludu długo jako święty. Pozostawał jeszcze przy życiu bł. Ładysław z Gielniowa.

Właśnie w tym czasie narzuciła się na nowo sprawa węgierska. W r. 1490 zmarł Maciej Korwin, a wtedy Kazimierz Jagiellończyk robił wielkie przygotowania, żeby osadzić na tronie węgierskim królewicza Jana Olbrachta. Ubiegł go jednak najstarszy z braci, Władysław czeski i połączył przeciw woli ojca w jednym ręku Węgry z Czechami. Bądź co bądź, dynastia Jagiellońska stawała się najpotężniejsza w Europie. Panowała w Polsce, na Litwie, w Czechach i na Węgrzech, mając nadto zwierzchnictwo lenne nad Wołoszczyzną i Prusami krzyżackimi.

Niedługo przeżył Macieja, największego wroga Polski, król Kazimierz Jagiellończyk; zmarł w r. 1492.

Data ta: 1492, znana jest powszechnie na całym świecie, gdyż jest to rok odkrycia Ameryki. Nastąpiły przez to wielkie zmiany w interesach nie tylko wszystkich narodów europejskich, ale w ogóle wszystkich ludów ziemi. Ponieważ zaś w tym samym pokoleniu zmieniły się gruntownie warunki oświaty, zaniósł się przeto z końcem w. XV i z początkiem XVI na zmiany epokowe, które zaryły się jak najgłębiej w umysł ludzki.

W historii powszechnej rozróżnia się cztery główne epoki. Czasy przed przyjściem Chrystusa Pana, tudzież dzieje rzymskie aż do upadku cesarstwa zachodniorzymskiego w połowie V wieku po Chrystusie, nazywamy historią starożytną. Zaczyna się potem historia średniowieczna, która liczy się właśnie do roku śmierci Kazimierza Jagiellończyka, 1492. Następnie zaś czasy, do rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich, zwiemy historią nowożytną; są to lata 1492-1815. Co zaś po roku 1815 się działo, zaliczamy do historii nowoczesnej.

Kazimierz Jagiellończyk kończy wieki średnie, a syn jego i następca, Jan Olbracht, zaczyna historię nowożytną.

W dalszym ciągu tych naszych opowiadań będziemy się spotykać częściej ze świętymi, zapisanymi w księdze historii i w chwale świętości.

Początki nowożytności

Owe epokowe przemiany, tworzące granice pomiędzy średniowieczem a wiekami nowożytnymi, dadzą się ująć w dwa działy: - rozszerzenie myśli ludzkiej i rozszerzenie miejsca dla ludzi na ziemi. Wcześniej powiększył się zakres myśli i otworzyły się nowe widnokręgi dla nauk i nowe tory dla oświaty; od tego więc zacznijmy.

Uniwersytety, starając się objąć wiedzę ludzką, wytwarzały coraz nowe nauki, bo badania naukowe wiodły do coraz nowszych niespodzianek, do nieustannych odkryć. Obok teologii powstawały nauki świeckie, zrazu uprawiane także przez samo duchowieństwo; z czasem wszelako poczęli pojawiać się studenci, którzy uczyli się, jak klerycy, lecz kapłanami zostać nie zamierzali. Nauka bez powołania kapłańskiego, szerzyła się w w. XV we Włoszech, a w XVI już także na północy Alp. Kościół nie zamykał nigdy swych szkół dla świeckich, ale - jak o tym była mowa - świeccy długo nie chcieli nic słyszeć o nauce szkolnej. Dopiero gdy kapłani już na wielką skalę uprawiali nauki całkiem świeckie, nie zawierające nic teologicznego w sobie, zaczęła się z wolna garnąć do nauk także młodzież nie zamierzająca studiować teologii. Powstawała inteligencja świecka. Przyczyniło się do tego wielce zamiłowanie do studiów nad cywilizacjami starożytnymi, nad światem greckim i rzymskim, w których nauka była świecka. Z tych studiów powstał prąd umysłowy, zwany humanizmem, dodający naukom żywiołu świeckiego.

Posunęła się i rozszerzyła oświata walenie przez sztukę drukarską. Wynaleziono ją w Niemczech w r. 1436 (Gutenberg), ale trwało to długo, zanim poznano się na wartości drukarstwa i nim zaczęto stałe go używać. Dzięki drukowi książki potaniały, a to sprawa zasadnicza dla oświaty. W Krakowie pojawiła się sztuka drukarska koło r. 1474, lecz dopiero za króla Jana Olbrachta ustaliło się drukarstwo w Krakowie, a niebawem za Zygmunta Starego należał Kraków do najruchliwszych ognisk drukarskich w Europie. Polskie książki zaczęto wydawać w Krakowie od r. 1521.

Dzięki drukowi nie trzeba było tracić tyle czasu na przepisywanie książek i coraz więcej uczących się mogło posiadać książki własne. Rozchodziły się też drukowane dzieła w coraz większej ilości egzemplarzy dzięki temu, że mogły być coraz tańsze.

Studenci rozchodzili się po całym kraju, coraz łatwiej było o nauczyciela, przybywało szkół i tak koło r. 1500 cała szlachta i mieszczaństwo były w Polsce piśmienne, tak iż pod tym względem wyprzedziłyśmy sąsiednie Niemcy. Uniwersytet Jagielloński kwitnął, uprawiano obok teologii filozofię, starożytnictwo greckie i rzymskie, prawo i nauki przyrodnicze, zwłaszcza zaś astronomię i matematykę. Już w połowie w. XV uczył profesor Marcin Król z Żurawicy, jak oznaczać wzniesienia i odległości na wielkich przestrzeniach, jak robić pomiary całych okolic (trygonometria). W krakowskim uniwersytecie dokonał

profesor Wojciech Brudzewski odkrycia, że księżyc zwrócony jest do ziemi zawsze jedną tylko stroną i że krąży koło ziemi po drodze niekolistej, lecz owalnej. A uczniem jego był Mikołaj Kopernik, największy astronom całego świata, który zerwał z mniemaniem, jakoby słońce i wszystkie planety obracały się koło ziemi, lecz odkrył, że jest przeciwnie, że ziemia krąży koło słońca. Ten sam Kopernik był wybitnym uczonym w nauce finansów państwowych. W pierwszej połowie XVI w. nauka polska stawała w pierwszym szeregu wiedzy europejskiej. Ale to było ciągle jeszcze po łacinie.

Oświatę zaś da się rozpowszechnić tylko we własnym języku ojczystym. Zobaczmy, jak polszczyzna stawała się coraz bardziej językiem piśmiennym. Po Ładysławie z Gielniowa mieli nastąpić inni, znacznie go przewyższający.

Ale nauczanie teologiczne odbywało się po łacinie, jak jest w znacznej części dotychczas. Ci sami Bernardyni, którzy dopomagali do wykształcenia polskiego języka literackiego, spisywali swoje wywody teologiczne po łacinie. Taki np. O. Jan Szklarczyk, sławny mistrz nowicjatów, układał podręczniki do nauki nowicjuszy tylko po łacinie. Wybitny ten Bernardyn był przedtem kapłanem świeckim i zyskał w uniwersytecie stopień magistra, a potem dopiero przyjął habit zakonny (w r. 1474). Był kilkakrotnie za granicą, jeździł jako delegat na kapituły generalne całego zakonu we Włoszech. On przywiózł z Rzymu kapelusz kardynalski Fryderykowi Jagiellończykowi. Prowincjałem był dwa razy. Zaliczał się do najlepszych znawców prawa kościelnego. Napisał rozprawę, w której wykazał, że Bernardynom wolno używać kosztownych kielichów i monstrancji, że nie muszą być drewniane. On też obronił stanowisko Bernardynów co do ważności sakramentów, udzielanych przez duchowieństwo prawosławne. Nazwisko jego pochodzi stąd, że był synem szklarza; urodzony w Trzemesznie pod Gniezmem, przebywał w różnych stronach Polski, ostatnie lata życia spędził w Poznaniu i tam zmarł w r. 1515. Na grobie jego w kościele Świętej Marii Magdaleny, działy się cuda, ale kapituła zabraniała czynić przy nim ślubowań.

A tego samego roku 1515 zmarł w Kościanie Marian z Szamotuł, którego jeszcze za życia miano za cudotwórcę. W ogóle nie brakło Bernardynów zmarłych w stanie świętości, lecz jakoś nie dbano, o to, bo nie robiono żadnych starań w Rzymie o potwierdzenie i rozszerzenie ich czci. Aż się wierzyć nie chce, jak brutalnie stłumiony był kult zmarłego w opinii świętości Ludwika z Warki. Był to "Kapistrańczyk", tj. jeden z tych, którzy zaraz w r. 1453 w Krakowie zakładali pierwszy klasztor bernardyński. Następnie przebywał w Warszawie, musiał kazania swe wygłaszać na ulicach, bo żaden kościół nie mógł pomieścić słuchaczy. Słynął z nadzwyczajnej pokory, obok obfitości wszelkich innych cnót. Na grobie jego także działy się cuda i zawieszano wota, ale gwardianin Auctus popalił wszystko, mówiąc: "Jeśli jest święty, niech chwałę ma w niebie, ale nam zbiegający się ludzie sprawiają roztargnienia i przykrości". Wszystko to z przesadnej pokory! I spór o monstrancje drewniane i jakaś niechęć do podnoszenia braci na ołtarze, wszystko to były objawy duchowego umartwiania się, pochodzące z obawy, żeby upokarzania się nie było za mało. Czy jednak w tym wypadku nie było to przesadą?

A Bernardyni byli wszędzie i zajmowali się wszystkim. Od nich wywodzi się także instytucja kapelanów wojskowych. Oni pierwsi towarzyszyli wojskom polskim, wyprawiającym się na Wołoszczyznę lub na Tatarów, których zagony stawały się niestety zjawiskiem pospolitym w tych czasach, niemal rok w rok.

Nie tylko nad Morze Czarne nie można było się posuwać, ale zaniedbano się nawet nad Bałtykiem. Wielki mistrz krzyżacki odmawiał hołdu, a więc król polski miał prawo odebrać mu Prusy Wschodnie. Tak radził sławny biskup tamtejszy, biskup warmiński Watzelrode; choć Niemiec, prosił króla, nie tylko od siebie, żeby resztę państwa krzyżackiego wcielić do Polski. Ale na próżno czekano sposobnej pory!

Od samego wstąpienia na tron Jana Olbrachta wciąż te najazdy tatarskie! Klasztor bernardyński w Samborze leżał im na drodze, toteż spalili go, a zakonników uprowadzili do niewoli. Gdyby przynajmniej gospodar wołoski stał po stronie chrześcijaństwa! Żeby go związać z Polską, postanowiono zdobyć dla niego krainy nadbrzeżne nad ujściami Dniestru i Dunaju. Skoro je otrzyma od Polski, może nie będzie popierać Turka! Ale Stefan wołoski i tak zdradził, a podczas wyprawy w r. 1497 oświadczył wręcz, że uważa się za poddanego sułtana. W osławionych lasach bukowińskich kazał na znacznej przestrzeni popodrzynać drzewa i zniecka zwała je na przechodzące wojsko polskie. Trupami zatarasował drogę dalszym oddziałom. A zaraz w następnym roku nowy najazd turecko-tatarski i z wołoskimi posiłkami. Całe sto tysięcy jeńców uprowadzonych w jasyr!

Wtedy bł. Ładysław z Gielniowa kazał w podległych sobie klasztorach odprawiać osobne, specjalne nabożeństwa, i sam przebiegał z krzyżem w ręku miasta i wie, wzywając do modlitwy, i do oporu zarazem. Niestety, opór był bezskuteczny; modły chroniły przynajmniej od rozpacz. Najbardziej ucierpiał znowu klasztor w Samborze, ledwie co odbudowany po poprzednim najeździe. Tatarzy zamordowali dwóch braciszków, którzy pozostali na miejscu, Jana i Bogusza. Dziesięciu zakonników szukało ocalenia w ucieczce, lecz trzech ledwie zdołało się ocalić. Siedmiu pojmano, a między nimi Jerzego, gwardiana z Nowego Miasta, który bawił chwilowo w Samborze. Od tego czasu zaczęli Bernardyni obwarowywać swe klasztory na wschodzie.

A kiedy papież Aleksander VI zaczął głosić krucjatę przeciw Turkom i kiedy król Jan Olbracht gotował się do tej wyprawy krzyżowej, mieliśmy zaraz Tatarów u siebie aż pod Lublinem i pod Opatowem. Wówczas król Jan Olbracht zmuszony był zawrzeć z Turcją rozejm na pięć lat. Było to w styczniu 1501 r., a w czerwcu król już nie żył.

Panowanie brata i następcy jego Aleksandra, który pod jednym berłem łączył na nowo Litwę z Polską, zaczyna się od strasznego najazdu tatarskiego. W r. 1502 najeźdźcy sięgnęli poza Wisłę. Wsławił się wtenczas Opatów. Tamtejszy klasztor Bernardynów był już obwarowany, mnóstwo więc ludu schroniło się do nich. Tatarzy miasto spalili, lecz klasztor na próżno przez cztery dni oblegając, odeszli. Straż Tatarzy wypuścili tyle, iż jeszcze po kilkudziesięciu latach niektóre widać było zaryte w dachach. Jeden z Ojców imieniem Jan, który był zakrystianem, odprawiwszy mszę, poszedł na wały i zastrzelił wodza tatarskiego; następnie przy bramie, broniąc wejścia z mieczem w ręku, zabił trzech Tatarów, ale sam odniósł od ich strzał takie rany, iż po trzech dniach zmarł.

Podczas oblężenia spłonął dom syndyka klasztoru, w gruzach znaleziono jednak krucyfiks nie uszkodzony. Uznano ten krzyż za cudowny, a gwardian opatowski obszedł z nim nawet dalsze okolice, za nim zaś szły procesje, zanosząc gorące modły o zmiłowanie Boże, żeby kraj zaznał spokoju od tych najazdów.

Przedłużono rozejm z Turcją na dalszych pięć lat, ale sułtan uważał, że byle Turków nie ruszał na Polskę, wolno mu podpuszczać Tatarów. Nowy najazd zniszczył Ruś i Litwę aż po Kleck i Nieśwież, a choć Tatarzy ponieśli w końcu ciężką klęskę w polu, ci którzy wrócili do ordy, wracali obłowieni wielu łupami.

Wśród tych najazdów przyszło w r. 1505 umierać bł. Ładysławowi z Gielniowa. Zmarł i pochowany jest przy ulubionym swym klasztorze warszawskim w kościele Świętej Anny. Na grobie działy się różne cudy, których spis aż po rok 1522 dochował się; dalsze papiery poginęły niestety. Beatyfikację dokonano dopiero za papieża Benedykta XIV (1740-1758).

Zaraz po tym świątobliwym zgonie patrona Warszawy nastąpił nowy najazd tatarski na Podole, a potem w r. 1506 rozpoczął się najazd największy, pod wodzą chana krymskiego Mengli-Gireja, który zapędził się aż niedaleko Wilna. Tam właśnie przebywał król Aleksander, chory już od dłuższego czasu. Doczekał się jeszcze wiadomości, że Tatarów pobito pod Kleckiem, po czym zakończył swe dni ziemskie i krótkie swe królowanie w r. 1506.

I do tego także króla kołatał biskup warmiński Watzelrode na próżno, żeby Krzyżaków całkiem wypędzić. Kiedy Aleksander mógłby się za to wziąć?

A nie brakło temu królowi bynajmniej rozległej myśli politycznej, sięgającej w dalszą przyszłość! Jan Łaski, kanonik poznański (a potem arcybiskup i prymas) powziął program, który przetrwał półtora stulecia, przynajmniej w pewnej części. Zbierał Łaski koło siebie stronnictwo zwane narodowym, które pragnęło wracać do polityki Bolesławów, do dążeń Chrobrego i Krzywoustego, żeby opanować wybrzeże Bałtyku od Prus aż daleko na zachód, aby w państwie polskim znajdowało się ujście nie tylko Wisły, ale również Odry. A więc domagali się stronnicy Łaskiego po pierwsze: żeby całe Prusy przejść pod bezpośrednie zwierzchnictwo Korony polskiej; po drugie, żeby objąć zwierzchnictwem lennym Pomorze Zachodnie na zachód od Pomorza Gdańskiego aż po Odrę. W tym celu wdał się Łaski w układy z głównym księciem tamtejszym, Bogusławem X i uzyskał od niego zgodę. Po trzecie, żeby

uniknąć szwedzkiego współzawodnictwa o panowanie na Bałtyku, głosili hasło unii ze Szwecją. Senat szwedzki program ten przyjął. Król Aleksander plany te uznał i przyłączył się do nich, i posłał do Szwecji od siebie wyprawę. Podczas układów przedwstępnych śmierć króla zabrała.

Program Łaskiego mieścił w sobie całkowite panowanie na Bałtyku wspólnie ze Szwecją. Zobaczmy jeszcze, jak głęboko w umysły polskie wbiła się myśl o tej spółce.

Z sześciu synów Kazimierza Jagiellończyka czterech już zmarło, bo i kardynał Fryderyk Jagiellończyk żył krótko; zmarł w r. 1503. Pozostali przy życiu najstarszy z braci i najmłodszy: Władysław czesko-węgierski i Zygmunt, którego wyniesiono na trony polski i litewski.

Zygmunt panował długo, bo do roku 1548, dożywszy 81 lat. Nosi przydomek Starego, który nadano mu jeszcze za życia i to w czasie, kiedy wcale tak dalece stary nie był, bo liczył dopiero 63 lata. Polacy przywiązali się mianowicie wielce do dynastii Jagiellońskiej i posiadali silne poczucie monarchistyczne; uważano więc za stosowne zapewnić z góry następstwo synowi po ojcu. Wybrano więc w r. 1530 królem dziesięcioletniego królewicza Zygmunta Augusta i zaraz go koronowano. Skoro koronowany, był więc prawnie królem. I tak mieliśmy przez 18 lat, w latach 1530-1548, dwóch królów. Obydwóm było na imię Zygmunt, więc dodawano dla odróżnienia "stary" i "młody", i stąd przydomek Zygmunta Starego. Zastrzeżono jednak w r. 1530, że młodemu nie będzie wolno wdawać się w rządy, póki żyje ojciec, choćby żył najdłużej i choćby syn sam najwięcej "dorósł". Jakoż dożył Zygmunt August 28 lat jeszcze za życia ojca. Sam panował potem przez lat 24, trwało przeto panowanie obydwóch Zygmunatów przez lat 66, mieszcząc w sobie dwa pokolenia. W historii zowią się te lata "czasami zygmuntońskimi".

Są to czasy rozkwitu myśli polskiej, nauki i literatury; czasy wielkiej powagi państwa polskiego, które wysunęło się do pierwszego w Europie szeregu, ale jednak nie powiodło się nam dotrzeć do Morza Czarnego, ani też Bałtyku nie opanowaliśmy.

Panowanie Zygmunta Starego zaczyna się niemal od sprawy o unię ze Szwecją, w myśl programu Łaskiego. W dalszym ciągu układów wszczętych za króla Aleksandra przybył w marcu w r. 1507 poseł szwedzki do Krakowa, w sam raz na koronację Zygmunta. Nowy król odpowiedział, że w zasadzie zgadza się, lecz obecnie umawiać się nie może co do szczegółów, gdyż musi spieszyć na Litwę z powodu najazdu moskiewskiego. A wojna moskiewska miała się przedłużać bez końca.

Program polityczny morski stawał się dla w. XVI koniecznością. Tak się bowiem zmieniły wielkie szlaki handlu międzynarodowego, że te tylko narody mogły dochodzić do dobrobytu, które panowały nad wybrzeżami mórz. Pozostaje to w najściślejszym związku z owym rozszerzaniem miejsca dla ludzi na ziemi, o czym była wzmianka wcześniej.

W przenośni można by wyrazić się, świat się rozszerzył. Był to okres wielkich odkryć geograficznych. Chodziło o to, żeby odkryć drogę morską do kraju, gdzie od starożytnych czasów aż po dni nasze leżały i leżą zawsze źródła olbrzymich bogactw do handlu międzynarodowego, tj. do azjatyckich Indii. Szukano drogi morskiej, bo na lądowych drogach w Azji dawało się we znaki tureckie panowanie.

W poszukiwaniach tych współzawodniczyli Portugalczycy i Hiszpanie. Portugalczycy żeglarze długo próbowali opłynąć w tym celu Afrykę dookoła, po czym dopiero otwarły się dla nich Ocean Indyjski. Zaczęły się te wyprawy w r. 1415, a dopiero słynny Bartłomiej Diaz dotarł w r. 1486 do południowych krańców Afryki; wykonał tedy ledwie połowę zadania. Ale o drugą połowę było już łatwiej i wreszcie w r. 1498 Vasco da Gama dokonał okrążenia Afryki, a od r. 1504 zaczęło się opanowywanie Indii przez Europejczyków.

Hiszpania próbowała szczęścia wprost przez Ocean Atlantycki. Po tej drodze wykreślał plany wypraw największy żeglarz wszystkich czasów, Krzysztof Kolumb. Był to Włoch, obywatel miasta żeglarskiego Genui, ale nie znajdował poparcia we własnej ojczyźnie. Uwzględniając kulistość ziemi przypuszczał, że Atlantyk oblewa z jednej strony brzegi Europy Zachodniej, a z drugiej brzegi Azji Wschodniej. Nikt nie miał pojęcia o tym, że pomiędzy Europą a Azją istnieje w pół drogi przez ocean nieznaną jeszcze część świata. Wykołatawszy po wielu trudach okręty i zasiłki na wyprawę, dopłynął w latach 1492,

1495 i 1499 do wysp, tworzących cały archipelag, a który nazwano Indiami Zachodnimi. Dopiero podczas czwartej wyprawy, w latach 1502-1504, odkrył wybrzeże Hondurasu w Ameryce Południowej. Nikt, ani sam nawet Kolumb nie domyślał się, że odkryto nową część świata! A kiedy na jednej z wypraw, portugalskich w r. 1500 silny prąd morski uniósł statki Portugalczyków i poniósł ich żaglowce aż do Brazylii, nikt nie wiedział, że to jest na południe od Hondurasu w tej samej części świata. W ogóle nie wiedzieli wzajemnie o sobie.

Dopiero kiedy w r. 1513 dotarto w Ameryce Środkowej do Oceanu Spokojnego, zorientowano się, że odkryto nie wschodnie wybrzeże Azji, lecz nową część świata, z której daleko jeszcze do azjatyckich Indii. Wreszcie w latach 1519-1522 admirał Magellan (Portugalczyk, lecz w służbie hiszpańskiej) opłynął całą ziemię, odbył pierwszą podróż naokoło świata.

Ameryka okazała się źródłem bogactw wcale nie pośledniejszym od Indii, a Hiszpania wzbogaciła się jeszcze bardziej od Portugalii. Cenne rośliny, korzenie, przyprawy i (o co najbardziej chodziło) kopalnie złota.

Między tymi największymi i najślawniejszymi admirałami wyróżniał się Krzysztof Kolumb tym, że nie dla bogactw żeglował, lecz uniesiony zaciekawieniem naukowym, zapalem do krzewienia prawdziwej wiary w nieznanych dalekich krajach. Dokonywał zaś podróży swoich wśród wielkich kłopotów i umartwień, prześladowany zawiścią ludzką (nawet więziony przez rząd hiszpański), ścigany przez los, ale zawsze gotów do nowych trudów. Jego podróże odkrywcze miały w sobie więcej cech poświęcenia niż tryumfów. Przecierpiał niezmiernie wiele, aż dziwić się trzeba, że zdołał tyle złego wytrzymać. Tłumaczy się to tylko gorącą jego wiarą, nadzwyczajną bogobożnością. Uznał to Kościół i właśnie za naszych czasów przeprowadzono proces kanonizacyjny.

Oczywiście musiało minąć przynajmniej jedno pokolenie, przynajmniej jakie 30 lat, zanim odkrycie drogi do Indii i Ameryki zaczęło wydawać skutki. Odczuto i zrozumiano to dopiero około r. 1530 i dlatego dopiero tu w tym miejscu o tym się rozpisujemy. Dla Polski stało się odtąd wprost koniecznością, żeby zdobywać jak najwięcej wybrzeża morskiego. Cały nasz byt zależał od tego, czy spełni się hasło "od morza do morza".

Dawny handel śródlądowy zamienił się skutkiem wielkich odkryć geograficznych na handel oceaniczny, zamorski, a dostęp do niego i do bogacenia się mogły uzyskać tylko takie państwa, które posiadały sporo wybrzeży morskich. To, co odzyskaliśmy na Krzyżakach za Kazimierza Jagiellończyka, było drobiazgiem wobec tego, czego nam było potrzeba. Bałtyk dobry był dla prowincji północnych; południowym trzeba było bardziej dostępu do Morza Czarnego. Jeżeli tej drogi sobie nie zabezpieczymy, pozostaniemy krajem ubogim, a zatem nie zdołamy też nabyć znaczniejszej siły politycznej.

Nawet nad Bałtykiem groziło nam jeszcze niebezpieczeństwo. Zakon nie tracił nadziei, że odbierze nam na nowo Pomorze Gdańskie. Wielcy mistrzowie Zakonu odmawiali składania przysięgi lennej. Opierając się Polsce, pokładali nadzieję w dynastii habsburskiej. Ażeby wydrzeć Jagiellonom korony czeską i węgierską, osaczał cesarz niemiecki, Maksymilian z rodu Habsburgów, Polskę i Litwę dookoła koalicją, do której wciągał Danię, Mołdawię, Brandenburgię, Saksonię, Krzyżaków i Moskwę. Krzyżacy zaś wybierali sobie mistrzów naumyślnie z książęcych rodów z Niemiec; najpierw Fryderyka saskiego, potem Albrechta brandenburskiego. Zygmunt Stary protestował i ostrzegał, że będzie wymagać hołdu, i posiłków wojennych w razie wojny z Moskwą, Tatarami lub Turcją, i że opór Zakonu gotów jest złamać użyciem siły zbrojnej, czyli wypowiedzieć nową wojnę Krzyżakom.

Łaski zabiegał w r. 1513 znowu w sprawie Pomorza Zachodniego i sam Bogusław X wznowił układy o stosunek lenniczy, lecz król odpisał mu, że musi odłożyć układy do spokojniejszej pory. Szkoda, bo wraz z Bogusławem można było wziąć zakon w dwa ognie.

Na Węgrzech zaś ubezpieczał się Zygmunt Stary zawczasu przeciw Habsburgom, wiążąc się z Zapolyami, rodziną książąt siedmiogrodzkich: w r. 1512 pojął nawet za żonę księżniczkę Barbarę Zapolską, panią wielkiej świętobliwości. Rozgrywki, zwłaszcza o koronę węgierską, oczekiwano z niepokojem w całej Europie. Król czeski i węgierski, Władysław Jagiellończyk (brat polskiego

Zygmunta) miał wprowadzić syna Ludwika, ale było to dziećmi tak chorowite, iż nie wróżyło mu dłuższego życia.

O Węgry chodziło Zygmuntowi, a nie o Czechy, bo żyła w Polsce wciąż tradycja Władysława Warneńczyka. Chodziło o związek z Węgrami na wojnę z Turcją. Przez dwieście lat mieliśmy marzyć o wypędzeniu Turków z Europy, i przez dwieście lat miała nam przeszkadzać Moskwa, wiążąc nam ręce niejako od tyłu. Jakże urządzić ligę wojenną przeciw sułtanowi, gdy za każdym prawie razem groził nam od tyłu najazd moskiewski ma Litwę?

Z Moskwą miała Litwa wojnę już od roku 1507, a gdy przerwano ją rozejmem, cesarz niemiecki namówił Wasyla moskiewskiego, żeby rozejm zerwał. Cztery razy wyprawiał się Wasyl na Litwę; dwa razy oblegał na próżno Smoleńsk, aż wziął go zdradą w r. 1514. A był to gród nader ważny nad górnym Dnieprem, na północnych kresach Wielkiego Księstwa Litewskiego. Tegoż roku odniesiono jednak wielkie zwycięstwo w polu pod Orszą. Współcześni przypisywali je skutecznym modłom królowej Barbary Zapolskiej. Tradycja ta przechowywała się aż do końca królestwa polskiego, skoro jeszcze w r. 1767 pisano:

"Względem Pana Boga, miłości Jego i bliźnich była pełna w cnoty wielkie i miłosierne uczynki obficie przybrana, marnościami świata gardząca, a w nabożeństwie gorąca, a w chwale Bożej ustawiczna. Gdy król Zygmunt wyprawił się na wojnę przeciwko Moskwie, a pod Orszą z wielkim ich wojskiem miał stoczyć bitwę w nierównych siłach, polecił tę sprawę małżonce pobożnej swojej. Więc ona nieprzestannie we dnie i w nocy z obfitymi łzami Boga błagała; podłe na się wzięwszy szaty, ostre posty chowała, jałmużny szczodra ręką na ubogich sypała. I tak szczęśliwie król wygrał i nad ludzką nadzieję wielkie otrzymał nad nieprzyjaciół zwycięstwo, które on sam i wszyscy inni modlitwom i zasługom tej świętej królowej przypisali".

Niestety, tylko przez trzy lata zasiadała na polskim tronie ta "święta królowa"; porwała ją przedwcześnie śmierć już w r. 1515. Ponieważ nie pozostawiła potomstwa, król musiał się ożenić powtórnie; zawarł ponownie śluby w r. 1518 z księżniczką włoską Boną. Ta po dwuletnim pożyciu obdarzyła go synem (Zygmunt August).

Rok zaś zgonu Barbary Zapolskiej miał się stać zarazem rokiem klęski politycznej: Łaski znowu nadaremnie wznowił układy o unię ze Szwecją. Coś całkiem innego wysunęło się natomiast na widownię polityczną. Władysław czesko-węgierski ulegał naciskowi cesarza Maksymiliana i skłaniał się już od trzech lat do rozmaitych układów z Habsburgami o następstwo na trony czeski i węgierski. Opuszczony przez własnego brata, jakże miał Zygmunt Stary sam stawiać cesarzowi przeszkody, zwłaszcza, że był otoczony jego koalicją? Zjechali się więc w Wiedniu 1515 obydwaj Jagiellończycy, Władysław i Zygmunt z cesarzem Maksymilianem i tam zawarto w katedrze Świętego Szczepana dwa śluby małżeńskie. Cesarz Maksymilian poślubił w imieniu swego wnuka Ferdynanda królownę czeską i węgierską Annę, córkę Władysława Jagiellończyka; syn zaś Władysława i brat Anny, słabowity Ludwik (na którego śmierć czekali Habsburgowie), wówczas dziewięcioletni, żenił się z wnuczką cesarza Marią. W rok potem król Władysław umarł, a korony czeska i węgierska spoczęły na czole dziesięcioletniego Ludwika.

Ubezpieczyli się tedy Habsburgowie na wszelkie wypadki. Zygmunt Stary samą obecnością swoją w Wiedniu zatwierdzał niejako te umowy, za co Maksymilian przyrzekał, że pozostanie neutralny w sporze z Krzyżakami i że będzie pośredniczył na korzyść Zygmunta w wojnie z Wasylem.

Nie tylko żadnych przyrzeczeń cesarz nie dotrzymał, lecz podzegał nadal Krzyżaków i Zygmunt Stary był zmuszony wszcząć z nimi wojnę, chociaż równocześnie był wciąż zagrożony przez Wasyla.

W tych opałach wysuwa się jeszcze raz wielki program Łaskiego. Wymarła w tych czasach szwedzka dynastia narodowa, kraj był rządzony przez gubernatorów, Polsce życzliwych. Właśnie w r. 1520 zmarł drugi z kolei z tych gubernatorów, Sven Sture młodszy. Syn jego rodzony, Nils, wybrał się wraz z kanclerzem Piotrem Jacobsonem do Polski, żeby Zygmuntowi Staremu ofiarować koronę szwedzką. Poselstwo szwedzkie stawiło się przed królem w Toruniu na samym początku wojny z Albrechtem pruskim, i otrzymało znowu odpowiedź nijaką. Trudno było Szwedom wiecznie czekać. W rok potem

oddali rządy na razie zastępcze Gustawowi Wazie, a w r. 1523 wynieśli go na tron. Ta nowa dynastia, Wazów, miała następnie zasiąść na tronie polskim.

Tymczasem wojowaliśmy z ostatnim niemieckim mistrzem krzyżackim. Plan wojny ułożył utalentowany wojewódzic krakowski, Jan Tarnowski, a tak trafnie, iż wkrótce za to został potem hetmanem. Wykonując ten plan, ówczesny hetman polski Mikołaj Firlej podszedł z wojskiem pod sam Królewiec, a na zachodzie lud kaszubski kosami i cepami przepędził zaciężne posiłki, przysłane Albrechtowi z Niemiec. Warto zapisać tu ciekawe wydarzenie: kiedy w marcu 1521 r. powiodło się ocalić Elbląg przed wojskiem krzyżackim, miasto to, czysto niemieckie, ustanowiło z tego powodu wielką uroczystość. I obchodzono rok w rok rocznicę dnia 8 marca, dnia odpędzenia Krzyżaków od miasta; obchodzono tę uroczystość aż do końca niepodległości królestwa polskiego. Przy takiej nienawiści własnych poddanych była więc sposobność zgnieść krzyżactwo do reszty, wyrzucić znad Bałtyku, a Prusy krzyżackie wcielić do Polski.

Ale były przeszkody. Turcy zagrażali już bowiem bezpośrednio Węgrom. Zwrócono się do Polski o pomoc. Wyruszył tam hetman Jan Tarnowski i Turcy wstrzymali się w zwycięskim pochodzie. Te kłopoty na południu wybawiły Albrechta z opałów. Gdy poprosił o rozejm czteroletni, udzielono mu go, przypuszczając, że tymczasem zażegna się niebezpieczeństwo tureckie. Ale przez te cztery lata zmieniły się niespodziewanie stosunki tak, iż panowanie Zakonu w Prusach zamieniło się na świeckie państwo niemieckie.

Przyczyną był protestantyzm. Protestanci zwą swoje herezje "reformacją", co ma oznaczać naprawę Kościoła. Ale to była nie reformacja, lecz rewolucja w Kościele. Zaczęła się w r. 1517 od Marcina Lutra, wnet potem przybył kalwinizm, a niebawem zjawiało się już kilkadziesiąt rozmaitych sekt. Książęta niemieccy sprzyjali luteranizmowi, bo zagarniali na wszystkie strony dobra kościelne. Takie zagarnięcie dobra kościelnego na rzecz państwa zwiemy sekularyzacją, to znaczy zeświecczeniem, przywróceniem do stanu świeckiego. W Niemczech sekularyzowano nawet biskupstwa i kilku biskupów porobiło się świeckimi książętami na dawnych dobrach biskupich. Do tych odstępców Kościoła przystał także wielki mistrz Albrecht z rodu Hohenzollernów, margrabiów brandenburskich.

Albrecht brandenburski był w duchu protestantem od początku; wyprawiał posłów do Lutra, a w r. 1523 pojechał nawet do niego do Wirtembergii w Niemczech i tam uradzono sekularyzację Zakonu. Chodziło tylko o to, czy przystanie na sekularyzację Prus zwierzchniczy pan lenny Albrechta, król polski.

Prymas Łaski jeszcze w ostatnim roku pruskiego rozejmu, w styczniu 1524 r. miał w Gdańsku zjazd z pełnomocnikami Danii, Meklemburga i Pomorza Zachodniego. Przygotowywał koalicję całej zachodniej połaci wybrzeży bałtyckich przeciw margrabiom brandenburskim i Zakonowi. Ale król od początku niechętny był przyjmowaniu Pomorza Zachodniego w lenno. Łaski utracił polityczne wpływy, a do steru doszli tacy, którzy woleli oprzeć politykę polską o Niemcy i sądzili, że wzmocni się Polska przez przyjaźń z Niemcami!!

O polskie zezwolenie na sekularyzację Prus starał się dwór węgierski. Młodziutki król czeski i węgierski, Ludwik, upraszał swego polskiego stryja, żeby za wszelką cenę ułożył się z Albrechtem, ażeby siły polskie były na wszelki wypadek gotowe przeciw Turcji. Sejm polski uchwalał olbrzymie sumy na wznowienie wojny w Prusach, a tymczasem odbywały się już po cichu układy o sekularyzację.

W r. 1525 zjechał Albrecht Hohenzollern do Krakowa i na krakowskim rynku składał lenną przysięgę wierności Zygmunutowi Staremu, już jako świecki dziedziczny książę pruski. Odezwał się wtenczas arcybiskup lwowski, Bernard Wilczek w te słowa: "Jakżeż dotrzyma królowi polskiemu przysięgi ten, który jej nie dotrzymał Bogu?" Dochował się też łaciński wiersz szyderczy, pióra Stanisława Hozjusza, początkującego wówczas prawnika, o którym będziemy mieli potem do powiedzenia.

Węgrom zaś nie zdała się sekularyzacja Prus na nic. W roku następnym 1526 ponieśli ciężką klęskę od Turków pod Mohaczem, gdzie też wycięte zostały polskie posiłki ochotnicze. Poległ w tej walce Ludwik Jagiellończyk, zaledwie dziewiętnastoletni, jeszcze nawet o rok młodszy od swego stryjecznego dziadka, Władysława Warneńczyka. Tron Czech i Węgier zajęli po nim Habsburgowie.

Niezdługo wkroczyli Turcy ponownie na Węgry i część tego kraju podbili na długo pod panowanie mahometańskiego półksiężycy. Ruszyli jeszcze dalej i w r. 1529 zapędzili się aż pod Wiedeń. Oblegali go, lecz na szczęście bezskutecznie. Turcja wyrosła tymczasem na największą potęgę militarną świata. Drżała przed sułtanem cała Europa; nie można powiedzieć, żeby się Polska nie obawiała w tym czasie jakiegokolwiek zaczepki z Turcją. Już bowiem nie można było liczyć na powstanie całej chrześcijańskiej ludności Bałkanów.

Zagadnienie stosunku chrześcijan do rządów muzułmańskich na Bałkanach powikłało się w sposób nader przykry. Nie wszyscy chrześcijanie pragnęli, żeby ich uwolnić od jarzma islamu. Prawosławnym zaczęło się powodzić doskonale pod sułtanem. Patriarcha carogrodzki stał się uznaną przez sułtana głową schizmatyków także w sprawach świeckich, z własnymi funduszami i z własną administracją, zwłaszcza co do szkół i ksiązek. Prawosławnym nie wolno było zmuszać do przechodzenia na islam; urzędem tureckim nie było wolno uwięzić popa bez wiedzy patriarchatu. Nie tknięto dóbr cerkiewnych, a patriarcha miał prawo wysyłać na prowincję swych poborców po należne sobie podatki, których pobór sułtan mu gwarantował. Był więc patriarcha schizmatycki wielkim i mocnym panem w państwie sułtana.

Toteż sławili sułtanów patriarchowie carogrodzcy, prawosławni i uczeni pisarze cerkwi bizantyńskiej. Układano poematy na cześć sułtanów, a samego zdobywcę Carogrodu nazwano "gwiazdą firmamentu". Nastąpiło doskonałe porozumienie patriarchów z sułtanami. Rząd turecki spostrzegł wkrótce, że nic mu nie grozi ze strony schizmy, że tylko same katolickie państwa myślą o lidze przeciw Turcji; zaczął więc prawosławie protegować, a stawiać zapory tylko katolicyzmowi, a nawet po niedługim czasie prześladować go.

Duchowieństwo prawosławne poczuwało się nawet do wdzięczności względem Turków za to, że uwolnili ich od "niebezpieczeństwa" unii kościelnej. Nienawiść przeciwko katolicyzmowi wzmagala się wśród cerkwi bizantyńskiej coraz bardziej. Doszło do tego, że patriarcha i sułtan stali się najściślejszymi sojusznikami we wszelkiej walce przeciwko Kościołowi katolickiemu.

Polskie plany wielkiej ligi przeciwko Turcji były przeto miłe tylko katolikom na Bałkanach, ale prawosławni stawali przeciw takim zamiarom; oświadczyli się za sułtanem. Monarcha katolicki, który by wkroczył na Bałkany pod koniec w. XVI miałby nieprzyjaciół w schizmatykach.

Mniejszość katolicka, wielbiąc ciągle pamięć króla Władysława Warneńczyka, uległa prześladowaniu. Utrzymanie katolicyzmu na Półwyspie Bałkańskim jest zasługą Franciszkanów i Bernardynów, którzy tam pozostali, niezrażeni żadnymi prześladowaniami. Z podziwem należy też stwierdzić, że nigdy nie zabrakło im nowicjuszy! Przeszło czterysta lat pełnili tam służbę Bożą jak najlepiej, żyjąc w ciągłym niebezpieczeństwie, w najgorszych niewygodach i nędzy. Ani nawet klasztoru mieć nie mogli. Za papieską dyspensą każdy z nich żył osobno, w nieustannej wędrówce. Od osady do osady, a zawsze w tajemnicy, poprzebierani, nocujący u zaufanych wiernych. Zwano ich "ujcami" tj. wujami, bo gdy Franciszkanin przybył do katolickiego osiedla, podawano go wobec władz za "ujca" któregoś z mieszkańców. Każdy z nich był jakby wędrownym proboszczem, a nadto mieli rozmaite przywileje od Stolicy Apostolskiej. Mogli uwalniać od kar kościelnych, a także od przeszkód małżeńskich, mieli nawet prawo bierzmowania. A byli to z reguły zakonnicy z wyższym wykształceniem; wydali niemało literatów i nawet wybitnych poetów. Zajmują poczesne miejsce w dziejach piśmiennictwa chorwackiego.

Ale prawosławie bałkańskie stało się już wrogiem dla Polski. Prawosławni gospodarowie wołoscy składali teraz hołdy sułtanom i podobnie jak Tatarzy gotowi byli rzucić się na Polskę na skinienie Carogrodu. Tak Petryło mołdawski przekroczył granice polskie i rzucił się na Pokucie. Ale pobił go w sierpniu 1531 r. Jan Tarnowski w sławnej bitwie pod Obertynem. Z dział tam zdobytych ulany jest w katedrze na Wawelu wielki dzwon "Zygmuntem" zwany.

Ten sam hetman Tarnowski okrył się jeszcze raz sławą w wojnie z Moskwą, trzeciej już za panowania Zygmunta Starego, (w latach 1534-1537) i zdobył Starodub nad Dnieprem. Nie zdołano jednak odebrać Moskalom Smoleńska i zawarto znowu rozejm na siedem lat.

Tymczasem zwał się na Polskę i Litwę protestantyzm z Niemiec, popierany gorliwie przez księcia Albrechta z Królewca. Szybko "lutrzyli" się też książęta śląscy, żeby się bogacić sekularyzacjami. Ze Śląska szła ta fala na Wielkopolskę i już w r. 1521 zajął luteranizm między mieszczan poznańskich. Więcej zwolenników pozyskiwała jednak u nas francusko-szwajcarska sekta Kalwina, ale szerzyły się też wszelkie inne. Około r. 1550 były u nas aż 32 przeróżne sekty. Bo gdy raz sprawy Boskie zdano na rozum ludzki, zaraz pokazało się, że "co głowa, to rozum". Ale też ta obfitość sekt stanowiła największą słabość protestantyzmu.

Co więc nam przyniosły początki nowożytności? Pogłębienie nauki i rozszerzenie oświaty stanowiły korzyści ogromne, niezmiernie, ale odkrycie nowych dróg morskich będzie dla nas klęską gospodarczą, jeżeli Polska nie stanie się panią sąsiednich sobie mórz. Przyplątała się zaś do nowożytnej epoki kula u nogi: protestantyzm. Zobaczmy, jak odstępcy Kościoła stawali się w Polsce potem także odstępcami Ojczyzny, a nawet naprowadzali wroga na własny kraj. Do licznych kłopotów i zawiślań przybywał jeszcze jeden.

Rzecz całkiem prosta, że Kościół podjął walkę z protestantyzmem.

Czasy soboru trydenckiego

Wobec rozplenienia się sekciarstwa zachodziła potrzeba misji wewnętrznych, jak najliczniejszych i jak najgorliwszych. W tej działalności przodowali zakonnicy. Nie zabrakło w polskich klasztorach mężów świątobliwych, pociągających braci zakonnych do wyteżonej pracy apostołskiej; nie zabrakło ani takich, których uważano za świętych i za cudotwórców. Jeszcze pod koniec wieku XVII zapisano, że cudami słynął i "słynie" grób Aleksego, Franciszkanina, który wymownymi kazaniami zwalczał protestantyzm w Bytomiu na Śląsku, gdzie zmarł w r. 1528. Augustianie zaś krakowscy szczycili się świątobliwym Szymonem, który następnie przeniósł się do pobliskiego Olkusza i tam życia dokonał w r. 1536, a przy którego grobie "wielka światłość widywana bywa". Dominikański klasztor w Krakowie zasłynął kazaniami Stanisława Kokoszki, uczonego doktora Pisma Świętego, wielce świątobliwego ascety, zmarłego w r. 1532. O nim zapisano, że "cudami za życia i po śmierci słynie".

Ale ponad wszystkich dostępujących sławy świętości, wzniósł się Bernardyn Stanisław, syn zduna ze wsi Zagórzyc pod Proszowicami, który przy ślubach zakonnych przybrał sobie imię Rafał. Zwany jest powszechnie Rafałem z Proszowic, także Proszowskim. Za króla Olbrachta był gwardianem w Poznaniu, następnie trzy razy w Krakowie za Zygmunta Starego; a także w Wilnie i aż w Kownie, gdzie założył bractwo bernardyńskie św. Anny i wystarał się o kaznodzieję do języka litewskiego. Jeździł do Włoch na kapitułę generalną zakonu dwa razy; czterokrotnie zaś był prowincjałem, ceniony jak "zwierzchnik niezwyklej świętości". Ostatnie lata spędził na uboczu w skromnym klasztorze w Warcie w Wielkopolsce, gdzie dokończył życia w r. 1534. Grób zasłynął cudami, a wszyscy bez wyjątku wspominając o nim nazywają go wprost świętym. Zdziałał niezmiernie dużo dla coraz wyższego podniesienia swego zakonu. Wpływał na heretyków, na "innowierców" (jak ich wówczas zwać począto), bo cieszył się także u nich pełnym szacunkiem. Wielką powagą otoczona była jego osoba, gdziekolwiek się zjawił. Wiedziano o nim dobrze na dworze Zygmunta Starego, a królowa Bona ciekawa była poznać go osobiście i bardzo go ceniła.

Zajmującą bardzo postacią z czasów Zygmunta Starego był inny jeszcze Bernardyn, wielki mistrz kazalnicy, Zakrzewski. W spełnianiu ślubu ubóstwa takim był skrupulantem, iż "nigdy nie miał więcej, niż habit, płaszcz i dwie koszule", Stałym jego miejscem pobytu był Poznań; ale podróżował z kazaniami po całej Polsce; przenoszono go też umyślnie z klasztoru do klasztoru. W podróżach towarzyszyła mu zawsze matka, tercjarka. Zmarła też przy synu, na jego rękę ducha Bogu oddając w Poznaniu. Świątobliwy syn był następnie delegowany na kapitułę generalną do Włoch, skąd wybierał się na pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Ponieważ jednak rozwijała się u niego choroba piersiowa, nie doszedł dalej, jak do miasta Bolzano we włoskim Tyrolu. Długo tam chorował i w tamtejszym klasztorze bernardyńskim przeniósł się do lepszego świata w r. 1535 i został pochowany pod ołtarzem św. Anny. Umierał w opinii świętości, która otaczała go nawet tam za granicą.

Wybitnym obrońcą wiary w zwalczaniu protestantyzmu był też kanonik krakowski ze starego szlacheckiego rodu, Andrzej Rej. Nabrawszy przekonania, że więcej będzie mógł zdziałać, jeśli wstąpi do Bernardynów, nie zawahał się, i w najuboższym z zakonów stał się najpokorniejszym bratem. Budował wszystkich swym przykładem aż do zgonu w r. 1543.

Zdziałali ci świętobliwi zakonnicy wiele w walce z heretyckimi sektami, lecz walka ta wymagała jeszcze czegoś więcej: nauki twórczej. Trzeba było argumenty nowych sekciarzy odierać argumentami naukowymi. Ponieważ zarzuty stawiane przez luteranów, kalwinów itd. były nowe, więc nie dawały się zwalczać według nauki teologicznej dotychczasowej, lecz trzeba było tę naukę rozwinąć, trzeba było wytworzyć w niej całe nowe rozdziały. Polska wydała właśnie taki wielki umysł twórczy: Stanisława Hozjusza.

Stanisław Hozjusz (syn "gorodniczego", tj. zawiadowcy grodu w Wilnie) przyszedł na świat w Krakowie w r. 1504 i żył do roku 1579. Przeżywszy lat 75, napatrzył się na wiele zmian, sam zawsze stały i w poglądach katolickich niezmienny. Uczonością wielką wyróżniał się nie tylko w Polsce, lecz w całej Europie. Podróżował wiele, a później coraz dłużej przebywał za granicą, nie tracąc przez to bynajmniej związku z Polską zawsze jak najściślejszego, ale posiadał widnokrąg europejski. Umiał patrzeć na Europę ze stanowiska polskiego, ale też i na Polskę ze stanowiska europejskiego. Od młodości przez całe życie zajmował się sprawami publicznymi - polityką krajową i zagraniczną. Należy do największych mężów politycznych katolickiego świata.

Mieliśmy już sposobność poznać go, jako dwudziestojednoletniego młodzieńca, autora wiersza szyderczego na sekularyzację pruską. Wiersz ten doszedł do królewskiego dworu i do samego ucha królewskiego, ale król wcale się nie gniewał. Owszem, zaciekał się osobą łacińskiego rymotwórcy, a potem Hozjusz zwracał na siebie uwagę Zygmunta Starego tym właśnie, że posiadał wykształcenie rozległe i głębokie, jak rzadko kto. Ukończywszy nauki w Krakowie, wyjechał na kilka lat do uniwersytetów włoskich i miał już pełnych lat trzydzieści, kiedy stamtąd wracał. Kształcił się na prawnika i pozyskał w tym zawodzie wielką wiedzę. Takich właśnie potrzebowano w kancelariach królewskich, wnet też znalazł miejsce przy kanclerzu koronnym. Wrócono mu wielką przyszłość i opłacano go hojnie... chlebem kościelnym. Więc chociaż człowiek świecki, otrzymał Hozjusz dochody z kanonii warmińskiej na Pomorzu i jeszcze dwóch innych, krakowskiej i sandomierskiej, z probostwa w Wilnie na zamku i z probostwa w Gołębiu. Namawiano go bardzo do stanu duchownego. Po długim namyśle, licząc lat 32, zdecydował się na ... studia teologiczne. Jakim zaś cieszył się poważaniem w sferach najwyższych, jak wiele znaczył nawet w kościelnych sprawach, chociaż kapłanem jeszcze nie był, świadczy następujące wydarzenie.

W r. 1540 wiosną bawił w Krakowie słynny kaznodzieja, Paulin, prowincjał z Częstochowy, Stanisław, rodem z Oporowa na Mazowszu i stąd. zwany Oporowskim. Urodzony w r. 1501 (starszy o trzy lata od Hozjusza) uczył się w klasztornej szkole u Paulinów w Oporowie, następnie w Uniwersytecie Jagiellońskim, w którym otrzymał stopień doktora filozofii. Do r. 1530 był nauczycielem w średnich szkołach krakowskich, w r. 1531 wstąpił do Paulinów w Częstochowie, w r. 1533 został przeorem w Wielkich Młynach, a w r. 1537 prowincjałem zakonu. Zasłynął jako kaznodzieja; opowiadano, że tysiącami nawracali się protestanci, skruszeni przez niego. Jest też autorem podręcznika wymowy kaznodziejskiej, książki wielce cenionej przez kilka następnych pokoleń, a którą spisał w r. 1536. Posiadał wszakże drugi jeszcze tytuł do sławy, pewnie nawet większy: dla swej nadzwyczajnej świętobliwości i z powodu łask Bożych, które dochodziły aż do cudotwórstwa. Właśnie w r. 1540 zasłynął na szerokim świecie cud wskrzeszenia jego modłami naraz trzech zmarłych, cud wymodlony przed cudownym obrazem Jasnej Góry (cesarz Karol V kazał sobie wtenczas zrobić kopię cudownego obrazu).

Tego więc sławnego Paulina poproszono wiosną 1540 r. o kazanie w katedrze na Wawelu. Wobec zgromadzonych dostojników kościelnych i świeckich zaczął Oporowski z kazalnicy grzmieć i gromić wszystko, co tylko złego było w warstwach najwyższych, a tak gromił, iż kilku nie mogło tego wytrzymać i kazanie mu przerwano. Wtedy Hozjusz, zbadawszy sprawę, oświadczył się za Oporowskim i po jego wstawiennictwie pozwolono Oporowskiemu po kilku dniach wejść na nowo na ambonę.

Stało się to podczas studiów teologicznych Hozjusza. Trwały one z reguły trzy lata dla osób, które już posiadały wyższe wykształcenie. Nikt nie da wiary, że Hozjusz potrzebował na to jednak siedmiu lat. Widocznie jeszcze się namyślał, czy przyjmować wyższe święcenia. Kiedy wreszcie odprawiał prymicje Na Skałce w Krakowie, liczył już 39 lat.

Działo się to w r. 1543, w ostatnim roku życia owego Bernardyna krakowskiego, Andrzeja Reja. Niełatwo przypuścić, żeby się nie znali osobiście, przebywając w tym samym mieście. Obydwaj należeli do najznamienitszych osób w Krakowie; Hozjusz słyszał zapewne niejedno z kazań słynnego kaznodziei, a Rej wiedział oczywiście o Hozjuszu. Cała inteligencja krakowska zwracała uwagę na tego sławnego prawnika, mającego zapewnioną karierę dworską, a studiującego aż przez siedem lat, żeby się wyuczyć, czego trzeba na księdza. Wypadek był równie nadzwyczajny, jak przed 20 mniej więcej laty porzucenie kanonii dla habitu bernardyńskiego. A jeżeli ktoś w Krakowie mógł wywrzeć wpływ na ostateczne postanowienie Hozjusza, to jedynie ten były kanonik, kandydat niegdyś na biskupa, uczonego i obytego w świecie Andrzej Rej.

Hozjusz jeszcze jako człowiek świecki należał do najzarliwszych katolików, do najbardziej stanowczych przeciwników "nowinek religijnych" i "piątej ewangelii" (jak mawiano). Jeżeli decydował się wbrew osobistym zamiłowaniom i przyzwyczajeniom (już w tym wieku ustalonym) przyjąć święcenia kapłańskie, czynił to dlatego, że postanowił sobie, iż życie poświęci walce z protestantyzmem, a z tego wywiąże się lepiej, jeżeli zostanie księdzem.

Król Zygmunt Stary postanowił, że pierwsze biskupstwo, jakie się opróżni, należeć się będzie Hozjuszowi i nie taił się z tym. Ale sposobność nasunęła się dopiero w siedem miesięcy po zgonie sędziwego króla. Syn i następca na tronie, Zygmunt August, spełniając ojcowskie polecenie, wyznaczył Hozjusza na biskupstwo chełmińskie w Prusach Królewskich i przeprowadził szybko w Rzymie potrzebne do nominacji i konsekracji papieskie zezwolenie. Hozjusz znów się wahał, obawiając się, czy zajęcia biskupa nie oderwą go od prac naukowych, jakim zamierzał się przede wszystkim poświęcić dla tym gruntowniejszej obrony katolicyzmu w kraju zalanym już przez sekciarstwo. Tym razem namawiał go, żeby przyjął katedrę biskupią, znakomity tego czasu, sławny Marcin Kromer.

Niedługo mógł bawić w swej stolicy biskupiej, w słynnej z pięknego położenia Chełmży, bo tego jeszcze r. 1549 wypadło mu jechać do Wiednia. Nowy król był tego zdania, że nie ma co być w nieprzyjaźni z Habsburgami, skoro oni i tak usadowili się już na tronach czeskim i węgierskim. Toczyć z nimi wojnę? Żeby Niemcy i Moskwa znowu się sprzymierzyły, i żeby państwo polskie ujęte było w kleszcze z obu stron? Skorzystałaby z zamętu tylko Turcja i gotowałaby Polsce los podobny do Węgier. Już trzecia część Węgier przyłączona była do państwa tureckiego.

I tak było już dość utrapień z Tatarami i Wołochami. Nowe panowanie zaczęło się niemal od tatarskiego najazdu. Szczęściem hetman Tarnowski rozgromił ich pod Tarnopolem w r. 1549. W trzy lata potem drugi hetman, Mikołaj Sieniawski, zrzucił zwolennika sułtańskiego, Stefana, z gospodarstwa Multan, a osadził na nim Piotra, który złożył hołd Zygmuntowi Augustowi.

Chciał więc nowy król od początku pokoju, a nawet przyjaźni z Habsburgami i wybrał na posła do Wiednia Hozjusza. Ten podjął się zlecenia z zapałem, a marzył jeszcze o czymś więcej na przyszłość: że Zygmunt August i Ferdynand austriacki zawrą przymierze wojenne przeciw Turcji. Na razie wracał z traktatem przyjaźni. Wróciwszy zastał w Polsce niemałe zamieszanie.

Trzeba wiedzieć, że protestanci przywiązywali wielkie nadzieje do zmiany tronu. Zygmunt August od dawna obcował dużo z protestantami i rozczytywał się w ich dziełach. Czynił to król dla pouczenia się, jak sprawa stoi, wcale nie myśląc samemu Kościoła porzucać. Zrazu jednak sam nie wiedział, co wśród rozmaitych mniemań jest jeszcze katolickie, a co już stanowi herezję i stopniowo dopiero wyrabiał się na prawdziwego katolika z przekonania. Protestanci polscy marzyli, że król swą władzą zniesie w Polsce katolicyzm, a zaprowadzi tzw. kościół narodowy. Kościół narodowy jest przeciwieństwem powszechnego, bo ogranicza się do jednego tylko państwa lub narodu. Głową jego miał być monarcha; a kto jest innej wiary niż monarcha, staje się przez to samo jakoby jego wrogiem. Kościoły narodowe prześladowały więc wszystkie inne przekonania religijne i wiodły do wojen domowych. Tak

się stało w Anglii, tak było w Niemczech, gdzie książęta szereg takich "kościół narodowych" potworzyli. Nie stało się tak w Polsce dzięki Zygmuntowi Augustowi.

Protestanci polscy mniemali, że zaraz na samym wstępie panowania Zygmunta Augusta uda im się zmusić króla, żeby zerwał z Rzymem, a to z okazji jego małżeństwa. Zygmunt August, mając lat 23, ożenił się w r. 1543 z arcyksiężniczką habsburską Elżbietą, która jednak żyła po ślubie zaledwie dwa lata. Młody wdowiec poznał w Wilnie również młodą wdowę po wojewodzie trockim Gasztołdzie, Barbarę z książąt Radziwiłłów, a zapłonawszy ku niej szczerą miłością, postanowił ją poślubić. Był w polskim prawie publicznym przepis, że królowi nie wolno się żenić bez zgody i wiedzy senatu; małżeństwu króla przypisywano bowiem doniosłe polityczne znaczenie. Nie mogło być o tym mowy, żeby senat pozwolił na małżeństwo z poddaną; dziś jeszcze panują w tej mierze rozmaite pojęcia, a coś dopiero w w. XVI. Coś podobnego uważano za wstyd dla korony polskiej. Król Zygmunt Stary żadną miarą nie dopuściłby też do takiego rzekomego ubliżenia godności majestatu. Młody król ożenił się więc bez pozwolenia i w tajemnicy. Małżeństwa sekretne były wówczas jeszcze dopuszczalne (miał je niebawem znieść sobór trydencki). Poślubił więc w największej tajemnicy w Wilnie Barbarę Radziwiłłównę, a gdy raz małżeństwo było zawarte, sprawa przepadła; czy kto chciał, czy nie chciał, rozerwać go już nie mógł. Wczesną wiosną 1548 r. wybierał się Zygmunt August do Krakowa, ażeby ojcu wyznać sprawę, ale nie zastał go już przy życiu. Wstępując na tron, musiał nowy król ogłosić, że jest żonaty, że obok króla jest i królowa.

Na sejmie powstała gwałtowna wrzawa i krzyk oburzenia zerwał się na króla za rzekome podeptanie majestatu korony polskiej. Posłowie mieli w tym jednak swe wyrachowanie, a mianowicie, chcąc króla zmusić do rozwodu, zmuszali go przez to samo do zerwania z Rzymem; papież bowiem rozwodu dać nie mógł, bo małżeństwo było według ówczesnego prawa kościelnego najzupełniej prawne. Protestanci, a nawet nieprotestanci grozili, że wypowiedzą królowi posłuszeństwo. W senacie tylko biskup krakowski Samuel Maciejowski i hetman Jan Tarnowski bronili małżeństwa. Na klęczkach padano przed królem i błagano, żeby żonę opuścił. On na to wszystko odparł prostymi słowami, że "do ostatniej koszuli żony nie opuści" i dodał: "jakżebym miał wam wiary dochować, gdybym jej nie dochował własnej żonie?". Gdyby król wówczas ustąpił, byłby się naraził papieżowi. W ten sposób sprawa Barbary Radziwiłłówny miała posłużyć protestantom polskim. Król jednakże oświadczył wręcz na sejmie, że woli koronę stracić, niż przysięgę małżeńską złamać; przełamał upór posłów i w r. 1550 koronowała się Barbara na polską królową. Zmarła jednak zaraz w następnym roku, przy czym niesłusznie podejrzewano królową matkę Bonę o jej otrucie. Król zaś od śmierci Barbary nie zaznał już szczęścia w prywatnym życiu.

Hozjusz zajęty był w tych latach głównie ułożeniem książki, która by nauczała z całą ścisłością, gdzie się kończy prawowierność katolicka, a zaczyna odszczepieństwo. Protestanci bowiem twierdzili, że oni właśnie są najlepszymi katolikami, i że Kościół zapewne przyswoi sobie ich "reformację". Napisał więc Hozjusz książkę pt. "Wyznanie wiary", która kładła koniec wielkim bałamućtom. Napisana po łacinie, przydała się całej Europie i doczekała się kilkunastu wydań w Polsce i za granicą. Był to kamień węgielny odrodzenia katolicyzmu w Polsce.

We własnej diecezji zastawał stosunki jak najprzykrzejsze. Dość powiedzieć, że księża naprawdę katolickich, na których można by polegać, niemal tam nie było, a nowych kleryków wyświęciło się w ciągu pięciu lat zaledwie dwóch. Nowy biskup zabrał się do rzeczy gruntownie, bo zaraz zaczął zakładać szkoły. Samym kaznodziejstwem; choćby najdoskonalszym, nie można było zatamować protestantyzmu. Sam bł. Stanisław Oporowski, uznawany "Patronem Kaznodziejów", wycofał się z widocznej całemu narodowi Częstochowy do skromnego zacisznego klasztoru w swoim rodzinnym Oporowie, przyświecając tam swą świętością aż do zgonu w r. 1552. Do jego grobu odbywano tłumnie pielgrzymki, układano na jego cześć pieśni, litanie (ostatnia z r. 1776), a rejestr wiadomych i spisanych cudów ciągnął się do r. 1809. Za błogosławionego uznany został przez papieża Klemensa VIII w r. 1603.

Potrzeby Kościoła w Polsce zyskiwały nowego orędownika w niebie, a w szczególności był on potrzebny Hozjuszowi, którego bł. Oporowski miał we wdzięcznej pamięci od r. 1540. Ale Hozjusz, to mocny bojownik Kościoła walczącego. Ufny w pomoc Bożą, zasługiwał na nią tym bardziej, skoro

trzymał się zasady: pomagaj sobie, a Bóg ci dopomoże. Zakładał więc szkoły i miał w planach swoich jeszcze coś innego.

Równocześnie zaczął się Hozjusz domagać zwołania polskiego synodu, w czym poparła go najbardziej kapituła krakowska. Sławny ten w dziejach Kościoła polskiego synod prowincjonalny r. 1551 zaprowadził wielką karność wśród duchowieństwa i przykazał, że przy rozróżnianiu wiary świętej od herezji obowiązuje wszystkich Hozjuszowe "Wyznanie wiary".

Jak Polsce synod, tak całemu Kościołowi potrzebny był nowy sobór powszechny, który by utwierdził na nowo naukę katolicką i postanowił, jakie należy zajmować stanowisko wobec "nowinek". Jakoż już od r. 1542 krzątano się w tej ważnej sprawie. W grudniu 1545 otworzył papież sobór w Trydencie, mieście południowego Tyrolu.

Odtąd przez lat 20 cała Europa zajęta była sprawami soborowymi, nawet protestanci, gdyż łudzili się, że obrócą sobór na swoją stronę. Przynajmniej dziesięć lat przedtem spierano się o zwołanie go, jak i kiedy, gdzie, jakim sposobem, a gdy został wreszcie zwołany, napełniał sobą umysły wszystkich, budził oczekiwania i radosne, i trwożne. Można o całym tym pokoleniu powiedzieć, że żyło soborem. Wobec soboru wszystko inne schodziło na drugi plan. Były to czasy soboru trydenckiego. A im bardziej sobór się opóźniał i przedłużał, przerywany, i odkładany, tym bardziej się nim gorączkowano. Za pierwszym razem obradowano zaledwie przez dwa lata. Ponownie otwarto sobór (znowu w Trydencie) w r. 1551, lecz tym razem obradowano tylko rok. Protestanci chcieli, żeby ich dopuścić do uczestnictwa w soborze; przypuszczali, że będzie się radzić nad jakimś kompromisem pomiędzy sektami a Kościołem rzymskim. Znajdowali dużo poparcia pomiędzy monarchami, z czego wiele powstawało kłopotów. Podczas dziesięcioletniej pauzy w obradach, jaka tymczasem nastąpiła, zgodzili się wszyscy teolodzy katoliccy na to, że nie może być mowy o żadnych kompromisach, o żadnych "ustępstwach" dla innowierców, lecz katolicyzm musi być ściśle ujęty i praktykowany; a kto się do uchwał soboru nie zastosuje, ten jest poza Kościołem. Lepiej mniej wyznawców, a pewnych, prawdziwych. Hozjusz od początku i stale był tego zdania.

Jak zawsze w ciężkich dla Kościoła czasach, podobnie tym razem Opatrzność zaopatrzyła Kościół nową bronią w postaci nowego zakonu. Był nim zakon Jezuitów, których niebawem miał Hozjusz sprowadzić do Polski.

Założycielem Jezuitów był Hiszpan Inige (Ignacy) Lopez de Recalde, urodzony w r. 1491 na zamku Loyola i stąd nazywany krótko - Ignacym Loyolą. Był paziem na dworze królewskim, potem jako rycerz brał udział w jednej z wojen hiszpańsko-francuskich i odniósł ciężką ranę w nogę. Po wyzdrowieniu odprawił pielgrzymkę do Jerozolimy i próbował tam nawracać mahometan, lecz bez najmniejszego skutku. Przejrzał wtedy, że za mało posiada nauki, więc wróciwszy do Hiszpanii, zabrał się do... gramatyki łacińskiej. W krótkim czasie doszedł do studiów uniwersyteckich. Przeniósłszy się następnie na teologię do Paryża, tam spotkał się i zaprzyjaźnił z młodym rodakiem, młodszym o 15 lat od siebie Franciszkiem, zwanym Ksawerym od rodzinnego zamku Xavier. Razem postanowili założyć nowy zakon, który by oparł misjonarstwo na fundamencie naukowym. Obaj przenieśli się następnie do Rzymu i tam urządzili pierwszy dom zakonny. Ostateczne zatwierdzenie reguły przez papieża nastąpiło w r. 1543. Zakon ten nie uprawia całkiem ascetyki, tj. specjalnych umartwień ciała. Pierwszym jego celem było zwalczanie protestantyzmu, bo to stanowiło wówczas pierwszą potrzebę Kościoła. Na ogół zaś miał każdorazowy papież stanowić o pracach zakonu, do czegokolwiek zechciałby ich użyć według tego, co w danej chwili Stolica Apostolska uważa za najpilniejszą potrzebę.

Przykład rozporządzania Jezuitą według opinii Ojca św. dany był od razu na św. Ksawerym. Widząc jego ochotę i zdatność do misji zewnętrznych, kazał mu papież w r. 1541 udać się do Indii. Przebywał tam święty misjonarz sześć lat, a potem udał się dalej na wschód, na Półwysep Malakka, a następnie do Japonii; wszędzie zbierał obfite plony swych trudów. Od dalszej podróży misyjnej do Chin wstrzymała go tylko sama śmierć. Ciało jego spoczywa w mieście Goa na Półwyspie Malakka. Aż do początku w. XVII "było zachowane w taki sposób, że nie można tego wytłumaczyć użyciem jakiegokolwiek środka sztucznego", a potem nastąpiło dziwne wysychanie tak powolne, iż dotychczas znać rysy twarzy. W r. 1932 wyraz twarzy był jeszcze "wielce ożywiony", a ciało sprawiało wrażenie "figury z ciemnej glinki". Z dawnych czasów odbywa się co dziesięć lat uroczyste otwarcie trumny.

Wielkiego misjonarza i swego towarzysza zakonnego przeżył św. Ignacy Loyola tylko o cztery lata. Zmarł w Rzymie w r. 1556; kanonizowany dopiero w r. 1662 przez papieża Grzegorza XV.

Zmarli obydwaj ci święci podczas owej powtórnej, długiej przerwy w obradach soboru trydenckiego. Kiedy dostojnicy Kościoła w całej Europie, a między nimi także nasz Hozjusz, przygotowywali się wśród mozolnych prac do podjęcia soboru na nowo, zaczęły się już w Niemczech wojny religijne. Książęta niemieccy po większej części poprzehodzili na protestantyzm, gdy tymczasem pozostała przy katolicyzmie cesarska dynastia Habsburgów. Po wielce zmiennych losach wojny zawarto w r. 1555 w Augsburgu tzw. pokój religijny. Przyznano na tym wielkim sejmie Rzeszy Niemieckiej książętom zupełną swobodę wyznania i równouprawnienie dla wyznania luterńskiego, ale dla żadnej innej sekty i tylko książętom, a wcale nie każdemu obywatelowi. Znaczyło to, że każdy zwierzchnik lenny ogłasza, jakie wyznanie ma być panujące w jego państwie, czy choćby w najmniejszym państewku i że ma prawo zakazać wyznawania tego, czego on sam nie wyznaje; ma prawo wierzących odmiennie prześladować, a nawet wygnać ze swego kraju. Ujęte to było w formułę "Czyje panowanie, tego religia". A "panującym" był każdy, kto nie miał nad sobą zwierzchnika innego lennego, jak tylko samego cesarza, czyli kto podlegał bezpośrednio cesarzowi. Jakże w dalekie było od polskiej zasady, że "wiara nie ma być z przymusu". Pokój augsburski obowiązywał jednak tylko do r. 1564, do czasu ukończenia soboru trydenckiego i ogłoszenia jego uchwał.

Zanim to nastąpiło, nawet kapłanom trudno było często odróżnić prawy katolicyzm od błędów heretyckich.

Ciekawego przykładu dostarcza epizod z życia krakowskiego Dominikanina O. Melchiora Mościckiego. Zakonnik ten, wzór bogobojności, był świadkiem całego niemal w. XVI, żyjąc lat 80 (1511-1591). Pochodził z Mościsk w Małopolsce i stąd Mościckim był zwany. Jakże miał poważanie, widać z tego, że był prowincjałem przez lat 20. W różnych stronach Polski "wiele tysięcy ludzi różnych sekt kazaniem żarliwymi i pobożnym przykładem do wiary świętej przywiódł". Najdłużej przebywał we Lwowie, potem w Krakowie, zostawszy spowiednikiem Zygmunta Augusta. Król chciał go widzieć biskupem. Ofiarowano mu kolejno biskupstwo kamienieckie, przemyskie i arcybiskupstwo lwowskie, lecz zawsze odmówił. Dokończył życia w skromnej swej celi zakonnej, pochowany w sławnych krużgankach dominikańskich w Krakowie.

Otóż ten kapłan uczony i otoczony chwałą świętości nie poznał się na błędach włoskiego kaznodziei Ochino, jednego z nielicznych włoskich protestantów. Mieszkało wówczas w Krakowie tylu Włochów (od czasu królowej Bony), iż trzymano dla nich osobnego kaznodzieję przy kościele Świętego Szczepana (już dawno zburzony, została tylko nazwa "Placu Szczepańskiego") i takim kaznodzieją był przez niedługi czas ów Ochino. Nasz O. Melchior zaprzyjaźnił się z nim wielce, niczego nie podejrzewając. Ale poznał się na farbowanych lisach uczony biskup krakowski Samuel Maciejowski i Ochinę zmusił do wyjazdu. Strapiony i zdumiony jeszcze bardziej bogobojny Melchior, pisywał potem do niego żarliwe listy, próbując Włocha nawrócić, lecz bezskutecznie. Ochino objechał potem całą zachodnią Europę, zapędził się aż do Londynu, wreszcie zamieszkał w Genewie, stolicy kalwinizmu. Ale nauka jego nie była ściśle zgodna z nauką Kalwina, więc go kalwiniści genewscy prześladowali i musieli uchodzić. Śmierć zastała go w r. 1564, na Morawach. W Krakowie zaś powstała potem, późno już po śmierci O. Melchiora legenda, jakoby był owego Ochinę nawrócił listownie. Nam zaś chodzi tu tylko o przykład, jak łatwo było wówczas o omyłkę, skoro nawet za świętego uważany Melchior Mościcki pomylił się. Podobnych omyłek pełno było w Polsce i w całej Europie. Jakże więc potrzebne były prace soboru trydenckiego.

Wrzała w Polsce walka religijna, lecz walka na przekonania, na pióra, na obsadzanie parafii, a nigdy nie posunięto się wówczas do gwałtów i nikomu nie przyszło się wywierać jakiegokolwiek przymusu. Pośród lutrów i kalwinów uwijali się Bernardyni. Odznaczał się w tych latach O. Fabian Orzeszkowski. Urodził się jeszcze za Jana Olbrachta w r. 1495 ze szlachty w ziemi łeczyckiej. Miał pełnych lat 30, kiedy wstępował do nowicjatu w Poznaniu; w r. 1554 został tam gwardianem. Zasłynął jako najwybitniejszy z bernardyńskich rymotwórców po Ładysławie z Gielniowa. Żył długo, bo lat pełnych 80 (przeżył króla Zygmunta o trzy lata) i danym mu było doczekać rozkwitu piśmiennictwa polskiego.

Zaczął się ten rozkwit od Mikołaja Reja (krewniaka owego kanonika krakowskiego i następnie Bernardyna, o którym powyżej była mowa).

Zygmunt August wyczekiwał żarliwie, żeby sobór trydencki dokończył swych prac. Chciał pozostać wiernym synem Kościoła powszechnego. Gdy sejm zwrócił się do niego z żądaniem, żeby zwołał swoją królewską władzą sobór narodowy, zgodził się dodając tylko jedno małe zastrzeżenie; "Jeśli papież na to pozwoli". Miał potem drugie uzasadnienie zwłoki w tym, że po cóż narodowy sobór, skoro będzie powszechny; lepiej wysłać delegatów do Trydentu. A gdy tam nie dopuszczono protestantów do głosu, król zachowywał się bardzo ostrożnie wobec różnowierców w Polsce i na Litwie, i tylko narzekał przed nimi, że tyle jest sekt, iż nie wiadomo, z kim się układać. Gdyby wystąpili zgodnie, gdyby ułożyli jakieś wspólne wyznanie wiary! Dał im król ciężki orzech do zgryzienia! Łamali sobie głowy nad tym wspólnym wyznaniem przeszło dwadzieścia lat, a kłócili się między sobą coraz bardziej. I tak ich król przetrzymał, aż dzięki soborowi trydenckiemu wiedział już obóz katolicki, jak się organizować, a dzięki Hozjuszowi organizować się umiał. Protestanci przewalili króla szyderczo "dojutrzkiem". Sądziли, że lubi odkładać, bo jakoby nie wiedział czego chce. A tymczasem król wiedział doskonale czego chce i czemu odkłada stanowcze słowo do protestantów. Czekał i on na wyniki soboru trydenckiego.

Niełatwo było rządzić w takich okolicznościach, zwłaszcza gdy wypadło równocześnie wojować z Moskwą. Przedłużanie rozejmów skończyło się, bo wybuchła zacięta wojna o Inflanty. Tamtejszy oddział Zakonu krzyżackiego trzymał się jeszcze. Niewielki ten kraj był bardzo ważny, bo położony nad północnym Bałtykiem i gdyby Moskwa opanowała, wzięłaby Litwę w kleszcze z dwóch stron. Król skłonił część inflanckich grodów, że przyjęły polskie załogi i te grody ocalały też przed najazdem cara Iwana Groźnego. Były zaś Inflanty całe zlutrzzone, nie wyjmując reszty Krzyżaków. Ostatni ich landmistrz Ketler, miał zostać świeckim księciem Inflant jako lennik Wielkiego Księstwa Litewskiego, ale nie zdołał złączyć całego kraju pod sobą. Utworzono więc dla niego w r. 1561 księstwo w Kurlandii, a reszta Inflant miała podlegać Polsce i Litwie; ale o tę resztę trzeba było dopiero walczyć i to już nie z Moskwą tylko, ale i ze Szwecją, bo król szwedzki wybrał się na zabór części Inflant. W północnej części kraju, w Estonii w mieście Rewalu nastąpiły takie stosunki, że w grodzie była polska załoga, a u stóp grodu, w samym mieście, rządził szwedzki komisarz. W tym tkwi związek późniejszych wojen szwedzko-polskich. Na razie Szwecja przycichła, ale z Moskwą wojowano przez osiem lat.

Kiedy w r. 1563 Iwan zdobył Połock, kazał spalić tamtejszy klasztor bernardyński, a księży pozabijać. Śmiercią męczeńską zginęli gwardian Paweł i czterech zakonników: Dominik, Marcin, Wacław i Adam.

Wojnę przerywano jednak ustawicznymi rokowaniami, a prowadzono ją w ogóle z obydwóch stron leniwie. Kiedy w r. 1571 zawierano rozejm pozostała każda strona przy tym, co posiadano już w roku 1562. Litwie otwarła się nowa droga handlowa przez rzekę Dźwinę ku Bałtykowi, a Moskwa miała Narwę. Stanowczą rozprawę o wyłączne panowanie nad Inflantami odkładano na potem; nie pokój też zawierano, tylko rozejm.

Właśnie po utworzeniu księstwa kurlandzkiego nad Morzem Bałtyckim zbliżała się do rozstrzygnięcia sprawa religijna. Stolica Apostolska zwoływała po raz trzeci i ostatni sobór trydencki. Bawił wtedy w Rzymie Hozjusz, mianowany kardynałem i przewodniczył kilku posiedzeniom soborowym. W r. 1562 sobór zamknięto. Z uchwał jego powstał jakby rozumowany kodeks wiary i obyczaju katolickiego na nowożytny czas. Księga uchwał soboru trydenckiego stanowi odtąd zbiór przepisów, do których sięga się, ilekroć ktoś chciałby podnieść jaką wątpliwość. W zagadnienia teologiczne nie możemy się tu bliżej wdawać. Wspomnimy tylko trzy sprawy, które nas tu już zajmowały historycznie. Sobór trydencki zakazał ślubów małżeńskich między dziećmi i małżeństw tajnych. Pozwalał zaś księżom pobierać dochody kościelne tylko z tego kościoła, przy którym stale mieszkają (nazywa się to obowiązkiem rezydencji).

Zygmunt August przyjął tę księgę uchwał trydenckich w r. 1564 z rąk nuncjusza papieskiego i odtąd była i pozostała obowiązująca dla państwa polskiego.

Protestanci nie tracili jednak nadziei, rozbudzonej faktem, że załamywała się wierność dynastii Habsburskiej, dotychczas stale kościołowi wiernej. W r. 1564 wstąpił na tron Maksymilian II i zaczął

rzędy od tego, że w krajach dziedzicznych habsburskich, w Austrii, nadał protestantom zupełną wolność. Wiadomo było powszechnie, że nie chodzi mu o zasadę równouprawnienia, lecz że nowy cesarz jest w duchu protestantem i ma zamiar publicznie i jawnie porzucić wiarę katolicką i dlatego zmienia zupełnie warunki wytworzone przez pokój religijny augsburski. Sprawa wisiała rzeczywiście na włosku.

Wtedy katolicy sprowadzili do Wiednia Hozjusza, a ten cesarza przekonał i nauką oraz wpływem swej osoby sprawił, że Maksymilian II nie tylko nie ogłosił się protestantem, lecz pozostawił Kościołowi katolickiemu stanowisko wyznania w krajach austriackich. A zatem dzięki Hozjuszowi dynastia habsburska utrzymała się w wierności dla Kościoła i przyjęła także, co postanowił sobór trydencki.

Wahania się Maksymiliana II doświadczyli dwaj polscy młodzieniaszkowie, bawiący wówczas w Wiedniu na naukach.

Można było kształcić się doskonale i najzupełniej po katolicku choćby w szkołach Hozjusza i następnie w uniwersytecie krakowskim, ale kasztelan zakroczymski (na Mazowszu) Kostka odczuwał ogromną sympatię do Jezuitów (których w Polsce jeszcze nie było) i dwóch swych synów, Pawła i Stanisława oddał na naukę do wiedeńskich Jezuitów. Stanisław liczył lat niecałe 13, Paweł mógł być od niego starszy o jakieś dwa lata. Towarzyszył im dla dozoru nauczyciel domowy, Polak Biliński. A właśnie Maksymilian II odebrał Jezuitom ich dom, tak iż musieli mieszkać po kwaterach prywatnych na mieście, podobnie jak ich uczniowie. Kasztelan Kostka kazał synom pomimo to zostać. Młodszy Stanisław został prezesem studenckiego bractwa św. Barbary (sodalicji jeszcze nie było). Odznaczał się pobożnością nadzwyczajną, a wkrótce postanowił zostać Jezuitą. Starszy Paweł odwodził go od tego. Łączą się z tym opowiadania, jakoby Paweł bił Stanisława z tego powodu, obalał na ziemię, chwycił za gardło itp. Chłopaki jak chłopaki! Może się też czasem pobili, ale chyba nie o Jezuitów! Od czegoż był Biliński i listy do rodziców? A kasztelan zostawił ich w spokoju i minęły na wiedeńskich studiach cztery lata. Stanisław kończył lat 16, gdy oświadczył chęć wstąpienia do Zakonu, ale ci kazali postarać się o pozwolenie ojcowskie. Widocznie rodzice odmówili, skoro Stanisław postanowił uciec.

Uciekł nie bardzo zasobny w grosze.. a zatem podróż musiał mieć fatalną i jak na szesnastoletniego pacholę, nazbyt uciążliwą. Ani wątpić, że po większej części trzeba było iść piechotą. Toteż wypominał mu potem ojciec taką podróż, niegodną Kostków, że "jako żebraczek śmiałeś się po Niemczech i Włoszech włóczyć".

O Włoszech chłopiec z początku nie myślał. Jechał do Augsburga (daleko na zachód od Wiednia i wcale nie po drodze do Włoch), bo Augsburg był siedzibą prowincjała niemieckiej prowincji Towarzystwa Jezusowego. Nie mógł Stanisława jeszcze przyjąć, lecz wyprawił go tymczasem na wyższe nauki do Dollingen, miasta nad Dunajem w Bawarii. Było ono jakby drugą stolicą biskupów augsburskich (jak np. Kielce - krakowskich) i ulubionym ich miastem. Tam w r. 1554 z fundacji tego biskupstwa powstał uniwersytet, który w r. 1564 oddano Jezuitom (istniał do r. 1804). Studiował tam młody Kostka przez rok, po czym w uznaniu wielkich zdolności wyprawiono go wraz z dwoma innymi młodzieńcami na dalsze studia do Rzymu. Do domu wracać nie chciał, a było to po tylu próbach aż nazbyt widoczne, że nie wróci! Odsyłać go przymusowo nie było ani racji, ani sposobu, a z Polski też nikt po niego nie przyjeżdżał. Młodzieniec skończył już lat 17. Cóż było w ogóle z nim począć? Uznano, że działa tu wybitne powołanie za szczególną łaską Bożą, zwłaszcza, że Stanisław miał widzenia.

W Rzymie, w nowicjacie (przy kościele Świętego Andrzeja), spotkał się z księdzem Stanisławem Warszewickim, czterdziestoletnim, który miał za sobą karierę w kancelarii Zygmunta Augusta i spodziewał się biskupstwa, lecz porzuciwszy wszystko do Jezuitów się wpisał.

Z czasu nowicjatu dochowało się sporo opowiadań o św. Stanisławie Kostce, wzniosłych i rzewnych. Jedno z nich przytoczę:

Pewnego razu zapytali go OO. Jezuici: W co byś się zaopatrzył, gdyby ci kazano iść nagle do Indii? Odpowiedział wesoło: W dobry kapelusz cierpliwości, w płaszcz miłości Bożej i bliźnich i mocną parę trzewików umartwienia.

Zaledwie niecały rok przebywał święty młodzian w rzymskim nowicjacie, gdy uległ chorobie gorączkowej. Już przedtem chorował ciężko dwa razy; tym razem śmierci już się spodziewał. Zmarł dnia 15 sierpnia 1568 r., dożywszy ledwie 18 lat życia. Towarzyszyły mu zawsze rozmaite oznaki świętości, a podczas choroby i w dzień zgonu nastąpiły cudowne widzenia. Sława jego świętości rozchodziła się po całym świecie z przedziwną szybkością, po prostu żywiołowo. Można by to porównać z przedziwnymi również dziejami czci św. "Tereni" (w znacznie późniejszych czasach), także takiej młodzianki świętej. W kilkanaście lat po śmierci modlono się do św. Stanisława Kostki nie tylko we wszystkich katolickich krajach Europy, ale również w Indiach i w Ameryce! W rzymskim kościele Świętego Andrzeja od razu zjawiły się przy jego grobie wota; błogosławionym nazwał go już papież Klemens VIII, zanim jeszcze upłynął w. XVI. A Paweł V (1605-1621) ogłosił go patronem narodu polskiego.

W kilka miesięcy po zgonie św. Stanisława Kostki wstępował do tego samego nowicjatu trzeci Polak, ksiądz Piotr Skarga, liczący lat 32, jeden z najwybitniejszych w Polsce kapłanów, który ofiarowaną sobie infułą biskupią wzgardził, żeby przywdziać sutannę jezuicką. Pochodził z Grójca pod Warszawą, gdzie przyszedł na świat r. 1536, w mieszczańskiej rodzinie młynarskiej. Licząc lat 16, dostał się szczęśliwie do Krakowa a zostawszy bakałarzem, otrzymał w r. 1555 stanowisko kierownika szkoły parafialnej przy kolegiacie św. Jana w Warszawie. Miał wtedy zaledwie 19 lat. Następnie był guwernerem w możnym domu Tęczyńskich i z uczniem swym, Janem Tęczyńskim, przebywał w Wiedniu w latach 1560-1562. Powróciwszy do kraju, przyjął święcenia kapłańskie we Lwowie w r. 1563. Został kaznodzieją katedralnym i kanonikiem, wkrótce kanclerzem kapituły. Upatrzony był na arcybiskupa lwowskiego, gdy wtem pod koniec r. 1568 wyjechał do Rzymu, i tam zaraz z początkiem r. 1569 wstąpił do nowicjatu jezuickiego.

W całym świecie katolickim nastał wielki zapal do jezuickiego zakonu. Tłumaczy się to tym, że przyjęli oni za pierwsze bezpośrednie swoje zadanie, żeby wprowadzić w życie to, co sobór wpisał w księgę swych uchwał.

Tego samego roku, kiedy Zygmunt August przyjmował księgę uchwał soboru, przybyli Jezuici do Polski. Sprowadził ich Hozjusz do swej diecezji (wówczas warmińskiej) w r. 1564, ale musiał minąć szereg lat, zanim się usadowili, urządzili, pozakładali nowicjat, szkoły itd. Pierwsi Jezuici u nas byli cudzoziemcami i nie mogło z początku być inaczej, a tymczasem polscy kandydaci do zakonu kształcili się w Rzymie.

Zbliżało się do końca panowanie Zygmunta Augusta, który nie odziedziczył wcale długowieczności po ojcu. Zanim zszedł ze świata, sprzągnął ponownie mocno Litwę z Polską. Poprzednie akty unii Polski z Litwą (a było ich kilka) były już przestarzałe, należało sprawę odnowić i do nowych czasów przystosować. Przede wszystkim południowa część Rusi Litewskiej pragnęła, żeby ją wcielić bezpośrednio do Korony polskiej - czego też król w r. 1569 dokonał. Poza tym zawarto z Wielkim Księstwem Litewskim na sejmie lubelskim tegoż r. 1569 nową unią, zwaną lubelską, na następujących warunkach:

Litwa i Polska mają mieć po wieczne czasy wspólnie wybieranego monarchę, wspólny sejm walny, którego ustawy obowiązują obydwa państwa, wspólną monetę, wspólne wojny i pokoje, a jednak osobnych ministrów, osobny skarb, i osobne wojsko.

Tryumfem naszym było dobrowolne wcielenie się południowych ziem ruskich do polskiej Korony: Podlasia, Wołynia i Ukrainy. A unia lubelska jest jednym z najjaśniejszych promieni w dziejach polskich, bo stwierdzała na nowo, że nie najazdami, nie zaborami, ale wzajemną przyjaźnią rozszerzało się i potęgniało państwo polskie, łącząc równych z równymi, wolnych z wolnymi.

Było to ulubione dzieło Zygmunta Augusta. A w testamencie swym tak o tym sam pisze:

"Tym naszym testamentem obiema państwu, Koronie Polskiej i Wielkiemu Księstwu Litewskiemu, dajemy i odkazujemy i zostawujemy miłość, zgodę, jedność, którą przodkowie nasi po łacinie unią zwali... a który z tych dwóch narodów tę unią od nas wdzięcznie przyjąwszy, mocno trzymać będzie, temu błogosławieństwo dajemy... a który zaś naród niewdzięczny będzie i dróg do rozdwojenia

będzie szukał, niechaj się boi gniewu Bożego... Racz, Panie Boże, to w tym obojgu Państwie utwierdzić, coś w nim przez nas sprawił. Racz oboi ten lud w jedności spojony miłości wiecznie zachować".

Na krótko przed zgonem tego króla błysnęła protestantom po raz trzeci nadzieja Kościoła narodowego, a to z powodu trzeciego małżeństwa Zygmunta Augusta z arcyksiężniczką habsburską Katarzyną. Król z nią nie żył, bo popadła w ciężką i wstrętną chorobę i małżeństwo było w rzeczy samej zerwane. W rodzie jagiellońskim był zaś Zygmunt August jedynym mężczyzną i nie miał zupełnie dzieci. Pragnął gorąco potomka i byłby dał wszystko za to, żeby mógł pozyskać prawny rozwód z żoną i wejść w ponowne śluby małżeńskie. Poddawano mu tedy myśl rozwodu, której król chwycił się jako ostatniej deski ratunku. Na próżno jednak kołatał o to w Rzymie. Małżeństwo prawnie zawarte, musiało być nierozzerwalne, i w równej mierze dotyczyło to króla, jak chudopachołka. Rzym nie udzielił rozwodu w podobnym wypadku królowi angielskiemu, nie mógł go też udzielić królowi polskiemu; podczas gdy jednak Henryk VIII kazał sobie dać rozwód własnym biskupom i popadłszy w schizmę, pociągnął za sobą całą Anglię w odszczepieństwo a następnie w herezję, król polski ponad wszystkie względy przekładał powinności względem wiary katolickiej. Domagał się rozwodu z największą stanowczością, ale gdy go nie dostał, poddał się orzeczeniu Kościoła. Królowa Katarzyna opuściła wreszcie Polskę, powróciwszy do swoich, do Austrii, a gdy tam umarła w r. 1572, w królu poczęły się budzić nowe nadzieje: były one złudne, gdyż w kilka miesięcy po niej sam spoczął na marach.

Oto koniec nie tylko Zygmuntowskich czasów, ale i przesławnej dynastii Jagiellońskiej.

Przebiegliśmy, licząc od czasów świętych Cyryla i Metodego, siedemset lat dziejów polskich, historię dwudziestu jeden pokoleń ludzkich w Polsce, licząc po trzy pokolenia na stulecie. Z mroku pogańskiej pierwotnej doby wyprowadzeni na światło dziejów przez chrześcijaństwo, połączeni ściśle z Kościołem katolickim i zachodnią europejską cywilizacją, służyliśmy najwznioślejszym hasłom sprawiedliwości między narodami w doli i niedoli. Dzięki roztropności pierwszych wielkich Piastów zorganizowało się nasze państwo i wystawiło tamę przeciw prącej na zachód niemieckiej zachłanności. Osłabione mongolskimi najazdami, zmuszone do podparcia się niemieckim osadnictwem, nie utraciło jednak swej narodowej odrębności. Duch narodowy przemógł wszystko i przetrwał, a kraj pozostał polski. Z dwuwiekowego osłabienia dźwignięci niezłomnością Władysława Łokietka i rozumem Kazimierza Wielkiego, przeszliśmy w okres największej potęgi państwowej, dzięki unii z Litwą. Nie zaborami, nie cudzą krzywdą, ale przyjaznymi związkami rozszerzały się granice polskiego panowania. Nasz naród pierwszy doszedł do poczucia narodowego i pierwszy uznał, i uszanował to także w innych narodach. Nasi Jagiellonowie są wyjątkową zaiste w dziejach dynastią, tak pełną zasług cywilizacyjnych, jak żadna inna, a zawsze zgodnie z duchem chrześcijańskim. Działając w imieniu i z woli polskiego społeczeństwa, dokazali tego dziejowego cudu wobec Europy, że łączyli narody pod hasłem braterstwa, a nie podbojem. Unia jest najwyższym objawem polskich dziejów, a najpiękniejszym przykładem dla innych narodów europejskich. Wdzięczna Jagiellonom potomność zwie też tę sprawę ideą Jagiellońską.

Piastom zawdzięczamy wiarę i narodowość. Jagiellonom cześć za to, że politykę narodową na chrześcijańskich oparli zasadach.

Czterech wielkich mężów

Tron w Polsce nie był dziedziczny, lecz elekcyjny, tj. króla się wybierało. Póki istniały dwie dynastie narodowe, Piastów i następnie Jagiellonów, nie przyszło nikomu do głowy, że można by wybrać króla z innego rodu. Elekcja bywała tylko formalnością. Lecz oto Jagiellonowie wygaśli i trzeba było myśleć o elekcji naprawdę.

Wyborcami byli zrazu tylko wielmożowie, senatorowie duchowni i świeccy; potem gdy od Kazimierza Jagiellończyka nastąpiły sejmy, rozszerzało się koło wyborców także na posłów sejmowych. Od śmierci Zygmunta Augusta elekcje odbywały się na polach Woli, pod Warszawą, na wniosek zaś wojewody bełskiego, a późniejszego kanclerza i hetmana, Jana Zamojskiego, dopuszczono każdego szlachcica na

pole elekcyjne. Gromadzono się tam województwami i województwami głosowano. Obojętne więc było, ilu ich z jakiego województwa przyjedzie.

Ubiegali się o koronę polską Habsburgowie, lecz większość wybrała francuskiego królewicza, Henryka Walezjusza. Starszy jego brat zajmował tron francuski i - co za przygoda! - umarł w pięć miesięcy po wyjeździe Henryka do Polski, a umarł bezdzietnie. Spadło więc na Henryka dziedzictwo tronu francuskiego. Oczywiście wolał koronę własnej ojczyzny i do Francji powrócił.

Habsburgowie powtórnie zabiegali o tron polski. Przeciwnicy niemieckiego kandydata wzięli się wtedy na sposób. Jedną z sióstr Zygmunta Augusta pozostała niezamężna. Korzystając z wielkiego przywiązania narodu do krwi Jagiellońskiej, przeprowadzili wybór Anny Jagiellonki na tron. Któż by się sprzeciwił? A potem, trzeba jej było dobrać męża. Kazano więc poślubić Annę pięćdziesięcioletnią, młodszemu od niej o trzynaście lat przeciwnikowi Habsburgów księciu siedmiogrodzkiemu Stefanowi Batoremu.

Był to mąż niepospolity. Dzięki temu szczęśliwemu wyborowi nastaje w dziejach naszego narodu okres, który można by nazywać okresem czterech wielkich mężów. Wnet się z nimi poznamy.

Kiedy przybył do Siedmiogrodu goniec z wiadomością o pomyślnej elekcji, Stefan zawołał: "Teraz dowie się świat wielkich rzeczy!" Od młodości bowiem marzył o wielkich czynach, a głównie o tym, żeby Turków wypędzić z Europy. W Polsce przejął się hasłem "od morza do morza". Z bałtyckim wybrzeżem miał do czynienia na samym początku rządu, bo Gdańsk upierał się przy Habsburgu. Ruszył tam zaraz po koronacji z odpowiednim wojskiem i bunt stłumił. Powstało wtedy przysłowie: "Porwał się jak burmistrz gdański na króla".

Głównym doradcą Batorego był Jan Zamojski, którego zwie się w historii Wielkim, chociaż królem nie był. Ci dwaj wielcy mężowie tak ściśle współpracowali, iż nie sposób oznaczyć, co któremu z nich przypisać. O Morzu Czarnym, o Carogrodzie marzyli obydwoj. Jakże tam jednak dotrzeć, skoro z tyłu zagraża Moskwa? A zatem trzeba wpierw pokonać Moskwę i zmusić cara, by swoje wojska oddał na wyprawę przeciw Turcji.

Wiemy, jak za Zygmunta Augusta zawierało się nieustannie rozejmy. Tym razem car Iwan Groźny (najokrutniejszy z tyranów, stąd taki hańbiący nosił przydomek) rozejm zerwał. W r. 1577 wyprawił się znów na Inflanty. Podjęły więc wojnę Polska i Litwa. Odnosiliśmy nie tylko wielkie zwycięstwa w polu, ale też zdobyliśmy kilkanaście grodów. Pierwszą taką zdobyczą było odzyskanie w r. 1579 Połocka, utraconego przed 16 laty, kiedy to zginęło tam śmiercią męczeńską pięciu Bernardynów. W dalszym pochodzie w kraj nieprzyjacielski zdobyto w r. 1580 trzy znaczne warownie: Wieliz, Uświatę i Wielkie Łuki. W roku następnym przystąpił król do oblężenia grodu największego i najbardziej obronnego - Pskowa.

W tych dwóch ostatnich latach, w r. 1580 i 1581 dojeżdżał do głównej królewskiej kwatery wojennej jezuita Piotr Skarga, o którego powołaniu zakonnym była mowa w poprzednim rozdziale. Jest to trzeci, obok Batorego i Zamojskiego wielki mąż tego okresu. A gdy dojdzie do skutku jego beatyfikacja (o co starania już rozpoczęto), będziemy w nim mieli obok Hozjusza drugiego świętego polskiego politycznego z tego okresu (a polityczni patronowie święci przydadzą nam się w tych czasach bardzo).

Świątobliwy nad wszelki wyraz, uczony na wielką miarę, roztropny, przewidujący, stanowczy, wytrwały, a zawsze wiedzący dokładnie, czego chce, a przy tym pracowity niesłuchanie. Powiedziano o nim, że "próżnować nigdy nie chciał i nie umiał". Dziw bierze, że jeden człowiek potrafił tyle studiować, pisać, układać, tworzyć!

Publiczne życie rozpoczął na obu elekcjach, wysyłany przez swój zakon, a był przyjacielem kandydatury habsburskiej. Jakże miał potem zmienić zdanie! Nie było nad niego większego poplecznika króla Stefana!

Kiedy przybył do głównej kwatery wojennej Batorego, był już znanym autorem. Sławę teologa i pisarza zrobiła mu rozprawa "O jedności Kościoła Bożego", w której miał na myśli przede wszystkim

nawracanie schizmatyków i unię kościelną - co też miało się stać głównym zadaniem jego życia. Wkrótce potem wyszły "Żywoty Świętych Starego i Nowego Zakonu na każdy dzień przez cały rok". Tę księgę olbrzymią przedrukowuje się od r. 1579 aż do naszych czasów nieustannie; liczy do trzydziestu wydań, czytana przez każde pokolenie i przez wszystkie stany. A przyjrząwszy się bliżej obozowi i żołnierzom na wyprawach króla Stefana, pisze "Nabożeństwo żołnierskie", podręcznik dla katolickiego żołnierza, pełen głębi religijnej i niezrównanego poziomu moralności zawodowej; poucza, co trzeba, żeby być tęgim żołnierzem, nie przestając być dobrym chrześcijaninem, żeby być rycerzem a nie zbirzem. Pisze np. "Doma i w ciągnienu (w pochodzie) winniście być jako owce, a w polu i w potrzebie (w bitwie) lwami nieustraszonymi. Bo gdy doma będziecie lwami okrutnymi, w potrzebie staniecie się, jako na rzeź owcami".

Już podczas wypraw Batorego wiedziała cała Polska, że Skarga kroczy na czele katolickiej inteligencji. A skoro zaś w tym właśnie czasie, w r. 1579 zmarł w Rzymie kardynał Hozjusz, Skarga stał się niewątpliwym przodownikiem Kościoła w Polsce i jakby chorążym ruchu katolicko-narodowego. Toteż kiedy w r. 1580 założono drugi uniwersytet w Wilnie, a Skargę powołano na pierwszego rektora, wszyscy uważali ten wybór za jak najtrafniejszy.

Znamiennie prawdziwy jest w tym wypadku zbieg dat historycznych, że tego samego roku powstała "akademia ostrogska", wyższa szkoła schizmatycko-protestancka, a więc zwrócona przeciw nowemu uniwersytetowi. Albowiem protestantyzm wkroczył także pomiędzy Ruś; duchowieństwo prawosławne na Wołyniu, Podolu i na Ukrainie pełne było kalwinizmu, a nawet arianizmu. Była to sekta rozszerzona w Polsce i na Rusi, odrzucająca dogmat Trójcy Świętej, a skrajne jej skrzydło odmawiało nawet boskości Chrystusowi Panu. Na czele ruchu "nowinek" na Rusi stał możnowładca książę Konstanty Ostrogski, pan 35 miast i tysiąca wsi. Ten w mieście swoim Ostrogu założył drukarnię i szkołę wyższą, nazwaną akademią nie bez słuszności. Zbierał do niej profesorów z całego świata.

Jakżeż różniła się tym ruchem umysłowym Ruś spod polskiego panowania od Rusi Moskiewskiej! Próbowano i w Moskwie sztuki drukarskiej, ale popi tamtejsi bojąc się, że będą musieli uczyć się czytać, postarali się o "zaburzenie ludowe" i drukarnię zburzono, jako dzieło szatańskie. Bo też w Moskiewszczyźnie duchowieństwo świeckie nie umiało z reguły ni czytać ni pisać, a synod w r. 1551 stwierdził, że nie ma na to rady, bo gdyby analfabetom nie udzielać święceń, zabrakłoby popów.

Akademia ostrogska stała się jednak rozsądnikiem protestanckiego kierunku w cerkwi. Układały się przeto stosunki wyznaniowe na Rusi polskiej (ukrainnej) i litewskiej (Białorusi) do walki z protestantyzmem. Skarga zaś miał działać wiele i na tym, i na tamtym polu.

Tymczasem trwało oblężenie Pskowa. Opór Moskwy był tam nadzwyczajny, armia zaś polska zdobywała się na wysiłki do ostatecznych granic. Nastąpiła zima niesłychanie ostra. Mamy polski opis całego tego oblężenia w zapiskach czynionych z dnia na dzień przez uczestnika wyprawy Piotrowskiego (jest to jedna z najpiękniejszych polskich książek do czytania). Batory i Zamojski wprawili cały świat w zdumienie, bo na zimę oblężenia nie przerwali. Pierwszy to był taki wypadek w dziejach wojen nowożytnych i rozchodziły się po całej Europie opisy tej kampanii, wielce dziwnej współczesnym. Polska decydowała się na nowe wysiłki wojenne i pieniężne na wiosnę r. 1582. Iwanowi Srogiemu było coraz trudniej.

Wtedy car, największy wróg katolicyzmu, trafił jednak do Rzymu. Posyłał do papieża zapewnienia, że chce się ni stąd, ni zowąd nawrócić na unię florencką, ale ta wojna mu przeszkadza. Wyprawiono z Rzymu pod Psków pospiesznie Jezuitę włoskiego Possewina z argumentami, że wojna musi być przerwana dla dobra Kościoła. Nasi wiedzieli dobrze, że Iwan udaje, że to ze strony Watykanu złudne marzenia; najgłośniejszemu zaś wytykał, że w Rzymie nie mają pojęcia o Moskwie, że dobro Kościoła wymagałoby raczej, żeby Moskwę opanować, Piotr Skarga, ten sam, który tak gorąco pragnął unii kościelnej; ostrzegał jednak, że nie tędy do niej droga, jak radzi Possewin. Ten zaś powoływał się na wolę papieską, a że był przysłany przez generała Jezuitów, musiał tedy polski Jezuita przycichnąć.

Przystał wreszcie król Stefan na zawieszenie broni na lat dziesięć. Iwan Groźny rzekł się wszelkich roszczeń do Inflant, a Połock i Wieliz zostały wcielone do Wielkiego Księstwa Litewskiego. Odtąd Polska góruje nad Moskwą i aż do r. 1667 Moskwa była stroną słabszą, pokonaną.

Król Stefan przypuszczał, że w ciągu dziesięcioletniego rozejmu uda się skłonić Moskwę do wspólnej wyprawy na Turka i w ten sposób rozstrzygną się losy Wschodu. Starał się zawczasu o posiłki od Habsburgów z Węgier, o flotę z Włoch, i o zasiłki pieniężne najbogatszego w Europie dworu hiszpańskiego. Rozsyłał też król swych posłańców daleko do ziem wschodnich, aż do Persji. Gdy Habsburgowie nie kwapili się do sojuszu z nim, powziął myśl, żeby im odebrać królestwo węgierskie i połączyć je pod jednym berłem z Polską i czynił przygotowania do pozyskania sobie stronników na Węgrzech.

W rok po zawarciu zawieszenia broni z Iwanem Groźnym okazał król Stefan publicznie w sposób jak najdobitniejszy, jak ceni Zamojskiego, swego doradcę i wodza, kanclerza i hetmana: oddawał mu za żonę bratanicę swoją, Gryzeldę Batorównę, księżniczkę siedmiogrodzką (córkę swego brata Krzysztofa). Można sobie wyobrazić, jak wspaniałe było wesele, urządzone w Krakowie na Wawelu! Ale największą wspaniałością było, że spotkali się na nim wszyscy czterej wielcy mężowie tego okresu. Król wesele urządzał, współpracownik jego Zamojski był panem młodym, O. Piotr Skarga był obecny pośród duchowieństwa, a czwarty z nich urządzał na dziedzińcu zamkowym... przedstawienie teatralne.

Jakże można teatr stawiać obok spraw najpoważniejszych? A któż to taki ten czwarty?

Był to wielki poeta, a wielka poezja nie ustępuje niczemu. Nazywał się Jan Kochanowski. Aż do Mickiewicza był to największy poeta polski.

Za Zygmuntońskich czasów wyrobiła się literatura narodowa w polskim już języku. Jeszcze pod koniec panowania Zygmunta Starego wystąpił słynny Mikołaj Rej z Nagłowic, który (jak sam powiada) postanowił światu pokazać, że "Polacy nie gęsi i swój język mają" (a nie tylko łacinę). Pisał dużo, odznaczył się bardziej w prozie, zwłaszcza przez swój "Żywot człowieka poczciwego". Wyostrzył najbardziej swój talent za Zygmunta Augusta. Przybywało mu wielu towarzyszy. Najwybitniejszym był Jan Kochanowski, na którego Rej sam wskazał jako na wyższego od siebie.

Kochanowski pochodził ze średniej szlachty, podobnie jak przyjaciel jego młodości, Zamojski. Obydwaj bawili na studiach w Padwie i w Paryżu - zdawało się z początku, że razem będą robić karierę polityczną. Za Zygmunta Augusta wszedł Kochanowski do kancelarii królewskiej w stopniu sekretarza. Ale poezja i kancelaria! Rzucił wszystko, osiadł w dziedzicznej wsi, w Czarnolasie i w zaciszu przysłuchiwał się, co słychać na wielkim świecie. Nie zamknął się na sprawy publiczne, lecz towarzyszył im tylko swym świetnym piórem. W jego wierszach jest sporo tematów politycznych, co zresztą miało już zawsze stanowić cechę polskiej poezji. Ale umiał sięgnąć do głębin ducha ludzkiego. Należał zawsze do obozu katolickiego i był bardzo religijny. Wsławił się najpierw wierszem "Czego chcesz od nas, Panie, za twe wielkie dary". Używa się dotychczas jego tłumaczenia psalmów. A któż z nas nie zna i nie śpiewa jego pieśni "Kto się w opiekę?".

Sławny był już za Zygmunta Augusta, lecz u szczytu talentu i sławy stanął dopiero za czasów Stefana Batorego. Przyjaźń z Zamojskim trwała ciągle i kanclerz ofiarował się wystarać mu się u króla o godność kasztelańską. Odpowiedział pięknym wierszem, w którym wysławia swoje spokojnie wiejskie życie, opiewa piękno lip rozłożystych przed swym dworkiem, jak siedzi sobie z książką pod taką lipą i "nie dbam o kasztelana, pilnując swego dzbana".

Równocześnie Skarga wykształcał coraz bardziej prozę polską, coraz piękniejszym pisując językiem. Tak spotkali się na weselu Zamojskiego obaj najwięksi nasi pisarze owych czasów, prozaik i poeta. A przedstawienie teatralne, to coś wówczas rzadkiego, wyjątkowego. Przyjacielowi młodości ułożył na wesele dramat na tle historii starożytnej "Odprawa posłów greckich". Były tam rozmaite aluzje polityczne do wielkich planów króla i kanclerza.

Podobnie jak Skarga, był też Kochanowski z początku stronnikiem habsburskim, a zamienił się w najgorliwszego zwolennika królewskiego, bo go król Stefan ujął swym postępowaniem, bo w jego polityce upatrywali obydwaj dobro ojczyzny.

Jak zaś starannie usuwał Batory wszelkie przeszkody, widać to w jego stosunkach ze Szwecją. Z powodu Inflant nastąpiła rozległa gra pomiędzy kilku państwami i w tę grę weszła także Szwecja. Przypomnijmy sobie, jak jeszcze za Zygmunta Augusta wkroczyły szwedzkie załogi na północ Inflant, do Estonii. Podczas wojen Batorego wojowała z Moskwą również Szwecja, chociaż oddzielnie i rozszerzyła tam znacznie swoje zdobycze. W r. 1583 musiał Iwan Groźny zawierać rozejm także z królem szwedzkim, Janem III Wazą, uznając się za pokonanego, podobnie jak wobec Polski.

Czy w przyszłości połączy się armia szwedzka z polską przeciwko Moskwie, czy też nastąpi w Inflantach współzawodnictwo pomiędzy Polską a Szwecją? Oto było wielkie pytanie i wielka troska polityki polskiej.

Wojny ze Szwecją nie tylko nikt nie chciał, ale była przecież tradycja wielkiego programu prymasa łaskiego, żeby dążyć do unii ze Szwecją. Dawniej Zygmunt Stary odmówił przyjęcia szwedzkiej korony, a teraz nasuwała się możliwość w odwrotny sposób, żeby sobie ze Szwecji obrać króla na tron polski.

Mostem do zgody ze Szwecją miało być przyznanie następstwa tronu polskiego królewiczowi szwedzkiemu Zygmunutowi. Nie był on nam obcy. Rodzona siostra Zygmunta Augusta i Anny Jagiellonki, Katarzyna, wyszła za mąż za księcia finlandzkiego, Jana (Finlandia należała wówczas do Szwecji). Wiódł on spory ze swym bratem, królem Szwecji i był przez brata więziony. W więzieniu powiła Katarzyna syna Zygmunta. Później Jan zasiadł na szwedzkim tronie i Zygmunt został królewiczem. Ogromnie go lubiła "ciotuchna", królowa Anna, żona Batorego; bezdzietna, pokochała siostrzeńca, którego pieściotliwie nazywała "Zyziem". W tym przywiązaniu rodzinnym tkwił pierwszy szczebel "Zyzi" do tronu polskiego. A chociaż Szwecja była krajem protestanckim i król Jan Waza luteraninem, Katarzyna Jagiellonka wychowała syna po katolicku, nie było więc przeszkód religijnych. Król Stefan Batory pochwalał te projekty, przyjął je też Zamojski.

Wielki Batorego wielbiciel, który wysławiał go swą poezją, Jan Kochanowski, rozstał się z tym światem już w r. 1584. Niestety, Batory nie zestarzał się i odszedł w dwa lata potem, po panowaniu zaledwie dziesięcioletnim, a tak sławnym. Z czwórki wielkich mężów zostało tylko dwóch: Zamojski i Skarga.

Nadspodziewanie rychło tedy miał szwedzki projekt stać się rzeczywistością. Popierali Zygmunta i Zamojski, i ksiądz Skarga. A gdy Habsburgowie po raz trzeci próbowali w Polsce szczęścia i gdy arcyksiążę austriacki, Maksymilian, wybrał się z niedalekiego Śląska oblegać Kraków, Skarga działał w mieście wśród ludności, zanim hetman odpędził arcyksięcia. Ścigał go aż na Śląsk i tam pod Byczyną zadał mu klęskę i wziął do niewoli. Skarga wygłosił wspaniałe kazanie na to zwycięstwo sprawy Zygmuntovej. Porażkę Habsburga uważał za wymiar sprawiedliwości, bo nie bierze się królestwa wojennym najazdem. W następnym roku został królewskim kaznodzieją.

Nowy król, Zygmunt III Waza, zraził sobie jednak wkrótce i Zamojskiego, i Skargę. Rządził nie po polsku. Uważał państwo za swoją własność, z którą wolno mu robić, co mu się podoba. Już w r. 1589 ustępował w tajnej umowie koronę polską Habsburgom, których co dopiero trzeba było przepłaskać spod Krakowa! Sam zaś wybierał się z powrotem do Szwecji, gdzie zamierzał wytępić luteranizm z pomocą przyrzeczonego sobie wojska Habsburgów. Skarga, chociaż mianowany kaznodzieją królewskim, nie wahał się wtedy z ambony upomnieć króla do powrotu. Chciał się zrzec kaznodziejstwa zamkowego, ale generał Jezuitów kazał pozostać mu na dworze królewskim. Miało się to jeszcze powtórzyć kilka razy. Król zaś zmawiał się dalej z Habsburgami, aż sam Zamojski musiał wystąpić przeciw Zygmunutowi ostro na sejmie r. 1592. Ale nie przeszkadzano królowi, gdy w r. 1594 pojechał do Szwecji na koronację. Ileż dobra spodziewano się z tego, że wreszcie znalazły się na jednej głowie te dwie korony - szwedzka i polska!

Tymczasem kanclerz snuł dalej wielkie plany Batorego. Ażeby zabezpieczyć na przyszłość wojskom polskim przemarsz przez Wołoszczyznę, wyprawiał się tam wielki Zamojski trzy razy i zabezpieczył gospodarstwa lennikom Polski. Ponieważ zaś zachodziła obawa, czy w razie wojny z Turkami nie będzie się mieć prawosławia przeciwko sobie, popierano tym usilniej wszelkie misje wschodnie. Skarga był w tym w swoim żywiole. Od młodszych lat zajmował się nieustannie tą kwestią "jedności Kościoła Bożego", apostołował zaś wśród schizmatyków na Białorusi z wielkim powodzeniem. Urządzono też

misję wołoską i przypuszczano, że gdy prądy katolickie uderzą na Ruś równocześnie z dwóch stron, od północy i z południa, zagadnienie jedności Kościoła będzie rozwiązane przynajmniej w państwie polsko-litewskim. Mniemano, że w takim razie unia kościelna musiałaby oddziaływać poprzez Wołoszczyznę także na Półwysep Bałkański, gdzie spodziewano się pomocy od "wujów" franciszkańskich.

Król Zygmunt III popierał te dążenia z całych sił, tym bardziej, że protestanci zaczęli się zmawiać przeciw niemu ze schizmatykami. Przypuszczał, że unia cerkiewna stanie się klinem rozsadzającym ów związek. Przyspieszył więc akcję unijną, przynaglał i pospiesznie, bez należytego przygotowania, ułożono unię w r. 1595, a roku następnego ogłoszono ją uroczyście na synodzie cerkiewnym w Brześciu Litewskim (stąd zwana brzeską). Pospieszono się, nie pozyskawszy jeszcze wszystkich dostojników prawosławia. W Ostrogu, pod opieką kniazia Ostrońskiego, odbył się od razu antysynod przeciwko unii. Było to zarzewie przyszłych wojen domowych.

Omylił się Zygmunt III, uważając teraz stanowisko swe w Polsce za ubezpieczone i samo państwo polsko-litewskie za tak wzmocnione jednością religijną, iż śmiało może się teraz zabrać do przywracania katolicyzmu w Szwecji. Wybrał się tam powtórnie w r. 1598 z wojskiem zaciężnym i z misjonarzami jezuitskimi. Połączenie jednego z drugim wydało fatalne skutki. Protestanci odmówili posłuszeństwa; skorzystał z tego stryj króla, Karol, książę Sudermanii (prowincja szwedzka), stanął na czele sprawy protestanckiej, zebrał także wojsko, odniósł zwycięstwo i Zygmunta z tronu strącił. Głowa zaś misji jezuitskiej, świątobliwy kapłan Jan Laterna, doczekał się śmierci męczeńskiej. Rozwinął nader ożywioną działalność misyjną, ale pochwycony przez żołnierzy Karola, utopiony został w morzu, w grudniu 1598 r.

Uczestniczyły w walce z protestantyzmem i schizmą wszystkie zakony. Można by przytoczyć kilkadziesiąt nazwisk gorliwych misjonarzy i kaznodziejów. Poprzestajemy dla przykładu na czterech, którzy zasłynęli największą świątobliwością: dwaj Melchiorowie i dwaj Bernardzi. Żył jeszcze do r. 1591 św. Melchior z Mościsk, o którym była mowa poprzednio, porywający wymową mieszczaństwo krakowskie u Dominikanów, gdzie też jest pochowany. Inny Dominikanin, także Melchior, pochodzący z Warki, mieściny w Wielkopolsce, a wysłany następnie do Wilna, był dzielnym pomocnikiem Piotra Skargi w nawracaniu schizmatyków Rusi Litewskiej. Tak był świątobliwy, iż powiedziano o nim, jako był "wszystek prawie w medytacjach utopiony". Zmarł w Wilnie w r. 1602.

Co ciekawe, że w tym czasie, kiedy największej wśród obozu katolickiego popularności nabierał nowy zakon Jezuitów, równocześnie odradzają się zakony najstarsze. Kameduli, którzy już dawno zaniknęli, przybywają na nowo do Polski w r. 1605, a Benedyktyni zyskują dwóch zakonników zmarłych w opinii świętości. Obydwom było na imię Bernard i w tym samym żyli klasztorze, pochodzili jednak z dwóch przeciwległych krańców Polski. Jeden z nich pochodził nawet spoza granic państwa polskiego, z pozostającego pod czeską koroną Śląska (a królami czeskimi byli już Habsburgowie), z miasta Frydku. Czując powołanie zakonne, a chcąc się koniecznie dostać do polskiego klasztoru, zaszedł aż do Poznania, a potem skierował się do Benedyktynów w Lubiniu Wielkopolskim i tam zmarł w r. 1603, gdzie "cudami słynie" (jak zapisano w r. 1737).

Do tego samego klasztoru wstąpił w r. 1598 Bernard z Wąbrzeźna, miasta na Pomorzu. Był to "wielki sługa Boży", który zdołał w krótkim czasie wspiąć się na tak wysoki szczybel doskonałości chrześcijańskiej, iż budził najgłębszy podziw u wszystkich. Ten zakonnik był nawet przedtem u Jezuitów w Poznaniu, a opuścił ich dla Benedyktynów zapewne dlatego, że był miłośnikiem życia jak najbardziej na uboczu. Miał w sobie ducha raczej średniowiecznych świętych. "Cicho i mało znany przeszedł przed oczyma tego świata". A rozkoszą jego było, że umiał "ukrzyżować ciało swoje wraz z jego pożądliwościami". W ascetyzmie żył do r. 1603, czczony zaraz po zgonie jako święty; głoszono zaś o nim jeszcze za życia, "jako cuda czyni". Gdy w r. 1834 r rząd pruski zamknął ten klasztor, zajęli się zbieraniem aktów do beatyfikacji ostatni przeor O. Zimowicz i Jezuita z Torunia Szembek. Rząd pruski zrabował jednak w r. 1836 dwa tysiące talarów, zebranych na przeprowadzenie procesu beatyfikacyjnego. Jednakże blisko sto lat później zaczęto nawiedzać znowu grób Bernarda z Wąbrzeźna w Lubiniu. Stary klasztor zburzyli Prusacy, ale pojawili się tam już na nowo polscy Benedyktyni, aby zbierać akty i środki do ponownych starań o beatyfikację.

Odradzały się stare reguły zakonne w owych czasach, za życia Skargi, natomiast rzecz dziwna, że nie było w Polsce ówczesnej wcale nowego zakonu Kapucynów, który powstał w r. 1525 w włoskim mieście Urbino.

Jak widzimy, chociaż inne zakony pomagały w sprawowaniu misji, jedni tylko Jezuici uczestniczyli w owych latach w życiu publicznym, w sprawach państwowych. Widzieliśmy, jak nie powiodła się im misja szwedzka. Wkrótce runęły wszystkie marzenia związane ze złączeniem dwóch koron na głowie Zygmunta III. Gdy nie chciał zrzec się tronu szwedzkiego, Karol sudermański sam wkrótce królem się ogłosił. A skoro Zygmunt nadal nie zrzekał się korony szwedzkiej, której był przecież prawym po ojcu dziedzicem, Karol wszczął z nim wojnę i w r. 1600 przekroczył granicę polską w Inflantach, wkraczając tam łądem od strony Finlandii.

Tak marzenia o unii ze Szwecją przemieniały się nam na wojny szwedzkie, które miały nas nękać przez lat 60 aż do r. 1660.

Tym razem Zamojski odzyskał w r. 1602 niemal całe Inflanty, z wyjątkiem Dorpatu. W następnym roku wojował jeszcze dalej i wtedy wystąpił znów publicznie Skarga z listem serdecznym do Zamojskiego, w którym sławi go między innymi w te słowa: "Który goręcej Ojczyznę miłujesz, i głębiej i ostrzej w jej potrzeby i niedostatki patrzysz". Był to już jednak schyłek życia Jana Zamojskiego.

Dowództwo w Inflantach objął po nim wódz nie mniej znakomity, Jan Karol Chodkiewicz, który gromił dalej Szwedów. Słynie w historii bitwa pod Kircholmem nad Dźwiną, stoczona dnia 27 września 1605 r. Mając wojska wszystkiego razem 3700 ludzi, zadał Chodkiewicz Szwedom taką klęskę, że samych poległych liczyli 8000, nie licząc ubitych w pogoni i tych, którzy potonęli w Dźwinie. Sześćdziesiąt chorągwi nieprzyjacielskich wpadło w polskie ręce, działa i cały obóz szwedzki. Polska armia słynęła wówczas z dzielności i sprawnego urzędnictwa na całą Europę, a zwłaszcza sławna husaria skrzydlata, która łamała nieraz w kilka chwil szyki nieprzyjacielskie.

Nie wyzyskano należycie tego zwycięstwa, poprzestając na rozejmie.

Zamojski od razu mówił, że lepiej raz dać królowi duże wojsko, żeby sobie tron szwedzki odzyskał, niż być narażonym ciągle na niebezpieczeństwo w Inflantach; ale nie posłuchano tej rady i robiono wszystko jakoś połowicznie.

Raz jeszcze przed zgonem miał wielki Zamojski służyć państwu mądrą radą, lecz także go nie usłuchano.

Zaszły tak dziwne wydarzenia, iż zdawać się mogło, że nawet z samą Moskwą unia cerkiewna wkrótce będzie dokonana i że armia moskiewska będzie do dyspozycji Polski przeciwko Turcji. Po śmierci Iwana Groźnego nastąpił niedołączony syn jego Fiedor. Rządził za niego wielmoża Borys Godunow, który sam myślał o tronie dla siebie. Fiedor żył krótko, ale miał młodszego brata, Dymitra; tego więc pozbył się Godunow, zgładziwszy go, dziewięcioletnie zaledwie dziecko. Nieprzyjaciele Godunowa nie dali jednak za wygraną. W r. 1603 zjawił się na Ukrainie, w granicach tedy państwa polskiego, młodzieniec, podający się za Dymitra. Twierdził, że wówczas podstawiono zbirom Godunowa inne dziecko, on zaś jest Dymitrem, który ocalał dzięki poświęceniu starego sługi. Protegowany przez bogatą rodzinę Mniszców z Rusi Czerwonej, zgłasza się ów rzekomy Dymitr do króla Zygmunta III i obiecuje zaprowadzić w państwie moskiewskim katolicyzm, jeżeli król dopomoże mu do odzyskania tronu. Sam zaś Dymitr Samozwaniec przeszedł uroczyscie na katolicyzm w krakowskim jezuickim kościele Świętej Barbary w r. 1605, odbywszy przedtem katechizację u Jezuitę ks. Sawickiego. Kto wszakże patrzył głębiej i dalej nie mógł wierzyć w tę unię moskiewską. Ani w polityczną, ani w cerkiewną!

Jakże można było marzyć o unii w Moskwie, skoro w Polsce i na Litwie nie bardzo się przyjęła! Przystąpiły do niej tylko część Rusi Białej i Podlasie, ale sprzeciwiła się cała Ruś Południowa. Zwalczali się zaś unicy i dysunicy z największą nienawiścią i namiętnością. Należało oczywiście wprawdzie załatwić tę sprawę we własnym państwie.

Kiedy Zamojski dowiedział się o Samozwańcu, nazwał całą tę sprawę prostą komedią i stanowczo odradzał puszczać się na takie kręte drogi. Nie posłuchano go, on zaś tego samego jeszcze r. 1605 odszedł z tego świata. Pozostał po nim trzeci w Polsce uniwersytet, "akademia zamojska", założony przez niego kosztem własnym w Zamościu. Po śmierci Jana niewiele się o tę akademię troszczono, toteż od razu podupadła, lecz istniała aż do końca niepodległości królestwa polskiego.

Z czterech wielkich mężów został sam Skarga, dla króla coraz ozięblejszy. Kiedy w tymże roku Zygmunt III łączył się na nowo z Habsburgami wbrew woli narodu, małżonkę sobie z Wiednia sprowadzając, Skarga wystąpił śmiało przeciw temu austriackiemu małżeństwu, lecz bezskutecznie. Ale kiedy znowu chciał dwór królewski opuścić, generał zakonu znów nie pozwalał.

Gdy Skarga nie mógł robić czegoś, co by chciał lub też gdy nie mógł robić tak, jak by chciał, nie zakładał rąk, lecz robił to, co mógł, to co się robić dało. A główną jego pracą była zawsze misja wschodnia. Był też na tym polu największym mistrzem, ogarniał zaś swym wpływem, wzrastającym coraz bardziej, przede wszystkim warstwy wyższe. Ponieważ przepojone były duchem protestanckim, trudno nawet orzec, czy Skarga nawracał bardziej ze schizmatycznego prawosławia, czy też ze szczególnego ruskiego protestantyzmu. Mieszało się to jedno z drugim i wikłało, utrudniając nawracanie, które musiało być niejako podwójne. Ale radził sobie Skarga doskonale piśmem i żywym słowem, o ile miał jeszcze czas na podróże misyjne. Nawróceni zaś szlachcice ruscy, porzucając "nowinki" kalwińskie i ariańskie, nie na prawosławie się nawracali. Tak już od schizmy odbiegli, iż nawet uciekali od obrządku wschodniego. Mogli stać się katolikami jako unicy, lecz oni tego nie chcieli i przy nawróceniu przyjmowali niemal zawsze obrządek łaciński. Dalszym następstwem było dobrowolne spolszczenie się tej szlachty.

Nie należy mniemać, jakoby spolszczenie polegało na samym tylko przyjęciu języka polskiego. Gruby to błąd, bo można w polskim języku służyć obcym cywilizacjom, nawet wrogim polskości. Mówiąc i pisząc po polsku, można doskonale wysługiwać się cywilizacji bizantyńskiej lub turańskiej, czy też żydowskiej.

Ta inteligencja ruska, która w następstwie prac misyjnych Skargi i jego pomocników przyjmowała. katolicyzm w obrządku łacińskim, przejęła się zarazem cywilizacją łacińską i dlatego stała się polska na wskroś, polska z ducha.

Było to wydarzeniem niezmiernej wagi, gdyż zanosilo się właśnie na starcie się rozmaitych cywilizacji we wschodnich prowincjach królestwa polskiego i w całym Wielkim Księstwie Litewskim. Oznaki zapowiadające to nieszczęście, jakby znaki w powietrzu przed burzą, pojawiały się jeszcze za życia Skargi. Powstawały wiry zamieszania się i zderzenia cywilizacji; ludzie nie wiedzieli, czego się trzymać, często nie wiedzieli po prostu czego sam chcą. Wytwarzała się w Polsce rozterka myśli.

Ciężkiemu temu zagadnieniu przyjrzymy się bliżej w następnym rozdziale.

Najszersze granice

Wkraczamy w okres, kiedy państwo polskie było największe, najrozleglejsze; w okres najszerszych granic. Były to czasy najdzielniejszego wojska i znakomitych wodzów, lecz powstają przykre rozterki wewnętrzne, które musiały podkopać siłę nawet potężnego państwa. Przecież w rok po śmierci wielkiego Zamojskiego wybuchła wojna domowa!

Skądże to? Słyszcy się nieraz, że przyczyna złego tkwiła w elekcyjności tronu. Ależ wybierano Jagiellonów jednego po drugim, jakby w państwie dziedzicznym, trzymano się tego rodu nawet po kądzieli, wynosząc na tron Annę Jagiellonkę, następnie syna Katarzyny Jagiellonki i jego potem dwóch synów. Był tedy w Polsce silny zmysł dynastyczny i aż do r. 1668 elekcje stanowiły tylko formalność.

Lecz po cóż ta formalność? Bo się obawiano, żeby królowie nie nadali sobie władzy nieograniczonej, żeby nie wprowadzili rządów absolutnych, gdyby byli pewni dziedzicznej korony. Szedł do tego zły przykład państw zachodniej Europy; wszędzie królowie przestawali uznawać prawa obywateli wobec

państwa i łamali wszelki samorząd. Gdy nastały spory wyznaniowe, obie strony same ofiarowały monarchom władzę absolutną, byle król zgniótł i wytępił stronę przeciwną. Wszakże dochodziło do tego, że panujący decydowali o religii swych poddanych! I znaleźli sobie prawników, którzy wywodzili, że tak być powinno, że król nie ma słuchać żadnych praw, że stoi ponad prawem, a prawem jest jego wola.

W wiekach średnich nazwano by absurdem takie pojmowanie rządów. Ale w zapale do starożytnictwa znalazła się furtka do nieograniczonej władzy monarszej. Na wielkim prądzie humanizmu, o którym była mowa w rozdziale 17, zyskały wiele sztuki piękne i literatura, i nauki; lecz nauki tylko oprócz jednej, prócz prawa publicznego. Zaczęto czerpać wzory ze starożytnego prawa rzymskiego, lecz z czasów rzymskiego cesarstwa. Nie wiedziano jeszcze wtedy, że to prawo głoszące samowładzę monarszą powstało pod silnym wpływem Azji, z podbitych prowincji azjatyckich. Wielbiąc na ślepo wszystko, co pochodziło ze starożytnego Rzymu, rzucono się też z zapałem do tego rzymskiego prawa publicznego. Kierunek ten nazywał się legizmem. Oczywiście, że studia te i zamiłowania były popierane na dworach monarszych.

W Polsce legizmu nie przyjęto, a z królów dopiero Zygmunt III uważał, że może z koroną i z państwem robić, co zechce, jakoby z prywatną swoją własnością. Widzieliśmy, jak sam wielki Zamojski stanął w opozycji. Ale to był polityk roztropny, wiedział co można i jak można, a czego nie można. Ledwie oczy zamknął, wybuchł rokosz.

Wielki Zamojski pozostawił Polsce po sobie wielkiego ucznia: Stanisława Żółkiewskiego. Ten, urodzony w r. 1547, we wsi Turynce (województwo lwowskie) w rodzinie senatorskiej, po skończeniu szkół oddany był na dwór Zamojskiego, żeby się zaprawiać do spraw publicznych, politycznych i rycerskich. Na samym wstępie panowania Batorego dowodził w gdańskiej wyprawie rotą wystawioną przez Zamojskiego. Podczas następnego bezkrólewia odznaczył się nawet w bitwie pod Byczyną; walcząc na czele jazdy zdobył wielką chorągiew arcyksięcia Maksymiliana, żółtą z czarnym orłem cesarskim. Odniósł tam ranę i to ciężką, ale też otrzymał nominację na hetmana polnego. Towarzyszył nadal swemu mistrzowi Zamojskiemu w wyprawie na Wołoszczyznę i w początkach wojen szwedzkich; on sam wziął do niewoli wodza szwedzkiego, Jakuba de la Gardie. Ten dzielny hetman był więc jakby kontynuatorem Zamojskiego wobec rokoszu, jaki wybuchł wnet po zgonie tamtego. Było to w r. 1606.

Nie można przyznać roztropności głowie rokoszu, wojewodzie krakowskiemu Mikołajowi Zebrzydowskiemu. A był to gorliwy katolik. Był tercjarzem bernardyńskim, wielkim dobrodziejem ich najstarszego klasztoru, tego "kapistrańskiego" pod Wawelem w Krakowie. Potem zaś ufundował sławną na cały świat Kalwarię Zebrzydowską, o pięć mil od Krakowa, w sąsiedztwie swego zamku w Lanckoronie. Syn jego i bratanek wstąpili nawet do Bernardynów. Był to więc dom na wskroś katolicki, który stanął do rozprawy orężnej z królem również katolickim. Nie o wyznaniowe spory chodziło, lecz o to, że król łamał coraz bardziej prawo krajowe. Ale gdy rokosz wybuchł, przyłączyli się do niego od razu dysydenci, tj. protestanci wszystkich sekt, tudzież dyzunicy, tj. prawosławni przeciwnicy unii brzeskiej. Ci chcieli pozbyć się króla, który był surowym katolikiem, i powołać na jego miejsce jakiegoś sympatyka protestantyzmu; takiemu chętnie pozwoliliby rządzić absolutystycznie. Panował więc w obozie Zebrzydowskiego prawdziwy galimatias pojęć; łączy ich tylko sam początek sprawy, wybuch zbrojnego oporu, ale cele rokoszu pojmowano rozmaicie.

Ksiądz Piotr Skarga stanął z całą energią po stronie królewskiej. Jakże to? Dookoła Turek, Moskal, Szwed, a oni tu rządzą wojnę domową? Na próżno jednak jeździł do Lanckorony, żeby przywieść wojewodę do opamiętania. Wystąpili więc w obronie porządku publicznego hetmani Chodkiewicz i Żółkiewski, powołując wojsko do broni przeciw rokoszanom i rozbili ich pod Guzowem w r. 1607. Nie miało to znaczyć, żeby byli zwolennikami absolutyzmu. Zaznaczał Skarga swe stanowisko wyraźnie: "Nie taką monarchię chwalimy, jaka jest u Turków, Tatarów i Moskali, która ma bezprawne panowanie, ale taką, która sprawiedliwymi prawy i radą mądrą podparta jest, i moc swoją ustawami pobożnymi umiarkowaną i określoną ma".

Hetman zaś Stanisław Żółkiewski pobiwszy rokoszan, nie żywił żadnej mściwości, lecz ze wszystkich sił swoich starał się, żeby przywrócić w Polsce zgodę. I osiągnął ten cel; on sam prowadził na sejmie r.

1608, Zebrzydowskiego przed tron królewski; rokoszanin przeprosił i przyrzekł dotrzymywać wierności, a król wielkodusznie przebaczył.

Wstawiony już kilkakrotnie Żółkiewski wyróżniał się prostotą i skromnością. Zasłynął z niezwyklej bogobojności, z ofiarnej miłości Ojczyzny i z nadzwyczajnego przywiązania do wiary świętej. Całe życie jego prywatne i publiczne było doprawdy jednym pasmem świętości i zwano go też często "świętym hetmanem". Nieraz już występowano z myślą, żeby się zająć jego beatyfikacją.

Tymczasem Samozwaniec, zebrawszy wojsko z ochotników, pobił Godunowa i zasiadł rzeczywiście na tronie carów. Wśród rotmistrzów jego hufców zapamiętajmy sobie Makarego Demęzkiego. Był to Rusin prawosławny, który przyjął następnie arianizm.

Ponieważ Samozwaniec obiecywał w Krakowie Jezuitce ks. Sawickiemu i za jego pośrednictwem samemu królowi, że wprowadzi w państwo moskiewskie unię brzeską, jechała więc z nim cała misja. Jechał do Moskwy ks. Sawicki i proboszcz z Sambora, ks. Franciszek Pomarski z rodzonym bratem swym Stanisławem, który mu usługiwał do mszy św.; tudzież siedmiu księży Bernardynów. Przewodził im O. Benedykt Gąsiorek z tytułem "komisarza moskiewskiego". Pochodził ten zakonnik z możnej mieszczańskiej rodziny ze Lwowa, był już prowincjałem zakonu, a obeznany był z wielkim światem i za młodszych lat przebywał w Paryżu i w Rzymie. Z wielką pompą obchodzili ci Bernardyni w Moskwie Zielone Świątki. Zwłaszcza dziwowali się Moskale muzyce przy mszy św.; tak się cisnęli koło kwatery bernardyńskiej, iż łamali płoty.

Ale o przyrzeczonej unii cerkiewnej Samozwaniec w Moskwie ani myślał. Wiedział, że w takim razie musiałyby sam zaraz uciekać przed Moskalami.

Wyraźnym ostrzeżeniem była męczeńska śmierć braci Pomarskich, zamordowanych przy ołtarzu dnia 27 maja 1606 r. Wkrótce potem padł też sam Samozwaniec ofiarą spisku, uknutego przez kniaziów Szujskich. Dostał się wtedy do niewoli nowych władców wraz z wielu innymi rotmistrz Demęzki, a w więzieniu miał spotkanie zaiste cudowne. Towarzyszem niewoli był mu Karmelita Bosy O. Paweł Szymon, który wybierał się przez Moskwę na misje do Persji. Nawrócony przez niego, ślubował rotmistrz, że wstąpi do jakiegoś zakonu, jeżeli danym mu będzie wydostać się z niewoli i dobrać do Polski. Bernardynów zaś naszych wywieziono do Jarosławia nad Wołgą, gdzie jednak pozwalano im ruszać się swobodnie i odprawiać nabożeństwa. Nawrócili nawet kilkadziesiąt osób. Niestety, tam zabrała śmierć O. Gąsiorka w sierpniu 1607 r. Sami Moskale mieli go za świętego; całowali ręce i stopy zmarłego. Nie chcieli zwłok wypuścić z miasta, a gdy je potem przewożono do Polski, trzeba to było robić po kryjomu, a w Jarosławiu wyprawić udany pogrzeb.

Nowy car, Wasyl Szujski, zawierał przymierze z Karolem Sudermańskim przeciwko Zygmuntowi III, więc mu król wypowiedział wojnę. Hetman Żółkiewski chciał ruszać prosto na Moskwę, ale Zygmunt III uparł się, że wpiery musi odzyskać Smoleńsk (utracony za Zygmunta Starego). Zdobył go istotnie po trzech latach, ale przez trzy lata całe niemal wojsko tam musiało pozostawać. Hetman zaś miał w pochodzie na Moskwę ledwie 3000 jazdy i 1000 piechoty. Co za wodzów jednak wówczas mieliśmy? Z takim drobnym wojskiem rozgromił "święty hetman" pod Kłuszynem 46 000 Moskali i sprzymierzonych z nim Szwedów. W zwycięskim pochodzie stanął Żółkiewski pod Moskwą w sierpniu 1610 r. i doprowadził do tego, że Moskale sami przyprowadzili mu do obozu Szujskich do niewoli, a powoływali na tron królewicza polskiego Władysława, który liczył wówczas lat 15. Zdawało się, że się spełniają wielkie plany Batorego i Zamojskiego, że potęga moskiewska złączy się z nami, wyruszymy wspólnie na Turków i będzie Polska od morza do morza, a Kościół na Bałkanie uwolni się spod jarzma muzułmańskiego.

Ale Zygmunt III uparł się, że nad Polską, Litwą i Moskwą ma być jeden tylko wspólny monarcha, a tym monarchą ma być on sam. Na hetmana rozgniewał się, kazał mu wracać spod Moskwy, a syna tam nie puścił.

Wraca więc "święty hetman". Odbył tryumfalny wjazd do Warszawy, wiodąc przed króla i zgromadzony sejm swych jeńców, carów Szujskich. Tryumf to był wojskowy nie lada, lecz Żółkiewski czuł się pokonany politycznie. Spodziewał się, że gdy młody królewicz Władysław zasiądzie na tronie

carskim, doprowadzi moskiewskich poddanych z czasem do tego, że w spokoju i zgodnie, z własnego przekonania będą przyjmowali unię; że nie będzie już w przyszłości wojen polsko-moskiewskich; zaprzyjaźniona z nami Moskwa skłoni się wreszcie do wspólnej wyprawy na Turcję, że więc spełnią się wielkie plany Batorego i Zamojskiego. Te nadzieje rozwiął niestety król Zygmunt III, mniemając uparcie, że używszy siły osiągnie za jednym razem to, do czego Żółkiewski radził zmierzać wolniej i ostrożniej.

Ale w Moskwie nie chciano Zygmunta III z obawy, że będzie przemocą wprowadzał unię cerkiewną. I tak pozostali Moskale przez trzy lata bez cara, bez rządu. Nareszcie lud prosty zaczął się domagać jakiegoś cara i w r. 1613 wprowadzono na tron Michała Romanowa, od którego zaczyna się nowa dynastia w państwie moskiewskim, które następnie przerobiło się na Rosję.

Co zaś do unii brzeskiej, ani nawet w samym Wilnie losy jej nie były jeszcze pewne. W głównym wileńskim monasterze Świętej Trójcy przeważał duch schizmy, a podczas rokoszu Zebrzydowskiego oświadczył się za nią jawnie tamtejszy archimandryta. Obrońcą unii i męczennikiem za nią miał się stać Jozafat Kuncewicz, urodzony w r. 1580 we Włodzimierzu Wołyńskim, następnie kupczyk w Wilnie. Przejęty zamiłowaniem do nauki i poczuwszy powołanie kapłańskie, uczył się, korzystając z pomocy Jezuitów wileńskich i za ich radą pozostał przy obrządku wschodnim. Wstąpił właśnie do Bazylianów przy św. Trójcy w r. 1604. Wyświęcony na kapłana unickiego w r. 1609, został w tym monasterze po kilku latach archimandrytą. Nadawał przewagę kierunkowi unickiemu i dokonywał licznych nawróceń w całej Wileńszczyźnie. Było to misjonarstwo innego pokroju niż u Skargi. Działalność Kuncewicza była bardziej popularna, gdy tymczasem Skarga pozyskiwał wpływ wśród najwyższych warstw Rusi Litewskiej.

Ten sławny ksiądz Skarga kończył właśnie ziemski swój żywot w r. 1612, pełen smutku, gdy Polacy opuszczali Moskwę. Nieraz już miewał najgorsze przeczucia co do przyszłości Polski, a zwłaszcza w swych "kazaniach sejmowych". Chciał silnej władzy królewskiej, lecz bez absolutyzmu; tego nie rozumiał król, a tamtego wielmożowie; w środku zaś sejm, jak na rozstajnych drogach. Skarga groził, że państwo upadnie; raz nawet przepowiedział rozbiory. Wyprorokował? Sam o sobie powiedział co następuje: "Jać objawienia osobliwego od Pana Boga nie mam, ale posłannictwo do was mam od Pana Boga".

A jak kochał Ojczyznę! Jest po Długoszu drugim uczonym autorem polskim, na którego pismach można uczyć się miłości Ojczyzny. Doskonale też określił, gdzie źródło prawdziwego patriotyzmu i w czym patriotyczna siła: "Nie dlatego kocham Ojczyznę naszą, Polskę, że nas żywi, ale dlatego, iż jest postanowienia Bożego". Bo z woli Bożej istnieją narody, powołane do współpracownictwa w spełnianiu ideałów duchowych i moralnych. Skoro sam Bóg ustanowił nam tę Ojczyznę i kazał nam być Polakami, a więc jest to obowiązkiem religijnym Polaka, żeby był dobrym Polakiem.

Mając tyle zajęcia przy sprawach publicznych i wydając tyle książek swego pióra, oddany był niespożyty ksiądz Skarga nadto jeszcze pracy społecznej. Zakładał "banki pobożne" i "bractwa miłosierdzia" w Krakowie, Poznaniu, w Warszawie, w Wilnie i Lublinie. Towarzyszyła mu też opinia świętości, gdy go w r. 1612 grzebano w krakowskim kościele Świętego Piotra.

Kazanie pogrzebowe wygłosił nad trumną Skargi drugi najślawniejszy po nim kaznodzieja. Dominikanin, ks. Fabian Birkowski. W kazaniu tym znajduje się ciekawa zaiste wiadomość, "rzecz dziwna i pamięci godna". Przed śmiercią posłał ks. Skarga do Częstochowy świecę woskową, którą własnymi rękoma zrobił (lubił się zabawiać w chwilach wypoczynku). Otóż - opowiada ks. Birkowski - "w ten dzień i w ten czas, tj. 27 września (1612) po niespornych godzinach, ona świeca dogorzawszy zgasała, kiedy ten, który ją posłał, tu w Krakowie zgasł. Zgasła świeca słowa Bożego w pół Kościoła zapalona; umarł nie tylko słowy, ale żywotem doskonały kaznodzieja".

Rok przed śmiercią Skargi przybył do Krakowa znany nam z Moskwy rotmistrz Demęzki. Powiodło mu się wyrwać z niewoli. Przyczłapał się aż do Krakowa przebrany za wędrownego rzemieślnika i rozglądał się, do którego by tu wstąpić klasztoru, żeby spełnić swój ślub. Jakaż niespodzianka! Dowiaduje się, że u Karmelitów Bosych jest przełożonym dawny towarzysz niewoli, O. Paweł Szymon! Oczywiście tam

się udał i wstąpił do nowicjatu mając już lat 45. Wkrótce potem przeznaczono go do klasztoru w Przemyślu. Usłyszymy jeszcze o nim.

Tego samego r. 1611, również więc na rok przed zgonem Skargi, wstępował do nowicjatu jezuickiego w Wilnie św. Andrzej Bobola, pochodzący z ziemiańskiej rodziny w Sandomierskiem. Wysłano go potem do Brunsbergi na Warmii, do najstarszego w Polsce domu jezuickiego fundacji samego Hozjusza. Uczył w tamtejszej szkole gramatyki aż do r. 1617.

Te same lata przebył Jozafat Kuncewicz w Kijowie, pozyskując tam szacunek nawet mnichów największej twierdzy prawosławia, tzw. Ławry Peczerskiej. Stamtąd przeniósł się w r. 1617 na biskupstwo unickie do Połocka na Białorusi. Nikt nie znał tak dobrze całej Rusi, koronnej i litewskiej, jak on: od Kijowa po Połock.

Lecz wracajmy do dalszego wątku historii politycznej. Car Michał Romanow na próżno próbował odebrać Smoleńsk, a nasz Zygmunt Waza zdecydował się wreszcie w r. 1617 - szkoda, że o siedem lat za późno - wyprawić syna do Moskwy.

W tym miejscu dziwnie splatają się stosunki polsko-szwedzkie wobec Moskwy. Nie żył już Karol Sudermański, a nastąpił po nim jego syn Gustaw Adolf. Zygmunt III zaprotestował od razu przeciw objęciu tronu, który on uważał za swój. W odpowiedzi na to wpadł Gustaw Adolf zaraz do Inflant polskich, a nie znajdując należytego oporu, zdobył wielką część tej ważnej krainy nadmorskiej. Przestało już obowiązywać przymierze Moskwy ze Szwecją, zawarte przez cara Szujskiego. Car Michał Romanow pozostawał w wojnie z Gustawem Adolfem. Oręż szwedzki odnosił wielkie przewagi; już Nowogród Wielki był zagarnięty, już też Psków przez Szwedów oblężony... Gdyby było porozumienie pomiędzy Szwecją a Polską! Gdyby Szwedzi wojowali dalej z Moskwą, sama równoczesność działań wojennych stanowiłaby dla Moskwy istne kleszcze wojenne, z których niełatwo byłoby się wydostać. Ale skoro tylko rozeszła się wieść, że królewicz Władysław ruszy przeciw carowi Michałowi, Gustaw Adolf w tej chwili zwrócił Moskwie dobrowolnie wszystkie zdobycze i zawarł pokój, żeby mieć wolne ręce przeciw Zygmuntowi III.

Nie można było bronić należycie Inflant przed Szwedami, skoro się urządziło równocześnie wyprawę na Moskwę. A królewiczowi szczęściło się. W szybkim pochodzie, zdobywając po drodze ważne grody, stanął w październiku 1618 r. pod Moskwą. Dopomógł królewiczowi niemało Żółkiewski tym, że zjednał mu posiłki od Kozaków. Miał u nich powagę i sympatię, bo obchodził się z nimi "po ludzku" i myślał o tym jak by ich związać stałe z państwem polsko-litewskim. Kozacy zaś bywali niepewni, a do wybryków skłonni. Żółkiewski chciał ich pozyskać, ale inni siłą chcieli zmusić do posłuszeństwa i uciemiężyć. Ci wydawali przeciwko Żółkiewskiemu rozmaite pisma obelżywe, co dotykało go boleśnie, lecz nie odwiodło od przekonań, jakie uważał za słuszne.

W Moskwie rozpoczęto układy pokojowe, bo tymczasem groziła utrata Inflant i jeszcze na dobitkę sułtan Osman wyprawił w tym samym roku całą ordę tatarską na Polskę. Może wyprawa moskiewska nie dałaby wyniku, gdyby Żółkiewski Tatarom nie stawił czoła pod Orymunem. Ostatecznie zawarto z Moskwą w grudniu 1618 r. w Dywilinie rozejm na lat 16, na warunkach dla Polski jak najkorzystniejszych. Klęska caratu była stanowcza. Moskwa odstępowała trzy rozległe ziemie: smoleńską, siewierską i czernichowską. Granice państwa polsko-litewskiego posuwały się daleko na wschód poza Dniepr. Polska doszła do największego rozszerzenia granic, które trwało do r. 1654.

Nie dane było Polsce używać w spokoju owoców rozejmu dywilińskiego. Pokonaliśmy Moskwę, a miało się jeszcze przeciw sobie Turcję. Zaraz w roku następnym po Dywilinie wypuścił sułtan na Polskę Tatarów. Żółkiewski przedstawił sejmowi r. 1619, że według jego informacji Turcja przygotowuje się do walnej z nami rozprawy, lecz go słuhać nie chciano i zakrzyczano, że umyślnie przesadza. Po cóż miałyby na próżno straszyć? Albo mu może tęskno było za nową wojną? Wojował już 44 lata. Prosił nawet króla, żeby go już zwolnił z hetmaństwa, lecz o tym król nie chciał słyszeć.

W r. 1620 ruszyło na Polskę 80 000 Turków i Tatarów. Hetman Żółkiewski starał się wstrzymać ich w pochodzie, więc wyszedł naprzeciw nich i przeprowił się przez rzekę Dniestr. A zdołał zebrać naprędce ledwie 8000 żołnierzy, dziesiątą część tego, co miał nieprzyjaciel. Stanął jednak obozem pod Cecorą,

żeby im zagrozić drogę, w nadziei, że król zajmie się tymczasem zebraniem większego wojska. Gdyby Żółkiewski otrzymał na pomoc żołnierza z Inflant! Ale na próżno czekał na posiłki. Wojsko jego zaczęło szemrać, a gdy stracono wszelką nadzieję pomocy, trzeba było rozpocząć odwrót. Hetman utworzył wielki tabor, czyli ruchomą warownię z wozów i cofał się z wolna ku Dniestrowi, opędzając się na wszystkie strony podjazdom tureckim i tatarskim. Już blisko byli granicy, gdy niecierpliwość i niekarność wojska popsuka hetmanowi szyki i Turcy tabor rozbili. Dniestr był opodal i niektóre hufce pędziły samopas ku rzece, ażeby jak najprędzej znaleźć się na polskim brzegu.

Stary hetman nie stracił na chwilę poczucia, co winien honorowi; wołał zginąć, niż uciekać. Dobywszy pałasza, sam ruszył ku przednim szeregom, żeby je na nowo uszykować. O zwycięstwie nie było co myśleć; znalazło się jednak dosyć rycerstwa, które porwane przykładem sędziwego wodza, otoczyło go. Działo się tu coś podobnego, jak z królem Władysławem III pod Warną. Garstka najdzielniejszych rzedła coraz bardziej wobec straszliwej przewagi nieprzyjaciela. Wkrótce było ich żywych tylko kilkudziesięciu, niebawem tylko kilkunastu, a w końcu zaledwie kilku, a wśród nich dwaj synowie hetmańscy.

Tych kilku ostatnich bohaterów poczęło błagać hetmana, ażeby ocalił swe życie, żeby dosiadł konia i uciekał ku granicy. Oni zaś tymczasem mieli na chwilę zająć jeszcze Turków swymi szablami, a zanimby polegli, hetman mógłby może być bezpieczny. Odrzucił jednakże te rady Żółkiewski. Gdy mu podano konia, przebił go szablą, a do grona swych towarzyszków zwrócił się tymi słowami: "Miło mi przy was umrzeć. Niech Bóg nade mną wyrok kończy". Wtem został raniony i z trudem tylko mógł kroczyć. Nowe błagania i zakłęcia, żeby jeszcze próbował ucieczki, ale on odrzuca je znowu. Wtenczas obaj synowie stoją przy nim z dobytymi pałaszami, a on oparty na ich ramionach idzie dalej na szeregi tureckie, szukając zaszczytnej śmierci. Nie potrzebował długo na nią czekać. Miał ramię odrąbane i rozciętą głowę. Jeden syn poległ wraz z ojcem, drugi dostał się do niewoli.

Tak zmarł jeden z największych mężów naszych dziejów, wielki wódz, a przy tym wielki zarazem człowiek, bo to był charakter czysty, jak łąza. Nie wszyscy współcześni poznali się na nim i wiele musieli znosić przykrości, ale historia zapisuje jego imię wśród takich, przed którymi korzą się pokolenia. Ciało jego sprowadzono następnie do założonego przezeń na Rusi Czerwonej grodu Żółki i pochowano w tamtejszym kościele parafialnym, a na grobowcu wyryto napis po łacinie: Exoriare nostris ex ossibus ultor, co po polsku znaczy: Oby z kości naszych powstał mściciel! I rzeczywiście znalazł się taki mściciel w rodzie Żółkiewskiego, jak o tym później rzecz będzie.

Został po Żółkiewskim pierścień z ciekawym napisem: mancypium Mariae, tj. służka Marii. Miał szczególne nabożeństwo do Najświętszej Marii Panny i do św. patronów polskich. W jednej z bitw z Tatarami (nad Udyczem) dał wojsku hasło - Bogarodzica, a w bitwie pod Smoleńskiem, św. Kazimierz. Kiedy mu gratulowano wielkiego zwycięstwa pod Kłuszynem, odparł: "moje zasługi w tym bardzo małe. Młodymi ramionami tak wielkiego ciężaru niepodobna podźwignąć. Cudownej, miłościwej łasce Bożej wszystko ma być poczytane". Miewał zawsze żołnierzy mniej (i to znacznie mniej), niż nieprzyjaciel. Mawiał wtedy do żołnierzy: "o mocy nieprzyjacielskiej też wiemy, ale mocniejszy na niebie Bóg".

Pozostało też po nim niemało dzieł miłosierdzia, w czym podobny był do Skargi. W założonym przez siebie mieście Żółki ufundował szpital, kościół kolegiacki i szkołę przy nim. Był dobrodziejem Dominikanów we Lwowie, a Jezuitom wystawił dom daleko na Ukrainie, w Barze. Ustanawiał również fundacje dla unitów: wspierał Bazylianów w Żółki i wystawił tam cerkiew unicką i drugą w Krechowie.

Godny jest pamięci ludzkiej testament świętego hetmana, w którym zwraca się do syna w te słowa: "Wiarę świętą chrześcijańską, powszechną mocno i statecznie trzymaj. Dla niej krwi rozlać i żywota położyć nie żałuj. Odplata u Pana Boga za to, kto dobrą chęcią, dobrym sercem służy Rzeczypospolitej. Młodsze lata naukami poleruj. Z nauki pomoc do godności, do służby Rzeczypospolitej i do uczciwego życia mieć będziesz. Rycerskie ćwiczenie jest najprzystojniejsze szlachectwu. Próżnowania się strzeż jak powietrza. I poganie rozumieli, że śmierć dla ojczyzny jest słodka, nuż jeszcze dla wiary świętej trafi się okazja położyć żywot - i u ludzi sławna i u Boga odplata".

Tymczasem w Polsce bitwa cecorska miała swój ciąg dalszy. Tragiczny zgon hetmański przejął grozą cały naród. Następnego roku zebrano 66 tysięcy wojska z Polski i z Litwy pod hetmanem wielkim litewskim Janem Karolem Chodkiewiczem. Założono znów warowny obóz za Dniestrem pod Chocimiem i wytrzymano tam chwalebnie oblężenie przez armię turecką, liczącą aż trzysta tysięcy. Zawisło jednak jakieś fatum nad wodzami tej wojny: Chodkiewicz umarł w obozie chocimskim. Dowództwo objął po nim hetman polny koronny, Stanisław Lubomirski, a nie dawszy się Turkom, zmusił ich do zawarcia zaszczytnego rozejmu.

Nowy okres świętych

Wiemy z dotychczasowych opowiadań o świętych w dziejach Polski, że bywają okresy szczególnie w świętość obfitujące, a także inne, gdzie łaska świętości mniej w społeczeństwie się rozlewa. Przypomnijmy sobie, jak podziwialiśmy całe grono świętych w czasach panowania Bolesława Wielkiego, drugim razem podczas najazdów mongolskich, następnie za króla Kazimierza Jagiellończyka owo święte towarzystwo, zebrane w samej stolicy Polski, w Krakowie. Oto po raz czwarty ma się powtórzyć podobna żywność świętości na polskiej glebie w pierwszej połowie XVII w., a dzieje tych świętych, błogosławionych i świątobliwych pociągają nas tym bardziej, że większość ich, to męczennicy.

Na początek tego grona stają święci Ślązacy. Politycznie oderwana od Polski piękna ziemia śląska nie zatraciła wcale łączności duchowej a któryż jej szczyt jest najwyższy, jeżeli nie łączność przez świętych, a do tego męczenników? Od Ślązaków więc zaczyna się ten nowy polski okres świętych.

W r. 1618 rozszerzyło się państwo polskie, ale na wschód. Przyłączano do państwa obszary wielkie, bardzo wielkie. Ale jeden powiat śląski byłby wart dla nas więcej, niż te wszystkie dalekie wschodnie "ukrainy" ruskie. Niebawem zaś nastąpiły okoliczności, które pozwalały myśleć o odzyskaniu Śląska.

Cofnijmy się o trzy lata wstecz od końca poprzedniego rozdziału.

Wybuchła w Niemczech wielka wojna religijna, która miała trwać trzydzieści lat (1618-1648), wielka rozprawa orężna katolicyzmu z protestantyzmem. Chciała się w nią wmieszać protestancka Szwecja, więc Gustaw Adolf cztery razy zgłaszał się o pokój, lecz otrzymywał zawsze tylko rozejm, bo Zygmunt III nie chciał się zrzec tronu szwedzkiego, a stały pokój był bez tego warunku niemożliwy. Przystając tylko na rozejmy, zaznaczał Zygmunt III, że nie może pogodzić się na stałe z Gustawem. Roiło mu się ciągle; że Habsburgowie dostarczą mu wojska do odzyskania korony szwedzkiej, skoro tylko uporają się z protestantami.

Wojna trzydziestoletnia zaczęła się na polskim Śląsku, który należał jednak do królestwa czeskiego, a pod panowaniem Habsburgów. Pierwsze rozruchy wybuchły na Śląsku, gdy luteranie gwałtem (wyłamując drzwi i okna) zawładnęli kościołami w Cieszynie, w Skoczowie i w Strumieniu. W niedalekim Cieszynie władali książęta protestanccy, chociaż pochodzący ze staropolskiej dynastii Piastów, bo gałąź śląska istniała aż do r. 1653 (niestety całkowicie zniemczona). Ale nie brakło w kraju katolików, także pośród szlachty, zwłaszcza gdzie dochowały się tradycje polskie.

O kilka kilometrów za Skoczowem jest wieś Grodzce, gniazdo szlacheckie Grodzieckich. Było ich z końcem XVI w. czterech braci: Jan biskup ołuniecki, Wacław dziekan w Bernie morawskim, Andrzej kasztelan cieszyński i Henryk, który sprawował gospodarstwo w majątku dziedzicznym. Ten syna swego Melchiora oddał na naukę do szkół jezuitów w Wiedniu (znanych nam już z żywota Stanisława Kostki). Melchior wstąpił następnie do tegoż zakonu. Świecenia kapłańskie otrzymał w Pradze w r. 1614, kiedy liczył zaledwie lat 22. Został tam kapłanem przy bursie ubogich i tam zastał go wybuch wojny trzydziestoletniej w r. 1618, na której tle miał dostąpić łaski męczeństwa, ażeby być potem wyniesiony na ołtarze, jako błogosławiony.

Równocześnie przygotowywały się losy drugiego Ślązaka, również beatyfikowanego. Szczególną czuli protestanci nienawiść do proboszcza w Skoczowie, bł. Jana Sarkandra. Był to rodowity Skoczowianin,

Polak tedy, chociaż poza granicami państwa polskiego, bo wraz z całym Cieszyńskiem poddany "cesarski" z racji korony czeskiej. W czeskich, a w ogóle "cesarskich" krajach, tj. Habsburskich, musiał szukać szczebli do kapłańskiej godności. Uczył się najpierw w niedalekim Przyborzu na Morawach, następnie w Ołomuńcu u Jezuitów, potem w Pradze, gdzie uzyskał w r. 1603 stopień doktora filozofii, ale święcenia kapłańskie wypadło mu przyjąć aż w dalekim Grazu, stolicy Styrii. Był potem wikarym w kilku miejscach, od r. 1616 proboszczem w Goleszowie na Śląsku. Do jego parafii protestantyzm nie miał dostępu; fala odszczepieńcza rozbijała się o jego działalność, jak o skałę. Spierano się o każdą parafię, ale katolikom wiodło się coraz gorzej, gdyż książęta śląscy (owi zniemczeni Piastowie) przechodzili raz po raz na protestantyzm, przyłączając się do niemieckiego protestanckiego obozu.

Całe Niemcy były już zorganizowane do walki. Katolikom przewodzili Habsburgowie, którzy byli zarazem królami czeskimi i panami zwierzchnimi Śląska. Naczelnikiem obozu przeciwnego był palatyn nadreński (książę z Rzeszy) Fryderyk kalwin. Protestanci chcieli odebrać Habsburgom koronę cesarską, czeską i węgierską, i pozbawić ich krajów austriackich. W wir stronnictw niemieckich wciągnięte były tedy Czechy i pociągały za sobą Śląsk. W stolicy Czech, w Pradze, przybywało coraz więcej kalwinów, a w maju 1618 r. doszło tam do takiego rozruchu, iż z kancelarii w zamku królewskim wyrzucono przez okno trzech cesarskich dostojników. Stało się to hasłem do wojny, mającej trwać lat trzydzieści.

Władza, kościelna doradzała cesarzowi żeby wzmacniał katolicyzm innymi środkami, a nie wyciągał miecz z pochwy. Na próżno przestrzegał przed wojną domową obecny na dworze kardynał Klecl; uwięziono go, wywieziono do Innsbrucku w Tyrolu, żeby nie przeszkadzał. Habsburgowie bowiem chcieli wojny, żeby po zwycięstwie zapewnić sobie wszędzie władzę dziedziczną i absolutną.

Widząc tę zapalczywość, Czesi odpowiedzieli także zapalczywością i ofiarowali tron Fryderykowi palatynowi; w ten sposób przyjęli sprawę protestantyzmu niemieckiego za własną. Rwał się do tej wojny religijnej Zygmunt III i chciał, żeby polska ruszyła na pomoc Habsburgom, ale mieliśmy dosyć własnych wojen. Sejm odmówił, lecz król zarządził prywatny werbunek.

Na ten właśnie moment trafił w Polsce bł. Jan Sarkander. W r. 1619 odprawił pielgrzymkę do Częstochowy, po czym zwiedził Kraków, krzepiąc tak swoją polskość. Niewątpliwie byłby wolał, żeby nie było granicy pomiędzy Krakowem a Cieszynem.

W tym samym czasie bł. Melchior Grodziecki wygnany był z Pragi przez kalwinów. Udał się na Morawy, ale w maju 1619 r. musiał się schronić dalej na wschód na Słowaczczyznę, gdzie zgłosił się do klasztoru jezuickiego w Homononie i tam złożył ostatnie wyższe śluby zakonne. Z rozkazu przełożonych zgłosił się na kapelana wojskowego w katolickiej armii Habsburgów w pułku, który miał swoją stację w mieście Koszycach, leżącym już w królestwie węgierskim. O to królestwo wrzała właśnie zacięta wojna. Znaczna część Węgrów przyjęła także kalwinizm, a wódz ich osławiony z okrucieństwa Bethlen Gabor, ścigał oddziały habsburskie. Podszedł wreszcie pod Koszyce. Broniła się do ostatka nieduża załoga koszyckiego zamku, wierna, a podtrzymywana moralnie przez trzech kapłanów katolickich, z których jednym był bł. Melchior. Ale mieszczaństwo koszyckie zdradziło i wydało miasto, gdy nadciągnął drugi jeszcze wódz węgierskich protestantów, Jerzy Rakoczy (który łupił potem Polskę). Zajęto w końcu także gród, a schwytanych kapłanów zaczęto dręczyć i męczyć. Kaleczono ich nożami, wieszano na belce, szczypano obcęgami, rany przypalano płomieniami pochodni; wreszcie odcięto im głowy. Wraz z naszym O. Melchiorem spotkało męczeństwo węgierskiego Jezuitę Pongracza i słowackiego kanonika Kriża.

Kiedy kalwińskie wojska poszły dalej, katolicy zajęli się ciałami swych męczenników. Trzeba je było jednak przewozić z miejsca na miejsce, po rozmaitych kościołach i klasztorach, aż spoczęły na stałe w słowackiej Tyrnawie. A tymczasem ta izba na koszyckim zamku, w której ich zamęczono, cała zbryzgana ich krwią, stała się celem pielgrzymek, miejscem gorących modłów i łask otrzymywanych niewątpliwymi cudami. Już w r. 1628 rozpoczęto starania o ich beatyfikację, ale doczekano się końca procesu beatyfikacyjnego dopiero w r. 1905. Obchodzono to uroczyscie, w Cieszynie w październiku 1905 r. wobec dziesiątków tysięcy zebranego ludu śląskiego. Przy kościele parafialnym wystawiono osobną kaplicę na cześć bł. Melchiora i ufundowano internat dla polskich katolickich uczniów szkół średnich w Cieszynie.

Lecz wracajmy do dalszego przebiegu wojny trzydziestoletniej, której świadkiem miał być bł. Sarkander zaledwie o jeden rok dłużej, niż bł. Grodziecki.

Przez jakiś czas cesarz Ferdynand II łudził Zygmunta nadzieją, że jako król czeski odstąpi cały Śląsk królewiczowi Władysławowi; ale nigdy Habsburgowie nie myśleli poważnie o dotrzymaniu tego przyrzeczenia. Chodziło im tylko o to, żeby utrzymać Zygmunta w stanie wojennym ze Szwecją, żeby Gustaw Adolf nie mógł wchodzić się w tę wojnę niemiecką (a wzywali go protestanci na swego protektora).

Za królewskim poparciem zebrało się 6000 zaciężnych ochotników pod pułkownikiem Lisowskim, zwanych od niego Lisowczykami. W r. 1620 przyłączyli się na Morawach do wojska cesarskiego. Czy kto z nich przypuszczał, że staną się pośrednio powodem męczeństwa rodaka, bł. Jana Sarkandra, który tymczasem został proboszczem właśnie w Skoczowie? Tamtędy wiodła droga Lisowczyków, a że pochód wojska, choćby sprzymierzonego, mógł wówczas pociągać za sobą wiele przykrości, bo żołnierz był niekarny, więc proboszcz obmyślił sobie sposób. Zarządził procesję z Najświętszym Sakramentem naprzeciw Lisowczyków. Ci posiadali natychmiast z koni i poczekali na klęczkach, aż procesja przejdzie, a potem... pojechali dalej, całkiem się w Skoczowie nie zatrzymując. To właśnie nie podobało się protestantom i zaczęli głosić, że widocznie proboszcz pozostaje w przyjaznym porozumieniu z tym wojskiem, a nawet sam je może sprowadził. Ponieważ zaś dawno już na Sarkandra czyhali, skorzystali z chwilowej swej przewagi, pojмали go i wydali urzędowi, który przez dłuższy czas sprawował z ramienia protestantów naczelną władzę nad Morawami i Śląskiem, mianowicie magistratowi miasta Ołomuńca w lutym 1620 r. Tam wmawiano znów w niego, że był narzędziem politycznego katolickiego magnata czeskiego, księcia Lobkowica i chcieli wydrzeć tajemnicę jego spowiedzi. Przez miesiąc torturowano bł. Sarkandra i to w takie wymyślne sposoby, że przypalanie obu boków pochodniami nie było jeszcze męczarnią najgorszą. Doprawdy, aż do najnowszych czasów nie było wypadku, żeby się taka nikczemność złączyła z takim okrucieństwem. Skonał śląski nasz męczennik dnia 17 marca 1620 r. pochowany po tygodniu dopiero w kościele Matki Bożej w Ołomuńcu. Beatyfikował go papież Pius IX w r. 1860.

Gdy Lisowczycy stanęli do boju, wówczas protestancki związek czesko-niemiecki wszedł w porozumienie z sułtanem tureckim, żeby ruszył albo na Wiedeń, albo na Polskę. Wybrał sułtan Polskę, bo jakże mieliśmy dać radę największej w świecie potędze militarnej, mając równocześnie na północy wojnę z Gustawem Adolfem? Łączyli się tedy z muzułmaństwem i prawosławni, i protestanci przeciw katolicyzmowi.

W miesiąc po klęsce cecorskiej doznali Czesi klęski, która miała stać się końcem ich niepodległości. W lutym, jeszcze 1620 r. odbierał we Wrocławiu Fryderyk kalwiński hołd, jako król czeski, a już w dziewięć miesięcy później, dnia 8 listopada 1620 r. stoczono walną bitwę na Białej Górze pod Pragą. Fryderyk stracił wojsko, koronę i dawne swe posiadłości w Niemczech. Cieszył się czeską koroną przez jedną tylko zimę, stąd szyderczy przydomek "króla zimowego".

Musiał uciekać nie tylko z Czech, ale w ogóle z Niemiec i nie oparł się, aż w Holandii.

W Czechach zaczęła się przeraźliwa mściwość zwycięzców. Wyginęła na rusztowaniach cała niemal szlachta czeska, dobra jej skonfiskowano i nadawano niemieckim oficerom habsburskich wojsk. Pobito kalwinizm, a pokutował naród czeski. Przez trzysta lat jakby nie było zgoła narodu czeskiego, aż dopiero w drugiej połowie XIX w. odrodził się na nowo z korzenia, z ludu wiejskiego i z resztek ludu miejskiego po mniejszych miastach.

Bardzo więc źle wyszli Czesi na tym, że swoją sprawę narodową powierzyli opiece kalwińskiej i że przystąpili do międzynarodowej koalicji antypolskiej. Nic im nie pomogło, że agenci "króla zimowego" dotarli do Konstantynopola i poruszyli Turków na Polskę. Bohaterska śmierć Żółkiewskiego nie wstrzymała ich klęski na Białej Górze.

Turcja wchodziła w okres największego rozrostu swej potęgi militarnej. Mało im było, że panowali od blisko stu lat nad połową królestwa węgierskiego, gotowali się do wielkich wypraw, marząc o zdobyciu

całych Węgier, Polski, Austrii i południowych Włoch. Toteż żałował sułtan, że jego wezyr zawierał w r. 1621 z Lubomirskim długi rozejm.

Nie dotrzymał sułtan swego zobowiązania, bo już w trzy lata potem zaczęła się nowa seria tatarskich najazdów. Co więcej, wymyślono w Carogrodzie nową broń przeciw Polsce, jeszcze gorszą od tatarskich najazdów, a skuteczniejszą. Urosła ta broń z sojuszem schizmatycznego patriarchy ze sułtanem, sojuszu zawartego przeciw katolicyzmowi. Słyszeliśmy co dopiero o przymierzu protestantów z Turcją przeciwko Kościołowi, a teraz przyjrzyjmy się przymierzu schizmy z półksiężycem i strasznym jego skutkom.

Unia brzeska poruszyła patriarchat schizmatyczny do obrony. Zaczęto wysyłać z Konstantynopola agentów na Ruś, żeby agitować przeciwko zaprowadzaniu unii brzeskiej. Obrona prawosławia stawała się coraz bardziej hasłem nienawiści przeciw państwu polskiemu, jako państwu katolickiemu; toteż obrona prawosławia godziła się z interesem Turcji, żeby doprowadzić do buntu ludność prawosławną i w ten sposób odebrać Polsce możliwość urządzania koalicji przeciw Turcji. Agitację prowadzono za pomocą bractw prawosławnych. Główne znajdowało się wciąż przy wileńskiej cerkwi Świętej Trójcy i stąd rozchodziły się polecenia do wszystkich innych bractw po ważniejszych miastach Ukrainy i Białorusi, także do Połocka, gdzie bł. Jozafat Kuncewicz był już arcybiskupem unickim.

Podburzanie przeciwko unii zaczęło się od miasta Mohylowa. Gdy zanosilo się tam na rozlew krwi, wyjechał św. Jozafat, lecz władze rządowe zajęły się sprawą i przywódcy buntu skazani zostali na karę śmierci. Zygmunt III, wyobrażający sobie, że panujący ma rozstrzygać o religii, wyznaczył termin sześćtygodniowy na wprowadzenie unii w Mohylowie. Łatwo sobie wyobrazić, że przyjmowano ją pozornie, a pod popiołem tliło się coraz bardziej; bo wiara nie może być z przymusu, a niecierpliwość królewska przynosiła ciężkie szkody katolicyzmowi.

Właśnie wtedy wysłano z Carogrodu tytularnego patriarchę jerozolimskiego, Teofana. Ten powyswięcał na całej Rusi nowych dyzunickich episkopów (biskupów) i archimandrytów. Były więc odtąd dwie ruskie hierarchie wrogie sobie, unicka i dyzunicka. Lud posłuszny był dyzunickiej, zwłaszcza że uwijali się agitatorzy. Wybuchł też bunt w drugim mieście, Witebsku. Jozafat objeżdżał całą diecezję, był we wszystkich miastach, lecz nigdzie nie znajdował posłuchu; wszędzie wołano głośno, że uznają tylko prawosławnego biskupa, wyznaczonego przez Teofana. W Witebsku pobito służbę Jozafata, a w Połocku przygotowywano na niego zamach. Wojewoda siłą zabierał jednak cerkwie i oddawał je unickim kapłanom. Witebszczanie wystawili pod miastem, na drugim brzegu Dźwiny, dwie nowe cerkwie dyzunickie. Zjeżdża tam ponownie św. Jozafat, ale kazania jego nie odnoszą już żadnego skutku. W ostatnim kazaniu, jakie dane mu było wygłosić, mówił wyraźnie, iż wie, że się zmawiają na niego; on jednak nie wyjedzie, bo pasterzowi nie godzi się uciekać.

Noc całą przeleżał krzyżem w modłach za unię i za swoich nieprzyjaciół, co chwilę bicząc się. Nazajutrz poszedł na jutrznię, jak zwykle. Wiedział, co go czeka, bo nawet uprzedzono o tym jego służbę, że będzie zabity w niedzielę 12 listopada (1623 r.). Być może, że zawiadomiono go o tym nie dla szyderstwa, lecz przez litość, żeby go skłonić do wyjazdu; on jednak pozostał i poszedł odprawić tę ostatnią swoją jutrznię. Kiedy miał wracać, wielka gromada, uzbrojona w siekiery, stała już między cerkwią a jego mieszkaniem. Dali mu przejść spokojnie, ale potem rzucili się za nim do jego domu, mordując służbę i obecnego tam archidiakona. Biskup wyszedł do nich na dziedziniec i odezwał się w te słowa: "Synaczkowie, dlaczego tak bijecie służbę moją? Jeżeli co macie do mnie, oto jestem w rękę waszym!" Łagodność ta nie wstrzymała dziczy, jaką okazali się ci schizmatycy. W jednej chwili otrzymał biskup dwa uderzenia; jedno ciężkim kołem, a drugie siekierą w głowę. Gdy upadł od tych ciosów, pastwiono się dalej nad powalonym, aż go któryś z tłumu dobił dwoma strzałami z rusznicy. Jeszcze to dzikusom nie wystarczało. Ciało, obciążone dużym kamieniem, zawleczono na brzeg Dźwiny i wrzucono w głęboki wir rzeki. Towarzyszyły temu i patrzyły na to tysiące ludu, który zachowywał się milcząco i potem rozszedł się w milczeniu.

Dopiero po sześciu dniach powiodło się duchowieństwu unickiemu odnaleźć zwłoki męczennika, zaniezione wodami Dźwiny daleko za miasto. Wystawiono je najpierw w głównej cerkwi w Witebsku i pod ochroną władz przeniesiono następnie procesjonalnie do katedry w Połocku. Beatyfikacja nastąpiła szybko, bo już w r. 1643, za papieża Urbana VIII; kanonizacja zaś w r. 1867 za Piusa IX. Po

rewolucji r. 1917, żeby ochronić relikwie świętego, wywieziono je w największej skrytości do Wiednia, do tamtejszego kościoła Bazylianów.

W tych latach młodszy od św. Jozafata o dwanaście lat św. Andrzej Bobola przebywał na nowo w Wilnie. Wyświęcony w r. 1622, został w dwa lata potem kaznodzieją przy tamtejszym kościele Świętego Kazimierza. Było to w rok po męczeństwie witebskim, gdy wstępował na kazalnicę drugi przyszły męczennik.

Znaleźli się i tacy, którzy palmy męczeńskiej szukali za oceanami. Pałając żądzą naśladowania św. Ksawerego, wyjechał do Indii jezuita Jędrzej Rudomina. Był to szlachcic z Wileńszczyzny, który jadąc do ślubu, nagle, jakby tknięty powołaniem, zawrócił i pojechał do... nowicjatu jezuickiego w Wilnie. Przebywał następnie w Rzymie i stamtąd wyprawił się śladem św. Ksawerego. W mieście Goa posługiwał w szpitalu, potem robił to samo w Makao i dalej w Chinach, gdzie przebywał na misji pięć lat. "Karmił, uczył, cieszył, dysponował na śmierć, żebrał na nich", na ubogich, zwłaszcza na chorych. Uległ niestety chorobie tamtych krajów, kwartanie, tj. gorączce febrycznej powracającej co czwarty dzień i oddał ducha Bogu w r. 1631.

Zachęcony przykładem Rudominy, chciał go nawet przewyższyć i marzył aż o Japonii inny kleryk jezuicki, Wojciech Męciński, szlachcic rodem z Osmolic pod Lublinem, urodzony w r. 1598. Ojciec jego, protestant, wznowiał katolickie wyznanie wiary w sam dzień przyjścia na świat syna. Był to pierwszy przedstawiciel medycyny misyjnej; w uniwersytecie krakowskim studiował bowiem nie teologię, lecz medycynę. Zamożny, podróżował po Niemczech i Francji, a podróż włoską odbył w r. 1619 wraz z krewnym swym, biskupem poznańskim. W Rzymie wstąpił do nowicjatu u Jezuitów.

On i Rudomina spotkali się w Rzymie z rodaczką, słynącą ze świątobliwości i znaną całemu miastu. Była to Ludwina, drobna mieszcanka z Kęt, która od lat dziecińczych marzyła o pielgrzymce do Rzymu, aż po śmierci rodziców wybrała się do wiecznego miasta. Tu zaznałomiła się z inną Polką, pokutnicą, przebywającą już dawno w Rzymie, Bogumiłą ze Stradomia, z którą zamieszkała razem pielęgnując rodaczkę aż do jej zgonu. Ludwina, utrzymując się z jałmużny, którą dzieliła się z chorymi, przeżyła w Rzymie pełnych lat czterdzieści. Zmarła w r. 1623, a ponieważ umarła w opinii świętości, przyjęto jej zwłoki do polskiego kościoła Świętego Stanisława Kostki, gdzie spoczywają po lewej stronie ołtarza św. Jacka.

W tym właśnie roku wysłany był Wojciech Męciński do Polski na dokończenie nowicjatu w Krakowie i w Kaliszu. Swój własny, tudzież odziedziczony po śmierci brata majątek zapisał krakowskiemu domowi Jezuitów, sam zaś wybrał się do Portugalii, żeby przywyknąć do gorętszego klimatu. Świecenia kapłańskie przyjmował w Lizbonie, w r. 1628. Wtem szwagier jego podał przed sądami w wątpliwość zapis na rzecz Jezuitów w Krakowie. Przypuszczał, że Wojciech jest już w drodze do Japonii i prawdopodobnie nigdy nie powróci. Niespodzianie Wojciech zjawia się przed sądem. Każą mu udowodnić, że był pełnoletni gdy zapis czynił; a potem szwagier coś jeszcze wymyślił lepszego żądając, żeby się wykazał, czy jest naprawdę Wojciechem, a nie kimś podstawionym. Obroniwszy swój zapis, wraca wreszcie do Portugalii i wsiada na żaglowiec w kwietniu 1631. Na statku wybuchła jakaś zaraza i szczęściem wiatry przeciwnie zapędziły go z powrotem na portugalskie wybrzeże; można było przynajmniej leczyć się. Ksiądz Wojciech był taki słaby, iż trzeba było spuszczać go na linie z okrętu na łódź. Półtora roku chorował; jeszcze zimą r. 1633 nie mógł myśleć o ponownej podróży.

Równocześnie, w r. 1631 otrzymał św. Bobola stanowisko samodzielne, jako rektor klasztoru i szkoły w Bobrujsku, gdzie pozostawał przez sześć lat.

A chwała Boska i pożytek bliźnich zyskiwały nadto nowe narzędzie w zbożnej pracy w nowych zakonach, sprowadzanych do Polski za panowania Zygmunta III. W roku 1605 przybyli do Polski Karmelici Bosi i Karmelitanki w r. 1643. Od r. 1612 mamy w Polsce Bonifratrów, specjalistów szpitalników, pocieszycieli i opiekunów chorych.

Powstała też w tym czasie nowa gałąź zakonów reguły św. Franciszka. Wiemy, jak z Franciszkanów wyłonili się Bernardyni. Za Zygmunta III z Bernardynów powstał Reformaci. Znowu nowi zarzucali dawniejszym, że odstąpili od surowości reguły pierwotnej, do której oni pragną powrócić. Zaczęło się

to w Wenecji pod koniec w. XVI, a do Polski przeniósł ten ruch Bernardyn i następnie pierwszy nasz Reformata, Gabriel z Grodzca. Urodzony około r. 1560, więc jeszcze za Zygmunta Augusta, wyświęcony w r. 1587, przebywał następnie w Wiedniu, we Włoszech i na Węgrzech w licznych klasztorach, łącząc się wszędzie ze zwolennikami surowego życia. Na Węgrzech wybrano go nawet prowincjałem klasztorów "zreformowanych" (w latach 1592-1595). Potem bawił ponownie we Włoszech przez całych dziesięć lat i w r. 1605 wydał w Wenecji pismo, wzywające polskich Bernardynów do reformy. Chociaż następnie przyjechał do Polski agitował osobiście, nie miał szczęścia ze swoimi projektami. Nawet w Rzymie uważano, że naszym Bernardynom reforma niepotrzebna. Próbował założyć surowszy klasztor w Pińczowie, lecz po pewnym czasie musiał opuścić Polskę z gorliwszymi swymi zwolennikami. Założył klasztor na polskiej wprawdzie ziemi, lecz poza granicami państwa polskiego, w Gliwicach na Śląsku. W r. 1621 było tam 30 zakonników, w tym 16 Polaków. W dwa lata potem pozwolono im wprawdzie na osobny klasztor w Warszawie, lecz za miastem. Niebawem umarł Gabriel z Grodzca (1626 r.), a Reformatom oporniej służy dalsze prace. Rozkwit ich nastąpił dopiero pod koniec XVII w.

O co chodziło w całej tej reformie? Dobrze było włoskim wizytatorom gorszyć się, gdy w celach bernardyńskich widzieli piece. Przyjeżdżał taki Włoch do nas latem, a zimy prawdziwej nigdy nie widział. Gorszyli się też włoscy zakonnicy, że kwestarze przyjmują u nas płody w stanie surowym, gdy tymczasem we Włoszech przyjmuje się w jałmużnie tylko gotowe potrawy. Co kraj to obyczaj. Nasi mogli byli zwrócić uwagę na coś bez porównania ważniejszego: że we Włoszech wygłaszano kazania tylko podczas wielkiego postu, a u nas przez cały rok co niedziela. Przypomnijmy sobie, jak już raz wojowano o "reformę", żeby np. monstrancje nie były z kruszcu szlachetnego, lecz koniecznie z drzewa. A teraz przeprowadzający reformę O. Leonard Starczewski w Bydgoszczy usunął wszystkie konie, woły, świnie, owce; kwestarzy odwołał bezwzględnie, a zapasy znajdujące się w klasztorze kazał posprzedawać. Pieniądzy przyjmować zabronił zupełnie, nawet za msze. Kwotę ograniczył do przedmiotów bezpośredniego użytku. Całkowicie usunął świecką służbę. W celach zniósł wygodniejsze łóżka, w chórze brackim w kościele okna kazał pozawieszać zielonymi zasłonami.

Kiedy w Polsce poczęły wreszcie po długich sprzeciwach szerzyć się reformackie klasztory, nastawały tymczasem wypadki o wielkiej wadze historycznej.

Skorzystali na wojnie tureckiej Szwedzi. Tak się przez ten czas usadowili w Inflantach, że już w nich zostali. Co więcej, posunęli się wzdłuż Bałtyku ku zachodowi, a porozumiawszy się ze zdradzieckim lennikiem polskim, księciem pruskim, wtargnęli aż do Prus Królewskich. Pobił ich na głowę hetman Stanisław Koniecpolski w r. 1629 pod Trzcianą i omal sam król szwedzki nie dostał się tam do niewoli. Ale kiedy jesienią r. 1629 zawierano rozejm sześciolatek, Elbląg pozostał w ręku Szwedów.

Prosił król szwedzki o pokój, ale chętnie przyjmował i rozejm, bo chciał ruszyć do Niemiec, żeby tam stanąć na czele obozu protestanckiego. Odnosił tam świetne zwycięstwa, a chociaż sam poległ w r. 1632, wodzowie jego utrzymywali nadal przewagę Szwecji w Niemczech. Przez jakiś czas prawdziwymi władcami Niemiec byli generałowie szwedzcy. A chociaż Gustaw Adolf nie miał syna, nie powołano po nim na tron szwedzki Zygmunta Wazy z Polski, lecz osadzono na tronie małoletnią córkę Gustawa, Krystynę.

Szczególnym zbiegiem okoliczności w tym samym r. 1632, kiedy poległ Gustaw Adolf, zmarł też Zygmunt III.

Elekcja była tym razem tylko formalnością, gdyż starszy królewicz Władysław wybrany był jednomyślnie. Cała elekcja trwała zaledwie pół godziny.

Król Władysław IV był wielkim, dzielnym rycerzem. Okazało się to zaraz na samym wstępie panowania. Nie minęły jeszcze wprawdzie lata rozejmu dywilińskiego, ale w Moskwie jak na całym Wschodzie uważano, że umowa przestaje obowiązywać, gdy jedna ze stron umrze; tylko w cywilizacji łacińskiej umowa obowiązuje w zasadzie także dziedzica. Po zgonie więc Zygmunta III car urządził zaraz wielką wyprawę. Przez pięć miesięcy król własną osobą dawał przykład hartu i męstwa, ale też wojna skończyła się kapitulacją całej armii moskiewskiej pod Smoleńskiem na lewym brzegu Dniepru, po czym w maju 1634 r. zawarto w Polanowie już nie rozejm, lecz stały pokój. Moskwa zrzekła się

wszelkich roszczeń do Inflant, a ziemie: siewierską, czernihowską i smoleńską odstępowała już na stałe. Utwierdzały się więc najszersze granice państwa polskiego i litewskiego. Król Władysław IV zrzekł się za to tytułu carskiego.

Szkoda, że nie zrzekł się także tytułu króla szwedzkiego. Zawarł ze Szwecją w r. 1635 w Sztumie długi rozejm, bo aż na 26 lat, ale zawsze tylko rozejm, a nie pokój. Warunki były tego rodzaju, iż powinny być sprowadzić przyjaźń sąsiedzką. Szwecja zwracała wszystkie grody zajęte w Prusach za Zygmunta III, Inflanty zaś podzielono za część szwedzką i polsko-litewską. Bez zdobycia więc oręża zyskiwało się bardzo dużo. Ale Władysław IV podobny był do ojca w sprawie tronu szwedzkiego. Nie chciał wyrzec się nadziei, że chociaż później, aż po 26 latach stoczy jeszcze zwycięską wojnę o szwedzką koronę, jeżeli nie on sam, to jego syn. On sam bardziej jednak marzył o zdobyciu Konstantynopola, niż Sztokholmu.

Jeszcze nie skończyła się wojna moskiewska, gdy sułtan wypuścił znowu Tatarów, po czym sam osobiście wyruszył na Polskę z olbrzymią armią. Już w r. 1632 zapędził się jeden z wodzów tatarskich Kantemir basza, aż pod Przemyśl. Wiemy, że w tamtejszym klasztorze Karmelitów Bosych przebywał O. Makary Demęzki. Ponieważ znał on język tatarski, uprosiło go mieszczaństwo, żeby udał się do obozu Kantemira zaproponować mu, żeby miasta nie zdobywał, obiecując za to znaczny okup. Basza przyjął go, siedząc rozparty pod baldachimem, zrabowanym gdzieś w najeźdźczym pochodzie i wysunął na powitanie nogę, każąc pocałować swój pantofel. Odmówił dawny rotmistrz, a teraz zakonnik, odzywając się w te słowa: "Ten honor nikomu z ludzi się nie należy, oprócz namiestnika Chrystusowego". Rozzłoszczony Kantemir rąbnął go od razu szablą i kazał dobić swojej straży. W taki sposób dawny rotmistrz cara Samozwańca stał się męczennikiem na polskiej ziemi.

Król przeniósł się z nadzwyczajnym pośpiechem spod Smoleńska do Lwowa, żeby być w pobliżu walk. Gdy jednak hetman Stanisław Koniecpolski pobił Tatarów pod Sasowym Rogiem i Turków pod Paniowcami, sułtan zawierał pospiesznie pokój w r. 1634. Myśl króla zajęta jednak była nadal planami, jak wyzwolić od półksiężycy Półwysep Bałkański. Przede wszystkim trzeba by jednak poskromić Tatarów. Czyż nie zrobiliby się ich nieszkodliwymi, gdyby ich nawrócić?

Myśl ta nie była obca zakonowi polskiemu, a zwłaszcza Dominikanom. Ognisko misyjne założyli sobie w mieście Kaffa nad Morzem Czarnym. Było to stare miasto handlowe, zaludnione w znacznej części przez kupców chrześcijańskich, lecz pozostające pod panowaniem tatarskim. Wsławił się tam Tymoteusz Mąkolnicki, szlachcic spod Dąbrowicy, bardzo przedsiębiorczy. Wstąpiwszy do Dominikanów, zabrał się do nauki języka żydowskiego, bo chciał się poświęcić misjom wśród Żydów. Potem wybrał się do Tatarów, wzięwszy z sobą braciszka Aleksego, krawca. W Kaffie on pierwszy urządził procesję różańcową. Zmarł w r. 1637, a braciszek Aleksy zaraz nazajutrz po nim. Na jego miejsce zgłosił się do Kaffy profesor uniwersytetu krakowskiego, Rajmund Charczewski, który podczas pobytu w Rzymie wstąpił do Dominikanów. Ten żył w Kaffie aż do r. 1659, a nawrócił wiele ułusów tatarskich w okolicy.

Szczegóły te świadczą, jak w społeczeństwie polskim pamiętano jednak o Morzu Czarnym.

Najważniejszy z polskich misjonarzy wśród pogan, Męciński, po przebytej długiej chorobie; wsiadł powtórnie na okręt wiosną 1633 r. i popłynął w sierpniu do Goa. W dalszej okolicy tego miasta rozpoczął swą działalność misjonarską, nawróconym nadając na chrzcie imiona świętych polskich. W r. 1634 udał się do Malabaru i następnie na Malakkę. Wszędzie brał pod swą opiekę chorych, urządzając szpitale, gdzie tylko się dało; przydała mu się medycyna krakowska. Z końcem czerwca postanowił ruszyć dalej, żeby się zbliżyć do wymarzonej od dzieciństwa niemal Japonii. Oddzielały go Chiny, z którymi chciał się po drodze zapoznać. Toczyła się wówczas wojna morska o kolonie pomiędzy Portugalią i Holandią. O. Męciński dostał się do niewoli holenderskiej, kiedy dopytywał już do chińskiego portu Makao. Dopiero po siedmiu miesiącach udało mu się wydostać i wsiąść po kryjomu na okręt portugalski w Turanie, mieście portowym w Kochinchinie, skąd dotarł do Makao. Przełożeni wysłali go jednak nie do Japonii, lecz do Kambodży, i dopiero później po wielu przeszkodach i zwłokach stanął na ziemi japońskiej. A wówczas nawet sam pobyt w tym kraju był surowo zakazany chrześcijanom, a cóż dopiero kapłanom. Złapany, znowu więziony przez siedem miesięcy, torturowany był najokrutniejszymi sposobami. Mógłby uwolnić się jednym słowem, na które czekano: żeby się zaparł

Chrystusa. Pod koniec spuszczonego głową do dołu wypełnionego nieczystościami i tak wisząc przez cały tydzień, oddał ducha Bogu dnia 23 marca 1643. Trzech innych misjonarzy męczyło się przez dziesięć dni. Ciała ich poćwiartowane spalono, a popioły wrzucono do morza. O beatyfikację polskiego męczennika robiono starania w ostatnich latach XVII w., lecz przerwane wówczas, teraz dopiero mają być wznowione.

Tymczasem św. Andrzej Bobola odprawiał misje między Poleszukami, a tak pomyślnie, iż go popi nazywali "duszochwatem". Podróżował po błotach i roztopach Polesia; główną kwaterę miał w Janowie.

Odnaczali się Jezuici na wszystkich polach życia kościelnego, niczego nie zaniedbując. Czasem budziły się wątpliwości, czy to jednak dobrze zajmować się wszystkim? Powstawały zakony ograniczające się do pewnej specjalności, jak np. Bonifratrzy do szpitalnictwa. Drugim takim przykładem stali się Pijarzy, którzy do trzech powszechnych ślubów zakonnych dodawali swój czwarty: że będą do śmierci nauczać i to bezpłatnie. Szkoły zakładali Jezuici także, a Pijarzy mieli nie robić nic innego, jak tylko nauczać. Powstał specjalny zakon nauczycielski, zakon "szkół pobożnych", po łacinie: scholarum piarum, z czego nazwa Pijarów. Kolebka ich również w Hiszpanii, a założycielem był św. Józef Kalasanta (1556-1648, żył wiec lat 92). Król sam zabiegał, żeby ich sprowadzić do Polski. Przybyło ich do Warszawy w r. 1642 trzynastu z Rzymu, a między nimi jeden Polak, Kazimierz Rogatko. Królewski przykład naśladował od razu wojewoda krakowski Stanisław Lubomirski, będący zarazem starostą spiskim, fundując im klasztor w Podolińcu na Spiszu. Wielkiej sławy były szkoły podolinieckie i powstało z czasem kilka ich odgałęzień, bo wiele miast ubiegało się o Pijarów i tak wytworzyły się gimnazja pijarskie³.

Wzmagano się w Polsce coraz mocniej życie publiczne katolickie, zwłaszcza że na czele tego ruchu stał ciągle tron. Władysław IV obejmował swym umysłem wszystko, od szkół aż do spraw wielkiej polityki, do spraw pokoju i wojny. A wszystko miało być pobożne, z celem religijnym zarazem. Celem polityki królewskiej - odzyskanie dla Kościoła Bałkanów, a cel ten popierał gorliwie naród polski.

Do tej wojny przygotowywała się Polska zawsze, nieustannie. Przygotowania musiały się odbywać systematycznie i ostrożnie. Wreszcie król zaczął przystępować do zawierania sojuszków. Miał już przymierze wojenne z największą ówczesną potęgą morską, Wenecją (która posiadała wyspę Kretę na południe od Turcji) i zaczynał zbierać znaczne zaciągi wojskowe. Ale na tureckich przedsięwzięciach Polski ciążyło dziwne nieszczęście. Warneńczyk poległ, Batory umarł, gdy zwoływał sejm dla tej sprawy; tak samo zmarł Władysław IV, gdy już kazał pierwszym zaciągom wyruszać w pole w r. 1648.

Tego samego roku skończyła się nareszcie wojna trzydziestoletnia w Niemczech. Zawarto pokój zwany westfalskim (w Westfalii). Godne uwagi są główne warunki tego pokoju.

Usadowiło się w Niemczech panowanie szwedzkie. Przyłączono do królestwa szwedzkiego Pomorze Zachodnie z wyspą Rugią i ujściem Odry, oddano Szwedom twierdzę Wismar w Meklemburgii i nadto dwa sekularyzowane biskupstwa. A z niemieckich książąt zrobił na tej wojnie kapitalny interes dom brandenburskich Hohenzollernów: dostali drugą część Pomorza zachodniego, sekularyzowano dla nich cztery biskupstwa. Kilku innych książąt protestanckich obłowiło się także skasowanymi biskupstwami. Z katolickich najwięcej zyskał książę bawarski, bo przypadł mu nad Renem spadek po "królu zimowym". Wszystkim książętom przyznano prawo całkowitej udzielności i odtąd każdemu z nich wolno było uprawiać na własną rękę nawet zagraniczną politykę, prowadzić wojny i zawierać przymierza według własnego uznania. Władza cesarska spadła znowu do zera.

W sprawach wyznaniowych utwierdził pokój westfalski, że "czyj kraj, tego też religia". Jeżeli panujący książę zmieniał wyznanie, miał prawo nakazać to samo swym poddanym. Toteż wojna trzydziestoletnia jest plamą w historii Niemiec, a pokój westfalski - hańbą cywilizacji.

Pokój ten stanowi tryumf kierunku bizantyńskiego w Niemczech. Jak w schizmie bizantyńskiej, zredukowano religię do narzędzia politycznego. Najboleśniej jest to, że nawet katolicy książęta niemieccy poszli na lep poglądu bizantyńskiego, jakoby należało prześladowaniem pozbywać się innowierców tam, gdzie władzę dzierżą katolicy. Wypadnie nam jeszcze wracać do tej kwestii.

"Potop"

Trwały nadal jeszcze granice najszerze i wielka potęga militarna, ale nadchodziły już wypadki, które miały pograżyć nas w długi a cały stan wojenny, czego przetrzymanie świadczyło już o teźyźnie narodu, lecz w końcu musiało osłabić siły społeczne, a te rozstrzygają o sile politycznej. W sam raz, kiedy Niemcy kończyły wojnę trzydziestoletnią zaczęły się u nas wojny tak zabójcze dla państwa i narodu, iż opisujący je w powieści Henryk Sienkiewicz dał jej tytuł "Potop", a nazwa ta przyjęła się powszechnie, jako nader trafna. Skurczyły się też w owym potopie granice państwa polskiego.

A zaczęła się ta groza jeszcze za Władysława IV w ostatnim właśnie roku jego panowania.

Początkiem były wojny kozackie. Nazwa "kozaków" pochodzi z języka tatarskiego, i najstarsi kozacy byli już u tych Mongołów, którzy w w. XIII zniszczyli Ruś, Węgry i Polskę swymi najazdami. Kiedy Dżyngis-chanowie zakładali olbrzymie państwo uniwersalne od Chin aż po Moskwę, musieli trzymać w ostrym rygorze plemiona, z których składały się ich wojska. Kto nie chciał się tym porządkom poddać, kto wolał koczować sobie swobodnie po staremu, taki zbiegał na daleki (dla Mongołów) zachód, na stepy pomiędzy dwiema wielkimi rzekami, od dolnej Wołgi po Don. Później część tej kozackiej ludności najmowała się wielkim książętom moskiewskim, jako ich wojsko stałe. Z czasem rozległe krainy nadawano kozakom z warunkiem ciągłego pogotowia wojennego. Najstarsi byli kozacy rizańscy bo już w w. XIV; sławni dońscy (kozacy dońscy znad Donu) są znacznie młodszy. Służąc z ojca na syna, przyjęli prawosławie, a po dłuższym czasie także język moskiewski (rosyjski), a bardzo rozmnożeni, stali się jakby osobną warstwą społeczną w Moskwie i na Rusi. Wytworzyła się z nich doskonała jazda lekkobrojna.

Mijały pokolenia, kozacy zruszczyli się całkowicie i zaginęła też tradycja ich pochodzenia. Powodziło im się dobrze; wielcy książęta moskiewscy, a potem carowie, opiekowali się bardzo warstwą dostarczającą im najlepszego żołnierza. Toteż przechodziło do kozaków niemało mieszkańców rodowitej Rusi, a tamtejsi panujący zaludniali chętnie puste ziemie nowymi kozakami. Oni sami rozprzestrzerali się coraz dalej na zachód, ze stepów nad Donem na stepy nad Dnieprem. W ten sposób weszli na południową część Rusi Litewskiej. Nad Dnieprem przyciągała do nich rozmaita mieszanina z Węgier i Wołoszy, z Litwy, a nawet z Polski. Niejeden szlachcic, przeskrobawszy coś w Polsce i mając nieporozumienia z sądami, uciekał do kozaków i tam przechodził na prawosławie. Nie brak było przybyszów, wcale nie zbiegów, ludzi najporządniejszych, ale nie lubiących skrupowanego życia wśród współobywateli, nie chcących się poddawać ustalonym porządkowi życia. Takich prawdziwych "kozaków" nie braknie nigdy i nigdzie. Nęciła ich do kozaczyzny zupełna swoboda, nie krępowana niczym, bo tam na dalekich a rozległych stepach właściwie nikt nie panował.

Utrzymywali się głównie z wypraw na mniejsze oddziały tatarskie, biorące udział w najeździe na Ruś i Polskę, gdy wracały z łupem. Kozacy napadali na nich, łupy odbierali i niejeden zbierał z tego znaczne dostatki. Te stepowe utarczki nabrały rozgłosu i ściągały coraz więcej ochotników do kozaczyzny. Zorganizowali się zupełnie po wojskowemu i z czasem wytworzyła się nad południowym Dnieprem cała armia, zupełnie niepodległa. Uznawali wprawdzie zwierzchnictwo Polski, bo to było w granicach polskiego państwa, ale z tego niby zwierzchnictwa powstawały tylko kłopoty. Ilekroć ta zbrojna, samowolna społeczność naruszyła granice tureckie, zawsze sułtan miał pretensje, że Polska zrywa rozejm, skoro nie trzyma kozaków na wodzy. A kozactwo rosło coraz bardziej w siłę i liczebność.

Wytworzyła się liczna społeczność z odrębną zupełnie cywilizacją obozową. Na wielką skalę rozwinęła się taka cywilizacja niegdyś u Mongołów, jako turańska. Na jej wzór powstała państwowość moskiewska, a od w. XV aż do początku XVIII rozwijała się oddzielna kultura moskiewska, stanowiąca gałąź azjatyckiej cywilizacji turańskiej. Kozaczyzna była na małą skalę odbiciem dawnej obozowej cywilizacji mongolskiej i następnie tatarskiej, od której się wywodzi historycznie; należy przeto do zakresu turańskiej cywilizacji.

Urządzali się kozacy obozowo, po wojennemu, bo żyli z wojowania. Już Zygmunt Stary wziął ich dwa tysiące na stały żołd państwa polskiego. Byli spisani na liście, czyli rejestrze wojskowym. Stąd zwani

"rejestrowymi". Stały zarobek, utrzymanie bez troski nęciły ludzi wschodnich, dla których życie obozowe było ideałem życia. Jeszcze za Zygmunta III czasów nabierało się ich kilkanaście tysięcy, a król Stefan Batory przyjmował stopniowo wszystkich na żołd polski. Miałyby Polska w ten sposób stała armię na tamtych kresach, a przydatną do wojen tureckich. Ale też odtąd ludność ruska tysiącami zbiegała z roli do kozaczyzny, chociaż "rejestr" ciągle podwyższano, przybywało drugie i trzecie tyle "nierejestrowanych", a nie sposób było wszystkich wziąć na "rejestr", tj. płacić wszystkim stały żołd.

Rejestrowi znali posłuch wojskowy, a mając z czego żyć, siedzieli cicho, czekając, aż otrzymają z Warszawy rozkaz, żeby wyruszyć. Ale nierejestrowi, a tych było coraz więcej, stanowili coraz większy kłopot. Próbowano rozwiązać ich organizację, lecz na próżno. Wtem zaświtała im nadzieja, że wszyscy staną się "rejestrowymi". Król Władysław IV, nosząc się z zamiarami wielkiej wojny tureckiej, podwoił rejestr z 6000 na 12000. Zgłosiło się aż cztery razy tyle, bo 24000. Wziął ich król wszystkich, a widoczne było, że mógłby ich mieć nie tylko 30000, ale choćby 60000. Było to królowi na rękę, bo postanowił już pochód na Krym, żeby zdobyć najpierw to gniazdo tatarskie. Wezwał tedy król przywódców kozackich do Warszawy na radę. Jeden z nich, Bohdan Chmielnicki (pochodzący ze szlachty mazowieckiej) zdradził te plany chanowi krymskiemu, a chan dał znać sułtanowi.

A miała Polska w Konstantynopolu wroga o wiele zawziętszego od wszystkich sułtanów. Był nim patriarcha prawosławny. Wiemy, że już za Zygmunta III rozsyłali ci patriarchowie agentów, organizujących bunty dyzunitów przeciw unii brzeskiej. W roku 1647 namówił dwór patriarszy sułtana, by objął niejako protektorat nad prawosławiem w państwie polskim. I stanęła umowa: Patriarchat wznieci przez swych agentów na Rusi Południowej wojnę religijną prawosławnych z katolikami (rzymskimi i unitami), w kozaków zaś wmówi się, że mają bronić prawosławia (przeciwko unii brzeskiej). Przywództwo i wykonanie buntu oddaje się Chmielnickiemu, którego zrobi się za to księciem panującym na Ukrainie pod zwierzchnictwem sułtańskim.

Całkiem niespodzianie wybuchł bunt kozacki i zaraz przypędził pospiesznie kilkanaście tysięcy Tatarów na pomoc Chmielnickiemu. Na całej zaś Ukrainie obwieszczono, że każdy prawosławny musi się zaciągnąć pod chorągiew Chmielnickiego, bo inaczej będzie oddany w jasyr. Po tej groźbie wzrosły siły buntownika od razu do stu tysięcy.

Wtedy właśnie śmierć zabrała króla Władysława IV. Podczas bezkrólewia bunt się rozwija. A żeby wyżywić tłum stutysięczny, musiał Chmielnicki ruszyć naprzód w kraje lepiej zagospodarowane. Dotarł pod Lwów. Gdy się zbliżał, starano się ewakuować ludność niezdatną do obrony, tym bardziej, że należało przewidywać oblężenie, a zatem mieć mniej ludności do żywienia.

Władza duchowna przystąpiła przede wszystkim do ewakuowania klasztorów żeńskich. Jeden z nich wymaga osobnej wzmianki, a mianowicie klasztor Karmelitanek Bosych. Przełożoną jego była Teresa Marchocka, pochodząca z zamożnej szlacheckiej rodziny w województwie krakowskim, która majątek swój cały włożyła w fundacje trzech klasztorów Karmelitanek Bosych: w Krakowie, we Lwowie i w Warszawie. Najpierw była w Krakowie i już wtedy spadła na nią ta łaska rzadka, a w Polsce zdaje się przedtem nie widywana, iż stała się stygmatyczką, tj. że pięć ran Chrystusa Pana nawiedziło jej ciało, bez żadnej zewnętrznej przyczyny. Z początku tylko je odczuwała, po jakimś czasie miała na sobie rany rzeczywiste. Nazywała to "sukienką św. Franciszka Serafickiego". Miała wielkie nabożeństwo do św. Franciszka z Asyżu, który był pierwszym stygmatykiem, i uważała, że jego wstawiennictwu tę łaskę zawdzięcza. Sama o tym wyrzekła te słowa:

"Mam całą sukienkę św. Franciszka na sobie, bo te piętna nie tylko w nogach, ale też w rękach i w boku czuję. Prosiłam bowiem św. Ojca Franciszka, aby mi też użyczył ran swoich do cierpienia dla miłości ukrzyżowanego Chrystusa, i otrzymałam z łaski jego, któregom ja ubóstwo i pokorę od młodości mojej zawsze kochała. A chociaż mi boleść nieznośnie dokuczała na ciele, bo od okrutnej męki prawie ustawałam na siłach, rozumiejąc, że już umieram, dlaczegom serdecznie wołała do Pana: O Jezu mój najłaskawszy, już Ci dalej znosić nie mogę, weź proszę duszę moją do siebie i niech tak kończę żywot na krzyżu Twoim; jednak na duszy czułam niewymowną pociechę, bo zaraz przystąpił św. Franciszek, ciesząc mnie i mówił: Nie umrzesz jeszcze, trzeba, żebyś dłużej cierpiała; którymi

słowami pocieszona i umocniona zostawałam, poddając się woli Boskiej". Przez pewien czas nie spała niemal nic i nie przyjmowała żadnych pokarmów, żyła samą tylko Hostią świętą.

W r. 1641 wysłano ją do Lwowa na "nową fundację" już nie własnym kosztem, bo sama nic nie miała, lecz dzięki Teofilii Sobieskiej, kasztelanowej krakowskiej, matki Jana, późniejszego hetmana i w końcu króla. Przez siedem lat przebywała we Lwowie, gdy miasto zagrożone zostało najazdem Chmielnickiego. I wtenczas ta stygmatyczka, chora niemal bezustannie, znalazła na tyle sił, iż zajęła się ewakuacją klasztoru i zakonnic, wozami i końmi, sama nawet pakowała i szczęśliwie uszła, taką ukazując przytomność umysłu, iż dziewięć mil od Lwowa zmyliła patrol kozacki. Z pomocą Bożą przebywszy ciężką przeprawę przez San pod Jarosławiem, dotarły wreszcie do Krakowa. Tu przez pół roku korzystały z gościnności krakowskich sióstr, po czym część ich z matką Marchocką przeniosła się do Warszawy, gdzie z łaski królowej i kanclerza koronnego Jerzego Ossolińskiego powstawał dla nich nowy klasztor.

Tymczasem we Lwowie korzystano z ufortyfikowanego klasztoru bernardyńskiego, dokąd schroniły się tysiące rodzin mieszczańskich. Lwowianie zanosili gorące modły do bł. Jana z Dukli, jako patrona swego miasta. Gdy ostatecznie powiodło się wykupić od rabunku, złożony kozakom i Tatarom dwieście tysięcy talarów okupu, było to bądź co bądź ocaleniem w porównaniu z tym, co by się działo, gdyby oblegający wkroczyli do miasta. Miasto wyraziło wdzięczność swemu patronowi, fundując w następnym roku do kościoła bernardyńskiego tablicę srebrną z wyobrażeniem figury bł. Jana z Dukli.

Chmielnicki ruszył dalej i stanął pod Zamościem. Tam doszła go wiadomość o wyborze na tron po Władysławie IV jego brata młodszego, Jana Kazimierza. Był to dzielny rycerz i wódz znakomity. Na jego żądanie cofnął się Chmielnicki na Ukrainę. Wjeżdżającego do Kijowa witał tam prawosławny patriarcha tytularny jerozolimski jako księcia Rusi. Ale teraz był Chmielnicki bity przez wojsko królewskie raz po raz. Przybywali mu na nowo z pomocą Tatarzy, a gdy znowu pogroźono jasyrem, hufce jego wzrosły do 260 000 głów. Sami Kozacy stanowili już ledwie piątą część tych tłumów, pośród rozmaitej czerni zbiegającej się zewsząd dla ratunku. Tłuszczy tej stawiło czoło pod Zbarażem 15 000 wojska polskiego, a dopiero, gdy nadciągnęło jeszcze sto tysięcy Tatarów, zawahały się losy wojny r. 1649.

Dość długo obozował król następnie w Zborowie i z tego czasu dochowała się piękna legenda, że równocześnie w Warszawie modliła się świątobliwa Marchocka o powodzenie królewskie, a tejeż godziny król w obozie miał widzenie Matki Teresy, zapewniającej go, żeby się nie obawiał niczego.

W Zborowie zawarto z Chmielnickim ugodę. Polacy pragnęli zgody i ofiarowali Kozakom warunki świetne, bo wszystkim rejestrowym przyznano prawa szlachty polskiej, powiększając zarazem rejestr aż do 40 000. Ażeby zaś usunąć całkowicie nawet pozory do jakiejś wojny religijnej o prawosławie, postanowiono że tylko prawosławni mogą być urzędnikami w trzech województwach ukraińskich, tj. w kijowskim, czernihowskim i braclawskim.

Ale kozactwa było dwa razy tyle pod bronią, niż można było przyjąć ich na żołąd "w rejestr". Zwróciły się więc teraz te zbrojne rzesze przeciw Chmielnickiemu i zmusiły go do zerwania ugody. On sam wolał też nową wojnę, marząc o tym, że zostanie księciem kijowskim. Zdawało się, że sprawę całą rozstrzygnęła wielka bitwa pod Beresteczkiem w r. 1651, trwająca trzy dni, pod osobistym dowództwem Jana Kazimierza. Sam król dowodził środkiem armii, lewym skrzydłem książę Jeremi Wiśniowiecki, który też rozstrzygnął bitwę w ostatnim dniu, a na prawym skrzydle odznaczył się Stefan Czarniecki. Tam też szli do szturmów dwaj bracia Sobiescy, Marek i Jan, późniejszy hetman i król. Wielkie zwycięstwo broni polskiej zrozumiano w całej Europie jako ocalenie cywilizacji łacińskiej od turańskiej dzicy i od islamu. Obchodzono je uroczysto w Wiedniu, w Rzymie i w Paryżu.

Tu przerwiemy na chwilę nasze wojenne opowiadania, ażeby zaznaczyć, że tegoż r. 1651 wzbogaciło się życie religijne w Polsce nowym zakonem Misjonarzy. Założycielem był jeden z wielkich świętych historii powszechnej, którego cześć znana jest w Polsce każdemu dziecku: św. Wincenty á Paulo, Francuz z prowincji Gaskonii, urodzony w r. 1576. Okazywał od młodości wielkie zamiłowanie do wszelkich misji wewnętrznych. Został powołany na jednego z kapelanów na dwór królewski, potem miewał probostwa w dobrach arystokracji, lecz pełen zawsze największej skromności myślał tylko o

tym jak by swe wysokie znajomości wyzyskać dla dzieł miłosierdzia. Trzymał się zasady, że nie na wiele zdadzą się najlepsze kazania ludziom biednym, głodnym i obdartym. W r. 1624 założył w Paryżu przy parafii św. Łazarza kongregację nazwaną od tego miejsca Łazarystami, której specjalnością stała się piecza nad zaniedbaną dziaćwą i opieka nad ubogimi nie żebrzącymi a zwłaszcza chorymi. W roku następnym obmyślił pomocniczą kongregację niewieściami Siostry Miłosierdzia, zwaną u nas z francuska Szarytkami, od których żąda się ślubów tylko na trzy lata, a które one odnawiają niemal zawsze do końca życia. Św. Wincenty a Paulo zmarł w r. 1660, kanonizowany w r. 1717.

Jeszcze za życia swego świętego twórcy rozszerzył się nowy zakon na Polskę. W Paryżu znalazł się Polak, Kazimierz Żelazowski, który wstąpił pomiędzy uczniów św. Wincentego, a w r. 1651 wracał do Polski, jako kleryk, w towarzystwie trzech francuskich kapłanów. Osiedli najpierw w Warszawie i mieli zaraz pełne ręce roboty w tych czasach wojennych. W Polsce zwano ich zawsze Misjonarzami, a biskupi powierzali im kierownictwo diecezjalnych seminariów duchownych. Lecz wracajmy do Chmielnickiego. Po takiej walnej klęsce, jaką mu zadano pod Beresteczkiem, nadano mu godność królewskiego hetmana nad 20 000 "rejestranych", ale on chciał być księciem panującym! Gdy Kijów zawiódł, próbował w r. 1652 zdobyć dla siebie Mołdawię, ale próba się nie udała, a zraził sobie tym sułtana, który odwołał Tatarów.

Wtedy znalazł sobie Chmielnicki opiekuna w carze moskiewskim. W r. 1654 w Perejasławiu poddał carowi całą Ukrainę, sądząc że car zrobi go księciem pod swoją opieką. Ale car zagarnął Ukrainę tylko dla siebie, a wojsko kozackie wyprawił na północ, żeby wraz z armią moskiewską zdobywało Litwę. Jakoż zajęli Moskale Smoleńsk, a w r. 1655 nawet Wilno.

Teraz zaczęło się męczennictwo zakonu Jezuitów. Ze Smoleńska uciekający, musieli się tułać długo, wymijając postoje wrogich wojsk. W Połocku zbezczeszczone kościoły, a w Nowogródku dwóch księży poraniono, jednego zabito. Przez dwa lata trwały te prześladowania wojsk moskiewskich: Jezuiti stracili wówczas 40 swoich zakonników. Św. Andrzej Bobola przebywał wówczas dalej na południu w nowym klasztorze w Pińsku, na razie jeszcze bezpieczny, lecz nie na długo.

Wszystkie prowincje, w których odbywały się te wojny kozackie, tatarskie i moskiewskie, zamieniały się w ruiny. Zwłaszcza zaś spadła katastrofa na klasztory katolickie. Samych bernardyńskich poszło z dymem czternaście, a siedemdziesięciu zakonników poniosło śmierć. Mówiono, że spalonymi klasztorami i trupami zakonników poznaczona jest droga kozacka. I podczas oblężenia Zbaraża (które tak wspaniale opisał Sienkiewicz) zastrzelony został z łuku tatarskiego Bernardyn O. Franciszek Ząbkowski. A kiedy Moskale zajmowali Smoleńsk, wzywał car moskiewski Aleksy Bernardynów i Dominikanów tamtejszych, żeby zostali. Bernardyni woleli wyjechać, a Dominikanie zostawszy, dostali się do więzienia. Na samej Litwie spalono siedem klasztorów, a zabito dziesięciu kapłanów. Słusznie też pisał arcybiskup lwowski Krosnowski, że tak prowincja zakonna "dla Boga i zaprawdę codziennie męki i konania znosząc, zakonowi serafickiemu wielki zaszczyt przynosi i walcząc na chwałę Bożą aż do krwi przelania, zasługuje na szkarłatny wieniec na niebie".

Od miecza i pożogi wolna była dotychczas przynajmniej zachodnia część królestwa polskiego. Lecz przyszła i na nią kolej. "Potop" miał zalać całą Polskę, a to, co się działo dotychczas, było dopiero połową nieszczęść.

Z kłopotów polskich postanowił skorzystać nasz lennik pruski. Księstwo pruskie przez następstwa spadkowe, a przez nieopatrzność polską połączone już było w rękę Hohenzollernów z Brandenburgią i rządzone było z Berlina: elektor brandenburski Fryderyk Wilhelm porozumiał się z powinowatym sobie (bo urodzonym z księżniczki brandenburskiej) Bogusławem Radziwiłłem, największym magnatem na Litwie, i ci obydwaj zmówili się z królem szwedzkim, Karolem Gustawem. Ponieważ Jan Kazimierz także nie zrzekł się tytułu króla Szwecji, chętnie skorzystano ze sposobności, żeby go wojną zmusić do tego. Lecz ofiarowano Szwedom więcej, znacznie więcej.

Stanąła wówczas umowa o rozbiór Polski. Radziwiłł miał zostać wielkim księciem Litwy pod zwierzchnictwem Szwecji. Szwecja miała zabrać Prusy Królewskie, tj. Pomorze Gdańskie. Fryderyk Wilhelm uznał Prusy Książęce lennem korony szwedzkiej, ale miał dostać cztery województwa

wielkopolskie, położone pomiędzy Brandenburgią a Prusami: kaliskie, poznańskie, gnieźnieńskie, inowrocławskie.

Latem r. 1655 zajęło wojsko szwedzkie całą niemal Polskę, nie spodziewając się najazdu z tej strony, zajęłą wojną z Moskwą i Chmielnickim. Król Jan Kazimierz schronił się wtedy na Śląsk.

Szwedzi łupili kraj z całych sił. W Poznaniu trafili na świątobliwego biskupa sufragana Macieja Kurskiego. On pierwszy przekonał ich, jak dalece się mylili, sądząc, że tym razem w łączności z dyzunitami zgnębią katolicyzm w Polsce, a popierani przez resztę protestantów (bo tak było) uczynią z Polski obóz warowny przeciwko Kościołowi. Ale wkrótce mieli się zdziwić jeszcze bardziej.

Mieli całe królestwo polskie w swym ręku, prócz jednej drobnej forteczki, Częstochowy. Słusznie nazywali ją "kurnikiem", bo doprawdy na zdobycie warownego klasztoru Paulinów na Jasnej Górze powinien być wystarczyc według ludzkiego rozumu jeden oddział żołnierzy i jeden dzień. Byliby może nie fatygowali się o taki "kurnik", gdyby nie to, że w klasztorze był sławny skarbiec. Ale zaczęły się tam dziać cudy i generałowie szwedzcy nie mogli dać rady... komu? Mnichowi, przeorowi Kordeckiemu! Ale był to dowódca godzien łask Maryi, mąż wielkiej świętości. Świętość tego męża stwierdziła Najświętsza Panna, skoro takiej cudownej udzieliła mu pomocy, iż nie tylko Szwedzi musieli spod Częstochowy uciekać, ale skutkiem tego nadspodziewanego wydarzenia, nie dającego się nijako objąć samym tylko rozumem, otworzyły się oczy narodowi.

Porwał się cały naród, zmieniony nie do poznania. Jerzy Lubomirski, marszałek wielki koronny, zawiązał dla obrony króla konfederację w Tyszowcach. Kilka tylko miesięcy przebywał Jan Kazimierz na Śląsku. Wraca, wszyscy garną się do niego, a na czele staje wielki wódz Stefan Czarniecki. Nie był wcale hetmanem, ale w nim znalazła prawdziwie ciąg dalszy owa święta hetmańskość po Żółkiewskim.

Gdy poznański biskup Kurski odnawiał spalone przez Szwedów kościoły, a gwardian bernardyński ze spalonego przez Moskali Mińska, z drugiego więc końca państwa, płomiennymi kazaniami nawoływał to tu, to tam, żeby śpieszyć do pułków Czarnieckiego - sam Czarniecki przerzucał się z województwa do województwa walcząc dziś ze Szwedami, jutro z Moskalami, za tydzień z wiarołomnym księciem pruskim. W jednym miesiącu potrafił bić się i na Ukrainie, i nad Wartą.

Nieszczęściom i męczeństwom nie było końca. Czując się zagrożeni, stawali się Szwedzi tym okrutniejsi, a Litwa pozostawała wciąż jeszcze w ręku moskiewskim. Jeszcze miało paść ofiarą 17 innych bernardyńskich klasztorów, a męczenników pomordowanych 18, zanim Czarniecki kraj jako tako mógł oczyścić z najazdu. A jak się znęcali, świadczy przykład męczeństwa Reformaty Epifaniego Wołka z Podgórze w czerwcu 1657 r.: "Od Szwedów pojmany, wiele szyderstwa i urągania dla imienia Chrystusowego od nich ponosił; na ostatek do pała przywiązany na głowie jego proch wojenny zapalono z niewymowną jego boleścią, co dla Chrystusa cierniem koronowanego mężnie wycierpiał i w tych bólach szczęśliwie skonał".

Wtem przybył wróg jeszcze jeden. Nastąpił straszny najazd księcia siedmiogrodzkiego z Węgier, Rakoczego, którego 60 000 wojsko pozostawiło po sobie pamięć dzikich hord rozbójniczych. Pomagał on już przedtem Szwedom w wojnie trzydziestoletniej w Niemczech i teraz przyzywał go do Polski Karol Gustaw. Miał za swe posiłki dostać dla siebie Pokucie i Ruś Czerwoną. Plany rozbioru Polski postępowały coraz dalej. Ale postępowała też obrona narodu. Dzielny Czarniecki odnosił coraz świetniejsze zwycięstwa, dawał radę i Rakoczemu, a Szwedów gonił aż do Danii, z którą zawarto przymierze przeciw Szwecji.

Tam nadmorską twierdzę Goldyngę zdobył w ten sposób, że kazał kulbaki pozdejmować z koni, siadać jeźdźcom na łodzie, a konie trzymać za uzdy i przeprowił takim sposobem dwie chorągwie na drugą stronę zatoki. Powtórzyło się coś podobnego na wyspie Alzen, którą Szwedzi również musieli opuścić.

Poczuwszy zmianę "wiatru", książę pruski i wielki elektor brandenburski ofiarował teraz Polsce przymierze przeciw Szwedom w zamian za to, żeby księstwo pruskie zwolnić z lennictwa wobec korony polskiej. Wstawał się za nim cesarz Leopold, niepomny, że Hohenzollernowie są największymi wrogami Habsburgów. Padło jakieś zaślepienie na obu monarchów i w r. 1657 Jan Kazimierz zrzekł się

zwierzchnictwa lennego nad Prusami. Fryderyk Wilhelm siedział zaś nadal w Berlinie, a gubernatorem niezależnego już księstwa pruskiego mianował Bogusława Radziwiłła.

Z Moskwą był w owym r. 1657 rozejm, a skutkiem tego wielu niby kozaków, tracąc zajęcie w wojsku moskiewskim na Litwie, wracało na Ruś południową; były to żywioły, o których trudno było powiedzieć, czym właściwie są, a jeszcze trudniej, z czego są. Awanturnicy, zjawiający się wszędzie, gdzie zdarzy się sposobność żyć cudzym kosztem i coś zrabować. Takich przyjmowano chętnie na agitatorów i prowokatorów. Kazano im iść między prosty lud i urządzać rozruchy pod pozorem obrony prawosławia. Hierarchia dyzunicka zajęła się teraz Podlasiem i Polesiem.

Kręciła się tam wataha kozacka; czy niby kozacka i ci urządzili istną nagonkę na "duszochwata" Bobolę. Buntowali przeciwko niemu wszędzie lud wiejski, zmyślając o nim niestworzone rzeczy, nawet że szerzy zaraźliwe choroby. Śledzono go, żeby pojmać; lecz na próżno urządzano zasadzki na niego w Pińsku, a następnie w Janowie, gdzie nasz święty urządził sobie punkt centralny dla swych misji. Wreszcie dostał się w ręce zbirów zdradzony przez własnego prawosławnego woźnicę na drodze w okolicy Janowa, pomiędzy wsiami Peredylną a Mohylną.

Otoczony już przez hultajstwo, ukląkł na środku drogi, mówiąc: Bądź wola Twoja! Przywiązali go do drzewa, siekli różgami, po czym pomiędzy dwoma jeźdźcami przytroczono go na powrozie zawlekli do Janowa, przed dowódcę kozackiego. Ten ranił go szablą w rękę tak straszliwie, iż ledwie wisiała bezwładna, a drugim cięciem rozplątał mu nogę. Inny jakiś kozak wylupił mu oko. Potem przypiekali mu piersi i boki, zdzierali z niego żywcem skórę, obcięli mu nozdrza i usta, i wyrwali język. Przywoływany ciągle, żeby się wyrzekł wiary katolickiej, odpowiadał, póki mógł mówić, wystawianiem prawdziwej wiary. Wreszcie konającego już wrzucono w błoto uliczne, gdzie po kilku godzinach dobito go ostatnim ciosem w bok. Działo się to 16 maja 1657 r. Dokonawszy mordu, zbrodnicza czereda uciekła i rozbiegła się, dzięki czemu można było zwłoki odwieźć do Pińska i tam pochować w grobach jezuickich.

Podniesiono je w r. 1702, a w r. 1808 przeniesiono aż do Połocka (bo tylko tam wówczas Jezuici utrzymali się). Wywieziono je do Petersburga, lecz papież je wykupił i sprowadził do Rzymu; spoczywają w Rzymie w wielkim kościele Pana Jezusa (Gesu). Beatyfikowany w r. 1853 przez papieża Piusa IX, kanonizowany na Wielkanoc r. 1938 przez papieża Piusa XI (papież ten był pierwszym nuncjuszem w niepodległej na nowo Polsce i wtedy otrzymał godność biskupią; u nas konsekrowany, pozostał zawsze wielkim przyjacielem Polski, gdy zasiadł następnie na stolicy Piotrowej; udzielił pozwolenia, żeby ciało św. Boboli przewiezione było do Polski. W czerwcu 1938 r. sprowadzono te święte dla nas relikwie do Warszawy).

Lecz wracajmy do wojen kozackich. Gdy w r. 1657 zmarł Chmielnicki, z następcą jego, Wyhowskim, zawarto umowę w Hadziaczu (na wschód za Kijowem o trzydzieści mil) na następujących warunkach:

Urządza się z trzech województw ukraińskich, z kijowskiego, braclawskiego i czernihowskiego osobne państwo ruskie, z własnym wojskiem, własnym skarbem, z własnymi ministerstwami i urzędami pod naczelnictwem hetmana, jakiego sobie kozacy sami wybiorą. To państwo ruskie ma wejść w unię polityczną z dwoma innymi państwami - z królestwem polskim i z wielkim księciem litewskim. Szlachta wszystkich trzech państw wybiera wspólnego króla i wysyła posłów na wspólny sejm walny. Kozacy zostają szlachtą.

Warunki hadziackie świadczą aż nadto wyraźnie o sprawiedliwości i ugodowości polskiej. Czegoż więcej mogli pragnąć?! Ale do polityki trzeba oświaty, a to była ciemna masa; ta nowa szlachta ruska nie umiała czytać ni pisać, a przez wolność rozumieli wolność pędzenia wódki. Pozostawieni samym sobie, rzucili się jedni na drugich i zaczęły się wojny domowe o to, kto ma zostać hetmanem, a trwały 22 lata. Bywało po kilku hetmanów naraz.

Od r. 1660 zaczynają się zwycięstwa Czarnieckiego nad Moskwą. Rakoczy się wycofał, a następca Karola Gustawa, król szwedzki Karol IX zawarł pokój w Oliwie pod Gdańskiem. Jan Kazimierz zrzekł się tytułu szwedzkiego, a w Inflantach ustanowiono rzekę Dźwinę granicą pomiędzy panowaniem

szwedzkim a polskim. Szwecja nic tam nie zyskiwała od ostatniego rozejmu, Polska niczego nie traciła. Cały więc rozlew krwi był niepotrzebny.

Teraz prowadzono ostro wojnę przeciw Moskwie. Na sejmie w r. 1661 złożono u stóp tronu 193 zdobyte sztandary. Sejm ten uchwalił podatki dochodzące aż do pięćdziesięciokrotnych poborów zwyczajnych! Naród, nakładający na siebie takie ofiary dla dobra publicznego, nie mógł zginąć.

Niebawem odzyskano na nowo Ukrainę a w r. 1667 zawarto rozejm w Andruszowie, ustanawiający rzekę Dniepr granicą Ukrain - polskiej i moskiewskiej. Wkrótce tego samego jeszcze roku zakończył "potop" hetman Jan Sobieski, rozgromiwszy pod Podhajcami 80 000 Tatarów. Skarb był pusty; Sobieski porobił zaciągi wojskowe za własne pieniądze, zadłużwszy wszystkie swe dobra.

Stefan Czarniecki tego nie dożył. Zmarł z niesłychanych trudów wojennych, z końcem wojen moskiewskich w obozie w Sokołówce pod Dubnem na Wołyniu r. 1665, otrzymawszy dopiero na krótko przed śmiercią tytuł hetmański. Ciało jego sprowadzono do miejsca rodzinnego do wsi Czarncy w ziemi kieleckiej, gdzie spoczął w fundowanym przez siebie kościele parafialnym.

Lepiej było zaiste temu najzacniejszemu wojownikowi nie dożyć przykrości lat następnych. Samo obcięcie granic za Dnieprem było ciosem najmniejszym; nie bardzo nam zależało na tym Zadnieprzu. Straszna klęską było jednak to, żeśmy nad Bałtykiem utracili znaczenie polityczne.

Ale było jeszcze coś gorszego. Utraciliśmy równowagę wewnętrzną, bo nastąpiła całkowita rozterka pomiędzy tronem a narodem. Wazowie nie mieli szczęśliwej ręki do Polaków. Już Zygmunt III wywołał rokosz Zebrzydowskiego, najgorliwszego katolika. Łamać ustawy polskie zdarzało się też Władysławowi IV, a panowanie Jana Kazimierza skończyło się drugim rokoszem.

Były wady w sejmowaniu polskim, które wymagały reformy. Wiedziano o tym, błędy dostrzeżono, uznano i postanowiono naprawić. I te i inne reformy opracował gorliwie sejm r. 1666, ale wszystko ugrzęzło w kancelarii królewskiej. Jan Kazimierz żadnych reform nie chciał, bo nie chciał w ogóle sejmu, lecz zamierzał zaprowadzić rządy absolutne. Decydował się w tym celu na niesłychany gwałt. Upatrzony przez niego na następcę księżę francuski (d'Anguien), miał za pieniądze ze szkatuły króla francuskiego nająć sobie zaciężne wojsko szwedzkie, więc po prostu urządzać ponowny najazd szwedzki na Polskę, a zdobywszy ją sobie, zaprowadzić rządy absolutne. Wybuchła o to wojna domowa, a przywódcą rokoszu był Jerzy Lubomirski, który króla sprowadził ze Śląska i utworzył konfederację tyszowiecką; ten sam Jan Kazimierz, zwyciężony w dwóch bitwach, musiał się wyrzec swych zamiarów; a chociaż potem sprawę dla przyzwoitości załagodowano, chociaż Lubomirski przeproszał i nawet z Polski wyjechał - jednakże wkrótce potem króla zmuszono do abdykacji. Stało się to w r. 1668.

Opinia publiczna wskazywała na Sobieskiego jako na następcę na tronie, lecz intrygami zazdrosnych innych rodów magnackich został wybrany chorowity i niedołężny Michał Korybut Wiśniowiecki. Panował krótko (1669-1673) a niesławnie. Z jego winy zabrali nam Turcy znaczną część Podola z Kamieniem Podolskim, w r. 1672. Nie puścił wojska spod Warszawy. A chociaż Sobieski znowu własnym kosztem zebrał wojsko, odniósł zwycięstwa w czterech bitwach, Kamieńca jednak się nie odzyskało i Podole było przez 27 lat prowincją państwa tureckiego.

W r. 1673 odniósł Sobieski jeszcze jedno zwycięstwo w słynnej bitwie pod Chocimiem. Sama sułtańska zielona chorągiew wpadła w polskie ręce i do czterechset sztandarów i buńczuków. Papież kazał rocznicę tego zwycięstwa obchodzić po wieczyste czasy w całym Kościele katolickim, przepisawszy na dzień 11 listopada osobne z tego powodu modły do kapłańskich brewiarzy. I tak do dziś dnia we wszystkich kościołach katolickich, ile ich tylko jest na całym świecie, rozbrzmiewa przez usta kapłanów wszystkich narodów świadectwo, że byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa w Europie.

Król Michał zmarł w sam raz w wigilię tego zwycięstwa. Tym razem nie pomogły już żadne intrygi i wdzięczny naród wybrał Sobieskiego królem w r. 1674.

Ocalenie chrześcijaństwa

Nazwisko Sobieskiego znane jest całemu światu; nawet w takich krajach, gdzie o Polsce nic nie wiedziano i nie troszczono się o to, czy ona istnieje i gdzie leży, jedno wspomnienie o Polsce jednak zachowywano: pamięć króla Jana III Sobieskiego, który ocalił Wiedeń i chrześcijaństwo. Jeżeli ktoś z historii umie jak najmniej, po prostu nic, jeżeli nie umie rozróżnić Piastów od Jagiellonów, jeśli nawet nie wie, które męczeństwo było wcześniej, czy św. Wojciecha, czy św. Andrzeja Boboli; o Sobieskim jednak wie na pewno, że pobił Turków pod Wiedniem! Tym bardziej wiedzą o tym z góry wszyscy czytelnicy niniejszego dziełka. Nie o samym przeto fakcie ma ich informować ten rozdział, ale o tle, na jakim wydarzenie się dokonało, o stosunkach i okolicznościach, jakie towarzyszyły wiekopomnemu czynowi naszych przodków.

Najciekawsze i najbardziej zajmujące jest to, że złożyliśmy ofiarę chrześcijaństwu i ocaliliśmy panowanie Krzyża w Europie, kiedy nam samym zaczynało się już źle powodzić.

Skutki "potopu" nie od razu wystąpiły w całej srogości, a były to skutki tego rodzaju, iż nie ustawały, lecz dawały się coraz bardziej we znaki; nie ustawały, lecz przybierały na sile, gdyż im nie zaradzono. Zaradzić było ciężko, czasem nie dało się, ale często nie zaradzono dlatego, bo zaradzić nie umiano. A właśnie za panowania tak pełnego chwały, jak króla Jana III, miały się rozwinąć pewne następstwa "potopu" nader boleśnie.

Ruiny w całym kraju, miasta całe w gruzach, poburzone grody, rozwalone kościoły - to wszystko dałoby się odbudować i odnowić. Dużo też odbudowano, ale na pewno zaledwie połowę. Do dnia dzisiejszego sterczą po całej Polsce ruiny z owego okresu! Nie było za co ich odnawiać! Zabrakło pieniędzy; zubożeliśmy i już się z tego ubóstwa nie podnieśliśmy.

Przede wszystkim nastąpiło wyludnienie kraju. Ileż ludności poległo, pomarło z ran i z trudności wyżywienia, ile przepadło w niewoli, a ile kobiet i dzieci poszło w jasyr tatarski! A my zajmowaliśmy historycznie obszary tak znaczne (spójrzmy na mapę), iż tylko obfite, gęste zaludnienie mogło podolać zadaniom ekonomicznym, kulturalnym i politycznym na takiej rozległości. Bardzo dziecinne jest mniemanie, jakoby bieda pochodziła stąd, iż ludzi jest za dużo! Doświadczenie uczy inaczej. Najbogatsze i najdzielniejsze są te kraje, w których ludność najgęstsza --oczywiście o ile posiadają inne warunki powodzenia: moralność i oświatę; w każdym razie rzecz pewna, że wielka liczebność i gęstość zaludnienia stanowi jeden z warunków pomyślności.

Wyludniona Polska popada w ubóstwo głównie dlatego, że miasta były zrujnowane. Mieszczanie nasze "poszło z torbami". Niegdyś, za Zygmunta Starego, żaliła się szlachta, że w całym niemal województwie krakowskim mieszczenie krakowscy wykupili dobra szlacheckie. Ale po "potopie", kupiec polski ledwie miał za co odnowić towar we własnym sklepie!

Przyczyna upadku handlu tkwiła w tym, że do Morza Czarnego nie dotarliśmy, a nad Bałtykiem został nam mały skrawek, opanowany dokładnie przez jedno tylko miasto, naprawdę handlowe - Gdańsk. Zagwożdżone było najsilniejsze źródło narodowego dobrobytu. Takie tylko narody mogą być bogate, które posiadają własny handel, należycie rozwinięty. Handel ma to do siebie, że korzyści z niego płynące rozdzielają się na wszystkie warstwy społeczne; tym bardziej przeto zależy na tym, żeby mieć własny handel narodowy.

A tymczasem w Polsce ówczesnej Polacy sami temu przeszkadzali, sprzeciwiali się. Jakieś zaślepienie spadło na szlachtę; uroiło im się, że ubliża to honorowi szlachecka, jeżeli zarobkuje "łokciem lub kwartą". Uchwalono, że taki traci "klejnot szlachecki" i trzymano się tego ściśle. A trzeba wiedzieć że np. mazowieckie miasta miały za Zygmunto-wskich czasów ludność niemal wyłącznie szlachecką z drobnej szlachty, która dorabiała się właśnie łokciem i kwartą. Pojęcia o tych sprawach zmieniły się radykalnie, a niestety zmieniły się nierozumnie.

Zubożałe miasta nie mogły też przygarniać nadmiaru ludności wiejskiej, nie mogły dostarczać zarobków młodszym synom wieśniaczym. Cała młodzież wiejska musiała pozostać we wsi rodzinnej, nie mogąc znaleźć zarobku gdzie indziej, jak tylko u dziedzica tej samej wsi. A zatem stan wieśniaczy

musiał popaść w całkowitą zależność od szlachty. Wszelka bowiem niezależność, niepodległość zawisa jest od zależności lub niezależności ekonomicznej. Im ktoś uboższy, tym trudniej mu być niezależnym.

Powszechne zubożenie musiało odbić się na skarbie państwa. Podczas wojen robiono taki wysiłek, iż układano i płacono podatki coraz wyższe, aż do pięćdziesięciokrotnych. Czyż takie wysiłki mogą być trwałe? Musiał nastać czas, że potem nie było z czego zapłacić nawet zwykłego podatku. A podatki nadmierne są jak zmora: wysysają krew i mózg ze społeczeństwa i po pewnym czasie zostaje rzesza wynędzniała i ciemna.

Lecz społeczeństwo żadne, nigdy i nigdzie, nie obejdzie się bez handlu. Skoro Polacy opuścili tę dziedzinę życia; zajęli ją Żydzi. Łokieć i kwarta stały się w Polsce żydowskie, a zatem także bogactwo musiało przejść w ich ręce.

Żydzi byli u nas już za wczesnych Piastów, jako kupcy wędrowni z kosztownym towarem zagranicznym, jako agenci odległego od Polski handlu międzynarodowego. Przybywało ich i w w. XIV zaczęli się organizować. Tradycja pomyliła jednak dwóch królów Kazimierzów; tłumny napływ żydostwa nastąpił wcale nie za Kazimierza Wielkiego, lecz dopiero za Kazimierza IV Jagiellończyka. Przepędzano ich z Francji do Niemiec, a z Niemiec do Polski.

Im niżej stał gdzieś handel, tym więcej było miejsca dla Żydów. Ale aż do w. XVII nie zajmowali się u nas handlem drobnym, sklepowym; to nastąpiło dopiero za Wazów; podczas "potopu" miasta popadały coraz więcej w ich moc. Cóż dopiero po "potopie", gdy ani wieśniak, ani szlachcic nie ruszali się ze wsi rodzinnej! Sklepy i sklepiki, i wszystkie karczmy i arendy wiejskie i myta na drogach, wszystko niemal przeszło w ich ręce. Gotówki nie było nigdzie, tylko u nich, więc się u nich pożyczano i mieli wszystkich w kieszeni, szlachcica, mieszczanina i chłopca.

Wieś przeludniona liczyła z czasem kilka razy więcej rąk do pracy, niż było trzeba. Przybywało ludzi, ale gruntu nie. Działki coraz drobniejsze, a do każdej roboty dziesięciu, gdzie by wystarczył jeden. Wieś uczyła się tedy próżniactwa. Próżniaczyli się coraz bardziej i dziedzice, i chłopci. Wytwórczość opadała poniżej niewielkich potrzeb ciemnej ludności. Wyręczali nas coraz bardziej cudzoziemcy i Żydzi, oczywiście nie za darmo.

Rozmnażali się Żydzi bardziej od Polaków, bo nie chodzili na wojny. Tak się u nas rozmnożyli, jak nigdy jeszcze nigdzie na całym świecie, a że byli zarazem zamożni, więc nauka i oświata żydowska rozkwitały w najlepsze. Posiadali też całkowity samorząd. Korzystając z jak najlepszych warunków, wzmacniali swoją odrębną cywilizację żydowską, swój własny ustrój życia zbiorowego i wprowadzili w życie swoje odrębne, a osobliwe poglądy na to, co dobre a złe. Wychodziło to wszystko w praktyce na to, że co tylko korzystne było dla Żydów, szkodliwe okazywało się dla Polski; a zatem im więcej zła działo się Polsce, tym lepiej powodziło się w niej Żydom.

W takich ciężkich czasach stawał na czele państwa król Jan III Sobieski, wódz jeden z największych, a polityk rozumiejący doskonale położenie narodu. Był to ostatni nasz przodownik, który parł i do wygnania Turków znad Morza Czarnego i do zajęcia księstwa pruskiego nad Bałtykiem. Zobaczmy, że i w innych sprawach polityka jego była dla Polski jak najkorzystniejsza. Można śmiało powiedzieć, że państwo polskie upadło potem dlatego, ponieważ nie szło się w kierunku wytyczanym przez Jana III. Upadek jego polityki stał się upadkiem Polski.

Jan Sobieski był prawnikiem po kądzieli świętego hetmana Żółkiewskiego; stał się owym "mścicielem", zapowiedzianym na grobowcu pradziada. Prowadziła go tam często i napis ten wskazywała matka, Teofila z Daniłowiczów, gdy lata pacholące spędzał w Żółkwi. Wychowywał się w marzeniach o walce z półksiężycem, jako o obowiązku religijnym i narodowym. Religijny był nadzwyczaj, jak żaden inny król, ani w Polsce, ani w żadnym innym kraju. Należał do bractwa różańcowego, suszył soboty, nie zaczynał niczego bez modłów, a gdy wyruszał na wyprawę wojenną zaczynał to od procesji. Własnym kosztem kazał przedrukować "Nabożeństwo żołnierskie" Skargi, a zasiadłszy na tronie, lubił tytułować się "rex orthodoxus", tj. król prawowierny.

Rodził się na wodza, ale też uczył się za wodza. Nikt nie posiadał wyższego odeń wykształcenia zawodowego. Słynęła wówczas francuska sztuka wojenna. Sobieski pojechał do Paryża i wstąpił do pułku tzw. muszkietierów wielkiego króla Ludwika XIV; następnie przebywał jakiś czas w Konstantynopolu, żeby tam na miejscu zapoznać się z wojskiem tureckim i jego sposobami. Potem wstąpił pod chorągiew Czarnieckiego, poczynając od najniższego stopnia oficerskiego. Dosługiwał się stopni wyższych w ogniu licznych bitew. Tak został pułkownikiem, po śmierci swego wodza wziął po nim buławę polną; a gdy później został hetmanem wielkim koronnym, wiemy, że nie za darmo. Przedtem, nim został królem, miał za sobą kilka wypraw zwycięskich i Chocim. Był za to wpisany do brewiarzy kapłańskich całego katolickiego świata.

Ale ten podziwiany już wówczas przez cały świat bohater nie wszystkim w państwie polskim się podobał: Litwa miała innego kandydata na wspólnego króla. Litwa była wobec Polski zacofana; tam ustrój społeczny był arystokratyczny, tam możnowładztwo trzęsło krajem. Naczelnym magnatem litewskim, Michał Pac, był od początku i potem przez całe życie przeciwnikiem Sobieskiego. Kogóż więc chciał osadzić na tronie polskim? Henryka Hohenzollerna z dynastii brandenburskiej, syna owego elektora i księcia pruskiego, który połączył się ze Szwedami przeciw Polsce! Zobaczmy, jak cały dalszy ciąg dziejów naszego państwa zależał od pytania: Sobieski czy Pac? Który będzie górą? A cóż był wart Pac wobec takiego Sobieskiego? Jeżeli Pacowie wezmą górę, co będzie z Polską?

Nowy król musiał spieszyć do swego dzieła. Zwycięstwo chocimskie uważał dopiero za początek sprawy. Zaczął panowanie od tego, że odłożył koronację, bo zaraz z pola elekcyjnego ruszył na nowo do wojska.

Groziło poważne niebezpieczeństwo Lwowowi. Miał nowy król z sobą ledwie 6000 żołnierza, gdy wczesnym rankiem 25 sierpnia 1675 r. zawrzała nieopodal Lwowa pod Lesienicami walka. Tłumy modliły się na klęczkach przed wizerunkiem Najświętszej Maryi Panny Zwycięskiej w kościele jezuickim, gdy polskie rycerstwo rzucało się z okrzykiem "Żyje Jezus, żyje Maryja" na dziesięciokrotnie liczniejszego nieprzyjaciela. I odnieśli zwycięstwo świetne. Przypisywano zaś łasce Najświętszej Panny fakt, że straszliwa nawałnica z piorunami zwróciła się właśnie przeciw Turkom, i że po tamtej stronie niezmierna wichura zrzucała jeźdźców z koni.

W obronie Lwowa Litwini nie brali udziału, bo ów Pac, jako hetman litewski, spóźnił się umyślnie. Zobaczmy, że nie ostatni raz się spóźnił.

Odebrał król Turkom województwa braclawskie i niemal całą kijowską Ukrainę, gdzie przedtem hetman kozacki Doroszenko uznawał się sułtańskim lennikiem.

Z początkiem października 1675 r. cofnęli się Turcy za Dniestr. Teraz dopiero pozwolił Sobieski robić przygotowania do koronacji, która odbyła się w Krakowie dnia 2 lutego 1676 r. Koronacyjnym miejscem pozostał bowiem Kraków, chociaż królowie od Zygmunta III mieszkali w Warszawie.

Nadworny ówczesny kaznodzieja, ksiądz Piekarski wołał w kazaniu sejmowym na otwarciu sejmu koronacyjnego, by król "posunął granice Polski poza Odrę, po rzekę Sałę i wbił tam na nowo, porwane już dawno nurtem rzeki, słupy Chrobrego". Myślał nowy król o Śląsku i o dawnych ziemiach słowiańskich, które znajdowały się pod panowaniem brandenburskiej dynastii Hohenzollernów i o tym, żeby odebrać im Prusy Książęce, i przyłączyć je do polskiej korony. Wtedy bylibyśmy panami Bałtyku.

W tym właśnie czasie poznał się nowy król z innym wybitnym kapłanem, mianowicie z księdzem Janem - zakonnie imię Stanisław - Papczyńskim. Ten urodzony w r. 1631 w Podegrodziu na Podkarpaciu Sądecczyzny, przechodził szkoły w Nowym Sączu i Jarosławiu u Jezuitów, potem wstąpił do zakonu, lecz nie do Jezuitów, ale do Pijarów w Podolińcu na Spiszu. Nauczał z zapałem, z prawdziwego powołania, ale święcenia kapłańskie przyjął dopiero w r. 1660. Nauczanie w szkołach pijarskich stanowiło ledwie trzecią część jego żywota, niezmiernie pracowitego; był również zawołanym kaznodzieją, a także autorem dzieł teologicznych i podręcznika do wymowy. Zwłaszcza ta ostatnia książka zrobiła go sławnym. Znał osobiście wszystkich niemal wybitniejszych współczesnych, a tak był poważany, że bawiający w Polsce nuncjusz papieski (Pignatelli) wziął go sobie za spowiednika. Zostawszy następnie papieżem pod imieniem Innocentego XII, zawsze wspominał jak najlepiej księdza

Papczyńskiego. Wkrótce usłyszano o nim w Rzymie, bo starał się o pozwolenie, żeby mógł wystąpić od Pijarów, u których przepracował już lat 17 - liczył zaś lat 40 - ponieważ postanowił sam założyć nowy zakon. Po trzyletnich przygotowaniach powstało w Krakowie w r. 1673 pierwsze "Zgromadzenie Niepokalanej Dziewicy Maryi", gdyż życie wewnętrzne zakonników miało być oparte głównie na czci Najświętszej Maryi Panny. Krótko, jednym słowem, zwano ich - Marianie - i nazwa ta przyjęła się.

Jest to pierwszy i najstarszy zakon polski, z polskiej myśli poczęty i z polskiego ducha, w Polsce obmyślany i przez Polaków zorganizowany. Obok zwykłych trzech ślubów składali czwarty specjalny, "wszelkimi siłami i sposobami ratować dusze w czyśćcu i drugich do tego zachęcać". A pierwszymi członkami zakonu byli "żołnierze weterani z wojen kozackich i szwedzkich, którzy porzuciwszy świat chcieli resztę życia przepędzić w pokucie i ustawicznych modłach za poległych na wojnie towarzyszy". Surowy też był tryb życia zakonników, wmyślonych ciągle w nieboszczyków, w czyściec i odprawiających wciąż msze żałobne. Obok tego pracowali na kazalnicy, w konfesjonale, zakładali szkółki i szpitaliki. Król stał się żarliwym przyjacielem Marianów, ojca zaś Papczyńskiego sprowadził potem do Warszawy i często u niego przystępował do spowiedzi.

Wyrwał się Jan III do obozu, bo sułtan miał nadać w swym ręku Podole; a nie ulegało wątpliwości, że będzie się starał odzyskać na nowo Ukrainę. Jakoż jeszcze w r. 1676 wyruszyła jesienią nowa stutysięczna armia. Powiodło się Janowi III odeprzeć ją pod Żurawnem, po czym zawarł tam traktat, że dwie części Ukrainy powracają do Polski, a tylko trzecia część będzie przyznana Kozakom, którzy uznają zwierzchnictwo tureckie. O Podole zaś miano się porozumieć i król wyprawił w tym celu poselstwo do Konstantynopola.

Równocześnie opracowano plan wojenny, według którego miało wojsko polskie uderzyć na księstwo pruskie wiosną r. 1678. Była bowiem nadzieja, że nastanie przerwa w wojnach tureckich. Zawiodły jednak wszystkie rachuby w Konstantynopolu. Okazało się, że sułtan traktatu nie zatwierdził, i że się wycofuje. Wówczas Jan III zbliżył się do Moskwy i w r. 1678 przedłużył rozejm andruszowski na 13 lat. Wypłacił wtedy car Fiedor dwa miliony złotych i zwrócił z zaborów swych z czasów "potopu" kilka powiatów litewskich, przyrzekając nadto oddać całą Siewierszczyznę. Teraz mógł Jan III myśleć swobodniej o dalszych rozprawach z półksiężycem, upewniwszy się, że Moskwa nie uderzy z tyłu.

Chcieli go jednak uderzyć z tyłu własni jego poddani litewscy. Tegoż właśnie r. 1678 wykryto spisec możnowładztwa litewskiego. Pacowski spisec, żeby Jana III strącić z tronu. Wyśledzono nici tego spisku; wiodły do Berlina, do stolicy Hohenzollernów. Król stłumił i uciszył sprawę, żeby nie wywoływać niepokojów wewnętrznych, żeby się cały mógł oddać sprawom zewnętrznym.

Chciał wielkiej wojny zaczepnej, żeby skończyć z Turcją, żeby powalić ją wreszcie, a potem zabrać się do dalszego zdobywania wybrzeży Bałtyku. Starał się więc o europejską ligę przeciw Turcji. Nie doszła ona do skutku w takich rozmiarach, jak pragnął, ale papież i księżęta włoscy, Hiszpania i Portugalia udzieliли subwencji pieniężnych, a dynastia habsburska zawarła sojusz wojenny. Dnia 31 marca 1683 r. stanęło przymierze zaczepno-odporne; obie strony zobowiązały się podjąć walkę z Turcją i nie zawierać pokoju, jak tylko wspólnie; gdyby zaś zagrożony był Wiedeń lub Kraków, należy natychmiast udzielić sobie wzajemnie pomocy zbrojnej.

Warunek ten zaszedł szybko. Ledwie w pięć miesięcy po podpisaniu przymierza ruszyli Turcy na Wiedeń. W całej Polsce wybuchł powszechny zapał, żeby zaraz ruszyć pod Wiedeń. We współczesnych pismach włoskich czyta się, że zbiera się wojsko znacznie większe, niż przypuszczano z początku, a ochotników wciąż przybywa. W sierpniu 1683 r. pisze jeden z dyplomatów włoskich do księcia tokańskiego: "Jeżeli Wiedeń zdoła tylko utrzymać się do nadejścia Polaków, należy spodziewać się zwycięstwa jak najświetniejszego".

Ruszył za Sobieskim prawdziwie cały kwiat narodu polskiego, albowiem była to wyprawa religijna. Sam król od młodości członek bractwa różańcowego, codziennie słuchający mszy św. - a jego rycerstwo nie mniej pobożne. W pochodzie pod Wiedeń odprawia się codziennie polowa msza św. Król przystępował przez ten czas sześć razy do sakramentów św.; nim wyruszył, nawiedzał pobożnie szereg miejsc świętych od Sokala poprzez Kraków aż do Piekar na Śląsku. Zatrzymał się w Częstochowie, w Krakowie odbył procesję po ważniejszych kościołach, modląc się długo przed grobem

św. Jacka. Trzeba sobie tedy wyobrazić całe hufce wojenne, naśladowujące przykład wodza. Ideałem tego rycerstwa jest rycerz pobożny. Biorą ze sobą na wyprawę dawne, Skargi "Nabożeństwo żołnierskie, które kazali przedrukowywać przedtem Żółkiewski, a teraz Sobieski, lub też nową podobną książkę słynnego księdza Starowolskiego "Prawy rycerz".

Swojską też sercom polskim stawała się osoba królewska podczas tej wyprawy. Chociaż już niemłody - liczący lat 59 - a z powodu tuszy ociążały, siada do karety tylko dopóty, póki go królowa odprowadza do granic państwa, ale zaraz potem ta sześciokonna kareta odesłana jest do taboru, a król odbywa całą wyprawę konno, nocując pod "namiotkiem", a był "namiotek" bardzo mały i mizerny; często zresztą nocuje pod gołym niebem, z kulbaką pod głową.

Im bliżej Wiednia, tym trudniej o spiszę, tj. o wyżywienie żołnierza. W pobliżu niemieckiej stolicy, trzymanej w kleszczach tureckiego oblężenia, sam król musiał zagryzać suchym chlebem. Turcy właściwie byli już w Wiedniu i broniło się jeszcze tylko śródmieście obwiedzione murem. Oblężenie trwało już osiem tygodni i odbyło się już 20 szturmów. Wiedeńczycy byli w niemałej trwodze, czy odsiecz nie przyjdzie za późno. Radzi by porozumieć się z naczelnym wodzem cesarskim, którym był Karol Lotaryński, a który stał na drugim brzegu Dunaju, czekając na Polaków; lecz chcąc się tam dostać, trzeba by przejść przez cały olbrzymi obóz turecki. Bawił wówczas w Wiedniu Jerzy Kulczycki, rodem z Sambora, który umiał po turecku. Przebrał się za Turka, przeszedł zręcznie przez cały obóz, przepłynął wpraw wielką rzekę Dunaj, a w cztery dni wrócił z listem księcia lotaryńskiego, że król Jan jest już w drodze. Już zdobyte były zewnętrzne wały miasta, a dnia 9 września dotarli Turcy do wewnętrznych.

Dwudziestu pięciu książąt Rzeszy Niemieckiej czekało pod Wiedniem na posiłki polskie. Przywiódł Jan III 34 tysiące zbrojnych. W niedzielę 12 września 1683 kazał odprawić mszę św. na dwie godziny przed wschodem słońca. Odprawiał ją słynny papieski dyplomata, Marek d'Aviano, który najeździł się sporo po Europie za ligą przeciw Turcji, spisał się doskonale, a był tylko skromnym mnichem kapucyńskim. Asystował przy tej mszy św. bł. Stanisław Papczyński, a służył do niej sam Jan III. Jest legenda, że Aviano zakończył tę mszę zamiast "Ite missa est" całkiem mimo woli, nieświadomie, słowy "vinces Johannes" (zwycięzysz Janie). Zaraz po mszy pięć wyrzłałów armatnich dało hasło do boju. Oczywiście nie jedna tylko odbyła się msza św., bo przecież było 34 000 takich, którzy chcieli być na mszy; nie brakło też kapelanów wojskowych.

Zawrzała bitwa, jedna z najważniejszych w historii powszechnej. W razie wygranej miało jedno wojsko sułtańskie ruszyć spod Wiednia przez Bawarię i Czechy w głąb Niemiec, a drugie w przeciwnym kierunku, na południe, do Włoch; nietrudno też domyśleć się, że i o Polsce sułtan nie zapominał. Chodziło tedy naprawdę o ocalenie chrześcijaństwa i każdy żołnierz polski wiedział o tym doskonale.

Jan III objął naczelne dowództwo także nad niemieckimi wojskami. Sam wykonał główny atak na równinie, gdzie dziś stoją dzielnice wiedeńskie Hernals i Meidling. Najważniejszy moment bitwy nastąpił, gdy król wydał rozkaz Zygmunтови Zbierchowskiemu, chorążemu łomżyńskiemu, żeby w 200 koni ciężkozbrojnej husarii, całym pędem starał się dotrzeć wprost do namiotu wezyra. Uważano powszechnie, że chorągiew ta posłana jest na stracenie, byle tylko wyłom zrobić w obozie tureckim. A oni nie tylko dotarli, ale też - wielki łuk dalej zataczając - wrócili. Bohaterski to był rozpęd! W pierwszym szeregu pędził Andrzej Biesiekierski, skarbnik bydgoski. Ten porwał główny sztandar sułtański, zielony sztandar Mahometa i wręczył go następnie królowi. Mnóstwo było przykładów nadzwyczajnego męstwa, o czym król pisał w liście do królowej te krótkie a wymowne słowa: "O naszych niektórych nad wszystko na świecie podziwienie trzeba by cudowne rzeczy pisać". Ale bo też jakichże "cudownych" miał żołnierzy! A "najcudowniejszy" chyba, wojak zawodowy z dawnych lat, Wojciech Rubinkowski, husarz w pułku królewicza Jakuba, liczył lat 95, a jednak - jak zobaczymy - nie był jeszcze bynajmniej starcem.

Król posyłał z wyprawy ciągle listy do swojej królowej małżonki, z których każdy zaczynał się od słów: "Jedyna serca i duszy pociecho, najśliczniejsza i najukochańsza Marysieńko" (a była księżniczką francuską). Za szczęśliwego poczytywał się każdy, komu królowa pozwoliła przepisać sobie taki list, będący zarazem najlepszą gazetą z wypraw. Sławny zaś list, pisany w nocy z 12 na 13 września, datowany w "namiotach wezyrskich, kopiowany bywał na papierze naoliwionym, żeby przerysowywać

literę za literą. W ten sposób rozchodziły się po Polsce podobizny tego listu, głoszącego, jak to "Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały".

Na drugi dzień odbyło się w katedrze Świętego Szczepana w Wiedniu nabożeństwo dziękczynne z kazaniami w języku łacińskim, niemieckim i polskim. Kazanie polskie wygłosił bł. Stanisław Papczyński: A w liście do Ojca św. pisze król: "Przybyliśmy, zobaczyliśmy, a Bóg zwyciężył". Posyłał zarazem do Rzymu wielką chorągiew, zdobytą przez Biesiekierskiego.

Niemcy okazywali zapewne na wyścigi wielką wdzięczność? Zobaczmy!

Nawet biskup wiedeński nie uważał za stosowne podziękować, lub choćby przedstawić się wjeżdżającemu do Wiednia zbawcy. Przykład grzeczności szedł z góry. Sam cesarz, Leopold I, rycerzem nie był, w bitwie nie brał udziału, bo zawczasu zbiegł daleko na zachód od Wiednia (do miasta Linz). Teraz powracał, ale ledwie raczył zobaczyć się z tym, któremu zawdzięczał ocalenie tronu. A ceremoniał spotkania układali urzędnicy cesarscy mozolnie przez kilka dni, żeby zaś cesarz nie wydał się za mały przy tym królu zaprawdę wielkim!

A potem działy się rzeczy niesłychane! Nie chcieli cesarscy dostarczać wojsku polskiemu niczego, chorzy, ranni "na gnojach leżą niebożęta postrzeleni", a król nie może się doprosić "szkuty jednej", żeby ich przewieźć Dunajem łodziami do miasta Preszburga i tam leczyć własnym kosztem. "Wozy nam rabują, konie gwałtem biorą", skarżył się król Marysieńce.

Krótko zabawiwszy pod Wiedniem, wybrał się Jan III na Węgry, żeby stamtąd Turków wyrzucić. Słynie w historii wojen tamtejsza wielka bitwa pod Parkanami. Pierwszego dnia bitwy źle obsłużony i zmyłony przez wywiady niemieckie, doznał Sobieski klęski, lecz nie opuścił miejsca, i na trzeci dzień odniósł tryumfalne zwycięstwo, które on sam cenił wyżej od wiedeńskiego. Brał w tej bitwie udział Rubinkowski, i tam dopiero został ranny po raz pierwszy w życiu, i w jednym dniu otrzymał trzy rany. Wrócił jednak do Polski zdrowy, otrzymał od króla starostwo kamienieckie i spełniał usługi obywatelskie jeszcze przez kilka lat, nie odczuwając ciężaru starości.

Zdobył Sobieski jeszcze twierdzę Ostrzyhom na Turkach, gdy "zaraz wszystko tak się odmieniło, jakoby nas nigdy nie znano. Prowiantów żadnych nie dają, na które przysłał Ojciec św. pieniądze". Było widoczne że cesarz woli Turków mieć dłużej na Węgrzech, byle się tylko pozbyć z Węgier króla polskiego. Powstał bowiem pośród Węgrów plan, żeby zawrzeć unię z Polską i Sobieskiego przyjąć na wspólnego króla. Zbliżała się zima, wojna musiała być przerwana. Następnej wiosny spodziewał się Jan III wypędzić Turków już z reszty Węgier, po czym przysłaby kolej na odzyskanie Podola, a potem dotrzeć do Morza Czarnego i po skończonych wojnach tureckich zabrać się do Prus Książęcych nad Bałtykiem. Tymczasem kazał król przyrzadzić dla wojska leże zimowe na Węgrzech i sam przy wojsku miał zimować. Gdy go wzywano, żeby wracał do Polski, nie chciał o tym słyszeć; nawet Marysieńce nie pozwalała pisać do siebie o tym przedwczesnym powrocie.

A jednak wrócił przed zimą. Nie cesarscy go do tego zmusili, lecz swoi, a mianowicie Litwini. Również pod Wiedniem nie było Litwy! Znowu się spóźnili! Nadciągnęli dopiero wtenczas, kiedy wypadało zaciągnąć leże zimowe. Byłoby lepiej, gdyby wcale nie przyszli. Wobec ludności Górnych Węgier zachowywali się jak nieprzyjaciele; łupili, rozpościerając swe zagony aż na Morawy. Narobili dużo kłopotów, a jeszcze więcej wstydu. Król prowadził już układy z Węgrami "ale się nam wszystkim traktat pomieszał tym postępkami wojska litewskiego". Ludność teraz zaczęła patrzeć na wojsko polskie niezyczliwie. Czyż miano prowadzić wojnę z ludem, by wymusić sobie leże zimowe i zostawić na Węgrzech litewskich łupieżców? Król wrócił do domu i wojnę przerwał, bo już na Węgry nie powrócił.

Rozchodziła się tymczasem po świecie całym wielka sława odsieczy wiedeńskiej. W Rzymie wystawiono na rynku "Trajana", kościół na pamiątkę ocalenia chrześcijaństwa. Nawet w protestanckich krajach, w Anglii i w Skandynawii obchodzono uroczyste tryumfy Sobieskiego. Imię jego było i jest sławione w całym świecie chrześcijańskim i muzułmańskim, bo sława Jana III rosła z wiekami, przechodząc po całej ziemi do coraz dalszych ludów. Nawet na niebie łśni "tarcza

Sobieskiego". Tak nazwał sławny astronom gdański, Hevelius, pewien odkryty przez siebie zbiór gwiazd, przez wdzięczność za poparcie, jakiego doznawał od króla w swych studiach.

Był Jan III protektorem nauk. Sam czytywał dużo. Znał język łaciński, francuski, niemiecki, włoski, a hiszpańskiego nauczył się, mając już koło pięćdziesiątki. Dworowi królewskiemu nie byli obcy ówcześni uczeni polscy, sam król lubił ich zbierać koło siebie, słuchać i dyskutować; czasem sam oznaczał temat, który chciał mieć bliżej wyjaśniony i wyszukiwał pomiędzy uczonymi odpowiedniego referenta. Szczególnie był miłośnikiem geografii. Za jego czasów kwitły w uniwersytecie krakowskim nadal matematyka i astronomia. Wśród duchowieństwa celowali w naukach przede wszystkim Jezuici, a jeden z nich, Adam Adamanty Kochański zasłynął na całą Europę. W dążeniach Jana III znać pragnienie, żeby podnieść stan umysłowy w społeczeństwie.

Mieli też w nim oparcie wszyscy, którzy pracowali na niwie kościelnej, bo był panem na wskroś katolickim. Miał w nim oparcie bł. Papczyński. Miał je też świątobliwy sufragan poznański, Kurski, który żył do r. 1681. Gorliwy ten pasterz wyświęcił w swym życiu 1131 księży. Sława jego świątobliwości sięgała daleko i podnosiła sławę Bernardynów, z których wyszedł, a których habit nosił do końca życia. Dzisiejszy historyk tego zakonu nie może wyjść ze zdziwienia, że nie zaliczono Kurskiego do pocztu błogosławionych!

W samym roku odsieczy wiedeńskiej 1683, przysłał papież Innocenty XI do Polski przedstawicieli nowego zakonu "Ojców Bosych Trójcy Przenajświętszej", zwanych krótko "Trynitarzami". Wnet mieli z pomocą króla i biskupów klasztory we Lwowie, w Krakowie i w Kielcach. Specjalnością ich był wykup jeńców pozostających w niewoli tureckiej. Zakon jakby stworzony dla Polski! Jeszcze za panowania Jana III wykupili 173 osoby. Toteż powiedziano o nich: "A któż by tak zbawiennych nie kochał zakonnych dobrodziejów? Któż by im miał żałować swego dobra, jałmużny i szczodrobliwości na tak święte i zbawienne dzieło?" Przybyło im potem jeszcze osiem klasztorów.

Pod koniec panowania wielkiego króla przybyły do nas jeszcze dwa zakony, oba w r. 1695 i oba najpierw do Krakowa. Jeden żeński "Panien zakonnych od Nawiedzenia Panny Przenajświętszej", czyli po łacinie "Visitationis", w spolszczeniu zwane Wizytkami. Dniem i nocą odprawiają nabożeństwo przed Najświętszym Sakramentem i w chórze, i w celach. W starej notatce o nich czytamy: "Jest tu wiele panien szlachetnie i wysoce urodzonych, na duchowne danych wyćwiczenie, przy którym uczą się oraz języka francuskiego, więcej jednak czasu trawiąc na modlitwie, aniżeli przy gramatyce francuskiej". Drugi zakon był męski, znany we Włoszech od końca w. XVI i dziwna rzecz, że tak późno do Polski wprowadzony: Kapucynów. Zapewne osobista znajomość króla od wiedeńskiej odsieczy ze św. Aviano sprawiła, że ich do Polski wreszcie zaproszono. Stanowią tedy żywą pamiątkę wielkiego zwycięstwa pod Wiedniem.

Niestety, Litwini zmarnowali owoce tego zwycięstwa, o ile chodziło o interesy państwa polskiego. Gdybyż Sobieski mógł przetrzymać na Węgrzech do wiosny 1684 r. i spełniać dalej konsekwentnie swoje plany! A gdybyż doszło do unii politycznej z Węgrami, do tego starego marzenia polityki polskiej! Ale Litwa wyrzuciła nas z Węgier. Dalsza zaś wojna z Turcją potoczyła się zgoła inaczej i trwała aż do r. 1699.

Wojowano z sułtanem dalej na Podolu i Ukrainie, a hetman Andrzej Potocki zdobył niemal w całości te dwa województwa z powrotem; z roku na rok walczone tam zwycięsko, ale nie odzyskano Kamieńca, przez Turków mocno obwarowanego. Lecz król postanowił iść prosto w kraje nieprzyjacielskie. Gotował więc na r. 1686 wyprawę, marząc o Carogrodzie, zwłaszcza że był w sojuszu i z Habsburgami, i z Moskwą. Ażeby pozyskać pomoc Moskwy przeciwko Turcji (dawna myśl Zamojskiego i Batorego), gotów był rzec się na wieczne czasy wszystkich ziem na Zadnieprzu wraz z Kijowem w zamian za dostarczenie wojska na wojnę turecką. Przystał car na to. Król ruszył na wyprawę pełen otuchy; doszedł aż do dolnego biegu Dniestru, gdzie miały nadejść posiłki, ale nie nadszedł nikt i trzeba było tak dzielnego wodza, jakim był król Jan III, ażeby wobec tego zawodu dokonać obronną ręką odwrotu.

Podobny zawód spotkał Sobieskiego jeszcze raz w r. 1691, gdy ruszył do Mołdawii. Wiodło mu się, jak zawsze, świetnie. Po zwycięstwie pod Perezytą dostały się całe Multany w polskie ręce; droga do

Turcji stała otworem, ale sprzymierzeńcy zawiedli. Nie przysłano ani jednego moskiewskiego ani niemieckiego żołnierza.

A tymczasem dzięki przewagom orężnym polskiego rycerstwa, które pierwsze w Europie pokazało, że jednak można Turków zwyciężać, odnosili cesarze niemieccy habsburskiego rodu znaczne korzyści nad osłabionym już półksiężycem i Turcy coraz bardziej ustępowali z Węgier. Sobieski, pomny traktatu zawartego z Leopoldem I, nie zawierał z Turcją pokoju., chociaż Polska żadnych posiłków od cesarstwa nie otrzymała. Gdy raz potęga turecka przełamana została, łatwiej już potem było dokończyć tego, co Jan III ze swymi polskimi husarzami rozpoczął, i Turcy cofając się stopniowo ustąpili ostatecznie całkowicie z Węgier. Wówczas nie chcąc narażać się na nową wojnę z Polską, ustąpili też z Kamieńca Podolskiego, który przez dwadzieścia siedem lat był w ich ręku. Ale Sobieski nie doczekał się już tego szczęśliwego dnia, w którym na kamienieckiej katedrze zatykano na nowo krzyże, a na wieże kościołów podolskiej fortecy wciągano na nowo dzwony. Stało się to bowiem dopiero w r. 1699, a król Jan III zmarł w r. 1696.

Następcą jego miał być królewicz Jakub. Byłaby powstała nowa dynastia narodowa. Lecz przeszkodziła znowu Litwa. Na Litwie, niższej cywilizacyjnie, krzewiło się jeszcze w najlepsze dużo rzeczy, które w Koronie od dawna już nie uchodziły. Toteż w rządach Jana III znać było wyraźnie zamiar, by złamać te litewskie rządy możnowładcze. Czyż nie stamtąd szedł jakby paraliż na całe państwo? A jeśli polskie możnowładztwo zechce pójść śladami Litwinów i jeżeli Litwa będzie rządzić Polską, dokąd zajdą i Polska, i Litwa?

Hetman Stanisław Jabłonowski popierał z całych sił kandydaturę Jakuba Sobieskiego i znaczna większość szlachty polskiej szła za nim, ale możnowładztwo litewskie całe i część polskiego spekulowali tronem polskim. Ni stąd ni zowąd wypłynęła kandydatura niemiecka, a nie bez przekupstw. Królem został elektor saski, August. Był protestantem, ale dla pozyskania korony złożył w drodze do Polski w Piekarach na Śląsku katolickie wyznanie wiary.

Dwóch mieliśmy królów z dynastii saskiej: Augusta II, panującego od r. 1697 do 1733 i potem syna jego, Augusta III do r. 1763.

Najsilniejsze rządy

Czasy saskie są najsmutniejszym ustępem w dziejach polskich. Wiodły one królestwo polskie do upadku. O przyczynach tego ileż rozmyślano! Wielu mniema, że przyczyną upadku polskiego państwa był brak silnych rządów, a otóż właśnie za nieszczęsnych czasów saskich były rządy najsilniejsze.

August II Sas mógł mieć panowanie olśniane sławą, gdyby miał choć trochę w sobie myśli wielkiej i godnej królewskiej dostojności. W dwa lata po wstąpieniu na tron doczekał się, że w pokoju zawartym w Karłowcu (w południowych Węgrzech) Turcja ustępowała równocześnie z Węgier i z naszego Podola. Kamieniec Podolski wracał do polskiej korony, a Turcja - dzięki zwycięstwom Sobieskiego - przestała być groźną Europie potęgą militarną. Z małym już stosunkowo trudem można było teraz zabrać się gruntownie do Tatarów i dotrzeć do wybrzeży czarnomorskich. W każdym zaś razie miała Polska teraz ręce wolne do polityki bałtyckiej. Nadszedł sposobny czas, żeby Hohenzollernów wyrzucić z Prus Książęcych.

Zamiast tego cóż się dzieje? Król wiąże się z Hohenzollernem tajnym przymierzem i zezwala mu wkroczyć zbrojnie do Prus Królewskich. Już zajął Elbląg w r. 1699 i gotował się zająć Pomorze Gdańskie. Król zgadzał się na to! Odstępował całą prowincję, pozwalał ją zabrać i to podczas pokoju, bez wypowiedzenia wojny! Oczywiście, że zrobił się hałas w sejmie; powstało nawet stronnictwo myślące całkiem słusznie o tym, żeby zrzucić z tronu takiego zdrajcę. Wkrótce nowa zdrada; w dwa lata potem w r. 1701, elektor brandenburski Fryderyk przyjął tytuł królewski, ale króla nie brandenburskiego, lecz pruskiego, w czym mieściło się tedy roszczenie do całych Prus, do Elbląga, Gdańska i Torunia. Polska była zaskoczona tą koronacją, ale August zdrajca wiedział o tym zamiarze i znowu w tajnej umowie dał swą zgodę. Uważał Polskę za przedmiot handlu. Kosztem Polski kupował sobie zgodę Hohenzollernów na to, żeby się zrobić w Polsce królem dziedzicznym z władzą absolutną.

On uznawał tylko interes swej dynastii (wettyńskiej), byle rozszerzyć jej panowanie. Polska miała stanowić doczepkę do Saksonii, jakby jej rozszerzenie. Gdyby złączył ze swym rodzinnym elektorstwem saskim dziedzicznie całą Polskę i Litwę, byłiby Wettynowie bez porównania silniejsi od Habsburgów i Hohenzollernów razem - Sasi rządiliby Rzeszą Niemiecką. Na to żaden książęcy dom niemiecki nie przystałby i August Sas miałby nieustanną wojnę przeciwko sobie, ryzykując nawet swoją własną Saksonię. Obmyślił więc sposób na to: skoro nie można otrzymać od sąsiadów zgody na to, by cała Polska stała się własnością jego domu, więc niechby część, a resztą podzieli się z sąsiadami! Więc rozbiór Polski? Tak jest. Król polski przygotowywał rozbiór państwa polskiego! Długo trwały oczywiście przygotowania, pokryte głęboką tajemnicą. Zaczyna się nieznanym dotychczas nigdy rząd, rządzący w tajemnicy, nie dopuszczający obywateli do swych tajemnic. Prawdziwe rządy sprawowali Sasi.

Nie wiedział więc nikt i nie przypuszczał, że Polska jest już tak podminowana. Kiedy w r. 1701 przyjeżdżał do nas nuncjusz papieski, nic nie mąciło uroczystości. Udał się także do Góry Kalwarii pod Warszawą, bo przywoził potwierdzenie reguły Marianów przez papieża Innocentego XII i sam odbierał śluby od pierwszego grona zakonników z bł. Papczyńskim na czele. Ten po powrocie z wyprawy wiedeńskiej nie zajmował się już niczym innym, jak swym zakonem. Niestety, zmarł w tym samym jeszcze r. 1701. U grobu jego w Górze Kalwarii działy się cuda, a w drugiej połowie XVIII w. przeprowadzono w zupełności proces beatyfikacyjny, lecz nie nastąpiło uroczyste ogłoszenie w Watykanie, bo tymczasem państwo polskie przestało istnieć i przestaliśmy mieć swego urzędowego reprezentanta przy Stolicy Apostolskiej.

Równocześnie kwitła w cichości w Krakowie świętość niewieścia, godna pamięci i czci w całym narodzie polskim. Córka rotmistrza z armii Sobieskiego, Nimfa Kazimiera Suchońska, urodzona w Krakowie w r. 1688, wstąpiła do "Kanoniczek Ducha Świętego", zwanych krótko Duchaczkami. Stary to zakon, od dawnych wieków średnich istniejący, stawiający schroniska dla starców, lecznice dla chorych, domy i szkoły dla opuszczonych dzieci. Potem zajmowały się tym inne, nowsze zakony, a Duchacy podupadli i niemal poszli w zapomnienie. Utrzymała się jednak żeńska gałąź zakonu, objąwszy w Krakowie wielką budowlę szpitalną na placu Świętego Ducha, gdzie dziś mieści się teatr (ruiny tej imponującej budowli dobrze pamiętam). Tam była czynna jako opiekunka nędzy ludzkiej siostra Nimfa i tam żyła do r. 1709, będąc "aniołową towarzyszką szczęśliwą i zaszczyconą łaską wypraszania cudów i duchem prorockim". Zmarła w chwale świętości i zaraz po jej zgonie pojawiły się obrazki, przedstawiające ją, jak klęcząca trzyma na rękach Najświętszą Dziecinę. Za świętego również był uważany, jej przewodnik duchowny, ksiądz Gwidon Bolesław Jaśniewicz (po pożarze gmachu na placu Świętego Ducha przeniosły się nieliczne Duchaczki do kościoła Świętego Tomasza przy ulicy Szpitalnej, gdzie utrzymują szkoły).

Tymczasem i Warszawa, i Kraków miały się znaleźć w ogniu nowej wojny. Nikomu Polska wojny nie wypowiedziała i nie o dostęp do morza walczyło się! Bo też była to wojna nie o Polskę, nie dla Polski, lecz przeciw Polsce, a prowadzona przez jej własnego króla.

August zdrajca chciał też osiąść zgodę cara dla swych planów, żeby dynastyczna potęga Wettynów bezpieczna była także od wschodu. Darował za to Moskwie Inflanty i Kurlandię, a więc i tam na północy odbierał Polsce brzegi Bałtyku! Panujący wówczas car Piotr Wielki, bardzo przedsiębiorczy (który Moskwę przemienił na Rosję), chciałby jednak osiąść całe Inflanty, żeby się na dobre rozsiaść na brzegach Bałtyku. Ale druga połowa Inflant była w ręku Szwecji. Trzeba je było zdobyć. Zmawiają się więc obydwaj przeciw Szwecji. Tegoż samego 1701 r. zawarli umowę, w której Piotr zobowiązywał się złączyć swoje wojsko z saskim i wypłacić sto tysięcy rubli na... przekupywanie polskich senatorów. Odtąd rząd mógł być jeszcze silniejszy! Czyż chciał kto w Polsce nowych wojen szwedzkich? Ale chce tej wojny rząd i narzucił ją narodowi, bo to rząd silny, zrobi co chce.

I wtrącił August Sas Polskę w odmętą wojny zwanej północną a która trwała całych 15 lat (1700-1715).

Król szwedzki Karol XII zwyciężył wszelako Moskali pod Narwą, pod Rygą pobił złączone wojsko moskiewskie i saskie, a stamtąd ruszył prosto na Warszawę. Stolica była bezbronna. August otrzymuje od przekupionego senatu zezwolenie, żeby mógł wprowadzić do Polski swoje wojsko saskie; miał na

myśli, że ono już w Polsce zostanie i że na nim będzie można oprzeć rządy absolutne. Ale i to wojsko zostało pobite, a Szwedzi zajęli i Warszawę, i Kraków (31 lipca 1702 r.). W drodze atakowali Częstochowę, lecz drobna warownia jasnogórska odparła atak także i tym razem. Lecz August Sas, tracąc jedną prowincję po drugiej, wreszcie musiał schronić się do Saksonii.

Karol XII zażądał detronizacji Sasa. Znaczniejsza część narodu skorzystała chętnie z tej sposobności, żeby się pozbyć zdrajcy na tronie. Zamierzano ofiarować koronę Jakubowi Sobieskiemu. Przebywał on wraz z bratem Konstantym w Oławie na Śląsku, którą kupili sobie jeszcze w r. 1691. Nie troszcząc się o prawo międzynarodowe, wyprawił tam August oddział zbrojny i zniemacko porwano obu królewiczów do Saksonii, gdzie byli więzieni aż do jesieni 1706 r.

W braku Sobieskich oddało stronnictwo patriotyczne koronę wojewodzie poznańskiemu, Stanisławowi Leszczyńskiemu. Był to mąż nadzwyczajnej zacności i najświetlejsza w Polsce głowa; miał cały program reform, ażeby państwo wznowić i obdarzyć rządem silnym, lecz odpowiedzialnym przed sejmem. Wykluczał, żeby wolno było rządzić narodem bez zgody narodu.

Karol XII popędził za Augustem do Saksonii i zdobył ją całą. Ale wojna północna trwała nadal i całe pięcioletnie (1704-1709) panowanie Leszczyńskiego składało się z ciągłych pochodów różnych wojsk we wszystkich kierunkach od Saksonii aż po Dniepr. W r. 1709 nastąpiła nagła zmiana. Król szwedzki poniósł od Piotra Wielkiego pod Połtawą taką klęskę, iż całą swą armię utracił. Leszczyński musiał uchodzić za granicę, uwożąc ośmioletnią córeczkę, Marię. August zdrajca, poparty przez cara Piotra, wracał do Warszawy i saskie wojska znów były w Polsce.

Wojsko polskie było rozdzielone, a nigdzie nie rozstrzygało losów wojny. Było zbyt nieliczne, a korpus oficerski zdemoralizowany. Ten król nie tylko zaniedbywał armię polską, lecz wprost demoralizował ją, żeby była jak najslabsza, bo on chciał się w Polsce opierać nie na polskim wojsku, lecz na saskim. Przykre stosunki panujące w armii zrażały co lepszych oficerów.

Tak np. w r. 1715 wystąpił z wojska oficer chorągwi pancерnej, Wielkopolanin Melchior Chyliński, ur. w r. 1694 w Wysocku. Wystąpił i wstąpił do Franciszkanów w Krakowie, przybierając imię zakonne Rafała. Zastąpił życiem ascetycznym na wzór wieków średnich z włosienicą i biczowaniem, ale też wielkim talentem misjonarskim. Władza zakonna wysyłała go na misje wewnętrzne do coraz nowych województw, od klasztoru do klasztoru i na takich wędrówkach nabożnych zeszło mu lat dwadzieścia. Wszędzie też opiekował się chorymi, zgłaszając się na pielęgniara w najgorszych wypadkach, do chorób najwstrętniejszych. To także rodzaj żołnierki, z codziennym narażaniem się! Ale w tej służbie wiedział przynajmniej, że nie wojuje się nigdy o złą sprawę.

A tymczasem wojska saskie stały się plagą całej Polski; lada oficerzyna saski uważał się za pana i zwierzchnika ludności, a skarżyć się było niebezpiecznie, bo za oficerem stał... silny rząd. Nastąpiła po prostu saska okupacja Polski. Sejm uchwalił wprawdzie, żeby było stale 70 000 wojska polskiego, ale król ani myślał wykonać tę uchwałę. Przebrała się wreszcie miarka cierpliwości. Nie wszyscy byli przecież przekupni, nie wszyscy cisnęli się do żłobu rządowego! Zawiązano w Tarnogrodzie konfederację przeciwko Sasom, ale wtedy król wezwał na pomoc cara i 18 000 wojska rosyjskiego przybyło na pomoc wojskom saskim. Po rozmaitych przejściach bardzo przykrych, zobowiązał się wprawdzie król wycofać wojsko saskie, ale pod warunkiem, że Polska i Litwa razem nie będą mieć wojska więcej, jak 24 tysiące; liczba śmiesznie już mała, jak na ówczesne stosunki. Póki by sejm tego warunku nie przyjął, miały pozostać w kraju wojska nie tylko saskie, ale też rosyjskie. Zwołano sejm. Jedyne jego posiedzenie odbyło się dnia 1 lutego 1717 r. w Warszawie. Odczytano warunki traktatu. Nikt nie zabrał głosu. Nie mógł nikt przemawiać przeciw, bo koło sali sejmowej stali cudzoziemscy żołnierze; byliby go zaraz porwali i wywieźli w niewiadomym kierunku! Za traktatem zaś przemawiać nikt nie chciał. Przesiedziano sześć godzin w milczeniu i stąd zowie się ten sejm w historii "niemym".

Tegoż roku latem wyprawił August zdrajca zbirów, wybranych pośród oficerów swego saskiego wojska, za Leszczyńskim za granicę, żeby go zgładzić skrytobójczo. Sprawa się wydała przedwcześnie i dzięki temu król Stanisław ocalał. Winnych... obdarzono wolnością.

Leszczyńskiego spotykały w Europie Zachodniej wielkie honory, a młody król francuski Ludwik XV poprosił o rękę jego córki. W roku 1725 odbyła się jej koronacja i była królową francuską przez 43 lata do r. 1768.

Małżeństwo było szczęśliwe przez pierwszych dwanaście lat, w ciągu których królowa powiła dwóch synów i osiem córek. Słynna jest jej korespondencja z ojcem, a pisywali do siebie trzy razy na tydzień. Okazuje się z tych listów, że byli to prawdziwie święci ludzie. Król (boć Leszczyński był koronowany) doradza córce swej królowej pokorę i daje taką uwagę: "Czymże są wielcy w oczach rozsądku? czymże się różnią od innych ludzi? tym jednym, że stoją, na wyższym cokole; a wiadomo Ci, że podstawa nie stanowi wartości posagu". A wydawszy jej zalecenie: "Przejdź wszystkich poddanych cnotą", pisze dalej takie mądre słowa: "Ale zaklinam Cię, nie przesadz w żadnej cnotie, a wszystkie umiej upięknąć. Któreż wzory są najchętniej naśladowane? Oto łatwe, a przyjemne! Niech więc cnoty Twoje mają powab, niech nikogo surowością nie straszą, niech każdego uprzejmością nęcą". Innym razem czytamy: "Kładź wysoko osoby, z ust których usłyszysz otwartą naganę lub zdrową radę". Stanowczo zakazywał córce mieszać się do polityki, bo w tej dziedzinie "kobieta nic dobrego nie sprawi". Natomiast podkreśla sprawę religijną, mówiąc: "Na wysokim stopniu, na którym się znajdujesz, nie ma zapewne, tak jak i wszędzie, nic ważniejszego od religii; ale co do niej, bądź taką samą, jaką byłaś od dziecinnych lat Twoich".

Któż to tak pisze? Król polski, ale prawdziwie polski, król narodowy, do królowej na najświetniejszym tronie europejskim, do Polki, swej córki. Słusznie powiedział wybitny kapłan naszych czasów, że taki list "śmiało możemy postawić obok listów podobnej treści św. Hieronima, św. Franciszka Salezego". Ale też Maria Leszczyńska cieszyła się miłością całego ludu francuskiego; gdy wychodziła, tłumy chodziły koło niej. Ludzie z prostego ludu przyjeżdżali z daleka, żeby ją zobaczyć, a przymiotnik "królowa dobra" stał się niemal jej tytułem. Przystęp do niej mieli wszyscy. Dodajmy, że spowiednika miała Polaka, księdza Trączyńskiego. Przez jego ręce przechodziły krocie na fundacje pobożne i jałmużny. A umiała zachować taki sam wysoki szczebel ducha w dalszym ciągu swego życia, gdy jej potem wypadło być "męczennicą na tronie".

Cytując list króla Stanisława Leszczyńskiego, natknęliśmy się na zagadnienie różnorodności losu i stanowisk, jak to "cokół życia nie stanowi o wartości życia" - mówiąc słowami "króla filozofa" (tak bowiem nazywano Leszczyńskiego na Zachodzie). Szczególnym trafem to samo zagadnienie zajmowała druga świętobliwa Polka w tym samym czasie i zostało rozwiązane znakomicie. Dokonała tego świętobliwa Anna Omiecińska, którą współcześni nazywali błogosławioną. Urodziła się ze szlachty w Ponikowcach na Wołyniu w r. 1709. Zrobiła bardzo wcześnie ślub czystości, a gdy ją rodzice pomimo to za mąż wydali, nie poszła do męża i tak się opierała, aż konsystorz w Łucku małżeństwo unieważnił. Potem, w klasztorze już będąc u Sióstr św. Brygidy w Podkamieniu, musiała przez półtora roku jeździć po sądach z powodu swego posagu, aż do trybunału w Lublinie. Powróciwszy stamtąd, wkrótce dokończyła życia w Kokorowie na Wołyniu, licząc zaledwie 21 lat. Pochowano ją w dawnym jezuitskim kościółku w Krzemieńcu. A taką miała opinię świętości, iż w dwa lata po zgonie posłowie wołyńscy skłonili sejm w r. 1733, ażeby z urzędu przez same władze państwa polskiego poczynione były starania o kanonizację. Gdy w 17 lat po pogrzebie reformat krakowski, O. Florian Jaroszewicz, bawiac w Krzemieńcu, uprosił, iż mu trumnę jej otwarto - powiada i zapisuje co następuje: "Widziałem z wszelką uwagą ciało jej w sukniach nic nie zepsute. A to słyszałem, że Pan Bóg niektóre łaski za wzywaniem i przyczyną tej sługi swojej wyświadcza". Następnie przeniesiono ciało jej do nowego wielkiego kościoła Jezuitów w Krzemieńcu.

O tej tedy świętobliwej Annie Omiecińskiej zachowało się następujące wspomnienie:

"Błogosławiona Anna z Omiecińskich miała wątpliwości, czemu niejednaki los ludzi na ziemi, przez co też nie jednaka sposobność do cnoty i zbrodni, a piekło dla wszystkich występnych jedno..."

"Miała sen, w którym widziała dusze żyjących znajomych przed sądem Bożym, a wszelkie ich grzechy widoczne. Bóg pozwala powracać im do ciał, by mieli czas poprawić się; a jeżeli komu źle w zawodzie jego, dozwala zawód zmienić. Narzekali wszyscy zawsze na to i owo swego stanu, ale tu wszystkie dusze zaczęły prosić, aby do końca pozwolił im zostać w takim, co go im przeznaczył, bo w żadnym innym z taką łatwością się nie zbawią. Te dusze w stanie nadprzyrodzonym już będące, zrozumiały, co

znaczy rozmaitość losu, nie uwłaczająca w niczym sprawiedliwości Bożej. W ten sposób cudownym snem rozwiązane miała swe wątpliwości bł. Anna z Omiecińskich". - Prawdziwa mądrość bije z tych słów.

Ta sama tedy kwestia zajmowała skromną zakonnice na Wołyniu i króla i królową, również skromnych, chociaż na najwyższych stanowiskach. Ale szczęśliwe pożycie Marii z Leszczyńskich już się skończyło. Ludwik XV, mąż jej, odmienił się, dawał publiczne zgorszenie, trzymając nałożnicę, której urządził nawet cały dwór, do którego nie zabrakło nigdy dworaków.

W Polsce tymczasem August zdrajca popełniał zdrady nowe. W roku 1732 zaproponował Prusom i Austrii, tj. Hohenzollernom i Habsburgom, na nowo rozbiór Polski, ażeby dynastie te zagarnęły sobie prowincje pograniczne, byle on panował nad resztą dziedzicznie i absolutnie, z władzą nieograniczoną, z pomocą saskiego wojska. Ale dynastie te niemieckie, nie pragnęły, żeby Wettynowie stali się najpotężniejszą w Niemczech dynastią. Gdy ten plan nie doszedł do skutku, zwrócił się August zdrajca do samych tylko Prus, ażeby popierały jego syna na następstwo tronu polskiego, ofiarując Hohenzollernom ponownie odstąpienie Prus Królewskich i część Wielkopolski. Tym razem przystał król pruski na ten projekt. Zaraz potem nastąpiła w r. 1733 śmierć Augusta II, godnego przydomka "zdrajcy".

Na elekcji oświadczyły się wszystkie województwa jednomyślnie, by przyzwać na tron z powrotem Stanisława Leszczyńskiego. Stanowi to niezbity dowód, jak ogół narodu pragnął reform. Wracano do programu powziętego jeszcze za Jana Kazimierza, żeby poprawić sejmowanie, i do programu Sobieskiego, żeby ustanowić stałe wojsko, czego domagano się i za ostatniego panowania, lecz - na próżno. We wrześniu 1733 r. rozpoczął powtórnie rządy król Stanisław. Ale wojsko polskie, na którym chciałby się oprzeć, było zaniedbane w najwyższym stopniu, a przy tym nieliczne - podczas gdy syn zdrajcy, August III Sas, miał od Habsburgów przyrzczone 12 000 posiłków wojskowych, od carycy Anny 40 000 i swoje własne wojsko saskie. W dziesięć dni po przyjeździe Leszczyńskiego już się pokazały pod Warszawą przednie straże rosyjskie. Leszczyński schronił się do Gdańska, gdzie na próżno czekał na przyrzczone od francuskiego zięcia posiłki. W lutym 1734 r. musiał ponownie uchodzić za granicę i w końcu zrzec się korony polskiej. August III Sas zdobył sobie Polskę wojną, wdarł się na tron polski przemocą wojsk obcych, Leszczyńskiemu ofiarowała Francja w dożywocie księstwo Lotaryngii, w którym panował mądrze i sławnie w latach 1736-1766. Wdzięczna pamięć o nim pozostała w Lotaryngii dotychczas. Córka jego, "męczennica na tronie", budziła podziw swym godnym zachowaniem wobec wybryków męzowskich, a cnoty jej przybierały jeszcze na wzniosłości.

Najmłodsza z jej córek, Ludwika, wstąpiła na ekspiację za grzechy ojca do zakonu Karmelitanek, przybierając imię Teresy od św. Augustyna. Umarła w r. 1787 w opinii świętości, uznanej następnie przez papieża Piusa IX. Odbywa się jej proces kanonizacyjny. Otóż ta córka pisała o swej matce Marii z Leszczyńskich: "Moja mama spędziła swe dni z większą świętością, aniżeli my w klasztorze".

Byli tacy, którzy woleli, że Leszczyński nie utrzymał się na tronie i którzy z całych sił mu przeszkadzali. Grono możnowładcze, złożone przeważnie z magnatów z Litwy, łowiło ryby w mętnej wodzie. Byle oni Sasowi nie przeszkadzali, pozwalał im Sas na wszystko; król popełniał nadużycia na całe królestwo, a taki magnat w swojej prowincji. August III Sas zdrajcą nie był, moralnie stał bez porównania wyżej od ojca, ale panowanie jego odznacza się właśnie największym rozpasaniem możnowładztwa. Doszło do tego, że w kraju wrzały ciągle mniejsze i większe wojny i wojenki domowe pomiędzy magnackimi rodzinami, zazdroszczący mi sobie wzajemnie wpływów, bogactw i nadziei zbierania dalszych profitów.

Jakże to się działo, że po upadku Leszczyńskiego ogół założył już biernie ręce i pozwalał wyprawiać z państwem samowolne harce nawet bez znaczniejszych protestów? Bo coraz niżej upadająca oświata nie dozwalała już szlachcie dojrzeć, gdzie kończą się sprawy prywatne, a zaczynają publiczne. Polityka stała się sekretem szczupłego grona skupionego koło absolutystycznego króla, a ogół nie brał w życie publicznym całkiem udziału. Za Augusta III Sasa nie było już nawet sejmów. Rząd królewski sam starał się o to, by sejmy były zrywane; opłacano zawsze w tym celu jakiegoś posła, a zresztą wybory na posłów były prostą komedią, urządzaną przez rząd. Rządziła klika, której król powierzał rządy, a rządziła, jak się jej żywnie podobało, bo od tego był silny rząd, żeby im wszystko było wolno; mieli z góry zapewnioną bezkarność na wszystko.

W poprzednim rozdziale zwracaliśmy uwagę na nieuchronne skutki długich wojen; zważmy, że do wszystkich tamtych dołączyć jeszcze trzeba za Augusta II wojnę północną, a potem ciągle uwijanie się po kraju obcych wojsk. Nareszcie wszyscy byli już tak wyczerpani ciągłymi wojnami, iż jedno już tylko mieli pragnienie: pokój! Niech się dzieje co chce, byle był pokój! Tak zaczęła przemawiać cała Polska.

Ubywało ludzi inteligentnych, żeby przejrzeć ten stan rzeczy. Na długich wojnach cierpi zawsze najbardziej inteligencja i ona wymiera najbardziej. Jest jej potem na każdym kroku za mało, a ta, która jest, nie może znaleźć chleba, więc się wykoleja. Przez niedostatek ludzi oświeconych jest wielce utrudniona odbudowa kraju. Trudno, żeby się na tym znali oficerowie! Gdzie dla uczących się brak chleba, tam coraz mniej uczonych. Upadł też, i to bardzo, poziom naukowy uniwersytetów polskich; nie tylko zamojskiego i wileńskiego, ale też krakowskiego. Doszło do tego, że to, co one dać mogły, wystarczało w sam raz dla chłopców do jakiegoś 17 roku życia, a zatem było tego ledwie tyle, ile obecnie zwiemy średnim wykształceniem. Kogo było stać na to wyprawiać nawet w wieku chłopięcym synów za granicę. Ale iluż takich być mogło? Nastąpił tedy upadek nauki polskiej do poziomu zaledwie średniego.

W ślad za upadkiem nauki musi upaść oświata. Oświata świeci światłem czerpanym z nauk; nauki są jej źródłem. Można by powiedzieć, że oświata jest to nauka odpowiednio rozcieńczona. A zatem gdzie nauki nie robią postępów, tam oświata będzie wkrótce zacofana, przestarzała, a po jakimś czasie zgaśnie nawet takie przyciemnione światełko i nastanie ciemnota powszechna. Tak się właśnie miało stać w Polsce.

Wraz z upadkiem nauk i oświaty musi nieuchronnie nastąpić taki czas, że rządy przypadną niekoniecznie najmądrzejszym. Jakie w tym niebezpieczeństwo dla państwa, nie trzeba długo wywodzić! A pośród ciemnego ogółu będą się podobały hasła także coraz mniej mądre. Do rzadkości będą należały głowy umięjące rozróżnić dobre od złego, korzyść od szkody i powstanie przysłowie, że "mądry Polak po szkodzie". Oto przyczyna, dlaczego należy dbać z całych sił o rozwój uniwersytetów i niczego dla nich nie szczędzić; tak też postępują państwa zachodnioeuropejskie.

Uboństwo nie sprzyja oczywiście naukom, a popadła Polska w zubożenie coraz większe. Wielkie fortuny kilkunastu rodów możnowładczych nie wychodziły państwu na dobre, bo właściciele ich nie wyróżniali się ani nauką, ani cnotą obywatelską, a ogół ubożał bez ustanku. Handel i rzemiosła nawet upadały do najniższego już stopnia.

Wśród ślepców jednooki królem. W Polsce okresu saskiego za bogatego uchodził szlachcic wioskowy, bo miał z czego żyć, i jeszcze mu coś zostało na zabawę. Zaczęło się hulać, ponieważ przy niskiej oświacie miało się bardzo mało potrzeb. Mieszkali licho, ubierali się tylko na paradę, kuchnię mieli niewykwintną, a przy tym ciemni i coraz ciemniejsi, nie wydali pieniędzy ani na książki, ni na obrazy, ani na sprzęt lepszego wyrobu. Wykształcenie synów kosztowało tyle, ile trzeba było na umieszczenie ich w lichej szkole sąsiedniego lichego miasteczka na jakieś trzy lub cztery lata. Coraz rzadziej kończył i taką szkołę! Był zbyt ciemny, żeby poznać prawdziwe przyjemności życia! Gdy więc miał grosza trochę więcej, lokował go... w piwnicy, w gąsiorach wina.

Zaczyna się nieznaną poprzednim wiekom obrzydliwość: pijaństwo. A przykład szedł z góry i z dworów przeszła ta klęska społeczna do chat. Społeczeństwo rozpite dawało się wodzić na sznurku lada spryciarzowi i brnęło w coraz większą głupotę polityczną. Nastawała też coraz większa zależność szlachty od niewielu prawdziwie zamożnych, od magnatów.

Było tym gorzej, iż znaczna część szlachty wioskowej, zwłaszcza w prowincjach wschodnich, bankrutowała skutkiem długich wojen. Namnożyło się szlachty bezrolnej. Ale taki nie szedł do handlu, do przemysłu lub rzemiosła, bo utraciłby szlachectwo. Szedł w służbę do bogatszego szlachcica, na rządcę, na pisarza, na dozorcę folwarcznego itp. Magnat nawet "pokojowych", tj. lokajów nie trzymał innych, jak tylko prawdziwą szlachtę. Garnięto się całymi tłumami, bo... jeść trzeba. Ideałem kariery bezrolnego szlachcica było, jeżeli dostał od wielmoży jakiś folwarczek w dzierżawę, ale na to trzeba się było długo przedtem wysługiwać. Ponieważ to była szlachta, więc posiadali pełnię praw obywatelskich i mieli głos na sejmikach powiatowych, i przy wszystkich wyborach. Miał ich magnat za tanie

pieniądze, ilu tylko chciał; robił więc wybory według swojej potrzeby. Całe gromady zubożałej szlachty żyjącej z jego łaski czekały jego skinienia, gotowej każdej chwili na jego rozkaz wyjmować szable z pochew i bić, gdzie każe. Oto skutki ubóstwa w parze z ciemnotą!

Na powszechnej polskiej nędzy bogacili się coraz bardziej Żydzi. Nie mieli jednak dostępu do stanowisk publicznych, a więc cywilizacja żydowska nie mieszała się jeszcze z naszą, z łańską. Żydzi nie wywierali wtedy jeszcze na nas wpływu cywilizacyjnego; nie przejmowano się ich poglądami na dobro i zło. Ale zawistość ekonomiczna od nich zaczęła się na dobre.

Na jedno trzeba zwrócić uwagę. Szlachta posprowadzała Żydów na wieś, żeby mieć pod ręką kogoś kto umie rachować, kto potrafi sprzedać i kupić, kim można się wyręczyć w tym mnóstwie drobnych interesów, które łączą się zawsze z gospodarstwem folwarcznym. Nie mógł tego robić szlachcic bezrolny, bo mu nie wolno było handlować! Nie mógł robić żaden włościanin, bo nie umiał czytać, pisać ni rachować. A tymczasem u Żydów analfabety nikt jeszcze nigdy nie widział! Tym się wiele spraw tłumaczy i wyjaśnia. Żyd zawsze przewodził chłopu dla przyczyn rozmaitych, które wszyscy znamy; ale nadto jeszcze jednej przyczyny, o której nie myślimy: Żyd był inteligentniejszy od chłopu, a często także od szlachcica. Nie można też było wydobywać się z niewoli żydowskiej, póki nie podniosła się oświata.

Nie brakowało po wsiach dworów zacnych, pobożnych, pracowitych, oszczędnych, skromnych, a dla ludu wiejskiego sprawiedliwych i przychylnych. Nie wszyscy byli źli. Nie brakowało ludzi porządných w Polsce! Ale tacy musieli siedzieć cicho i walkę ze złem ograniczyć do tego, żeby w brudach rąk własnych nie maczać. Kto nie chciał siedzieć cicho, jak trusia, kto śmiałyby wytykać coś rządowi przypominać mu obowiązki względem narodu, temu bieda była od silnych rządów saskich!

Nie można tedy twierdzić, jakoby Polska upadła z braku silnych rządów; ani też, że sejmy ją zgubiły. Za Augusta III Sasa już obrad sejmowych nie było i żaden sejm rządowi nie przeszkadzał.

Bolejący nad upadkiem Ojczyzny świątlejsi patrioci wpatrzeni byli w Leszczyńskiego nawet tam w Lotaryngii, jako w swą gwiazdę przewodnią. Pamiętny zawsze Polski, założył król Stanisław w swym księstwie Lotaryńskim, w mieście Luneville "szkołę rycerską", do której sprowadzał młodzież z Polski. Nabywało się tam wykształcenie na wyższym europejskim poziomie. Z tej szkoły wyszli też dwaj bracia Załuscy, potem biskup, założyciel pierwszej publicznej, biblioteki w Warszawie w r. 1745. W osobistych stosunkach z królem Stanisławem pozostawał też Pijar, ksiądz Stanisław Konarski, który w r. 1740 założył w samej Warszawie pierwszą prawdziwie dobrą szkołę średnią, w której nauczano przynajmniej trzy razy tyle, jak w zwyczajnych szkołach tego okresu. Zakładali Pijarzy potem więcej takich szkół. Ich wychowankowie zajęli się następnie reformą polskiego życia publicznego.

Nie każdemu dane być dobrym nauczycielem, nie każdy też lubuje się w gospodarce wiejskiej. A kto nie chciał ocierać się o zgniliznę rządów saskich, zamykał oczy i chronił się do klasztorów. Ilość ich wzrastała bardzo. Ale zakonnicy pochodzą ze społeczeństwa! Obniżył się poziom umysłowy nawet duchowieństwa i życie zakonne obniżyło się. Trudno! Gdzie oświata upada, tam upada wszystko.

Jakże to znamienne, że młodsze pokolenie za Augusta III Sasa nie wydało już nikogo, kto by żył i umierał w chwale świętości! Dożywali tylko życia starsi z pokolenia poprzedniego. Marianin ksiądz Stanisław Wyszyński, Mazowszanin, urodzony w r. 1699, był od r. 1728 wicegenerałem, a od r. 1737 generałem swego zakonu. W Raśnie, w diecezji wileńskiej, założył dom dla nowicjuszków, wymagając od nich studiów filozoficznych. Sława Marianów rozbrzmiewała już po świecie, a król portugalski, Józef Emanuel, przysłał do księdza Wyszyńskiego z prośbą, żeby przyjechał osobiście zakon swój zaszcześcić w dalekiej Portugalii na drugim końcu Europy. W roku 1750 ksiądz Wyszyński opuścił Polskę, w towarzystwie drugiego Marianina, księdza Bujalskiego. Założył nowicjat portugalski na Górze Balsamo i tam życie dokonał w r. 1757. Grób jego stał się celem licznych pielgrzymek z Portugalii i z całej Hiszpanii. Arcybiskup Lizbony (portugalskiej stolicy) kardynał Laskaris wniósł prośbę o beatyfikację polskiego zakonnika, którego nazywa "największym cudotwórcą ostatnich wieków". Nastąpił okres rozwoju Marianów. Posiadali w Polsce domów zakonnych kilkanaście, w Portugalii cztery, po jednym w Hiszpanii i w Rzymie. Prośby o kanonizację Wyszyńskiego ponawiały się i ponawiają wciąż.

Drugi współczesny zakonnik, używający chwały świętości, ów dawny żołnierz i Franciszkanin O. Rafał Chyliński, od r. 1736 był z powrotem w Krakowie, gdzie wzbudzał "ogólny podziw surowością życia, poświęceniem dla biednych i chorych podczas grasującej podówczas zarazy: w ogóle był to mąż potężny w słowie i w czynie, zwłaszcza, że Bóg odznaczył swego wiernego sługę darem wysokiej kontemplacji, cudów i innych łask nadzwyczajnych". Zgasł pod Krakowem we wsi Łagiewniki w 1741.

Odtąd nie słyhać w Polsce o żadnym mężu o poziomie świętości aż do roku 1768.

Ostatni król Polski

Marnym widowiskiem była nowa elekcja w r. 1764. Wystąpiono z różnymi projektami reform, czym zajmowała się najbardziej rodzina Czartoryskich, pierwsza prawdziwie odrodzona z arystokratycznych rodzin wschodnich. Przez jakiś czas łudzili się, że Rosja im pomoże; liczyli też na niechęć Rosji przeciw Prusom. Ale caryca Katarzyna kazała im, żeby wybierać na króla byłego polskiego posła w Petersburgu i dawnego jej kochanka, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Nie mogła trafić lepiej, ale dla interesów... moskiewskich.

Był to człowiek śmiały, lecz nader słabego charakteru i bez żadnych zdolności na króla, a przy tym zniewieściały. Jakże miał sprzeciwiać się carycy, skoro często kołatał do niej o pożyczki pieniężne! Jeśli zaś marzyło mu się, że po dawnej znajomości uzyska coś od rządów Katarzyny, łudził się, bo caryca, sławna wszetecznicą, miała od tamtego czasu przynajmniej tuzin nowych kochanków, a w polityce była bardzo twarda. Leżało w interesie Rosji, żeby Polska była jak najslabsza i żeby miała urzędników państwowych przestarzałych. Katarzyna sprzeciwiała się od początku wszelkiej reformie. Gdy zabrano się do poprawienia ustroju państwowego, caryca wyprawiła 30000 wojska i zaprowadziła rosyjskie rządy wojskowe w Polsce.

Rzeczywistym władcą polski był poseł rosyjski, Mikołaj Repnin. Posunął on swoje zuchwalstwo do tego stopnia, iż w r. 1767, gdy w sejmie zorganizowała się silniejsza opozycja przeciw rosyjskiej samowoli, czterech najwybitniejszych opozycjonistów porwał i wywiózł w głąb Rosji, jak gdyby byli poddanymi carskimi i podlegali administracji rosyjskiej. A było to czterech wybitnych dostojników w państwie polskim: hetman polny Waclaw Rzewuski i syn jego Seweryn poseł podolski, tudzież dwóch biskupów: uczony Józef Załuski, biskup kijowski, twórca biblioteki publicznej w Warszawie i biskup krakowski Kajetan Sołtyk.

Wszyscy posiadają wyższy stopień kultury umysłowej i należą do świeczników ówczesnej Polski. Nazwisko Załuskich jest znane zaszczytnie; dwaj bracia, obydwaj biskupi, Andrzej krakowski (przed Sołtykiem) i Józef kijowski, ludzie oddani naukom, obrócili wszystkie swoje dochody na skupowanie książek, aż w r. 1748 mieli ich na tyle, że mogli otworzyć w Warszawie pierwszą publiczną bibliotekę. Józef sam był bibliografem (nauka o książkach) nie poświadczym i stał się wspólnym z swym bibliotekarzem Janockim twórcą bibliografii polskiej. W roku 1763 darował biskup całą bibliotekę, zebraną przez siebie i brata, państwu polskiemu, czyli używając ówczesnego wyrażenia: Rzeczypospolitej. Tak powstała pierwsza w całej Europie publiczna biblioteka rządowa. Mąż, który to sprawił, musi być zaliczony do najbardziej zasłużonych obywateli, do pierwszorzędnych swego czasu umysłów.

Następca Andrzeja Załuskiego na biskupstwie krakowskim, Kajetan Sołtyk, nie celował w naukach, ale pałał nadzwyczajną żarliwością religijną, oraz niechęcią do protestantów i schizmatyków prawosławnych; nie chciał ich dopuścić do równouprawnienia i z tego powodu był nienawistny Moskwie. Porwanie go i wywiezienie przedstawione jest na ciekawych płaskorzeźbach na jego pomniku w kaplicy katedry na Wawelu na prawo od wejścia (kaplica królowej Zofii Jagiellowej).

Hetman polny Waclaw Rzewuski jest również wybitną a wielce szanowaną osobistością. Wychowany w postępowej szkole pijarskiej, zwiedzał obce kraje, Niemcy, Francję, Włochy i Anglię, a z podróży tych korzystał bardzo wiele. Młodziuchno został rotmistrzem, niebawem pułkownikiem, wkrótce pisarzem polnym koronnym. W życiu obywatelskim służył stanowczo dobrej sprawie: pomagał w swoim czasie Leszczyńskiemu. Wpływy miał coraz większe, zastając po kolei wojewodą podolskim, krakowskim, w

końcu hetmanem polnym koronnym. Hetmaństwo otrzymał w r. 1751 w czasach najgorszych dla wojska polskiego. Wypełniał sobie życie literaturą. Pisywał wiersze, a z czasem porwał się na twórczość dramatyczną. Znamca nie lada piśmiennictwa francuskiego, nadającego ton w całej Europie, należał do pierwszych, którzy naśladowania francuszczyzny użyli do odrodzenia literatury narodowej. Według francuskich reguł literackich pisywał jednak na tematy swojskie: on pierwszy układał tragedie o Żółkiewskim, o Władysławie pod Warną, on też pierwszy napisał po polsku dwie komedie: "Natręt" i "Dziwak". Na zamku swym w Podhorcach utrzymywał cały teatr, z którego resztki dekoracji przechowały się dotychczas. O rozległości wykształcenia literackiego Rzewuskiego niech świadczy fakt, że w okresie zupełnego jednostronnego zaślepienia francuskimi wzorami, a którym i on hołdował, uznawał jednak walory teatru angielskiego; znał Szekspira i cenił go! Doprawdy, pod ilu to względami przyszło nam wyprzedzać innych w Europie, a bez korzyści dla siebie! W połowie XVIII w. uznanie dla Szekspira to rzecz niebywała i nadzwyczaj postępową.

Nagle tedy podczas obrad sejmowych rozchodzi się po Warszawie wieść nie do wiary, że poseł obcego państwa targnął się na wolność osobistą dygnitarzy Rzeczypospolitej! W nocy z 13 na 14 października 1767 r. kazał Repnin porwać wszystkich czterech wyżej wymienionych i wywieźć z Warszawy. Będąc już poza Warszawą, dowiedzieli się, że są więźniami i że będą wywiezieni daleko, w głąb Rosji. Hetmana wywieźli aż do Kaługi. Tam dokonał Rzewuski przekładu psalmów pokutnych, łącząc swe zamiłowania literackie ze szczerym duchem religijnym.

Jak mógł poseł rosyjski uwięzić kogoś w Polsce? Nie pytajmy o prawo! Prawo jest dla tych, którzy są dość silni, żeby się oprzeć bezprawiu; dla słabych bezprawie może łatwo stać się prawem. Na czyn Repnina jedyną odpowiedzią stosowną byłoby wypowiedzenie Rosji wojny, a do tego trzeba by odpowiedniego wojska.

Toteż patriotyczna opozycja poczęła się zbroić. Pierwsze zмовы odbywały się na Ukrainie w województwie braclawskim u rodziny Krasieńskich, z których najważniejszych było trzech: Adam - biskup Kamieńca Podolskiego, Józef - pisarz wielki koronny i jego syn - Kazimierz. Pułascy agitowali między szlachtą ukraińską i podolską, porozumiewając się również z duchowieństwem okolicznym. Najcenniejszego znaleźli przyjaciela w księdzu Marku Jandowiczu, z zakonu Karmelitów Trzewickowych. Znali go już przedtem, bo bywał w domu Józefa, który był zarazem starostą wareckim tam na wschodzie.

Zakonnik ten słynie w historii i w poezji polskiej pod poufałą nazwą "Ojciec Marek", pod tym imieniem opiewali go też najwięksi nasi poeci. Bo też "to postać nie tylko niezwykła, ale wprost legendarna. Bóg wylał na niego obfitość darów natury i łaski. Mówca i apostoł płomienny, mocarny. Duch przezczysty, o polocie idealistycznym, niebosiężnym. Męczennik i bohater narodowy. Do darów przyrodzonych dodał Bóg pełnię łask i dar wysokiej kontemplacji, modlitwy, proroctwa, cudów; blask cnót heroicznych".

Urodził się na Wołyniu w r. 1713. W dziewiętnastym roku życia wstąpił do Karmelitów w Horodyszczu, a po wyświęceniu poświęcił się głównie misjonarstwu między prawosławnymi, za co popi odplacali mu przez całe życie największą nienawiścią. Był też w Horodyszczu kaznodzieją i magistrem nowicjatu. Następnie został przeorem w Annopolu na Wołyniu, a wreszcie zakładał nowy klasztor w Barze i tam się przeniósł, żeby doglądać budowy. W roku 1768 fundamenty były gotowe i zaczęto stawiać mury. Tam właśnie w Barze zorganizowano się w zbrojną konfederację, od tego miejsca zwaną barską, a to celem oswobodzenia państwa od przemocy obcych. Kapelanem jej został Kapucyn O. Mariaphil, "znakomity kaznodzieja i niestrudzony misjonarz ludowy na Podolu i Ukrainie", lecz właściwym ojcem duchownym konfederacji stał się O. Marek. Słynne są jego kazania, prawdziwie płomiennie. Nie schlebiał! Karcił, podobny, w tym do Skargi, wytykał grzechy bezlitośnie i zapowiadał, że bez poprawy moralnej nie będzie poprawy politycznej.

Zastanówmy się nad takim np. wyjątkiem z jego kaznodziejstwa: "Czyście sobie przedsięwzięli nużyć cierpliwość i dobrotliwość Bożą? Czyż chcecie innym narodom pokazać i dowieść, ile potrzeba grzechów, aby zgubić Ojczyznę?"

Lub w innym miejscu takie słowa: "Tać to jest tego wszędzie przyczyna, że dziś się błąkacie i walczyacie, aby zdobyć to, coście przez grzechy wasze zgubili. Oby wam to było nauką, a waszym

następcom przestroga! Jeżeli dziś płyniecie na los szczęścia na kawałku belki, pochodzi to stąd, że z przyczyny waszych błędów wielki i stary okręt o skały się rozbił!"

Groził, że Najświętsza Maria Panna, Królowa Polski, złoży niegodną siebie koronę, a panią narodu będzie schizma i luteranizm".

A słuchali go wszyscy w największej pokorze, wielmożowie . prostaczkowie. Posiadał i wywierał urok nadzwyczajny, a wszyscy czcili go, jako świętego. Co najbardziej znamienne, że podlegali temu urokowi nie tylko żołnierze-szlachta konfederacji, ale nawet lud prawosławny i co najciekawsze, za świętego, za cudotwórcę uważali go nawet. rosyjscy żołnierze. Prowadził też ksiądz Marek Jandowicz życie najwyższego szczebla cnotliwości, z całkowitym zaparciem się siebie samego, a w ustawicznym obcowaniu z Bogiem.

Niestety, krótko tylko towarzyszył sprawom konfederacji barskiej. Król wysłał do Baru generała Mokronowskiego, żeby rokować z konfederacją, ale Rosja sprzeciwiła się jakimkolwiek rokowaniom i wojsko rosyjskie ruszyło zaraz pod Bar. Wtedy Stanisław August poddał się naciskowi Repnina i wyprawił kilka pułków wojska koronnego, polskiego, każąc im przyłączyć się do Moskali. Przewaga nad konfederatami była ogromna. Część wycofała się w kierunku Mołdawii, część zamknęła się w obwarowanym Barze, a część w Berdyczowie. Gdy zaś podstąpiło pod Bar wojsko królewskie pod wodzą Ksawerego Branickiego, wyszedł na wały miejskie naprzeciw niemu O. Marek w towarzystwie czterech innych Karmelitów, procesjonalnie, niosąc obraz Matki Boskiej. W krótkiej przemowie zaklinał na tę Królową Korony Polskiej, żeby polskich żołnierzy nie prowadzić przeciwko tym, którzy stanęli do boju w obronie wiary świętej i wolności Ojczyzny. Branicki wzruszył się wówczas i od Baru odstąpił, ale natknął się na zbliżające się do miasta pułki moskiewskiego generała Apraksina i pod jego nadzorem i komendą wrócił. Razem zdobyli Bar 20 czerwca 1768 r. Ciemne żołnierstwo moskiewskie popełniało w mieście straszliwe nadużycia, O. Marek zaś miał być rozstrzelany.

Są z tego czasu dwie legendy. Pierwsza z nich głosi, że podczas szturm w pierwszej baterii moskiewskiej puszkarz przyłożył lont do zapалу armaty, a patrzący na to z wału O. Marek armatę przeżegnał, armata została rozerwana. Druga jest genezy rosyjskiej: kiedy żołnierze Apraksina mieli O. Marka rozstrzelać, nagle padli przed nim na kolana i prosili o błogosławieństwo.

Faktem jest, że egzekucja nie doszła do skutku. Moskale wywieźli O. Marka do więzienia w Kamieńcu, a następnie do Kijowa, gdzie przecierpiał osiem lat. A nowy klasztor karmelicki w Barze nie doczekał się już nigdy dokończenia i potem zniknęła nawet ta część murów, którą O. Marek zdążył wystawić.

W kilka dni po upadku Baru padł również Berdyczów, ale konfederacja barska zaczęła dopiero swoją historię. Tegoż jeszcze r. 1768 rozszerzyła się żywiołowo na całą Polskę i Litwę; na rozległych obszarach państwa toczyła się w setkach potyczek partyzancka wojna z pułkami moskiewskimi, zalewającymi Polskę coraz bardziej.

Rosja sięgnęła zaś do całkiem innego rodzaju broni. Przygotowała wojnę domową na Ukrainie w imię schizmy. Przygotowania te obejmowały ciemny lud ruski, a polegały na tym, żeby go rzucić na szlachtę i duchowieństwo katolickie w obronie zagrożonego rzekomo prawosławia. To miało się teraz przydać przeciw konfederacji barskiej, do której garnęła się cała szlachta południowo-wschodnich województw. Setnik kozaków zaporoskich Maksym Żeleźniak i Gonta, setnik kozaków nadwornych wojewody kijowskiego, Franciszka Salezego Potockiego, użyci sprytnie za narzędzie, z pomocą ciemnych a zawistnych popów, poświęcających noże po cerkwiach na rzeź "Lachów", zorganizowali krwawy bunt kozactwa i ludu wiejskiego, podmówiwszy ich, że "panowie" polscy chcą skasować wiarę prawosławną, a więc odjąć im możliwość zbawienia; nie brakło przy tym i argumentów świeckich. Rzekoma obrona prawosławia zwrócona tam była głównie przeciw unii, bo łańskich księży na Ukrainie było stosunkowo niewiele. Był to początek wznowionej walki z nią - o czym niżej obszerniej sprawę się wyłuszczy.

Starano się o to, żeby ciemne masy rozjuszyć jak najbardziej, co udało się w stopniu takim, że nawet Rosji było tego za dużo, tej Rosji, w której panowała najsroższa niewola ludu wiejskiego. Wymordowano około 20000 ludzi, bez względu na wiek i płeć, ludzi bezbronych, na których rzucono

się z zasadzek, zaczajając się, jak na łowach na zwierza. Generał rosyjski Kreczetnikow przypatrywał się zrazu zadowolony, jak Żeleźniak ogłasza się hetmanem Kozaczyzny, mianuje się księciem Śmiły, od przywłaszczonych sobie dóbr Lubomirskiego; jak głupszy od niego Gonta zrobił się księżciem na Humaniu i nie na żarty zaczął rozdawać godności dworskie, ale długo to trwać nie mogło, bo nawet najgorszy rząd musi mieć w końcu spokój i jakiś ład koło siebie. Nadeszły surowe rozkazy z Petersburga. "Hajdamacy" zrobili, do czego byli potrzebni, nawet znacznie więcej, niż od nich wymagano, a teraz byłby z nimi tylko kłopot; więc Kreczetnikow rozprawił się krótko z hordami pijanych chłopów ruskich. Gontę kazał stracić, a Żeleźniaka zesłał na Sybir. Osiągnięto jednak tyle, że województwa ukraińskie były istotnie na długi czas niezdatne do niczego, a wszak tam było gniazdo konfederacji barskiej.

Przeliczono się jednak sądząc, że rzeź humańska i hajdamaccyzna będą końcem konfederacji. Pozawiały się w tym samym celu konfederacje po całej Polsce i na Litwie, tak że można powiedzieć o konfederacji barskiej, że rozszerzyła się ona dopiero, gdy Baru nie starczyło. Zdziwiona słuchała tych wieści Warszawa, gdy wtem nadzieje konfederacji błysnęły na nowo, bo Turcja wypowiedziała wojnę Rosji. Ośmielone tym zawiązują się nowe konfederacje po województwach, ruch wszczęty na Ukrainie sięga już Wielkopolski, wszędzie rzucają się na załogi rosyjskie i to zazwyczaj z dobrym skutkiem.

W następnym r. 1769, ruchawka konfederacka, bynajmniej nie stłumiona, poczyna budzić wątpliwości w sferach stojących bliżej króla; czy jednak nie lepiej, że ta konfederacja jest, i czy nie da się czegoś z tego zrobić. Faktem jest, że na radzie senatu w październiku 1769 r. podniesiono śmiało głowę i uchwalono zażądać odwołania wojsk rosyjskich. Zdawało się, że rząd połączy się z konfederacją. Lecz było to złudzenie krótkotrwałe. Stanisław August posłuchał jednak w końcu generałów carycy i coraz też większa była przewaga Rosji, tym większa, gdy król oświadczył się przeciw konfederacji. Niestety w listopadzie 1769 Kraków został zajęty przez generała rosyjskiego Drewicza, po czym generalicja konfederacka przeniosła się do Bielska Śląskiego, a więc w kraj panowania Habsburgów. Nie dawali za wygraną, organizacja trwała nadal. Urządzili obóz pod górą Koneczną, która stoi w miejscu, gdzie schodzą się Granice Śląska, Moraw i Słowaccyzny. Tam wydano "uniwersał bezkrólewia", tj. obwieszono, że nie uważają już Stanisława Augusta za swego króla i dążyć się będzie do nowej elekcji. Generalicja przeniosła się wkrótce do Preszowa na Słowaccyznie, a niebawem rozpoczęły się nowe boje. Pod koniec kwietnia 1771 Kazimierz Pułaski obronił Częstochowę, zniszczywszy tam pięciotysięczny korpus generała Drewicza. I Branicki wyruszył ponownie w pole z polecenia królewskiego. W czerwcu przegrali konfederaci bitwę pod Lanckoroną, w górskiej okolicy Krakowa, lecz pomimo to odzyskali w lutym 1772 r. zamek krakowski. Administracja konfederacka przeniosła się tymczasem do Cieszyna, ale w kwietniu 1772 Habsburgowie wypowiedzieli jej gościnność i kazali opuścić granice panowania austriackiego. Wnet musiały kapitulować Kraków i Lanckorona, a wreszcie dnia 11 czerwca 1772 już nawet Częstochowa.

Już przedtem bawił w Petersburgu pruski książę Henryk Hohenzollern z planem pierwszego rozbioru Polski, którego dokonano w r. 1772 w warunkach najhaniebniejszych. Król pozostał niestety biernym świadkiem, jak wojska rosyjskie, pruskie i austriackie zajmowały ościenne prowincje polskie.

Spadały te wiadomości najgorszymi ciosami na głowę więzionego w Kijowie O. Marka. Gdy wreszcie wypuszczono w r. 1777, powrócił do swego dawnego klasztoru w Uszomirzu, potem w r. 1783 został przeorem w Anopolu, skąd w r. 1786 w sprawach zakonu przybył do Warszawy i mieszkał na Lesznie.

Nie wiemy, jak długo przebywał O. Marek w Warszawie i czy był jeszcze w roku następnym, 1787 świadkiem przybycia i pierwszych czynów św. Klemensa Dworzaka, zwanego "apostołem Warszawy".

Jak niegdyś na początku królestwa polskiego z Czech otrzymaliśmy pierwszego naszego patrona, św. Wojciecha, podobnie przy samym końcu istnienia polskiego królestwa "apostołem Warszawy" stał się Czech. A naród czeski był w położeniu opłakany.

Po bitwie na Białej Górze w r. 1620 nastąpiło takie prześladowanie i tępienie narodowości czeskiej przez Habsburgów, iż wytępiono całą niemal szlachtę i całą inteligencję czeską; co z niej zostało, zostało

zgermanizowane. Został tylko lud wiejski, w którym przechował się przynajmniej język czeski i z którego potem odrodził się na nowo ten naród. Ale aż do połowy XIX w. narodowości czeskiej nie było, bo nie było inteligencji, która byłaby przejęta tym poczuciem narodowym. Gdy ktoś z ludu wybijał się, gdy szedł choćby trochę w górę, niemczył się zarazem.

Niemczył się również pochodzący z zagrodników Klemens, urodzony w r. 1751 w Taszowicach na Morawach. Morawianie nie mieli jeszcze przez całe sto lat potem pojęcia o jedności narodowej z Czechami. Nazywano rodziców Klemensa "hofbauer" co po niemiecku znaczy "zagrodnik" (w skrócie "hofer", używane dotychczas w narzeczach morawskich) i stało się to jego nazwiskiem. Oddano go do terminu do piekarza, ale uciekł od majstra, porwany chęcią nauki z książek. Jak to zrobić, sam nie wiedział. Chował się przed ludźmi, bo skoro nie był piekarczykiem, obowiązany był jako zagrodnik stawiać się do robót rolnych na dworze w Taszowicach. Nie dbano jednak o niego i skoro się nie pokazywał, nie poszukiwano go. Jakoś się żywił dzięki łasce dobrych ludzi w swej kryjówce, którą w wyobraźni młodzieńczej podobało mu się nazywać "pustelnią". Przekonawszy się wreszcie, że mu ze strony dworu nic nie grozi, szukał zarobków to tu, to ówdzie i w największej biedzie przeturbował się jakoś przez lata szkoły gimnazjalnej i dotarł potem do Wiednia na studia uniwersyteckie. Tam do reszty się niemczył.

Były to czasy cesarza Józefa II (1780-1790), który przejęty był prawdziwie bizantyńskimi pojęciami o stosunku Kościoła i państwa. Urzędowo był katolikiem, bo z katolickiej pochodził dynastia i poddanych miał wyłącznie katolickich, ale w sercu było mu zupełnie obojętne czy to katolicyzm, czy protestantyzm, byle tylko ta czy tamta organizacja religijna była posłuszną służką i politycznym narzędziem tronu. Pozamykał mnóstwo klasztorów, a zachowane krępował przepisami, narzucanymi przez administrację państwową. Utrudniał stosunki duchowieństwa parafialnego z konsystorzami, a biskupów z Rzymem. Mieszał się do wykonywania pieczy religijnej nad wiernymi, do wewnętrznych urzędów Kościoła, tępił szkolnictwo zakonników, ale świeckie szkoły zakładał z funduszy kościelnych, które państwo przywłaszczało sobie coraz bardziej. Panowały wówczas prądy bardzo nieprzyjazne względem Kościoła; zaczynało się panowanie nad umysłami tak zwanego wolnomularstwa, czyli masonerii, sekty mającej na celu zniszczenie Kościoła. Ponieważ Polska okazała się państwem katolickim, związki masonskie w całej Europie kopały pod Polską dołki, gdzie tylko się dało; jakoż przyczyniły się one do rozbioru polskiego państwa. Wynosili natomiast pod niebiosa króla Fryderyka pruskiego, jako "filozofa", carycę Katarzynę jako "filozofkę na tronie" i Józefa II jako "dobroczyńcę ludzkości". Tak więc dzięki temu cesarzowi cywilizacja bizantyńska wtargnęła nawet w katolicką część Niemiec. Od tego czasu nazywamy "józefinizmem" podporządkowanie Kościoła państwu, wysługiwanie się duchowieństwa urzędom państwowym, chociaż z uszczerbkiem Kościoła, przeciw prawu kanonicznemu. Tak zaś cesarz Józef przebierał i dobierał ludzi na wszystkie strony, iż po pewnym czasie miał obsadzone wszystkie wydziały teologiczne w uniwersytetach profesorami takimi, którzy się przynajmniej nie sprzeciwiali józefinizmowi. Ważny to rozdział w dziejach Kościoła, bo resztki józefinizmu pokutowały jeszcze do niedawna.

Powyrzucani z katedr uniwersyteckich prawi katolicy, cały niemal episkopat i znaczna część duchowieństwa parafialnego, tudzież całe niemal duchowieństwo zakonne, stanęli w opozycji i tym bardziej szukali jak najściślejszych związków z Rzymem. Przede wszystkim zaś starali się jak najwięcej kleryków wyprawiać z Austrii do Rzymu na dokończenie studiów teologicznych.

W ten sposób dostało się też do Rzymu dwóch kleryków z Wiednia, Klemens Hofbauer i Tadeusz Hübl. Obydwaj wstąpili tam w r. 1784 do nowicjatu zakonu Redemptorystów. Zakon ten istniał już od lat 50, założony przez św. Alfonsa Ligouriego, a specjalizujący się właśnie do walki z modnym w owych pokoleniach niedowiarstwem. Wytwarzał się w owych czasach przesąd, jakoby nauka sprzeciwiała się wierze, że więc oświata nie może pozostawać w zgodzie z Kościołem; toteż wielu sprzeniewierzało się Kościołowi tylko dlatego, żeby uchodzić za bardzo oświeconych.

Święty Alfons Ligouri, zakładając swój zakon w Rzymie w r. 1732, miał pierwotnie na myśli tylko obsługę religijną i materialną najuboższych i opuszczonych nędzarzy. Sam jednakże będąc wielkim uczonym (pozostawił po sobie wiele dzieł, cennych dotychczas), a widząc, jak właśnie uczeni świeccy poczynają odwracać się od Kościoła, skierowywał swych uczniów coraz bardziej na misje pomiędzy

inteligencję i w tym właśnie kierunku nastrojony był nowicjat rzymski, gdy do niego wstępowali Hofbauer i Hübl.

Ponieważ posiadali już wykształcenie teologiczne z uniwersytetu wiedeńskiego, wystarczył im rok w Rzymie, żeby otrzymać święcenia kapłańskie, po czym wyprawiono ich na misje na północ, aż na Pomorze, gdzie od pokoju westfalskiego utrzymywały się jeszcze resztki panowania szwedzkiego. Droga wypadła przez Warszawę i dla św. Klemensa na Warszawie się skończyła. Nie pojechał dalej, utknął w stolicy Polski. Było to w r. 1787.

Co mu się w Warszawie spodobało? Sam potem mówił, że w tym mieście "od dziecka do starca wszystko oddane rozpuście". Ale podzielał prawdopodobnie język polski. Podobny do tego, w którym go matka, uboga zagrodnica, uczyła niegdyś pacierza, przypominał mu lata dzieciństwa. U nich na Morawach ich język ojczysty (o którym nawet nie wiedzieli, że jest czeski) stanowił mowę tylko chłopstwa i służących. A tu słyszy, jak największe państwo mówią prawie tym samym językiem i widzi, że w tym języku drukuje się mnóstwo książek, że po polsku spisuje się prawa i ustawy, po polsku odbywa się rozprawy sądowe, po polsku rozmawia duchowieństwo z biskupami, tylko w polskim języku porozumiewają się wszyscy urzędnicy i najwyżsi dostojnicy itp. To wszystko wprowadzało go w zdumienie, bo na Morawach od dawna służył do tego tylko niemiecki język. Nawet król i cały dwór królewski, sami Polacy i używają polskiego języka.

Zachwyił się tym, zawstydził swego zniemczenia i pokochał tę polskość. Wyuczył się polskiego języka literackiego tak dokładnie, iż go nie można było odróżnić od rodowitego Polaka, i co więcej, przyłgął całym sercem do narodu polskiego. Tym bardziej bolał nad wadami Warszawy, która rzeczywiście brodziła wówczas w rozpuście i z tym większym zapałem jął się misji wewnętrznych. Otrzymał od władzy kościelnej kościół świętego Benona, pracował tam z towarzyszami zakonnymi od rana do nocy w konfesjonale i na ambonie. Kościół nie mógł pomieścić napływu wiernych. Codziennie bywało po pięć kazań, szereg mszy świętych, codzienna uroczysta suma i codziennie nieszpory. Ilość komunikujących doszła w jednym roku do bajecznej liczby stu tysięcy.

Z moralnością Warszawy było doprawdy nie tak źle, skoro się jeszcze dawała nawracać! Można powiedzieć, że zepsucie szerzyło się z mody, ale nie z przekonania. Zresztą w wielkich miastach bywa z reguły gorzej; ale stolica, to jeszcze niecały kraj. Prowincja pozostała głęboko religijna, a wszędzie znać było wielki postęp oświaty w porównaniu z ciemnotą czasów saskich.

Spółczesność polskie przestawało być bierną masą w zakresie życia publicznego. Dojrzywało już drugie pokolenie ze szkół reformowanych przez księdza Konarskiego. Pierzchła ciemnota, mieliśmy już na nowo świetnych pisarzy, poetów, uczonych. Podnosił się na nowo uniwersytet Jagielloński, po czym nastąpiłaby także reforma w Wilnie i w Zamościu. Powstała Komisja Edukacyjna, która była pierwszym w Europie ministerstwem oświaty i zakładała pierwsze w Europie szkoły publiczne państwowe. Oświecone społeczeństwo inne też wyznawało zasady, niż ciemna szlachta poprzedniego pokolenia. Mijały czasy, w których szlachcic uważał, że stworzony jest z innej gliny, niż mieszczanin lub włościanin. Największy uczonek tych czasów Stanisław Staszic, sam mieszczanin, nawoływał wcale nie na próżno, żeby uznać równość obywatelską wszystkich stanów, wszystkich mieszkańców kraju.

W roku 1774 wystąpiono na sejmie z wnioskiem, żeby do rządowych komisji skarbowych powołać po dwóch kupców. Z wniosku samego widać, że uprzedzenia przeciw stanowi miejskiemu poczynały pierzchać. Rzecz prosta: człowiek oświecony nie mógł ich hodować. Nałożono na komisje skarbowe obowiązek popierania handlu i przemysłu; rozumiano więc, że nie o to chodzi, żeby skarb napełnić podatkami, nie pytając obywatela, na ile go stać, lecz o to, żeby obywatelowi dostarczać sposobności i otwierać mu drogi do dobrobytu, a wtenczas podatki i tak będą wzrastać, tym bardziej, że nie będą ciążyły obywatelowi zamożnemu. Takie postępowe pojmowanie skarbowości państwowej wiodło do opieki nad zawodami miejskimi i do zasadniczej zmiany pojęć o "łokciu i kwarcie", których ujęcie w celach zarobkowych hańbiło dotychczas szlachcica i groziło mu utratą "klejnotu szlacheckiego". Na sejmie tegoż r. 1774 stanęła uchwała, że "szlachcic bawiący się wszelkiego rodzaju kupiectwem, szlachectwa swego utracić nie będzie".

Był to przełom epokowy. Zdając sobie z tego sprawę, łatwiej zrozumiemy, jak w krótkim czasie mogła Polska dokonać nadzwyczajnych postępów w dziedzinie miejskich zajęć i urzędzeń. Wyznaczono "osobne komisje dobrego porządku" celem uporządkowania gospodarki miejskiej, gdzie tego zachodziła potrzeba; mianowano potem stałych 15 komisarzy do tego, dopomógłszy walnie kilkudziesięciu miastom, a wszystkim dostarczając przykładu. W roku 1777 zjawia się nawet pomysł powszechnego ubezpieczenia od pożaru.

Powstają liczne wielkie domy handlowe i banki (najsłynniejsze: Teppera, Prota Potockiego, Kapostasa), nieznane jeszcze gdzie indziej obroty na pożyczki hipoteczne, na zaliczki eksportowe i rozmaite formy nowoczesnego kredytu. Dość powiedzieć, że w Polsce ówczesnej zawiązywały się spółki handlowe w formie znanej tylko Anglikom, a mianowicie spółki akcyjne. Wszak pierwszymi w Polsce papierami kredytowymi były akcje "kompanii manufaktur wełnianych", której statut podpisywali między innymi b. kanclerz Andrzej Zamojski (zrzekł się kanclerstwa, żeby nie podpisywać traktatu rozbiorowego) i brat królewski, książę Michał Poniatowski. W roku 1787 powstaje "Społeczeństwo Fabryki Płóciennej Krajowej", w którego statucie czytamy: "Subskrypcję przedsięwzięliśmy nie tak chęcią zysków, jak raczej czystą intencją uczynienia najistotniejszej krajowi przysługi". Nie sposób wyliczać tu choćby ważniejszych tylko fabryk, zakładanych wówczas gęsto, bo współzawodniczyła w tym cała niemal warstwa możnowładcza, niosąca chętnie swe kapitały na rozwój przemysłu i dająca dobry przykład uszanowania "łokcia i kwarty". Nie ma niemal takiego rodu magnackiego, który by nie brał udziału w tym ruchu przemysłowym. Jakże potężny był prąd do reform, skoro zreformował warstwę możnowładczą; a stało się to bez przewrotów społecznych, bez rewolucji, bez znęcania się nad kimkolwiek. Powstały tedy fabryki sukna, płócien, mebli, fajansów, kapeluszy, powozów, siodeł, saletry, kotłów, świec, zwierciadeł, kobierców, szkielek zwykłych i kolorowych, huty szklane, warsztaty do budowy statków rzecznych, piece do wytapiania rudy żelaznej i innej, fabryki mydła, pończoch, pasów, kos, plantacje tytoniu i fabryki "tabacznice", potem kuźnice i w końcu nawet fabryki stali. Około roku 1780 było w Polsce fabryk tkackich 71, wyrobów chemicznych (prócz farbiarni) 8, fabryk maszyn i narzędzi 12, szkła i fajansu 11, papieru i obić tapetowych 17, garbarń fabrycznych 13, pieców hutniczych 42, fabryk powozów 11. Mniejszych fabryk w ręku szlachty wioskowej znajdowało się około 300, nie licząc wcale gorzelni i tartaków. W roku 1783 liczone w samej Wielkopolsce 948 warsztatów sukienniczych; niech ta liczba pomoże nabrać wyobrażenia o stanie naszych miast przed zabranieniem ich pod obce rządy; niech to świadczy, że obcy władcy nie zastali Polski wcale pustynią, a miasta zmierzały w najlepsze do rozkwitu. Wszak powstawały już spółki handlowe na wywóz polskich towarów na Wschód, do Mołdawii i do południowej Rosji, w którym to celu ustanowiono polski konsulat w Chersoniu, a zanosiło się na szereg dalszych konsulatów.

Pierwsza ustawa wekslowa uchwalona była na sejmie r. 1774 a motywowana jest, "aby handel i kredyt mu potrzebny utrzymać". Podobnie zdawano sobie sprawę, że potrzebna jest do rozwoju handlu i przemysłu dobra komunikacja, a piecza o drogi lądowe i wodne przynosi zaszczyt ówczesnemu rządowi polskiemu. Ofiarnością hetmana Michała Ogińskiego wykopano kanał, zwany na mapach polskich słusznie od jego imienia, łączący Szczarę z Jasiołą na Polesiu. Pochłonęło to dzieło 12 milionów zł. polskich, lecz nie wyczerpało ofiarności i zapału Ogińskich, skoro syn hetmana dodał jeszcze kanał pod Stetyczowem. Pomocnikiem w przygotowaniach, współnikiem w ponoszeniu kosztów, a duszą w wykonaniu dzieła był miecznik piński, Butrymowicz. Doczekał się tej pociechy, że sam pierwszy przeżegnał całą drogą z Pińszczyzny do Warszawy i Gdańska. Za tym przykładem poczęto urządzać kanały w kilku innych stronach kraju; kwestia komunikacji wodnej, podnoszona za naszych czasów z naciskiem, jako wymaganie postępu, znana zatem była doskonale naszym przodkom pod koniec WIII w. Tym bardziej pilnowano naprawy dróg lądowych i rozszerzania ich sieci.

Poczta polska cieszyła się jak najlepszą opinią u cudzoziemców. Mamy świadectwo Rosjanina (późniejszego wicegubernatora wileńskiego Frizla), który pisał o tym: "Kto tylko podróżował w Polsce, wie z doświadczenia, że urządzenia pocztowe w Polsce i Litwie były tak dobre, że lepszych żądać niepodobna". Jeden Niemiec (Schulz) radził swym rodakom, żeby nie jeździli do Rosji przez Berlin i Królewiec na Kłajpedę, lecz na Polskę, bo i prędzej dojadą i wygodniej. Drugi Niemiec (Biester), nie może się nadziwić bezpieczeństwu w podróżach przez Polskę. Pisze, że jeden człowiek może przewieźć daleko bez niebezpieczeństwa napadu krocie, a nawet można największe sumy powierzyć po prostu woźnicy. Faktem jest, że wpływy do kasy centralnej rządowej w Warszawie zwożono co kwartał z prowincji na zwykłych wozach, a bywały to sumy milionowe; eskortę stanowiło dwóch strażników, a

nieraz nawet tylko jeden... Uczony Anglik, profesor uniwersytetu w Cambridge, słynny Coxe, poświadcza również, że w podróży przez Polskę nic mu nie zginęło, chociaż nieraz musiał powóz zostawiać na noc na dworze bez dozoru. Uczciwość leżała w naturze ludu polskiego.

Społeczeństwo polskie znajdowało się na dobrej drodze: coraz lepsze i bardziej uczęszczane szkolnictwo zapewniało przybytek umysłów świątłych, a postępowość okazana w tyłu dziedzinach dawała rękojmię, że zdrowe przekonania niezawodnie zwyciężą.

Większością zwolenników reform rozporządzał szczęśliwym zbiegiem okoliczności sejm r. 1776, gdy poruczał Andrzejowi Zamojskiemu opracowanie zbioru praw sądowych (kodeks cywilny, kryminalny i przewod sądowy). Uważano, że w tym zakresie będzie się można ruszać swobodnie.

Andrzej Zamojski, mąż wielkiej zacności i podniosłości ducha, jakich dzięki Bogu w Polsce nigdy nie brakło, był kanclerzem w latach pierwszego rozbioru i złożył swą godność, nie chcąc przykładać pieczęci do uchwał sejmu rozbiorowego. Jakim szacunkiem całego narodu był otoczony, świadczą zaszczytne słowa, wpisane w konstytucję (tj. prawomocne uchwały) sejmu r. 1776, że powierza się prace nad nowym kodeksem właśnie jemu, jako "mającemu cnotę i przynioty, do tego dzieła sposobnym go czyniące". Gdzie w całym świecie poza jedną Polską, wpisywano w akty publiczne świadectwa cnoty?! Eks-kanclerz, zgromadziwszy przy sobie szczęśliwie dobrane grono prawników (Józef Wybicki, Michał Węgrzecki, Antoni Rogalski), zdążył wykonać swe zadanie w dwa lata, i w r. 1778 ogłosił drukiem nowy kodeks, nie przedstawiając go urzędowo sejmowi umyślnie, żeby mieć jeszcze dalsze dwa lata do wypróbowania i przygotowania opinii publicznej.

"Zbiór" wprowadzał sporo nowości na korzyść stanu miejskiego i wieśniaczego, ukracając przywileje szlachty. Zbierała się wprawdzie opozycja na sejm r. 1780, lecz byłaby w mniejszości i nowy kodeks byłby przeszedł. Ale o większość dla opozycji starał się zawczasu rosyjski poseł Stackelberg. W depeszy do "imperatorowej" zwrócił od razu uwagę, że należy projekt Zamojskiego uczynić niemożliwym; otrzymał też z Petersburga upoważnienie, żeby protestować. Sypały się ciągle ruble rosyjskie na Polskę i Litwę za usługi polityczne; teraz posypały się podwójnie, potrójnie zalewały sejmiki wyborcze, żeby nie wychodzili z wyboru zwolennicy Męża "mającego cnotę". Niespodziewanie jakby zmieniła się opinia; na sejmie r. 1780 Zamojski uchodził u większości za człowieka godnego nie pochwał, lecz potępienia - i kodeks odrzucono. Kto go odrzucił? Zaprzedańcy moskiewscy - sami bowiem szczerzy zwolennicy wyłączności szlacheckiego przywileju nie postawiliby na swoim, słabsi z roku na rok i coraz nie liczniejsi. Polska i Litwa pozostawione same sobie załatwiłyby nie tylko tę sprawę pomyślnie! Nawet odrzucony w r. 1780 kodeks Zamojskiego byłby wrócił po niedługim czasie, gdyby nie Moskwa.

Nie przynosi więc upadek tego kodeksu wcale ujmy owemu pokoleniu, ale jego powstanie przynosi mu zaszczyt. Niebawem nastąpił niewątpliwy dowód, że zwolennicy dawnego trybu rzeczy rzeczywiście tracili znaczenie i wpływy, i byłiby utracili je do reszty, gdyby nie Rosja. Przewrotności wroga na tym nie koniec. Tu zaczyna się fałszowanie historii polskiej. Sami przeszkodzili zmianie formy rządu, a ogłosili na cały świat, że Polska musiała upaść dla złej formy rządu, że z tego powodu upadek Polski był pożyteczny dla postępu Europy! Odrzucenie kodeksu Zamojskiego podano jako dowód, że Polska była zacofana "bez ratunku". A kto postarał się o odrzucenie? Kto działał przekupstwem i gwałtem? Widocznie odrzucenie nie było zbyt pewne, skoro trzeba było sztucznie je sprowadzać.

Fałszowanie historii polskiej nie pozostało niestety bez wpływu na nas samych. Można w polskich pracach spotkać się z wywodami, traktującymi uchwałę sejmu r. 1780, jakoby wynik istotnego stanu rzeczy w Polsce - podczas gdy był to wynik fałszerstwa dokonanego przez ruble i pogroźki Stackelberga.

Przyjrzyjmy się jeszcze sprawie wieśniaczej. W jakikolwiek sposób rozwiązano by następnie kwestię włościąńską, pańszczyzna musiałaby być w każdym razie zniesiona. Stanowić to musiało nieuchronny krok wstępny. Otwierały się dalej trzy drogi - ogłosić chłopów wolnymi, nie troszcząc się, co z wolnością pocznie i czy na wolności nie będzie przymierał z głodu; własnej ziemi bowiem nie posiadał, a dwór z chwilą zniesienia pańszczyzny nie miałby względem ludu żadnych obowiązków. Drugi sposób polegałby na uwłaszczeniu włościń, tj. oddaniu im na własność używanych dotychczas gruntów

dworskich. Nie mogło się to stać bez wynagrodzenia dla dworów, bo te pozbawione naraz pomocy roboczej i w znacznej części (z reguły 1/3 posiadłości, byłyby skazane na bankructwo. Trzeci sposób był pośredni i już wypróbowany, a mianowicie, tzw.: oczynszowanie włościan. Był to powrót do stosunków pierwotnych, do systemu dzierżawnego, jak bywało aż do w. WI. Włościanin miał opłacać dworowi czynsz za używanie pańskiej ziemi, ciesząc się przy tym przywilejem, że dzierżawa była wieczysta, a czynsz nie mógł być z niej podniesiony ani zamieniany na robociznę (wszak przez to powstała pańszczyzna). Kogo stać było, mógł czynsz skapitalizować i grunt nabyć na własność. Ten sposób nie groził ruiną szlachcie, był najzupełniej sprawiedliwy, a otwierał możliwość uwłaszczenia w miarę, jak rodziny wieśniacze dorabiały się własnego majątku.

Co przodkowie nasi w tych najsmutniejszych i najcięższych czasach czynili dobrego dla "siermiężnej braci", robili to z własnego pomysłu. Polska myśl publiczna okazała i w tym zakresie swą oryginalność, zdatność do obmyślenia swoistych form życia. Nadanie stosunkowi chaty do dworu formy dzierżawnej (z dwoma wyżej wymienionymi przywilejami) jest pomysłem polskim.

Nie możemy tu wdawać się bliżej w historię tego przedmiotu. Poprzestajemy więc na stwierdzeniu, że pierwszy raz zabłysła ta myśl w prowincji ze wszystkich polskich zawsze najbardziej postępowej, tj. w Wielkopolsce, w której w r. 1742 spróbował tego systemu kanonik poznański ks. Świnarski. Stamtąd przeszła zdrowa myśl na sąsiednie Mazowsze, przyjęta najchętniej przez zacnego kanclerza Andrzeja Zamojskiego. Rozwinął pomysł i opracował świetnie w szczegółach słynny ks. Paweł Brzostkowski, autor wydanych dla swych dóbr "Ustaw", zapewniających ludowi nie tylko dobrobyt, lecz i oświatę. Koło roku 1770 dobra myśl miała już na dalekiej Litwie swych wyznawców i propagatorów. Wszak w roku 1773 ksiądz Karpowicz miewał w Wilnie kazania "na obronę chłopską". Następnego roku wyszła książka ks. Popławskiego pt.: "Zbiór niektórych materii politycznych", w której obok innych reform domaga się ochrony prawnej ludu wiejskiego. Na sejmie zjawia się sprawa chłopska już w r. 1775, wniesiona tam przez Augusta Sułkowskiego, popierana przez dwóch innych posłów, Frankowskiego i Jezierskiego; powtórnie zaś przy sposobności przedstawienia sejmowi kodeksu Zamojskiego w r. 1780 - i wraz z nim odrzucona, lecz nie pogrzebana bynajmniej. Sprawa zbyt wielka i sięgająca w głąb życia społeczeństwa, żeby mogła być załatwiona od razu (takich reform nie zna historia) wygrywała wiele, skoro nie schodziła już z narad publicznych i stopniowo zbliżała się do załatwienia ustawowego, a tymczasem załatwiana była coraz częściej prywatnie, przez właścicieli dóbr na własną rękę.

Oczynszowanie włościan wprowadzono w dobrach synowca królewskiego, Stanisława Poniatowskiego, podkanclerzego Chreptowicza, Anny Jabłonowskiej, Stanisława Potockiego, Jacka Jezierskiego, Franciszka Bielińskiego, a około r. 1790 stawało się coraz powszechniejsze. Szedł na całą Polskę prąd, którego pochodzu nie dało się już wstrzymać. Przyłączył się do niego natychmiast bez wahania, stając w pierwszym szeregu najgorliwszych obrońców praw ludu wiejskiego pewien ziemianin, właściciel dóbr Siechnowicze w powiecie brzesko-litewskim. Nazywał się... Tadeusz Kościuszko.

Rozwój społeczeństwa rokowałby najlepsze nadzieje, gdyby nie przemoc obcych, gdybyśmy odzyskali wolność we własnym kraju. Około roku 1780 mieszczanin polski poczuł się na nowo obywatelem, a nad ludem wiejskim rozciągnięto chwalebny opiekę.

Była więc opinia w kraju doskonale przygotowana do tego, żeby sejm uchwalił wszystkie potrzebne reformy polityczne i społeczne. Ale w roku 1775 Rosja i Prusy zastrzegły się, że do reform nie dopuszczą i groziły nowym najazdem. Narażać się na wojnę po świeżym rozbiórce kraju byłoby nieopatrnością; trzeba było czekać dobrej sposobności. Taki nastrój zastał w Warszawie O. Marek w r. 1786. Ale zaraz w następnym roku, kiedy przyjeżdżał św. Klemens Hofbauer, zdawało się, że nastaną inne czasy. Król pruski poróżnił się z Rosją i sam zaproponował Polsce przymierze. Zapewniał, że nie tylko sam uzna wszystkie reformy w Polsce, ale nawet dostarczy posiłków wojskowych przeciw Rosji, gdyby Rosja sprzeciwiała się nowym ustawom. Zawarto więc traktat jak najformalniejszy, całkiem urzędowo. Sejm, który rozpoczął obrady w październiku 1788 r., nie spoczął, aż przerobił całe polskie prawodawstwo w duchu nowożytnym, obradując aż do maja 1792 r. i dlatego zwie się czteroletnim. Słusznie też nadano temu sejmowi przydomek "wielkiego". Uchwalono nawet dziedziczość tronu, przyznając następstwo na nowo domowi saskiemu. Armię postanowiono podwyższyć do stu tysięcy. Największym dziełem tego sejmu jest sławna "Konstytucja 3 maja", ogłoszona dnia 3 maja 1791 r.

Rosja odmówiła uznania nowej konstytucji, a znalazła w Polsce popleczników. Sejm Wielki odebrał bowiem szlachcie beniemnej wykonywanie politycznych praw obywatelskich, odebrał więc jakby wojsko tym magnatom, którzy chcieli trząść krajem dla swojej prywaty. Ci utworzyli konfederację w mieście Targowicy i przyzwali pomoc rosyjską celem przywrócenia dawnych przestarzałych ustaw. I teraz król pruski przymierza nie tylko nie dotrzymał, ale zdradził, zawierając z Rosją tajne przymierze przeciw Polsce. Nie wiedząc nic o tym, owszem spodziewając się od Prus pomocy, walczyły wojska polskie dzielnie pod dowództwem siostrzeńca królewskiego, księcia Józefa Poniatowskiego. Stoczono w r. 1792 pomyślnie bitwy pod Połoninem, Zieleńcami i Dubienką, gdzie odznaczył się generał Tadeusz Kościuszko.

Wtem niespodzianie rozchodzi się wieść, że król Stanisław August zakazał dalszych kroków wojennych przeciw Rosji. W tydzień po wygranej pod Dubienką przystąpił ten król do... konfederacji targowickiej i zakazał dalszej wojny z Moskalami. Była więc Polska całkiem bezbronna wobec Rosji, a tymczasem porozumiewał się Berlin z Petersburgiem o drugi rozbiór Polski w r. 1793. Austria nie brała w tym rozbiórze udziału. Zażądały też państwa rozbiorowe, ażeby wojska polskiego nie było nigdy więcej, jak 15 000. Znaczyło to, że nie pozwolą się nigdy Polsce podnieść.

W roku następnym zabrała się caryca Katarzyna do odpolszczania zagarniętych w dwóch rozbiórach prowincji litewsko-ruskich. Atak rosyjski na polskiego ducha zaczął się od Kościoła; nie śmiano jednak wszcząć od razu prześladowania łacinników, zaczęło się to od unitów. Obie strony, polska i rosyjska, poznały się od początku na tym, że polskość będzie równoznaczna z katolicyzmem, a rosyjskość z prawosławiem. Rząd Katarzyny ustanowił jakby regułę, której trzymały się wszystkie następne rządy rosyjskie aż do początku XX w., że póty polskość, póki katolicyzmu, że z upadkiem Kościoła runąć musi polskość i odwrotnie, że "kraje zabrane" nie będą zrussyfikowane, jeżeli się tam nie poderwie katolicyzmu. Od unitów zaczęto, bo z podobieństwa obrządków łatwiej było wystawić sobie most do prawosławia. Chodziło o to, żeby prawosławie zapanowało na ziemiach polskich zabranych przez Rosję, a pozyskać dla prawosławia, dla schizmy, łatwiej było unitów. Zaczęto więc od niweczenia unii.

Unia brzeska (r. 1596) szerzyła się pomimo wojen kozackich, lecz powoli i nastał w. VIII, zanim ogarnęła ziemie ukraińskie na południowym wschodzie Rzeczypospolitej. Dopiero za Augusta III Sasa, a nawet za Poniatowskiego unia zapanowała na tych ziemiach. Nie brak tam było kapłanów, którzy przyjęli święcenia z rąk biskupa schizmatycznego w Perejasławiu, a potem dopiero przyjęli unię. Grunt był świeży i unia miała tam jeszcze płytkie korzenie. Próbowano je wyrwać już dawniej, mianowicie przez hajdamacczyzną Żeleźniaka i Gonty (o czym wyżej była mowa), kiedy jeszcze prowincje te należały do królestwa polskiego. Teraz, kiedy przeszły obie pod władanie caratu, można było wystąpić przeciw unii wprost, bezpośrednio i śmielej.

W roku 1794 wyszedł więc z Petersburga zakaz, żeby unicy przechodzili na prawosławie. Na Ukrainie, na Wołyniu i na Podolu nie znajdował rząd trudności. Za przykładem ruskiego duchowieństwa całe parafie wyrzekały się unii i przechodziły na schizmę. Gorzej było na Białorusi, bo tam trzeba było cerkwie zabierać przy pomocy wojska i oręża, co stwierdzili sami Rosjanie. Do nowo zabranych cerkwi sprowadzono około 700 popów prawosławnych z Rosji, ale niski poziom ich wykształcenia zrażał raczej do prawosławia. Dochowało się świadectwo gorliwego urzędnika rosyjskiego, że owi popi to byli "sami durnie", jak się sam ów dostojnik prawosławny wyraził. Ale z tego mała była pociecha dla naszych, bo za najciemniejszym nawet popem stała siła żandarmerii carskiej, a w razie większego oporu - wojsko. W ten sposób zabrano wtenczas 9316 parafialnych cerkwi unickich i zniesiono 145 klasztorów bazylikańskich i zagarnięto majątek kościelny. Przepisano na schizmę osiem milionów unitów. Część ludności wymykała się w ten sposób, że przechodzono gromadnie na obrządek łaciński.

Biada tym, którzy utracą niepodległość! Ze zgrozą przypominano sobie słowa Skargi: "i w obcy się naród zamienicie". Postanowiono więc próbować jeszcze oporu.

Stronnictwo narodowe porozumiało się z Kościuszką i w r. 1794 wybuchło powszechne powstanie. Zdarzyło się, że brygadier Kopeć przechodził wtenczas w kwietniu ze swym oddziałem koło Uszomierza, gdzie na nowo zamieszkał ks. Marek Jandowicz. Oto własne słowa tego wysokiego oficera:

"Po kilkudniowym marszu, przybywszy do miasteczka Uszomierza chciała brygada, aby O. Marek, za świętego w tym klasztorze i w okolicy miany, udzielił błogosławieństwa; lubo więc dwie godziny było po północy, musiałem się zatrzymać, a ksiądz Marek, wówczas chory, musiał błogosławić brygadę, po skropleniu wodą święconą mówiąc: Idźcie w imię Boga i wynijdźcie! Te krótkie wyrazy cnotliwej i pobożnej osoby jak gdyby wieszczym duchem ogłoszone, wielce wzmocniły żołnierza potwierdzeniem niejako wolą nieba naszego zamiaru".

Szczęście się zrazu Kościuszcze, lecz gdy niespodzianie wojsko pruskie, zamiast pomóc w myśli jawnego traktatu, zatarasowało mu drogę, musiał niefortunnie przyjąć bitwę pod Maciejowicami dnia 10 października 1794 r. Tam cała pierś jego pokryła się bliznami, noga była poszarpana od ostrza bagnietów, a głowa zraniona trzykrotnie od cięcia pałaszem. Zemdławszy od ran dostał się do niewoli, a powstanie upadło. Przeszło dwa lata więziony był przez carycę Katarzynę.

Moskale zajęli Warszawę. Weszli do niej od strony przedmieścia Pragi, które trzeba było najpierw zdobyć. Smutnej pamięci jest ten ich szturm, bo nastąpiła po nim zaraz rzeź Pragi. Żołdactwo nawet dzieciom nie folgowало, lecz nabijało je na piki! Zamordowali też wtenczas siedmiu Bernardynów, samych starców i kaleki, którzy nie nadążyli na czas ująć przed nimi. Takich ohydnych postępów były nie setki, lecz tysiące. Nie uszanowali nawet grobów. Między innymi padł ofiarą rozbewstwienia żołdackiego grobowiec hetmana Czarnieckiego w Czarnicy. Rotmistrz rosyjski stłukł trumnę metalową szukając, czy nie znajdzie przy zwłokach kosztowności. Rotmistrz! (w r. 1936 wzniesiono nowy grobowiec).

Co to za cywilizacja? Nie nasza, nie łacińska; ale też nie bizantyńska, ani nie żydowska. Były to objawy cywilizacji turańskiej, tej, która dała się historii polskiej we znaki w najazdach mongolskich, tatarskich, w wojnach kozackich i w pełnej zniszczenia, i okrucieństw wojnie moskiewskiej za Jana Kazimierza. Niestety, cywilizacja turańska, wtargnąwszy do Polski ponownie podczas rozbiorów nie miała już z niej wyjść.

Były już więc w Polsce i zostały cztery cywilizacje. Wóz spraw polskich ciągnięty równocześnie w czterech kierunkach! Czyż może się ruszyć?

W rok po klęsce maciejowickiej nastąpił trzeci rozbiór Polski, w której Prusy zajęły Warszawę, Austria - Kraków, a resztę - Rosja. Stanisław August na żądanie carycy pojechał do Petersburga i tam przez jakiś czas prowadził życie wcale nieszczególne, stanowiąc przedmiot największej wzdargy samego nawet dworu carskiego.

Skończyło się polskie królestwo. Widzieliśmy, że Polska przestała jako państwo istnieć wtenczas właśnie, kiedy była w pełni wspaniałego odrodzenia; kiedy nie brakowało jej ani oświaty, ani sprawiedliwości społecznej, kiedy obywatele jej byli gotowi przelewać krew w jej obronie, powiększając ciągle wojsko, podwyższając podatki a zrzekając się najzupełniej wszelkiej "złotej" wolności, pozostawiając tylko te swobody obywatelskie które potrzebne są zawsze, ażeby zachować godność ludzką w obywatelach i wzbudzać serdeczne zajęcie dla sprawy publicznej. Nie z własnej więc upadliśmy winy, bośmy upadli wtenczas, kiedyśmy się z win oczyścili. Jedną przyczyną upadku Polski jest upadek zupełny chrześcijańskich zasad w polityce europejskiej, zachłanność i grabież sąsiadów. Lecz nie przestawał istnieć naród polski, a w narodzie nie przestał działać duch Leszczyńskiego, Konarskiego, Staszica, Kościuszki, a siłę dodawało pogłębiające się coraz bardziej życie religijne.

Drobne państewka polskie

W tych samych czasach, kiedy Polacy urządzali u siebie w r. 1791 monarchię dziedziczną, lecz z władzą królewską ograniczoną przez konstytucję, Francuzi wymogli na królu gwałtami prawo sejmowania. Ta reforma rządu połączyła się, niestety, we Francji ze straszliwą rewolucją, która zaczęła się w r. 1789. Po błędach dworu królewskiego nastąpiły gwałty i bezprawie rewolucji, rzezie, tudzież prześladowania Kościoła. Króla Ludwika XVI uwięziono, a w końcu nawet ścięto publicznie w r. 1793. Ogłoszono republikę. W obronie dawnej państwowości wystąpiły obie główne dynastie

niemieckie, Habsburgowie i Hohenzollernowie, ale tym dolali tylko oliwy do ognia. Rewolucja szalała coraz bardziej. Wyróżniono w całej Francji mnóstwo szlachty. Posunięto się do takiej ohydy, iż ścięto nawet wdowę po królu. Rządy rewolucyjne wypędziły księży, zniosły wszelkie nabożeństwa, zakazały wyznawać Boga publicznie, a nawet zaprowadzono nowy kalendarz, żeby już nie zostało nic a nic ze starego ustroju. Od rewolucji miał się zacząć świat na nowo! Zwyczajne to przywidzenie rewolucjonistów. W rzeczywistości zaś byliby zatopili całą Francję w morzu krwi... francuskiej.

Od r. 1794 dochodzą tam jednak do władzy ludzie coraz bardziej umiarkowani, zwolennicy konstytucji, ale nie rewolucji. Gdy zaś niemieckie dynastie urządziły powtórny wyprawę, cały naród francuski porwał za broń i odnoszono świetne zwycięstwa. W tych wojnach wyrobił się cały szereg znakomitych wodzów francuskich, a ponad wszystkich Napoleon Bonaparte. Gdzie tylko się pokazał, zwyciężał.

Republika francuska sympatyczna była Polakom, ponieważ pozostawała w wojnie z dwoma państwami zaborczymi. Mielśmy wspólnych nieprzyjaciół. Ażby wojsko polskie nie przestało istnieć, postanowiono urządzić je na ziemi francuskiej. Jesienią w r. 1796 jeździł w tej sprawie do Paryża generał Henryk Dąbrowski. Kadry urządzano w północnych Włoszech, bo kraj ten zajęty był przez wojsko francuskie. W r. 1797 było tam już około 7000 żołnierzy. Zwrócono się do Kościuszki z wezwaniem, żeby objął na nowo stanowisko naczelnika narodu polskiego.

Kościuszko zwolniony po śmierci Katarzyny przez nowego cara Pawła, wyjechał do Ameryki. Był to już powtórny jego pobyt na drugiej półkuli. Był generałem amerykańskim, bo przedtem jeszcze, zanim wojował o niepodległość Polski, walczył o niepodległość Stanów Zjednoczonych (i stąd ogromna popularność jego nazwiska u Amerykanów). Sprowadzono go z powrotem w r. 1798, bo układ z Napoleonem był już zawarty i spodziewano się pochodu wojennego wprost na Wiedeń. Kościuszko miał objąć władzę jawnie, skoro tylko legiony staną na ziemi polskiej. Tymczasem Dąbrowski sprawował dowództwo wojskowe, miał już 15 000 żołnierzy. Nadspodziewanie wojna rozszerzyła się także przeciwko trzeciemu zaborcy, przeciw Rosji.

Ale równie niespodzianie zawarł Napoleon pokój, skoro dostał kraje niemieckie aż po Ren i całą Włochy południowe. Nie potrzebował już naszych legionistów i pozbył się ich, wysławszy pod przymusem na murzyńską wyspę w Ameryce, San Domingo, żeby tam tłumili bunt murzyński. Wrócił stamtąd niewiele.

Można sobie wyobrazić, jakim sercem chwycił te wieści z dalekich krajów O. Marek. Mieszkając wciąż w Uszomierzu, przypominał sobie, jak błogosławił żołnierzy kościuszkowskich, i cieszył się nadzieją, że mimo podeszłego wieku, zobaczy może jeszcze raz wojsko spod tego samego narodowego znaku. Dożył lat 84, ale żołnierz polski zjawił się na Ukrainie dopiero za naszych dni podczas wojny powszechnej. Zmarł zaś O. Marek nie w klasztorze swoim, lecz bawiąc w gościnie w domu Cieńskich w Berezówce na Podolu w powiecie lityńskim dnia 11 września 1799 r. Zwłoki pochowano w kościele w Horodyszczach.

Wkrótce Napoleon zerwał z republikanizmem, ogłosił się w r. 1804 cesarzem francuskim i zaczął sam rządzić absolutnie. Nowy zaś car Aleksander stanął na czele koalicji przeciw niemu. Pod Sławkowem (Austerlitz) na Morawach stoczono dnia 2 grudnia 1805 r. "bitwę trzech cesarzy", w której brali osobiście udział cesarze: francuski, niemiecki i rosyjski. Napoleon, jak zawsze, zwyciężył. Zwycięstwo było stanowcze tak dalece, iż większość książąt niemieckich wypowiedziała posłuszeństwo swemu cesarzowi, a uznała nad sobą zwierzchnictwo Napoleona. Cesarz niemiecki, Franciszek II, złożył koronę cesarstwa niemieckiego i ogłosił się cesarzem austriackim.

W r. 1806 wybuchła nowa wojna Napoleona z Prusami i z Rosją. Tym razem Dąbrowski uważał już zapewne, że dojdzie do ziemi polskiej i wydał nawet odezwę z zapewnieniem, że sam Kościuszko stanie na czele tej walki. Ale Kościuszko zażądał wpierrw od Napoleona zapewnienia, że będzie przywrócone państwo polskie w dawnych granicach. Tego Napoleon odmówił, więc Kościuszko osobiście wycofał się; nie przeszkadzał jednak Dąbrowskiemu. Ten przyłączył się do Napoleona w 18 000 żołnierzy i wszedł szczęśliwie nie tylko do Poznania, ale aż do Warszawy, którą odebrano Prusakom. Można byłoby zająć jeszcze więcej ziem polskich, ale Napoleon zawarł pokój w Tyłży dnia 9 listopada 1807 r. Z Rosją pojednał się, ale Prusy zniszczył, odbierając im kraje i na zachodzie i na

wschodzie. Odebrał niemal cały zabór pruski ziem polskich i utworzył z niego Księstwo Warszawskie pod księciem Fryderykiem Augustem, wnukiem Augusta III Sasa. Tego księcia warszawskiego tytułowano się jednakże królem, bo równocześnie rodzina jego Saksonia wyniesiona została do rzędu królestw. Bądź co bądź, państwo polskie powstawało po latach dwunastu na nowo!

Powstawało, gdy od wschodu, z Petersburga, występował coraz gorszy nacisk na Kraje Zabrane, żeby je odpolszczyć. Wiemy, że niweczenie unii stanowiło do tego krok wstępny. Pracował koło tego rząd rosyjski nieprzerwanie od r. 1794, gdy wtem otrzymał najsilniejszą pomoc od samych... dostojników unickich. Właśnie za rządów cara Aleksandra I, w r. 1806 zdradzili swą owczarnię unicy arcybiskupi, dwaj arcybiskupi - miński Wiktor Sadkowski i połocki Herakliusz Lissowski, który w tym samym roku został metropolitą. Gdy się to rozniosło, w ciągu najbliższych dwóch lat, 1807 i 1808 około 50 000 unitów przeszło na obrządek łaciński.

Tymczasem w nowo utworzonym Księstwie Warszawskim starano się odrodzić w pełni tradycje polskie. Ci sami ludzie, którzy uczestniczyli w Sejmie Wielkim i w pracach nad Konstytucją 3 Maja, doczekali się wskrzeszenia państwa polskiego. Małe ono, ale czyż Władysław Niezłomny dużo zostawiał Kazimierzowi Wielkiemu? Było już 30 000 wojska narodowego, były urzędy polskie i był sejm, chociaż zwoływany miał być co dwa lata i to tylko na dwa tygodnie (Napoleon nie był przyjacielem sejmów). Był kawałek Polski, na którym Polacy mogli rządzić się sami.

A rządzili się dobrze. Włościanom nadano zupełną wolność osobistą, jak polecała Konstytucja 3 maja; zakładano szkoły wiejskie i zaczęto przygotowywać uwłaszczenie, czyli zamianę wieczystych dzierżaw kmięcych na własność. Zaledwie postąpiły prace przygotowawcze do tej wielkiej sprawy, trzeba było obrady pokojowe zamienić w wojenne pochody. Księstwo Warszawskie zaledwie miało czas urządzić się jako tako, gdyż w 15 miesięcy po utworzeniu tego państewka wybuchła nowa wojna napoleońska.

Zwierzchnikiem tego polskiego państewka był Napoleon i z jego zdaniem musiano się liczyć, bo sam był księstwa związany był z pomyślnością oręża cesarza Francuzów. Gdy wyraził jakieś życzenie co do Warszawy, nie można było nie uważać tego za rozkaz, który musi być spełniony jak najskwapliwiej.

Zbiegiem okoliczności skrupić się to miało na św. Klemensie Hofbaurze i jego "Benonitach". Tak zwano zbożnych towarzyszy jego prac, których ogniskiem był wciąż kościół Świętego Benona. Sam św. Klemens nie przebywał tam w tych latach bezustannie. Podczas gdy w Warszawie pracowali "Benonici", on sam kilka razy wybrał się w dalekie podróże do Pragi, do Wiednia, do Bawarii, Saksonii, Szwajcarii; a to w tym celu, żeby fundować tam wszędzie i rozszerzać zakon Redemptorystów. Ale w owym czasie rządy państw europejskich pozostawały pod wpływem masonów i nigdzie nie było życzliwości dla zakonów. Francja ówczesna, dopiero po wielkiej rewolucji, nie sprzyjała bynajmniej Kościołowi. Cesarz Napoleon uważał Kościół za przydatne narzędzie polityczne i za nic więcej.

Wydostano tedy od Napoleona dekret odrębny, kasujący Klasztor Benonitów. W r. 1808 uwięziono ich wszystkich i wywieziono do twierdzy Kostrzynia nad Odrą, po czym kazano każdemu z nich wracać do miejsca pochodzenia. Święty Klemens udał się wszakże dalej, do Wiednia. Osiadłszy tam, jako kapelan Urszulanek, miał istny ogrom pracy i stał się misjonarzem najwyższej inteligencji. Zamienił życie ziemskie na wieczyste w r. 1820. W sam raz tego samego dnia (15 marca 1820) cesarz austriacki Franciszek I podpisał dekret, zezwalający na założenie klasztoru Redemptorystów w Wiedniu. Ojciec św., papież Pius X, kanonizował apostoła Warszawy w r. 1909.

Prawą ręką św. Dworzaka wśród polskich towarzyszy był w ostatnich latach pobytu w Warszawie ksiądz Jan Podgórski. Urodzony w Płockiem w r. 1775 dostał się bardzo młodo do Warszawy, uczył się do szkoły przy kościele Świętego Benona, wstąpił tam następnie do nowicjatu i został pierwszym, i najlepszym towarzyszem św. Klemensa. W roku 1797 przyjął święcenia kapłańskie i pracował przez jedenaście lat jako "Benonita". Jest o nim świadectwo z tych lat, jako "o mężu rzadkiej świętobliwości", znakomitym kaznodziei głoszącym nauki z takim skutkiem, iż "niezliczone działy się nawrócenia". Ten następca św. Klemensa w Polsce powrócił z Kostrzynia do Warszawy i pracował jako kapłan świecki; przez jakiś czas był administratorem parafii w Cygowie. Jeździł potem do Wiednia, żeby zasięgać wskazówek od św. Klemensa. Nuncjusz papieski przy cesarskim dworze, poznawszy się na jego wartości, proponował mu arcybiskupstwo nad katolikami Wołoszy, w Bukareszcie, lecz ksiądz

Podgórski nie przyjął, spragniony jednej tylko rzeczy, by odnowić w Polsce zakon Redemptorystów. Wrócił do Polski i był czynny w Księstwie Warszawskim, jak tylko się dało.

Jak już powiedziano, Księstwo Warszawskie ledwo miało czas urządzić się jako tako, gdy w 15 miesięcy od utworzenia go wybuchła nowa wojna. Tym razem Austria wypowiedziała wojnę Napoleonowi w r. 1809. Wojsko Księstwa, korzystając z tego, przekroczyło granice zaboru austriackiego i odnosząc zwycięstwa pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego, zajęło zachodnią część tego zaboru po San. Teraz więc Kraków łączył się z Warszawą i Poznaniem. Armia polska powiększyła się do 85 000.

Teraz był Napoleon przez trzy lata panem całej Europy - po czym w r. 1812 wybuchła wojna francusko-rosyjska. Wojsko polskie przekroczyło Bug, dotarło aż na Litwę! Niechaj sobie czytelnik przypomni, jak Mickiewicz w "Panu Tadeuszu" opisuje wiosnę 1812 r. Zaprowadzono rządy polskie aż do Dniepru, a Napoleon wkroczył do Moskwy dnia 14 września 1812 r.

Po miesiącu wracał z Moskwy, nie pobity bynajmniej w polu, lecz wypłoszony strasznym pożarem miasta i wczesną a bardzo surową zimą. Wielka jego armia wymarzła i zagłodziła się; całe wojsko poszło w rozsypkę. On zaś pędził w sankach co tchu do Paryża, żeby na wiosnę przygotować nową armię.

Ale tymczasem przyłączyły się do Rosji także Austria i Prusy. Szczęście wojenne opuściło Napoleona. Przegrał walną bitwę pod Lipskiem - i tam w rzece Elsterze utonął książę Józef Poniatowski. Fortuna zupełnie się odmieniła. Wojska koalicji weszły nawet do samego Paryża. Wszyscy niemal monarchowie znajdowali się w Paryżu z oddziałami swoich wojsk; był tam również cesarz rosyjski Aleksander I.

W trzy dni po abdykacji Napoleona, Kościuszko napisał list do Aleksandra, żeby się ogłosił konstytucyjnym królem polskim, panującym nad całą Polską, żeby do lat dziesięciu przeprowadził uwłaszczenie włościan i że w takim razie gotów jest jechać natychmiast do Polski. Pisał Kościuszko o tym do Aleksandra, bo car ten kilka razy przyrzekał wznowienie Polski. Odpowiedź udzielona dnia 3 maja 1814 r. brzmiała: "Najdroższe Twoje życzenia będą spełnione", bo Aleksander uznaje "wzięte na siebie zobowiązania uroczyste".

Więcej i wyraźniej mówiono sobie ustnie. Kościuszko bowiem przeniósł się do Paryża i widywał się z carem często, mając powóz dworskich do dyspozycji. Jak dalece Aleksander dbał o dobre mniemanie u naczelnika, jak mu schlebiał, jak starał się o jego przychylność, świadczy jedno drobne wydarzenie na jednym balu (u księżnej Jabłonowskiej), gdzie car i jego brat, wielki książę Konstanty, wzięwszy Kościuszkę pod ramiona, prowadzili go przez tłum gości, torując mu przejście i wołając, "miejsca, miejsca, oto wielki człowiek". Jaka zaś była treść ich rozmów, wiemy bezpośrednio od samego Kościuszki, który powoływał się potem na "przyrzeczenia cesarza, mnie i wielu drugim wiadome, powrócenie kraju naszego do Dźwiny i Dniepru, dawnych granic królestwa polskiego".

We wrześniu 1814 r. zebrał się w Wiedniu kongres monarchów i ministrów wszystkich państw europejskich, żeby oznaczyć na nowo granice państwowe, pozmieniane wielce skutkiem wojen napoleońskich. Radzono o losach licznych królestw i księstw, powstałych podczas tych wojen, a więc także o Księstwie Warszawskim. Carowi chodziło o to, by powiększyć granice Rosji; chciał posiadać całe księstwo. Gdyby Kościuszko stanął na czele stronnictwa rosyjskiego, pomógłby bardzo carowi wobec kongresu. W połowie grudnia poruszył Aleksander całą Polskę odezwami, wzywając do broni "na obronę ojczyzny waszej i bytu politycznego utrzymanie", głosząc, że "staną między wami ci sami dowódcy, którzy wam dowodzili przez lat dwadzieścia".

Kościuszko obstawał przy tym niewzruszenie, żeby Aleksander złączył wszystkie ziemie polskie. Gdyby car zdecydował się na wojnę z Austrią i Prusami, żeby zdobyć tamte zabory, gdyby ogłosił się jawnie królem konstytucyjnym całej Polski, byłby Kościuszko stanął ponownie na czele narodu. Ale obietnice carskie malały w ciągu następnych miesięcy i okazywało się, że Aleksander chciał tylko wyzyskać nazwisko Kościuszki do swoich celów.

Na kongresie wiedeńskimomal nie wybuchła wojna między sprzymierzonymi zwycięzcami Napoleona. Nie chciano powiększać potęgi Rosji, która pragnęła zabrać dla siebie cały dawniejszy zabór pruski. Odbywały się targi; proponowano np. znieść odrębność państwową Saksonii, a przyłączyć ten kraj do Prus, jako wynagrodzenie za utracone ziemie polskie. Ale ostatecznie pogodzono się na kongresie, zwłaszcza gdy zdawało się, że gwiazda Napoleona zabłysnąć może na nowo. Dnia 13 stycznia 1815 r. zawierano układ, którego mocą Saksonia była ocalona, a postanowiono podział Księstwa Warszawskiego pomiędzy wszystkie trzy państwa rozbiorowe.

Galicja Zachodnia wracała do Austrii, Wielkopolska - do Prus, reszta zaś z Warszawą przechodziła pod panowanie Aleksandra. Kraków z okręgiem (24 mil kwadratowych) zamieniono na rzeczpospolitą. Było to państewko bez znaczenia politycznego, pozostające w mocy przedstawicieli trzech państw rozbiorowych, których państwa te do Krakowa wysłały, żeby tam sprawowali dozór.

Nie oddawano jednak części Księstwa Warszawskiego Aleksandrowi, jako cesarzowi rosyjskiemu, nie wcielano Mazowsza do cesarstwa rosyjskiego. Krainie tej nadano pompatycznie tytuł królestwa, postanawiając, że jego konstytucyjnymi królami mają być carowie rosyjscy. To, czym Aleksander miał być w Warszawie było wręcz przeciwne naturze rosyjskiej władzy monarszej, opartej na absolutyzmie, na przywilejach szlachty i niewoli ludu wiejskiego. Aleksander przyjął jednak te warunki. Nie potrzebując już udawać, jakoby dążył do wznowienia zjednoczonej w jedno państwo Polski, udawał jeszcze nadal zwolennika ograniczonej monarchii, konstytucyjnej formy rządu.

Aleksander chciał osiąść aprobatę Kościuszki dla swego dzieła i zaprosił go w tym celu w marcu 1815 r. do Wiednia. Naczelnik, szpiegowany w drodze, zdążył ledwie na koniec przyjechać do Bawarii, gdzie znalazł się car w pochodzie przeciw Napoleonowi, który opuścił miejsce swego przymusowego pobytu (wyspę Elbę), wylądował we Francji i posiadał już znaczne wojsko. Nowe cesarstwo Napoleona miało jednakże trwać tylko sto dni. Ani Francuzi go już nie chcieli, mając dosyć wojen, choćby nawet zwycięskich! Wszyscy stęsknieni byli za pokojem.

W Braunau w Bawarii zjechali się tedy Kościuszko z Aleksandrem. Car przyjął go z wszelkimi honorami, ale nie powiedział nic wyraźnego, tylko prosił, żeby Kościuszko koniecznie jechał do Wiednia, a potem jak najprędzej do Warszawy.

Dowiedziawszy się w Wiedniu, że nowe Królestwo Polskie nie ma obejmować nawet całego Księstwa Warszawskiego, oświadczył Kościuszko, że "to jest pośmiech" i odmówił jazdy do Warszawy. Pisał w tej sprawie do cara, a gdy przez dwa tygodnie odpowiedź nie nadeszła, opuścił Wiedeń i wyjechał do Szwajcarii. Osiadł na resztę życia w miasteczku szwajcarskim Solurze.

Cały naród sądził podobnie, jak naczelnik, że "to jest pośmiech". Nadano też nowemu tworowi politycznemu szyderczą nazwę "Kongresówki".

Księstwo Warszawskie istniało osiem lat, a nowe Królestwo Polskie z carem na tronie dwa razy dłużej, lat szesnaście. Bądź co bądź samo wznowienie tytułu królestwa posiadało wartość polityczną. Ale carowie, będąc absolutnymi panami w rozległej Rosji, nie potrafili być monarchami konstytucyjnymi w drobnej Kongresówce, która była przeszło dwa razy mniejsza od poprzedniego Księstwa Warszawskiego i całkowicie bezsilna wobec potęgi rosyjskiej. Z góry było postanowione, że konstytucji nie będzie się przestrzegać, a z czasem całkiem się ją zniesie. Najgorsze zaś było to, że car Aleksander mianował naczelnym wodzem wojska Kongresówki swego starszego brata, Wielkiego księcia Konstantego, człowieka tak nieokrzesanego, że nawet na Rosję był zbyt dziki i nie można go było dopuścić do następstwa tronu. Mówiono o nim, że był na pół małpą, na pół tygrysem, lecz nic a nic człowiekiem. Rządowi Kongresówki car polecił, żeby się stosować do woli Konstantego, nawet w sprawach cywilnych, chociażby rozkaz wydany był tylko ustnie! Zresztą przysłał do Warszawy korpus wojska rosyjskiego, co było bezprawiem. Słowem: Aleksander ani myślał szanować odrębności państwowej maleńkiego Królestwa Polskiego. Rządy zaś Konstantego były jednym pasmem gwałtów i nadużyć człowieka niepoczytalnego. Bywały nawet bezceństwa. Nie można wyjść ze zdziwienia, jak zdołano wytrzymać takie gwałty przez całe 15 lat.

Robiono przecież wszystko, co się pod takimi rządami dało robić pożytecznego dla narodu. Był ruch wokół gospodarczego podniesienia kraju i krążano się nad poprawą ustroju społecznego. Nie tylko Kongresówka, ale też prowincje bezpośrednio do Rosji wcielone pragnęły pożytecznych reform. Na przykład zaraz w r. 1817 próbowała szlachta polska na Litwie czy dałoby się przeprowadzić uwłaszczenie włościan. Ułożyli memoriał i posłali do Petersburga. Po dwóch latach nadeszła odpowiedź krótka i węzłowata: Kto będzie co mówił o uwłaszczeniu, pójdzie na Sybir! Albo taki przykład: w r. 1821 zajmował się sejm królestwa w Warszawie pytaniem, jak dojść do tego, by w każdej wsi była szkoła - a w dwa lata potem powiernik carski w Warszawie, Nowosilcow wystarał się, że wstrzymano zakładanie nowych szkół.

Pokazało się, że ze wszystkich stanów najwięcej stracił na upadku państwa polskiego lud wiejski. Wszystkie uwłaszczenia i czynszowania, które obywatele polscy zaprowadzili dobrowolnie po ogłoszeniu Konstytucji 3 maja, rząd rosyjski skasował. Rząd ten nie tylko zaprowadził wszędzie na nowo pańszczyznę, ale cofał rozwój społeczny wstecz jeszcze bardziej, wprowadzając na wzór rosyjski niewolnicze poddaństwo ludu. W krajach zabranych wolno było chłopą sprzedać, tak samo jak w Rosji, bo rząd wprowadził pod tym względem prawo rosyjskie. Nie znalazł się jednak ani jeden szlachcic polski, który by z tego "prawa" skorzystał. Dla polskiego sumienia było to nie prawem, lecz bezprawiem.

Rząd carski uważał nawet prostą wolność osobistą włościan za coś rewolucyjnego. Gdyby nie to, że Królestwo Kongresowe posiadało osobny rząd i swą konstytucję, Rosja zaprowadziłaby i na Mazowszu rosyjskie poddaństwo ludu wiejskiego. Nieszczęsnym skutkiem rozbiorów było między innymi i to, że dostaliśmy się pod rządy państw zacofanych w porównaniu z postępową Konstytucją 3 maja. Rządy zaborcze cofały rozwój społeczny polski. Najbardziej zacofana była zawsze Rosja: szczęściem szlachta polska nie poddawała się wpływowi rosyjskim. Była zanadto oświecona, żeby ulegać rosyjskiej ciemnocie.

Na jedno nie mogła jednak poradzić najlepsza wola szlachty polskiej w krajach zabranych, na Litwie, na Wołyniu i Podolu, tudzież w prowincjach południoworuskich: oto było w państwie rosyjskim prawo, że tylko szlachcie wolno posyłać do szkół dzieci. Skutkiem tego panowała coraz większa ciemnota wśród ludu, a to pociągało za sobą fatalne skutki na przyszłość. Pod rosyjskim prawem każde następne pokolenie stawało się coraz ciemniejsze, podobnie jak cały naród rosyjski, a nielicznymi wyjątkami nader szczupłej warstwy wykształconej, pograżał się w coraz większej ciemnocie.

W Kongresówce zdziałano najwięcej właśnie w dziedzinie oświaty. Jeszcze za Księstwa Warszawskiego wznowiono Komisję Edukacyjną, a Królestwo Polskie dbało wielce o szkoły, od największych do najniższych. Dość powiedzieć, że w ostatnim roku jego istnienia, w r. 1830, było tam analfabetów mniej, niż przed wybuchem I wojny światowej, a więc przeszło 80 lat potem. Znać na tym przykładzie różnicę rządów polskich a rosyjskich.

Car Aleksander I w sprawach szkół nie krępował Polaków całkiem, byle tylko nie zakładać w krajach zabranych (tj. poza Kongresówką) szkół ludowych. Książę Adam Czartoryski był ciągle kuratorem wileńskiego okręgu naukowego. Zreformował Uniwersytet Wileński i tak go urządził, że należał do lepszych w Europie. Na Wołyniu zaś, w mieście Krzemieńcu, Tadeusz Czacki urządził "gimnazjum wołyńskie" (przemienione następnie na "liceum krzemienieckie") jako szkołę wyższą, a tak doskonałą, iż dziś jeszcze oglądamy się na nią, jako na wzór niejednej rzeczy tyżającej nauczania i wychowania młodzieży. Z Wilna i z Krzemieńca, jak z dwóch wielkich ognisk, szły promienie polskiej oświaty na cały ten kraj od Inflant aż do Ukrainy. Mała republika krakowska robiła też, co mogła, dla podniesienia starego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zabierano się do założenia nowego uniwersytetu w Warszawie; zdążono jednak urządzić tylko dwa wydziały: prawniczy i lekarski, a niebawem nadejść miały gorsze czasy, które nie dały dokończyć rozpoczętego dzieła.

I pod pruskim zaborem zrazu szkoły polskie zostały szczęśliwie bez zmiany. Ale od r. 1824 zaczęto w wyższych klasach gimnazjalnych zaprowadzać powoli i ostrożnie wykłady niemieckie; nie robiło się z tego jeszcze systemu szkolnego, były to dopiero próby.

Zabraną na kongresie wiedeńskim część Księstwa Warszawskiego Prusacy nazwali Wielkim Księstwem Poznańskim, nadając nawet pewien samorząd narodowy. Polacy sprawowali tam urzędy, a namiestnikiem króla pruskiego był Polak, książe Antoni Radziwiłł.

Chociaż nie dotrzymano nam ani połowy z postanowień kongresu wiedeńskiego, położenie nasze pod Rosją i Prusami było bez porównania lepsze, niż w czasach następnych. Potem dopiero nastać miały ciężkie czasy.

W zaborze austriackim było natomiast z początku źle, bardzo źle pod każdym względem. W Galicji trwał srogi ucisk narodowy; szkoły były wszystkie niemieckie i ani jednego Polaka w urzędach. Za czytanie książki polskiej wypędzano ze szkół. Nie pozwalano też zakładać żadnych szkółek wiejskich. Rząd austriacki starał się przy tym usilnie o to, żeby nas zubożyć jak najbardziej. Skazano Galicję na ciemnotę i nędzę, a przy tym starano się ją zniemczyć.

Nie brak było pod zaborem rosyjskim znaków, że nastaną i tam czasy gorsze. Najgorszym znakiem było, że w r. 1823 odebrano księciu Czartoryskiemu godność kuratora szkół. W trzy lata potem kazano całej szlachcie przedstawić dokumenty szlacheckie. Kto nie miał papierów w porządku, tego nie wpisano do ksiąg szlacheckich. Jakże miały być papiery w porządku w kraju, który przechodził przez "potop" i potem jeszcze przez tyle wojen i pochodów nieprzyjaciela? Tylko bogatsi, posiadający zameczki, skarbczyki zamczyste itp. mogli zachować swe papiery familijne w całości; ogół tracił je wśród pożarów drewnianych dworów szlacheckich. Wiedział o tym rząd rosyjski, a spis szlachty urządził umyślnie w ten sposób, iż przeszło połowa rodzin szlacheckich przestawała być szlachtą w oczach rządowych, a skutkiem tego traciła prawo posyłania dzieci do szkół.

Jeszcze gorzej niż za Aleksandra działo się za jego następcy, Mikołaja I (1825-1855). Oślawiony był w całej Europie "system mikołajowski"; polegający na prawdziwie azjatyckim despotyzmie, na szpiegostwie, donosicielstwie, na wojskowych i policyjnych rządach rosyjskich oficerów. Szkoła i książka uległy srogim prześladowaniom. Kongresówka stawała się krajem coraz mniej oświeconym i coraz uboższym. Przybywało tylko więźniów politycznych. We wschodnich zaś prowincjach zrusyfikowano wszystkie urzędy i zmierzano do zrusyfikowania szkół. W roku 1822 (jeszcze za Aleksandra) zabrano się do prześladowania młodzieży na Uniwersytecie Wileńskim. Wywieziono wtedy w głąb Rosji znacznie większą liczbę młodzieży z Adamem Mickiewiczem na czele. Uniwersytet prześladowano coraz dotkliwiej, czekając tylko sposobnej chwili, żeby go zamknąć zupełnie.

Mikołaj I rad byłby zniweczyć do cna całą Polskę i wytępić Polaków; uważał to za wykonalne, jeżeli się zabrać do tego systematycznie i w pewnej kolejności potrzebnych do tego środków i przedsięwzięć. Ułożono plan, obliczony na długie lata. Ponieważ polskość opierała się na katolicyzmie w przeciwieństwie do rosyjskiego prawosławia, postanowiono zniweczyć katolicyzm, najpierw w tzw. krajach zabranych, tj. na Litwie i Rusi.

Trudną sprawę ułatwiono sobie, rozdzielając na części według zasady: nie wszystko naraz, lecz częściami po kolei. Zacząć tedy od unii, bo podobna jest do prawosławia językiem cerkiewnym i niejedną zewnętrzną stroną obrządków. Prowadzić ostro dalej aż do końca to, co zaczęła Katarzyna, co wznawiał Aleksander I. Unię skasować, a potem dopiero zabrać się do łacinników. Gdy się przerobi unitów na prawosławnych, przyjdzie kolej na szerzenie prawosławia pomiędzy katolikami obrządku łacińskiego. Nie wszystko naraz! Najpierw nabożeństwa dodatkowe po rosyjsku, potem rosyjskie kazania, zmiany w strojach liturgicznych, potem zmiana mszału itd., krok po kroku, aż się zniszczy najpierw unię a potem łaciński obrządek. A gdy na Litwie i Rusi prawosławie obejmie całą ludność, przyjdzie kolej na ziemię z ludnością czysto polską. Jeżeli kiedy w przyszłości, po latach kilkudziesięciu ogół Polaków będzie wyznawał schizmę prawosławną, czy to będzie jeszcze naród polski? Jeżeli porzucą religię, tym łatwiej wyrzekną się potem języka i narodowej odrębności. Taki plan powziął Mikołaj I.

Decyzja zapadła podczas podróży carskiej na Litwie, gdy naocznie się przekonywał, jak ściśle tam zachodzą związki pomiędzy unią a polskością. Niebawem dnia 6 października 1827 r. wyszedł "ukaz" (rozkaz carski), żeby zmuszać do prawosławia także tych unitów, którzy zmienili obrządek na

łaciński, żeby odtąd Polaków nie przyjmować do Bazylianów i żeby dla młodzieży unickiej zakładać osobne szkoły, w których by się przyzwyczajali do prawosławia.

Właśnie toczyła się w Petersburgu nowa wielka sprawa o przechodzenie unitów na obrządek łaciński. Zebrało się takich aż 20 000. Rząd rosyjski był przerażony, bo łacina łączyła się zawsze z polszczyzną. Zapadło postanowienie, żeby się zabrać od razu do niweczenia unii, nie zwlekając.

W miesiąc po wydaniu ukazu, z początkiem listopada dowiedział się o tym od dyrektora kancelarii obcych wyznań w ministerstwie (Karłaszewskiego) przebywający w Petersburgu dostojnik cerkwi unickiej, Józef Siemaszko i zgłosił się pisemnie, że podejmie się przeprowadzić zamiary rządu. Złożył w tej sprawie szczegółowy memoriał, datowany 9 listopada 1827 r., z dokładnym planem postępowania. Znalazł się więc trzeci wielki zdrajca, po Sadkowskim i Lissowskim.

Józef Siemaszko ur. w r. 1798 był synem księdza unickiego w Starym Pawłówku pow. lipowieckiego w województwie kijowskim. Ojciec jego mówił i pisał doskonale po polsku; on sam odbył też i początkową naukę w domu w polskim języku i kształcił się dalej w polskich szkołach. W klasach wyższych udzielał lekcji kilkunastu uczniom polskim, a więc również w polskim języku. Sam był następnie uczniem seminarium duchownego w Wilnie, przyjmującego alumnów obydwóch katolickich obrządków, Jedno z próbnych kazań wygłosił w katedrze wileńskiej, spisawszy je sobie po polsku i po polsku oczywiście wygłaszając (rękopis dochował się). Nauczycielami w seminarium byli tylko łacińscy księża. Kształcił się tedy po polsku, lecz Polakiem nie był. Polskie brzmienie jego nazwiska byłoby - Siemiaszko; Siemaszko brzmi po rusku. Był więc Rusinem z pochodzenia, ale poczucia narodowego nie miał w sobie ni ruskiego, ni polskiego; potem wprosił się pomiędzy Moskali.

Niestety, wykształcenie duchowieństwa unickiego było zawsze niedostateczne, znacznie niższe od łacińskiego. Zachodzi jeszcze druga okoliczność. Wiadomo, że katolicki kapłan nie może zawierać ślubów małżeńskich; unickie duchowieństwo ma zaś od Stolicy św. ten przywilej, że żonatego wolno wyświęcić, a zatem kleryk ruski, jeżeli chce się w ogóle żenić, musi się z tym spieszyć, i pojąć żonę, dopóki nie jest kapłanem, a zatem przed wyższymi święczeniami żenią się więc wszyscy młodo, zazwyczaj na początku ostatniego roku studiów, bo potem już nie mogliby się żenić (dlatego też owdowiały ksiądz nie może żenić się powtórnie). Zachodzi jeszcze drugie ograniczenie: taki żonaty kapłan nie może sprawować w cerkwi wyższych dostojęstw, które zastrzeżone są dla bezżennych. Celibat jest wszakże czymś bardzo rzadkim u duchowieństwa świeckiego, zwanego "białym"; toteż do wyższych godności powołuje się tylko zakonników z jednego ruskiego zakonu Bazylianów, spośród tzw. duchowieństwa "czarnego". Po klasztorach uprawiano tedy nauki; dość powiedzieć, że Bazylianie mieli kilkadziesiąt gimnazjów, w których sami byli profesorami; oni też tylko odbywali wyższe studia teologiczne. Kapłan "biały" nie miał na to czasu, ani sposobów. Nie mógł się uwalniać na jakiś czas od swych obowiązków, parafialnych i wyjechać na studia, bo kto mu będzie przez ten czas żywić żonę i dzieci? Trzeba by też szczególnego powołania do nauk, żeby się im oddawać, nie pytając, czy się to na coś przyda. Więc taki ksiądz "biały" wiedząc, że nigdy nie będzie niczym więcej, jak skromnym i ubożuchnym (przy kilkorgu dzieciach) plebanem wiejskim, nie garnał się do książek.

Józef Siemaszko miał więcej od innych oglady, nabytej w tych zamożnych domach, gdzie lekcji udzielał i gdzie się też spotykał z biblioteczkami domowymi; czytywał nie tylko książki szkolne, połapał to i owo z literatury. Wykształcenie jego było nader nierówne i powierzchowne, ale między ślepych jednooki królem, więc górował nad rówieśnikami. Zwrócił uwagę swego biskupa, który sam doradził mu, żeby się nie żenił. Wiadomo było, co to znaczy; dzięki temu zrobił dziwnie szybką karierę.

Do jakiego stopnia brakowało cerkwi ludzi zdolnych, znać z tego, że Siemaszko już jako subdiakon, licząc zaledwie 22 lata, był profesorem kleryków w Poczajowie. Wnet został asesorem konsystorskim, a gdy liczył lat 24 był już w konsystorzu oficjałem; tegoż roku protorejem, kanonikiem, w r. 1825 został prałatem w 27 roku życia. Sam pisał potem o tej karierze w te słowa: "Co było zresztą robić, skoro biskup nie miał nikogo lepszego? Na bezrybiu i rak ryba". Przebywał stale koło zacnego władcy (tj. biskupa) Matuszewicza, który był biskupem łuckim i ostrogskim, a zarazem egzarchą na gubernie: wołyńską, podolską i kijowską, ale z wielkich tych tytułów tyle było zaledwie rzeczywistości, iż rezydował w Żydyczynie, w zapadłej miejscinie w jednej ze swych diecezji, w łuckiej. Ale od r. 1822 zmienił Siemaszko miejsce pobytu i to od razu radykalnie na wielkie miasto stołeczne, bo został

wysłany na reprezentanta diecezji do tzw. kolegium petersburskiego, które było władzą administracyjną nad wszystkimi diecezjami unickimi. Ponieważ był trochę otrzaskany w języku rosyjskim (którego inni całkiem nie znali), więc znów był naprawdę potrzebny i wybijał się nadal. Czytał w tych latach ogromnie dużo, ale bez wyboru, a przeważnie po rosyjsku i to głównie powieści. Sam powiadał, że w jednym roku przeczytał aż 400 książek; mogły to więc być tylko takie, przy których nie trzeba się zastanawiać i które niczego nie uczą.

Szybka kariera uderzyła mu do głowy. Chciałby jeszcze wyżej. Godność biskupa nie mogła go ominąć, ale kiedy? Czy nie dałoby się przyspieszyć? Władyka unicki, to już było dla niego za mało; w unii można nawet zostać egzarchą i być zakopanym na całe życie w jakimś Żydyczynie! On pragnie być kimś wielkim na wielkim świecie, a dotychczasowa kariera, jak na młode lata szalona, powinna toczyć się dalej w tempie również szalonym! Dokąd? Choćby do największego stanowiska, na metropolitę całego cesarstwa rosyjskiego!

W takim razie trzeba jednak porzucić unię. Myślał też o tym już od r. 1824. Przez trzy lata wahał się jednak, gdy nagle w listopadzie 1827 r. po rozmowie z Karłaszewskim spostrzegł, że chwila jest sposobna i byle ją zaraz wyzyskać, kariera pewna. A był przy tym ogromnie łasy na pieniądze. Spisał więc natychmiast memoriał. Wypracowaniem tym zainteresował się sam car i pytał o życiorys autora. Napisał wtedy swą biografię, przekręcając wiele, ujmując i dodając, nawet zmyślając, wpisując jak najwięcej tego, co się Mikołajowi mogło podobać.

W memoriale zaś kładł nacisk na to, że unia zamienia się w "łaciństwo" i polszczyje. W naukach kościelnych dla unitów upowszechniał się język polski, a w wielu miejscach używano go nawet do ważniejszych modłów. Sami księża unicy przechodzą często na obrządek łaciński, zatrzymując żony ze szczególnymi dispensami. U Bazyliańców połowa jest Polaków, którzy przeszli na obrządek wschodni, żeby podtrzymać unię. Dobrze byłoby odebrać Bazyliańcom gimnazja, ale na razie nie ma ich kim zastąpić; dlatego trzeba zacząć kasować klasztory bazylikańskie, których czwarta część wystarczy. Trzeba oddzielić rodowitych Rusinów od Polaków obrządku wschodniego. Widział bowiem Siemaszko, jak na każdym kroku, od seminarium aż do stolic władczych, po parafiach i po zakonach duchowni narodowości polskiej są mocniejsi w wierze, podczas gdy Rusini są jak trzcina na wietrze i do unii wcale nie są przywiązani. Rozumiał, że unia runie, skoro nie będzie podtrzymywana przez Polaków.

Siemaszko zastrzegł sobie, że memoriał jego pozostanie sekretny i rzeczywiście sekretu dotrzymano. W krótkim czasie złożył on jeszcze 8 referatów w ministerstwie, między innymi o konfiskatę majątków bazylikańskich i żeby cerkiew unicka miała tylko dwa biskupstwa (eparchie), białoruską i litewską; o nowe urządzenie konsystorza, o schizmatycznych księgach cerkiewnych, o ścisłe poddanie unii władzy świeckiej na równi z prawosławiem itd.

Do wszystkich szkół średnich, a nawet i niższych wprowadzono naukę języka rosyjskiego, podręczniki szkolne moskiewskie i przepisano wykład w tym języku "choć nauczyciele sami dopiero zaczynali się uczyć tego języka". Wysyłano też odtąd kleryków unickich po dwóch do Uniwersytetu Petersburskiego, po czterech do moskiewskiego i po czterech do moskiewskiej akademii duchownej. Ale przede wszystkim chciał się Siemaszko pozbyć polskiego żywiołu pośród Bazyliańców i dlatego radził pozostawić zakonnikom prawo, żeby mogli przechodzić na obrządek łaciński. Jakoż w tym samym jeszcze r. 1827 opuściło zakon 50 Bazyliańców, przechodząc na obrządek łaciński, a liczba ta miała się jeszcze potem zwiększyć. W ten sposób zabezpieczali się, że nie będą zmuszeni do schizmy. A za swe referaty, za rady i współpracę otrzymywał Siemaszko nie tylko order po orderze, ale też dary pieniężne, setkami a czasem nawet tysiącami rubli, i coraz lepsze posady. W r. 1829 był już z łaski cara biskupem, a liczył dopiero 31 lat.

Gdy wiadomości o tym doszły do Rzymu, wysłano do rządu carskiego dwa pisma. Siemaszce powierzono na nie ułożyć odpowiedź. Brzmiała w tym sensie, że wszelkie zmiany poczynione w Cerkwi są natury tylko politycznej a nie religijnej! A tymczasem postępowano sobie coraz śmielej. W roku 1830 zagrabiono klasztor bazylikański w Owroczu, słynny z pielgrzymek, a nawet najślawniejszy, a słynący cudownym obrazem klasztor w Poczajowie - tudzież pozamykano wszystkie szkoły bazylikańskie. Kazano w cerkwiach bazylikańskich pousuwać organy, ławki, zaprzestać godzin i

różańców, a powstawać "carskie wrota", ikonostasy i ubiory prawosławne. W ciągu dwóch lat zamknięto niemal dwie trzecie klasztorów.

Czasy mikołajowskie dawały się też we znaki jednemu wówczas przedstawicielowi głębszego ruchu religijnego, księdzu Podgórnemu. Redemptoryście z warszawskiego ogniska "Benonitów". Zbierał swoich dawnych towarzyszy i powiodło mu się po licznych przeciwnościach urządzić dla nich "wspólny dom" w Piotrkowicach. Sam bywał w ciągłych rozjazdach na misje. Najwięcej wypadło ich na lata 1824-1828. Bywał z misjami w Krakowskim i w Kieleckim. Wyjechał nawet poprzez kordon do zaboru austriackiego, urządzając misje na Sądecczyźnie. Zakon Redemptorystów nie otrzymał jednak rządowego upoważnienia, toteż ksiądz Podgórnemu bywał narażony na wiele utrudnień i nieprzyjemności, a w Piotrkowicach zdarzały się często rewizje policyjne i zjeżdżały całe komisje, aby sprawdzać czy też przypadkiem ten wspólny dom nie jest klasztorem?

Równocześnie łamano wszystkie zobowiązania, jakie car miał względem swego Królestwa Polskiego z racji postanowień kongresu wiedeńskiego z r. 1815. Car był przecież w Warszawie królem polskim i to koronowanym, i konstytucyjnym królem Kongresówki. Z konstytucji nie zostało nic, wszystkie prawa zdeptano, a wprowadzano coraz sroższy ucisk.

Ucisk moskiewski doprowadził wreszcie do powstania. Wybuchło dnia 29 listopada 1831 r. przedwcześnie i bardzo nierozważnie, zanim zostało należycie przygotowane. Przyspieszono zaś wybuch dlatego, ponieważ równocześnie zaniósł się na powstanie w Belgii przeciwko narzuconemu jej przyłączeniu do Holandii. Car chciał być poskromicielem wszelkich ruchów wolnościowych w całej Europie i zamyślał wyprawić wojsko przeciwko odległym na zachodzie Belgom. Ale nie zamierzał wysłać wojska rosyjskiego, tylko wyznaczał ten pochód wojsku polskiemu z Kongresówki, a na jego miejsce zamierzał wprowadzić do królestwa pułki rosyjskie. Kraj ogołcony z wojska narodowego nie miałby potem żadnej siły do oporu, zwłaszcza że z Belgii wróciłyby tylko zbiedzone resztki armii. Ażeby tedy przeszkodzić carskim zamiarom, przyspieszono wybuch powstania. W taki sposób Polska ocaliła niepodległość Belgii, lecz utraciła resztki własnej niepodległości.

Powstanie polskie obfitowało wprawdzie w czyny bohaterskie, a nawet w zwycięskie walki, ostatecznie jednak skończyło się przegraną. We wrześniu 1832 r. Moskal panował już w Warszawie. Zaraz następnego roku zamknięto warszawskie Towarzystwo Naukowe, a w r. 1833 Uniwersytet Wileński, szkołom zaś średnim odjęto cechy polskie i obniżono umyślnie ich poziom. Rząd rosyjski znosił stopniowo wszystkie te urzędy, które w Kongresówce były lepsze od rosyjskich; starano się zrobić z królestwa rosyjską prowincję. Zrazu były to próby nieśmiałe, lecz stawały się coraz śmielsze, a ten pierwszy prąd rusyfikacyjny miał trwać przez 25 lat.

Austria i Prusy germanizowały także z całych sił, niemcząc nawet szkoły. Wyszukiwano w tym okresie wszelkich pozorów, żeby ścieśniać działalność polskich zakonów. Zaczęło się to od owego "domu wspólnego" w Piotrkowicach, który skasowano z urzędu w r. 1834.

Zostawał jeszcze strzęp niepodległości w republice krakowskiej. Była to czcza komedia niby niezawisłej państwowości, bo przebywali tam stale przedstawiciele wszystkich trzech państw zaborczych, kontrolując nie tylko każdy urzędowy krok "senatu rządzącego", ale trzymając też społeczeństwo pod ciągłym terrorem policyjnym. Ale przynajmniej języka polskiego tam nikt nie uszczuplał, a szkół przybywało. O tym państewku, odznaczającym się szczupłością, trzeba było jednak powiedzieć, że "lepszy rydz, niż nic".

Tam też podążył ksiądz Podgórnemu, gdy go wygnano z Piotrkowic w r. 1834, szukając, gdzie by odetchnął swobodniej. Lecz na próżno próbował, czy mu się w tym państewku polskim nie uda zebrać na nowo rozproszonych braci zakonnych, dawnych Benonitów i towarzyszy z Piotrkowic. Nie dano mu tu także założyć klasztoru. Osiadł w końcu przy klasztorze SS. Norbertanek w Zwierzyńcu pod Krakowem, przy tym starożytnym klasztorze bł. Bronisławy i Judyty Krakowianki. Tam pędził życie zaciszne i odosobnione aż do zgonu w r. 1847 (pochowany w podziemiach tego kościoła). Ugiął się prawdziwie pod ciężarem życia. Ze swych zbożnych trudów i zabiegów nie oglądał żadnych owoców; zakon, któremu poświęcił życie, jakby przepadł i zaginął; o polskiej sprawie narodowej można było doprawdy zwątpić, bo spadał tylko cios po ciosie.

Zwątpić? Można było, lecz nie należało! Bo czyż może zwątpić w dobrą sprawę dobry katolik, posiadający głębsze wykształcenie religijne? Zawsze trzeba zachowywać nadzieję i pokładać ufność w łasce Bożej. Tego nie brakło księdzu Podgórnemu, który modlił się żarliwie za Ojczyznę.

Ale tego właśnie nie dostawało ogółowi ówczesnej inteligencji polskiej. Spostrzegł zapewne czytelnik, jak w ostatnich rozdziałach stosunkowo niewiele dało się mówić o świętych i świątobliwych. Bo było ich niewiele! Pokolenia owe nie celowały żywą wiarą, a patriotyzm ich nie był przejęty duchem religijnym. W całej Europie zapanowało niedowiarstwo, a Polska nie była niestety lepsza od innych. Dopiero po r. 1831 miała nastąpić poprawa. Zrazu zabłysnęły światła nieliczne, przybywało ich jednakże, przybywało ciągle, aż wreszcie jasność ogarnęła Polskę na nowo. Najpierw nastąpiło odrodzenie religijne, a potem dopiero dostąpiliśmy odrodzenia politycznego. Ten ciekawy tok historii będzie stanowił przedmiot następnych rozdziałów, a będzie przybywało coraz bardziej rodaków i rodaczek świątobliwych.

Wielka emigracja

Rozdziałem niniejszym rozpoczynamy opowiadanie ostatnich stu lat naszych dziejów. Im coś bliższe naszego pokolenia, tym wszechstronniej nas interesuje, bo nie tylko łatwiej zrozumią, ale też widoczniej związane z dniem dzisiejszym. Liczniesze są nici, łączące nas z bliższymi przodkami. Opowiadanie nasze stanie się z tego powodu bardziej szczegółowe, obszerniejsze, pomimo że nie będzie już nowych świętych kanonizowanych, ani nawet błogosławionych, beatyfikowanych z tych ostatnich stu lat. Wiadomo, jak długo trzeba czekać na beatyfikację, a na kanonizację czasem po kilkaset lat! Dlatego też wciągaliśmy i wciągamy nie tylko wyniesionych już na ołtarze, ale także takich świątobliwych, o których przypuszcza się, że zasługują na beatyfikację. Gdyby w jakimś kraju nie było wprawdzie czci dla świątobliwych, nie byłoby w takim kraju świętych patronów. A któż zdoła przewidzieć, który ze świątobliwych będzie w końcu podniesiony na ołtarze? Gdyby pisać tylko o takich, którzy już przeszli przez beatyfikację, nie można by w ogóle pisać o ostatniej setce lat! A tymczasem w Polsce przyniosły te lata plon świątobliwości tak obfity, iż nastał u nas znów nowy okres świętości.

Zacniemy opowiadanie od tego, jak nagle rozwinęła się polska twórczość religijna. Zanim minął w. XIX, powstało aż jedenaście nowych polskich zakonów! Nowe zbożne pomysły organizacyjne powstawały tedy dziwnie szybko po sobie. Pierwsza fala wytężonego ruchu religijnego obejmuje jeden po drugim pięć zakonów: męski Zmartwychwstańców i cztery żeńskie: Służebniczki, Felicjanki, Niepokalanki i Dominikanki polskie. Wszystkie te pracownie wytężonej pracy religijnej powstały w ciągu zaledwie ośmiu lat! Coś tak nadzwyczajnego nie zdarzyło się nigdy jeszcze i nigdzie w całej historii Kościoła powszechnego. Więc jakże nie poświęcić temu ruchowi bacniejszej uwagi? Czyż można nie zatrzymać się nad tym dłużej i nie roztrząsać bardziej szczegółowo? Nastało bowiem w Polsce wreszcie po r. 1831 odrodzenie religijne, wzmagające się coraz bardziej aż do naszych dni. Zapamiętajmy sobie: wprawdzie nastąpiło odrodzenie religijne, a potem dopiero polityczne. Co zaś przy tym szczególnego, że początki tego polskiego ruchu religijnego dokonały się nie w samej Polsce, lecz za granicą, w Paryżu, między emigrantami. Dziwna kolej rzeczy wymaga wyjaśnienia.

Hasło wyszło od największego z Polaków, od tego, który sprawował w swym pokoleniu "rząd dusz", od Adama Mickiewicza. Największy nasz poeta był religijny. Kiedy go w r. 1824 wywożono do Petersburga, najlepszemu swemu przyjacielowi, Tomaszowi Zanowi, ofiarował na pamiątkę dzieło św. Tomasza a Kempis "O naśladowaniu Chrystusa", uważane przez Kościół za pierwsze po księgach Pisma Świętego. W pięć lat potem wydany był ponownie rozkaz uwięzienia, lecz szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało mu się wyjechać za granicę. Bawił w Czechach, w Niemczech, w Szwajcarii i następnie we Włoszech. W Rzymie spotkał się ze sławnym księdzem Chołoniewskim, z którym prowadził długie rozmowy o świecie nadprzyrodzonym. Zaczął też zagłębiać się w dociekaniach nad stanowiskiem Kościoła w dziejach ludzkości. Przyznawał, że kapłanowi temu winien "wiele pociechy, wiele chwil szczęśliwych i nowy widok świata, ludzi i nauk". Wszystkie też wiersze Mickiewicza pisane w owym czasie ujęte są na tle religijnym. W umyśle wieszczka powstaje nawet zamysł, czyby nie zostać księdzem. Tymczasem jednak wyrwał się ku stronom ojczystym, bliżej pobożowisk. Jakaś misja, otrzymana od rządu narodowego, skierowała go przedtem do Paryża i dopiero około połowy sierpnia

1831 r. mógł się przemycić w granice Wielkopolski. Zanim zdołał się dalej przedostać do wojującego królestwa - było już powstanie w upadku. Odtąd przebywał stale w Paryżu, a zajmował się bardzo wiele kwestiami religijnymi.

Po upadku powstania listopadowego kwiat społeczeństwa polskiego musiał uchodzić spod rosyjskiego zaboru i przeniósł się za granicę, głównie do Francji. Tam też podążały resztki wojska polskiego. Rząd francuski wypłacał oficerom i żołnierzom po połowie tego żołdu, jaki pobierali w wojsku polskim. Emigrowali też cywilni, bo car skazał na wieczne wygnanie i konfiskatę majątków 2540 osób, nie mówiąc o licznych tysiącach, skazywanych na więzienie. A nadto nadzwyczaj ostre przepisy cenzury rosyjskiej sprawiały, że literatura mogła się rozwijać tylko za granicą. Gasił też rząd rosyjski światła w Polsce: zniósł wydziały uniwersyteckie w Warszawie, zamknął uniwersytet w Wilnie i liceum krzemienieckie. W dawnych województwach litewskich i południoworuskich, dla których utarła się nazwa "krajów zabranych", pozamykano wszystkie szkoły polskie. Okoliczności te sprawiały, że kwiat naszej inteligencji chronił się do Francji, zwłaszcza do Paryża. Tam zebrało się wszystko, co Polska posiadała najcenniejszego duchowo. Stąd nazwa tej emigracji - wielka emigracja.

Nad wszystkimi górował tam Mickiewicz. Znów się namyślał, czyby nie obrać sobie stanu duchownego. Co do tego, mylił się. Powołania kapłańskiego nie miał, tylko chwilową ochotę brał przez jakiś czas mylnie za powołanie. Zresztą w r. 1834 ożenił się.

Pozostało mu jednak na całe dalsze życie szczególne zainteresowanie do wszelkich kwestii religijnych i szerzył religijność koło siebie. "Rzecz to była niesłychana i prawie cudowna (słowa ks. Jana Koźmiana) widzieć jak na emigracji powoli wykluwała się w bólu i trudzie myśl katolicka, kojarząc w jedno ludzi dobrej woli, znużonych szukaniem prawdy, a uspokojonych i uszczęśliwionych tym, że ją znaleźli. Napadano na nich to rozumowaniem, to oburzeniem, to ironią, a oni trwali i wzmacniali się i nabierali przekonania, że trzeba poświęcić wszystkie względy ludzkie".

Trzeba bowiem wiedzieć, że w gronie skupiających się około największego wieszczki narodowego (któż by nie chciał zaliczyć się do jego znajomych?) nikt nie był bogobojnym katolikiem od początku. Zachodził tam szereg nawróceń z większej lub mniejszej obojętności religijnej. Poznajmy się bliżej z takim, który przed nawróceniem stał jak najdalej od Kościoła, w szeregach jawnych wrogów katolicyzmu, a który następnie stał się filarem ruchu religijnego.

Bogdan Jański urodził się w r. 1807 w Pogorzelu w Płockiem, w rodzinie ziemiańskiej, od dłuższego czasu ciągle niestety ubożającej. W uniwersytecie musiał się utrzymywać z lekcji, a był uczniem tak pilnym, iż ledwie 19 lat licząc, otrzymał stopień magistra praw. Szczególniej przykładał się do nauki ekonomii politycznej. Profesor tego przedmiotu, hr. Fryderyk Skarbek (autor cennych dzieł naukowych, które dotychczas nie utraciły wartości), wystarał mu się o stypendium rządowe, żeby mógł wyjechać do Paryża i tam przysposobić się na przyszłego profesora prawa handlowego.

W paryskim wirze interesował się nowymi prądami, a że ledwie mu mijało 20 lat, więc przylgnął do nie najrozumniejszego prądu, "saintsimonizmu", zwanego tak od swego twórcy hr. Saint-Simona. Był to tęgi fizyk i inżynier, a w ówczesnej Francji inżynierowie właśnie najwięcej filozofowali i radzili, jak ludzkość przerobić. Pomysły ich, chociaż błędne i niewykonalne, pochodziły bądź co bądź z dobrej woli, a hr. Saint-Simon należał wśród nich do najpoważniejszych. Umarł na dwa lata przed przyjazdem Jańskiego do Paryża. Niefortunni uczniowie doprowadzili niektóre punkty nauk swego mistrza do absurdałnego komizmu i przekręcili je na wielce rewolucyjne. Naukę mistrza każdy przeinaczył według swoich urojeń, a w pewnym odłamie niby "saintsimonistów" zjawił się rodzaj socjalizmu; znalazła się nawet grupa, która zajęła się aż układaniem nowej religii, mającej zapewnić każdemu raj na ziemi. Powstawała sekta, złożona z wykołajeńców i dziwaków. Niektórzy posuwali się do tego, iż głosili wspólność kobiet. Wywodzili zaś wszyscy swe urojenia z błędnie tłumaczonej zasady braterstwa i wzajemnej życzliwości. Jednej grupie dziwaków zdawało się, że wymyślili sposób, żeby te cnoty zaszczerpiły się ostatecznie w ludzkiej naturze. Wynalazek polega na tym, żeby nosić kamizelki zapinane z tyłu, na grzbiecie. Nikt jej sam sobie nie zapnie! Trzeba do tego pomocy "brata" i tak zaraz od samego rana będziemy sobie wzajemnie uczynni, pomocni. Urządzali pochody propagandowe po ulicach Paryża, paradując w tych kamizelkach. Wkrótce stali się publiczną zabawką Paryżan. Gdy wszakże w swej "osadzie" zaczęli jawnie również uprawiać wspólność kobiet (z reguły nierządnic),

władza ich rozpędziła i skończył się cały "saintsimonizm", zganiany całkiem niesłusznie na Saint-Simona, któremu się o żadnych wybrykach nie śniło.

W ten nierozum i w ten brud wpadł nasz warszawski stypendysta, uniesiony młodzieńczą wyobraźnią i naiwnością. Udział w gadaniu i pisaniu "urojeńców" zabierał mu więcej czasu, niż studia prawa handlowego; te jednak nie całkiem były opuszczone, gdyż dochowały się z tych czasów jego zapiski naukowe i ułamki rozpraw, tylko że ani jednej nie doprowadził do końca. Znać, że oduczył się systematycznej pracy. Umysł jego zanurzony przez trzy lata w mętnych wirach jakiejś niby religii stawał się coraz bardziej chaotyczny. W jednym tylko umacniał się, w niechęci do Kościoła. Kiedy po wybuchu powstania w listopadzie 1831 r. układał odezwę do Francuzów, zamieścił w niej pochwałę narodu francuskiego, że "z największym w świecie zapałem wyswobodziłeś się z dawnego despotyzmu polityki i religii". Liczył wtedy lat 24.

Jański zbliżył się oczywiście od razu do emigracji. Szczęśliwym dla siebie zbiegiem okoliczności dostał się pod wpływ Mickiewicza (przez jakiś czas mieszkali nawet w jednym domu) i po dwóch latach stał się katolikiem nie tylko ze chrztu i metryk, ale z przekonania. Z Szawła zrobił Mickiewicz Pawła. Zaczęło się to od współzawodnictwa w wydawanym przez Mickiewicza piśmie emigracyjnym "Pielgrzym" od wiosny 1833 r.

Umieszczał tam wiersze patriotyczne także słynny potem Hieronim Kajsiowicz, młodzieńki oficer powstania, urodzony w r. 1812 nad Niemnem w Augustowskim. Do gimnazjum uczęszczał w Sejnach, a potem jako student praw Uniwersytetu Warszawskiego przerwał studia i wstąpił do ułanów. Ciężko ranny w bitwie pod Nową Wsią, cięty pałaszem przez twarz, przez oko, nosił tę szramę do śmierci; wyleczony w szpitalu w Puławach, udał się potem z innymi na emigrację. Zamieszkał początkowo dość daleko od Paryża, w mieście Angers, gdzie należał do rewolucyjnych tajnych stowarzyszeń, a przy tym był sławnym wodzirejem tańców na wszelkiego rodzaju balikach, nazywany znacząco "najcieleńszym z cielesnych". Wpłynął na niego jednak religijny pierwiastek, który wybijał się w "Pielgrzymie" coraz wyraźniej, a w końcu potem niejedyn taki Kajsiowicz został zakonikiem.

Zaczął się ruch religijny od tego, że szczupłe grono osobistych znajomych zbierało się co piątku na mszę świętą a potem szli do Mickiewicza i tam u niego czytali Pismo Święte i debatowali o sposobach odzyskania niepodległości, opierając miłość Ojczyzny na miłości Boga.

Pod koniec r. 1834 ośmiu wybitnych emigrantów z Mickiewiczem na czele założyli bractwo "Braci Zjednoczonych", mające stać się trzonem katolickiego obozu na emigracji. Akt założenia spisano i podpisano dnia 19 grudnia 1834 r. po spowiedzi i wspólnej komunii świętej. Podpisali się własnoręcznie: Adam Mickiewicz, Antoni Górecki, Stefan Witwicki, Cezary Plater, Bogdan i Józef Zalescy, Ignacy Domejko, Bogdan Jański. Hasłem ich było: "Służcie Bogu Polacy, a Bóg zbawi Polskę". Grono to zwiększało się następnie, lecz nigdy nie liczyło ponad 30 członków. Przyjmowano na "Braci" tylko osoby jak najbardziej dobrane i jak najsurowiej wybadane co do katolicyzmu.

W ciągu r. 1835 najważniejsze były dwa nawrócenia. Dnia 15 stycznia 1835 r. wracał do Kościoła syn marnotrawny o niezwykłej przeszłości: Piotr Semeneńko, urodzony w r. 1814 we wsi Krypno, położonej między Tykocinem a Krzyszynem na Białej Rusi. Dziad jego był unitą i szlachcicem polskim, a ożenił się z kalwinką. Zmuszono go, żeby oddał syna do korpusu paziów w Petersburgu. Tam wychowany i zrusyfikowany, przepisany na prawosławie, odbył następnie kilka lat służby wojskowej, po czym został urzędnikiem cłowym w okolicach Tykocina. Gdy w r. 1814 przyszedł na świat Piotr, zawieziono go do cerkwi parafialnej na chrzest. Przypadek zrządził, że popa tego dnia nie było na miejscu; odniesiono więc dziecię do kapłana katolickiego. W ten sposób Piotruś wracał do katolicyzmu i to w obrządku łacińskim. Następnie w szkole u OO. Misjonarzy w Tykocinie przystąpił po katolicku do Sakramentów świętych. Gdy się o tym dowiedziała babka, kalwinka, zamieszkała w Tykocinie, zbiła chłopca i odesłała do ojca. Ten jednak pomny przeszłości rodu i w duchu utrzymujący jego tradycje, synka pochwalił. Wyprawił go dalej na nauki gimnazjalne w Białymstoku i w Krożach, gdzie skończył szkołę średnią w r. 1829. Studiował następnie w Uniwersytecie Wileńskim, lecz gdy wybuchło powstanie, rzucił studia i poszedł do szeregów, chociaż był tak wąty, że z początku ledwie mógł podawać kule armatnie. Wszakże liczył niecałych 17 lat! Potem na emigracji gorzej się spisywał. Stracił całkiem łaskę wiary i należał do skrajnych najczernerńszych rewolucjonistów, tak dalece, iż

police francuska ścigała go przez dwa lata bez ustanku z miejsca na miejsce. Przytulił go wreszcie Bogdan Jański, z którym wywiązała się przyjaźń, a skutek był taki, że Piotr Semeneńko, nawrócony, stał się jednym z najgorliwszych katolików na emigracji.

W czerwcu tegoż r. 1835, głównie dzięki rozmowom z Mickiewiczem, przystępował do Sakramentów świętych u Benedyktynów w Solesmes niedaleko Paryża Hieronim Kajsiewicz.

Mickiewicz sięgał myślą najdalej, aż oświadczył jawnie: "Na nic się to wszystko nie zdało, trzeba dla Polski zakonu". Od r. 1835 starano się zebrać fundusze, żeby gdzieś na dalszym przedmieściu wynająć na początek mały domek, w którym zamieszkaliby razem ci z nieżonatych "braci", którzy by mieli ochotę i przekonanie do życia wspólnego, ujętego w pewne wspólne formy. Kierownictwo "domku" powierzono na zlecenie Mickiewicza Bogdanowi Jańskiemu. Otwarto go w popielec r. 1836. Pierwsi wprowadzili się dwaj powstańcy - oficer Kajsiewicz (ów taneczny) z pozyskanym na paryskim bruku przyjacielem, byłym żołnierzem Semeneńką. Kajsiewicz młodszy był od Jańskiego o 12 lat, a Semeneńko jeszcze o jeden rok młodszy. Potem wprowadzali się inni, między nimi był prof. Uniwersytetu Warszawskiego Józef Hube. Jański przesiewał kandydatów, wymagając nastroju ducha i bogobojności wszechstronnej, a obok tego także wyższego wykształcenia naukowego. Trzeba zaś było wyrzec się nie tylko wszelkiej wybredności, lecz nawet najprostszycy wygod. "Majątek był tak znaczny, żeśmy bielizny na siennikach nie mieli, sami na targu za kupnem chodzili, sami gotowali z niebezpieczeństwem otrucia się nieraz". Biedota ta złożyła się w r. 1837 na dwa franki, jako składkę, na wznoszony w Krakowie kopiec Kościuszki. Był to prawdziwy "grosz wdowi".

Pogłębiające się życie religijne parło najgorliwszych, by zostać kapłanami; jakoż sześciu z nich wyświęciło się następnie. Pierwszymi byli znowu Kajsiewicz i Semeneńko. Uczęszczali od r. 1836 do istniejącego w Paryżu kolegium św. Stanisława, gdzie uczyli się w spokoju, nawiedzając co niedzielę i czwartek braci pozostałych "w domku" i tak było do lata 1837 r. We wrześniu 1837 r. wybrali się do Rzymu; w następnym - podążyli za nimi Hube i Duński, a w r. 1839 Kaczanowski.

Wyludniał się "domek", bo świtała już myśl, żeby "zjednoczeni bracia" przenieśli siedzibę swą do Rzymu, żeby tam pogłębiali studia teologiczne, i żeby w mieście papieskim kłaść fundamenty pod nowy polski zakon. Nie można było jednak zakładać, póki się nie miało odpowiedniego grona wyświęconych kapłanów; trzeba było trochę jeszcze poczekać.

Chodziło zaś przy tym o sprawę narodową pierwszorzędnej doniosłości. Stolica apostolska nie była należycie informowana o stanie Kościoła w Polsce pod rządami zaborczymi, zwłaszcza pod rosyjskim. Utraciwszy niepodległość, straciliśmy tym samym własną dyplomację, reprezentantów przy rządach obcych państw, a więc nie mogliśmy też mieć swego ambasadora przy Watykanie. Rzadko kiedy zajechał do Rzymu jakiś biskup polski. Niełatwo było wówczas podróżować w daleki świat, ale jeszcze trudniej było dostać od rządu pozwolenie na podróż do stolicy papieskiej. Lata całe mijały, a kuria apostolska posiadała o Polsce informacji tyle, ile ich udzielił papieżowi... poseł rosyjski. Chodziło więc o to, żeby utworzyć w Rzymie polskie ognisko zakonne, złożone z zakonników o wysokiej inteligencji, które by zasługiwało na zaufanie watykańskiego dworu, a stanowiłoby stałą stację informacyjną. Można by się wyrazić, że chodziło o utworzenie polskiego konsulatu duchownego w Rzymie. Ta myśl kielkowała równocześnie u kilku osób, bo prawdziwą potrzebę rozumiano powszechnie. Zajęci byli tymi planami świeccy przodownicy katolickiego obozu na emigracji: książę Adam Czartoryski, generał Władysław Zamojski, tudzież Adam Mickiewicz. Równocześnie ktoś kto tamtych wcale nie znał, i ze "zjednoczonymi" spotkał się dopiero po raz pierwszy w Rzymie.

W r. 1838 zapoznał się z tym gronem słynny apostoł Azji i Afryki, jezuita Maksymilian Ryłło, przebywający wówczas czasowo w Rzymie. Imponująca to postać, a jedna z najciekawszych w całej historii w. XIX. Łączyły się w nim wielki rozum z wielką przedsiębiorczością, a żarliwa miłość chrześcijańska z roztropnością. On stał się twórcą wielkiego seminarium generalnego dla misji afrykańskich, tudzież twórcą słynnego następnie uniwersytetu w Bejrucie w Azji Mniejszej. Pochodził z uboższej szlachty polskiej w województwie grodzieńskim powiatu wołkowyskiego, urodzony we wsi Podorosk w r. 1802. Jesienią 1837 r. bawił w Libanie i Palestynie. W wigilię Bożego Narodzenia odprawił mszę świętą przy grobie Zbawiciela w Jerozolimie, a do mszy tej służył mu Juliusz Słowacki. On też nakłonił potem wkrótce tego wielkiego poetę, że się wyśpowiadał. Było to na Wielkanoc r.

1838 w Syrii w klasztorze na górze Libanu. Jesienią tegoż roku przybywszy do Rzymu, roztoczył O. Ryłło opiekę nad młodymi księżmi i klerykami polskimi, sposobiaczami się do zamierzonego zakonu; gdyby nie jego przedsiębiorcza roztropność, nie byłoby może środków na osiedlenie się w Rzymie. Świadczą zaś ci patriotyczni zakonnicy, że ks. Ryłło pierwszy obudził w Rzymie sprawę Kościoła polskiego i dzięki jemu Stolica apostolska zwracała odtąd zdwojoną baczną uwagę na to, co się w Polsce dzieje i co się dzieje z Polską.

Jak daleko sięgało ramię rosyjskiej policji, znać z faktu, który dziś wydaje się nieprawdopodobny, że nie chciano alumnów z domu Jańskiego przyjąć w Rzymie do seminarium duchownego, bo przeszkadzało temu poselstwo rosyjskie przy Watykanie! W kancelarii tego poselstwa przestudowano z największą gorliwością wszystkie przepisy i formalności potrzebne, żeby móc być przyjętym do seminarium. Seminaria są z reguły diecezjalne, obliczone na kleryków z tej samej diecezji. Jeżeli kandydat jest z zewnątrz, oczywiście że musi się wiedzieć, z której jest diecezji i żąda się, żeby się wykazać poświadczeniem i zezwoleniem swego biskupa. Tego uczepliło się poselstwo rosyjskie; zwracało uwagę, że przyjęcie naszych sprzeciwiałoby się przepisom kanonicznym itp., słowem Moskale okazali ogromną troskę o rzymskie seminarium, żeby tam wszystko było w porządku. Nasi pochodzili z diecezji pod zaborem rosyjskim, a biada byłoby biskupom polskim, którzy by wydali poświadczenie klerykom, którzy byli oficerami w powstaniu r. 1831. Ostatecznie jednak nasi dali sobie radę, uzyskawszy wszystkie potrzebne formalności u arcybiskupa paryskiego.

Więc przyjęto ich w końcu. Utrzymanie znaleźli, podjąwszy się dozorować dzieci w jednym z rzymskich zakładów sierot. Mieszkali wspólnie, a na mieszkanie i strawę mieli po 15 groszy dziennie na osobę.

Tymczasem nawiązała się korespondencja między ks. Ryłłą w Rzymie a Jańskim w Paryżu. Jański likwidował już stopniowo "domek paryski", z czym łączyły się różne sprawy i interesy wymagające, żeby ktoś na miejscu wszystkiego dopilnował. I o swej osobie chciał Jański postanowić coś ostatecznie. Przez jakiś czas myślał o zakonie Benedyktynów, a czasem o ascetycznych Trapistach. W późniejszych zapiskach o nich ks. Kajsiewicz czytamy, co następuje: "W ciągu tego ruchliwego i kłopotliwego życia w Paryżu wybiegał często do Mortagne, głównego domu Trapistów (zakon reguły najsurowszej), otrzymał był nawet dla nas (tj. dla Braci Zjednoczonych) afiliację (tj. udział) do modlitw i zasług tego pokutującego zgromadzenia. Ostatniego roku (1839) zabawił tam do trzech miesięcy". Zapiski jego, dotyczące się osobistych potrzeb duszy i przyszłości zgromadzenia dowodzą, jak głęboko czuł i widział. "Post ciągły w domach Trapistów; modlitwy długie i gorące - bo kiedy się Bogdan modlił, zapalał się cały na twarzy; wszystko to, tuczając duszę, musiało wycieńczyć ciało. Nareszcie pod jesień 1839 r. w podróży do kolegium Juilly w okolicach Paryża, gdzie był paru rodaków umieścił, przemokły do nitki i zaziębiony wrócił z katarrem, który się rychło w suchoty przemienił". W tym stanie zdecydował się na trudną i daleką podróż (pamiętajmy, że kolei żelaznych jeszcze nie było).

Zamierzając zabrać się do systematycznych studiów teologicznych, postanowił dokonać tego w Rzymie, pośród tych kilku swych "Braci Zjednoczonych", którzy już dostąpili święceń kapłańskich. Przybył do wiecznego miasta w r. 1840, lecz tak już osłabiony chorobą, iż dla lekarzy widoczne było, że to już początek końca. On sam, jak zwykle bywa przy chorobach piersiowych, ani przypuszczał, żeby z nim miało być tak źle. Jak świadczą dalej zapiski ks. Kajsiewicza, "siłę i pogodę umysłu obok słodczy serca zachował do końca. Jeśli na chwilę drażliwość czysto nerwowa go podchwyciła, sam się niejako sobie dziwił i uderzając ręką w czoło, mówił: co się też ze mną dzieje? Doktor, który obok przybyłego brata Terleckiego (lekarz zakonnik) go leczył, tak się w chorym rozmiłował, że nie miał serca pomimo próśb naszych ostrzec go o bliskiej śmierci. Gdy w końcu jeden z naszych to uczynił, nie zmieszał się bynajmniej: Nie od dzisiaj - rzekł - myślę o śmierci: od dawna się do niej sposobię; nie sądziłem jednak, żeby już tak była blisko. A. potem z rodzajem łagodnego żalu dodał: czemuż mnie doktor nie ostrzegł, kiedyś go o to prosił. Niezwłocznie zaczął dyktować ostatecznie swe rozporządzenie. Ostatnie namaszczenia i Przenajświętszy Sakrament przyjął z wielką pobożnością i przytomnością, która go jednak rychło opuściła. Skonał łagodnie nad ranem dnia 2 lipca (1840 r.) w dzień Nawiedzenia Matki Boskiej, wśród klęczących wokół i łzawo się modlących braci".

Zwłoki jego pogrzebano na cmentarzu przy kościele Świętego Wawrzyńca (przybyło tam następnie grobów polskich). Wydano wizerunki litografowane świątobliwego Bogdana a opatrzone je z całą słuszością następującym napisem.

"Śp. Bogdan Jański, pierwszy pokutnik jawny i apostoł emigracji polskiej we Francji".

Charakter i zasługi Jańskiego określił wybornie Semeneńko, mieniając go mężem ze wszech miar niepospolitym; nazywał go gwiazdą-zwiastunką, pochodnią wskazującą drogę, posłańcem z góry, aniołem przewodnikiem, wielbiąc w nim duszę wielką, niezłomną, niczym niezachwianą, jasną, czystą i pogodną.

Pozostali bracia, pokończywszy wyższe studia teologiczne, i uzyskawszy nawet stopnie doktorskie, spragnieni ostatnich święceń i godności kapłańskiej - natrafili jednak na nowe niespodziewane trudności. Odczuwali znów długą rękę ambasady rosyjskiej w Rzymie. Robiono istne studia wokół formalności, żeby ich wyszukać i nagromadzić jak najwięcej, ażeby zamiary Jańskiego rozbiły się o jaką formalność. Zręby zakonu były gotowe jeszcze za życia Jańskiego, w r. 1839, a tymczasem oni nie mogli otrzymać święceń kapłańskich! Pochodzili niemal wszyscy z zaboru rosyjskiego, byli więc oficjalnie poddaniymi cara i w tym ambasada rosyjska znajdowała usprawiedliwienie, że się nimi tak mocno interesuje. Ze strony rosyjskiej robiono w Rzymie przedstawienia, że powołanie duchowne jest u nich tylko pozorem, żeby tym lepiej ukryć spisek, że to nie jest sprawa kościelna, lecz polityczna, bo to sprzysiężenie chcące nadużyć powagi Kościoła, żeby pod szatą kapłańską móc bezpieczniej spiskować przeciw carowi. Podniesiono więc znów kwestię, że oni nie mają diecezji, że nie posiadają żadnej przynależności kościelnej itp. Trudno dziś dać temu wiarę, że wstrzymano im święcenia przez dwa lata i dopiero w r. 1841 mogli zostać kapłanami. Kancelarie papieskie nie chciały wywoływać niechęci rządu rosyjskiego, a to w obawie, żeby nieprzyjaźń caratu nie dała się we znaki Kościołowi polskiemu pod rosyjskim zaborem.

Nadeszły jednak niebawem z Polski groźne wieści. Prześladowanie religii już tam szalało! Starano się ukryć ten stan rzeczy przed Europą, jednakże wiadomości zaczęły po jakimś czasie przenikać za granicę i dotarły do dworu papieskiego. Następowala stopniowa zmiana zapatrywań na Rosję; w otoczeniu Ojca św. zyskiwali Polacy więcej zyczliwości i zaufania, skoro się okazała ich wiarygodność, a wyszła na jaw przewrotność i kłamliwość agentów ambasady rosyjskiej.

W r. 1839 car zniósł urzędowo unię na Rusi i Litwie w tzw. krajach zabranych, tj. w prowincjach dawnego państwa polskiego poza Kongresówką. Gwałt przygotowywany był w tajemnicy, podczas gdy w Watykanie kołatano, żeby władze papieskie nie zezwalały na wyświęcenie kilku starszych już wiekiem kleryków polskich, bo to będzie dopomaganiem polskim spiskowcom! Trzeba było przeczekać niemało przykrości, zanim się poznano na tej przewrotności. Lecz gdy wreszcie otrzymali święcenia w r. 1841, spotkał tych przewodników polskich odrodzenia religijnego z innej strony ciężki cios: Mickiewicz się odwrócił. Niedawno jeszcze utrzymywał stosunki jak najprzyjaźniejsze z ks. Kajsiewiczem i wypisał dla niego szczery pogląd na swe życie, istną spowiedź generalną na piśmie! Dla usposobienia naszego największego poety znamienne są słowa z listu do dawnego swego profesora z Wilna, sławnego historyka Lelewela: "na katolicyzmie trzeba grunt położyć". A tymczasem w r. 1841 zaczął się przykry rozdzwiek z Kościołem, a to z powodu sekty Andrzeja Towiańskiego.

Mickiewicz czuł zawsze wielką skłonność do mistycyzmu. Najtrudniejsza to część teologii, dostępna tylko dla gruntownych jej znawców, bo inaczej łatwo pobłądzić na zawiłych ścieżkach mistyki. A Mickiewicz był przecież w tej dziedzinie tylko samoukiem. Od dawnych jeszcze lat czytywał rozmaitych autorów mistycznych, nie posiadając należytego przygotowania teologicznego. Na emigracji w Paryżu napisał największe arcydzieło polskiej poezji "Pana Tadeusza" i to był ostatni jego poemat. Przeszawał pisać pod wpływem mistyki. W roku 1835 wyraził zapatrywanie, że w przyszłości "trzeba będzie być świętym, żeby być poetą; trzeba będzie natchnienia i wiadomości z góry o rzeczach, których rozum powiedzieć nie umie... Te myśli często budzą we mnie żal i ledwie nie zgryzotę, często zdaje mi się, że widzę ziemię obiecaną poezji, jak Mojżesz z góry, ale czuję, że niegodzien zejść do niej".

Nie on jeden uprawiał mistykę po swojemu. W Polsce porobiorowej nieszczęśliwy stan kraju kazał wielu umysłem szukać w tym ulgi. Niestety, nie brakło takich, u których był chaos w głowie i którzy

sami nie wiedzieli, czego chcą. Do takich należał Andrzej Towiański, były asesor sądu głównego w Wilnie, który uroił sobie dziwaczne wyznanie wiary. Według niego dobre i złe duchy całymi gromadami znajdują się wszędzie na ziemi. Nauczał też wędrowni dusz, że wtedy człowiek żyje kilka razy (nawet kilkanaście i choćby kilkadziesiąt razy), a każde nowe "wcielenie" stanowi czyściciel tu na ziemi za winy życia poprzedniego. O sobie zaś twierdził śmiało, że ma bezpośrednie objawienie od Boga i misję do Polski od Ducha Świętego.

Towiański wybrał się z Wilna w wielką podróż misyjną, próbował najpierw pozyskać dla swych pomysłów arcybiskupa gnieźnieńskiego, ks. Dunina, potem naczelnego wodza z r. 1831 generała Skrzyneckiego, ale nadaremnie. Przyjechał wreszcie do Paryża, aby pozyskać Mickiewicza i to mu się niestety powiodło. Poznali się w szczególnych okolicznościach. Gdy Towiański zapukał 30 lipca 1841 r. do mieszkania Mickiewicza, zastał chorą Celinę Mickiewiczową, żonę poety i zaraz oświadczył, że ją wyleczy. I rzeczywiście wyleczył. Było to działanie tzw. sugestii, znanej dziś dobrze uczonym lekarzom, a Mickiewicz uważał to za cudowne wyleczenie. Umysł wielkiego człowieka był tak skołatany, tak przygnębiony, iż utrzymywało go tylko mistyczne zagłębianie się, z początku według własnych wyobrażeń, a potem oddał się Towiańskiemu.

Wielką to było boleścią dla tych naszych księży w Rzymie, którzy spełniali właśnie dawną myśl Mickiewicza. W niedzielę wielkanocną 1842 r. składali w katakumbach św. Sebastiana w Rzymie tzw. śluby proste, zanimby reguła ich ustaliła się i zyskała uznanie papieskie (co nastąpiło dopiero w r. 1850). Nazwali się Zmartwychwstańcami z myślą o zmartwychwstaniu Polski, a za główne swe zadanie przyjęli "by przyczynić się do urzędzenia społeczeństwa po chrześcijańsku". Tymczasem "generalnym przełożonym" został ks. Smolikowski, następnie zaś pierwszym generałem ks. Semeneńko. Ten miał w r. 1842 w Brukseli rozmowy z Towiańskim, a gdy spełżył na niczym, tegoż jeszcze roku wydał drukiem rozprawę przeciw towiańszczyźnie.

Tak powstał i urządził się drugi z kolei polski zakon. Nie zapominajmy, że pierwszymi byli Marianie, dzieło ks. Papczyńskiego, kapelana z odsieczy wiedeńskiej Sobieskiego. Istniał ten zakon nadal, lecz borykał się z najfatalniejszymi warunkami i zaczął zanikać.

Zakon Marianów, błysnąwszy takimi dwiema gwiazdami jak bł. Papczyński i Wyszyński, potem jednak szczęścia nie miał, a w r. 1715 biskup poznański Rostkowski rozwiązał nawet zgromadzenie, lecz następca jego, Jan Tarło, sam dopomógł do wznowienia. Zebrało się w r. 1722 jeszcze 12 ojców, którzy wybrali generalnym przełożonym O. Andrzeja Deszpotę, Czecha, a ucznia jeszcze bł. Papczyńskiego. Cudzoziemcy poczynają się zgłaszać do zakonu w samej Polsce; "po kilku Francuzów, Włochów, Węgrów, ale najwięcej Czechów; wielu z nich położyło duże zasługi na najwyższych urzędach zakonnych, niektórzy też odznaczyli się wysokim stopniem świętości".

Trzy klasztory Marianów powstałe w Portugalii, zamknął rząd tamtejszy, usposobiony antyreligijnie, w r. 1834. W Polsce za to powstało jedenaście klasztorów. Dzieliły one ogólne losy całego kraju. Należy się tu pełne czci wspomnienie O. Tadeuszowi Białowieskiemu, który "prawdziwie cierniste miał życie. Przez 32 lata sprawował rządy jako generał zakonu, w czasach tragicznych dla naszej Ojczyzny od 1793 do 1829. Dał w tym czasie dowody męstwa, wytrwałości i pokory, zmarł w opinii świętości 1832 r." A drugi po nim następca, O. Stanisław Porzycki "przez 58 lat swego życia zakonnego nieznużenie pracował na różnych stanowiskach, jako kaznodzieja, prezydent klasztoru w Skórcu (na Podlasiu), gdzie wiele przyczynił się do jego rozwoju, sekretarz zgromadzenia, prokurator i przełożony generalny (1835-1844). Z urzędu tego zmuszony był zrezygnować pod naciskiem rządu rosyjskiego, a następnie jedenaście lat spędził na wygnaniu". Umarł w r. 1863.

Kasatę urzędową przetrwał jedynie klasztor w Mariampolu, zwanym Staropolem przed przybyciem tam Marianów.

Specjalnością Marianów miały się już pod koniec XVIII w. stać szkoły parafialne i misje ludowe. Wykonywano te plany nader energicznie, lecz "rozbiory i coraz bardziej pogarszający się stan kraju stanęły temu na przeszkodzie". Trzeba było wiele wysiłku, by jako tako utrzymać się na powierzchni. Niejeden też z 00. Marianów był więziony za sprzyjanie powstaniu 1831 r., niejeden skazany na Sybir.

Pośród oficerów powstania listopadowego poznaliśmy już trzech mężów świętobliwych: Hieronima Kajsiewicza, Piotra Semeneńkę i Karola Antoniewicza. Czwartym w tym gronie jest Józef Szweremicki, pochodzenia szlacheckiego z województwa białostockiego, urodzony w r. 1812 we wsi Iglówce powiatu mariampolskiego. Wstąpił do wojska polskiego, licząc niecałych 18 lat, a w kampanii r. 1831 odniósł ciężką ranę. Nie udaje się na emigrację, lecz w dwa lata potem w r. 1833 wstępuje do Marianów i obiera sobie imię zakonne Krzysztof. Był więc ten mąż Boży najbardziej i najwcześniej uświadomionym katolikiem z bojowników r. 1831. Nie potrzebował przechodzić dopiero wątpliwości i dochodzić prawdy, od której się nigdy nie oddalił.

Z początku pracuje ks. Szweremicki w Goślinie na Podlasiu, następnie chlubnie spełnia urząd kapelana w zakładzie głuchoniemych w Warszawie, skąd przenosi się w rodzinne strony i obejmuje urząd prezydenta w mariampolskim klasztorze. Bardzo wykształcony, miłej powierzchowności, niezwykłej kultury umysłu i serca, dziwny wpływ wywiera na wszystkich, szczególnie zaś na warstwy oświecone narodu. Magiczny wpływ wywierał na młodzież litewską w kierunku religijnym i patriotycznym. Działalność jego nie dogadzała rządowi rosyjskiemu. Uwięziono go w r. 1846 i przez trzy lata trzymano w osławionej Cytadeli warszawskiej, nie wiedząc, jak się do niego zabrać, o co wytoczyć mu sprawę. Wreszcie przestano sobie zadawać trud i wystąpiono przeciw niemu z zarzutem - już po 18 latach - że brał udział w powstaniu listopadowym i w r. 1849 zesłano go na Sybir. Już nigdy nie wrócił do Ojczyzny, gdyż miał się stać "apostosem Syberii".

Na Sybirze apostołuje Buriatom, Jakutom, Mongołom, a nie bez skutku. Ale zasadnicza część jego pracy tyczyła się chrześcijan, nawet prawosławnych Rosjan. "Promienna postać O. Szweremickiego wywiera nieprzeparty wpływ na Rosjan. Wielu z nich przyjmuje potajemnie wiarę katolicką, owszem, jak powiadają, sam generał gubernator Murawiew, sekretnie w ręce jego składa wyznanie wiary katolickiej".

W roku 1851 został ks. Szweremicki proboszczem irkuckim. "Parafia ta obejmowała przestrzeń dwa razy większą od całej Europy (nie licząc Rosji), bo pół Syberii. Większą część roku poświęca na podróże pasterskie. Usiłuje dotrzeć do każdego zakątka, gdzie przebywało choćby kilku polskich zesłańców, pociesza ich, umacnia w wierze, chroni od rozpacz, przepowiadając zmartwychwstanie Polski; wspiera ich materialnie i wstawia się za nimi do władz syberyjskich, które świętobliwego zakonnika otaczały czcią niezwykłą". Uważano go za świętego; to pewne, że miała w nim zajaśnieć nowa wielka gwiazda świętobliwości. O dalszych jego czynach będzie mowa w rozdziale 30.

Zmartwychwstańcy zaś rośli w znaczeniu w stolicy chrześcijaństwa i wobec papieskiego dworu. Obecnością swoją w Rzymie oddawali znaczne usługi sprawie polskiej. Zyskali w r. 1846 bardzo wybitnego nowego członka w osobie ks. Aleksandra Jełowieckiego. Z księdzem Kajsiewiczem i Semeneńką stanowili we trójkę jakby "tajną ambasadę polską przy Watykanie".

Tak było w Rzymie, a tymczasem w kraju ten r. 1846 miał nam przynieść dużo nieszczęścia. Lecz cofniemy się teraz nieco w opowiadaniu, żeby zdać sobie wpierw sprawę z prześladowania unii, zniesionej carskim ukazem w r. 1839.

Tępienie unii kościelnej

Cios zadany przez rząd rosyjski unii kościelnej stanowił obok upadku powstania listopadowego drugi wstrząs duszy polskiej, bo dla wielu przyczyn uważaliśmy sprawę unii za naszą polską sprawę narodową nie mniej, niż za kościelną ogólnokatolicką.

Ponieważ tym razem obszerniej będzie mowa o sprawach unickich, a niejedno byłoby niezrozumiałe bez wiadomości, czym się unia różni od prawosławia, pomimo podobieństwa obrządku, trzeba najpierw zwrócić uwagę na tę stronę przedmiotu. Jak wiemy z poprzednich rozdziałów, unia brzeska potrzebowała półtora stulecia, zanim przyjęła się w całym państwie polskim. Szerzyła się z wolna, lecz stale, bez żadnego przymusu ze strony rządów polskich. Społeczeństwo zaś polskie wdało się w tą sprawę o tyle, że bardzo wiele polskiej młodzieży duchownej przechodziło na obrządek słowiański, ażeby unia nie upadła z braku powołań kapłańskich pośród Rusinów. Nie mając wyboru, przyjmowano

do seminariów alumnów ruskich o bardzo niskim poziomie umysłowym i nie chcących się uczyć. Kto wśród duchowieństwa parafialnego unickiego był lepiej wychowany, inteligentniejszy i ciekawszy książki, to wszystko byli Polacy z drobnej szlachty. Podobnie było u Bazyliańców. Można powiedzieć, że unią nie tylko kierowali Polacy, ale też Polacy ją podtrzymywali i utrzymywali, chociaż znajdowali się w mniejszości.

Różne eparchie prawosławne w różnych czasach przechodziły na unię i nie w jednakowy sposób przyswajały sobie zwyczaje Kościoła katolickiego (zwłaszcza w tzw. nabożeństwach dodatkowych, których w prawosławiu całkiem nie ma). Uporządkowało się to wszystko i wyrównało na synodzie zamojskim za Augusta II Sasa. Odtąd w państwie polskim schizmy całkiem nie było.

Kościół unicki obrządku słowiańskiego rządził się w Polsce sam według prawa kościelnego czyli kanonicznego, tak samo, jak Kościół obrządku łacińskiego, gdy tymczasem prawosławie poddawało się zawsze władzy świeckiej. W Rosji spadła Cerkiew do roli narzędzia władz państwowych. Głową prawosławia był z dawien dawna car. Za panowania Piotra, zwanego Wielkim (1696-1725) nastąpiło nowe urządzenie Cerkwi według niemieckich wzorów protestanckich. Wtenczas dopiero zaprowadzono dla popów schizmatycznych przymus abecadła. Naczelną zaś administrację Cerkwi powierzył car Piotr gronu nazwanemu "synodem", bo tak zwały się w Niemczech władze protestanckie. Moskiewskiemu synodowi dodano tytuł "świętobliwego". Był to urząd zupełnie zależny od cara, a złożony nie tylko z duchownych, lecz również z osób świeckich, według nominacji carskiej. Działo się to w r. 1721, a odtąd zależność Cerkwi od każdego carskiego skinienia powiększała się z czasem coraz bardziej. Następowały potem caryce i one także były głową Cerkwi w Rosji.

Różnica dogmatyczna zachodzi tylko jedna, ta mianowicie, że prawosławie przeczy pochodzeniu Ducha Świętego także od Syna. Dogmat ten stanowi jeden z najtrudniejszych rozdziałów teologii i tylko uczeni teolodzy mogą tu zabierać głos. Czy świeccy zdają sobie sprawę z tego? Czy rolnik lub mieszczanin, chudopacholek czy arystokrata, lub bankier po tej lub tamtej stronie myślą kiedy o tym dogmacie i czy na nim opiera się istna przepaść cywilizacyjna pomiędzy Polską i Rosją prawosławną? Przepaść ta istniałaby jednak, choćby nawet prawosławie przyjęło dogmat katolicki o pochodzeniu trzeciej Osoby Boskiej. Różnicę widoczną dla każdego stanowi coś innego - tu papież, a tam car. U nas Ojciec św. nie pyta żadnego monarchy, jak ma nauczać i Kościołem rządzić, a prawda religijna i moralność katolicka są wyższe ponad wszystkie rządy. W prawosławiu car czuwa nad tym, żeby sprawy religijne służyły polityce, żeby Cerkiew pochwałała wszystko, co rząd przedsięwzięmie. W schizmie nie godzi się roztrząsać postanowień władz rządowych, bo urząd ma władzę od cara, a car jest głową Kościoła i w ten sposób z najmniejszej opozycji robi się jakby bunt przeciw Bogu samemu. A zatem w prawosławiu nie było nigdy godności obywatelskiej, tylko niewola duchowa, której jedynym obowiązkiem było ślepe posłuszeństwo rządowi, jako obowiązek religijny. Duchowieństwo, używane do posług politycznych, otrzymujące zlecenia od władzy świeckiej, lekceważy skutkiem tego samą religię i upada nieprawdopodobnie nisko.

Są różnice w administrowaniu Sakramentów świętych. W tym dziale życia religijnego zmieniała się nieraz praktyka prawosławna. Nas tu obchodzi stan rzeczy z lat 1820-1850, jak te sprawy wyglądały na prowincji, po parafiach wiejskich i małomiasteczkowych; to zaś znajdujemy opisane szczegółowo przez jednego z prześladowanych unitów, w pamiętnikach ks. Grzegorza Micewicza.

W prawosławiu chrzci się przez zanurzenie w wodzie; samo polanie głowy wodą im nie wystarcza. Przy bierzmowaniu pop nie namaszcza wielkim palcem prawej ręki, lecz używa do tego pędzelka. Komunikanty starają się konsekrować jak najrzadziej, a jak największą ilość od jednego razu. Komunikanty dla chorych mają być zakonserwowane w Wielki Czwartek w takiej ilości, żeby wystarczyły na cały rok - są specjalne przepisy, co robić, żeby się nie psuły. Przy udzielaniu Sakramentu małżeństwa nowożeńcy nie przysięgają sobie wzajemnie. Lekceważony bywa sakrament pokuty. Oto, co się działo około r. 1830 w mieście Kamieńcu Litewskim, w którym przez kilka lat kwaterował oddział wojskowy. Powtórzmy dosłownie, co napisał ks. Micewicz. Był tam wówczas proboszczem unickim, a choć żołnierze byli prawosławni (Rosjanie), komenderujący major wprowadzał ich do cerkwi, chociaż katolickiej, bo podobieństwo obrządku (a zwłaszcza ten sam język liturgiczny) starczyło mu za wszystko.

"Ci żołnierze co roku schodzili się na spowiedź wielkanocną do mojej cerkwi, gdzie pułkowy kapelan Cytowicz spowiadał ich nie po jednym, ale po ośmiu naraz i więcej, oto w ten sposób: Penitenci stali koło niego jeden przy drugim, a on sparty na pulpicie, słuchał ich zeznań, które oni, schyliwszy głowy, każdy z osobna dopełniał. I jakież tu jest sekret? kiedy wyznania jednego muszą słyszeć wszyscy, nawet pomimo woli... Takie spowiedzie odbywały się corocznie przez lat kilka w mojej cerkwi, w obecności nie tylko całego pospólstwa, ale także wobec wszystkich oficerów batalionu od majora do najniższych stopni. Gdyby taka spowiedź uważana była za niegodziwą, kapelan nie odważyłby się na nią wobec tylu świadków, jeśli nie przez skrupuł sumienia, to przez obawę donosu i odpowiedzialności. Zresztą oto drugi dowód, że w prawosławnej cerkwi nie zachowuje się sekretu u spowiedzi: Klerycy przed otrzymaniem święcenia na kapłanów muszą się spowiadać u spowiednika, którego sam biskup naznacza i ten spowiednik, wysłuchawszy onych spowiedzi, obowiązany jest donieść temuż biskupowi o każdym z kleryków, z jakich się grzechów spowiadał".

Jakkolwiek w schizmie i w unii nabożeństwo odbywa się w tym samym języku, mianowicie w starożytnym bułgarskim (narzecza macedońskiego), który nazywany bywa z tego powodu po prostu słowiańskim językiem cerkiewnym, i niemało jest liturgii całkowicie takiej samej, jednakże również niemało jest różnic. Unicy przejęli od łacinników nabożeństwa dodatkowe, to znaczy to wszystko, co w kościele odbywa się w języku ludowym (więc w Polsce po polsku), mianowicie kazania (schizma nie uznaje kaznodziejstwa), litanie, nowenny, śpiew ludu, nabożeństwo majowe itp. Przejęli też święto Bożego Ciała, nieznanne w prawosławiu. Nie ma w prawosławiu cichej mszy świętej. Nie ma w ich cerkwiach organów, ani orkiestr, dzwonek, ławek. Nie ma bocznych ołtarzy; wielki zaś ołtarz odgradzony jest od ludu całą ścianą, którą okrywa się obrazami, ikonami i od tego jej nazwa: ikonostas. Poza tę ścianę wolno przejść tylko carowi lub jego reprezentantowi, jako najwyższej głowie Cerkwi i stąd drzwi w ikonostasie zwą się carskimi wrotami. Nadto zachodzą jeszcze różnice obrządkowe w rozmaitych drobiazgach, które nie mają znaczenia.

Położenie unitów w zaborze rosyjskim było przykre (często męczeńskie) już od czasów Katarzyny. Pogorszyło się jeszcze bardziej po upadku powstania r. 1832, bo odtąd prześladowano ich księży pod pozorem, że dopomogli w powstaniu; a w Rzymie można się było zasłonić tym bardziej wymówką, że tu chodzi tylko o względy polityczne. Obywatelom polskim odjęto prawa kolatorskie, tj. prawo przedstawiania biskupom kandydatów na probostwo (bo oczywiście nie przedstawialiby odstępców). Co więcej, Siemaszko wystąpił z wnioskiem, żeby prześladowanie rozszerzyć teraz na obrządek łaciński i poznosić na Rusi i Litwie łacińskie klasztory. Car zgodził się na to i natychmiast w r. 1833 zamknięto naraz dwieście klasztorów łacińskich. Również klasztory Bazylianek były prześladowane bez litości. Z Wilna wywieziono cztery ostatnie do monasteru w Wolnianach, a wileński klasztor radził Siemaszko obrócić na areszty. Wolniańskie zakonnice okazały się również twarde w wierze; zresztą żadna z nich nie umiała nawet czytać ksiąg cerkiewnych, a wszystkie siedem były za stare, żeby się uczyć czegoś nowego. Pozwożono tam tedy z różnych monasterów prawosławnych aż 12 "czernic". Ostatecznie w r. 1840 pozostało na całej Rusi ledwie sześć klasztorów żeńskich.

Car mianował Siemaszkę władycą (biskupem) litewskiej eparchii, on zaś wyszukał na sufraganów trzech takich, którzy zobowiązali się na piśmie, że w każdej chwili, gdy otrzymają rozkaz, przejdą na schizmę (Łużyński, Żarski, Zubko). W roku 1834 ustanowiono "tajny komitet do spraw unickich", a w Moskwie wydrukowano półtora tysiąca mszałów i śpiewników, które porożsyłano na unickie plebanie. Siemaszko zaczął wyszukiwać księży unickich, którzy by zdradzili wiarę i owczarnie sobie powierzone. W roku 1834 miał ich zaledwie dziewięciu, lecz jakże szybko miała ta liczba wzrastać! Działał gwałtem i podstępem. Stu trzydziestu proboszczów oddalił od razu, a potem rok po roku zamykał po kilkadziesiąt cerkwi, gdzie nie chciano odprawiać nabożeństwa po schizmatycku. Sam zaprowadził od razu takie nabożeństwa w swej katedrze, w sławnych o sto mil dookoła Żyrowicach, dokąd schodziło się na odpusty po kilkadziesiąt tysięcy pielgrzymów. Katedra ta jest budowlą wielką, wspaniałą, a koło niej, jakby osobne miasteczko, stały domy rozmaitych zakładów i fundacji katolickich słowiańskiego obrządku. Wszystko to zagarnęła schizma. Skasował też Siemaszko sławną tamtejszą orkiestrę katedralną, bo w schizmatyckich cerkwiach dozwolone są tylko śpiewy.

Śmielsza stała się cała akcja przeciw unii, gdy przeszedł na schizmę drugi wielki zdrajca, władca unicki orszański, Łużyński. W porozumieniu z petersburskim komitetem do spraw unii wydał on w r. 1834 rozkaz, żeby nie obchodzić już więcej święta Bożego Ciała. Natrafił jednak na opór metropolity

unickiego Bałhaka. Był to starzec już niedołężny i do rządów całą prowincją kościelną niezdatny, często nie wiedzący dobrze, co się dzieje; ale katolik był z niego stanowczy i póki on żył, rząd nieraz nie mógł pokonać przeszkód, które niespodzianie spotykała działalność Siemaszki.

Wówczas jeszcze rząd nie śmiałby targnąć się na osobę samego metropolity, ale zabrano się do jego koadiutora, którym był k. Eliaz Andruskiewicz. Był to Polak, łacinnik z rodu, jeden z tych, którzy umyślnie przechodzili na obrządek wschodni, żeby podtrzymać unię, żeby nie dopuścić do pomniejszenia liczby parafii unickich. Wstąpił tedy do Bazyliańców w 20 roku życia, studia wyższe odbył w Uniwersytecie Wileńskim, a święcenia kapłańskie otrzymał w słynnym miejscu odpustowym na Wołyniu, w Poczajowie. Tam go też zostawiono, jako profesora w seminarium i w gimnazjum. Następnie był dyrektorem gimnazjum utrzymywanego przez Bazyliańców w Humaniu; lecz w r. 1832 zakład ten został przed rząd zamknięty. Wtedy metropolita Bułhak powołał go na swego koadiutora.

Tego więc kapłana usunął gubernator z otoczenia metropolity, wywiózł i umieścił na przymusowy pobyt w monasterze onufryjowskim, jeszcze wówczas unickim. Apostata Łużyński, który tymczasem otrzymał od rządu znaczniejsze biskupstwo w Witebsku, próbował użyć pośrednictwa matki ks. Andruskiewicza, bawiącej podówczas także w Witebsku. Obiecywał "złote góry, dostojęstwa, spełnienie wszelkich życzeń i ambicji ks. Eliasza, byleby tylko dał żadaną drobnostkę: podpis na zjednoczenie z panującą Cerkwią". Ale spotkał się z odpowiedzią twardą: "Jedności (z katolicyzmem), jakibykolwiek los mnie spotkał, dla najpochlebniejszych obietnic nie tylko biskupich, ale nawet monarchów świata nie zmienię". I dodał jeszcze aluzję do biskupa odstępcy: "O życzliwych katolickiemu Kościołowi zwierzchników i czulszych trzodzie chrześcijańskiej pasterzy, w codziennych modłach moich i w czasie zbliżenia się do podnóżków Pańskich ołtarzy, błagam i proszę w pokorze". Chciał ks. Andruskiewicz powrócić do obrządku łacińskiego, ale "Bazylianie błagali go, żeby w tak ciężkich dla nich czasach nie opuszczał szeregów duchowieństwa unickiego". Pozostał przeto przy wschodnim obrządku i wkrótce sam został przełożonym onufryjskiego klasztoru.

Niespodziewanie aresztowano go tam we wrześniu 1836 r. i wywieziono do gubernatora w Witebsku, i następnie do apostaty Łużyńskiego. Następnego zaś dnia wojsko otoczyło klasztor i cerkiew, i spędzono przemocą lud z całej parafii. Nie mogąc dostać kluczy do cerkwi, bramę wywalono, parafian bagnietami wpędzono do środka i kazano podnieść ręce; pop schizmatycki przywieziony z wojskiem, odczytywał tymczasem rotę przysięgi i wysłano potem do władz raport o "dobrowolnym" tej parafii przejściu na schizmę. Takich "nawróceń" miały się odtąd dokonywać dziesiątki.

Gdy namowy i groźby w Witebsku wobec 14 innych kapłanów również nie skutkowały, zaczęto wozić ks. Andruskiewicza od monasteru do monasteru, a w jakich warunkach sam opowiedział:

"Strudzony nagłą podróżą, odbywaną dniami i nocą, wrzucony do jednego z najlichszych klasztorów, w pożyczonej koszuli, okryty ranami nagle mi się po całym ciele okazującymi, zaledwie tyle pięciokrotną prośbą miłosierdzia wyżebrał u pasterza (władcy Łużyńskiego), że mi pozwolił o własnym koszcie leczyć się i żyć w mieście Witebsku. Po wyczerpanych wszelkich, jakie mieć mogłem, szczupłych z prac moich zapasach i zaciągniętym długiem, zupełnie zniszczony wśród wielu nabytych cierpień, zupełnie na zdrowiu zrujnowany, za rozkazem pasterskim o wiorst 30 od Witebska do taludińskiego bazylińskiego odjechałem klasztoru".

Potem wabiono go znów obietnicą mitry opackiej, wreszcie wydano polecenie samemu Siemaszce, by okazał, czy umie nawracać. Ten pozyskał siostrę i szwagra ks. Eliasza, którzy doradzali mu przyjąć dary i zaszczyty, a potem kazał sobie przywieźć go do Petersburga. Gdy nie skutkowały obietnice dostojęstw, osadził wiernego wyznawcę unii w szczupłutkiej celce, w której musiał przez trzy miesiące przymierać głodem, bo mu zatrzymano nawet te 25 kopiejek dziennie, które miał z urzędu przeznaczone na pożywienie. Pisał wtenczas do krewnych: "sądzicie, że jestem nieszczęśliwym, okazujecie mi współczucie, ale ja szczęśliwszy jestem od tych, którzy dostojęstwem okryci, w dostatku i zbytkach żyją". A do Siemaszki wystosował list, w którym mieszczą się słowa warte zaiste, by je ryc w kamieniu: "Jeżeli najłaskawszy samowładny monarcha wolę swą wyrazi w rzeczach zmierzających do doczesnego dobra ludów berłu jego podległych... w rzeczach wiary sam nie zechce decydować dowolnie, ale je poddaje pod sąd sumienia... Nie mogę się na co innego, idąc za głosem sumienia, zgłosić i zgodzić, jak tylko na to, abym niezmiennie przetrwał do końca życia w

rzymskokatolickim wyznaniu moim". Doskonale określił granice władzy świeckiej a duchownej i przypomniał, że unia jest wyznaniem tak samo rzymskokatolickim, jak obrządek łaciński i tylko obrządkowo od niego się różni, lecz nie wyznaniowo.

Odtąd znęcano się nad nim jeszcze bardziej. Urządzono mu "zsyłkę" przez 14 klasztorów, a w każdym żądano podpisu pod prawosławie. A wszystkie te podróże odbywać musiał "na drągach", tj. na wozie drażkowym, bez jakiegokolwiek wymoszczenia. "Włóczono mnie - pisze w pamiętnikach. O. Andruszkiewicz - w tył i naprzód w dni kilka przerzucano z drągów jednych na drugie mnie i ruchomości moje, goniono niby zbrodniarza, jak zająca z sieci do sieci. Żydyczyn, Poddębice, Łuck, Krzemieniec, Tryhury zwiedziłem, znajdując równe wszędzie pokusy i podobne traktowanie. Z tego ostatniego miejsca po Nowym Roku 1839 ciągnąłem się do Lubaru, zaległszy chory w Połonnem... Stąd jeszcze przeznaczony do prawosławnego monasteru, o którym gdzie, jaki jest, tyle wiem, ile o dniu ostatniej mojej godziny".

Krewni namawiali znowu, by ustąpił. Odpowiada im w te słowa: "Ja nie tylko się cieszę, ale i chlubię udziałem moim; za najpochlebniejsze świata tego widoki i obietnice, bezrozumnie mnie kuszących, nigdy się nie zmienię. Gdy nie chcecie z Bogiem wiecznie być w niebie, bądźcie z ludźmi miłującymi świat i jego dobra szczęśliwi, nie mieszając mego ducha i mego pokoju. Ja ufam Bogu i pogroźek się wcale nie boję: Bóg mój wszystko moje. Nie wdzięczcie się do macochy, oderwanej cerkwi wschodniej. Jesteśmy dziećmi świętego powszechnego i jedyne tylko prawdziwego Kościoła i uczniami Jezusa Chrystusa; nie troszcie się o mój los doczesny, nie wiem, czy jutra z pewnością osiągnąć mogący. Ten, który mnie stworzył na służbę swoją świętą, jednego z najniegodniejszych mnie powołał, teraz z jedynej dobroci i miłosierdzia na tym doświadczenia kamieniu postawił i obdarza łaską mnie swoją. Spodziewam się że nie zapomni o potrzebach tego, który w nim całą swą ufność i nadzieję położył. Jeśliby nawet los mój chciał (Bóg) porównać z łazarzem, czego bym się miał spodziewać, uczy mnie wiara".

Przeżył ciężką chorobę, po czym zawieziono go do Żytomierza przed gubernatora i ponowne namowy, i obietnice, a gdy znów bezskuteczne, wywieziono go w r. 1839 do Nowogrodu Siewierskiego, gdzie przebywał więziony przez kilka miesięcy w schizmatycznym monasterze, żywiony czarnym ościstym chlebem, okryty łachmanami, o głodzie i chłódzie, doznając najgorszej brutalności i grubiaństw. Pamiętniki jego zawierają o tym wspomnienia wprost przeraźliwe, ale też ile mieści się w nich wzniosłości, gdy opisuje swe spotkania z Siemaszką i z Zubkiem, i przytacza argumentacje swoje przeciwko odstępcom!

Szczęśliwsza była co do osoby swego biskupa diecezja unicka chełmska. "Cierniowa była droga życiowa unickich biskupów chełmskich. Wobec ciemnoty ludu i braku religijnego uświadomienia oraz obsadzenia parafii przez kapłanów, pozbawionych należytego zaopatrzenia materialnego, nieraz nieuków nieokrzyszczonych, nie święcących przykładem w życiu prywatnym, ciężar wyłącznej odpowiedzialności spadał na barki pasterza diecezji. Władze hojnie szafowały obietnicami, wynagradzały popierających zamierzenia rządowe biskupów, przybierając groźną postawę wobec opornych. Pierwszym administratorem diecezji chełmskiej, wystawionym na ciężkie próby życiowe, był biskup Szumborski".

Filip Szumborski urodził się jeszcze w wolnej Polsce, w r. 1771 i składał śluby zakonne u Bazylianów jeszcze przed drugim rozbiorem w r. 1790. Lata całe bywał nauczycielem po zamożnych dworach szlacheckich, aż w r. 1811 powołany został na sekretarza przez ówczesnego biskupa chełmskiego, Ciechanowskiego. W roku 1814 został wybrany na wizytatora Bazylianów i spełniał ten urząd przez cztery lata. Potem w r. 1825 otrzymał nominację na prałata archidiakona kapituły chełmskiej. Od roku 1827 był wikarym generalnym diecezji, konsekrowany w końcu na biskupa w r. 1830. Liczył wtedy już 59 lat. Przyszło mu wkrótce bronić unii.

W kwietniu 1836 r. nadszedł reskrypt od rządu, żeby wszystkie cerkwie w całej eparchii, poczynając od katedralnej, urządzić "na sposób cerkwi wschodnich". Wtedy znalazł biskup dzielnego doradcę i pomocnika w osobie ks. prałata Pawła Szymańskiego, profesora Uniwersytetu Warszawskiego i akademii duchownej w Warszawie. Ten ułożył memoriał przeciwko zmianom i pozbierał podpisy duchowieństwa całej diecezji tak, że biskup miał się na czym oprzeć wobec rządu. W memoriale użyto

nawet wyrażen ostrych, np. "Cała mac Najjaśniejszego Pana nie starłaby plamy sumienia, zaciągnionej lekceważeniem władzy Papieża". Kiedy w r. 1839 gubernator lubelski chciał obrócić na prawosławie kościół i klasztor Bazylianów, znajdujące się w twierdzy w Zamościu, projektu tego nie udało się przeprowadzić z powodu sprzeciwu biskupa Szumborskiego. Ale nie zdołał biskup przeszkodzić stawianiu na początek w cerkwiach ikonostasów i carskich wrót. Zmuszono też biskupa, że oddalił ze stanowiska oficjała ks. Halickiego, który był wielkim obrońcą unii, a przyjął wskazanego mu przez rząd ks. Hryniewieckiego.

Ale sprzeciwił się stanowczo, gdy zażądano, żeby wysyłał alumnów seminarium chełmskiego na dalsze studia do prawosławnej akademii duchownej w Kijowie. Wtedy rząd ze swej strony zakazał katolickiej akademii w Warszawie, żeby tam nie przyjmować całkiem kleryków chełmskich. Biskupa zaś Szumborskiego wezwano w r. 1840 do Petersburga. Nietrudno było przewidzieć, że będą go tam zmuszać do apostazji, więc wymówił się złym stanem zdrowia od tej podróży; ale naciskano go tak silnie i dokuczliwie, iż wreszcie wybrał się w tę drogę. Wziął z sobą ks. Szymańskiego i przybyli do Petersburga razem z początkiem sierpnia 1841 r. Niebawem, bo już 13 października zmuszono do wyjazdu tego obrońcę unii, a najlepszego osobistego przyjaciela władzy. W 12 dni potem miał biskup Szumborski odwiedzić... Siemaszki. Na wszystkie pokusy i groźby odpowiadał biskup bardzo wyraźnie: "Prędeż i łatwiej zrobicie ze mnie drugiego Jozafata, niżeli błagoczystywego", co znaczyło, że gotów naśladować męczennika św. Jozafata Kuncewicza, a nie ustąpi w żadnej sprawie zasadniczej. Ustępstwa w drobiazgach nie zadowolili rządu, np. żeby mszał pozostawał stale przez całą mszę na lewej stronie ołtarza.

Jak zaś umiał unii bronić, świadczy fakt, gdy oddanego rządowi prowincjała Bazylianów, Billewicza, skłonili zakonnicy do ustąpienia, a wybrali na jego miejsce ks. Michała Dąbrowskiego. Stało się to na zebraniu w klasztorze chełmskim, odbytym w obecności biskupa. O tę sprawę stoczyła się zacięta walka. Wszystkie władze rządowe oświadczały raz po raz, że tylko Billewicza będzie się uznawało nadal prowincjałem, aż biskup ugiął się i usuniętego przywrócił. Ale w piśmie swoim do Bazylianów nie tylko zaznaczył wyraźnie, że robi to "w myśl zarządzenia komisji rządowej", ale zakończył pismo cytatem z ewangelii o doktorach w Zakonie i faryzeuszach, którzy rozsiedli się na stolicy Mojżeszowej. Bardzo się tym poczuł dotknięty namiestnik Królestwa Kongresowego, generał Paskiewicz; w liście do gubernatora lubelskiego zwrócił uwagę, że takiego porównania można użyć tylko o władzy nieprawowitej. Odtąd też tym bardziej miano ks. Szumborskiego na uwadze, na oku i na... celu.

Nie bez moralnego wpływu tego biskupa i niektórych kanoników powstał z początkiem r. 1840 w Chełmie wśród kleryków seminarium unickiego tajny związek, którego członkowie składali przysięgę, że nie opuszczą unii mimo prześladowań. Jakoś jednak się to wydało, a namiestnik Paskiewicz kazał dwóch kleryków oddać do wojska, jednego osadzić w areszcie na trzy miesiące, a wszystkich wykreślić z listy osób duchownych i poddać na dwa lata pod nadzór policyjny.

Iluż kapłanów cierpiało wówczas prześladowanie za przywiązanie do unii, iluż zasłużyło sobie najzupełniej na to, by ich uważać za męczenników! Tu możemy wymienić ledwie najwybitniejszych. Należał też do nich niewątpliwie ks. Ignacy Sołtanowski, także Polak. Pozostawił i on również pamiątki, a "napisane czystą polszczyzną, stylem przedziwnej prostoty i wzniosłości". Urodził się w r. 1800 w powiecie słonimskim z drobnej szlachty polskiej i był chrzczony i nawet bierzmowany w obrządku łacińskim. Ojciec jego był rotmistrzem wojsk polskich. Mały Ignas stał się w piątym roku życia zupełnym sierotą i wtenczas zajął się nim okoliczny pop unicki, Rusin. Przez 12 lat trzymał sierotę u siebie, używając do posług domowych, a nie nauczył go nawet czytać ni pisać. Mając lat 17, uciekł od swego "dobrodzieja" do Bazylianów w Leszczu (w Pińszczyźnie), także na służącego, ale przynajmniej przy kościele. Ci zakonnicy zajęli się jednak jego losem, uczyli i dali mu, co sami mieli najlepszego, tj. przysposobili go do nowicjatu bazylikańskiego. W zakonie przybrał imię Jonasz. Przechodził wszystkie stopnie. Rok 1837 zastał go na nowo w klasztorze w Leszczu na stanowisku kaznodziei, a zarazem - gospodarza klasztoru.

Tam zastał go rozkaz, by usunąć z cerkwi organy i wszystkie ołtarze boczne. Wierny kapłan nie poczynił żadnych odmian. Kazano mu stawić się przed sąd odstępcy, prowincjała Żarskiego w Bytemiu. Ten kazał mu i drugiemu jeszcze unicie odprawić przed sobą mszę świętą według rosyjskiego mszału. Odmówili obaj. Przesiedzieli za to zamknięci przez pięć dni o chlebie i wodzie. Towarzysza ks.

Sołtanowski skazał Siemaszko, żeby zdjąć z niego kapłaństwo i oddać do wojska na prostego żołnierza. Szkoda, że ks. Sołtanowski zapomniał jego nazwiska.

On zaś sam rozchorowawszy się, przez trzy miesiące leżał "bez czucia i pamięci". Ledwie mógł się ruszyć, zaczęto go wozić po monasterach prawosławnych, podobnie jak ks. Andruszkiewicza i również z wymyślnymi dokuczliwościami. Przysyłał do niego Siemaszko z pokusami, ale zyskał taką tylko odpowiedź: "Niech lepiej zginę, aniżeli mam stać się wiarołomcą i odstępcą od Kościoła boskoapostolskiego!" Wywieźli go tedy do Lubaru, w którym przeleżał chory trzy tygodnie. Było tam uwięzionych 24 księży, odmawiających używania schizmatyckich mszałów. Po pewnym czasie napadł na nich niespodziewanie pułkownik rosyjski w 15 żołnierzy i przy każdej celi więziennej postawił żołnierza, żeby nie mogli porozumieć się między sobą, po czym oskarżano ich o bunt i wzywano pojedynczo na śledztwo.

Gdy go tam wprowadzili, naprzód przeczytali rozkaz gubernatorski w tych słowach: "Użyć wszystkich najsurowszych środków, aby skłonić do dania podpiski własnoręcznej na przyłączeniu się do prawosławia; a jeśli nie zechcą, odesłać do sołowieckiego monasteru na Morzu Białym". Potem zaczęli namawiać, różnymi obietnicami zachęcając. "Gdy posłyszeli odpowiedź moją: sumienie mi nie pozwala zdradzić moją zbawienną, praojcowską wiarę, wtedy zaczęli piorunować i sypać różne postrachy i pogrożki i odprowadzili mnie do mojej komnaty; zaczęli ściśle rewidować, w całym odzieniu, kieszeniach, kołnierzach, buty ściągali, w kufierku wszystko przerzucili, szukali pieniędzy i papiery zabrali. Powózka pocztowa i konie już były dla mnie gotowe, kazano mnie siadać do powózki z żandarmem i ruszać w sołowiecki monaster. Zajechali wprzód do Kijowa do fortecy, tam wprowadzili mnie do kancelarii plac-komendanta, ściśle rewidowali i zadawali różne pytania: dlaczego nie słuchacie zwierzchności? - i potem zaprowadzili mnie do podziemnego lochu, zwanego kazamatem i tam zamknęli żelazne drzwi na zamek, na podłogę ceglana położono trochę słomy na pościel. Rozkazano wydawać na żywność dla mnie codziennie po trzy kopiejki. Gdy rano i wieczór wypuszczano na potrzebę, to w asystencji dwóch żołdatów z gołymi pałaszami, i zaraz znowu zamykano w kazamatach".

"W tych kazamatach było nas dwunastu księży, ale każdy osobno zamknięty, tak że jeden z drugim widzieć się nie mógł. Trzymano nas w tych podziemiach cały miesiąc. A gdy ksiądz Teodor Fiedorowicz umarł w kazamacie, raportowali o tym do cesarza Mikołaja: co z nimi robić? Cesarz rozkazał postępować, jak z aresztantami. To działo się w r. 1840".

Dwunastu księży z tego grona nie wytrzymało i podpisało przejście na prawosławie, o czym autor pamiętników wolał nie wspominać; jeden umarł, a jedenastu wywieziono do fortecy w Kijowie. Każdy osobno był zamknięty w podziemiach; na żywność dawał rząd po trzy kopiejki na głowę. Ci jednak dalej pozostawali aż do zgonu w łączności z Kościołem rzymskim. Nic nie było w stanie zachwiać ich niewzruszonej wiary.

Od roku 1840 zaczęło się ponowne obwożenie ks. Sołtanowskiego po monasterach, po czym "na pokucie" trzymano go dwa lata w prawosławnym klasztorze w Diakowie i dwa lata w Ładzie, nie szczczędając nigdzie przykrości. W sierpniu 1844 r. zesłano go na dożywotnie więzienie w głąb Rosji. Przebywał w najprzyszejszych warunkach w Czernichowie, gdzie przez 13 lat nawet mszy świętej katolickiej nie miał sposobności wysłuchać: ani do Sakramentów świętych przystąpić. Dopiero po trzynastu latach ks. Łubieński, późniejszy biskup sejneński, w końcu wygnaniec i męczennik za wiarę, wyspowiadał i podał komunię świętą świętobliwemu Jonaszowi, podczas mszy świętej odprawionej w nocy.

Losy zaś ks. Andruszkiewicza o tyle były mniej srogie, że miał dostęp do książek, a choć mu je nieraz odbierano, zawsze powiodło się wykołatać je znowu z powrotem. Kształcił się dalej na polskich pisarzach kościelnych, głównie na Skardze, i innym chętnie pożyczał dzieła ze swej biblioteczki. Z pamiętników jego warto tu przytoczyć jedno zdarzenie:

"Przez cały rok 1839 dały mi łaskawe nieba współtowarzysza, wyznawcę prawdziwego Kościoła Chrystusowego w jedności świętej; kapłana, który miał żonę i siedmioro zostawiwszy dziełek, po etapie jakby ostatni łotr, zbrodzień, sześćset wiorst drogi świętymi swymi przemierzywszy stopami, był

pomieszczony wśród tych samych ścian i baszt (w Nowogrodzie Siewierskim), które mnie dzisiaj otaczają. Niedługo cieszyłem się jego anielskim obliczem; wyprowadzono go w dalsze strony". Na drogę dał mu kazania Skargi.

Z przymuszaniem księży unitów do liturgii prawosławnej mieli odstępczy "apostołowie" schizmy kłopotów co niemiara. Duchowieństwo unickie nie znało oczywiście schizmatycznych obrzędów i nie znało języka rosyjskiego. Wymyślił tedy zaprzaniec Siemaszko szkołę dla księży unickich w Żyrowicach. Jak się odbywała ta nauka, wiemy z pamiętnika znanego nam już księdza Micewicza, proboszcza unickiego w miasteczku Kamieńcu Litewskim. W jego dekanacie nie wszyscy księża przyjęli mszały moskiewskie. Tych więc wezwano do Żyrowic. Trzymano ich tam "więcej tygodnia" i musieli żywić siebie i konie swoim kosztem; poprzyjeżdżali bowiem z daleka na swoich ubogich bryczkach. Kiedy gdy już nie mieli się tam z czego utrzymać, dopuścił ich sufragan Zubko przed swe oblicze i egzaminował, potem kazał podpisywać rewers, że będą używać mszałów umyślnie dla nich w Moskwie drukowanych. Nie wiedzieli dobrze, co podpisują, po rosyjsku czytać nie umieli. Ks. Micewicz, nabrawszy wątpliwości i zaniepokojony w swym sumieniu, zawrócił do Żyrowic. Po rozmaitych trudach i zabiegach osiągnął tyle, że mu pokazano wczorajszy akt z jego podpisem i sam Zubko przeczytał mu go. "A gdy on mi go odczytał, ja odezwałem się z wielką nieśmiałością, i przepraszając go, że ponieważ się rosyjskiego języka nie uczyłem, nie mogłem tak od razu zrozumieć dokładnie znaczenia niektórych wyrazów; położył tedy przede mną akt na biurku... ja tedy, niewiele myśląc, a mając już na to przygotowaną bawełnę w atramencie zmoczoną, pociągnąłem nią po własnoręcznym podpisie, i tym sposobem akt ten zniszczyłem". Nastąpiło wyzywanie go od łotrów i łajdaków, do czego sam biskup apostata dawał przykład, nie szczędząc też pogrózek.

Po kilku dniach kilku takich "opornych" księży zawieziono pod nadzorem policji do sądu powiatowego w Brześciu, w którym "kapitan sprawnik (policyjny) przez cały dzień nam apostołował, nawracając na prawosławie". Stamtąd odwiozła ich policja o 25 mil do Żyrowic. w których przez tydzień kazano im przypatrywać się nabożeństwu schizmatyckim, aż znów nie mieli się już czym pożywić. Wtedy na nowo sprawa z podpisywaniem rewersu!

Drugi tydzień minął na namowach prośbą i groźbą, a gdy kapłani wiary świętej się nie zapierali, odsądzono ich nie tylko od parafii, lecz całkiem od pełnienia urzędu kapłańskiego; pięciu z nich zdegradowano na diaków, a dwóch jeszcze niżej - na tzw. pałamarów, czyli pryczetników, wyznaczając ich do rozmaitych a odległych klasztorów rosyjskich. Długie lata pędzono ich po tych klasztorach! Nie mieści się to w głowie katolika, jak można kapłana "zdegradować" na kościelnego, na dzwonnika, na zamiatacza wreszcie. Ten szczegół charakteryzował cerkiew rosyjską, policyjno-prawosławną!

Kiedy ks. Micewicz prosił, żeby go puścili do domu na kilka tygodni "dla doglądania śmiertelnie chorej żony, pozostawionej staraniom dwojga małoletnich dzieci", odpowiedział mu sam biskup Zubko w te słowa: "Nie czas ani pora ze zwierchnością żartować; co zwierchność i pasterza ma to obchodzić, że twoja żona umiera i dzieci przepadają? Przepadnij i ty! Takich nie szkoda, a jeżeli chcesz jechać do domu, podpisz akt, to i pojedziesz; a nie, to tam jedź, gdzie ci każą".

W pierwszym klasztorze przymusowego pobytu (w Darewie) stołował się z diakiem i gumiennym, ale częściej "zapominano" dać mu jeść; musiał chodzić po katolikach w okolicy, prosząc o łyżkę stawy. A wszędzie ciągle nieznośne próby "nawracania" tak przez popów, jak też przez urzędników policyjnych. "W r. 1836 w styczniu otrzymał konsystorz od Siemaszki z Petersburga rozporządzenie, w którym mówi, że będąc uwiadomiony, że kapłani, którzy zostali rozesłani na diakonów do różnych miejscowości, obowiązków swych pełnić nie umieją, zatem wezwać ich do Żyrowic i takowych nauczyć; mają się tam sami własnym kosztem utrzymywać, a którzy nie są w stanie, będą się z diaczkami stołować". Znowu cała poprzednia męka od początku i znowu obwożą go za diaka. A wyznaczona mu pensja stu złotych rocznie ani razu doń nie doszła.

Ci z wygnanych księży, którzy mieli mieszkanie (zwykle więzienie) i stół w klasztorze schizmatyckim, do którego byli zesłani, otrzymywali na odzież i wszystkie inne osobiste wydatki rocznie wszystkiego razem sześć rubli. Gdy się nadal nie dawali "nawracać", obcinano im i tę pensję do połowy, na trzy ruble. Dozorcy i służba wyciskali z nich, co się dało, na każdym kroku. Wysyłał do synodu zażalenie (lecz bezskutecznie) bazylianin Jozafat Manaczyński, że trzymany jest w ścisłym więzieniu, i że go

prawosławni mnisi głodzą, a musi osobno opłacać każdy kęs chleba i nawet dzban wody, że już nawet za łożko żądają od niego zapłaty.

Pastwiono się też nad jego synem i wielu innymi synami unitów. Zebrano chłopców, jako "posłużników" w klasztorze Torokańskim, należącym do biskupa Zubki i tam używano ich do najgorszych robót. "Zawiadywał klasztorem z ręki biskupa ks. Łyszkowski, dawny Bazyljanin, który przyjąwszy prawosławie, przyjął tu i zarząd gospodarstwa i obowiązków pastwienia się nad nieszczęsnymi sierotami, między którymi znajdował się mój syn, i którego w najstraszniejszej nędzy trzymano, bo łyż były im pokarmem a odzieniem rany tyrańskie; jeśli bowiem który z nich odważył się o cokolwiek prosić ks. Łyszkowskiego, dostawał pięścią w głowę, a powalonego na ziemię kopał nogami i obcasami".

W służbie diakowskiej w rozmaitych miejscach zdarzało się np. że płacono za jego mieszkanie i stół po jednym rublu miesięcznie, więc "rozumie się, że wygodę miałem odpowiednią do ceny, bo w miejsce posiłku prawie całą zimę karmiłem się śwadem i dymem nie do wytrzymania". Za to kręciło się koło księdza wciąż sporo rozmaitych "apostołów prawosławia", raz nawet nastano na niego żyda faktora.

Nie każdy wytrzymał; ale też niejeden znalazł się w takich okolicznościach, iż trudno doprawdy nie przyznać im okoliczności łagodzących.

Za każdym objazdem diecezji przez biskupa odstępce, narzuconego z woli cara, traciło miejsce kilkudziesięciu "nieposłusznych", pozbawionych dachu i chleba wraz z rodziną. Takich, którzy od razu podpisali, czego od nich zażądano, było niewiele; ale wielu później dopiero poczynano się chwiać i do podpisu się zgłaszali. Tak na przykład ks. Teodor Miliński ze Stepankowa, skazany na posługę pałamską, nie pojechał do wyznaczonego sobie klasztoru prawosławnego; a że był odsądzony od beneficjum, tułał się po różnych kątach przez pięć lat; wreszcie dłużej wytrwać nie mogąc i prześladowania znosić, akt dyzunii podpisał. Jeszcze ciekawszy jest przykład ks. Adama Pławskiego. Był to jeden z najbardziej wykształconych księży unickich, bo magister teologii z Uniwersytetu Wileńskiego. Taki był zacięty przeciw schizmie, że w obecności schizmatyckiego arcybiskupa Gawryła plunął na mszał moskiewski. Zdegradowany na diaka, wożony był po guberni mohylowskiej i smoleńskiej przeszło trzy lata z żoną i ośmiorgiem dzieci, aż w r. 1838 podpisał prawosławie.

Wymagano zaś od duchowieństwa coraz wyraźniejszego i jawniejszego zaprzaństwa. W roku 1837 spróbował Siemaszko, czyby się nie dało, żeby księża unicy zapuścili brody i nosili prawosławne "rjasy". Przykład dał od razu biskup sufragan Zubko. Nie nalegano jeszcze, lecz doradzano i zachęcano.

Równocześnie niemal wydano dwa ciekawe rozporządzenia. Zakazano klerykom żenić się z łacinniczkami, a więc z Polkami; te Polki bowiem stanowiły wielką przeszkodę do nakazywanego przez rząd "zjednoczenia" z prawosławiem; ani nawet na obrządek słowiański przechodzić nie chciały. Polskie "popadije" stawiały opór niezłomny, którego Siemaszko nie zdołał przełamać aż do r. 1862. Inne rozporządzenie zakazywało ks. łacińskim chrzczyć dzieci unickich księży, żeby te dzieci nie były zapisane do łacińskich metryk.

Pewną ulgę sprawił okólnik, wydany przez administratora diecezji wileńskiej ks. Mikuckiego, a bez wiedzy Siemaszki, z widocznym zamiarem, żeby dopomóc prześladowanym. Zawiadamił mianowicie duchowieństwo, że chociaż zakazano już unitom przechodzić na obrządek łaciński, wolno jednak robić to prawosławnym. Zaczęli więc niektórzy księża unicy przyjmować pozornie prawosławie, ażeby przejść następnie na łacinę. Ale Siemaszko zapobiegł wkrótce temu zabiegowi, a od listopada 1838 r. wywożono już wszystkich "opornych" księży w głąb Rosji.

Na początku r. 1839 przygotowywał Siemaszko cios stanowczy. Ułożył w imieniu unitów prośbę do cara o przyjęcie do cerkwi prawosławnej i z wielkim prześladowaniem kazał zbierać na to podpisy. Już teraz nie chodziło o pewne szczegóły nabożeństwa; tamto wszystko było przygotowaniem, a teraz mieli się już uroczyście i zupełnie unii wyrzec i stać się schizmatykami bez zastrzeżeń. Car przyjął tę petycję i podpisał "zjednoczenie" dnia 25 marca 1839 r. Podpisów było 1305. Odmówiło 593.

Wtedy to Ojciec św. ogłosił sławne swoje przemówienie (allokucję) na publicznym konsystorzu papieskim w Rzymie, z przypomnieniem biskupom i plebanom apostatom, że Bóg "książę pasterzy, będzie kiedyś szukał na ich rękach krwi zatraconych owieczek".

"Pragnąc, żeby nowy kler nawet pamięć unii zatracił, zamieniano klerykom imiona, które na chrzcie św. byli wzięli, na schizmatyckie i nie pozwalano dzieciom księży nadawać imion świętych łacińskich, jeno schizmatyckich".

Nietrudno się domyślić, że po owym apostazyjnym urzędowym ogólnym "zjednoczeniu" nastąpiło jeszcze cięższe prześladowanie tych, którzy nadal odmawiali podpisu. Ksiądz Micewicz znalazł się w r. 1840 w Zahorowie, w którym igumenem (przeorem) schizmatyckiego klasztoru był osławiony odstępcą Seweryn Dziubiński, "pijanica i łajdak ostatniej próby". Ten uwięził w jednej stancji czternastu księży unickich. Jednym z nich był ociemniały (ks. Arseni Błażewicz), a nie miano dla niego żadnych ulg. Posłuchajmy, co opowiada o tym ks. Micewicz w swym pamiętniku, jak Dziubiński "pastwił się nad nami w sposób godny czasów pogańskich".

"Morzono nas głodem, dając za ledwie po funcie, a częściej po pół funta, na wpół z plewą zmieszanego chleba i po małej porcji niedosolonego wstrętnego jada; a wiele bywało dni takich, w których nic nam nie dawano; napastowano też każdodziennie, grożąc większą srogością".

Dziubiński "nie szczędził okrucieństw". Razu pewnego pozwał dwóch kapłanów unickich, w cerkwi rzucił ich o posadzkę i kazał odbijać pokłony aż do końca mszy; a gdy mu o to robiono wymówki, kazał ks. Micewicza i ks. Możalskiego zamknąć, każdego z osobna, w celach więziennych. Urządził rewizję kufereków i zabrał znalezione pieniądze. Przez pierwszy dzień nic do jedzenia nie dał, potem zaś przysłał krupnik, który dawno już przedtem widocznie był przyrządzony i "okraszony grynszpanem", z czego się pochorowali. Tyran ten i prostak kazał pozatykać lufty z miejsca ustępowego, żeby więźniowie musieli oddychać powietrzem smrodliwym. I tak dręczył ich rozmaicie przeszło siedem miesięcy, morząc głodem.

W styczniu 1841 r. powiększył grono więźniów ks. Jozafat Słobodzki, opat kobryński. Zabrano mu od razu nie tylko pieniądze, ale nawet wszystkie drobiazgi, nawet łyżeczki i płaszcz. Oprawca ułokował go w nie opalanej izdebce. Sprowadzał chłopów i wobec nich lżył opata, nazywając go "starym psem", obiecując 300 kańczugów itp. Pędząc go do więzienia, nie dał włożyć berlaczy, "tedy starzec w jednym tylko szlafrocuku i boso szedł za nim w milczeniu". Kazał drzwiczki od pieców odbić, żeby jeszcze bardziej odczuwali zimno. "Przy końcu stycznia odebrali nam odzież zimową i przez całą zimę używano nas do robót najwstrętniejszych i najcięższych".

A oto opis zgonu zamęczonego na śmierć ks. Słobodzkiego: "W poniedziałek 3 marca 1841 r. za ledwieśmy rozpoczęli jutrznię w kaplicy, wpadł ks. Dziubiński z dwoma pomocnikami, porwał ks. Słobodzkiego, wtrącił do zimnego, okropnego więzienia, połączonego z kloaką, i tam starca 74-letniego pozostawił bez pokarmu, ani ciepłego ubrania, gdyż opat w chwili porwania miał na sobie tylko wytarty szlafroczek; a nas zwykłym porządkiem wyprawił natychmiast Dziubiński na staw, żąc oczeret. Lecz my niespokojni o ks. opata, wystaliśmy jednego spomiędzy siebie, ks. Onufrego Falkowskiego, aby się o niego wywiedziało. Ucieszył się niezmiernie staruszek tymi nawiedzinaми i przez szparę, znajdującą się we drzwiach więzienia, odbył spowiedź, po czym ks. Falkowski do nas wrócił i nie wiedzieliśmy, co się z opatem przez cały dzień działo. Dopiero wieczorem, wracając od roboty, przez drzwi usłyszeliśmy jakby chrapanie, więc prosiliśmy diakona Kondratowicza, u którego były klucze od więzienia, by nam pozwolił tam zajrzeć. Dano znać Dziubińskiemu, że opat zdaje się konać, na co odrzekł: -niech ginie jak pies, ja odpowiadać za niego nie będę! I nie pozwolił nam pójść, dopiero nazajutrz wpółumarłego kazał przynieść do stancji, gdzie wkrótce ducha wyzionął, dnia 4 marca 1841 r. Ludzie, którzy go po śmierci ubierali, widzieli na jego ciele liczne sińce i ślady pobicia, zapewne dlatego wtedy nie pozwolono nam zbliżyć się do niego. 6 marca po odprawieniu stosownego nabożeństwa, jako po opacie, pochowaliśmy go na cmentarzu klasztornym w sadzie".

Ten Dziubiński dokazywał jeszcze i potem, lecz już niedługo; tegoż samego roku skończył samobójstwem, wskoczywszy do stawu we wsi Chorowie, o pół mili od swego klasztoru, "a że było za płytko i brzeg błotnisty, więc utonął tam nie mógł, przeto zanurzył głowę w wodę pod oczeret... Przy

autopsji doktor powiatowy oświadczył, że mózg był zupełnie zdrowy, a samobójstwo sprawiły tylko wyrzuty sumienia" - dodaje ks. Micewicz.

Wszystkie te "nowinki religijne" były niezmiernie przykre dla ludu. Objeżdżając okolice Pińska, spotykał Siemaszko cerkwie prawosławne, stojące pustką, bo ludność albo przeszła na obrządek łaćwiński, albo poprzyłączała się sama do nielicznych parafii unickich, które jeszcze pozostały, nie dbając o wielkie odległości. Dodajmy, że trzeba było do tego dobrej woli tej ocalałej jeszcze resztki proboszczów unickich, a zdarzało się rozmaicie. Z roku na rok ubywało jednak cerkwi z nabożeństwem unickim, a do "nawracania" księży unickich używał Siemaszko coraz częściej pomocy władzy świeckiej, z policją i z więzieniem. Najbardziej celował w gwałtach i nieprawościach "nawracania" żandarmskiego czynownik nazwiskiem Melnikow, który tak się wprawił iż potrafił "nawracać" całe parafie naraz. Został on potem za wstawiennictwem Siemaszki w r. 1843 wicegubernatorem kowieńskim.

Całe to odstępstwo przygotowane było w ukryciu i potajemnie; lud nic o tym nie wiedział, że jego wiarę chcą wytępić w całym państwie i że zdradzili go własni pasterze. Niejeden z księży dawał podpis tylko dlatego, że apostazją kierowali biskupi, bo w tym znajdowali księża uspokojenie sumienia, powiedziawszy sobie, że trzeba biskupa słuchać, a już biskup odpowie za wszystko przed Bogiem. Mylili się jednak; moralność katolicka naucza bowiem wyraźnie, że w złem zwierzchności słuchać nie trzeba. Siemaszko zaś wcale się o to nie troszczył, czy lud będzie mieć przekonanie do prawosławia, gdy proboszczowie na prawosławie przejdą. Wystarczyło mu, gdy lud urzędowo był na schizmę "przepisany". Jakże miała unia utrzymać się? Unia bez unickich kapłanów?

Mijał cały rok od aktu apostazji, a nikt go urzędowo nie ogłosił, lękając się, żeby lud nie wystąpił przeciw rządowym proboszczom. Siemaszko zażądał wprost, żeby synod prawosławny nie ogłaszał "aktu zjednoczenia". Niecała też Ruś wydawała apostatów. W trzech guberniach południowych, w podolskiej, wołyńskiej i kijowskiej zaledwie dziewięciu księży dało swe podpisy; toteż południowe gubernie nawet nie przeczuwały nic z tego, co się w r. 1839 stało. A kiedy w owym roku 1839 Siemaszko zaczął odprawiać nabożeństwa wspólnie z archirejami prawosławnymi, wtedy otaczano cerkwie wojskiem dla bezpieczeństwa. "Kiedy w Wilnie wyświęcał na sufragana apostatę Michała Hołubowicza, w asystencji Antoniego Zubki i schizmatyckiego archireja, wtedy otaczało cerkiew pięć sotni kozaków. A kiedy wybierał się na objazd eparchii, aby wizytować cerkwie, wtedy udawał się do gubernatorów z prośbą o straż policyjną".

Synod petersburski nakazał, żeby 13 czerwca 1839 r. odbyły się wszędzie uroczystości dziękczynne za "zjednoczenie" unitów z prawosławiem. Siemaszko sprzeciwił się, bo tego dnia wypadało w sam raz katolickie święto Bożego Ciała (schizmatykom nieznane), a zatem - jak pisał Siemaszko - "można obawiać się tego, że lud "zjednoczony" zamiast iść na uroczystości do cerkwi, przyłączy się do procesji rzymskiego duchowieństwa, jak to zawsze wedle zwyczaju robił". Próbowano tych nabożeństw dziękczynnych jeszcze dwa lata potem, ale odbyły się zaledwie w pięciu miastach eparchii litewskiej. Po wsiach miano to urządzać tylko na życzenie ludu, toteż nie dało się tego zrobić nigdzie.

Na nic się też nie zdało, że w r. 1841 wydrukowano katechizm prawosławny w polskim języku i książeczkę pt. "Rozmowy wątpliwego i wierzącego o prawosławnej cerkwi". Wtykano te druki wszystkim, przy każdej sposobności, ale na próżno. Godne jest jednak zastanowienia to, że uważano, iż do ludu tego (ruskiego) łatwiej będzie trafić, odzywając się do niego po polsku!

Zastanawia również fakt, że ani w r. 1842 lud jeszcze nie był urzędowo zawiadomiony, że jest uznany za prawosławny i nigdzie też nie myślał uczestniczyć w nabożeństwach dziękczynnych za to. A gdzie cerkwie przerobione były na schizmatyckie tak widocznie, że lud tego nie mógł nie poznać, np. w dekanacie owruckim i witebskim, 3106 parafian wstrzymało się od spowiedzi wielkanocnej. W roku następnym 1842, obliczono, że w eparchiach, znajdujących się pod zwierzchnictwem Siemaszki, usunęło się od spowiedzi 21 238 osób. Organy znalaziono jeszcze w r. 1841 w kilku cerkwiach dekanatu bielskiego, za co wydalono dziekana, a przysłany na jego miejsce dziekan rządowy otrzymał polecenie, żeby powyrzucać organy z pomocą policji. Siemaszko uspokajał władze rosyjskie, że lud będzie się stopniowo przyzwyczajając i uspokajając, ale w r. 1843 musiał przyznać, że lud unicki wcale nie okazywał przywiązania do prawosławia, z którym go urzędowo "zjednoczono". Na Podolu zaś lud przyjmował obrządek łaćwiński tak gromadnie (zwłaszcza w dekanatach kamienieckim, jampolskim i

hajsyńskim), że "wreszcie na całym Podolu była tylko jedna cerkiew unicka i to w Kamieńcu Podolskim".

Toteż rząd nie we wszystkim był zadowolony z Siemaszki. Zwłaszcza domagał się energiczniejszego działania gubernator grodzieński, Murawiew. "Zebrano podpisy za pomocą próśb i gróźb, bo o nic też więcej nie chodziło. Ale lud, przywiązany do swego obrządku, nie mógł go się wyrzec tak łatwo. Toteż gdy przyszło do urzeczywistnienia w praktyce nawrócenia, dokonanego na piśmie, ludność unicka wszędzie stawiała stanowczy opór. W wielu miejscowościach masy ludu uzbroiły się w widły i kosy, i zapamiętałe broniły swego obrządku. Dla pokonania tego zbrojnego oporu nie pozostawało nic innego jak wezwać sotnie i krwawymi środkami tłumić opór ludności". Tymi słowami przyznał to później i uznał prawdę pisarz rosyjski.

W roku 1840 wyszło rozporządzenie od petersburskiego synodu, żeby przyłączyć do prawosławia te parafie unickie, które przeszły na obrządek łaciński. Trzymano to jednak w zupełnej tajemnicy; Siemaszko zawiadamiał tylko swych sufraganów, ale konsystorzom rozporządzenia pokazywać nie pozwalał. Zaczęto więc całkiem niespodzianie "nawracać" łacinników, a robiono to za pomocą "apostolstwa" policyjnego. Sposoby tej pracy "religijnej" okażemy na przykładzie wsi Leonpola w powiecie dziśnieńskim.

Parafia leonpolska była łacińska już od 35 lat. przyjąwszy łaciński obrządek w r. 1806 i przez 35 lat nie była o to nagabywana. Ni stąd ni zowąd (ukaz był sekretny) przyjeżdża do tej wsi w r. 1841 cała komisja: sówietnik, sędzia, deputat duchowny, pop, kandydat na proboszcza prawosławnego (główny apostoł) rotmistrz z wojskiem. Zapisano tedy parafię całą, 2067 osób na prawosławie; a w tym także 29 takich, których rodzice ani dalsi przodkowie nigdy nie byli unitami, lecz łacinnikami z łacinników. Poprzepisowywano też na schizmę nieobecnych, takich którzy przebywali gdzieś na szerokim świecie; skoro jednak byli wpisani do ksiąg ludności w Leonpolu, musieli stać się prawosławnymi, bo "taki ukaz". Parafianie wnieśli skargę do ministerstwa, ministerstwo odesłało ją do "najświętszego synodu", a synod do Siemaszki. Ten odpisał, że to wszystko wymysły złych ludzi, na których nie trzeba zwracać uwagi, lecz wypada szybko urządzać misje w sąsiednich powiatach, w lisnieńskim i wilejskim. Leonpolan kazano wykreślić z rejestrów diecezji katolickiej. Gdy ludność nie uczęszczała do cerkwi z nowym parochem, zjechała nowa komisja z oficerem korpusu żandarmów i ci po żandarmsku zrobili "porządek" i komisja doniosła władzom, że sprawa załatwiona. Cóż, skoro parafianie nadal nie chcieli być w cerkwi i nie odbyli spowiedzi? Wówczas biskup Zubko począł wyznaczać im terminy na poddanie się przepisom schizmy i ostatni termin wyznaczył na 22 sierpnia 1843 r. dodając, że gdy nie posłuchają, wtedy gubernator weźmie ich w "opiekę", Siemaszko naglił, żeby tę opiekę przyspieszyć i zażądał, żeby ją rozciągnąć także na pobliskie parafie Uźmiony, Przebrody i Dudakowice, bo tam takie same "bunty". Trzy te parafie doświadczyły tego samego losu co Leonpol. Na początek powybijano po dziesięciu najgorliwszych w wierze świętej parafian i powywożono ich do klasztorów prawosławnych, dzieląc ich jednak na części po trzech i czterech. Właścicielom tych wsi, Łopacińskim i Mirskim, zakazano mieszkać w swych dworach, każąc przenieść się do Wilna, a w dworach osadzono rządowych administratorów. Gdy to wszystko nie pomagało, zjechał do Leonpola sam gubernator, oczywiście z siłą zbrojną i tak się sprawił, iż w listopadzie 1845 r. mógł Siemaszko raportować, że Leonpol i sąsiedni Uźmionów przystąpiły do spowiedzi.

Sąsiednie miasteczko, Przebrodzie, doznawało misji czynowniczych już od r. 1841, bo gdy wywieziono tamtejszego proboszcza unickiego Mancewicza, parafianie przestali uczęszczać do cerkwi. Nowy proboszcz, już pop prawosławny, sławny apostoł Sawicki, zaczął także tropić takich, których rodzice poprzehodzili na obrządek łaciński; raz nawet przyzwał sobie do pomocy komisję rządową i tak przepisał na prawosławie 1133 osób. Odznaczył się przy tym czynownik Melnikow, znany już, jako pomocnik Siemaszki. Czynownik ten w samym powiecie dziśnieńskim poprzerał na papierze pięć tysięcy osób na prawosławnych. Odbył też misje prawosławne w parafiach uzmońskiej i grzegorzowickiej, w których było 1400 takich parafian, których rodziny już od 40 lat należały do obrządku łacińskiego.

Najbardziej zapędziło się czynownictwo we wsi Dudakowicach w guberni mohylewskiej w r. 1843. Gubernator mohylewski użył wojska, żeby lud zapędzić do cerkwi i tam gwałtem rozwierano ludziom

usta i wpychano komunikanty. Chodziło o stwierdzenie, że skoro komunikują u prawosławnego popa są więc prawosławnymi. Nie troszczyli się wcale o to, że nikt tego nie robił z własnej woli, a w sprawach religijnych liczą się tylko dobrowolne czyny. Dla Moskali przymus w cerkwi czy w koszarach jest jednakowo jedynym prawem. Najbardziej oporni parafianie dostali po 300 różg wojskowych, od czego trzy osoby umarły. Parafia wysyłała zażalenia do Petersburga, lecz oczywiście bez skutku.

Równocześnie narzekał Siemaszko w swych raportach, że gdzie tylko były kościoły łacińskie, lud unicki cisnął się do nich tłumnie i pragnął przechodzić na obrządek łaciński. Ale nawet katolicką łacińską ludność zaczęła policja pędzić do cerkwi, jak się to w r. 1859 stać miało w samym Wilnie. Stopniowo przebiegała się w Petersburgu myśl, czyby także łacinników Litwy i Rusi nie przerabiać na prawosławnych. Ale łacinnicy, to byli sami Polacy i nie było pośród nich żadnego... Siemaszki. Mógł Siemaszko z pomocą wojska zabrać w r. 1845 wspaniały kościół Świętego Kazimierza w Wilnie na katedrę prawosławną, ale popów musiał sobie posprowadzać; żaden z naszych księży na popa nie poszedł.

Gdzie pasterz był wierny i czujny, tam urzędy rosyjskie nie dały rady. W diecezji biskupa Szumborskiego nie zabrakło też prześladowania.

Przez cały ten czas urzędnicy rosyjscy szerzyli demoralizację pomiędzy parafialnym duchowieństwem unickim, wyzyskując do swej propagandy ubóstwo, a także ciemnotę parochów. Parafian zaś próbowano pozyskiwać obietnicami zwalniania od służby wojskowej, od niektórych podatków, stacji żołnierskich itp. Na razie ludność ulegała pokusie i gromadnie przechodziła na prawosławie w kilku wsiach. Nie zniósł tego biskup Szumborski w milczeniu. W lutym 1841 r. wystosował do rządu pismo, w którym skarżył się, że w czasie jego nieobecności jakiś paroch prawosławny namawiał unitów do porzucenia unii i nazwał to "haniebnym zgorszeniem dla samego rządu". Rozpoczął też zaraz wizytacyjny objazd diecezji, przeciwstawiając się akcji rządowej osobistym wpływem i naukami wygłaszanymi do ludu, wołając; że "na strasznym sądzie będę was wzywał". Nie pomogło wezwanie do Warszawy do namiestnika, gdzie otrzymał surowe ostrzeżenie. Wróciwszy stamtąd wizytował dalej diecezję, pełniąc gorliwie obowiązki arcypasterza. Doprowadził do tego, że nawet niepewni plebanie, którzy zaprowadzali na żądanie urzędów tę i ową zmianę, posiadającą już znaczenie zasadnicze, cofali te zmiany i utwierdzali się w wierności katolicyzmowi. Wielkie poparcie znalazł biskup w piśmie papieskim (breve) z 23 lutego 1842 r., w którym papież Grzegorz XVI ganił poczynione samowolnie zmiany i wzywał do odwołania niewłaściwych zarządzeń. Toteż zaczął biskup odwoływać nawet te drobiazgi obrządkowe, na które godził się pod przymusem, ażeby uniknąć sroższego nacisku w rzeczach ważniejszych. Odwoływał wszystko, bo chociaż drobiazgi owe nie posiadały znaczenia zasadniczego, ustępstwa owe bałamuciły lud. Na próżno wzywał biskupa gubernator lubelski w grudniu 1842 r., żeby zaniechał wszelkiego odwoływania. Książę biskup Szumborski rozważał sprawę dalej gruntownie, aż w końcu w marcu 1844 r. wydał sławny swój list pasterski, w którym sam się oskarża, że zblądził i prosi swą owczarnię o przebaczenie.

Nie można bez wzruszenia czytać tej spowiedzi publicznej, owego listu pasterskiego, unieważniającego poczynione przed paru laty ustępstwa. Zaznacza w nim ks. biskup, że natychmiast po wydaniu zarządzeń z r. 1841 wyrzekano, iż te zmiany stanowią pierwszy krok do zerwania z Rzymem i zniesienia unii. Wielu obywateli i katolików zaniechało uczęszczania do kościołów unickich, odmawiało wsparcia swym proboszczom. Lud również zaczął opuszczać nabożeństwo. Jedynie nadzieja, że wierni nie będą przywiązywali większej wagi do poczynionych zmian, powstrzymała pasterza diecezji od niezwłocznego cofnięcia wydanych przepisów.

Biskup przyznaje, że nie miał prawa zmieniać obrzędów kościelnych. "Zblądzili my przeto - pisze w liście pasterskim - i zgorszyli Was. Najmilsi Bracia w Chrystusie i owieczki nasze i lękamy się pogroźki Chrystusa Pana. Biada temu, przez którego zgorszenie przychodzi (Mat. 18). Błagam przeto Was, najmilsi bracia w Chrystusie, przebaczcie ułomności, przebaczcie błąd mój, który uznaję, i odwołuję rozporządzenie z dnia 14/26 sierpnia 1841 r. wydane. Wróćcie się do dawnych zwykłych, a przez nas długo uprawianych ceremonii. Przywołamy na powrót odstręczonych od kościołów naszych i nabożeństwa ludzi pobożnych obojga obrządków, a przed światem udowodnimy, że opinia o nas wzięta perekińczyków (odstępców) była bezzasadna i fałszywa. Bezpiecznym sumieniem nasze, położymy tamę zgorszeniom dalszym i ujdziemy odpowiedzialności przed Bogiem".

Można sobie wyobrazić, ile przykrości musiał odtąd znosić od władz rosyjskich, ale ocalał unię w Chełmszczyźnie i na Podlasiu jeszcze do następnego pokolenia.

Męczeństwem dało świadectwo katolickiej prawdzie w łonie unii cerkiewnej w latach 1837-1850 około 700 księży, którzy woleli wygnanie i więzienie, niż dać podpis na "dobrowolne złączenie" z prawosławną schizmą. Ale kapłanów unickich było w prowincjach objętych tym prześladowaniem na Litwie, Białorusi, Wołyniu, Podolu i Ukrainie 3900; więc 3200 wyrzekło się unii na rozkaz rządu. Okazało się przy tym, że głównymi obrońcami unii byli Polacy. Trzeba tę okoliczność podkreślić, albowiem z zagranicy (źle poinformowanej) dochodzą czasem krzywdzące głosy, jakoby Polska nie popierała należycie unii! Co więcej, zarzucają nam, że przeszkadzaliśmy wskrzeszeniu Cerkwi unickiej. Jest to oszczerstwo; przeszkadzać nikt nie myśli i nie będzie; tylko wielu Polaków mniema, że to jest trud nieprzydatny. Lud ruski przepojony jest w sprawach cerkiewnych cywilizacją bizantyńską, a w tej cywilizacji forma ma pierwszeństwo przed treścią. Wielu jest więc tego zdania, że lud ruski nie przejmie się katolicyzmem, dopóki nie zmieni obrządku na łaciński; wtedy dopiero uzna zmianę wyznania. Jeżeli zaś to jest niemożliwe, w takim razie unię dałoby się znowu utrzymać tylko z pomocą Polaków, porzucających obrządek łaciński - i znów na nowo błędne koło, bo taka unia byłaby tworem sztucznym. Ci wszelako, którzy sądzą, że wschodni obrządek lepiej utwierdzi Rusinów w katolicyzmie, postępują zgodnie ze swym sumieniem, tworząc na nowo unię w dawnym zaborze rosyjskim i nikt im przeszkadzać nie będzie.

Z dymem pożarów

Mickiewicz nazywa Polskę "Chrystusem narodów". Zastanawiał się, jak wytłumaczyć tak straszną niesprawiedliwość dziejową, jak rozbiory Polski i prześladowanie narodu polskiego. Zatopiony w mistycyzmie, nabrał przekonania, że naród nasz wydany jest przez Opatrzność na mękę jako ofiara zadośćuczynienia za grzechy polityczne Europy, za jej odkupienie, co gdy nastąpi, będziemy mogli odzyskać niepodległość. Bardzo to poetycznie było powiedziane, lecz całkiem błędne, bo przecież niedobrowolnie utraciliśmy niepodległość; porównywanie się zaś z Chrystusem Panem brzmiało wzniośle, lecz niejednemu mogło się wydawać bluźnierstwem. Do takich należał właśnie ks. Hieronim Kajsiowicz, który wyrobił się na znakomitego teologa. Ten odparł, że jeżeli mamy w Piśmie świętym szukać zestawienia dla niedoli naszej, Polska nazwana być może nie Chrystusem, lecz Hiobem wśród narodów. Niestety zestawienie z Hiobem było trafne i z roku na rok coraz trafniejsze. Rozdział poprzedni dostarczył dość dowodów, ten zaś dostarczy jeszcze straszniejszych.

Z zaboru rosyjskiego przeniesiemy się do austriackiego, a przyjrzymy się głównie stosunkom na wsi. Były przeraźliwe. Oświata ludowa w Polsce upadała coraz niżej. Żaden rząd absolutny nie pragnął oświaty ludowej i szkół wiejskich nie zakładał. W Galicji brał rząd do wojska (na lat 12) każdego włościanina, o którym dowiedziano się, że uczył się czytać i pisać, bo uważano takiego za niebezpiecznego, za rewolucjonistę chłopskiego.

Lud w Kongresówce, najbardziej oświecony do roku 1830 (bo najdłużej pozostawał pod rządami polskimi), zaczął cofać się w oświacie. Cóż dopiero w Galicji, która była pod obcym rządem już od r. 1772. Księża szerzyć oświaty nie mogli, bo każdy kapłan, który by się tym zajmował, był prześladowany przez rząd, jako podejrzany o "czynności rewolucyjne".

Z ciemnotą łączyła się straszliwa nędza. Wszystkie stany zubożały. Przyrost ludności wiejskiej gniótł się znowu we wsi rodzinnej, nie znajdując zarobku i zajęcia w sąsiednich ubożających miastach i miasteczkach. Ludzi we wsi było tyle, że połowa wystarczyłaby na obrobienie gruntów; lud nauczył się więc mimo woli lenistwa, a nie mając dostatecznego zajęcia na cały dzień, szukał zatrudnienia w karczmie i tak szło wszystko coraz gorzej. Dwór ubożający dawał coraz mniej zapomóg, a chłop zapomogi coraz częściej potrzebował i zaczynała się wzajemna niechęć chaty i dworu.

Ta niechęć podobała się ogromnie rządowi austriackiemu, który zaczął rozdmuchiwać zły ogień jeszcze bardziej. Kiedy w r. 1844 szlachta galicyjska wniosła do tronu prośbę o uwłaszczenie, nie dostała jasnej odpowiedzi, bo wtedy nastalaby zgoda chaty z dworem, a rządowi chodziło o to, żeby dwie

rolnicze warstwy społeczeństwa, warstwy u nas najważniejsze (jako w kraju rolniczym) były wrogo nastawione przeciwko sobie. Od tego byli po wsiach osobni urzędnicy cesarscy, zwani justycjaruszami i mandatariuszami, do sądownictwa i administracji wiejskiej.

Sprawowali swój urząd w tak; sposób, iż umyślnie jątrzyli. chatę przeciw dworowi. Chodziło o to, żeby lud upatrywał w urzędniku austriackim swego opiekuna, do którego można. pójść ze skargą na dwór, w dziedzicu zaś swego gnębiela.

Z tego jątrzenia miały wyrosnąć przeraźliwe stosunki i okrutne wydarzenia, które z największą przykrością tu opisać musimy. Na fatalnym tle jaśniały tym bardziej dusze świątobliwe, krzątające się koło poprawy stosunków a wśród nich na pierwszym planie dwóch kapłanów z opinią świętości: Jezuita Karol Antoniewicz i proboszcz wiejski Wojciech Błaszyński.

Karol Antoniewicz był synem adwokata lwowskiego, który był zarazem ziemianinem. Posiadał wieś Skorzawę w okręgu żółkiewskim. Była to rodzina ormiańska.

Ormianie, lud kupiecki, z Azji Przedniej, szerząc swój handel do Europy, odkryli nową drogę handlową od ujścia Dniestru w górę tej rzeki do granic państwa polskiego. Założyli własną osadę handlową we Lwowie i potem jeszcze kilkanaście innych, mniejszych. Posiadając odrębny obrządek, pozakładali własne parafie, a biskupowi ich we Lwowie przyznała Stolica Apostolska godność arcybiskupa. Ci przybysze ormiańscy stali się prawymi obywatelami Polski i złączyli się najzupełniej z polszczyzną. Od wielu już pokoleń obrządek stanowi jedyną różnicę pomiędzy Ormianinem polskim a resztą Polaków: a starożytny obrządek ten otaczany czcią i szacunkiem.

Karol Antoniewicz przyszedł na świat we Lwowie w r. 1807 a chował się w Skwarzawie pod opieką matki. Dla jej wielkich cnót porównywał ją potem Karol nieraz do św. Moniki, a zawdzięczał jej tym więcej, skoro ojca utracił w 16 roku życia. Studia gimnazjalne i prawnicze odbył we Lwowie i miał je uzupełnić w Wiedniu. Wybrał się tam jesienią roku 1831, a w drodze. wstąpił do Krakowa. Tam dowiedziawszy się o wybuchu powstania "listopadowego" zmienił kierunek podróży z szosy wiedeńskiej na warszawską i wstąpił zaraz do wojska polskiego. Odbył kampanię jako oficer w korpusie generała Dwernickiego. Potem osiadł w. dziedzicznej Skwarzawie, a w r. 1833 ożenił się z kuzynką wujeczną, Zofią z Nikorowiczów. Mieli pięcioro dzieci, lecz oto każde po czterech do pięciu miesiącach zapadało ciężko na zdrowiu i wszystkie, jedno po drugim, poumierały. Nad trumną ostatniego dziecka powiedzieli sobie, że odtąd poświęcą życie tylko służbie Bożej i miłości bliźniego.

Antoniewiczowie zamieniali się w rodzinę zakonną. Matka od kilku już lat mieszkała "na dewocji" u lwowskich Bernardynek. Młodzi, żeby być blisko matki, przenieśli się także do Lwowa. Tam Zofia chodziła co piątek na usługi do szpitala Szarytek, a wkrótce złożyła za zgodą męża wstępne śluby Szarytek. Zostać całkiem zakonną mogłaby, o ile i mąż także wstąpiłby do jakiegoś klasztoru. Było to postanowione, lecz Zofia tego nie doczekała, zgasłszy r. r. 1839, pochowana w habicie Szarytki. Młody zaś wdowiec, liczący zaledwie 32 lata wybrał się do jezuickiego nowicjatu w Starej Wsi na Podkarpaciu.

po prymicjach we Lwowie w r. 1844 udał się do klasztoru w Nowym Sączu i tam wypadło mu mieć pierwsze kazanie przy zakładaniu bractwa wstrzemięźliwości, a w tej właśnie dziedzinie miał potem zasłynąć tak dalece, iż nazywano go "chorążym trzeźwości". Doniosła to była sprawa! Żydzi uważali to za "antysemityzm" i domagali się "opieki" rządu przeciw bractwom wstrzemięźliwości, robiąc donosy na zajętych przy tym księży, że w bractwach tych uprawia się politykę, buntowniczą! Wywiązała się walka na ostre, a chłop szedł nieraz z Żydem przeciwko księdzu! Taka była ciemnota i taki brak moralności u rozpitego ludu. Nie sprzyja też moralności nędza, a właśnie szczególnie ciężkie były lata 1844 i 1845 z powodu strasznych powodzi. Ksiądz Antoniewicz jeździł z płomiennymi kazaniami, wzywając do składek na włościańskich powodzian. Powódź zatapiała oczywiście jednako mienie dworskie i chłopskie, ale dwory nie szczędziły pomocy z tego co im zostało. Zdawało się, że z tej wspólnoty klęski wytworzy się poczucie wspólności interesów i jakiś wspólny ruch rodaków obydwóch warstw rolniczych, a bractwa trzeźwości wyprowadzą lud z nędzy i z niewoli karczmarzy żydowskich.

Ale rząd nie chciał zgody chaty i dworu i nadeszły z Wiednia surowe nakazy do urzędów, żeby nie dopuszczać do żadnej współpracy dziedziców z chłopami. Zaczęła się propaganda starostów z poparciem Żydów, udzielająca pouczenia, że chłopci są cesarscy a "tylko panowie są Polaki".

Tymczasem pewna część emigracji we Francji włączyła się w tok sprawy polskiej w sposób fatalny. Potworzyły się tajne stowarzyszenia w całej niemal Europie przeciw wpływom Metternicha, a związki te obrały sobie sprawę polską za przedmiot rozgłosu. Głoszono, że zrzuci się rządy absolutne, że zapanują wszędzie konstytucje a nawet republiki, powinno tedy wybuchnąć w Polsce powstanie, żeby dopomóc tym ruchom międzynarodowym i nawzajem od tych spisków otrzymać pomoc do odnowienia niepodległości. I rzeczywiście Stronnictwo Demokratyczne paryskiej emigracji zajęło się przygotowaniem powstania. Sądziło, że wciągną lud wiejski, jeżeli każdemu chłopskiemu powstańcowi przyrzeknie się pięć morgów na własność. Ostatecznie ustanowiono w Krakowie rząd powstańczy na wszystkie trzy zaborcy i wyznaczono termin powstania na dzień 21 lutego 1846 r.

W Wiedniu coś przeczuwali. Na trzy tygodnie przed terminem powstania zagarnęli Austriacy małą republikę krakowską, istniejącą od r. 1815 i wcielili do swego cesarstwa. Odwołano wtedy powstanie, ale nie wszędzie doszedł ten rozkaz na czas i przez to nieporozumienie wybuchły we wszystkich trzech zaborach krótkie ruchawki. W Galicji miało się to skończyć w sposób straszny.

Starostowie austriaccy rozpuścili pogłoskę, że "panowie" buntują się przeciw cesarzowi, ponieważ cesarz chciałby znieść pańszczyznę, a panowie nie chcą i postanowili wymordować lud wiejski. Nie ma takiej bredni, w którą nie uwierzyłby ciemny tłum. Nie pomyślał chłop, jak się to zgadza jedno z drugim, że szlachta chce mieć pańszczyznę dla siebie, ale zabiera się do wymordowania tych, którzy właśnie mają pańszczyznę odrabiać.

Starosta tarnowski, przeklętej pamięci Breindl zebrał chłopów, popił ich i kazał ruszyć przeciw oddziałowi powstańców, zbierającemu się pod Tarnowem. Od tego zaczęła się w zachodniej Galicji straszna jakby wojna domowa ze zbójckim piętnem kainowskim. Na radzie we Lwowie postanowiono urządzić rzeź szlachty przez włościan. Zaborcy rozumowali, że w ten sposób zapobiegnie się na przyszłość powstaniom, a narodowość polska będzie złamana najzupełniej, gdy Polacy sami pomiędzy sobą nastawiać będą jedni na drugich. I zaczęto w austriackich urzędach płacić za trupa polskiego szlachcica po 25 guldenów potem tylko po dziesięć, później coraz mniej. Pozwalano przy tym rabować dwory. Działy się podczas tej rzezi przeraźliwe rzeczy, wołające o pomstę do Boga. A gdy ciemna i pijana tłuszcza zasmakowała we krwi i poździe, zaczęły zbójnickie bandy po szlachcie zabierać się do księży i zmawiały się na rabowanie miast.

Działo się to za namiestnictwa arcyksięcia Ferdynanda d'Este, kiedy prezydentem gubernialnym był Krieg von Hochfeld, za pomocą starostów Milbachera we Lwowie, Breindla w Tarnowie, dyrektora policji lwowskiej Sachera Masocha, starosty wadowickiego Losertha, bocheńskiego Berndta i innych przez ręce ciemnych pijaniców Szeli z obwodu tarnowskiego, Janochy z sądeckiego, Ryndacha z jasielskiego, Korygi z bocheńskiego. Za rzeź dokonaną wśród najohydniejszej nikczemności, jakiej kiedykolwiek świat był świadkiem, rząd rozdawał następnie pensje i order. Szela dostał złoty medal z napisem: Bene merenti (tj. dobrze zasłużonemu) i bogate gospodarstwo włościańskie w dobrach kameralnych na Bukowinie. W Galicji osiąść nie mógł i sam zresztą nie chciał, bo włościanie opamiętali się wkrótce ze swego oszołomienia i wyrzuty sumienia poczęły się odzywać. Tylko figury urzędowe żadnych wyrzutów nie doznawały, a wiceprezydent gubernialny hr. Leżansky świadczył Szeli, że to człowiek "niepospolity i zasłużony krajowi". Ale księdza Serwatowskiego, profesora seminarium duchownego w Tarnowie, gdy wspominał chłopom popełnione zabójstwa, usunięto natychmiast z posady tarnowskiej i przeniesiono aż do Linzu, żeby nie był "szkodliwy".

Działy się nikczemności nad nikczemnościami a rozbestwione, pijane bandy zadawały śmierć dziedzicom po dworach sposobami niezmiernie wymyślnymi, wśród wyszukanych tortur tak okrutnych, że zrozumieć nie sposób, skąd nawet w pijanych głowach mogły się rodzić takie szatańskie pomysły. A gdy z Podgórza pod Krakowem (dziś przedmieście) wyruszyła procesja w stronę miasteczka Gdowa, w którym było jedno z ognisk rzezi, nie pomogły ni obrazy święte, ni chorągwie kościelne, rozpite chłopstwo rzuciło się i na procesję!

Rządowi chodziło o zniszczenie organizacji powstańczej oraz nieprzyjaźń pomiędzy chatą a dworem, ale żeby kawał kraju zamienił się na zbójstwo tego było nawet rządowi austriackiemu za dużo. Wojsko rozpędziło w kilka dni zbójce motłoch. Czemuż nie zrobiono tego od razu? Wyjaśnienie znajdziemy w manifeście cesarza Ferdynanda z dnia 13 marca 1846 r., w którym dziękuje ludowi wiejskiemu za "wierność okazaną dla tronu". Ale pańszczyznę rząd zostawił.

Kościół nie mógł milczeć wobec tej całej przeraźliwej nikczemności rządu, ani też pozostawić ludu w takiej ciemności moralnej. Całe duchowieństwo solidaryzowało się z ks. Serwatowskim. Powzięto myśl misji generalnych. Odznaczyli się wówczas OO. Jezuiti, a wśród nich na pierwsze miejsce wysunęła się świetlana prawdziwie postać ks. Karola Antoniewicza. Można powiedzieć, że od tych misji zaczęła się nowa era w dziejach ludu wiejskiego w zaborze austriackim.

Misje objęły pewne okolice ówczesnych obwodów sądeckiego, tarnowskiego i bocheńskiego a trwały pół roku od Wielkiejnocy do końca września 1846 r. Misjonarze podzielili pomiędzy siebie całą tę połać Małopolski, jeżdżąc zazwyczaj po dwóch. Objazd, w którym uczestniczył ks. Antoniewicz miał 15 głównych postojów: Brzany, Bobowa, Bruśnik, Ciężkowice, Lipnica, Gromnik, Wilczyska, Podole, Rożnów, Korzenna, Tropie, Staniątki, Brzeźnica, Nagoszyn, Wiewiórka. Wyjazd nastąpił z Nowego Sącza, z kolegium OO. Jezuitów, cieszącego się wielką powagą. Budziły się w ks. Antoniewiczu obawy i wątpliwości, czy podoła tak trudnemu zadaniu, ale powiedział sobie, iż "na te pytania jedna pocieszająca odpowiedź, że taka była wola starszych, a tym samym wola Boska".

Misja trwała z reguły 8 dni na jednym miejscu, niekiedy jednak przeciągała się. Do każdego miejsca misyjnego ciągnął lud z procesjami z okolicy, nawet po kilka mil. Spowiadano się i komunikowano zazwyczaj do dziesiątej w nocy i jeszcze po misji musieli zostawać księża, którzy do pomocy Jezuitom się zjeżdżali, żeby wysłuchiwać setki takich, którzy się do spowiedzi jeszcze nie zdołali docisnąć. Ale pierwszy dzień misji nie zawsze był miły. W takim np. Bruśniku zanosilo się na ponowne rozruchy i "musiano o wojsko prosić dla zapobieżenia dalszym bezprawiom". A jednak z pomocą Bożą misja przyniosła tam nadzwyczajne owoce.

Władza zakonna kazała potem ks. Antoniewiczowi sporządzić spis tych misji na piśmie; wydano je drukiem. Korzystając z tego, możemy towarzyszyć myślą wielkiemu apostołowi chłopów dzień po dniu, od wsi do wsi. Podamy tu nieco wyjątków z tych opisów, będziemy nawet chętnie używali jego własnych słów. Rzecz prosta, że znajdzie się tu drobna tylko część z jego zapisek dla przykładu.

Przed wszystkim zadajmy sobie pytanie, co ten lud robił, a zobaczymy, że zachował się, jakby pozbawiony rozumu. Co ksiądz Antoniewicz zastał? Nie sądzmy, że była to zemsta ludu za złe obchodzenie się z nim! Właśnie, że pierwszymi ofiarami byli najlepsi ludu przyjaciele i dobrodzieje! Ci bowiem byli rządowi najbardziej nienawistni. Bandami kierowali płatni zbirowie (łajdaków wszędzie można znaleźć) i ci tak manewrowali, że gdzie lud okazywał przywiązanie do dworu, prowadzili taką gromadę o kilka mil dalej, a do wsi zgodnej nasyłano chłopów całkiem obcych, z dalszych okolic. Padali ofiarą najszlachetniejsi opiekunowie włościan. Ksiądz Antoniewicz tłumaczy tę zagadkę w sposób następujący:

"Ten lud nie mógł pojąć i wierzyć temu, aby mógł kto dla kogo bez własnego interesu się poświęcić, aby mógł kto kochać".

Pod Bobową "młody pan, wróciwszy z zagranicy, żył spokojnie wśród swoich poddanych, od których powszechnie był kochany i zasługiwał na tę miłość". Pozostawał więc spokojnie w domu, gdy niespodziewanie go napadnięto, a gdy powracał po jakimś czasie do przytomności, trzy razy go dobijano, aż w końcu dobito, pokaleczywszy wszystkie członki.

W Bruśniku dziedzic cudem prawie tylko uszedł śmierci, chociaż był cały ranami pokryty. Najokrutniejszym okazał się człowiek, "któremu same dobrodziejstwa świadczył". Gdy potem prosił na klęczkach o przebaczenie, pytany o przyczynę, czemu dobrodzieja swego katował, odpowiedział w te słowa: "Ja nie wiem sam co się ze mną stało. Ja nie wiem, ale żeby mi kazano było ojca swego zabić, byłbym uczynił". A więc: kazano mu? Któż kazał?

Ileż wypadków mordowania dzieci! Jeżeli nieszczęśliwej matce, której męża zabito (torturując go na jej oczach) udało się gdzieś dziecko skryć, przetrząsali wszystko od góry do dołu, szukali w mieszkaniach służby folwarcznej, gonili po całej wsi, czy jaka litościwa kobieta nie przechowuje dzieckę, a jeżeli znaleźli, mordowali drobne dzieci w taki sposób, iż pióro wzdryga się opisując szczegóły. Na Podolu chcąc zmusić matkę, żeby wskazała, gdzie ma pieniądze, "porywają dziecko i wrzucają w piec piekarski na rozżarzone węgle".

W sposobach rabowania znać dzikość, ale też głupotę, co się zowie: "podłogę rąbią, piece rozwalają, obicia ze ścian zdzierają, rozkładają wielki ogień i palą wszystkie książki i papiery, a zabrawszy wszystko co było do wzięcia: sukno, srebro, bieliznę, opuszczają dwór, aby inne tymże sposobem poniszczyć budynki. Wielkie zapasy wódki (po gorzelnianach) wypuszczają, zboże częścią zabierają częścią w wodę i bagniska wysypują. Stadninę, bydło rozdzielają pomiędzy siebie, ale jeszcze krwi było im potrzeba".

"Lud dziki ... jednego kwiateczki w oranżerii, w wazonie nie zostawił i w ogrodzie planty i krzewy wyrwał z korzeniami, a nie mogąc mścić się na żywych (którzy uszli szczęśliwie), targnął się na umarłych i dobył się do grobu zmarłego prałata, wuja p. K., szukając złotego łańcucha, w którym wiedział, że tenże przed dawnymi czasy był pochowany".

W Nagoszynie pod Tarnowem z owczarni składającej się z kilku tysięcy drogich owiec ani jedna nie pozostała sztuka, to samo z holenderni. Przedmioty zrabowane, owce, bydło i konie (o ile ich nie zabijano), zboże itd. skupywali Żydzi. "A lud ten poczyniwszy milionowe szkody dla zubożenia Żydów, dziś w nędzy zostając, nie waży się prosić o pomoc tych, których sam ogołocił z wszelkich środków dawania pomocy; nie odważa się zbliżyć do tej, którą wdową uczynił. I poznał lud nieszczęśliwy, że lepiej mu było z najgorszym panem, jak teraz, nie mając żadnego".

Podmówieni byli nie tylko przeciw dziedzicom, ale zarazem przeciwko księżom: "Ten lud, co przed miesiącami zbierał się tak pobożnie do kościoła i tak przykładnie się w onych zachowywał, napadał zbrojną ręką te domy Boże, szydząc i bluźniąc to, co dotychczas ccił i szanował; łamał i deptał te krzyże, przed którymi kolana swe ugiął; znieważał Przenajświętszy Sakrament, na którego wspomnienie przed paru dniami wzdychał i bił się w piersi". "Bezkarne lżyli, wiązali, więzili i zabijali kapłanów". "Wielu księży zginęło krwawą śmiercią z rąk własnych parafian, a daleko więcej sromotnie zelżonych, związanych, chłopci do urzędu obwodowego odstawili jako złoczyńców". W Ciężkowicach "kościół farny znieważony został przez tłuszcę rozbójniczą, która pod pozorem szukania broni, na koniach z nakrytymi głowami, fajkami, bluźniąc i szydząc, plądrowała po wszystkich zakątkach kościelnych". W pobliżu Gromnika, "na probostwo napada tłuszcza rozjuszona, szuka, przetrząsa cały dom, wyrywa podłogę, śmiercią księdza zagraża". W innej zaś wsi, także koło Gromnika (którą ks. Antoniewicz oznacza literą P) "proboszcza miejscowego własny lud zamordował". W Nagoszynie zamordowano m. in. Bazylianina unię, który mieszkał tam jako uchodźca spod panowania rosyjskiego. W Brzeźnicy zabili ks. wikarego na cmentarzu. W Podolu wyciągnęli dziedzica z kościoła Reformatorów i zamordowali przed samymi drzwiami kościelnymi. Znieważali tam księży, rąbali posągi i obrazy kościelne. Kwestarza pokaleczono i włokąc go do Tarnowa, w drodze dobito. U Benedyktynek w Staniątkach zamordowano sześć osób pod oknami mniszek, a księży, odprawiających właśnie nabożeństwo przed Najświętszym Sakramentem, zbitych odwieziono do urzędu w Bochni.

Odwożenie do starostów było czymś powszechnym. Kazano bowiem chłopom chwycić powstańców i robić rewizje, czy gdzieś nie są pochowani. W oczach władz powstańcem był każdy dziedzic i każdy gorliwszy kapłan. Ażeby zaś lud rozwścieczyć, puściły urzędy pogłoskę, że "panowie" chcą urządzić rzeź chłopów. Po pijanemu można uwierzyć nawet w to, że jeden dziedzic zarżnie setki chłopów we wsi.

Świątobliwy misjonarz stwierdza w swych zapiskach, że pogłoska ta była "między lud już przed rokiem przed tymi zaburzeniami w obieg puszczona", a więc mamy świadectwo, że cały piekielny plan snuty był już od wiosny 1845 r.

O głupocie rzesz ludowych świadczą takie np. fakty: W jednej parafii proboszcz przed tymi rozruchami bardzo lubiany przez swoich parafian, gdy zaburzenia ustały, posłał chłopca do apteki po proszki od

kaszlu. Natychmiast gruchnęła pogłoska po całej parafii, że ksiądz będzie truć przy rozdawaniu komunii. Zbliżała się wielkanocna spowiedź. Ludzie przystępowali do spowiedzi, ale żaden do komunii świętej. Ksiądz zdziwiony pyta o przyczynę, ale nikt wyznać nie chce. Przypadkiem dowiaduje się, przywołuje wybranych z gromady i w obecności tego, który do apteki chodził i poznał, że to te same proszki, które podówczas przyniósł, spożywa je i lud uspokaja. Innemu, gdy im miał święcić paschę (święcone), przynieśli sami chłopci wodę i sól, które w ich oczach poświęcić musiał i najpierw własne a potem ich święcone pokropić. "Mógłbym jeszcze wiele przytoczyć przykładów" - są to słowa samego ks. Antoniewicza.

Najbardziej jednak pouczające było zdarzenie w Rożnowie nad Dunajcem ("tak pięknej, zachwycającej okolicy niełatwo widzieć się zdarza"). Proboszcz tamtejszy "potrafił lud swój do tego nakłonić, że nie tylko rąk swoich krwią nie mazał i sumienia rabunkiem nie obciążał, ale nawet stanął w obronie mienia dziedzica. Cała wieś pod bronią we dnie i w nocy czuwała, aby obce bandy nie wtargnęły w granice rożnowskie; promy poodcinano, a gdy jedna horda gwałtem napaść chciała zamek rożnowski, przyszło do bitwy, w której kilku chłopów padło, kilku pojmanych zostało. Po kilku dniach wypadł tam odpust. "Ludu nieznanego mi cała liczna kompania przybyła (opowiadał proboszcz ks. Antoniewiczowi), to mnie trochę niepokoić zaczęło. Właśnie wychodziłem ze mszą, gdy na podwórzu wrzask okropny powstaje. Polacy rzną, uciekajcie! W jednej chwili lud się rozpiechł a ludzie nieznani zaczynają rabować kościół. Zrabowali go doszczętnie, a pleban ledwie ocalił swoje życie. Tak się zemszczono na proboszczu za to, że w jego parafii zbójów nie było! Czy nie znać, że tu ludem kieruje ktoś z zewnątrz?"

Ten sam austriacki "ktoś" lubił stawiać przeszkody misjonarzom, a zamiast misji, wolałby powtórzyć rzeź i rabunek jeszcze raz. Trzeciego dnia misji w Gromniku przybiega konny posłaniec, w w kilku wsiach okolicznych lud na nowo i rabuje, co jeszcze zostało. Pogłoski te, "po części przesadzone były, chociaż niestety prawdziwe", lecz zgromadzonych na misjach w Gromniku ani tknęły. Misję przedłużono tam do jedenastu dni, ale ze skutkiem nadzwyczajnym. A więc były próby powtórzenia rozruchów i rzezi. Działo się to z końcem maja i w początkach czerwca 1846 r.

Innym razem "niektórzy, co te bezprawia powtórzyć mieli chętkę, wszelkim sposobem usiłowali lud przeciw nam podburzyć, rozsiewając pogłoski, żeśmy nie księżmi, ale szlachtą przebraną; inni, żeśmy z klasztoru uciekli i błakamy się po świecie itp." A więc byli tacy, którzy "mieli chętkę lud podburzyć", byli tedy spoza ludu "ludu za narzędzie ślepe używając". W Ciężkowicach "jednej nocy wszystkie kładki na rzece, które z każdej strony do miasta wchodząc trzeba było przebywać, pozrucano, ale i to nic nie pomogło; lud, w głąb brnąc w wodach, pospieszał do słuchania słowa Bożego". W Lipnicy "po pierwszej nauce lud głośno szemrać począł, mówiąc, żeśmy od panów przekupieni" i zmawiali się, i odgrażali, a potem tak tłumnie garnęli się do spowiedzi, iż "z konfesjonału wyjść nie można było". A do Gromnika "odradzano nam przez bojaźń chłopów, aby tam nie jechać". Ludzie odradzali, ale Bóg powołał "i w końcu wielka była pociecha".

Niem mało wsi wylicza ks. Antoniewicz takich, gdzie misjonarzy zrazu spotykały przykrości, ale w końcu Sakramenty święte odnosiły tryumf. Na przykład w Brzanach przyjęto go urągliwie, a po tygodniu cóż się dzieje? "Podczas jednej nauki starzec siwy jak gołąb wystąpił z pośrodku ludu i stanąwszy przede mną odezwał się, przerywając mi mowę, że nie może wytrzymać, aż dokończę mówić i musi mi podziękować za wszystko dobre, com dla nich i ich dzieci uczynił" (nauczał bowiem ks. Antoniewicz co dnia osobno działwę katechizmu). "A przy nauce ostatniej ja wraz z ludem zapłakałem; ciężkie było rozstanie nasze. Podziękowałem Panu Bogu za te osiem dni, w których tak widocznie błogosławił naszej pracy, że poznał swe zbrodnie lud ten, że za nie żałował".

Nieoceniona zasługa świętobliwego misjonarza polegała na tym, iż zaszczepił jednej stronie myśl pokuty. a przebaczenia - drugiej. Co zaś sędzić o tej "rzezi galicyjskiej", wyraził wówczas poeta Kornel Ujejski. Ułożył wspaniałą modlitwę, zaczynającą się od słów "Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej", w której zwraca się do Boga z prośbą: "rękę karz nie ślepy miecz". Bo też lud był tylko ślepym mieczem w cudzym ręku. Austriakom nie powiodło się, rzucić na trwałe zarzewia nienawiści pomiędzy polskie stany wiejskie, a ranę r. 1846 zablizniła następnie oświata.

Po pół roku takich misji poczęło szwankować zdrowie ks. Antoniewicza. Przełożeni wysłali go na wypoczynek w góry, do krainy Hucułów w Karpatach Wschodnich. Trafił na zły rok, bo był to rok

głodu; kiedy przyjechał panowała już powszechna puchlina głodowa. Gorliwy kapłan niósł pomoc i pociechy religijne na wszystkie strony. Listy jego stanowią poważne źródło do stanu tej krainy w owym czasie. Bardzo zaś znamienne jest to, że ks. Antoniewicz lud huculski uważał za polski; pisuje wyraźnie o "naszym ludzie", biada nad tym, że o polskich boleściach i cierpieniach nikt nie wspomina, "bo jakby to w porządku rzeczy było, że lud nasz musi cierpieć, bo to polski lud"! Wtedy nikt jeszcze nie uważał, żeby we wschodniej Galicji były dwa narody, a lud ruski uważano za część polskiego, mowę zaś ruską za narzecze języka polskiego. Jest zaś język ruski rzeczywiście do polskiego tak podobny, że każdy Polak rozumie go doskonale, nie potrzebując się go wcale uczyć. O ile chodzi o wzajemne rozumienie się, mowa ruska bliższa jest polskiego języka książkowego, niż narzecze zakopiańskie, a tym bardziej kaszubskie⁴.

Zimą r. 1847 i wiosną 1848 mieszkał z woli przełożonych we Lwowie, spędzając po kilka godzin dziennie w konfesjonale, katechizując dzieci, urządzając osobne nauki dla służby domowej i wygłaszając kazania. Jego sława kaznodziejska rosła coraz bardziej.

Tymczasem wybuchła wiosną 1848 r. owa rewolucja europejska, którą nasi paryscy emisariusze zaplanowali o całe dwa lata za wcześnie. Nazwano to wydarzenie "Wiosną Ludów". Po kilku tygodniach widoczne było, że sprawa polska narażona jest na nowe rozczarowania. Nie tylko nie odniósł wówczas zwycięstwa ruch konstytucyjny, nie tylko po nader krótkim czasie wracały dawne rządy absolutne, ale pośród samych zwolenników ruchu konstytucyjnego nastąpił wszędzie rozłam w odniesieniu do sprawy polskiej. Konstytucjoniści gotowi byli przyznać Polakom prawa powszechne obywatelskie, polityczne, ale bynajmniej nie prawa narodowe.

Przez kilka ledwie tygodni trwały polskie wykłady w Uniwersytecie Lwowskim, a w gimnazjach dopuszczono naukę języka polskiego tylko jako przedmiot nadobowiązkowy. Ale najbardziej łudzone się tym razem w Wielkopolsce, sądząc, że rząd pruski skłoni się do ustępstw, a to ze względu na spodziewaną bliskość wojny z Rosją.

Marzono o państwie polskim związanym z Niemcami unią personalną, a rząd udawał, że projekt ten w zasadzie przyjmuje. Zmiana dokonała się niebawem. Wojsko pruskie rzuciło się na obóz polskiej organizacji wojskowej, dopuszczonej chwilowo przez rząd, a zaraz potem zaczęło się coraz sroższe prześladowanie polskości w zaborze pruskim.

Austriacki rząd pozwolił zrazu na "gwardię narodową", a potem zarządził ciężkie bombardowanie Krakowa i Lwowa. "Wiosnę Ludów" powitał ks. Antoniewicz we Lwowie słynnym kazaniem, a równocześnie bawił w Krakowie największy ówczesny polski kaznodzieja, ks. Kajsiewicz, nawet on łudził się (przez krótki czas), że nastaną lepsze czasy.

"Wiosna ludów," skrupiła się w Austrii na Jezuitach. Rząd zadekretował wygnanie ich z granic państwa austriackiego. Zamknięto im klasztory, więc zakonnicy błakali się, starając się być wszędzie pożyteczni bliźnim i pracownikami ku chwale Bożej. Ksiądz Antoniewicz działał nie tylko słowem, ale też piórem, pisując i wydając coraz więcej, w tym liczne dziełka popularne. Musiał znów wypocząć. Pojechał do Graenfebergu w ziemi opawskiej, gdzie chłop tamtejszy, który nazywał się po czesku Prisznic, ale pisał się tylko po niemiecku Prischnitz zaprowadził natryski zimną wodą, zwane od jego nazwiska prysznicami.

Ziemia opawska jest bowiem krainą czeską, chociaż zgermanizowaną. Narodowy król czeski, Jerzy Podiebradzki, wydzielił ją w w. XV z Moraw i nadał jako osobne księstwo synowi swemu Wiktorynowi. Potem sprzedawano opawskie, zamieniano, nadawano nowym posiadaczom, aż zapomniano nawet, że to dawna część Moraw i rząd austriacki przydzielił księstwo opawskie do Śląska austriackiego. W rzeczywistości kraina ta nigdy nic wspólnego ze Śląskiem nie miała. Wyjaśnienie potrzebne tu dlatego, że ks. Antoniewicz przebywał następnie na Śląsku; więc żeby nie sądzono, że w r. 1849 był już na Śląsku po raz pierwszy. Nie, bynajmniej nie na Śląsku. Objeżdżał potem rozmaite powiaty zaboru austriackiego, pomagając proboszczom pięknymi misjami, gdy wtem w r. 1850 nadzwyczajny, a nader bolesny wypadek sprowadził go do Krakowa.

Jeszcze raz miał rząd austriacki poprobować puścić polskość "z dymem pożarów". W roku 1850 wykonano zamach na miasto Kraków, i żeby zniszczyć skarbnicę pamiątek narodowych, biblioteki, zbiory naukowe i świątynie - wywołano pożar. Cały tydzień gaszono na próżno, bo "niewiadomi" podpalacze zaczęli wciąż na nowo swoją czynność i to zawsze w kilku różnych stronach miasta naraz. Przez 30 lat trzeba było potem naprawiać, to co w jednym tygodniu zniszczyła zbrodnicza ręka rządu.

Ksiądz Antoniewicz miał zamiłowanie do spraw trudnych, a że miał przy tym od Boga dar, żeby ukajać serca najciężej strapione, więc uproszono go do znękanego miasta. Zjawił się pośród ruin historycznych krakowskich ulic, gmachów i świątyń. Najbardziej przemówił do serc i umysłów najślawniejszym swym kazaniem, które wygłosił, stojąc na ruinach kościoła dominikańskiego⁵. "Jak anioł Boży podnosił na duchu, pocieszał smutnych, wzywał do pokuty i jechał z Bogiem", jak zawsze to czynił, ale tym razem budził też wiarę w Opatrzność Boską, otuchę w lepszą przyszłość □ Polski.

Kazanie to bardzo się nie podobało rządowi austriackiemu i ostrzeżono Jezuitów, żeby przestali zajmować się wędrownym kaznodziejstwem. Kilkunastu udało się wtedy na Górny Śląsk, korzystając z tego, że w pruskim królestwie zakon ich nie był zakazany. Odprawiali misje po niemiecku i po polsku. Lud Śląski od niepamiętnych czasów usłyszał po raz pierwszy z ambony dobrą, czystą polszczyznę, bo nawet polscy tamtejsi księża języka książkowego nie znali i wygłaszali kazania po śląsku. Lud był zachwycony, a niejeden z tamtejszych księży postanowił wówczas nauczyć się polszczyzny gramatycznej. Toteż misje górnośląskie z r. 1851 dostarczyły niewątpliwie bodźca do świadomego odrodzenia narodowego na Górnym Śląsku. Przedtem rzadko kto tam wiedział, że poza Śląskiem istnieje wielki naród polski, którego oni są rodakami. A religijną wartość tych prac śląskich określił misjonarz w jednym ze swoich listów następująco: "misje te były jednym triumfalnym pochodem wiary wśród polskiego ludu".

Ksiądz Antoniewicz zapuścił się w swych podróżach misyjnych dalej. Zostawiwszy na Śląsku dziesięciu misjonarzy, sam z pięciu towarzyszami ruszył w lipcu 1852 r. do Wielkopolski. Niestety, trafił na straszną klęskę: cholere. Nie umiano wówczas leczyć tej azjatyckiej zarazy, kto na nią zapadł, potrzebował od razu księdza, ale to natychmiast, a lekarz ciała był niemal obojętny. Ludzie padali jak muchy. Nie zraziło to polskich Jezuitów. Jeździli i odprawiali misje, jak gdyby nic, tyle tylko, że mieli o jedno zajęcie więcej - nawiedzać chorych.

Ziemiaństwo wielkopolskie gościło misjonarzy jak najchętniej, robiło im wszelkie ułatwienia, nie szczędząc oznak przyjaźni i szacunku. Dziękowali potem za to gorąco a m.in. tak: "lecz właściwie nie w naszym, ale w imieniu Boga i ludu polskiego Wam dziękuję".

Misje były bardzo potrzebne. Raz po nabożeństwie różańcowym w Poznaniu, smutkiem wielkim przejęty, ks. Antoniewicz wyznał, że nie miał nawet wyobrażenia o tym zaniedbaniu moralnym, jakie znajdował. Ale z wyniku misji tak był potem zadowolony, iż wyraził się o tym tak:

"Kto Was tak widział pod krzyżem stojących, ten nie może zwątpić o przyszłości narodu. Jest jeszcze w nas siła, bo jest i pokora. Jest na czym budować, bo jest kamień węgielny wiary. Jest nadzieja, bo jest miłość. Stara Polska jeszcze żyje!"

Na największe nasilenie cholery natrafił w mieście Kościanie i okolicy. Donosił stamtąd we wrześniu 1852 r.: "Wczoraj 13 pogrzebów, dziś już ośmiu umarło do południa... Dziś od pierwszej w nocy do siódmej rano 17 chorych odwiedziłem... po 10 do 12 pogrzebów na dzień". A wniosek z tego dla polskich misjonarzy zawarł w słowach; "Nie opuściłem ludu naszego, póki albo Bóg cholere, albo nas przez nią nie weźmie".

Skołatany na ciele, a pełen smutku na duszy, potrzebował tym razem dłuższego wypoczynku. Nie wyobrażał go sobie jednak inaczej, jak w jakimś jezuickim klasztorze. Listy jego przepełnione są wyrazami tęsknoty za "dzwonkiem i kratą". Ale w całej Polsce nie było wówczas ani jednego klasztoru jezuickiego. W Rosji i Austrii zakon w ogóle był zniesiony, a pod zaborem pruskim nie miał zakon klasztoru polskiego. Wtem nowina! Arcybiskup gnieźnieńsko-poznański oddaje Jezuitom do dyspozycji mury starego opuszczonego klasztoru w Obrze, obiecując dopomóc w jego odnowieniu. Z początkiem

listopada 1852 r. mieli się rozproszeni Jezuici zjechać w Obrze. Tymczasem zrobił jeszcze ks. Antoniewicz wycieczkę do Staniątek pod Krakowem, gdzie miał krewną w zakonie.

Jechał przez Kraków, ale krótko tylko się zatrzymał. O tym postoju pisał ze Staniątek dnia 25 października 1852 r.: "Tak wezbrało serce, że ledwie nie pęknie, nie wiem od czego. Ten urok, jaki ma dla mnie Kraków, nie zmniejszył się, a gdy wracał z kolei po tych ulicach, gdzie mi każdy kamień znajomy, drogi, to mi ta przeszłość padła na serce, na myśl, na duszę. A Kraków poczciwy nie zapomniał o mnie i przyjął mnie z taką wdzięcznością, jakby mi był coś winien, i z taką miłością, jakbym tego był wart. Niech mu to Bóg nagrodzi". Widać z tego, że Krakowianie pamiętali dobrze kazanie, wygłoszone przed dwoma laty na ruinach kościoła Dominikanów.

W drodze powrotnej ze Staniątek miał się zatrzymać w Krakowie dłużej. Nie podobało się to władzom austriackim. "Poszedłem po kartę pobytu do policji, ale mi kazano, ażebym nazajutrz wyjechał pod groźbą, że żandarmami wyprowadzą". Musiał więc wyjeżdżać. A w jednym z następnych listów pisał: "Cieszę się na wszystkie krzyżyki, które mnie nie miną, bo ja zawsze gdzieś z krzyżem się spotkam" i dodaje: "wypędzenie z Krakowa, był to krzyżyk większego kalibru".

Na dobitkę dowiedział się, że w Obrze szerzy się także cholera, mimo to pospiesza tam, jak może. Pierwszy nocleg wypadł mu w Mysłowicach, a drugi □ w Piekarach. Było to w ostatnich dniach października 1852 r. "W krótkiej co do czasu, ale długiej co do bolesnych doświadczeń pielgrzymce życia" miał jednak pewien dzień miły, radosny i podniosły "ustęp z pielgrzymki życia", mianowicie "dzień w Piekarach", który opisał w broszurce osobno wydanej. Są to Piekary Śląskie, te same, w których przed cudownym obrazem Najświętszej Marii Panny zanosił modły Sobieski w drodze na wyprawę wiedeńską, a potem August II Sas robił katolickie wyznanie wiary w drodze po koronę polską. Jechał ks. Antoniewicz kolejną żelazną z Raciborza do Piekar. Opisuje wrażenie tego ruchu "kiedy oko nie może chwycić migających się przedmiotów", bo to wówczas niepowszednia była jeszcze rzecz jazda kolejną! Był tam wówczas proboszczem ks. Ficek, który rozszerzył świątynię i wspaniale ją przebudował, a był kapłanem wzorowym i z głębokim wykształceniem, dla którego ks. Antoniewicz ma same słowa zachwytu. "Spędziłem dzień jeden w Piekarach, dzień tak błogi, jakich mało w życiu naliczyć można, dzień swobodny, szczęśliwy, bez bóleści, bez żadnej we wspomnieniu goryczy". W całej tej broszurce, na 24 stronach druku, nie ma ani słówka o polszczyźnie. Autor nawet nie zdaje sobie sprawy, jak daleko Śląsk sięga, że znajduje się tu na ziemi polskiej. Wszystko zgermanizowane, nawet nazwisko ks. Ficka, pisane jest pisownią niemiecką "Fietzek". A jednak wiemy, że tam pod popiołem niemczyzny żarzył się wciąż duch polski i w końcu okazał się silniejszy od germanizacji.

Święto WW. Świętych i Zaduszki spędził we Wrocławiu, nazajutrz pędził do Obrzy, w której stanął późnym wieczorem 4 listopada 1852 r. Po czteroletniej rozsypce, po długiej bezdomności, nareszcie będą tu u siebie. On, wyznaczony na przełożonego, zabiera się od razu do urzędzenia porządków klasztornych. Cieszy się, że cholera wygasa: "Tu cholera jeszcze się okazuje, ale mało gdzie".

Tak pisał w sobotę 6 listopada. Nazajutrz w niedzielę miał kazanie, a w nocy z niedzieli na poniedziałek zachorował na cholere, nadto na tyfus, a wreszcie przyszedł paraliż płuc. Skoro tylko położył się do łóżka, przewidywał, że już nie wstanie. Choroba i tak przeciągała się, gdyż trwała cały tydzień. Odszedł do chwały wiekuiestej w niedzielę 14 listopada 1852 r. Pochowany zastał w podziemiach kościoła w Obrze. Tak więc "został dom Obrzy przy samym urodzeniu się sierotą".

Nie sposób wątpić, że sprawa jego beatyfikacji będzie podjęta i że zostanie podniesiony na ołtarze! A będzie to święty polityczny, patron zgody narodowej. Któż jeśli nie on?

Nie sam ks. Antoniewicz zajmował się podniesieniem ludu. Nie było tak źle, iżby miał być jedyny, ale stał się najwybitniejszy. Na misjach czynnych było kapłanów kilkunastu, bo dzielili się na grupy w rozmaitych stronach działające. A duchowieństwo parafialne przyczyniało się również z całych sił do zbożnej pracy. Było też więcej takich wypadków, jak w Rożnowie, że lud miejscowy stanął po stronie dworu. Opisując te wydarzenia ustawiliśmy w środku postać ks. Antoniewicza, ponieważ posiadał opinię świętości i bez wątpienia nadejdzie dzień, w którym będzie liturgicznie zaliczony do "świętych w dziejach Polski".

Żył zaś na Podhalu kapłan, jakby brat Antoniewicza, także wielki misjonarz ludu, również w opinii świętości żyjący - ks. Wojciech Błaszyński, nazwany misjonarzem Podhala, Spisza i Orawy. Nie jeździł na misje. Można by powiedzieć, że misje same do niego przyjeżdżały, bo jego wieś parafialna była przepełniona przybyszami, którzy z daleka przybywali, żeby go słyszeć i żeby się u niego wyspowiadać, a na spowiedź trzeba było nieraz czekać tydzień cały z powodu natłoku penitentów. Nie był zakonnikiem, lecz proboszczem wiejskim. Zachodziła zaś jedna jeszcze różnica: podczas gdy ks. Antoniewicz był słabego zdrowia i dożył ledwie 45 lat, ten proboszcz góralski cieszył się żelaznym zdrowiem, a nie znając koło siebie żadnych wygód, doczekał lat 66, wśród pracy również żelaznej, bez wypoczynku.

Ksiądz Wojciech Błaszyński urodził się w r. 1806 w góralskiej chacie w Chochołowie pod Tatrami. Do czternastego roku życia tyle umiał, ile się nauczył w miejscowej szkółce. Podrastając, uczuwał coraz silniejszy pęd do nauki i puścił się w świat, szukać lepszego losu i sposobu do kształcenia się. Przeszedł na węgierską stronę, na Spisz, gdzie słynęły szkoły pijarskie. Musiał jednak szukać także jakiegoś kęsa chleba, choćby suchego, lecz takiego, który by mu nie przeszkadzał w nauce. Szukając, a nie zawsze dobrze znajdując, posuwał się w swej wędrówce coraz dalej na południe do W. Waraždynu, znaczniejszego miasta w południowych Węgrzech. Tam skończył gimnazjum (wówczas sześćioletnie) i dwa lata tzw. kursów filozoficznych. Wtedy wrócił do Chochołowa, pokazać się matce; nie poznała go własna rodzicielka, że ten dwudziestotrzyletni "pan", to jej syn rodzony! Myślał o medycynie, lecz po namyśle zdecydował się na stan duchowny. Seminaryjne nauki odbył w Tarnowie i we Lwowie; wyświęcony został w Tarnowie w r. 1835.

Został na początek wikarym w Makowie Podhalańskim. Zwracał uwagę pobożnością i umartwianiem się; nabyty tam surowy tryb życia pozostał mu już na całe życie. Nie był bynajmniej ponury, owszem zazwyczaj był w dobrym humorze. Okazał się znakomitym kaznodzieją, a przy tym umiał przemawiać do ludu. Sam będąc synem ludu góralskiego, "ludu dusze znał na wskroś, lud kochał, do ludu przemawiał jego językiem, dlatego wkrótce stał się jego ulubieńcem, niemal bożyszczem". Nauczał nie tylko z ambony; chodził między ludzi w pola i na pastwiska, i wdawał się w pogadanki, które zamieniały się w prawdziwe nauki. Chorych odwiedzał, nie czekając aż trzeba będzie ostatniego pomazania! Z chorymi odbywał pogadanki katechizmowe. Znał każdą chatę i wszystkich jego mieszkańców, od dziecka do starej babci. On pierwszy wpadł na pomysł, dziś już rozpowszechniony: wykształcił sobie katechistów i katechistki, których rozsyłał po rozległej wielce parafii. Już w Makowie schodziły się tłumy z okolicy na jego kazania a także do spowiedzi generalnej, co on także dopiero wprowadził tam w zwyczaj.

Po dwóch latach w Makowie był następnie przez 7 lat wikarym w Sidzinie i tam też został potem proboszczem w r. 1844. Przebył w tej wsi 29 lat a zrobił z niej ośrodek religijny Podhala. Na samym początku wypadło mu odezwać się do Sidzinian w te słowa: "Niech Bóg zmiłuje się nad Wami i da wam poznać, jak w opłakanym stanie jesteście. Ja oddaję Bogu i wam siły, i zdrowie moje, pragnąc was wyrwać z szatańskiej niewoli". Praca była tu jeszcze cięższa niż w Makowie, lecz proboszcz nie żałował siebie swoim parafianom. Rozszerzał coraz bardziej zakres swych prac. Założył szkołę, żeby zerwać nareszcie z ciemnotą ludu; zakłada bractwa i stowarzyszenia pobożne, a najwięcej opiekuje się bractwem trzeźwości.

Szkoła i trzeźwość doprowadzą też lud do lepszego stanu.

Zważmy, że w dwa lata po otrzymaniu probostwa nastał r. 1846; ku północy rzeź pośród ludu "Dólskiego", ale górale nie biorą w tym udziału, a w Sidzinie trwa jakby wieczny odpust i misja nieustająca. Nie podobało się to urzędowi austriackim, z tych samych powodów, dla których znienawidzili owego proboszcza w Rożnowie. A więc ciągle dokuczliwości, podejrzenia, szpiegostwa policyjne i złośliwe formalności biurokracji. Bardzo się urzędnikom nie podobały misje przeciw pijaństwu, bo nie podobały się Żydom. Zdarzyło się raz w Lipnicy na Orawie, że Żydzi starali się przekupić tamtejszego proboszcza, żeby tylko nie sprowadzał ks. Błaszyńskiego z kazaniem. Stał się postrachem karczmarzy.

Nie miał chwili wytchnienia a pracy przybywało, bo tłumy ludu ciągnęły do Sidziny nie tylko z Podhala i dalej ze Spisza i Orawy, i jeszcze ze Słowacczyny, ale nawet z północy od Powiśla lud z dolin przybywał. Pozostawano w Sidzinie nieraz po kilka tygodni, żeby korzystać z katechizacji. Trzeba było coraz bardziej kształcić sobie katechistów i katechistki. Założył dla nich osobne stowarzyszenie. Rzecz to była nowa, nie wypraktykowana jeszcze, więc zdarzały się czasem niemiłe, i niepotrzebne niespodzianki. Najmniejsze uchybienie (zwłaszcza kobiet) zganiali niechętni na proboszcza. Iluż było takich, którzy by chcieli pozbyć go się na zawsze! Wydarzały się więc obelgi, napaści, oszczerstwa nie cofające się przed niczym; były nawet skargi, że on lud "buntuje". Szły skargi do "cyrkułu" (tj. urzędu obwodowego), do Wadowic, do Nowego Sącza, Tarnowa i do wyższych instancji w Krakowie. i we Lwowie. Komisarze odczuwali strach przed spowiedziami generalnymi, gdyż nie wiedzieli zgoła, co to jest. Ustawiano mu w drzwiach kościoła żandarmów z bagnietami, a czasem wychodzących z kościoła arestowali i "szupasowali". Ale nic nie pomogło. Do Sidziny garnęły się dalej całe rzesze. Władze dawały zgorszenie ludowi, on zaś pozostał zawsze jednaki i robił ciągle swoje; nie tylko coraz więcej, ale też coraz lepiej w miarę, jak nabierał doświadczenia. Jest to postać niezwykła, przerastająca całe współczesne pokolenie, a świątobliwość i nadzwyczajna żarliwość czynią z niego prawdziwego apostoła. Działając zupełnie innymi metodami niż ks. Antoniewicz, robił zupełnie to samo i do tego samego zmierzał celu. Osoba jego to prawdziwe "światło" w dziejach Kościoła polskiego. Im więcej mija czasu, tym lepiej go zrozumiemy i coraz większą otaczać będziemy czcią.

Zmarł w r. 1866, nie z choroby, będąc zupełnie zdrow, ale od przygody. Spadła na niego belka przy budowie kościoła, który wznosił w rodzinnej swej wsi, Chochołowie. Pochowany w tymże kościele, otaczany jest przez lud czcią religijną. Lud góralski nawiedza pobożnie jego grób i śpiewa o nim pieśni, nawet godzinki i litanie ku jego czci.

Patrzą obydwa - a tak różni od siebie - apostołowie ludu wiejskiego z wysokiego nieba na dzisiejszą Polskę niepodległą. Czy nie uczciłoby się ich najlepiej, gdyby starać się o beatyfikację obydwa równocześnie?

W czasach wojny krymskiej

Po bolesnym doświadczeniu z Austrią w r. 1846 pojawiły się pomysły polityczne, czy nie lepiej byłoby wyzyskać Rosję przeciw zaborcom niemieckim, bo może lepiej, żeby Rosja zabrała całą Polskę? Bo gdyby się udało z trzech zaborów zrobić jeden, łatwiej potem z jednego się zrzucić i niepodległość odzyskać. Jeszcze tego samego r. 1846 wydał margrabia Aleksander Wielopolski broszurkę po francusku, jako "List szlachcica polskiego do księcia Metternicha o rzezi galicyjskiej". Broszura ta narobiła hałasu w całej Europie.

Właśnie uszczuplano w Prusach dalej prawa narodu polskiego, chociaż powstanie 1831 r. nie obejmowało pruskiego zaboru. Zaraz po upadku tego powstania usunięto dotychczasowego namiestnika, którym był Polak ks. Antoni Radziwiłł, a naczelnym prezesem "księstwa poznańskiego" został osławiony Flotwell, twórca hakatyzmu i niemieckiego osadnictwa w Wielkopolsce. W roku 1833 wyznaczono milion talarów na zakupywanie ziemi polskiej, którą parcelowano wyłącznie między Niemców. Tak zaś trudno było o polskie zebranie publiczne, iż trzeba było założyć w Poznaniu "Towarzystwo Zabaw", które pod pozorem zabawy urządzało zebrania ludzi wpływowych i chcących pożytecznie działać. Od roku 1833 ujmuje się stale coraz bardziej praw językowi polskiemu w szkole, sądzie i urzędzie, a w r. 1834 zabrano się do tępienia narzecza kaszubskiego. Potem nastąpiło takie prześladowanie, iż od r. 1851 do r. 1858 nie było w Wielkopolsce pisma polskiego prócz urzędowej "Gazety Księstwa Poznańskiego". Najgorsze było to, że skutkiem przewrotnej polityki ekonomicznej ziemia aż do r. 1860 przechodziła raptownie w ręce niemieckie.

Ale w ówczesnej Polsce szerzyło się już odrodzenie religijne, którego początki widzieliśmy na "wielkiej emigracji". Do roku 1860 zawiązały się cztery nowe zakony żeńskie. Zaczął się ten ruch w Wielkopolsce od zakładania ochronek, poruczanych opiece Sióstr Służebniczek, które świadczą przy tym i dorosłym po wsiach wiele dobrego.

Założycielem ich był Edmund Bojanowski, urodzony w r. 1814 w Grabonogu pod Gostyniem. W czwartym roku życia ocalony był cudownie od śmierci. Uczył się chętnie, lecz wskutek słabego zdrowia nie mógł podołać rygorowi szkolnemu i musiał poprzestawać na nauce prywatnej. Słuchał potem licznych wykładów w Uniwersytecie Wrocławskim. Wdzięcznie wspominał z tych czasów jednego z profesorów tamtejszych, Czecha - Jana Purkynie. Był to słynny w całej Europie lekarz, którego prace naukowe z fizjologii i okulistyki wyprzedzały epokę. Ale Bojanowski nie medycyny u niego się uczył, Purkynie był wielkim przyjacielem sprawy polskiej; zbierał koło siebie studentów Polaków, medyków i niemedyków i napawał ich otuchą, że Polska zmartwychwstanie. Wierzył w odrodzenie własnego czeskiego narodu, którego jaksby nie było od nieszczęsnej bitwy na Białej Górze w r. 1620. A przecież stan narodu polskiego nie był nigdy tak rozpaczliwy, jak czeskiego.

Różnił się jednak Bojanowski od czeskiego profesora tym, że był gorliwym katolikiem. Nie mógł zostać kapłanem, gdyż wskutek wątłego zdrowia musiał wystąpić z seminarium duchownego w Gnieźnie. Osiadł więc wraz z bratem, gospodarując w Grabonogu. Tam zbliżył się do ludu podczas epidemii cholery w r. 1849, nawiedzając chorych, starając się być wszędzie pomocny. Z tego zetknięcia dworu z chatą wynikał ogromny żal nad dziatwą wiejską i stąd przepiękny i rozumny pomysł ochronek. Pierwszą otwarto w r. 1850, a pierwszą "służebniczką" była Franciszka Przewoźna, chłopka z Porzecza w sąsiedztwie Grabonogu Bojanowskich. Do Galicji przeszczerpił niebawem Służebniczki Jezuita ks. Baszyński, pomocnik Bojanowskiego niemal od samego początku. Tak dwa zabory, pruski i austriacki, dopomogły sobie w sprawie najważniejszej, w sprawie ludowej.

W stosunkach polsko-rosyjskich zdawało się wówczas zanosić na jakąś poprawę. Pofolgowano trochę więzionym kapłanom unickim, a Siemaszko nie doczekał się nominacji na członka "świętobliwego synodu" prawosławnego. Sam mawiał, że w r. 1842 wygnano go z Petersburga, "jak psa" a w r. 1847 musiał patrzeć bezsilnie, jak rząd carski zawarł konkordat ze Stolicą Apostolską. Ratowało to przynajmniej obrządek łaciński. Biskupi polscy zaczęli odbywać wizytacje swych diecezji, a po każdym takim objeździe arcybiskupowskim nowe życie wstępowało w ludność. Minęła obawa, żeby prawosławie mogło zarażać także "łacińskich" Polaków. Papież poobsadzał w najbliższych latach wakujące stolice biskupie, aż wreszcie w r. 1851 mianowano metropolitę dla katolików obrządku łacińskiego w Mohylowie. Został nim zacny ks. Hołowiński. Uroczyście obchodzili katolicy, a więc ludność polska dzień, w którym legat papieski nakładał paliusz na łacińskiego metropolitę. Siemaszko wziął to za osobistą obrazę, boć on metropolitą jeszcze nie był! Wakowała metropolia petersburska, ale on jej nie dostał. Biały kłobuk metropolitalny (nakrycie głowy) otrzymał od cara dopiero w r. 1852, ale tylko na nową okrojoną metropolię litewską. Co zaś było zadziwiające, że gubernatorzy nie traktowali odstępców od unii na równi z dawnym duchowieństwem prawosławnym; widocznie takie utrzymywali wskazówki z Petersburga.

Od roku 1850 ustało dokuczliwe włóczenie unickich męczenników po prawosławnych monasterach. Księdzu Micewiczowi pozwolono zamieszkać w miasteczku Szumsku, pod opieką bogobojnej żony marszałka powiatowego, pani Ludwiki Mężyńskiej. Należał tam do niego dozór nad budową nowo wznoszonego przez nią kościoła w Szumsku. Po zgonie swej opiekunki w 1854 r. wypadło mu mieszkać "w nędznej chacinie, żyjąc tylko z Opatrzności Boskiej i łaski sąsiednich dobrodziejów", ale przynajmniej go nie zaczepiano i nowych prześladowań nie przydawano. Księdzu Andruszkiewiczowi pozwolono wracać do Polski, jakkolwiek pad warunkiem, że nie będzie spełniał obowiązków kapłańskich. Wybrał sobie klasztor Bernardynów w Zasławiu, trawiając długi żywot na modłach wśród zgnębienia. Podobnie ks. Sołtanowski zwolniony w r. 1852 z monasteru schizmatyckiego otrzymał przynajmniej wolność osobistą. Sprowadził się do Nieżyna (w połowie drogi między Kijowem a Kurskiem), w którym żył długo w umartwieniach i zmartwieniach. Powiedziano o nim słusznie: "ozdoba bazylińskiego zakonu, przykład jego będzie utwierdzać w obowiązkach dla Kościoła św".

Kiedy nowy gubernator wileński Nazimow, przysłany w r. 1854, rozpoczął jakby jakiś kurs pojednawczy, Siemaszko opracował zaraz memoriał do "najświętszego" synodu, a gdy jego pismo zostało zlekceważone, nie ustawał w dalszych zabiegach.

Daleki był dwór carski od przyjaźni do Polaków! Ale chowali "pazury", bo była wojna, w której Polacy mogli zaważyć na szali. Była to wojna o zwierzchnictwo na Półwyspie Bałkańskim, ale rozstrzygnęła się na brzegach Półwyspu Krymskiego i stąd zwana jest - krymską.

Anglia i Francja zawarły sojusze z Turcją w marcu 1854 r. wypowiedziały Rosji wojnę, a widoczne było, że Włochy gotują się również przystąpić do tego sojuszu, Austria zaś mu sprzyja. Wkrótce flota francusko-angielska zdobyła Bomarsund nad Bałtykiem, co Mickiewicz upamiętnił odą napisaną po łacinie. Druga flota płynęła na Morze Czarne, a we wrześniu 1854 r. wylądowali na Krymie Turcy, Francuzi, Anglicy, nieco później jeszcze i Włosi.

Od początku tej wojny wyłaniała się sprawa polska. Państwa zachodnie, a także Austria i Prusy, godziły się już, żeby ustanowić państwo polskie, gdy wtem nagła zmiana: jeden z ministrów pruskich, Otto von Bismarck (wówczas trzydziestoosmioletni) zdołał przekonać króla, że należy politykę pruską odwrócić, a mianowicie oprzeć się na Rosji, a kierować się przeciw Austrii i Francji. Zerwał król pruski układy o Polskę, gotów nawet stanąć przeciw Austrii po stronie cara Mikołaja. Niebawem wysłał też cesarz austriacki oświadczenie do Londynu i Paryża, że nie przystanie na odbudowanie Polski.

Część naszej emigracji wyczekiwała, że gdy po zdobyciu Krymu Francuzi i Turcy ruszą dalej na północ, to ogłosi się niepodległość Polski, gdy wojska wkroczą na Ukrainę. Zaczęto przygotowywać w Turcji oddziały zwane "kozakami sułtańskimi", co było fantazją patriotyczną powieściopisarza Michała Czajkowskiego, pozbawioną jednak znaczenia militarnego. Niestety, sam Mickiewicz dał się porwać i przyjechał do Carogrodu pomagać Czajkowskiemu. Tam znalazł śmierć 28 listopada 1855 r.

Podczas tej wojny zmarł car Mikołaj I, a następca jego, Aleksander II (1855-1881) zawarł zaraz pokój, byle mu Krym zwrócić. I tak spełży na niczym nasze nadzieje.

Rząd rosyjski, obawiając się przez cały czas wojny krymskiej powstania polskiego, nie dolewał już oliwy do ognia. Nowy car głosił zaraz przy wstąpieniu na tron amnestię dla wszystkich zesłanych na Sybir powstańców i spiskowców. Faktycznie, niewielkie miała rozmiary ta carska łaskawość, bo uczestników powstania r. 1831 przebywających na Syberii od przeszło dwudziestu lat mogło już być tylko niewielu! Mieli czas wymrzeć na wygnaniu! Ale byli tam młodzi, skazani za rozmaite polityczne polskie "przestępstwa" w ciągu tych lat dwudziestu, a dla tych amnestia była oczywiście dobroczynna. Powrócić do kraju, do swoich, na wolność! Któż by się nie radował! Któżby na łono Ojczyzny nie spieszył!

A jednak znalazł się taki, który nie chciał. Mamy tu do zapisania bezprzykładne wprost zaparcie się siebie, jedno z największych, jakie zna historia. Dumni być możemy a raczej powinniśmy, że na torach odrodzonego naszego życia religijnego w drugiej połowie XIX w. spotykamy takiego bohatera, jak świątobliwy Marianin Krzysztof Szwermicki. Znamy go już ze wzmianki w rozdziale 27. Wiemy, że on był jakby drugim obok Jańskiego, polskim chorążym ruchu katolickiego, lecz raczej wypada pierwszym go nazwać, bo podniósł ten sztandar wcześniej od Jańskiego, Kajsiwicza, Semeneńki. Nie w Paryżu ani w Rzymie wypadło mu żyć i działać, lecz na Syberii, smutnej, pustej, w niczym nie pobłogosławionej i niczym ducha nie pobudzającej. Ksiądz Szwermicki przejęty był gorącym pragnieniem, by ofiarować siebie całego, oddać wszystko z siebie Kościołowi, Ojczyźnie bliżnim. Łączyły się w nim wielki umysł z wielkim sercem. Jego osobowość to jeden z najsilniejszych i najwznioślejszych duchów Polski porozbiorowej.

Takim zastała go na Syberii wojna krymska, gdy wtem w r. 1855 Aleksander II ogłasza amnestię. On wtenczas wybiera Syberię. Zimy niesłychanie długie i ostre, brak jakichkolwiek wygod, wiecznie ponury tryb życia, dalekie jazdy w najmroźniejszych wichrach, ażeby nawiedzać swych półdzikich katechumenów Buriatów, Jakutów, Tunguzów itp. Wszyscy zresztą rodacy skorzystali z amnestii i wracali do kraju, do swych łąk umajonych, do wygodnych domostw, pomiędzy ludzi ukochanych, do swoich, na Ojczyzny łono. On pozostaje, żeby przysparzać owieczek swojej irkuckiej parafii, największej, najrozleglejszej na całym świecie. Zważmy, że powziął to postanowienie w czasach, kiedy na Syberii wygnańców polskich niemal nie było. Zrobił to zatem wyłącznie ze względów religijnych, z apostołskiej gorliwości. Robił ponad obowiązek, bo nawet z religijnych względów nie miał obowiązku pozostać na Syberii. Pozostał, zdjęty świętym natchnieniem dla pogan sybirskich, ale za kilka lat miała się jego parafia aż nazbyt zaludnić - Polakami - całymi tysiącami nowych zesłańców.

Z początkiem panowania Aleksandra II nikt tego nie przypuszczałby. W Rosji rozbrzmiewało hasło reform, w czym umieszczono także rewizję stosunków polsko-rosyjskich. Aż do roku 1863 zmagaly się z sobą w Rosji dwa prądy, przyjazny i nieprzyjazny dla Polaków, a zyskiwał z każdym rokiem na sile ruch do pojednania się z Polską. Zaczęło się od tego, że osoby na najwyższych stanowiskach poczynaly mieć wątpliwości, czy korzystna dla Rosji i trafna była polityka Mikołaja I względem unii. Kiedy Siemaszko stawiał się na koronację Aleksandra II, a ponieważ osobiście nie był znany władcykom prawosławnym, dopytywano się u metropolity moskiewskiego, kto to taki; zapytany, zaś odparł, wyjaśniając: "to jest Józef, ale nie taki, którego bracia sprzedali, lecz on sam sprzedający swych braci w niewolę". Słowa te mogą być prawdziwe, ale gdyby nawet były anegdotą, jak znamienne byłby fakt, że tego rodzaju złośliwy (a trafny) dowcip mógł powstać pomiędzy najwyższą hierarchią prawosławną! Patrzone aż do r. 1863 przez palce, gdy "nawróceni" podstępem Siemaszki i pałkami policji dawni unicy przyjmowali obrządek łaciński. Tak na przykład w miasteczku wołkowyskiego powiatu, w Porozowie, przeszła na "łaciństwo" cała setka w r. 1858, a potem w r. 1860 trzy setki w parafii kleszczeńskiej. Siemaszko podniósł gwałt, lecz przez dłuższy czas na próżno. A gdy potem stosunki pogorszyły się, zapisywał w swych pamiętnikach, że "trzeba było wiele trudu, aby ich na dobrą drogę nawrócić" (a wiemy jakimi drogami dokonywało się takich nawróceń. Ale jeszcze w r. 1860 uważał Siemaszko za potrzebne słać prośbę do cara, żeby nie był łagodny dla Polaków.

Równocześnie rozkwitał w tych latach duch zakonny w Polsce; społeczeństwo wydawało z siebie wciąż nowe siły, mające wynagrodzić straty poniesione przez zamknięcie tylu klasztorów za rządów Mikołaja I. Aleksander II również nie zmieniał w tej dziedzinie kierunku swego poprzednika. Zobaczmy, jak w najbliższych latach rząd carski wyrzekał się wielu swych nieprawości w postępowaniu z Polakami, lecz nigdy nie zmieniała się w Petersburgu niechęć względem katolickich zakonów.

Na czele polskiego ruchu religijnego stał ks. Kajsiewicz, od r. 1850 przebywający stale w Rzymie, a od r. 1855 przełożony Zmartwychwstańców. Do ich nowicjatu zaczynają wstępować cudzoziemcy, co wzbudzało nadzieję, że zakon stanie się powszechny; rokował pod tym względem dobrze fakt, że w r. 1855 Stolica Apostolska powierzyła mu misję w Kanadzie.

W Rzymie zgłosiła się do ks. Kajsiewicza w r. 1850 Józefa Karska, młoda dwudziestosześcioletnia, obdarzona urodą i majątkiem. Urodzona w r. 1824 w Olchowcu w Lubelskiem, wychowana w Sandomierskiem w Jakubowicach, wykształcona wysoko ponad ówczesną przeciętność, odznaczała się wielką żywością umysłu i pierwszorzędnymi przymiotami towarzyskimi. Bawiła się doskonale w Warszawie, będąc tam □duszą salonów i zebrań towarzyskich". Kiedy liczyła 23 lata, w r. 1847 poczuła jednak w sobie chorobę piersiową. Nie wystąpiła choroba w formie ostrej, nie stanowiła bezpośredniego niebezpieczeństwa dla życia, lecz w formie przewlekłej, chronicznej. W każdym razie trzeba było przerwać życie światowe, bo lada zabawa mogła ją narazić, że choroba przewlekła zamieni się w ostrą. Kazano jej zamieszkać w ciepłym klimacie, przeniosła się więc za granicę; w r. 1849 zajechała do Włoch, a leżąc się ciągle, ciągnęła coraz dalej na południe, aż jesienią 1850 r. przybyła do Rzymu i trafiła tam na ks. Kajsiewicza. Łaska Boża obdarzyła Karską najrzadszym z wielkich Bożych darów, darem głębokiej kontemplacji i mistycznych uniesień. Jest to dla duszy droga wysoka, najwyższa, ale też wzniesiona nad przepaściami. Tego naśladować się nie da, bo naśladownictwo wiodłoby przez zarozumiałość do przepaści i zrobiłby się z tego przykry i gorszący falsyfikat. To jest dar Boży i żadnych innych wyjaśnień dodać nie zdołamy! Karska "oświecona światłem wyższym, rozpalona miłością w kontemplacji" posiadała wyższe stopnie "mistycznej modlitwy". Posłuchajmy (dla przykładu) kilku jej własnych słów: □Nie, tego nikt nie może pochwycić... co dusza doświadcza w tym najszcześniejszym zapomnieniu, z którego wychodzi nakarmiona, upojona, rzeźwa i tęskna, a sprawy jednak niezdolna zdać z tego, co ją uszczęśliwiło, bo w tym błogim zapomnieniu wszystko dla duszy samej najtajemniejszą tajemnicą Bożą".

W roku 1854 postanowiła założyć własne: zgromadzenie zakonne. Warto przytoczyć powody i cele, którymi się kierowała i doprawdy warto zastanawiać się nad nimi dziś i zawsze. Przede wszystkim nowy zakon będzie się starał o jak najwyższe uświęcenie dusz zakonnic; to prosta rzecz, jasna i oczywista. Ale obok tego (przytoczmy znów jej własne słowa) "Mam nadzieję w miłosierdziu Jezusowym, iż pozwoli ograniczyć się na ogarnięciu dwóch ważnych bardzo potrzeb społeczeństwa naszego; ułatwianie i pomaganie kapłanom, dającym rekolekcje dla osób pragnących pokrzepienia i odnowienia duchowego; wychowanie najstaranniejsze dziewcząt wyższej klasy, którą to klasę chętnie

bym najbiedniejszą nazwała, najbardziej potrzebującą szybkiego a gruntownego ratunku... W żadnym kraju w dziele przeobrażenia całego społeczeństwa nie można by, pomijając kobiety, dopiąć zamierzonego celu. Ale w Polsce nie tylko pomijać ich nie należy, ale od nich głównie zacząć trzeba, by gruntownie rzecz przeprowadzić. W żadnym kraju kobiety, samą już siłą rzeczy i wrodzonych zdolności, tyle wpływu, co u nas, nie mają; nigdzie ich też nie wychowują, jak u nas winny być wychowane. Tyle wyższości mieć powinny, żeby powszechnemu powołaniu córki Kościoła, obywatelki, żony, matki, opiekunki włościan i sierot, szkółek i ochron, wreszcie leczeniu chorych godnie i sumiennie odpowiedzieć mogły, a bez gruntownych cnót i bojaźni Bożej, żadna wyższość umysłowa, ani też zapędy serca nie byłyby wystarczające, aby je wytrwale utrzymać na ciernistej najczęściej drodze obowiązku"...

Miała już wtedy na myśli zakon, który nazwała Zgromadzeniem Panien Niepokalanej Dziewicy Maryi (w skróceniu Niepokalanki). Pomocnicą jej była przy tym Marcelina Darowska, która miała zostać następnie duchowną jej spadkobierczynią, a jaśniała nie mniej świętobliwością. Zamiary swe urzeczywistniły niebawem; zanim to wszakże nastąpiło, powstał przedtem jeszcze inny zakon.

Cała Polska miała przejąć się sprawą opuszczonej dziatwy. Ażeby rozwiązać po Bożemu to twarde zagadnienie społeczne, próbowano rozmaitych sposobów, różnych metod. Od ochronek zaczęły też Felicjanki, założone w r. 1855 przez świętobliwą M. Truszkowską z dwiema towarzyszkami, a pod kierownictwem ks. Bieniamina Szymańskiego, Kapucyna, który został później biskupem podlaskim. Te zakonnice specjalizowały się w całkowitym wychowaniu sierot, a nadto przyjęły do swej reguły opiekę starców. Zakon ten stał się najpopularniejszy w Polsce, ulubionym niejako polskim zakonem niewieścim i rozszerzył się żywiołowo, jakkolwiek ma regułę nader surową; toteż przyjmuje nowicjuszkę tylko z doskonałym stanem zdrowia.

Wielki swój rozwój zawdzięcza w znacznej mierze Maryi Magdalenie Borowskiej. Była to córka rotmistrza ułanów z powstania r. 1831, urodzona w rok po powstaniu w Warszawie. Będąc nauczycielką, nauczała chętnie za darmo opuszczone dzieci, które wynajdywała a które trzeba było nakarmić i odziać wpierrw, zanim się je zaczęło nauczać choćby fundamentów katechizmu. Do Felicjanek wstąpiła w r. 1858, licząc wtedy 26 lat i została przełożoną klasztoru w Ceranowie, a w cztery lata potem mistrzynią nowicjatu.

Równocześnie jechała do Francji, do sławionego panowaniem Leszczyńskiego miasta Nancy, młodziutka dziewczętnastoletnia Róża Białecka, córka ziemiańskiej rodziny z Jańszysz koło Podkamienia, w ówczesnej Galicji Wschodniej, urodzona w r. 1838. Upodobała sobie zakon Dominikanek, który na ziemiach polskich już zaniknął i jeździła do Nancy, by tam samej welon przywdziać i potem powrócić i zakon ten w Polsce odnowić. Właściwie wytwarzała nową odrośl zakonu, polską, z pewnymi ściśle polskimi odmianami, dlatego też zaliczyć ją należy do twórców nowych polskich zgromadzeń zakonnych. Wstąpiła w Nancy do nowicjatu w r. 1858, w następnym roku złożyła śluby zakonne, zmieniając imię chrzestne Róży na zakonne Marii Kolumby. Powiódł jej się cel życia: wróciła do Polski i założyła klasztor w Wielowśi nad Wisłą (w pobliżu Dzikowa).

Cel swemu zgromadzeniu wytknęła taki: Siostry Dominikanki, prócz pracy nad osiągnięciem własnej świętobliwości, poświęcić się mają "wykształceniu ludu wiejskiego, najbardziej zaniedbanego pod względem religijnym i moralnym; będą go oświecać, w chorobie pielęgnować, ich dzieci uczyć, a sierotki chować, nauczać katechizmu i konających do szczęśliwej śmierci przysposabiać, zaś zmarłym ubogim do grobu asystować".

A przez wszystkie te lata trudyli się świętobliwe Karska i Darowska staraniami i zachodami wszelkiego rodzaju, żeby obmyślony przez nie zakon mógł być swój rozpocząć na polskiej ziemi. Nie było to jednak dane ani Zmartwychwstańcom, ani Niepokalankom. Zszedł na tych daremnych kłopotach r. 1856. Karska jeździła osobiście do Krakowa i do Warszawy, lecz ani rosyjskie, ani austriackie władze nie udzieliły pozwolenia. Wówczas postanowiła założyć pierwszy klasztor w Rzymie i otworzyła tam w listopadzie 1857 r. mały klasztor. Pewna praktyka w nim dopomagała do lepszego obmyślenia reguły, do ciągłych poprawek i uzupełnień, aż wreszcie reguła ustaliła się ostatecznie w r. 1859.

Stan zdrowia matki Karskiej wyczerpywał się jednak przy tym tak dalece, iż było widoczne dla wszystkich, że to początek końca; jakoż pożegnała ten świat w Rzymie w październiku 1860 r., pogrzebana została w podziemiach kościoła Świętego Klaudiusza. Nie doczekała przeniesienia Niepokalanek na ziemię polską.

Cztery zakony żeńskie powstawały jeden po drugim w ciągu siedmiu lat, od pierwszej ochronki Bojanowskiego w r. 1850 do otwarcia klasztoru Niepokalanek w Rzymie w r. 1857. Zagadką pozostaje, dlaczego nie przeszkadzano ani w pruskim, ani w austriackim zaborze otwieraniu ochronek, czemu Felicjanki i Dominikanki mogły się osiedlać w austriackim zaborze, a nie wpuszczono Niepokalanek? Żadnego zaś z nowych zakonów nie dopuszczono w zaborze rosyjskim. Prąd życzliwy Polakom nie zdołał rozrosnąć się i wzmocnić a tyle, żeby rząd schizmatycki miał porzucić swoje uprzedzenia przeciwko katolicyzmowi.

Był zresztą (jak powiedziano wyżej) także prąd drugi, wciąż pałający nienawiścią przeciwko Polsce. Obydwa prądy ocierały się o osobę cara, ścierając się na dworze carskim, a car osobiście skłaniał się raczej do obozu wrogiego polszczyźnie. Gdy na przykład przybyła do niego deputacja z prośbą, ażeby pozwolił budować nowe kościoły katolickie we wschodnich prowincjach państwa polskiego (w tzw. krajach zabranych, tj. na Litwie i Rusi), żeby w szkołach był wykładany język polski i żeby założyć uniwersytet w Połocku (skoro nie wolno wznawiać wileńskiego), Aleksander II deputację tę zgromił, sierdząc się, że "w adresie przebija się niejako dążność do utrzymania mniemanej narodowości polskiej, bezzasadna i lekkomyślna". Niebawem przecież ten sam car miał przyznać pełne prawa tej "mniemanej" narodowości, przynajmniej na obszarze Kongresówki.

Stosunki pomiędzy Rosjanami a Polakami były jeszcze znośne i łatwo zamieniały się w stosunkach osobistych na przyjazne. Tak na przykład nie brakło w armii rosyjskiej oficerów Polaków. Jednego tu wymienić musimy. Był to Józef Kalinowski beatyfikowany w r. 1983, odznaczający się niepospolitymi zdolnościami. W 19 roku życia przyjęty był do wojskowej akademii inżynierskiej w Petersburgu i okazał się tam uczniem najzdolniejszym; na wojnie krymskiej ozdobiono go orderem. Potem ofiarowano mu w r. 1859 stanowisko profesora w owej akademii wojskowo-inżynierskiej, lecz on wolał zawód bardziej wolny. Przyjął w r. 1859 kierownictwo budowy kolei żelaznej z Odessy przez Kijów do Kurska. Pracował dzielnie, a modlił się gorąco i tym więcej, że w okolicy Kurska nie było nigdzie kościoła katolickiego. Żyjąc wśród Rosjan, nigdy nie uczestniczył w żadnym nabożeństwie prawosławnym, chociaż przełożeni wywierali nacisk, żeby się pokazał w cerkwi. W roku 1860 otrzymał stopień kapitana inżynierii. Zdawało się, że służba w armii rosyjskiej nie będzie Polaka narażać na żadne upokorzenia. Kapitan Kalinowski ani przeczuwał, jak mu się los za trzy lata odmieni.

Tymczasem nie dopuszczani do Polski Zmartwychwstańcy otrzymali drugą misję do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej; w r. 1863 otwarli swój dom w Chicago. Nadto zlecił im papież inną jeszcze misję, w Europie na Półwyspie Bałkańskim, misję posiadającą dla Polaków szczególne znaczenie.

Schizma Półwyspu Bałkańskiego była rządzona przez Greków, bo tylko Grecy bywali patriarchami w Carogrodzie. Inne narody były na każdym kroku krzywdzone. Broniąc się przeciwko temu pod koniec 1860 r. zażądała znaczna część Bułgarów osobnego patriarchy, a gdy im tego odmówiono, postanowili zjednoczyć się z Kościołem rzymskim, zastrzegając sobie obrządek własny i własnego patriarchę pod zwierzchnictwem papieża. Zwrócili się z tym do szeregu wybitnych katolików w Konstantynopolu, między innymi także do Polaka, pułkownika Jordana, który był naczelnym agentem polskim w Turcji. Dwa tysiące Bułgarów podpisało prośbę do Ojca św. Piusa IX o unię. Poselstwo rosyjskie poruszało wszystkie środki i sposoby, żeby tej nowej unii zapobiec. Wmawiali we władze tureckie, że to będzie niebezpieczeństwo dla ich panowania; zdarzało się, że urzędy na prowincji odsyłały agentów unii w kajdanach do Carogrodu. A jednak pokonano wszystkie trudności i dnia 30 grudnia 1860 r. ogłoszono uroczyste akt unii. Pojechała do Watykanu delegacja, spośród której papież sam wyświęcił biskupa unickiego w osobie archimandryty (opata) klasztoru w Garbowie, rodowitego Bułgara Sokolskiego. Odprawił z nim razem Pius XI mszę św. w dwóch językach równocześnie, po łacinie i w języku starobułgarskim, po czym mianował go patriarchą unickich Bułgarów. Rząd turecki uznał tę nową godność i wracającego do Carogrodu ks. Sokolskiego przyjął z całym ceremoniałem.

Zdaniem ks. Kajsiewicza był to "dom na piasku zbudowany", zwłaszcza że Bułgarzy nigdy nie byli religijni. Umysłem bułgarskim brak było zawsze "podwalin nadprzyrodzonych". Nie rozumieli czym jest i na czym polega religia, widzieli tylko same zewnętrzne objawy, Osoby reprezentujące katolicyzm w Carogrodzie, świeckie i duchowne, a zwłaszcza duchowne, zawiniły tym, że nie wymagały od nowych unitów żadnego głębszego przygotowania do katolicyzmu. Surowo wyrażał się o tym nasz ks. Kajsiewicz: "nie pomyśleli, że trudno prowadzić dalej, co źle zaczęte i że trudno nawracać kogoś, komu powiedziano, że przystając do unii nie ma nic do zmieniania okrom uznania papieża rzymskiego". Istną też kulą u nogi był brak oświaty u duchowieństwa bułgarskiego. Przewidywał ks. Kajsiewicz, że "unia z dawnymi popami nie zakwitnie, bo jeżeli ktoś rzadki, niezrażony świętokupstwem i chciwością, to zawsze nieuk". Trzeba było seminarium i szkół, ażeby po kilkunastu dopiero latach dochować się należytych kandydatów do stanu duchownego. O poziomie tego stanu wówczas świadczy taki np. fakt, że popi dawali rządzić sobą świeckim dostojnikom bułgarskim, bo do tego od wieków nawyki, tym bardziej, że byli "grubi i przekupni". A □duchowni kłócili się między sobą, każdy bowiem pop, tym bardziej archimandryta, chciał być biskupem, a wszyscy domagali się pieniędzy, tak iż Sokolski obok grubych wyrazów brał się nieraz na nich do kija".

Początki zdawały się jednak być. pomyślne. Założona w Adrianopolu misja rozszerzała się szybko, a z okolic Salonik 50 wsi prosiło księży unickich bułgarskich a nie greckich. Ale Grecy (popierani wpływami rosyjskimi) wszczęli gwałtowną walkę. □Grecy jako bogatsi i silniejsi nie tylko pozbawiali unitów bułgarskich kościoła i cmentarza, ale jeszcze chleba i wody. Po wsiach zamykali przed nimi studnie wspólne, w kościele odmawiali chrzcielnicy, wypowiadali kapitały pożyczone, zrywali kontrakty, wypowiadali służbę, grozili zemstą Moskali, gdy rychło zbrojnie przyjdą, straszili obowiązkiem służenia wojskowo papieżowi". Czy dziwić się, że lud nie wytrwał, a unia zaczęła się cofać?

Pospieszyło na pomoc kilku kapłanów unickich Polaków. Najpierw ks. Laurysiewicz i Malczyński, następnie dawny kolega ich z seminarium chełmskiego, Mosiewicz i potem ks. Beręgowicz, obwożony długo po więzieniach rosyjskich, a który niespodzianie przybył do Rzymu w r. 1862. Wtedy objeżdżał właśnie Bułgarię ks. Kajsiewicz, bo Zmartwychwstańcy postanowili utworzyć w swym zakonie gałąź obrządku bułgarskiego. Papież zgodził się na ten projekt, a ks. Laurysiewicza mianował misjonarzem apostolskim w Carogrodzie. Wtedy przeszło na obrządek bułgarski dwóch jeszcze Zmartwychwstańców - ks. Karol Kaczanowski, emigrant z r. 1831 i brat Marcin. Cerkiew bułgarsko-unicka liczyła wszakże w r. 1862 zaledwie kilkanaście tysięcy dusz i tylko dziesięciu kapłanów Bułgarów, którzy pozostali wierni unii. Sprawa szła nader ciężko, bo naród bułgarski naprawdę stracił "zmysł nadprzyrodzony" i pozostał właściwie areligijny. Nasi zaś Zmartwychwstańcy zabrali się do szkolnictwa w Bułgarii.

Ksiądz Kajsiewicz opuścił Bułgarię pod koniec r. 1862, a w styczniu 1863 r. bawił z powrotem w Rzymie, gdy wtem dużo rzeczy zmieniło się na polskim horyzoncie: z końcem stycznia 1863 r. wybuchło w Kongresówce powstanie.

Powstanie styczniowe

Sprawy polskie miały się niebawem zamącić straszliwie. Ów Bismarck, który podczas wojny krymskiej przeszkodził wznowieniu Polski, obmyślił sposób, żeby cały naród niemiecki pobudzić przeciw Polakom. Chciał chytrze intrygami wywołać powstanie polskie, które stłumić byłoby bardzo łatwo, a rząd pruski mógłby potem pławić się w tępieniu polskości. Dyrektor policji w Poznaniu, Baerensprung, drukował w pruskiej drukarni państwowej proklamację, wzywającą do rozruchów. Wykrył tę sprawę poseł Niegolewski i odsłonił w sejmie niemieckim w Berlinie, ale Bismarck nie dał za wygraną. Odtąd marzeniem jego było, żeby Polacy urządzili powstanie przeciw Rosji nie porze niestosownej, żeby nie mogło być widoków powodzenia.

Pewien odłam emigracji spiskował zawsze. Minęły już czasy tzw. wielkiej emigracji. Nie było tam już ani jednego wybitnego męża. W polityce byli istnymi ślepcami. Ale spiski i tajne organizacje podobają się zazwyczaj młodzieży; toteż paryskiej "centralizacji" powiodło się pozakładanie tajnych organizacji, zmierzających do powstania. W r. 1860 zaczęły się w Warszawie tłumne demonstracje, aż wojsko zaczęło strzelać na ulicach.

Wtedy wystąpił margrabia Wielkopolski, ten sam, który w r. 1846 ogłosił słynny "List szlachcica polskiego do księcia Metternicha". Liczył teraz lat 60, a dzięki swym osobistym stosunkom na carskim dworze znalazł posłuch u cara i w marcu 1861 r. został mianowany ministrem oświaty na Kongresówkę. Założył uniwersytet polski i cały szereg szkół średnich. W następnym roku rozszerzono jego władzę na wszystkie urzędy. Spolszczył je więc wszystkie i mieliśmy w Kongresówce czysto polską administrację. Pod koniec r. 1862 oddano pod władzę Wielopolskiego nawet policję; cały więc rząd w Kongresówce był już polski. Z wyjątkiem wojska wszystko pozostawało w polskim ręku.

I wtedy właśnie wybuchło powstanie! Spiskowcy urządzili nawet zamach na życie Wielopolskiego. Tajny rząd postanowił urządzić powstanie bezwarunkowo; wszystko jedno, czy potrzebne, czy niepotrzebne, czy korzystne czy szkodliwe. Nikt nie wiedział, kto zasiada w tajnym "rządzie narodowym"; zbyt późno wykryło się, że były to same młokosy.

A nie było do tego powstania, które wybuchło ostatecznie w styczniu 1863 r. żadnych wojennych przygotowań, ani oficerów, ani pieniędzy, ani nawet żadnej wyższej komendy wojskowej. Zrobiła się ruchawka partyzancka bez ładu i składu. Łudzono się na próżno, że nadejdzie pomoc z Anglii i Francji a nawet z Austrii i przeciągnięto to powstanie aż do lata 1864 r.

Wielka była radość w Berlinie, Bismarck zawarł wtedy z Rosją ścisły sojusz przeciwko sprawie polskiej. W razie, gdyby któreś państwo wypowiedziało Rosji wojnę, zobowiązał się dopomóc Rosji całą niemiecką siłą wojenną, a nawzajem Rosja zobowiązała się do neutralności w każdej wojnie, którą by prowadziły Prusy. Zyskiwał tedy Bismarck na powstaniu styczniowym, żeby pomiędzy Polską a Rosją wykopać przepaść, że Polska i Rosja nie pogodzą się, i nie zwrócą się razem przeciw Prusom; zyskiwał dalej, że Prusy, bezpieczne od Polski i Rosji, będą mieć wolną rękę przeciw Austrii i Francji.

Po stłumieniu powstania nic nie zostało z dzieła Wielopolskiego. Chociaż w dalszym ciągu powstania przystąpiły do rządu narodowego osoby poważniejsze, nic nie zdołało powstrzymać najstraszniejszej klęski. Na nic bohaterstwo bojowe powstańców, na nic poświęcenia bez miary w całym społeczeństwie! Na wszystkich urzędach osadzono samych Moskali, w szkołach i w sądach wprowadzono wyłącznie język rosyjski. W Wilnie nowemu gubernatorowi Murawiewowi sami Moskale nadali przydomek "Wieszatiela". Na Litwie zakazano nawet mówić po polsku w miejscach publicznych. Sypały się w całym zaborze rosyjskim wyroki śmierci, więzienia, wygnania na Sybir i konfiskaty majątków. Mnóstwo rodzin szlacheckich straciło całe mienie.

Dla przykładu przytoczymy rodzinę Beyzymów z Wołynia. Przed trzystu laty przyjął chrzest, otrzymał polskie szlachectwo i osiedlił się na Wołyniu tatarski bej (tyle co np. u nas hrabia) imieniem Zym, stąd nazwa ich wsi dziedzicznej - Bejzimy. Skonfiskował ją rząd za udział w powstaniu. Młody, czternastoletni syn Jan kształcił się w gimnazjum w Kijowie (polskiej szkoły już nie było), a tego Janka wspominamy, bo miał potem stać się ojcem trędowatych i zaprawdę świętym.

Powstanie styczniowe miało licznych przeciwników, którzy nie mogli pojąć, czemu zwalczać zdobycze Wielopolskiego. Na czoło tych mężów wysuwa historia świętobliwego biskupa Łubieńskiego. Był to rodowity Warszawianin, urodzony w r. 1825 z rodziny znanej od dawna z poświęcenia dla Kościoła i narodu. Kształcony długo za granicą, po powrocie do Polski obrał sobie stan duchowny i pracował przy warszawskim kościele Wizytek. Kiedy jego ojciec Henryk skazany został na wygnanie do Kurska, towarzyszył mu i rozwinął tam działalność misyjną. Następnie był proboszczem przy jedynym katolickim kościele w Petersburgu, Świętej Katarzyny. W roku 1857 towarzyszył arcybiskupowi Żylińskiemu w wizytacji archidiecezji mohylowskiej, zwiedził przy tej sposobności grób św. Andrzeja Boboli w Połocku, umacniał unitów w wierze i za to został skazany na wygnanie do Charkowa. Odzyskawszy wolność, był w r. 1861 w Rzymie, a w marcu 1863 r. został biskupem w Sejnach, w których od 17 lat nie było biskupa. Był przeciwnikiem powstania, ale z tego nie wynikało, żeby miał być zwolennikiem rosyjskich rządów. W roku 1869 zesłany ponownie w głąb Rosji, do Permu, został w drodze otruty arsenikiem podanym w kompocie. Papież Pius IX odezwał się w tej sprawie na prywatnej audiencji do ciotki otrutego biskupa, Róży Sobańskiej; "gratuluję ci, że masz w swym bliskim krewnym biskupa i męczennika zarazem. Nie mam co do tego, po ścisłym zbadaniu rzeczy, przez umyślnego wysłańca, żadnej wątpliwości".

Podobny los spotkał biskupa podlaskiego Kalińskiego, który również w drodze na wygnanie "zachorował i umarł".

Wśród tych, którzy potępiali powstanie, wymienić tu wypada jeszcze jedno nazwisko wybitnego męża, który niebawem miał złożyć dostateczne dowody, jak umiał miłować Ojczyznę - ks. Mieczysław Ledóchowski, z rodziny arystokratycznej, wychowany za granicą, a głównie w Rzymie, mówił, że pojąć nie może całego tego powstania. W liście do rodziny wyrażał zadowolenie z tego, że żyje za granicą, że nie ma nic do czynienia z krajem, który wydaje takich szaleńców. Pragnął poświęcić się służbie dyplomatycznej papieskiej i rzeczywiście został nuncjuszem w Brukseli, chociaż nie miał jeszcze całych lat 40. Jakże świetnie zapowiadała mu się kariera dyplomatyczna na oczach całej Europy! Nie przypuszczał, żeby miał kiedykolwiek zamieszkać w Polsce, a miał wkrótce zostać polskim prymasem (o czym w rozdziale 33).

Czy ktoś był przeciwny powstaniu czy nie, wszyscy jednakowo byli braćmi powstańców, gotowymi nieść im zawsze pomoc. Były więc po całym kraju stacje zaopatrywania ich w żywność, schronienia, szpitale i przytułki dla ozdrowieńców. Największa taka stacja była w Krakowie, oddalonym od granicy rosyjskiej zaledwie półtorej mili. Było to oczywiście niewieście pole pracy. Na czele zorganizowanej w Krakowie opieki nad powstańcami stała Wanda Malczewska. Pochodziła z Radomia, urodzona w r. 1822, mieszkała następnie we wsi Klimontowie i stała się dobrodziejką ludu wiejskiego, wszystkich chorych, i opuszczonych w całej okolicy. Z lekarstwami, odzieżą i pożywieniem w jednej, a koronką w drugiej ręce spieszyła do chorych lub ubogich, a "lekarz Frydrych z Mysłowic, który kontrolował jej lekarstwa i działalność, dziwił się nieraz nadzwyczajnym uzdrowieniom, dokonanych przez "Wandę". Dziedzic Klimontowa, a jej brat cioteczny, Jacek Siemieński wstąpił do powstania, dostał się do więzienia, a Wanda z krewnymi schroniła się przed zemstą Moskali do Krakowa. Tu zatopiona w modlitwie przemówiła do grona zebranych osób, którzy wszyscy dotknięci byli klęską powstania, w te słowa: "Straszne klęski spadną na Polskę, ale jej nie zgniotą. Polska ożyje pod opieką swojej Królowej, Matki Najświętszej, a jej wrogowie upadną, bo krew wytoczona z unitów woła o pomstę do Boga". Wróciła potem do Klimontowa, w którym rozchorowawszy się śmiertelnie, zapadła po przyjęciu św. Sakramentów w głęboki sen, z którego zbudziła się zupełnie zdrowa. Lekarz, dr Kulski, ujrawszy ją na drugi dzień, oświadczył: "To wyzdrowienie tylko cudowi przypisać można". Spotkamy się jeszcze z tą świątobliwą Wandą.

Tu wspomnieć należy w związku z powstaniem o Franciszce Siedliskiej, urodzonej w r. 1842 we wsi Rożkowej w powiecie rawskim na Mazowszu z rodziców bardzo zamożnych. Będąc dziedziczką kilkunastu folwarków, bawiła się w wielkim świecie, a nie bardzo wierząca, zachowywała tylko pewną uczuciowość religijną. W roku 1861, podczas pobytu w Szwajcarii, obudziło się w niej po raz pierwszy pragnienie życia zakonnego. Tymczasem wybuchło powstanie, ojciec jej został uwięziony, podczas gdy ona z chorą matką bawiła nad Jeziorem Genewskim. Złożywszy gruby okup, wydostał się Siedliski także za granicę. Powrócili wszyscy do domu w r. 1865, a Franciszka oddana wyłącznie Bogu, myślała już o powołaniu zakonnym. Miała stać się założycielką Nazaretanek.

Ważnym imieniem świątobliwym związanym jest z powstaniem styczniowym, pośrednio i bezpośrednio. Znany nam Józef Kalinowski podał się do dymisji z armii rosyjskiej i przystąpił do powstania. Został komisarzem powstania na Litwę, urządzał władze powstańcze w Wilnie, w którym działał przez 8 miesięcy, a działał prawdziwie gorączkowo. Wykryty i aresztowany znosił przez trzy miesiące katusze rosyjskiego śledztwa. Modlił się przez cały ten czas żarliwie i śpiewał w celi więziennej litanię loretańską. Po dłuższym więzieniu skazano go na śmierć i wyrok miał być wykonany. Jakiś generał rosyjski zwrócił jednak uwagę, że nawet rosyjscy żołnierze uważają tego więźnia za "świętego Polaka" i wszyscy Polacy i nie-Polacy gotowi go czcić, jako świętego męczennika! Po co taki niepotrzebny kłopot? Więc złagodzono wyrok na dziesięć lat ciężkich robót fortecznych w Omsku i potem na dożywotni przymusowy pobyt na Syberii. Wraz z trzystu innymi zesłańcami musiał pracować przy warzelniach soli na odludnej wyspie Usola na rzece Angarze. Tam oddał się jeszcze bardziej modlitwom, a bogobojność jego wzniosła się do takich wyżyn, iż go uważano za świętego, a do litanii dodali wygnańcy inwokację: "Przez modły Kalinowskiego wybaw nas Panie". A przy tym wszystkim był ten mąż człowiekiem "niewymownej słodyczy i uprzejmości, prawdziwie anioł dobroci". On zaś miał z sobą obraz Najświętszej Panny Ostrobramskiej i przed tym obrazem ślubował, że wstąpi do surowego zakonu Karmelitów Bosych, jeżeli przywrócona mu będzie wolność.

Brał też udział w powstaniu r. 1863 siedemnastoletni chłopczyzna, Adam Chmielowski. Urodził się dnia 20 sierpnia 1846 r. we wsi Igołomi nad Wisłą na samej granicy austriacko-rosyjskiej, po stronie rosyjskiej, w powiecie miechowskim, na północ od Krakowa. Ojciec jego był tam urzędnikiem celnym. Mając osiem lat, stracił rodziców. Pod opieką ciotki, Petroneli Chmielowskiej, kończył szkołę średnią w Warszawie, a następnie wpisał się do wyższej szkoły rolniczej w Puławach. Wszyscy studenci poszli do powstania. Chmielowski wkrótce został ranny, a gdy schronił się na stronę galicyjską, żeby się leczyć, uwięziła go żandarmeria austriacka i zamknęła go w więzieniu w Ołomuńcu. Udało mu się zbiec. Przemycił się przez granicę i dalej walczył w szeregach powstańczych, aż mu granat strzaskał nogę. Dłużej już wojować się nie dało, a ponieważ zagrożony był zesłaniem na Sybir, rodzina wysłała go potajemnie do Paryża co mu się powiodło. Potem uczył się na politechnice w Gandawie, a jeszcze później poczuł w sobie ochotę do malarstwa i wyjechał do słynnej wówczas akademii malarskiej w Monachium. Bardzo zawsze religijny, pragnął zostać malarzem religijnym, co mu się też powiodło. Malarstwo jego nie było zachcianką. Taka znakomitość, jak Leon Wyczółkowski wyraził się o nim w taki sposób: "Wywierał na nas ogromny wpływ. Był najpierwszym wśród nas kulturą, wiedzą, charakterem, a kto wie, czy i nie talentem□".

Ponieważ ze starszych rzadko kto wierzył w powodzenie tego powstania, wielu uważało za obowiązek wstrzymać młodzież. Tak na przykład wybierał się do powstania wraz z kilku kolegami kleryk seminarium duchownego w Przemyślu Józef Pelczar, pochodzący z drobnego mieszczaństwa w Korczyniu na Podkarpaciu. Zapaleńców wstrzymuje ks. Rektor Skwierczyński wymownymi słowami: "Moi drodzy, cóż wy zrobicie w powstaniu, kiedy żaden z was nie miał dotąd karabina w rękę? Ofiara wasza pójdzie na marne. Tymczasem pracując całe życie po Bożemu, najlepiej przysłużycie się Ojczyźnie". Pelczar odbywał następnie już jako kapłan wyższe studia w Rzymie w latach 1865-1868, gdzie poznał się z ks. Kajsiewiczem i ks. Semeneńką.

Rwał się do powstania w r. 1863 Bronisław Markiewicz (rodem z Pruchnika nad Sanem), lecz przebywając w Przemyślu na naukach miał tam cudowne widzenie anioła, zapowiadającego, że tym razem Polska niepodległości nie odzyska, lecz nastąpi to później, podczas wielkiej i ciężkiej wojny powszechnej. Pobudzony tym widzeniem, które opisane było bardzo szczegółowo w r. 1904, na dziesięć lat więc przed wybuchem wojny, wybrał sobie dwudziestojednoletni wówczas Markiewicz stan kapłański. Wyświęcony w r. 1867 pracował w kilku parafiach, oddając się obok zwykłych prac plebańskich gorliwie pracy społecznej i oświatowej, a zwłaszcza opiece nad opuszczoną dziećmi.

Byli zaś i tacy, w dojrzałym już wieku, którzy nie poszli do powstania, a nikt im nie może odmówić odwagi wojennej, której dowody złożyli już przedtem; błyszczeli zaś cnotami obywatelskimi i przynosili chlubę społeczeństwu. Na przykład trzydziestodwuletni wówczas Antoni Reichenberg z Gorlic, który kształcił się we Lwowie i Samborze, a nasiąknął podczas studiów wpływami masońskimi. Kiedy w roku 1848, podczas owej "Wiosny Ludów" wybuchło powstanie węgierskie i powstały tam polskie oddziały pod generałami polskimi (głównym był generał Bem), poszedł tam również Reichenberg, a po przegranej wojnie znalazł się w kilka lat potem w Monachium w r. 1855, żeby studiować malarstwo. Liczył już lat 31. Bawił tam wówczas również największy z polskich malarzy, sławny potem na cały świat Jan Matejko. Ten olbrzym talentu i ducha był bardzo religijny i dokonał nawrócenia Reichenberga. Skutek był taki, że w r. 1862 Reichenberg odbył pielgrzymkę do Częstochowy i zaraz rozpoczął studia teologiczne; w r. 1867 przyjmował święcenia kapłańskie, a w dwa lata potem wstąpił do zakonu Jezuitów. Niemało jest jego obrazów po kościołach jezuickich. Zasłynął zaś ze świątobliwości, która w późniejszych latach miała się okazać w pełnej poświęcenia miłości bliźniego, gdy obrał sobie szczególną opiekę - nad nędzą i chorobami.

Z drugiej strony można by wyliczyć cały zastęp księży, którzy wzięli udział w powstaniu. Może to być miarą ich zapału. Tajna organizacja żądała jednak od nich przysięgi na posłuszeństwo tajnemu rządowi i to tak dalece, iż kazano im przysięgać, "że nie będą odmawiali rozgrzeszenia za grzechy popełnione z rozkazu tej władzy". Jakżeż rząd jakkolwiek ma przepisywać kapłanowi, kiedy ma udzielić rozgrzeszenia? Władza świecka nad Sakramentami! Ależ to bizantyńskie pojęcia, wcale niepolskie! Skoro do Rzymu nadeszły wiadomości o tym, zachodziła obawa, że Stolica Apostolska wystąpi z publiczną naganą. Arcybiskupi warszawscy i gnieźnieńscy udali się wtenczas z prośbą do ks. Kajsiewicza, żeby przemówił. Napisał wtedy "List otwarty do braci księży grzesznie spiskujących", w

którym nie tylko zgromił to, co było wykroczeniem przeciw prawu kościelnemu, ale też zwrócił uwagę, że powstanie urządzone nieroztropnie pogorszy położenie Polski i nie tylko nie przyspieszy niepodległości, ale cofnie jej odzyskanie.

Ksiądz Kajsiewicz zawsze wyraźny, pisał wyraźnie, "że pójdziemy na pośmiewisko ludzi, na pogwizd szatanom, że nam brakło cierpliwości w przeddobie zmiłowania Pańskiego i dobrowolnie dajemy wrogowi to, czego siłą i podstępem osiągnąć nie mógł".

Pomimo wszystko Ojciec św. kazał całemu światu katolickiemu modlić się za Polskę, a we wrześniu 1863 r. urządził wielką procesję błagalną po Rzymie i jeszcze w kwietniu 1864 r. piętnował w publicznym przemówieniu bezprawie rosyjskie.

Księża opamiętali się i przysięg niestosownych nie składali, ani też nie szli do szeregów powstańczych z bronią w rękę, bo kanony nie pozwalały im przelewać krwi. Ale szli na kapelanów chętnie.

Jakiż to fakt znamienity, że ostatnim powstańcem, który dotrwał do końca, a raczej przetrwał nawet i sam koniec powstania był kapłan, kierujący (choć sam bez broni) swym własnym oddziałem zbrojnym daleko na Żmudzi, aż do lata 1864. Był nim ks. Stanisław Brzóska, pochodzący z Podlasia, wikary w Sokołowie. Przez długi czas nie zdołali go Moskale ująć, a on ukrywał się po lasach i po chłopskich chatach, nigdzie na długo, zmierzając potajemnie ku swemu Podlasiu. Wreszcie dotarł do swojej parafii i ukrywał się tym razem długo u jednego z mieszczan Sokołowa. Ten sprytnie sobie poradził. Przybudował do swego domu obszerne stajnie i chlewy, a w pewnym miejscu ustawił podwójne ściany, między którymi była wolna przestrzeń na trzy łokcie. W takiej kryjówce mieszkał ks. Brzóska razem ze swym przyjacielem, F. Wilczyńskim, który go nie chciał opuścić. Żywność podawano im umyślnym otworem pod podwaliną domu, zasłoniętym kufrem. Innym zaś sztucznym otworem mogli wychodzić w nocy. Gdy zbliżała się Wielkanoc, wyszli nocą do sąsiedniej parafii dla odbycia spowiedzi u wikarego ks. Lewandowskiego. Szpiegowano wtedy wszystkich jadących i idących; sołtysi byli pociągani do najsurowszej odpowiedzialności, żeby kontrolować każdego obcego, który się w gminie pojawi. Utrzymywano osobne stráže od wsi do wsi, żeby przytrzymywać przybyszów. Pomimo wszelkich ostrożności ktoś podpatrzył, jak dwóch obcych wychodzi w nocy z plebani; dał znać sołtysowi; ten nie tylko sam zarządził pościg, ale dał znać wójtowi, a wójt urzędowi powiatowemu w Siedlcach. Skończyło się to źle, aresztowano ks. Lewandowskiego, a gdy nie chciał wydać, kto u niego był, bito go bez miłosierdzia, a gdy nadal odmawiał wyjaśnień, bito aż i zabito, po czym zwłoki powieszono na szubienicy.

Zadajmy tu jedno pytanie: czyż ks. Lewandowski nie jest męczennikiem świętej sprawy tajemnicy konfesjonału? Nie mógł wydać penitentów, którzy przybyli do niego w tajemnicy i wyraźnie dla Sakramentów św. Nie mógł ich zdradzić przez swój honor, bo przyszli pełni zaufania; nie mógł tego zrobić ze względów patriotycznych, bo jakże wydać swoich wrogowi? Ale on był obowiązany do milczenia także ze względów religijnych, jako posiadający tajemnicę powierzoną sobie w konfesjonale. Czyż nie byłoby wskazane, żeby w tamtych stronach podjęto badania i dochodzenia co do osoby ks. Lewandowskiego, co do szczegółów jego życia i okoliczności popełnionego na nim mordu?

Po pewnym czasie wykryły kozackie patrole schronisko ks. Brzóska. Zdołał jeszcze spalić papiery, po czym wraz z Wilczyńskim wydostali się na tyły ogrodu i zmierzali do lasu. Pod lasem kozacy ich dopadli. Wilczyński zastrzelił kilku kozaków, ale ksiądz nie strzelał. Kiedy wypadło nabić rewolwer na nowo, wołał Wilczyński na księdza, żeby tymczasem on strzelał, lecz kapłan odmówił. Biegnąc dalej, potknął się ks. Brzóska o korzenie drzew, gdy tymczasem jego towarzysz był już w lesie. Wilczyński odwróciwszy się, ujrzał jak leżącego kapłana przytrzymali pikami, a potem podjęli go na piki i odnosili. To widząc, wychodzi Wilczyński z lasu i sam oddaje się kozakom, żeby nie opuszczać duchownego przyjaciela, i do końca dzielić jego losy. Dzielnym to był zaiste człowiek.

Schwytanych zawieziono do Siedlec i tam powieszono. Pod szubienicą wyraził ksiądz ostatnie swe życzenie: "Pragnę, aby mego kolegę powieszono pierwej. Kat, jeżeli skróci mu mękę, otrzyma ode mnie złoty zegarek". I tak się stało. Trupy obydwu leżały przez cały dzień następny, świąteczny, po czym ciała ich złożono w prostą pakę. Ponieważ była za krótka na wysoki wzrost księdza, więc mu

odsiekano nogi do kolan. Pakę przewieziono do fortecy w Brześciu Litewskim i złożono tam na dnie wału.

Wzmogło się znowu prześladowanie Kościoła w zaborze rosyjskim i zabrano się do dalszej kasaty klasztorów. Doszło do tego, że w każdej regule pozostawiono tylko po jednym klasztorze, do którego zwieziono zakonników z całej Kongresówki, a klasztorowi temu zakazano nowicjatu. Po prostu skazano mnichów katolickich na wymarcie i wkrótce też wygaść niejedyn zakon.

Skasowano też w r. 1864 nowo powstałe Zgromadzenie Sióstr Felicjanek. Rozproszyły się zakonnice, każda z osobna zmuszone szukać przytułku, gdzie się dało, a wszędzie poddane dozorowi policyjnemu. Założycielka, świętobliwa matka Truskowska, popadła w chorobę, która ją całkiem obezwładniła. Szczęściem dla przyszłości zakonu okazała się nadzwyczajna energia i działalność w siostrze M. Borowskiej, która umiała podtrzymać ducha w rozproszonych towarzyszkach i sprawić, że jednak mimo rozproszenia nie ztraciły poczucia przynależności do zakonnej wspólnoty. A w roku następnym mogły się zgromadzić na nowo, bo oto w r. 1865 cesarz austriacki dopuścił je do Galicji. W rok potem zaczęły z pomocą dobrych ludzi stawiać klasztor w Krakowie przy ul. Smoleńskiej, który stał się odtąd ich domem macierzystym i jest nim dotychczas. Tam też zjechała w r. 1869 siostra Borowska i tam urządziła nowicjat. Wnet wybrano ją na generalną przełożoną i zajmowała to stanowisko do końca życia, z wielką chlubą dla siebie, a korzyścią dla zakonu. Gdyby nie otrzymała wówczas dostępu do zaboru austriackiego, byłyby według wszelkiego prawdopodobieństwa wszystkie dostały się na Sybir.

Powiedziano, żeśmy dokonali kolonizacji Syberii i to nie byle jakiej, bo dostarczając temu krajowi inteligencji. A była to już kolonizacja stara. Rządy rosyjskie zsyłały bowiem na Syberię jeńców polskich od czasów konfederacji barskiej. Było ich już wtenczas kilkuset. Zasłynął na cały świat Maurycy Beniowski, konfederat barski, zesłany na Kamczatkę w r. 1767, stąd zbiegł przez Japonię i dotarł morzami do Madagaskaru, w którym założył sobie państwo. Pierwszy opis Syberii spisał brygadier Józef Kopec, jeńiec z bitwy pod Maciejowicami. Potem nastąpiły pamiętniki Karola Chojeckiego z r. 1790 i przeora Dominikanów wileńskich Ciecierskiego z lat 1797-1801 i odtąd długi szereg polskich książek o tym kraju, w czym niemało dzieł naukowych. Inteligencja polska odkryła Syberię dla nauki europejskiej. Szli tam nasi jako zesłańcy polityczni, a stali się dobroczyńcami rozległych krajów azjatyckich, dzięki swojej przedsiębiorczości i wiedzy. Powstaniec z r. 1863 Benedykt Dybowski, sławny następnie na całą Europę wielki uczonec, zbadał wraz z Wiktorem Godlewskim świat zwierzęcy, potem pierwszy opracował naukowo największe z jezior - Bajkał i czynił odkrycia na Dalekim Wschodzie. Potem w latach 1870-1882 osiedla się dobrowolnie na Kamczatce, "roztaczając chlubną działalność humanitarną, ratując nieszczęsnych krajowców przed wymieraniem", aż w r. 1883 zostaje powołany na profesora zoologii w Uniwersytecie Lwowskim. Współdziałał zaś w Azji z licznymi Polakami, "których imiona stały się głośne i niezapomniane". Są tych imion setki całe! Ileż tam kryje się trudów i znojów myśli polskiej, nie mogącej pracować we własnym państwie, bo go nie było! Ilu ich przepadło dla społeczeństwa polskiego?

Ale też był Sybir dla naszych zesłańców krajem najstraszniejszych katuszy. Powstańcy z r. 1831 i 1863 spotykali się, jako dwa pokolenia ofiar miłości Ojczyzny w tamtejszych rządowych kopalniach, jako przymusowi robotnicy pod ziemią, używani do najniebezpieczniejszych robót. Ażeby nie mogli zbiec, piętnowano ich na rękę, czasem nawet na twarz, a z reguły przykuwano łańcuchami do taczek. Noclegi i strawę mieli prawdziwie nieludzkie. Skazani na wyrąb lasów, wykonywali prace drwali często w kajdanach na nogach. A gdy po latach zwolniono którego z przymusowych robót, nie pozwalano mu jednak wracać do kraju! Na całe życie miał zostać na Sybirze, jako osadnik i starać się o utrzymanie własne wśród ludności turańskiej, w stosunkach prymitywnych nad wszelki wyraz. Sam jeden "jak palec", obcy i opuszczony, cóż miał począć ze swoją osobą? Przede wszystkim chciał przestać być obcy tamtejszym mieszkańcom, chciał pozyskać sobie życzliwych pośród nich, a pragnął też mieć jakiś kąt własny, swój dom, choćby najuboższy. Żenił się więc z poganką, na półdziką, którą sam musiał dopiero doprowadzić jakoś do prawdziwej wiary, choćby tylko do słabego promyczka prawdziwego światła, tudzież do... używania wody do mycia. Któż mu dawał ślub? Kto potem chrzczył dzieci? Rząd dbał o to, żeby się łatwo znalazł jakiś pop prawosławny. I jest tam pełno rodów, które dotychczas utrzymują tradycję, że pochodzą od "polskiego osiedleńca", ale nie ma w nich ni śladu polskości, ni katolicyzmu.

Zastanowiwszy się nad straszliwą dolą naszych rodaków na Syberii, rozumiemy dopiero trafność słów ks. Kajsiewicza, że staliśmy się "Hiobem pośród narodów". Przyjrzyjmy się jeszcze dwom świetlanym postaciom, błyszczącym na tym tle - Józefa Kalinowskiego i Krzysztofa Szwermickiego.

Kim był dawny inżynier wojskowy dla wielkiej grupy zesłańców naszych na Usole, dostrzeżemy najlepiej z opisu wigilii, urządzonej przez wszystkich rodaków tamtej okolicy w r. 1865. Obszerne wspomnienie tej rzewnej uroczystości sporządził jeden z uczestników, Wacław Nowakowski (późniejszy kapucyn w Krakowie, znany całemu miastu O. Wacław, który żył i umarł w opinii świętości). Oto zajmujący z tego opisu wyjątek: "Kiedy wszystko we wilię zostało przygotowane i wszyscy wokoło stołu stanęli, a księży wśród ciszy odmówili jakimś dziwnie wzruszającym głosem słowa modlitwy po łacinie, zaczęto się łamać opłatkiem i składać sobie życzenia. Nastąpił ruch ogromny i gwar przeszło trzystu osób. Wołają jeden na drugiego, szukają gdzie ten, z którym się pragnie przełamać opłatkiem. Najwięcej skupiano się koło Józefa Kalinowskiego, którego wszyscy nadzwyczaj nie tylko kochali, lecz i uwielbiali. Każdy chce koniecznie z nim się przełamać opłatkiem, w myśli, że to szczęście przyniesie. Kalinowski wykręca się na wszystkie strony, do każdego słodko się uśmiecha, każdego całuje. A tu na wszystkie strony chwytają, ściskają, aż go znowu panie proszą, żeby do nich przyszedł. Znowu księży od pań go odbierają. On księży w ręce całuje, a księży ręce chowają, albo za szyję go obejmują; i końca temu nie ma".

Wyobraźmy sobie, że takich grup większych było na Syberii kilkanaście, mniejszych zaś kilkaset; ale tysiące i tysiące takich, którzy nie mieli rodaków w sąsiedztwie, a żyć też musieli. Ponad wszystkimi, ponad całą tą niedolą unosiła się postać ks. Szwermickiego, proboszcza całej Syberii, który dobrowolnie został tam, żeby służyć i apostołować. Odkąd przybyło po r. 1863 nowe i tak liczne osadnictwo polskie, tym bardziej nie chciał ani słyszeć o powrocie do kraju, jakże było mu wracać, gdy trzeba było nieść pociechę tym, którzy wracać nie mogli! Posiadając już całkowitą swobodę, nie dał sobie ni razu choćby urlopu, żeby odwiedzić tę Polskę, którą kochał nad wszystko. "Nie miał czasu; zawsze bowiem znaleźli się tacy, którzy w sam raz potrzebowali jego opieki, więc nie mógł wyjeżdżać". Dobrze go scharakteryzowano tymi słowami: "Prawdziwie, żył on jedynie dla Boga i dla bliźniego, a o sobie zapomniał zupełnie. Wszystkie bóle, męki, nędzę, rozpacz wygnańców objął sercem tklwym i szerokim; był przy śmierci każdego skazańca, a dom jego dla wszystkich stał gospodą otwartą. On był aniołem pocieszycielem, on ojcem i matką dla wygnańców". Ale też nie zajmował się ani na chwilę niczym innym, jak tylko kłopotami nieszczęśliwych swych owieczek; nie pozwalał sobie na żadne rozrywki, choćby niewinnego rodzaju i powszechnie przyjęte, bo nigdy nie miał czasu dla siebie.

Ten świętobliwy mąż wystawił w Irkucku własnym staraniem kościół katolicki i założył przy nim szkołę. Dwa razy ofiarowywano mu biskupstwo; raz w Mohylewie, drugim razem w Sandomierzu, lecz "sługa Boży przeniósł nad mitrę posługiwanie skazańcom w lodach Sybiru". Nie chciał się od nich ruszyć. Mianował go więc papież Leon XIII misjonarzem apostolskim na całą Syberię. Kiedy w roku 1888 obchodził złote gody kapłańskie, otrzymał od Ojca św. odręczne pismo gratulacyjne, w którym nazwany jest "chlubą misjonarzy katolickich, ozdobą Marianów i radością serca papieskiego".

Lecz co znaczy wszelkie dobro duchowe przeciw prostackiej sile fizycznej i czym największa zacność wobec żywiołowej nienawiści do katolicyzmu, właściwej rosyjskim masom. W roku 1894 ten święty kapłan czczony przez wielu Rosjan, zajmujących nawet wysokie stanowiska rządowe, stał się jednak przedmiotem napaści i skatowany był niemal na śmierć przez szajkę Moskali, tylko z nienawiści ku katolicyzmowi. Umarł z ran odniesionych w dniu 8 grudnia 1894 r., w opinii świętości.

Wyniesienie na ołtarze tego męża, pełnego cnót bohaterskich, jednego z największych synów Polski, stanowi dług wdzięczności, który spłacić winna Polska niepodległa; zwłaszcza, że uważał to za pewne inny mąż święty, którego beatyfikacji spodziewamy się niebawem; będzie jeszcze o tym mowa.

Podlasie i Chełmszczyzna

A teraz przenieśmy się myślą z Syberii do Polski, mianowicie do dwóch prowincji pomiędzy zachodnią a wschodnią Polską, na Podlasie i do Chełmszczyzny. Należały te krainy do Kongresówki i dlatego tylko

utrzymały się tam resztki unii. Obecnie rząd przestał respektować tę granicę i zaczął postępować wobec unitów zupełnie tak samo, jak przedtem w krajach zabranych. Właśnie w r. 1863 został Siemaszko mianowany członkiem najwyższego ("najświętszego") synodu. Biskup unicki podlaski Szymański i chełmski Kaliński, obydwaj Polacy, zostali wywiezieni w r. 1866 w głąb Rosji. Kiedy ks. biskup Kaliński zmarł w Wiatce tego samego jeszcze roku, rząd szukał na jego miejsce stosownego dla siebie odstępcy. Sprowadził z Galicji Wschodniej, z unickiej metropolii lwowskiej Rusina Kuziemskiego, unickiego katechetę gimnazjalnego. Towarzyszył mu na prawosławną apostołkę jego kolega Popoł (po polsku zwany Popielem) i grono innych, ciągle się powiększające, bo rząd carski sprowadzał ich coraz więcej, nie mogąc znaleźć odstępców na miejscu. Cóż za gorliwość schizmatycka wśród duchowieństwa galicyjskich eparchij? Jeden z nich, Bobrjański, również katecheta, zapewniał wręcz o "silnym duchu prawosławnym między naszymi".

Żyjącym na wygnaniu męczennikom poprzedniego prześladowania pogorszył się los po r. 1863. Na przykład marszałka Mężenińskiego wysłano w głąb Rosji za udział w powstaniu i jego majątek skonfiskowano; nie mógł tedy ks. Micewicz korzystać z jego gościny, lecz musiał od r. 1867 szukać sobie mieszkania. Siedział przez 19 lat w Szumsku w "pokątne", tj. nie mając osobnej izby, tylko kąp we wspólnej izbie. Bardzo mu dokuczał tamtejszy pop, a tak chciwy, że odebrał biednemu unicie nawet skórę na obuwiu i kazał z niej uszyć buty dla siebie. A wśród urzędników rosyjskich był i taki, który "policzkując, fizycznie apostołował". Jeszcze gorsze stosunki nastąpiły na Podlasiu i Chełmszczyźnie, bo tam cały lud bronił katolicyzmu i to aż do męczeństwa.

Jak poprzednim razem ks. Micewicz odślaniał nam położenie swymi pamiętnikami, podobnie do tych czasów użyć możemy pamiętników ks. Sieniewicza, proboszcza unickiego w Sworach pod Białą Podlaską, który miał sposobność patrzeć na same początki robót prawosławnych. Ciekawa jest jego notatka zaraz na początku, że ks. biskup Kaliński zmarł na wygnaniu nagłą śmiercią, po wypiciu szklanki herbaty. Widział "ingres" Kuziemskiego do katedry w Chełmie. Kanonicy powitali go w katedrze chełmskiej, po polsku; lecz kazanie wygłosił po rosyjsku ów ks. Popoł, Rusin, i już żądało się od księży, żeby kazania wygłaszali po rosyjsku. Kazano im też w pewnych ustępach mszy świętej śpiewać od ołtarza według mszału prawosławnego. Wkrótce kazali wygłaszać wszelkie nauki religijne po rosyjsku, a rugowano z cerkwi polskie śpiewy. Bractwa cerkiewne oświadczyły, że nie chcą nauk po rosyjsku, a ks. Sieniewicz pisał do władzy: "Jeżeliby ks. biskup miał sumienie mi wskazywać, jakim językiem mam mówić, musiałby powiedzieć, że polskim: tym bowiem myślę i władam, i w tym języku pobierałem wszystkie nauki. Prawda, że Ojcu św. nie zależy, jakim językiem mają mówić ludzie do jego owczarni należący, ale my sami, trwający we wierze, w której on nam przoduje, rozmawialiśmy z ludem, głosząc mu w polskim języku kazania, a lud je rozumiejąc korzył się przed majestatem Pana".

Po pewnym czasie wezwał ks. Sieniewicza gubernator siedlecki Gromeka przed siebie. Ta audyencja odbywała się burzliwie, bo gubernator zachowywał się zupełnie według cywilizacji turańskiej i o mało co nie było prostej bójki. Doprowadził do tego, że kapłan prosił, żeby go od razu zakuć w kajdany i odwieźć do Cytadeli warszawskiej. "Tam wolę tłumaczyć prostemu żołnierzowi, aniżeli tu znajdować się". Dopiero na te słowa uspokoił się rosyjski gubernator. Z rozmowy zaś długiej i pełnej połajankę warto przytoczyć następujący ustęp:

Gromeka: "Czy nie wstydzicie się, że w Galicji wszyscy księża wasi mówią w ruskim języku?"

Ks. Sieniewicz: "Tak nie jest. Familia Kurytowiczów i Sarnickich przemawiają do ludu po polsku. Galicję znam, gdyż przez Galicję powróciłem do kraju".

Gromeka: "Ja mam wypisanych w Galicji 50 księży i któryś zastąpi Was tu".

Ks. Sieniewicz: "Tak jest, bez wątpienia, ale ja nie radziłbym wchodzić z nimi w bliższe stosunki".

Aresztowany później i za dobrą protekcją wypuszczony na wolność: po drodze do Swór odprawia nabożeństwo w Makarówce, wygłasza tam naukę po polsku i to samo powtarza we własnej parafii. Przez ten czas osadzono zaś w karnym klasztorze Bazylianów jego teścia, ks. Jana Welinowicza i teściowego spowiednika, ks. Wasilewskiego. Ksiądz Welinowicz raz po nabożeństwie w cerkwi

bazylikańskiej zaintonował na stopniach ołtarza: "Pod Twoją obronę", a gdy ją skończył... padł martwy z kielichem w ręku.

Księdzu Sieniewiczowi powiodło się wraz z kilkunastu innymi przedostać się do Galicji. Był we Lwowie namiestnikiem hr. Agenor Gołuchowski, dobry katolik i prawdziwy patriota polski (o którym będzie obszerniej w następnym rozdziale). Powiernikiem i przyjacielem uchodźców unitów był spowiednik Gołuchowskiego, ks. Otto Hołyński.

Uradzono, że unickie grono kapłańskie powinno jechać do Rzymu, żeby tam Stolicę Apostolską poinformować o stosunkach. W Galicji i tak nie mieli co robić między "swoimi", tj. między ruskimi księżmi unickimi. Przebywał wówczas we Lwowie ów rządowy biskup Kuziemski, bo go sami Moskale wygnali z Chełma, gdzie tylko wstydu narobił rządowi; wołał wtedy powrócić do Lwowa, a mieszkał w pałacu arcybiskupim, "u św. Jura" przy arcybiskupie ruskim Józefie Sembratowiczu.

Jadąc do Rzymu, ks. Sieniewicz wstąpił najpierw do Krakowa. Tu sławny kaznodzieja ks. Zygmunt Golian, dał mu list polecający do ks. Kajsiewicza w Rzymie. Ułożywszy memoriał o tym, co się dzieje w diecezji chełmskiej i oddawszy go właściwej kancelarii, otrzymali audiencję u Ojca św. Piusa IX we trzech (a czwartym był ks. Kajsiewicz). Kiedy wrócili do Lwowa, otrzymał unicki ks. Starkiewicz posadę wikarego w Bełzie, ale przy kościele łańskim, a ks. Sieniewicz podobnie w Milutynie Nowym, w którym znajduje się cudowny obraz Pana Jezusa. Tam przebywał przez cztery lata, po czym wielki kapłan narodowy, a późniejszy kardynał ks. Albin Dunajewski, sprowadził go do Krakowa. Został spowiednikiem przy kościele Mariackim i był nadto pisarzem Banku Miłosierdzia (fundacji Skargi).

Bawiąc we Lwowie "próbowałem - zapisuje ks. Sieniewicz - zbliżyć się do konsystorza greckokatolickiego, by mi wolno było mszę św. odprawiać tam, gdzie by to było pod władzą proboszcza ruskiego. Odpisano mi na to grażdżanką, że oni chcą widzieć, jak ja odprawiam nabożeństwo, a gdy mnie nakłonią do form, w jakich się u nich to odbywa, wtedy dopiero zgodzą się na mą propozycję. Już więcej o nic ich nie prosiłem".

A tymczasem na Podlasiu i w Chełmszczyźnie dręczono lud w najokropniejszy sposób. W ziemie wpędzano całą wieś na lody rzeki lub stawów i przez kilka dni o głodzie nie dawano wytchnąć. Wojsko kwaterowało po wsiach całymi miesiącami. Żołnierze bili ludzi do żywego mięsa, a obok stał pop schizmatyczny z hostią lub łyżką wina z kielicha mszalnego (bo w obrządku wschodnim komunikuje się pod obiema postaciami) czekając, aż bity zacznie krzyczeć; wtedy do otwartych od krzyku ust wkładano mu hostię lub wlewano wino mszalne. Niczym więc dla tych popów takie znieważenie Najświętszego Sakramentu, skoro chodziło o politykę rządową! A kto przy takim biciu przyjął mimowolnie Sakrament od popa, zapisywali go zaraz na prawosławnego. Więc ludzie... wypluwali.

Tymczasem rząd ustanowił hierarchię schizmatyczną w całej Kongresówce, chociaż nie było innych prawosławnych, jak tylko urzędnicy i żołnierze. W Warszawie wystawili na placu Saskim olbrzymią "cerkiew soborną", tj. swoją katedrę i na początku r. 1875, dnia 25 stycznia przybył do Białej Podlaskiej arcybiskup prawosławny z Warszawy z tłumem zebranych z różnych stron popów, żeby odprawić uroczyste nabożeństwo schizmatycko-rosyjskie. Po nabożeństwie szereg popów odstępców ucałował rękę siedzącemu na tronie archiepiskopowi, uznając w ten sposób jego zwierzchnictwo. Przyszła kolej na lud, który nawet się nie ruszył. Policja przyciąga ich siłą do "carskich wrót" i wtedy odbyła się historyczna rozmowa. Archiepiskop zadaje im pytanie: "Więc czy przyjmujecie prawosławie?", a lud odpowiada chórem: "nie przyjmujemy". Chwila ciszy, po czym odzywa się schizmatyczny dostojnik takimi słowami: "Skoro nie chcecie przyjąć prawosławia, przyjmijcie te oto obrazki i krzyżyki, a może być, że one was oświecą i nawrócą". Tego tylko trzeba było władzom urzędowym. Chociaż niewielu przyjęło obrazki i krzyżyki, w oczach władz już to wystarczyło, by ogłosić światu, że unicy "dobrowolnie" przyjęli prawosławie.

Ówczesne prześladowanie unitów srogością swą przypomina czasy męczeństwa pierwszych chrześcijan. Od parafii do parafii ciągnęły hordy dzikiego kozactwa, nakłaniając lud do wydania kluczy od cerkwi, do odstępstwa od wiary. Podlasiacy wykazywali bohaterskie męstwo i nieustraszoną stałość, które drogo musieli okupić konfiskatą mienia, żywności, biciem, znęcaniem się, więzieniem, Sybirem, męczeńską śmiercią. Zdarzało się bowiem, że gdy lud otoczył cerkiew i bronił jej przed

napastnikami kozacy dawali do niego regularne salwy, trawili po nim końmi. Lud wówczas padał na kolana, śpiewając pieśni pobożne! Wybitniejszych obrońców wiary bito na śmierć nahałkami. Bardzo wielu zmarło z otrzymanych ran, lub z nędzy, głodu, zimna w więzieniach i na Sybirze. Prześladowanie przeciągało się na lata.

Postanowiono "opornych" wywozić z kraju w głąb Rosji. Znienacka, w nocy zajeżdżały furmanki, a policja kazała zabierać się w tej chwili, nawet nie dając się pożegnać z rodziną. "A w drodze, gdzie był krzyż święty, to nie dali się przed krzyżem schylić, a jak się schylisz, to biją po głowie. A jak nas do turmy przywieźli, to jeszcze nas rewidowali i poobdzierali z nas szkaplerze i książeczki, i tylko w jednym odzieniu nas do maszyny (na kolej) gnali. A ludu były tysiące w Białej i płakali nad nami".

Okutych w kajdany wożono z więzienia do więzienia, z Białej do Smoleńska, stamtąd do Moskwy, do Niżnego Nowogrodu, skąd statkiem Wołgą do Kazania i Permu lub przez Riazan, Orenburg i przez Góry Uralskie do Czelabińska, wiele mil pieszo, aż dotarli do miejsc, w których im wyznaczono nowe siedziby. W Orenburgu był jedyny na cały tamtejszy kraj kościół katolicki, ale najbliższych zesłańców umieszczano dwieście kilometrów od tego miasta; a porozrzucano ich umyślnie po wsiach, posiadających cerkwie schizmatyckie i ze wsi wychodzić zakazano. Jedna taka grupa miała aż 370 kilometrów do kościoła.

Zesłańcy nie chcieli przyjmować nowych siedzib. Często, gdy ich gwałtem chciano tam dowieść, pokładali się na ziemię, a "naród się schodził i zjeżdżał na dziwy, co z nami będzie". Więc protokoły i raporty, a oni siedzą cały tydzień na polu. "Więc stanowy (starszy z policji) kazał nas powiązać wszystkich, baby i mężczyzn za ręce i nogi, i do drabi z wierzchu przywiązać i tak nas zawieźli do tych domów i tam rozwiązali i napisali na tabliczkach, czyja izba. Wreszcie mówili, że kto z nas pierwszy pójdzie, to sobie lepszą izbę wybierze, ale my wszyscy leżymy na ziemi pokrwawieni i nikt się nie odzywa. Kiedy odjechał od nas, wtedyśmy powstawali i idziemy w pole. Uszliśmy z pięć stań, kiedy stanowy posyła urzadników do nas i pyta, gdzie idziemy? A my odpowiadamy: gdzie oczy poniosą!"

I znowu pilnują ich przez dwa tygodnie; zerwali most, żeby nie mogli ująć za rzekę, a dla pewności na nowo ich powiązali, aż w końcu "rozbili nas po całym świecie osobno".

Prześladowanie takie trwało 20 lat i wywieziono około 20 tysięcy unitów.

Dochował się szczęśliwie szereg listów od tych ofiar, przemycanych "pocztą pantoflową" przez dobrych ludzi aż do Krakowa i Poznania, w których utworzyły się komitety opiekuńcze. Ciekawe są prośby, jakie zanoszą w tych listach. Proszą więc "choć o pięć różańców i parę katechizmówek". Z wdzięcznością potwierdzają odbiór książek "O naśladowaniu Chrystusa" i "Droga do zbawienia", a proszą o "Zbiór nabożeństwa św. Franciszka trzeciego zakonu". Dużo im trzeba obrazków i szkaplerzy. Inny prosił o "parę książek, a chciałbym śpiewnika krakowskiego i kancjonał i kilka różańców, a nawet parę obrazków".

Ciekawa ta wzmianka o śpiewniku krakowskim. Znaczyło to, żeby był w Krakowie drukowany, żeby mieli pewność, że będzie dobry, katolicki na wskroś. Były bowiem druki niby katolickie, ale przemycające zrence schizmę, drukowane staraniem władzy rosyjskiej. Były zatem mszały dla księży drukowane w Moskwie, podobnie dla ludu rozmaite druki podejrzanej natury. Co krakowskie, to przynajmniej pewne - tak sobie powiedzieli.

Zaufanie do Krakowa i miłość do prastarej stolicy królestwa polskiego miały źródło w innych jeszcze sprawach: pomocą i ostoją w czasach prześladowań byli unitom kapłani polscy łacińskiego obrządku, którzy przeprowadzili całą organizację w tym celu. Jeździli pomiędzy prześladowany lud pozbawiony własnych pasterzy; z narażeniem życia sprawowali nocami po lasach funkcje kapłańskie, chrzcili dzieci, spowiadali, nauczali, pocieszali. A żeby brać śluby małżeńskie, przekradali się unicy często przez kordon austriacki do łacińskich polskich kapłanów w Galicji, czasem docierali aż do Krakowa; nazywano to też "ślubami krakowskimi".

Groziła za nie najcięższa kara, zesłanie na Sybir i przymusowe rozłączenie małżonków; lud jednakże wierny Bogu i Kościołowi nie dbał o to. W pomocnej organizacji polskiego duchowieństwa

nieszczęsnemu ludowi odznaczali się najbardziej Wielkopolanin, ks. prałat Chotkowski, profesor teologii w Krakowie, tudzież ks. Jan Urban, jezuita krakowski, uczony teolog i gorący misjonarz. Unii na Podlasiu i w Chełmszczyźnie bronili więc sami tylko Polacy, nie unicy, lecz łaćinnicy. Unicy zaś ruscy z Galicji dostarczali właśnie zbirów i katów przeciw temu ludowi.

Stwierdzić należy, że chociaż obrządku greckokatolickiego był to jednak lud polski. Mamy dowody polskości w ich listach. Jeden np. pisze do dawnych sąsiadów. □Wy bracia kochani, żadnej biedy nie znacie, bo w Polsce żadnej biedy nie ma, ale między nami bieda". Drugi pisze: "o bracia i siostry zostający w Polsce!" Trzeci składa życzenia: "i polecamy was Sercu Jezusowemu, co daj Boże widzieć się z wami na rodzinnej ziemi polskiej". Innym razem czytamy: "Oto my nieszczęśliwe wygnańce z kraju polskiego", a jeden z nich kończy list do pewnego zakonnika polskiego takimi słowami: "Przepraszam Ojca, że zadaję Ojcu na głowę kłopoty, i całuję Ojcu ręce, jako syn i rodak Polski". Zresztą wszystkie te listy pisane są po polsku, a przysyłali też długie opisy wierszowane, także w języku polskim.

A zatem można być niekoniecznie obrządku łaćnińskiego, lecz również unickiego z liturgią w języku starosłowiańskim, a jednak być Polakiem! Tak bywa dotychczas i tak bywało też dawniej. Przodkowie ich przyjmowali chrzest bizantyński i potem wraz z Bizancjum popadli w schizmę. Lachowie wracali następnie do polskiej Korony, ale jako prawosławni i dopiero później nawracali się na katolicyzm, ale pozostawali przy obrządku cerkiewnym. Tym tłumaczy się istnienie Polaków unijatów. Tym też się tłumaczy odmienność charakteru. Ludność ruska nie broniła katolickiej wiary aż do męczeństwa! Sami tylko Polacy w obronie wiary stawiali pierś rosyjskim strzałom.

Najwięcej takich strzałów padło we wsi Pratulinie. Trzynastu unitów oddało tam życie w r. 1874 za wiarę świętą. Obecnie właśnie toczy się ich proces beatyfikacyjny. Lecz w innych wsiach Podlasia i Chełmszczyzny przeszło stu takich samych męczenników przypieczętowało krwią własną wierność wierze świętej. Wiedzą o tym władze kościelne i u nas i w Rzymie. Na wiosnę 1939 r. postanowiono też przystąpić do wstępnej akcji beatyfikacyjnej w Drełowie, gdzie padło również dziesięciu męczenników. W roku 1887 doszło do najokrutniejszych gwałtów w Przegalinie i w Rudnie; zaburzenia wybuchły także w Łomarach i w Polubiczach, a nigdzie nie brakło ofiar. Odbływały się wszelako rosyjskie misje z kazaniami i nahajkami także jeszcze w krainach znanych z poprzedniego (1839) prześladowania, bo i tam trwali "oporni".

Godną szczególnej pamięci jest też wieś Niedźwiedzica w powiecie słuckim w guberni mińskiej (a więc na Białej Rusi), o kilka kilometrów od stacji Lachowicze na poleskiej kolei żelaznej, przy szosie wiodącej z Brześcia do Moskwy. Parafia obejmuje kilkanaście wsi, zaludnionych osadnikami z Mazowsza jeszcze z czasów króla Jana Olbrachta; o polskim pochodzeniu świadczą takie nazwy wsi: jak Lachowicze, Mazurki itp. Dzieje męczeństwa tej parafii zaczynają się w r. 1866. Dookoła kasowano szereg parafii katolickich, kościoły zamieniano na cerkwie, a księży wywożono. Niedźwiedzice zachowano sobie na koniec. Najpierw postarano się o zmianę wójta, potem przysłano komisję rządową do nawracania. Ci rozkazali, żeby ludność wybrała dwóch delegatów, którzy by się porozumiewali z komisją. Zachętą, żeby przejść na prawosławie, odparli delegaci w imieniu całej wsi; "Myśmy się naradzili tak: ciało nasze możecie wziąć, ale duszy swej w wasze łapy nie damy". Zaczęło się prześladowanie, nakładanie ciężarów na gminę, ciągłe odwiedziny żandarmów i rozmaite podstępny. Na przykład objeżdżano wioskę i spisywano ludzi pod pozorem, że to rewizja spisu ludności; potem wezwano z kilku wsi starostów (sołtysów), ale takich tylko, którzy byli niepiśmienni i kazano im potwierdzić owe spisy przyłożeniem pieczęci. Mniemany spis był jednak prośbą o przyjęcie na prawosławie. To już wystarczyło i Niedźwiedzica była uznana za prawosławną; proboszcza ks. Łazarewicza wywieziono, a sąsiednią parafię zawiadomiono, że pod ciężką odpowiedzialnością nie wolno Niedźwiedziczom przyjmować do kościołów i sakramentów.

Prześladowanie się wzmacnia, bo Niedźwiedzica ani myśli o prawosławiu. Jednego z owych delegatów, Kolaśnickiego dostawiono gwałtem do popa w dalszej okolicy w Cimkowiczach, na kurs nawrócenia. Kurs trwał 7 dni, a odbywał się w zamkniętej piwnicy o głodzie. Z trzech innych wsi dawnej parafii niedźwiedzickiej - z Horodyszczka, z Kuleniemów i z Jurzdyki wybrano 50 osób i wywieziono do Potapowicz do urzędu gminnego, gdzie zamkniętych w chlewie strzegł liczny zastęp policji i kozaków. Po dwóch dniach daremnych namów użyto nahajek, bijąc więźniów przez 5 dni. Gdy i tak nie zgodzali

się na prawosławie, zagnano ich przed cerkiew prawosławną w pobliskim Podlesiu, popychając, tłukąc w plecy pięściami i waląc nahajkami. Lecz za nic nie chcieli wejść do cerkwi. Szewc Józef Anikej bity nahajkami upadł na ziemię, wówczas chwycono go za nogi i w ten sposób wciągnięto do cerkwi. Od strasznego bicia zdarto skórę Piotrowi Andruszewiczowi.

Ostatecznie wtłoczono wszystkich do cerkwi. Odbłyły się modlitwy i ceremonia przyjmowania na łono prawosławia. Ludzie wyrwali się płacząc i łkając, ale dwóch żołnierzy brało kolejno każdego pod rękę i przytrzymywało, podczas gdy trzeci ciągnął w tył za włosy. Po odbyciu tej misji uznano ich wszystkich, jako rzeczywistych prawosławnych i odprawiono do domu. Nieszczęśliwi postanowili jednomyślnie nie poddawać się gwałtowi i bronić się wedle możliwości.

Niebawem przysłano do Niedźwiedzicy całą setkę kozaków, którzy w dwa tygodnie wygłodzili całą wieś, a jakich nadużyć dopuszczali się w każdej chacie, trudno opisać. W takich warunkach zdołał jednak Kolasiński wyrwać się i uciec, a korzystając z przyjaźni dobrych ludzi po drodze, dotarł aż do Wilna do generała-gubernatora; Kozaków wycofano wprawdzie, ale wkrótce uwięziono na nowo Kolasińskiego z trzema braćmi i dwoma przyjaciółmi. W więzieniu w Słucku przebyli cały rok, trzymeni w jednej celi w osiem osób (bo żona jednego z więźniów towarzyszyła mu dobrowolnie z dzieckiem); spędzali czas na wspólnej modlitwie, i na śpiewaniu pieśni nabożnych. Na wszystkie namowy i groźby odpowiadali zawsze jednakowo: "Naznaczcie nam roboty, jakie chcecie, ale zostawcie swobodę modlenia się, jak chcemy" Zmarł tam wycieńczony Stefan Kolasiński. Nie dopuszczono księdza na pogrzeb, a rodzonemu ojcu pozwolono ledwie stanąć nad grobem i krótko się pomodlić; przyprowadzono go pod silną strażą, także z więzienia i zaraz po modlitwie na powrót do więzienia odstawiono. Znowu nowi żandarmi i popi najeżdżają Niedźwiedzicę i próbują po swojemu "nawracać", ale ówczesny starosta Karol Andosewicz odpowiada wciąż za wszystkich: "Ciało wasze ale dusza moja". Jednego z gospodarzy, Pawła Kiełbasę obito wtenczas różgami do krwi.

Nie dali się, ale co za życie mieli! Do chrztów i ślubów udawano się zrazu do Nieświeża, do klasztoru Benedyktynek, dopóki istniał. Tam nie prowadzono księz parafialnych i kapelan po odebraniu przysięgi, że zdradzony nie będzie, udzielał sakramentu, lecz metryk nie wydawał. Toteż policja pospieszyła rozpędzać nowo zaślubione pary, dopytując się o to, kto ślub dawał i gdzie metryka ślubna. Odpowiadano: "Połączyli nas rodzice nasi". Dzieci nie chrzczono po dziesięć lat, a metryk prawnych nikt z młodszych nie posiadał. Do wojska więc brano wszystkich, nawet jedynaków. W wojsku chrzczono gwałtem na prawosławie, wciągano przemoc do cerkwi dla złożenia przysięgi. Do spowiedzi nie chodzono po kilka i kilkanaście lat. Groziło to zbyt wielkim niebezpieczeństwem. Za pogrzeby bez obecności popa wzywano do sądów, kazano płacić kary. Grzebać trzeba było tajnie.

Tak upłynęło dwadzieścia lat. Jedną pocięchą było, gdy ktoś przedostał się ukradkiem do kościoła łacińskiego, aż w sierpniu 1886 r. kazano ten kościół zamknąć. Władza miała z tym wiele kłopotu. Kiedy organista zamknąwszy kościół wyszedł na cmentarz, otoczyły go kobiety, obaliły na ziemię, i odebrały klucze. Czuwano przy kościele przez całą noc i dzień następny; podzielono się na kolejki, bo nadciągnęła też ludność z sąsiednich wsi. Na próżno zjeżdżały rozmaite komisje, na próżno bito, krzywdzono, lżono, a czasem proszono; ludność wołała głośno, że kościół nie odda: "Nigdy i za nic, raczej umrzemy". A pozostała w kościele jedna Hostia. Ksiądz rządowy zamierzał ją spożyć i prosił, żeby go wpuścić do kościoła, przedstawiając ludowi, że Hostia może ulec zepsuciu. Nic nie pomogło! Klucze przepadły. Trzeba by gwałtem wdrzeć się do kościoła (żeby go przerobić na prawosławny), ale tłum kilkutyśięczny zagradzał drogę: "Stał przed kościołem milczący, ale gotowy na wszystko, niezłomny w swej woli; drzemiąca potęga, którą każdy niebacznym aktem gwałtu mógł pobudzić do czynów nieobliczalnych". Dalsze aresztowania nie zdały się również na nic. Ileż o te klucze było jeszcze gwałtu! Wszystko na nic. I tak trwało to przez całych lat 19. Tajemnica kluczy nie dała się rozwiązać, żadne śledztwa policyjne nic nie wskórały.

Takie było życie w zaborze rosyjskim. Rząd zapędzał się coraz dalej i nie krył się w ogóle z tym, że prowadzi z całą świadomością celową walkę z całym Kościołem katolickim, już nawet bez względu na obrządek. Kiedy w r. 1884 uskarżał się metropolita mohylewski ks. Gintowt, oświadczył mu rosyjski minister, iż rzeczywisty zarząd diecezji katolickiej należy do władz świeckich, a biskupi mogą tylko kontrolować wyłącznie życie ściśle religijne.

Nie doczekali się więc niczego lepszego dwaj męczennicy z poprzedniego pokolenia unitów, chociaż im Bóg dozwolił długo żyć. Ksiądz Andruszkiewicz mieszkał przez 42 lata w Zasławiu, ukryty przed światem, a wpatrzony w zaświaty. Wszystkie wspomnienia o nim świadczą, że zmarł "śmiercią świętych". Dokończył pielgrzymki ziemskiej w r. 1884, w tym samym czasie, kiedy ministerstwo petersburskie oświadczyło urzędowo, że chce Kościołem samo rządzić. Ksiądz Sołtanowicz, osiadły w Niżynie, przeżył go jeszcze o pięć lat.

Ale roku 1900 stało się coś dziwnego, co poruszyło wszystkich, którzy się o tym mogli dowiedzieć. A gruchnęła wieść wszechpotężnie i szła daleko. Oto w Niedźwiedzicy pewnego wieczora w r. 1900 odezwały się niespodzianie dzwony. Ale jak, i dlaczego, to już opowiemy w rozdziale przedostatnim.

Siła a prawo

Ostatnie rozdziały nasuwały nieraz bolesne rozpamiętywania, jak bezprawie, silniejsze od słuszności, przygniatać może całe pokolenia. Albowiem mieć po swojej stronie słuszność znaczy tyle tylko, co posiadać zdrowe ziarno; ażeby zaś słuszności towarzyszyło powodzenie, trzeba jeszcze wielu przymiotów, które by z ziarna zrobiły chleb. Lecz czemuż dobrzy nie mają być silniejsi od złych? Trzeba więc, by sprawiedliwość posiadała odpowiednią siłę. Mieliśmy zaś nieraz sposobność w tej książce stwierdzić, jak Polska dbała o moralność w polityce i wybijała się pośród narodów. Siłami swymi wzmacniała siłę katolicyzmu i cywilizacji łacińskiej. Dając prawu pierwszeństwo przed siłą, uważała Polska tym bardziej za obowiązek, żeby sił własnych nabyć jak najwięcej, żeby móc oddać siłę na obronę prawa. Potem przestaliśmy niestety o tę siłę dbać, staliśmy się narodem słabym i państwem bez znaczenia. W końcu przestaliśmy nawet być państwem, a naszym prawom narodowym urągała obca siła. Doczekaliśmy się tego, że Bismarck, wszechwładny minister pruski, oświadczył w parlamencie berlińskim głośno, publicznie, bez ogródek, nie krępując się żadnym wstydem, że on nie dba o niczyje prawa, bo u niego siła przed prawem stoi (Kraft vor Recht). Te trzy wyrazy stały się odtąd przysłowiowe w całej Europie.

Rozdział niniejszy obejmuje czasy zwane "erą Bismarcka". Deptał wszystko, co mu stanęło na drodze, a jednak trafił na coś, czego zgnieść nie zdołał, co okazało się silniejsze od niego. Ten fakt wzbudził zdumienie u współczesnych, a nam posłużył za naukę, na jakim mamy się opierać fundamencie. W erze Bismarcka chodziło o to, czy nasze moralne odradzanie się wytrzyma napór siły przeciwnej, czy nie damy się złamać. Wejdźmy więc pomiędzy zdarzenia i czyny owego pokolenia.

Zaraz po wybuchu powstania styczniowego powziął Bismarck postanowienie, żeby biskupstwa na ziemiach polskich obsadzać Niemcami. Zdarzyło się, że w tym samym właśnie r. 1863 wakowała stolica arcybiskupia gnieźnieńska. Kandydatem rządowym był biskup moguncki Ketteler. O ile by chodziło o zalety osobiste, nikt nie mógł być godniejszy; ks. Ketteler zasłynął następnie jako twórca chrześcijańskiego ruchu społecznego, stał się filarem Kościoła i cywilizacji łacińskiej; o wartości zaś jego charakteru świadczy wymownie fakt, że obecnie toczy się jego proces beatyfikacyjny. Ale właśnie dlatego, że stał moralnie tak wysoko, odmówił, bo jego zdaniem, w Gnieźnie, stolicy św. Wojciecha, powinien zasiadać Polak. Wtedy papież Pius IX okazał się szczególnym znawcą ludzi i zaproponował Ledóchowskiego, nuncjusza w Brukseli. Ten wcale się nie rwał do Poznania, ale gdy mu papież kazał, poddał się woli Stolicy Apostolskiej. Bismarck zaś zgodził się na niego mniemając, że ten kandydat, Polski niemal nie znający, przy tym stanowczy przeciwnik powstania, jest Polakiem tylko z rodu, ale nie z serca. Tylko na Ledóchowskiego przystawał Bismarck; inaczej Niemiec! Dwa lata ciągnęły się układy, bo ostrzegały Bismarcka pruskie urzędy z Poznania, czy się nie myli co do kandydata. Zaś obie kapituły, gnieźnieńska i poznańska, nie chciały Ledóchowskiego w obawie, że nie będzie miał dość polskiego ducha. Trzeba było na kanoników wywierać nacisk z Rzymu, zanim ostatecznie w r. 1865 ks. Ledóchowski został naszym prymasem.

Bismarckowi pilno już było, żeby tę sprawę zakończyć, bo zajęty był przygotowaniem do wojny z Austrią. Chodziło o to, żeby Prusom zapewnić przodownictwo w Rzeszy Niemieckiej, żeby protestanckich Hohenzollernów wynieść ponad katolickich Habsburgów. Odkąd w r. 1863 (z racji powstania polskiego) miał zawarty z Rosją ścisły traktat, będąc pewny rosyjskiej życzliwości dla Prus, mógł uderzyć śmiało. W roku 1866 zgniół Austrię w walnej bitwie pod Sadową i potem wyrzucił ją

całkiem ze związku Rzeszy. Cesarz austriacki (od r. 1848) Franciszek Józef spieszył się z zawarciem pokoju, bo poddani jego okazali się niepewni. Nauka nie poszła w las; w Wiedniu uznano wreszcie, że trzeba zmienić metodę rządów wobec ludów podległych berłu habsburskiemu, że lepiej może będzie uznać prawa narodowe, a siłę państwa oprzeć na prawie.

Nastąpiły skutkiem tego wielkie zmiany, dla nas korzystne, bo od r. 1867 Austria stała się nareszcie państwem naprawdę konstytucyjnym, a przy tym Habsburgowie zaczęli się starać o pozyskanie sympatii narodu polskiego. Znalazł się wówczas we Lwowie polityk na wielką miarę, hr. Agenor Gołuchowski. Był to drugi Wielopolski. Jak tamten w Petersburgu, tak ten w Wiedniu umiał zbierać zdobycze dla polskiego rozwoju narodowego; w tym jeszcze szczęśliwszy od tamtego, że w Galicji nikt nie urządził spisku przeciwko jego planom. Gołuchowski, zostawszy namiestnikiem w Galicji, wprowadził język polski jako urzędowy do szkół, sądów i urzędów; cała chmara niemieckich urzędników musiała opuścić polską ziemię. Przywrócono polskość uniwersytetom w Krakowie i we Lwowie, a w r. 1873 powstała w Krakowie polska Akademia Umiejętności. Rząd uznał samorząd miejski i wiejski, który rozszerzano coraz bardziej. Od nauczyciela wiejskiego aż do namiestnika urzędowali sami tylko Polacy, pracujący gorliwie dla przyszłej Polski. Hasłem ich było, żeby podnieść kraj pod każdym względem. Bardzo zwracano uwagę na oświatę ludową. Okazało się, że polskość, to nie tylko sama szlachetczyzna, co zresztą sama szlachta rozumiała doskonale. A gdy w narodzie przybywało światła, byliśmy już na dobrej drodze. Rządziliśmy się w Galicji zupełnie sami, otrzymawszy autonomię. Niemieckiego urzędnika nigdzie ani na lekarstwo! Odczuliśmy ambicję narodową w tym, żeby pokazać, co potrafimy sami, o własnych siłach. Galicja stała się ostoją sprawy narodowej dla całej Polski i była nią do ostatniej chwili.

Nie doczekał tych lepszych czasów ks. Błaszyński w Sidzinie, porwany nagłą śmiercią rok przed nadaniem konstytucji i swobód narodowych (r. 1866). Zupełnie inny typ świętobliwości, uciekającej od świata, widziano w latach, 1869-1872 na Bielanych pod Krakowem. Możny pan, Wiktor Ożarowski, urodzony w r. 1799 we wschodniej Małopolsce całe życie był pokutnikiem. Przyjąwszy w Rzymie święcenia kapłańskie, przeszedł w Polsce przez cztery zakony: Marianów, Jezuitów, Kapucynów, Misjonarzy, aż wreszcie w 70 roku życia wstąpił do Kamedułów, przyjmując imię Damiana. Podobno nikt tak się nie zdołał zapamiętywać w modlitwie, jak on. Sławny O. Prokop Leszczyński, Kapucyn, powiedział o nim, że to była "dusza najświętsza, jaką w życiu swym spotkał". Pochowany został w grobach zakonnych na Bielanych, ukrytych przed światem podobnie, jak cały jego żywot. Nie za swoje pokutował on winy, lecz chciał uczynić Bogu zadość za winy swych przodków; ci zaś byli winowajcami nie prywatnego życia, lecz Ojczyzny. Magnacki był to ród, hetmański, który nie zawsze wnosił w życie publiczne cnotę obywatelską.

Gzy ksiądz Ożarowski, czy ks. Błaszyński, czy ks. Kajsiewicz, wszyscy zmierzali do jednego celu, ofiarując swe życie na chwałę Boską i pożytek Ojczyzny. Każdy z nich działał inną metodą. Może tym szybciej dokonało się religijne odrodzenie narodu, ponieważ pracowano nad nim wszelkimi metodami, każdy według swych zdolności i możliwości. Weźmy pod uwagę czwarty jeszcze typ z owych lat - Bojanowskiego, założyciela pierwszych ochronek. Czy będziemy działalność jego uważali za niższą, mniej zbożną? Niestety, wśród jego "Służebniczek" nastąpiło po r. 1863 rozbitcie i trzeba było je na nowo organizować.

W świętobliwości związanej z życiem publicznym przybył nam wielki, nowy pracownik, bardzo wybitny. Działał podobnie, jak Bojanowski, w zaborze pruskim. W roku 1869 wystąpił na publiczną widownię zacny, wielce rozumny i świętobliwy ks. Radziejewski. Dopomagał staraniami i funduszami, by na Górnym Śląsku założyć pismo polskie i tak powstał "Katolik", wydawany najpierw w Królewskiej Hucie, następnie w Mikołowie, potem w Bytomiu. Redaktorzy "Katolika" odsiadywali często wyroki w pruskim więzieniu i ks. Radziejewski również. Włożył on w to polskie pismo cały swój osobisty mająteczek. Dzielną pomocnicą stała mu się siostra, Ludwika Radziejewska, która do końca swoich dni na tym posterunku narodowym wytrawszy, o niczym innym nigdy nie myślała, niczym innym nigdy nie była zajęta, jak pilnowaniem ładu i porządku w bytomskim "Katoliku", aż wydawnictwo to stało się zamożne. Ona zaś sama pozostała zawsze uboga. Była gorliwą katoliczką, bogobożną i przejętą zapalem religijnym; wielka dusza w pełnym tego słowa znaczeniu. A tak skromna, usuwająca się w cień, i nie pragnąca, by się o niej mówiło, iż kto bliżej spraw nie znał, mógł nawet nie wiedzieć o jej istnieniu. Ksiądz brata przeniesiono na piaski brandenburskie, a w r. 1886 skazano go na całoroczne

więzienie. Siostra wtedy jakby się zdwoiła duchem. Działała w administracji, w redakcji, w korespondencji, w buchalterii i w ogóle zarządzała wszystkim, a przy tym pozyskiwała do roboty narodowej inne panie i zakładała nowe towarzystwa, pilnując, żeby dawne nie upadały. "Katolik" stał się kierownikiem ruchu religijnego, narodowego i społecznego. Bez poświęceń i ofiar rodzeństwa Radziejewskich nie bylibyśmy odzyskali Górnego Śląska. Oboje pobożni i wciąż doskonalący się, wiedli żywot prawdziwie świątobliwy i w tej książce należy się im miejsce.

Tymczasem nastąpił dalszy triumf Bismarcka, tym razem nad Francją. Tam po upadku Napoleona przywrócono królestwo, ale trwało ono tylko do r. 1848. Wtedy nastąpiła powtórnie republika. Prezydentem wybrano jednak Ludwika Napoleona, który był synowcem Napoleona I, owego "bożka wojny". I stryj, i synowiec zaczęli od republikanizmu! W roku 1852 synowiec zrobił się także cesarzem, jako Napoleon III. Spędziwszy na tronie lat 18, stał się we wrześniu 1871 r. jeńcem pruskim po klęsce pod Sedanem. Bismarck pewny nadal życzliwości Rosji, zgniótłszy Habsburgów, zabrał się do Francji i rozgromił ją. Niemcy zabrały wtenczas Alzację i Lotaryngię, a król pruski ogłosił się cesarzem niemieckim. We Francji zaś przywrócono po raz trzeci republikę.

Po wojnie francuskiej r. 1871 zrywa się w Prusach istny huragan prześladowania polskość. Pospiesznie usuwano ostatnie resztki polszczyzny ze szkół i z niższych urzędów. Równocześnie zaczął się osławiony "Kulturkampf" Bismarcka. Była to otwarta wojna z Kościołem katolickim, z ostrzem zwróconym szczególnie przeciw prowincjom polskim. Rządowcy wołali, że kultura możliwa jest tylko w protestantyzmie. Chciał więc rząd zaszczyć Kościołowi katolickiemu jak najwięcej z tej protestanckiej kultury, tj. żeby księża byli sługami państwowymi we wszystkim co rząd rozkaże, nie oglądając się Ina swych zwierzchników. W duchu pojęć protestanckich parafia stanowiłaby jeden urząd państwowy więcej. Wołano na wszystkie strony, że katolicyzm jest sprzeczny z postępem, z kulturą w ogóle, że zwalczając Kościół podejmują "walkę o kulturę". Nazwa ta została w historii, ale jako szydercza, na oznaczenie walk podejmowanych przez państwo z Kościołem. Wydano szereg ustaw, narzucających duchowieństwu rozmaite przepisy sprzeczne z prawem kanonicznym. Poddano je pod dozór policyjny, a zwłaszcza kazania. Bismarck używał gwałtu, osadzał kapłanów w więzieniach, odbierał probostwa i próbował obsadzać je według własnego uznania, zupełnie jak urzędy państwowe. Wszakże na 800 kapłanów archidiecezji gnieźnieńsko-poznańskiej znalazło się zaledwie czterech posłusznych rządowi. Zamknął więc rząd pensje całemu polskiemu duchowieństwu, pozamykał parafie - i nic nie wskórał. Lud trzymał się dzielnie, tak dalece, iż wołał, iżby trupy leżały choćby i tydzień nie grzebane, niż ugiać się. Szukał rząd "swoich" kandydatów na parafie, lecz ich nie znalazł. Władza duchowna po cichu poprzerosiła proboszczów na inne plebanie. Każdy wieśniak wiedział doskonale, kto jest jego proboszczem i gdzie go szukać i nigdy się nie zdarzyło, żeby ktoś zdradził. Starsze dzieci były gońcami, nosiły tajną pocztę itp. i ani razu żadne z nich nie wygadało się. A kiedy w r. 1874 uwięziono arcybiskupa Ledóchowskiego, nie stanęło mimo to ani jedno kółko w administracji kościelnej, bo już przedtem wszystko było umówione. Arcypasterz przebył dwa lata w więzieniu wojennym w Ostrowie, a pozbawiony przez rząd swej godności, zyskał wyższą. Wyjechał do Rzymu, i w marcu 1875 r. Ojciec św. mianował go kardynałem.

Kulturkampf z największą zaciekleścią zwracał się przeciw zakonowi, niektóre klasztory wielkopolskie przeniosły się wtedy do Galicji. Między innymi postąpił tak klasztor Karmelitanek w Poznaniu, o czym wspominały osobno, ponieważ posiadał zakonnicę o wielkiej świątobliwości. Maria z Grocholskich Witoldowa Czartoryska, urodzona w r. 1833, wdowa, wstąpiła do poznańskich Karmelitanek w r. 1873, przybierając imię Marii Ksawery od Jezusa. Wygnane przez Kulturkampf zakonnice osiadły potem w Krakowie, gdzie na końcu ulicy Łobzowskiej urządziły sobie nowy klasztor. Tam Maria Ksawera była mistrzynią nowicjatu, następnie przełożoną klasztoru. Wygłaszała znamienne zasadę: "Trzeba się uśmiechać, by wywołać uśmiech Boży". Uchodziła już za życia za świętą, a wielkie zalety jej serca i umysłu jaśniały tym widoczniej, gdy spadło na nią kalectwo, które zносиła z prawdziwie chrześcijańskim heroizmem.

Fatalnie skrupił się ucisk katolicyzmu na Służebniczkach; urzędy pruskie zawzięły się, żeby je wytepić. Z powodu tej nadmiernej dokuczliwości nastąpił u nich okres rozproszenia, groźny dla zgromadzenia jeszcze nie ustalonego, nie związanego jednolitą regułą, dla zrzeszenia religijnego dopiero tworzącego się, które nie uzyskało nawet jeszcze urzędowego zatwierdzenia przez Kościół. Według wszelkich

ludzkich obliczeń i względów mogło się zdawać że sprawa Służebniczek przepadła. Nie patrzył na ten przykry stan rzeczy świętobliwy Bojanowski, gdyż przeniósł się do lepszego żywota w r. 1871.

W następnym roku ubyła Kościołowi polskiemu i sprawie polskiej wielka postać ks. Kajsiewicza. Ostatnie lata życia spędził w ciągłych podróżach. Stany Zjednoczone, Kanada, Gdańsk i Paryż stawały się dla niego kolejno wielkimi pracowniami. W rzymskim nowicjacie studiowali wówczas teologię Kalinka, Zbyszewski i Smolikowski, którzy mieli niebawem rozstawić zakon i nadać mu nadzwyczajną powagę. W Rzymie też zastała śmierć ks. Kajsiewicza. Wygłosiwszy dnia 26 lutego 1872 r. wspaniałą naukę "O szczęśliwej śmierci", sam jej zaznał w kilka godzin tego samego dnia, tknięty na ulicy paraliżem, który szybko przeciął mu życie.

Tego samego roku poczyna się wysoki szczebel mistyki w świętobliwości Wandy Malczewskiej - jakby Opatrzność chciała wynagrodzić Polsce na drugiej szali to, co jej na tamtej szali ubyło. Wanda przeniosła się w r. 1870 z krewnymi do Żytna, gdzie znalazła w proboszczu, ks. Tomaszu Olkowiczu, długoletniego, doskonałego przewodnika duchowego. Zorganizowała tam rozległą działalność religijną, dobroczynną i oświatową. Stosunki z ludem wiejskim pociągały za sobą nieraz nieprzyjemności, a nawet przykre doświadczenia; ona zaś stawała się coraz wyrozumialsza i cierplivsza. Od roku 1872 poczęła doznawać szczególnych łask Bożych; dar wyższej kontemplacji mistycznej, dar zachwycenia, a nawet prorocstwa. "W zachwycie widziała Malczewska całą mękę Pana Jezusa i to w obecności wielu osób, a nieraz i policji rosyjskiej, która słysząc o nadzwyczajnych rzeczach, przychodziła do dworu i pilnie pannę Wandę śledziła". Takie to tam byty czasy! Pozostało też po niej wiele prorocत्व dotyczących Kościoła i Polski.

Przepowiedziała odzyskanie niepodległości (każdy Polak święcie w to wierzył). Innym razem ostrzegala ją Najświętsza Panna w widzeniu, że chociaż wolni już będziemy od wrogów zewnętrznych, gnębieni będziemy przez wewnętrznych, którzy rozpoczną walkę z katolicyzmem, a zaczną od szerzenia bezbożnictwa w szkołach, że będą usuwać krzyże ze ścian szkolnych i utrudniać naukę religii. "Jeżeli naród uwierzy temu i pozbędzie się wiary, straci przywróconą Ojczyznę... Nauka bez wiary nie zrodzi świętych, ani bohaterów narodowych. Zrodzi szkodników. Módl się o chrześcijańską szkołę". W dniu Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w r. 1873 objawiła jej Matka Boska, że dzień ten stanie się świętem narodowym, bo "w tym dniu odniesiecie świetne zwycięstwo nad wrogiem". Spełniło się to 15 sierpnia 1920 r. pod Radzyminem.

Jak widzimy, cała era Kulturkampf i cała era bismarckowska, era siły przed prawem wypełnione były w Polsce wzrastającą coraz bardziej świętobliwością. Przeciwko sile fizycznej nabieraliśmy sił duchowych, moralnych. Cały naród mógł wołać do wroga za Podlasiakami: "Ciało masz, lecz duszy nie weźmiesz!". Wzmoczona zaś dusza wyda z siebie z czasem inne przymioty, potrzebne do skutecznej obrony ciała. Albowiem z fizycznej siły - duchowa nigdy się nie zrodzi, lecz z duchowej mogą wyrosnąć także fizyczne, żeby prawu dodać siły.

W tych właśnie latach zaczyna się przejawiać wielka twórczość religijna, co okazało się w nowej serii zakonów polskich. Pierwsze hasło wyszło od Marii Siedliskiej, o której była już mowa. Zwierzywszy się spowiednikowi swemu, O. Leandrowi zakonu kapucyńskiego, że myślała coraz częściej o habicie zakonnicy, chociaż okoliczności życia zaliczyły ją do wielkiego, bogatego świata uciech. Ten kapucyn był jej pierwszym nauczycielem religii i został potem jej kierownikiem sumienia.

Równoległe ze wzmocnionym życiem wewnętrznym, religijnym wznosił się też w młodej Marii Siedliskiej patriotyzm. Ważnym momentem stał się pobyt w Krakowie. Sama pisze o tym: "Najwięcej mnie zajął kościół katedralny, gdzie są relikwie św. Stanisława biskupa i groby królów polskich. W Krakowie rozbudziło się we mnie uczucie miłości Ojczyzny, bo tam takie wszystko polskie; nawet muzyka wojskowa grała "Jeszcze Polska nie zginęła". Chorowała kilka razy, a z każdej choroby wychodziła ze zwiększoną świętobliwością. Oddalała się od świata, a w 31 roku życia składała w kościele PP. Kanoniczek w Warszawie dnia 3 lipca 1873 r. śluby zakonne. Myślała o założeniu nowego zgromadzenia, na co przeznaczyła przypadający jej majątek. Miał to być zakon Najświętszej Rodziny z Nazaretu. Na miejsce macierzystego domu wybrała Lublin, lecz rząd rosyjski nie dopuścił do tego. Wtedy zdecydowała się w r. 1875 przenieść do Rzymu i tam zakupiła dom (przy ul. Merulena), w którym miał się zorganizować zakon Nazaretek. Łączyło się z tym wiele kłopotów i trudu, a nawet

przykrości. Chorując dużo i tak ciężko, iż całymi miesiącami nie mogła podnieść się z łóżka, nie byłaby sama podołała temu zadaniu, gdyby nie dzielne towarzyski - najpierw Eleonora Rembiszewska, a potem trzy Lubowickie (Wanda, Laura i Felicja).

Równocześnie wracał do kraju z Syberii Józef Kalinowski. Po dziesięciu latach, dzięki staraniom rodziny i osób wpływowych, odzyskał wolność i wyjechał do Krakowa. Tam przebył trzy lata, bo ksiązę Władysław Czarotoryski uprosił go na nauczyciela swego syna, Augusta. Ten, urodzony w Paryżu, w r. 1858, wówczas szesnastoletni, wyróżniał się od dzieciństwa wielką bogobojnością, a pod przewodem Kalinowskiego pogłębiał ją i odczuwał coraz bardziej powołanie zakonne. Sam nauczyciel nie zapomniał swego ślubu z czasu niewoli i wiadome było, że skoro tylko wywiąże się z obowiązków przyjętych wobec księcia, pójdzie szukać Karmelitów Bosych. Zwłoka trzyletnia nastąpiła, jakby sama Opatrzność go zatrzymała, by wpływem swym na młodego Augusta przysporzył Polsce jeszcze jednego świętego. Na razie młody Czarotoryski poszedł w świetny wielki świat w stolicach europejskich, gdy dawny kapitan inżynierii jechał do Grazu w Styrii, żeby tam odbyć nowicjat, przy czym otrzymał imię zakonne - Rafał. Śluby zakonne składał w r. 1878, po czym studia teologiczne odbywał jeszcze przez trzy lata w Raab na Węgrzech.

Otrzymał święcenia kapłańskie w Krakowie. Wyświęcał go w styczniu 1882 r. biskup krakowski Albin Dunajewski, kapłan także niezwyklej świętobliwości, na którego również należałoby zwrócić uwagę Stolicy Apostolskiej (jako na posiadającego wszelkie dane, by był zaliczony pomiędzy świętych Pańskich). O dalszym zaś życiu O. Rafała trzeba powiedzieć, że "wszystkim przyświecał przykładem cnót bohaterskich i światłą radą". Przebywał w Polsce w klasztorze na Czerny (o cztery mile od Krakowa).

Rok 1882 pamiętny jest przez szczególną obfitość zdarzeń z naszego życia religijnego. Kiedy ks. Kalinowski otrzymywał w Krakowie święcenia kapłańskie, powstawał pod Wawelem drugi Nazaret. Matce Siedliskiej powiodło się założenie klasztoru w samym Krakowie i odtąd nowy zakon począł rozkwitać. W trzy lata potem udała się do Ameryki i szczęśliwą ręką otworzyła klasztor w Chicago. Ten stał się prawdziwie ziarnem gorczycznym, bo wyszło zeń sto dwadzieścia ochronek, szkół i szpitali. Mimo słabego zdrowia jeździła "mateczka" Siedliska kilka razy do Ameryki. Przyjmowała do swego zgromadzenia postulantki wszystkich narodowości. Domy swe fundowała na całym świecie, choć oczywiście sercem często przebywała w Polsce i o nią najwięcej dbała.

Tego samego r. 1882 zaczęły się lepsze czasy dla Służebniczek. Rząd pruski nie zezwalał im zebrać się z rozproszenia na nowo w klasztor, pod pozorem, że zakonnice zupełnie nie są, a zajmują się jakąś agitacją ogólnopolską, skoro także w drugim państwie wyszukują sobie zajęcia. Chcąc istnieć, musiały ostatecznie rozdzielić się na poznańskie i galicyjskie. Wielkopolanki doznawały jednak nadal pruskich szykan, a urzędy wysilały się, żeby wymyślać dla nich uciążliwe formalności. Odetchnąć swobodniej można było tylko w zaborze austriackim. Tam też zorganizowały się Służebniczki na nowo, zakładając w r. 1882 główny swój dom w Dębicy (pomiędzy Krakowem a Tarnowem).

Tegoż r. 1882 został profesorem teologii pasterskiej w seminarium duchownym w Przemyślu ks. Bronisław Markiewicz, o którym była już raz mowa. Zostawszy proboszczem wiejskim, zajął się specjalnie zbieraniem opuszczonej dziatwy w parafiach w Gaci i w Błazowej. Na profesurze zaś w Przemyślu wytrwał tylko cztery lata, gdyż ciągnęła go sława nowego zakonu we Włoszech, Salezjanów, poświęcających się właśnie wychowywaniu młodzieży do zajęć głównie mieszczańskich. Ciągnęło go tam i nie spoczął, aż otrzymał pozwolenie i w r. 1886 pojechał do Włoch. Należał tam do grona uczniów sławnego na cały świat ks. Bosco, dziś już kanonizowanego. Przebywał we Włoszech siedem lat, ucząc się praktyki salezjańskiej, czuwając nad duszami chłopięcymi i nad materialnym ich powodzeniem, żeby każdy wychowanek miał na przyszłość chleb w ręku.

W rok po przyjeździe do Włoch, przebywając w nowicjacie w San Benigno Caravanesi, zetknął się tam ze świeżo przybyłym młodym rodakiem, księciem Augustem Czarotoryskim. Z radością dowiadywał się o tym postanowieniu swego dawnego ucznia O. Rafał Kalinowski, pędzący świętobliwy żywot na Czerny. Młody Czarotoryski natrafiał jednak na takie trudności w sprawie swego przyjęcia do salezjańskiego nowicjatu, iż wypadło mu prosić samego Ojca św. papieża Leona XIII o wstawiennictwo u władz zakonu. Obawiano się, że ksiązę może wprowadzić jakieś rozluźnienie

karność zakonnej nie dowierzano, żeby "książę pan" miał na trwałe poddać się regule klasztornej. Jednakże książę odznaczał się cichością, nadzwyczajną pokorą i posłuszeństwem zakonnym, doprowadzonym do heroizmu, a pobożność jego była dla wszystkich budująca od samego początku. Cały nowicjat był dla niego pełen uznania, a zwłaszcza rodacy, których było w Turynie około setki. Ze szczególną bowiem szybkością ogarniał zakon salezjański wszystkie narody świata.

Wzmagał się ciągle nasz ruch religijny. W roku 1883 wracają Redemptoryści, a wracają oczywiście do austriackiego zaboru pod ochronę konstytucji i autonomii. W Mościskach pod Przemyślem zakładają małe seminarium, z którego miało wyjść odrodzenie zakonu.

Ten sam r. 1883 wzbogacił zapas polskich sił moralnych dwoma nowymi zakonami żeńskimi. Założycielem jednego z nich stał się mąż wielkiej świętobliwości, ks. Józef Pelczar. Ów niedoszły niegdyś powstaniec był już profesorem wydziału teologicznego w Krakowie i sławnym pisarzem, kiedy w r. 1883 zakładał w Krakowie "Zgromadzenie Służebnic Najświętszego Serca Jezusowego", zwanych krótko: Sercankami, a nawet Pelczarkami. Głównym ich zadaniem była piecza nad biednymi sługami i opuszczonymi chorymi po domach. W roku 1896 wystawił ks. Pelczar (wkładając w to zgromadzenie cały swój majątek) obszerny "dom macierzysty" z pięknym kościołem przy ulicy Garncarskiej w Krakowie. Kiedy w r. 1899 został biskupem przemyskim, rozwinął niestrudzoną działalność w seminarium, w ochronkach i szkołach, urządził kongres Mariański, odnowił kościoły, a przy tym wszystkim poświęcał wiele czasu modlitwie. Nadzwyczaj energiczny, z wielką rzetelnością i przedsiębiorczością był zarazem dziwnie spokojny, nadzwyczaj zrównoważony i tak miły w obcowaniu, że chyba w całej Polsce nie było miłszego człowieka. Z dzieł jego osiem wydań miało "Życie duchowne, czyli doskonałość chrześcijańska". Żył długo, lat 82, doczekawszy się 35 domów Sercanek w Polsce i we Francji.

Drugim zakonem z tego samego r. 1883 były Zmartwychwstanki, dzieło wdowy Celiny z Chludzińskich Borzęckiej. Urodzona w r. 1833 na Litwie w Ontowilu, polska szlachcianka, bogata z rodu i po mężu, owdowiawszy w r. 1874, usunęła się od świata i marzyła o życiu zakonnym. Kierownikiem jej duchownym stał się sławny świętobliwy Zmartwychwstaniec, ks. Semeneńko. Cenił go wysoko papież Pius IX i zlecał mu nieraz misje poufne. Również Leon XIII považał go nadzwyczajnie, tak iż "tylko względy politycznej natury powstrzymywały go od wyniesienia Semeneńki do godności kardynalskiej". Pod jego wpływem postanowiła Borzęcka powołać do życia zakon Zmartwychwstanki, zakon siostrzany, jak bywa we wszystkich nieomal zakonach. Pierwsza fundacja powstała w Rzymie w r. 1883, ale zanim zdołała się ustalić, nastąpił zgon ks. Semeneńki w r. 1886, a ciosu tego młode zgromadzenie nie wytrzymało; po większej części rozpięchło się. Resztki podtrzymywali jednak kardynał Parocchi i prałat rzymski della Chiesa, późniejszy papież Benedykt XV. Kardynał oświadczył strapionej fundatorce i jej córce Jadwidze, która wraz z matką przywdziała habit zakonne: "Reguła wasza jest wspaniała i praca w parafiach jest bardzo na czasie". Ci dwaj książęta kościoła zajęli się Zmartwychwstankami i doprowadzili zgromadzenie do takiego stanu, iż w r. 1892 mógł już powstać klasztor na ziemi polskiej, w Kętach.

Kiedy zaś August Czartoryski wstępował do Salezjanów, w tym samym r. 1887 powstają w Krakowie Albertyni. Było to dzieło Chmielowskiego, owego malarza, który w chłopięcym wieku przystąpił do powstańców, a potem szukał sobie miejsca na szerokim świecie, aż odnalazł je we własnym życiu wewnętrznym. W roku 1880 próbował się w nowicjacie Jezuitów w Starejwsi, lecz nie czuł się tam najlepiej. Ciągnęło go, żeby poświęcić się wyłącznie nędzarzom. Został tercjarzem franciszkańskim, objechał polskie dwory na Podolu i Ukrainie, wreszcie znalazł się na swoim miejscu, gdy powróciwszy do Krakowa, postanowił żyć z nędzarami, by tym skuteczniej nimi się opiekować. Stało się to po naradzie z biskupem krakowskim, wtedy już kardynałem Dunajewskim. Chmielowski przybrał imię Albert. Urządzał schroniska i ogrzewalnie, najpierw w Krakowie, a następnie po miastach prowincjonalnych.

Tak odradzaliśmy się moralnie, kiedy Bismarck rósł coraz bardziej w siłę, której dawał pierwszeństwo przed wszelkim prawem. Miarą jego znaczenia w Europie był kongres berliński w r. 1878. Dwa lata przedtem wybuchły powstania serbskie, czarnogórskie i bułgarskie przeciw panowaniu tureckiemu. Byli to Słowianie prawosławni, więc Rosja ruszyła im na pomoc w r. 1877, a takie miała powodzenie, iż stała się prawdziwą władczynią na Półwyspie Bałkańskim. Serbia i Bułgaria stawały się państwami

zależnymi od Rosji pod każdym względem, a granice ich sięgały aż poza Adrianopol. Nadmierny wzrost potęgi rosyjskiej pobudził do sprzeciwu Anglię i Austrię, a gdy także Bismarck do nich się przyłączył, car Aleksander II uważał za stosowne cofnąć się, chociaż miał już zawarty pokój z Turcją i sułtan przystał na wszystkie warunki rosyjskie. Zwołany do Berlina kongres pozmieniał granice państw bałkańskich korzystniej dla Turcji, pomniejszył znaczenie polityczne Rosji na Bałkanach, nadto oddał Austrii w okupację dwie prowincje bałkańskie, oderwane od Turcji - Bośnię i Hercegowinę.

Przed Bismarckiem korzyli się wszyscy monarchowie; jeden tylko mocarz okazał się silniejszy od Bismarcka, ten który wojska wcale nie posiadał, Ojciec św. w Rzymie. Papiestwo dawno już przestało być państwem świeckim; zostało papieżom samo tylko miasto Rzym z okolicą, lecz i to utracili w r. 1871 na rzecz królestwa włoskiego. Ojciec św. nie wychodził odtąd z Watykanu, stał się "więźniem watykańskim" i nastąpiły przykre stosunki z królestwem włoskim, załagodzone dopiero o wiek później. A jednak przed tym więźniem musiał się Bismarck cofnąć i zaprzestał swojego Kulturkampfu, widząc, że nie da rady i że na próżno zmusza połowę narodu niemieckiego do opozycji. Dla nas Kulturkampf wydał jeden dobry skutek polityczny, że zbliżył ogromnie Górny Śląsk do Wielkopolski. Prace ks. Radziejewskiego znajdowały też coraz więcej poparcia u Wielkopolan, a niebawem także Małopolska zainteresowała się losem Ślązaków pod pruskim panowaniem. Ludwika Radziejewska zajeżdżała coraz częściej do Krakowa.

Ale dla Polaków Kulturkampf się nie skończył. W prowincjach polskich nie wycofano się jeszcze i w każdej chwili mogły urzędy powołać się na owe ustawy, ilekroć chciano przerwać działalność jakiegoś patriotycznego proboszcza. Prześladowanie narodu polskiego bowiem nie tylko nie zmniejszyło się w Prusach, lecz jeszcze bardziej przybierało na sile. W roku 1886 przeprowadził Bismarck w sejmie pruskim wywłaszczenie polskich dóbr ziemskich, ażeby je parcelować dla sprowadzonych z Niemiec osadników. Ustawa ta obowiązywała już do końca. Co więcej, zakazano następnie Polakom stawiać po wsiach nowych domów mieszkalnych. Doszło do takich wypadków, jak np. sławny "wóz Drzymały"; Drzymała kupił od cyganów stary wóz mieszkalny na kołach i w tej budzie całe lata borykał się z pruską żandarmerią. Urządzano sobie mieszkania nawet w wydrążeniach ziemnych, po prostu w jamach. Lecz mimo wszystko sprawa polska ruszała się i to swoją własną siłą. Pierwsze oznaki widziało się na Górnym Śląsku, gdzie 20 lat przedtem nikt nie mógłby o tym marzyć.

Owoce prac i zabiegów rodzeństwa Radziejewskich poczęły okazywać się dobitniej od r. 1890. Dzielnego pomocnika pozyskali w Adamie Napieralskim, któremu powierzono redakcję "Katolika". Był to mąż niezmiernej pracowitości, ogromnie przedsiębiorczy i rzutki, do tego obdarzony wybitnym zmysłem politycznym i wielkim darem organizacyjnym. W roku 1890 urządzili pierwszą górnośląską gromadną wycieczkę religijno-narodową do Krakowa, zwanego nie na próżno "małym Rzymem". Śląscy nasi bracia przywykli, że duchowieństwo jest po większej części niemieckie, a wyższe duchowieństwo tylko niemieckie, cóż dopiero biskup wrocławski (był on istotnie germanizatorem), a tymczasem w Krakowie od ołtarza w kościele Franciszkańskim przemówił do nich w stroju pontyfikalnym po raz pierwszy prawdziwy biskup polski i już desygnowany kardynał, ks. Dunajewski, a przemówił nie tylko po polsku, lecz i w duchu polskim. Już przy wejściu biskupa do świątyni rozgrywały się sceny rozrzewniające. A gdy z ust tego księcia Kościoła o postawie apostołskiej i apostołskiej wymowie padły słowa nigdy jeszcze przez ten lud biedny i opuszczony z takich ust nie słyszane, rozrzewnienie zamieniło się w uniesienie. Z głośnym płaczem rzucili się Ślązacy do nóg biskupa, całując jego szaty i ręce, błogosławiące ich już nie tylko na dalszą walkę życiową, lecz i narodową. A potem jeszcze "w kościele Dominikanów, braciom odzyskanym dla macierzy polskiej dawał do pocałowania głowę ich ściślejszego patrona, św. Jacka, ksiądz Ślązak, rodowity raciborzanin O. Kruczek, sam płacząc z rozrzewnienia".

Tak wkraczał Kraków w nowy okres świątobliwości, jakby Opatrzność wskrzeszała dla tego miasta czasy króla Kazimierza Jagiellończyka. W Krakowie była skarbnica uczuć narodowych, szkoła patriotyzmu i szkoła pożyteczności dla narodu - czy nie dlatego, że w Krakowie grunt był najbardziej religijny? Wciąż narzuca się spostrzeżenie, że nasze odrodzenie polityczne znalazło fundament w odrodzeniu religijnym.

Powstało jeszcze jedno zgromadzenie zakonne - dla kobiet bezdomnych i wykołejonych. Pierwsze to przytulisko powstało także w Krakowie. To wielkie dobrodziejstwo spłynęło z przezacnych rąk Anny

Lubańskiej (z Białej Podlaskiej), która w r. 1891 przywdziała wraz z siedmioma towarzyszkami habit albertyński. Jest to habit najgrubszy, najbardziej prostacki i najmniej "skrojony", najpodobniejszy do worka szarobury habit. Mamy więc po malarzu Chmielowskim dwa zgromadzenia - Albertynów i Albertynki.

Podczas gdy Albertyni służyli z reguły nędzarzom dorosłym, inni specjalizowali się w posłudze dla nędzarzy chłopców. Zagaił to prawdziwie wielkie powołanie ks. Siemaszko z Litwy, członek zakonu Misjonarzy na Kleparzu w Krakowie. Mężczyzna potężnej postawy, siłacz, przy tym łagodny, chodząca dobroć i zawsze próbujący najcierpliwiej załatwić sprawę najpierw "po dobremu", choćby z najkrnąbrniejszym chłopcem; lecz gdy nie widział innej rady, umiemy trafiać karcieć i karać. Chodził po ulicach Krakowa w dużym kapeluszu z szerokimi skrzydłami i zbierał żebrzące dzieci □ jak twierdził - do tego kapelusza, dodając, że to nie jego pomysł, lecz że tak robił św. Wincenty á Paulo. Kapłan pod każdym względem świętobliwy, zawsze rozmodlony, doprowadził do tego, że z jego łowów z ulicznikami wyrósł duży zakład wychowawczy, z nauką rzemiosł. Dwupiętrową kamienicę kupił za "wymodlone" pieniądze; potem dopomógł mu magistrat do wzniesienia stosowniejszej budowli.

Ksiądz Siemaszko żył i działał na miejskim bruku; wkrótce miał rozpocząć swe prace ks. Markiewicz, pragnący zbierać wychowanków po wsiach i wychowywać ich na wsi. Praktykował u Salezjanów z tą myślą, żeby podobny zakon utworzyć w Polsce z uwzględnieniem polskich stosunków. Wieś polska jest zupełnie inna niż wieś włoska i podłoże społeczne także jest odmienne. W roku 1892 władza duchowna poruciła mu obowiązki plebańskie w najnędzniejszej wiosce całej diecezji, w Miejscu, które potem obdarzono przydomkiem "Piastowe". Kilkanaście lichych chat, ubożuchny kościółek, a plebania w takim stanie, że z początku całe umeblowanie proboszcza składało się z siennika, który się kładło na podłogę. I tym siennikiem dzielił się z osieroconym chłopczyką, Franusiem. Franusiów przybywało, zgodził więc ks. Markiewicz szewca i krawca żeby uczyli najprzydatniejszych rzemiosł. Po kilku latach miał całą setkę chłopców. Sprowadził wtedy do Miejsca grono Polaków z zakonu salezjańskiego z Włoch. Ci jednak opuścili go, nie chcąc słyszeć o żadnych odmianach w stosowaniu reguły. A kiedy znaleźli się nowi pomocnicy, już nie Salezjanie, władza duchowna zakazała mu tworzyć zgromadzenie zakonne.

Nie gorszy się tym, nie samym tylko Michalitom wydarzyło się coś takiego. Początki niejednego zakonu przechodzić musiały przez przykre nieraz doświadczenia, jakby przez lata próby. Władze duchowne mają rozmaite obowiązki, a wśród nich niepoślednie miejsce ... ostrożność. Trzymają się zaś te władze zasady, że w ostrożności lepiej przesadzić, niż czego nie dopatrzeć. A zakon ks. Markiewicza nie przepadł i będzie tej rzeczy ciąg dalszy w następnym rozdziale.

Salezjanin zaś polski, świętobliwy uczeń świętobliwego O. Rafała Kalinowskiego, August Czartoryski otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1892, lecz cieszył się tą godnością za ledwie jeden rok. Zgasł w kwietniu 1893 r. w opinii świętości. Ciało jego przewieziono do grobów rodzinnych w Sieniawie.

A nad tym wszystkim unosiły się w spokoju modły dwóch znanych nam już świętobliwych mężów, wiodących przez lata żywot na zewnątrz jednostajny. Ksiądz Reichenberg uważał, że malowanie obrazów religijnych stanowi dla niego miłą rozrywkę, szukał więc umartwienia i poświęcenia. Poszedł do szpitalnej służby w Tarnopolu i tam przez dwadzieścia siedem lat pielęgnował chorych. Czasem sam dokonywał uleczeń, nad którymi zdumiewali się lekarze. Wystawiwszy baraki, zaopatrywał nędzarzy Tarnopola i okolicy w posiłek, pieniądze, odzież i lekarstwa. Gorliwość jego i zapał nie zmniejszały się wcale wobec niewdzięczności i grubiaństwa niektórych ubogich.

Pielęgniarem został też drugi Jezuita, znany nam już O. Beyzym. Zrazu nauczał w zakładzie wychowawczym jezuitskim w Tarnopolu, następnie wyznaczono go na kierownika wielkiej lecznicy przy gimnazjum w Chyrowie (10 sal). Cichy, spokojny, a przy całej łagodności stanowczy, gdy trzeba, nadawał się doskonale na opiekuna chorych młodzieńców. Posiadał nadto tę zaletę, że umiał rozweselać chorych: zabawne opowiadania sypały mu się, jak z rękawa. Pobożnością zaś odznaczał się w takim stopniu, iż poruczano mu nieraz przewodnictwo w rekolekcjach osób zakonnych. Młodzież chyrowiecka przepadała za nim.

Takie są dzieje i sprawy świątobliwe pokolenia polskiego "ery Bismarcka". Gromadził się w Polsce zapas sił do stoczenia walki z antychrześcijańskim hasłem "siły przed prawem". Zbieraliśmy w sobie siły na rzecz prawa. W ślad za siłą najwyższą, religijną, postępowały i rosły w nas inne duchowe siły w nauce, w literaturze, w sztuce, w szkolnictwie, tudzież w opiece społecznej śladami wielkich encyklik Leona XIII. Około r. 1890 Polska stawała się już krajem świadomie katolickim, nie tylko ze chrztu i z nabożeństwa, lecz pragnąca ogarnąć moralnością katolicką wszystkie dziedziny życia. Takimi nas zastał przełom dwóch stuleci - koniec XIX i początek w. XX.

Na przełomie w. XIX i XX

Przechodzimy do ostatniego pokolenia spędzającego życie w niewoli rozbiorów. Nie przerwała się żywność gleby Pańskiej, a zbożne polskie zabiegi przenosiły się już daleko poza Polskę. Wchodziliśmy na nowo w powszechność, jak to bywało za dawniejszych czasów. Probierzem tego są w Kościele misje zewnętrzne.

Wprowadziła nas na nowo w szeroki świat Maria Teresa Ledóchowska, siostrzenica więzionego przez Prusaków kardynała. Urodziła się w r. 1863 za granicą, lecz rodzice jej osiedli niebawem w Polsce, kupiwszy dobra ziemskie w Lipnicy Murowanej koło Bochni. Należała z rodu, z wychowania, z majątku do wielkiego świata, była damą dworu wielkiej księżnej toskańskiej, podróżowała po całej Europie. W Londynie poznała kardynała Lavigerie, prymasa Afryki, wielkiego misjonarza i opiekuna Murzynów (wówczas kwitł jeszcze handel niewolnikami). Kardynał francuski odznaczył się potem założeniem zgromadzenia "Białych Braci", misjonarzy wyłącznie dla Afryki. Ledóchowska zapragnęła być pożyteczna w "akcji murzyńskiej", a wkrótce zdecydowała się poświęcić temu całkowicie, zwłaszcza gdy stryj pochwalił jej zamiar.

Obdarzona zdolnościami literackimi, zabrała się do propagandy misji murzyńskich i wstąpiła do zarządu międzynarodowego towarzystwa przeciwniewolniczego. Pisywała artykuły i broszury w rozmaitych językach, nawet utwory sceniczne o treści zaczerpniętej z murzyńskiego niewolnictwa. W roku 1890 zaczęła wydawać własny, polski, niewielki miesięcznik "Echo z Afryki", a w r. 1893 powzięła zamiar, żeby założyć pobożne stowarzyszenie dla misji afrykańskich, które nazwała "Sodalicją św. Piotra Klawera". Potwierdził je Leon XIII następnego roku, a stowarzyszenie ściągało liczne zwolenniczki i wyrósłszy nadspodziewanie, zamieniło się w nowy zakon. W krótkim czasie powstały klasztory w Krakowie, w Wiedniu i Salzburgu, a "Echo z Afryki" zaczęło wychodzić w dziewięciu językach. W różnych krajach Europy urządzała wystawy misyjne, zjazdy, kongresy, zakładała koła "Związku Mszalnego" dla Afryki, "Ligi Dzieci dla Afryki", tudzież "Chleba św. Antoniego dla Afryki". Zebrała na Murzynów 17 milionów franków francuskich (przedwojennych). Cała pochłonięta swym dziełem apostołskim w najzupełniejszym zapomnieniu o sobie samej, nie żyła ani chwili dla siebie; jej myśli, jej modlitwy, uczucia, jej czynności, jej życie było najzupełniejszym wyrzuceniem i zaparciem się siebie, opuszczeniem, zapomnieniem, zaniedbaniem się; własne ja nie istniało w niej w żadnej jakiegokolwiek formie; istniał tylko Bóg i Jego służba". Biskupi afrykańscy nadali jej tytuł "matki misji afrykańskich". Mieszkała stale w Rzymie, jako najwyższa przełożona swej sodalicji. Czynności jej i stosunki obejmowały cały świat, ale czuła się Polką i gdy przez nieświadomość zaliczano ją do jakiejś innej narodowości, zawsze się zastrzegła, oświadczając wyraźnie: "Jestem Polką z krwi i kości".

Śledząc drugą, nową świątobliwą postać tego pokolenia, wypadnie nam z arystokratycznych pałaców wejść pod strzechę krawca wiejskiego, którego synem był ks. Aleksander Pawłowski. Urodził się w r. 1865 w Dębowcu pod Jasłem na Podkarpaciu. Nędza w domu była "nie do opisania"; nawet własnej krowy nie mieli. Mały Oleś pasał krowy wujowi, za co czasem dostawali trochę mleka. "Mama nasza - opowiada siostra ks. Pawłowskiego - była taka biedna, iż do kościoła nieczęsto chodziła, bo nie miała w czym; ani obuwia nie miała, ani ubrania odpowiedniego. W dzień powszedni częściej poszła". Ojciec rozpił się z rozpaczą, gdy powódź zabrała mu całe płótno, którym handlował. Wspomagał tę rodzinę, jak mógł, zacny proboszcz ksiądz Kopestyński i dzięki niemu dostał się chłopczyzna do gimnazjum w Jaśle; pomagał też sam sobie udzielaniem lekcji. W lutym 1887 r. objął posadę nauczyciela ludowego w Dębowcu, ale jesienią tego samego roku wstąpił do seminarium duchownego w Przemyślu. Wyświęcony w r. 1891, był przez osiem lat wikarym w Rokietnicy pod Przemyślem, pracując z apostołską gorliwością. "Zwłaszcza bardzo pięknie i podniośle przygotowywał dziatwę do pierwszej

Komunii św.". Był potem wikarym w sąsiednim Pruchniku, z obowiązkiem obsługiwanego kościoła filialnego w Jodłówce. Tam miał zająć wysoko w Bogu.

Ubogi też był młodzian, który wpisał się do małego seminarium Redemptorystów w Mościskach w r. 1895, szesnastoletni Andrzej Bieda, wieśniaczy syn z okolicznej wioski Rządkowic. Od początku rozwijało się w nim silnie życie wewnętrzne. Uczył się łatwo, a rozumiał, że nauka może być także formą modlitwy. Jak świadczy jeden z ówczesnych kolegów Andrzeja "charakterystyczną cnotą było głębokie skupienie i duch modlitwy". Znamionowały go "niewinność serca, zapał, wraz z zamiłowaniem do umartwienia". A był obok tego kolegą jak najmilszym, kochającym i kochanym przez wszystkich: "wprost podbijał serca kolegów swym jednostajnym a pogodnym humorem". Porwała go wcześniej gruźlica. Na łożu śmierci składał śluby zakonne, bo chciał umrzeć jako Redemptorysta. Umarł w r. 1898 w szpitalu we Lwowie, pochowany tamże na cmentarzu Janowskim. Dożył zaledwie 19 lat. Umarł w opinii świętości, a w zakonie Redemptorystów polecają się jego modlitwom. Andrzej Bieda "stał się rzeczywiście kamieniem węgielnym juwenatu, czyli małego seminarium Redemptorystów polskiej prowincji". Juwenat w Mościskach liczył w r. 1930 już 150 wychowanków, a okazały nowy gmach w Toruniu mieści ich 200.

W tym samym roku, kiedy Andrzej Bieda pukał do furty Redemptorystów w Mościskach, w r. 1895 poczyniała rozchodzić się sława, że niedaleko stamtąd zsyła Bóg objawienia na sługę Swą wybraną, na wiejską służącą. Ogarnia nas wzruszenie na wiadomość, że Maria Cieślanka, skazana od najmłodszych lat na zarabianie służbą, oddaje trzecią część swych zarobków na msze św. za dusze cierpiące w czyśćcu. Urodzona w r. 1855 w Siemiechowie w powiecie tarnowskim, z niezamożnych włościan, spędzała następnie niemal całe życie w Faściszowej, wiosce w parafii zakliczyńskiej. Przez wiele lat posiadała dar kontemplacji i miewała jakby objawienia o duszach czyścicowych. Od czterdziestego roku życia powtarzały się one regularnie co tydzień, nieraz nawet dwa razy na tydzień. Schodziły się do niej całe tłumy, z dalszych stron, żeby się dowiedzieć od "Marysi" o losie zmarłych krewnych. Wysłano policję. "Żandarm, chcąc się przekonać, czy zachwyty nie są oszukaństwem, wbijał jej szpilki pod paznokcie, lecz ekstatyczka zupełnie na to nie reagowała". Wzywano ją przed sąd, potem badała ją komisja duchowna. Nie wykryto nic nagannego. Nakazano jej tylko zachowywać objawienia w tajemnicy, a zakazano udzielać wskazówek w sprawach czyścicowych. Później ograniczenia te cofnięto.

Przybywało nowych, czcigodnych sług Bożych, zanim starsi świętobliwi ustąpili pola. Pierwsza odeszła do życia wiecznego Wanda Malczewska, w r. 1896, uznana przez opinię powszechną całej Polski za świętą; stało się to jakimś zbiorowym odruchem, od razu, bez jakiegokolwiek propagandy. Mateczka Siedliska radowała się z rozwoju Nazaretanek, które w r. 1892 osiedliły się w Paryżu, w Polsce zaś przybywały nowe klasztory we Lwowie, w Wadowicach i dalej coraz inne aż do Wilna. Tam działały jako "skrytki", a działały wspaniale, nie dbając o żadne niebezpieczeństwo. Żyła świętobliwa Siedliska do r. 1902. Uważana już za życia za świętą, zyskiwała po śmierci i zyskuje coraz liczniejszych pobożnych czcicieli (proces beatyfikacyjny rozpoczęty).

W rok po niej odszedł po niebiańską nagrodę Jezuita ks. Reichenberg, wielki pielęgniarz w Tarnopolu, przeżywszy lat 78. Pogrzeb jego poruszył całe miasto i okolicę do nadzwyczajnej manifestacji wdzięczności, która stała się manifestacją religijną i niejednemu niedowiarkowi dała do myślenia. Pomnik na grobie wystawiła mu gmina miasta Tarnopola. I tak działał mąż świętobliwy nawet po śmierci i działa dotychczas, bywa bowiem przez nabożnych czcicieli wzywany o pośrednictwo przed tronem Bożym.

Nieco dłużej modlił się i rozmyślał w swym klasztorze w borze na Czerny O. Rafał Kalinowski. W roku 1906 został przeorem nowego klasztoru Karmelitów Bosych w Wadowicach, lecz rok zaledwie tam przebywał. Zgasł w listopadzie 1907 r. Magistrat wadowicki wywiesił żałobną flagę na ratuszu, a "tłumy wiernych wszelkiego stanu cisnęły się do jego czcigodnych zwłok i w przeświadczeniu o jego świętości całowały suknie, ręce, nogi, pocierały o jego ciało obrazki, medaliki, koronki". Ciało przewieziono na Czerną. Obecnie toczą się w Rzymie procesy beatyfikacyjne obydwóch - nauczyciela i ucznia - Kalinowskiego i Czartoryskiego.

Długie życie dane było matce Borzęckiej. W roku 1896 wyjechała śladem Zmartwychwstańców do Bułgarii i założyła tam dom misyjny, a w r. 1900 osiedlały się Zmartwychwstanki w Ameryce. Powstały

też nowe klasztory w Warszawie i w Częstochowie. Dożyła 80 lat. Umarła w r. 1913 w Krakowie, lecz ciało sprowadzono do grobów zakonnych w Kętach, gdzie spoczywa obok swej córki Jadwigi.

To wszystko odbywało się przez normalny rozwój, bez większych niespodzianek. Wielką niespodziankę gotował cichy, spokojny Jezuita O. Beyzym, który wydawał się nie pragnąc niczego więcej poza tym, żeby mógł po wakacjach w nowym roku szkolnym opowiadać znowu rozmaite historie swojej studenterii w Chyrowie. Można sobie wyobrazić osłupienie chłopców, gdy w r. 1898 po powrocie z wakacji dowiedzieli się, że O. Beyzyma nie ma i już nie będzie, bo pojechał na Madagaskar służyć trędowatym. "Przez lat 14 zamknął się wśród trędowatych, jakby w żywym grobie". Jego tamtejsze życie znane jest z listów, pisywanych do Krakowa do redakcji "Misyj Katolickich". Stosunek jego do trędowatych da się określić tylko tym jednym słowem, że ich pokochał! Ciągłe dziękował Bogu za to, że go odznaczył takim powołaniem. Zastawał schroniska, a raczej więzienia chorych, w stanie zupełnego zaniedbania, a pozostawiał po sobie wzorowe lecznice, z obsługą duchowną i lekarską, z zakonnicami pełnymi ofiarności, z kaplicami i biblioteczkami. Gdy sądził, że już może spokojnie pozostawić te zakłady swym następcom, zapragnął nowych trudów, gdzie od fundamentów trzeba było wszystko urządzić. Prosił przełożonych, żeby go wysłali na Sachalin. Z Madagaskaru na Sachalin, z kraju ognia w kraj lodu! Ale nie mógł wyjechać, bo zaraził się, sam zapadł na trąd i poszedł po nagrodę do nieba w r. 1912. Prawdziwy bohater! Kto zapoznał się bliżej z jego żywotem, podziwiać musi w nim szczególną harmonię cnót; obok poświęcenia wyłaniają się pokora, najgłębsza wiara, uprawianie darów Ducha Świętego i zrozumienie wszystkich władz i właściwości człowieczych, rozważanych ze stanowiska nadprzyrodzonego. Rzadko kto przejrzał tak dobrze istotę człowieka i spraw ludzkich. Udoskonalony w świętobliwości nadzwyczajnej, będzie pośrednikiem w otrzymywaniu łask Bożych; przygotowuje się podniesienie go na ołtarze.

Unosiła się zaś nad tym pokoleniem dostojna postać księcia Kościoła polskiego, ks. arcybiskupa lwowskiego, Józefa Bilczewskiego. Urodzony w r. 1860 w Wilanowicach w woj. krakowskim, gdzie ojciec jego był wiejskim cieślą i posiadał trochę roli, uczęszczał do gimnazjum w Wadowicach, studiował teologię w Krakowie i tam otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1884. Poglębiał następnie swe nauki teologiczne w Wiedniu, w Paryżu i w Rzymie, poświęcając się przy tym ze szczególnym zamiłowaniem archeologii chrześcijańskiej. Wróciwszy do kraju, został profesorem wydziału teologicznego we Lwowie, a w r. 1900 zasiadł na stolicy arcybiskupiej. Jak największy nacisk kładł na wychowanie młodego pokolenia. Sławne są jego listy pasterskie, które wydano potem w trzech tomach; tłumaczono je na obce języki. Umiał jednoczyć patriotyzm polski z poczuciem katolickim, jak rzadko kto i pozostanie pod tym względem na zawsze wzorem dostarczającym mądrej nauki. On to wyjednał u papieża Piusa X pozwolenie, żeby w kalendarzu katolickim oznaczyć święto Królowej Korony Polskiej i to na dzień święta narodowego, na 3 maja.

Czym był ks. Bilczewski dla archidiecezji lwowskiej, niechaj mówią liczby: za jego rządów podwoiła się liczba kapłanów, przybyło sześć nowych klasztorów męskich i siedem żeńskich, powstało 21 nowych parafii i 96 ekspozytur, kościołów zaś parafialnych i kaplic publicznych przybyło 328. Wielka ta cyfra zwraca uwagę. Jak to? więc aż tylu kościołów brakowało w tej diecezji?

Sprawa ta ma za sobą ciekawą historię. Odkąd za Augusta II eparchie południowe przyjęły wreszcie także unię, przestano w tych prowincjach niemal zupełnie stawiać kościoły łacińskiego obrządku; wolano cerkwie, mogące teraz już służyć "i panu i chłopu", bo już także katolickie. Szlachta ówczesna bardzo była ambitna w sprawie wznoszenia domów Bożych, a na drewnianą cerkiew unicką każdego dziedzica było stać. Wynik był taki, że w każdej wsi powstała cerkiew, podczas gdy do łacińskiego kościoła trzeba jechać kilka mil, nawet kilkanaście. Praktyki religijne przeniosły się więc wszystkie do cerkwi; przed unickimi księżmi brano śluby, chrzczono dzieci. Było to wszystko zrazu w najzupełniejszym porządku.

W połowie XIX w. wyłoniła się wszakże kwestia narodowa. Widzieliśmy w życiorysie ks. Antoniewicza, jak to wszystko jedno było, czy po polsku czy po rusku, nawet Hucułów uważało się za lud polski. Mijało to przecież, aż w końcu minęło, a Rusini zaczęli uważać za swoich wszystkich, którzy byli chrzczeni w cerkwiach, tudzież ich potomków. Parochowie ruscy wiedli o te "dusze" z proboszczami łacińskimi nieraz gwałtowne i gorszące spory. Cerkiew zamieniała się na biurko ruskiej propagandy i zanim nasi księża się spostrzegli, już tysiące ludu polskiego i polskiej szlachty zagrodowej zruszczyło

się. Wyliczono, że do r. 1909 łowienie dusz "łacińskich" przez duchowieństwo ruskie objęło 30740 osób.

Duchowieństwo łacińskie upominało się o swoje prawa; ale ksiądz łaciński, polski, był daleko, a pop ruski na miejscu. Jakimi zaś katolikami byli ci ruscy księża, widzieliśmy przy opisie spraw unii na Podlasiu i Chełmszczyźnie! Byli przyjaciółmi prawosławia, łatwo więc pojąć, jakimi byli nieprzyjaciółmi Polaków.

Ksiądz arcybiskup Bilczewski pragnął zaradzić tym rozterkom, a na to nie było innej rady, jak tylko ta, żeby Polakom było bliżej do kościoła i kapłana łacińskiego. Stąd ta jego gorliwość w mnożeniu parafii i kościołów. Nie sposób było zebrać w niedługim stosunkowo czasie tyle pieniędzy, ile by było potrzeba na pokrycie tak wielkich wydatków. Stawiał więc kaplice publiczne, tam gdzie nie starczyło na kościół; urządzał kościołki filialne, gdzie nie dało się założyć parafii, a gdzie nie dało się utrzymać duchowieństwa stałego tam księża nasi dojeżdżali przynajmniej w pewne oznaczone dni z nabożeństwami i z praktyką Sakramentów św.

Oto są te sławne "kaplice ks. Bilczewskiego!" Oby się dalej mnożyły, oby z kaplic powstawały kościoły, a z ekspozytur i filii nowe parafie obrządku łacińskiego!

O prześladowaniach w zaborze rosyjskim unitów dbali nadal sami tylko łącinnicy polscy. W roku 1900 zapanowała wielka radość w okolicach Niedźwiedzicy, bo przyjechał potajemnie przebrany kapłan z Krakowa i we wsi Rusinowicach przez dwa dni chrzczył, spowiadał, dawał śluby - po czym podążył w inną okolicę, "a za nim płynęły błogosławieństwa ludu i... policja".

Wkrótce pewnego wieczora odezwały się dzwony kościelne, po piętnastoletnim milczeniu. Dzwonnikami była stara Serafina, która zorganizowała naprędce jakiś spisek, żeby zardzewiałe dzwony oczyścić i wysmarować. Chciała pożegnać podzwonnym zmarłego właśnie stryja Jana Kiełbasę, i starowina postawiła na swoim. Zjawiła się zaraz policja, bito nahajkami, lecz nic to nie pomogło. Odtąd dzwony kościelne stale "żegnały wiernych obrońców, opuszczających na zawsze bohaterski posterunek". Niedźwiedziczanom zaproponowano w r. 1903, że dostaną pozwolenie na wybudowanie nowego kościoła, byle stary kościółek oddali na cerkiew. Podejrzewali, że to podstęp i nie dali go. Dziesięciu wysłano na Sybir na trzy lata; nic nie pomogło. W następnym roku trzech jeszcze skazano na więzienie w Słucku, a potem na dwa lata zesłania. Wszystko na nic, kluczy nie ma!

Podczas gdy tak dalej krzżeli się świątobliwi mężowie i świątobliwe niewiasty, każdy w swoim zakresie, od arcybiskupa do Serafiny, pilnując wspólnego celu, zaszedł fakt, który wstrząsnął wszystkimi, całą Europą. W roku 1905 zaczęła się wielka rewolucja rosyjska. Do Niedźwiedzicy docierały wieści, że rząd rosyjski się chwieje, że nastają jakieś nowe czasy. Uważali, że może to być stosowna pora, żeby naprawić stary kościółek, grożący rozwaleniem. Pokryli dach słomą i parli ściany. Pracowano nad tym trzy dni i trzy noce, a stanęli do roboty dosłownie wszyscy, starcy i dzieci. Było to pod koniec sierpnia 1905 r. Trzeciego dnia zjawiają się władze powiatowe, potem gubernialne i aż dwie rotacje wojska. Ludność modliła się spokojnie przed zamkniętymi drzwiami kościoła, żołnierze zestawili broń w kozły, a oficerowie nie wiedzieli, co począć, bo żadnego buntu nie widzieli. Aż ósmego września z rana wojsko otoczyło kościół, a "sprawnik" powiatowy oznajmił, że z pomocą popa wyniesie Przenajświętszy Sakrament i sprzęty kościelne. Wśród tłumu zerwał się groźny pomruk. "Jednomyślnie postanowiono dać się zagrzebać pod gruzami kościoła, krwią go swą oblać, zginąć najokropniejszą śmiercią - ale nie oddać, nie oddać!"

Wtedy przyjechali nagle dwaj kapłani, szanowani przez lud, ks. Harasimowicz z Klecka i ks. Wańkowicz z Darewa, łącinnicy i lud uspokoił się od razu. Nie zawahali się zgromić publicznie "sprawnika", któremu widocznie zależało na tym żeby doprowadzić do rozlewu krwi. Nie lepiej było w biurach gubernatora, do którego na próżno jeździli, żeby cofnął wojsko. Pojechał więc ks. Harasimowicz aż do Petersburga i tam przez trzy tygodnie biegał po ministerstwach. Minęły trzy tygodnie i jeszcze sprawy nie załatwili; widocznie i tam nie brakowało ludzi o złych zamiarach. Sprawą zainteresowały się gazety petersburskie, a wszystkie oświadczyły się przeciwko urzędowi. Nareszcie kazano wycofać wojsko, a dnia 28 października 1905 r. car wydał Ukaz, żeby kościółek niedźwiedzicki otworzyć dla kultu katolickiego.

Nie było to żadnym przywilejem dla Niedźwiedzicy, lecz wynikało z postanowienia ogólniejszego; które car powziął wobec całego państwa: Otoczony rewolucją wydał manifest dnia 30 października 1905 r. Uznawał nietykalność osobistą, wolność zgromadzeń i stowarzyszeń; zapowiedziano "Dumę Państwową" (sejm) z mocą prawodawczą, tudzież ogłoszono wolność wyznaniową. Wtedy ponad 200000 unitów podlaskich przeszło od razu na obrządek łaciński, żeby raz na zawsze zerwać wszelkie więzy z prawosławiem.

W Niedźwiedzicy zaś, gdy pozwolono zdjąć pieczęcie i wejść do starego kościółka, lud nie ufając urzędnikom nie zrobił tego przy nich i dopiero, gdy policja się usunęła, dano ks. Harasimowiczowi otworzyć kościół. Dnia 20 listopada odbyło się pierwsze nabożeństwo, na które zjechała cała okolica, a ks. Wańkowicz obwieścił z ambony, że "oto wszyscy obecni znajdują się na miejscu cudu. Bóg okazał widocznie łaskę swoją, Hostia św. w ołtarzu, z takim poświęceniem broniona, została znaleziona tak świeża i nietknięta czasem, jak gdyby wczoraj konsekrowana, a nie przed laty 19". Na tym nabożeństwie nawet najbardziej zahartowani mężczyźni płakali, jak dzieci.

"Tracono zmysły ze szczęścia, całowano ławki i ściany, tulono się do filarów, biorąc je w ramiona i zerwała się burza płaczu ale płaczu błogosławionego". Wkrótce zaczęto zbierać składki na nowy kościół, duży i murowany. Ogłoszona wolność religijna przejmowała radością wszystkie prowincje dawnej Polski, ale rząd nie dotrzymał manifestu.

Po tej pierwszej rewolucji rosyjskiej w r. 1905 założono w czerwcu 1906 r. w Kongresówce "Macierz Szkolną". Zorganizowano ze składek (naprawdę dobrowolnych!) przeszło 400 szkół ludowych, trzy seminaria nauczycielskie i kilka gimnazjów; obok tego 211 ochronek, sporo kursów dla dorosłych analfabetów, kilkanaście domów ludowych z czytelniami, teatrami itp. Istniało to wszystko zaledwie półtora roku, zamknięte w grudniu 1907 r., jako "niebezpieczne dla idei państwowej rosyjskiej". W roku 1909 zamknięto nawet "Towarzystwo Wpisów Szkolnych", zbierające składki na opłaty szkolne dla niezamożnej młodzieży. Dokładny spis szkół polskich parafialnych i średnich na Litwie i Rusi, zniszczonych w różnych czasach przez rząd rosyjski, sporządził śp. Giżycki. Spis ten obejmuje 589 pozycji. Świadectwem najlepszym, że na Rusi i Litwie mieszkają Polacy, było założenie "Oświaty" w Kijowie, stowarzyszenia, które otwarło mnóstwo szkół, czyteln i innych instytucji oświatowych. Do r. 1909 zamknięto je wszystkie.

Nie zastosowano też wolności religijnej w zupełności, gdyż nie zwrócono ani jednego katolickiego klasztoru, a o zakładaniu nowych nawet mowy nie było. Polski twórczy duch religijny ograniczony pozostawał nadal na ziemiach zaboru austriackiego w Galicji. Tam nastał w tych latach świetny rozwój Albertynów, Michalitów i Felicjanek. Brat Albert pozakładał przytuliska dla ubogich, starców, kalek, sierot, nieuleczalnych w Krakowie, w Tarnowie, we Lwowie, w Sokalu, Przemyślu, Stanisławowie, Kielcach, Bruśnie, Monasterku, Zakopanem. Od czasów św. Franciszka z Asyżu nie widziano podobnego ubóstwa, jak praktykowany przez Albertynów i Albertynki. Dawne spory Bernardynów o ubóstwo, zreformowane ubóstwo Kapucynów lub Reformatorów, to wszystko jeszcze nic w porównaniu z tym, co się widzi u Albertynów! Szczególny bo zakon, bo w nim mało kto jest kapłanem; sam "Brat Albert" nie próbował nawet studiów teologicznych. Zmarł podczas I wojny światowej w Krakowie w r. 1916. Całe miasto wyległo na pogrzeb, a wszyscy mówili sobie: "umarł święty". Proces beatyfikacyjny już rozpoczęto.

Ks. Markiewicza opuściliśmy, gdy mu władza duchowna zakazała zakładać nowy zakon. Zakłada wtedy stowarzyszenie świeckie pod nazwą "Powściągliwość i Praca" i wciąż buduje. Nie zabrakło jałmużny, składek, ani też osób zamożniejszych, składających większe ofiary. W Miejscu Piastowym powstała duża dzielnica, założona z niemałych gmachów; folwark, szkoły (nawet o zakresie gimnazjalnym, a także handlowe), coraz liczniejsze warsztaty, przybyła ślusarnia, introligatornia, galanteria skórzana, wreszcie drukarnia i nawet księgarnia nakładowa. Znał ks. Markiewicz w tym swoim osiedlu każdy szczegół, wszystkim sam się interesował. Skąd brał na to czas? Doprawdy łaska Boża objawiała się nad nim w tym, że umiał w jednym dniu zrobić tyle, ile drugi by robił cały tydzień. Zważmy, że był także proboszczem, więc nabożeństwa, ambona, konfesjonał, odwiedzanie chorych i na dodatek kancelaria parafialna. Toteż sypiał ledwie po cztery godziny na dobę. Wyróżniał się zaś bogobożnością tak dalece, iż "kapłani, którzy go osobiście znali, wszyscy jednomyślnie nazywali go mężem na wskroś

Bożym, świętym człowiekiem nie z tego świata". Prawdziwie "można o nim powiedzieć, że całe jego życie było ciągłą modlitwą". A przy tym był to niepospolity umysł, który "nie tracił z oczu ani na chwilę szerokich widnokręgów społecznych i religijnych Polski. Słowem i pismem przepowiada zbliżający się huragan wojny światowej, odbudowę Polski i nawołuje do wytężonej pracy religijnej, obyczajowej oraz społecznej, zwłaszcza nad wychowaniem młodzieży, by przyszłym wielkim zadaniom sprościli odrodzeni na duchu Polacy".

Umarł 29 stycznia 1912 r. w wigilię niemal przepowiadanego "huraganu." Rzecz dziwna, jak nagle po jego zgonie wszyscy stali się gorliwymi zwolennikami jego myśli! Wszyscy przyznali mu słusność. Podejmowane przez jego uczniów na nowo starania o utworzenie specjalnego zakonu - popierano teraz i w końcu w r. 1921 Stolica Apostolska zatwierdziła zgromadzenie zakonne pod wezwaniem Archanioła Michała, od czego zwą się w skrócie Michalitami. Dziś mają swe domy i rozległe dziedziny pracy w Miejscu Piastowym, w Pawlikowicach, w Berteszowie w woj. lwowskim, w Strudze pod Warszawą i w samej Warszawie, w Krakowie, we Lwowie i jeden na Litwie, w Działkowiczach; wychowanków razem mają przeszło 900. Przy grobie ks. Bronisława Markiewicza, pośród jego zakładów w Miejscu Piastowym, coraz więcej zdobywa się darów łaski Bożej, toteż starania o beatyfikację mają wszelkie dane za sobą.

Świetny był rozwój najstarszego z polskich żeńskich klasztorów, Felicjanek, pod przewodem świątobliwej Magdaleny Borowskiej. W roku 1907 otrzymała ostateczne zatwierdzenie zakonu od Stolicy Apostolskiej, na cały już świat. Uprosiła też szczególny przywilej, że we wszystkich główniejszych domach Felicjanek na obydwu półkulach odbywa się nieustanna, wieczysta adoracja Najświętszego Sakramentu. Umiała też doskonale rządzić i gospodarować. Doprowadziła stan zakonu do siedmiu prowincji, z czego dwie w Europie, i pięć w Ameryce, do 203 klasztorów i 2209 sióstr. Tak było w roku zgonu świątobliwej Borowskiej, w r. 1915. Utrzymywały zaś wówczas w Ameryce 150 polskich szkół parafialnych, a ile ochronek, schronisk, szpitali! Zmarła w Krakowie, została pogrzebana w kaplicy przy kościele na Smoleńsku. Nad grobem jej zawisły wkrótce wota ofiarne i zapewne cześć jej będzie wzrastać, aż spowoduje podniesienie jej na ołtarze.

Zmarła - a za nią i brat Albert - już podczas I wojny światowej, która miała nam przynieść niepodległość. Zanim to nastąpiło, Moskale i Niemcy wymyślali jeszcze nowe ciosy przeciw Polsce. W Rosji pozostawało to znów w związku ze sprawą unicką. Przypomnijmy sobie, jak Moskalom to zawadzało, że Chełmszczyzna stanowiła część Kongresówki; gdyby więc okoliczności zniewoliły rząd, że musiałyby nadać Kongresówce autonomię, chciano zawczasu oderwać Chełmszczyznę od polskich rządów. Nie mogli pogodzić się z faktem, że 200000 ludzi przeszło tam na obrządek łaciński, a nie dawało się go już prześladować w samej Kongresówce. Od roku 1910 zaczęli przygotowywać grunt do tego zamachu, aż dokonali go w r. 1914, uszczupliwszy Kongresówkę o ziemię chełmską, tę dawną ziemię Lachów, na której według słów najstarszej kroniki ruskiej (Nestora) stały grody laskie "Czerwień i inne grody" Chełmszczyzna jest bowiem prawdziwą "ziemią czerwieńską", prastarą polską ziemią. Oderwanie jej ("wydzielenie" jak mówiono) trwało bardzo krótko i to tylko na papierze, gdyż w tym samym jeszcze r. 1914 wybuchła I wojna światowa, która miała przynieść nam niepodległość.

Przypisy:

[-] Pergamin jest to niegarbowana skóra zwierzęca (najczęściej cielęca lub ośla), specjalnie przyrządzana, żeby na niej (cienko przykrojonej) można było pisać.

[-] Znaczyło to, że księstwo uznają za własność królewską, że posiadają je tylko z królewskiego nadania, jako lenno, tj. pod pewnymi warunkami; gdyby ich nie spełniali, król może lenno odebrać (jeżeli jest dość silny). Książęta mieli pod sobą lenników mniejszych, ci jeszcze drobniejszych itd. Społeczeństwa Europy zachodniej urządzone były według ustroju lenniczego.

[-] Najdalej ku zachodowi posunięte było w mieście Skalicy; tam studiował mój ojciec. śp. Józef, którego zacna pamięć niechaj będzie tą wzmianką uczczona.

[-] Jak nikła była w owym pokoleniu znajomość geografii i etnografii polskiej, wynika z biografii ks. Antoniewicza, wydanej w Poznaniu w r. 1853. Biograf bierze pasmo czarnohorskie za Tatry. Pisze np., że ks. Antoniewicz "pobył swój w Tatrach między biednymi Hucułami opisał w pięknych listach", z których poznaje się "nasze wysokie Tatry" itp.

[-] Wyraz "ruiny" w tym ustępie należy brać dosłownie. Sam jeszcze pamiętam dokładnie ruiny kościoła Dominikanów, sąsiedniego mniej dotkniętego - Franciszkanów i sterczące ruiny pałacu biskupiego (naprzeciw) jeszcze poza r. 1870. Odnawianie (ze składek) musiało postępować bardzo powoli w kraju niezmiernie zubożałym.

Strony zostały ściągnięte z witryny internetowej "Non possumus" poświęconej nieodżałowanemu Prymasowi Tysiąclecia - ks. kardynałowi Stefanowi Wyszyńskiemu.

Adres witryny, to <http://www.nonpossumus.pl/>

Natomiast książka prof. Feliksa Konecznego znajduje się tam pod adresem

http://www.nonpossumus.pl/biblioteka/feliks_koneczny/swieci/